PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK OŚMNASTY. — TOM LXXI.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1901.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1901.

MŁODA POLSKA W POWIEŚCI I POEZYI.

5. Dramat modernistów.

I.

Dramat w literaturze europejskiej przebył w XIX. wieku wiele zmian wśród olbrzymiej i nieustannej produkcyi — osobliwie we Francyi. Żaden inny rodzaj twórczości nie udziela tyle zysku, żaden inny nie otacza tak w przeciągu jednego wieczoru aureolą sławy i uznania, jak dramat; a jednak cały wiek XIX. spłynął — i nikt w dramacie nie zajaśniał takim blaskiem, iżby się mógł mierzyć z Eschilem, Sofoklesem, Kalderonem lub Szekspirem. Ponad tłumem dramaturgów od Eug. Scriba począwszy aż do najnowszych: Strindberga, Henr. Becka, d'Annunzia, Maeterlincka, Schlafa, Schnitzlera — unoszą się dwa nazwiska — nie bez wyrazu i dla naszego teatru: Ibsena i Hauptmanna.

Ibsen wprowadził do treści dramatu kwestye społeczne i polityczne, ale cała bogata galerya ibsenowskich ludzi, o znużonych i schorzałych cokolwiek rysach, skazana na wiekuiste myślenie o własnej niedoli, błędach i przeznaczeniu. Wszystkie główne figury ibsenowskie służą ku temu, aby uzmysłowić jakąś wyższą ideę. Ponieważ właściwie niema ludzi o tak prostej duszy, w którejby nie grały najróżnorodniejsze myśli, uczucia, namiętności, przeto trzeba było wielkiej mocy talentu, aby

wmusić w nas wiarę w istnienie takich figur; a jednak dajemy się porwać Ibsenowi, aczkolwiek wszyscy niejasno przeczuwamy, że to są raczej twory myśli, nie wyobraźni. Dramat Ibsena wciela nowe idee, przeobrażając je na dzieła sztuki. Jeżeli Dumas (syn) i następcy tak wiele mówili o upadłej dziewczynie ulicznej, to Ibsen wprowadził do sztuki dramatycznej niedolę małżeńską; tamci malowali wyjątki, ten ukazał nędzę w codziennej szacie. Kłamstwa życia, fałsz i zwyrodnienie w stosunkach wzajemnych mężczyzny i kobiety, darwinizm i ewolucya, zadania sztuki w życiu społecznem — wszystko to są zagadnienia dramatu ibsenowskiego.

Hauptmann w pisarskiej swej działalności kilkakrotnie się zmieniał. Zrazu okazał się moralistą w treści a naturalistą w stylu. On to pierwszy ośmielił się publicznie powiedzieć całemu niemieckiemu społeczeństwu, że bez względu na swe postępowe urządzenia — na śmierć skazane. Nie był on szyderczym i zjadliwym krytykiem — jak Ibsen, ale nie taił, że utracił wiarę w mieszczańskie społeczeństwo, przeczuwając w głębi sił tajemniczych ludu drzemiące ziarna nowych odrośli. Gorzka walka pomiędzy zgłodniałym a nasyconym zjednała dla dzieł nowego poety od razu uznanie mnogiej rzeszy. Najsilniej zaakcentował swoje przekonania i sympatye w dramacie „Tkacze“ *(die Weber)*.

Oprócz tego stał się on twórcą nowego stylu i nowej formy dramatu. Przeciwnicy naturalizmu wymagali od dramatu górnego, patetycznego języka. Dramat jest poematem, — twierdzili — jak każda pieśń. Od poematu wymaga się, aby język wznosił się ponad zwyczajną prozę życia. Czy można jednak porównać — utrzymywali naturaliści — dramat i lirykę? Poetyczne słowo odgrywa w obu razach różną rolę. Podczas gdy liryka pragnie w poetycznych i jasnych obrazach odtworzyć uczucia i myśli, jakie głucho kipią i wrą na dnie ludzkiej głowy i serca, dramat ma za zadanie oddać w słowach tylko s ł o w a człowieka, aby przez nie zakląć samą figurę przed oczy widza. Tam przeto słowa są narzędziem poety, przedmiotem zaś odtwarzanym uczucia i myśli poety; tu zaś słowa są zarazem narzędziem i przedmiotem odtwarzania. Jednakże poeta dramatyczny repro-

dukuje nie tylko mowę swego bohatera, lecz właściwym celem jego jest duszę ludzką ująć w tę mowę. Będzie on tedy usilnie i sumiennie podsłuchiwał żywą mowę ludzi, aby się dowiedzieć, jak w niej ujawnia się głąb duszy. Chodzi bowiem zazwyczaj nie tylko o to, c o człowiek mówi, ale i j a k mówi. Ileż to razy, gdy człowiek chce co ukryć, owo j a k zdradza go. Nawet więcej: nie tylko w niemych ruchach, ale w przemilczeniach, w przestankach, w tonie i akcencie tkwi niekiedy istota tajonej myśli. Dramaturg subtelnem uchem dosłyszy każdego szmeru, każdej pauzy, każdego utknięcia w mowie, każdego dyalektycznego odcienia. Sztuka zaś talentu naturalistycznego polega na tem, aby w reprodukcyi słów z życia czerpanych nie w i ę c e j i nie m n i e j używać przemilczeń, przerw, akcentów tylko tyle, ile życie daje, ażeby nie przesadzić w opuszczeniach i domyślnikach, ażeby nie za wiele zaufać i zawierzyć aktorowi w mniemaniu, że on ma postać wypełnić i zaokrąglić. Trzeba to Hauptmannowi przyznać, że w słowach swoich osób nie więcej i nie mniej okazuje z tego, co się w duszy ludzkiej odbywało, niż jak to człowiek zwykł w swojem życiu ujawniać.

Nadto jeszcze jedną właściwość formy zawdzięcza dzisiejszy dramat Hauptmannowi. W historycznym swoim dramacie p. t. „Floryan Gajer“ po raz pierwszy zamiast szeregu zmian psychologicznych w duszy jednej postaci pod wpływem przemożnego zbiegu okoliczności zewnętrznych, wprowadza szereg obrazków rodzajowych, malujących dążenia, sposób myśli, uczucia i namiętności XVI. wieku. W II. akcie wiele osób przesuwa się przez scenę i znika. Nie zdążyliśmy jeszcze zaznajomić się z jakąś osobą, schodzi nam ona z oczu i jawi się nowa. Nawet w ostatnim akcie, gdy Gajer ginie, przemykają się przed oczami widzów świeże figury.

Tak samo tedy, jak powieść zapragnęła przenieść na karty książki cząstkę życia, z całą jego przypadkowością, urozmaiceniem i pozornym brakiem spajającej celowej i jednej idei[1], tak też

[1] U nas przykładem takiej powieści jest St. Reymonta: „Ziemia obiecana“.

i w dramacie („Floryan Gajer“, „Tkacze“) autor chciał okazać przygodność spotkań w życiu i pozorną niezależność rozmów ludzkich od głównego wątku.

Przy pisaniu historycznego dramatu nasuwała się poecie jeszcze jedna wątpliwość. Skoro się akcyę przenosi w odległe wieki, skoro się wywołuje do życia ludzi prostych, jakiego należy użyć języka? Czy będą oni mówili żargonem, odpowiednio zmienionym, czy też językiem literackim. Hauptmann po prostu przestudyował język niemiecki XVI. wieku i kazał swoim ludziom mówić językiem literackim. Wrażenie było niepomyślne. Widz nie jest obowiązany liczyć się ze zmianami, jakie w ciągu wieków zaszły w języku, nie jest obowiązany władać dawnemi dyalektami. Modernizować należy, ale tak, aby całkowicie aż do ostatniego śladu nie ścierać z mowy archaicznego pokostu wieków. Po znanem i burzliwem niepowodzeniu, z jakiem spotkał się ostatni dramat u berlińskiej publiczności, dramaturg niemiecki zaczął się zastanawiać nad przyczynami upadku sztuki, którą uważał w swoich rojeniach za najlepsze dzieło; doszedł on do przekonania, że w pięknych słów potoku toną ludzie. Wielkie myśli albo nowe historyczne widoki same nie pomogą, o ile z głębin mózgu wrzucimy je na surowo, jakoby niedociosaną bryłę, do dramatu. Dramat wymaga wielkich myśli, ale żadnego zgoła poematu z nich samych zlepić nie można. Komu się tajemnica prawdziwej poezyi nie zechce odsłonić, ten może setkę tomów zapisać wierszami lub prozą, a dramatu nie napisze, ba, z w ł a s z c z a d r a m a t u, gdzie myśli muszą stać się żywymi ludźmi, zanim się zdołają w słowach skrystalizować.

W taki sposób odbyło się przejście do „Hanusi“ i „Dzwonu zatopionego“. Za wiele ziemskiego pierwiastku ciążyło na poprzednich sztukach. Człowiek nie mógł ku słońcu się unieść; rzeczywistość, prawda życia, naturalizm stawały się jego klątwą. Stąd w tych ostatnich utworach pewien mistycyzm uczucia, stąd obrazowy w wyższym stopniu język, stąd nastroje, nie nowe w literaturze powszechnej, ale odmienne u Hauptmanna. Nastroje nie były nowe nawet u Maeterlincka; wynalazł je stary Will angielski, wysubtelizowali romantycy, przeistoczył

i nadzwyczaj rozpowszechnił belgijski poeta. Pomiędzy duszami istnieje związek tajemny i silny, nić mocna a niewidzialna, spajająca jestestwa pomiędzy sobą wspólnością niedoli ziemskiej, grobu i pozagrobowych tęsknot; pomiędzy naturą a człowiekiem istnieje więź i współczucie bytu czy niebytu, wyciskające swoje piętno na ludzkiem sercu — i ujawniające się wobec napływu niezwykłych dla człowieka zdarzeń jakimś niepokojem natury. Na tej kanwie Maeterlinck wysnuwał nader misternie stopniowane, rosnące i potężniejące w skupieniu swojem nastroje. Potrzebował on jednak zawsze niezwykłych dekoracyj: zamek tajemniczy i piękny, marmurowe schody, krużganki nakształt średniowiecznych, łabędzie na jeziorach pływające, śpiące królewny i t. d. i t. d.

Realniejszy podkład dał nastrojom Hauptmann, uczyniwszy je symbolami sił natury, jak Kozodój, Wodnik lub Rusałka w „Zatopionym dzwonie".

Wszystkie te dążenia, wszystkie próby, wszystkie wątpliwości, poszukiwania nowych treści i nowych form przewiały i przez nasz najnowszy, modernistyczny dramat. Poeci młodsi z nadzwyczajnem zajęciem śledzili każdy nowy utwór czy Maeterlincka, czy Ibsena, czy Hauptmanna, tworzyli na ich wzór i wywoływali z głębi dusz swych przeczulonych postaci zrazu mało w grunt narodowy wrośnięte, jakkolwiek tęskniące nadmiernym bólem życia i często pełne fałszów konwencyonalnych. Stosownie do tych prób i kierunków, da się w produkcyi dramatycznej najnowszej wyróżnić: dramat psychologiczny, dramat maeterlinkowski i dramat historyczny lub fantastyczno-historyczny.

II.

„Najwyższe piękno i szlachectwo duszy w swych najbardziej rozwiniętych formach jest chore" — powiedział raz przyjaciel Przybyszewskiego, Ola Hansson, w życiorysie Edgara Allana Poego[1]. Na rozległem tle tej syntezy roztacza Przyby-

[1] *Życie* nr. 50, r. II.

szewski od początku swej działalności coraz nowe obrazy, wśród których niezwykle ważną rolę przydziela kobiecie. Raz utworzywszy sobie teoryę nagiej duszy, zastanawia się mniej lub więcej w każdym utworze, jakie przeznaczenie we wszechnaturze przypada kobiecie.

W *Vigilien* omawiał przemoc niewiasty we wszechżyciu, w *Homo sapiens*, w *De profundis* badał wzajemny stosunek dwu płci. Prócz tych powieści napisał trzy dramaty: „Dla szczęścia“, „Złote runo“ i „Goście“.

Nie wypowiada w nich właściwie nic nowego ponad to, co w powieściach mówił. Najdawniej powstał pierwszy dramat, ogłoszony w styczniu 1897, a zatem napisany w roku poprzednim.

Osnowa dramatu, podzielonego na 3 dni — 3 akty — taka. Stefan Mlicki uwiódł zepsute i rozpieszczone dziecko bogatych rodziców — młodą i przystojną Helenę. Żył już z nią bez ślubów przez rok — i wtedy w kole towarzyskiem Stefana znalazło się dwoje ludzi: Jan Zdżarski i Olga Agrelli[1]. Byli kochankami i rozeszli się, ponieważ raz w Paryżu podczas pewnej kolacyi z szampanem pomiędzy Olgą a trzecim uczestnikiem kolacyi, przyjacielem Zdżarskiego — Pretwicem zaszedł fakt, który spowodował, że Zdżarski rzucił Olgę i poprzysiągł jej zemstę. Ale Olga jest bogata, olśniewa śmiałemi sądami, jest piękna, tęskni za władzą i siłą, przytem umie nęcić, umie drażnić, jednem spojrzeniem obieca więcej, niż inna da, choćby całą duszę oddała, słowem, kogo pochwyci, tego nie puści... wyssie, odrzuci, ale nie puści. Taka to osóbka zarzuciła wędkę pożądania na Mlickiego — i dał się ująć. Porzuca więc Helenę i idzie za Olgą. „Są uczucia — mówi zaraz na wstępie Mlicki — wobec których o b o w i ą z k i i t y m p o d o b n e r z e c z y są czczym frazesem“. Wyznaje on nawet Oldze, że „dla niej jest zdolny popełnić największą zbrodnię“. (III.) Porzuca tedy Helenę. Ale miesza się w sprawę Zdżarski. Człowiek to widocznie doświadczeńszy od Mlickiego. Raz już szalał za Olgą — a wtedy, by módz za nią

[1] W niemieckim tekscie: *Gesellschaft* 1897, Jänner – nazwy są inne. Stefan Mlicki = Stefan Karsten; Olga Agrelli = Olga Tolst; Helena = Greta; Jan Zdżarski = Karol Beck. Rzecz sama bez zmiany.

do Paryża pojechać, okradł najlepszego przyjaciela. Wie on dwie straszne rzeczy z psychologii stosunku mężczyzny do kobiety. Jedna jest dość stara, wypowiedziana dawno przez Schoppenhauera w studyum *Zur Psychologie der Geschlechtsliebe* a teraz przypomniana — mianowicie: myśl, iż kobieta, którą się kocha, należała do innego, kruszy szczęście. Otóż Zdżarski dokładnie wtajemnicza Mlickiego, kiedy i do kogo należała Olga. Drugą rzeczą jest: pierwotne podłoże duszy niezgładzonem piętnem wgryza się w pamięć, serce, całą istotę człowieka. Zdżarski postara się więc o to, aby Mlicki ciągle pamiętał o Helenie. Spieszno mu tedy uwiadomić Mlickiego, że Helena się utopiła, bo to kruszy szczęście. Niech ta para — Stefan i Olga idą w świat z przeświadczeniem, że stali się mordercami Heleny dla własnego szczęścia.

Zdżarski odgrywa tu przeto rolę sumienia, na które Olga pluje: jesteś podły, chytry i podstępny, jak sumienie (III. 3); „sumienie jest obłudne i nieuczciwe“ (III. 3, koniec sceny). Zdżarski jednak chciałby się przekonać, czy tchórzliwe, chytre i obłudne sumienie jest w stanie zepsuć szczęście ludzi postępu, a wierzy, że ci ludzie „mają straszną obawę przed chytrem i podstępnem sumieniem“.

Drugim dramatem „Złote runo“ [1]. Rzecz w sanatoryum wielkiego miejsca kąpielowego — w 3 dniach, 3 aktach. Pomijam Nieznajomego i lokaja — bo są bez roli. Sprawa toczy się pomiędzy Ruszczycem, właścicielem zakładu, Gustawem Rembowskim, dyrektorem zakładu, Ireną, jego żoną, Łąckim, lekarzem zakładu i Zygmuntem Przesławskim, literatem. Oto Ruszczyc niegdyś uwiódł matkę Rembowskiego, przez co spowodował samobójczą śmierć jej męża. Teraz zaś Rembowski uwiódł żonę Łąckiego, ale pokochawszy Irenę — własną obecną żonę — zerwał z tamtą. Przesławski zaś uwiódł Irenę, żonę Rembowskiego. Wszystko to już się stało dawno, tylko ten ostatni stosunek trwa — i on właściwie, jak krwawiąca rana, otwiera się zwolna przed okiem widza przez te trzy dni, ukazując, ja-

[1] „Taniec miłości i śmierci“. Lwów. Nakładem księg. polsk. 1901.

kiemi więzami obmotał ten jadowity polip kółko ludzi, w jękach wijące się w uściskach tych splotów. O cóż tu właściwie chodzi? Przedewszystkiem znów o stosunek wzajemny dwóch płci. Pięknie to maluje Rembowski w rozmowie z Ireną.

On: Rośnie sobie silny pień, energiczny, mocny. A obok niego buja drugi smukły, wiotki, tuli się do niego, przyciska, omal że nie wrasta w niego. Otóż ten słaby pień rozgałęzia się — wiją się odeń ramiona, — chciwe, szatańskie ramiona. Obejmują go, wżerają się w ów tęgi, energiczny pień, przytulają się coraz mocniej, namiętniej, wcinają się w skórę, przerastają ją, przerzynają korę i żyły — i ten pierwszy mocny pień usycha. To jest symbol miłości, to stosunek kobiety do mężczyzny.

Irena: W Skandynawii istnieje bajka o złych duchach — *beugi* się nazywają. Naraz opadną *beugi* biedną kobietę. Złośliwe, niewidzialne, straszne — gryzą ją. Nieszczęsna kobieta broni się, uderza na wszystkie strony, cierpi, szaleje, szamoce się — napróżno. Oto podejrzenia, niewiara i zazdrość mężczyzny (I, 4).

Taki jest pierwszy problemat „Złotego runa“ — nie nowy w twórczości Przybyszewskiego. Rzecz naturalna, że jako mężczyzna będzie on przypominał wszystko złe kobiecie: „Urodzona zbrodniarka“, „Tertulian nazywa ją wrotami piekła“, Bodinus mówi, że „miłość to stryczek, na którym szatan dusze męskie do piekła wlecze“ i t. p. dziwne zdania, które Przybyszewski już nieraz powtarzał czy to w *Homo sapiens* czy „Na drogach duszy“, zwłaszcza z okazyi rozbioru działalności rzeźbiarza Wiegelanda (II, 1).

Drugą, obok powyższej, tezą dramatu jest kwestya odpowiedzialności człowieka za własne czyny. Już w dramacie „Dla szczęścia“ wołał patetycznie Mlicki: „Są uczucia, wobec których obowiązki i tym podobne rzeczy — są czczym frazesem“, albo też: „A cóż mnie sumienie obchodzi? Chcę szczęścia, chcę żyć...“ Podobne zasady głoszą Mlicki, Przesławski, Adam, ale nie tak bywa w istocie. Ruszczyc słusznie grozi: „Chcecie zniszczyć moralność, a zapominacie, że istnieje dziwna, tajemnicza, wewnętrzna moralność w każdym czynie. To, co złe, zawsze się mści bez względu na wszelkie rozumowania“. Jest to prawda,

nawet nie nowa prawda, jeno stwierdzona dawną tragedyą, choćby tu przypomnieć „Makbeta“ i „Ryszarda III“. Tylko, że jakoś szczególnie wedle Przybyszewskiego mszczą się owe złe czyny. Ruszczyc zawinił — i zapewne cierpiał, a przynajmniej musi patrzeć na cierpienia swego syna — Gustawa. Ale dla czego cierpi Łącki, który złego czynu nie popełnił? Dla czego nie ponosi kary Przesławski — literat?

I jakież to dziwne, dziwne rozumowanie Rembowskiego? Wie, że żona jego i Przesławski kochają się, żyć bez siebie nie mogą, wie, że chce go żona opuścić. Pomimo tego błaga, aby została, bo „najstraszniejsza męka przy niej jest jeszcze szczęściem“ (akt III. sc. ost.). Po chwili dowiaduje się, że to, co nieodzownie musiało nastąpić pomiędzy Przesławskim a Ireną — już się stało. Wtedy zabija się. Co znaczy owo samobójstwo? Czy ono w jakikolwiek sposób rozwikłało nagromadzone wątpliwości? Czy usunęło mękę dusz? Czy poprawiło Przesławskiego? Uspokoiło Ruszczyca? Czy wlało strumień świeżego powietrza w tę stęchłą, duszną, dokuczliwie trującą atmosferę? Niczego nie wyjaśniło, niczego nie rozwiązało, zaciężyło chyba jak klątwa tajemnicza jeszcze jednem zagadnieniem: czemu Rembowski — nie zaś Ruszczyc lub Irena — tak samo winni?

Nareszcie „Goście“ — epilog dramatyczny w jednym akcie. W pałacu gra muzyka *danse macabre* Saint-Saënsa. Park, noc księżycowa, snują się pary. Adam, Bela, Gość, siostra Adama Pola, dwaj starcy. Starcy mówią o tajemnicy tego pałacu. Na Adamie i Beli ciąży jakaś zbrodnia. Ale czy tylko na nich? Na ziemi dużo zbrodni. Ludzie popełniają wciąż zbrodnie. N i e w i ń m y i c h, bo bardzo biedni. A nawet tego, co popełniają, właściwie nie można nazwać zbrodnią, bo złośliwa natura karze za grzechy, które sama wszczepiła w serce ludzkie. (Starz. II.). Sprawiedliwość za winę wymierza samo serce za swoje własne złe podszepty i uwodzenia (str. 106).

Otóż osobliwy *circulus!* Natura wszczepia w serce grzechy; serce podszeptuje i uwodzi człowieka; człowiek ma chwilę szału i szczęścia, a potem serce mści się za swoje uwodzenia na człowieku. Rozumie się, że w takim razie: n i e w i ń m y g o.

Nie podziela jednak tego zdania starców Gość. Stanął on niegdyś obok Adama w nocy, w jakimś ciemnym i ponurym parku, gdy Adam wracał do hotelu właśnie potem, jak mu się noga pośliznęła, jak bez myśli i bez pamięci rzucił się na oślep — w to, to ...nieszczęście... Odtąd Gość nie odstąpił go. „Niema sprawiedliwości — powiada Gość stanowczo — ani ludzkiej ani Boskiej. Jest jeden porządek rzeczy, że tak być musi a nie inaczej. Kto go przełamie, serce jego na śmierć skazane“ (sc. 5).

Na nic się w istocie nie przydaje Beli i Adamowi usilne staranie, aby zgłuszyć zabawą, szałem i zgiełkiem straszną trwogę, lęk jakiś niezmierzony, aby się wreszcie od dziwnych gości, zaludniających pałac, uwolnić. Nawet Pola, jasna i czysta dusza, spokojna i szczęśliwa, nie chce z nimi zostać, gdyż się boi, że zaraza tego nieszczęścia, tego strachu i grozy przyczepi się do sukni... Odchodzi więc. A „Gość“ tymczasem zachwala przed Adamem ponętnemi słowy urok samobójstwa — przeto Adam idzie się zabić.

To jest epilog poprzednich dramatów. Moglibyśmy nawet w myśli uzupełnić, że Adam — to Przesławski, Bela — to Irena, winą ich śmierć Rembowskiego. Tylko znowu te nadzwyczajne konkluzye w słowach Starców i głosie Gościa. Bardzo mi one przypominają *moire* pogańską, a w każdym razie absolutnie nie godzą się z chrześcijańską nauką o wolnej woli, przeznaczeniu człowieka, roli sumienia i t. d.

Zaprawdę, do rozmyślania, skupionej uwagi i żywej dyskusyi usposabia każdy z tych utworów Przybyszewskiego, dotyka bowiem tego, co bólem i zwątpieniem wgryzło się we wiele serc i umysłów, rozprawia się mnóstwem śmiałych paradoksów, szczodrą rozsypanych dłonią, z tysiącem zagadnień, czyni to namiętnie, drażniąco, zuchwale, nawet czasem brutalnie. Gdy Ruszczyc kilkakroć powtarza: „Przeznaczeniu nie można przeszkadzać. Nie można, bo jeszcze większe nieszczęście się sprowadza“ — to słyszymy w tem głos Tołstoja z „Potęgi ciemności“ lub „Zmartwychwstania“; kiedy mówi o „kole przeznaczenia, miażdżącem ludzi“ — to słychać w tem głos szatana kordyanowego, ale gdy twierdzi, że „kłamstwo lepsze od prawdy“

(str. 14), że „życie to kanał podziemny niewidzialny — wszystkie pochodnie w nim gasną“ (15), że „je tylko sportem wypełnić można“ (16) i t. d., wówczas czytelnik mimowoli potrząsa głową nad zgnilizną tych i tym podobnych aforyzmów.

A jeżeli się o dramacie Przybyszewskiego mówi, trzeba koniecznie spytać, czy i jak umie on tworzyć ludzi, oraz jak nimi operuje na dramatycznej szachownicy. Wszakże można być głębokim i subtelnym myślicielem, psychologiem, poetą-lirykiem, a nie umieć jednej figury dramatycznej stworzyć a dwiema poruszać na scenie. Brunetière powiedział raz — jak sądzę, bardzo słusznie: „Jeżeli ideał romantyzmu nigdzie nie wypowiada się z taką siłą, jak w wysunięciu na czoło swego j a, to najbardziej trzebaby się tego strzedz w dramacie. My nie po to gromadzimy się po tysiąc pięćset do tysiąca ośmiuset ludzi w sali widowisk, iżby w ciągu pięciu godzin słuchać, jak nam autor mówić będzie z przestankami i pośród dekoracyj o własnych sprawach“.

Otóż wszystkie figury Przybyszewskiego są podług paru zaledwie stempli bite, a różnice pomiędzy niemi nieznaczne i jest tych figur nad wyraz mało. Zdżarski w dramacie „Dla szczęścia“, Gość w epilogu „Goście“, Ruszczyc w „Złotem runie“ — jednakowi. Nie złudzi nas to, że Ruszczyc wedle prastarej recepty ma swego konika, swą *fixe idée*, z którą się wciąż nosi — tj. salę operacyjną[1]. Jest wszędzie uosobieniem złego sumienia i gdy nie mówi o przeznaczeniu lub kachlach sali, mówi o uwodzeniu i jego skutkach. W nader zręczny sposób — jak niegdyś Hamlet — zagląda do głębi znękanych dusz Ireny i Przesławskiego, wstrząsając niemi do samych korzeni z przemożną siłą[2]. Ilekroć mu wymówki czynią, czemu bez litości się znęca, on niby przeczy, osobliwsze przywodzi racye — i znów zaczyna. Wciąż niby żartuje i podrwiwa, ale to taki zgorzkniały, żółciowy, gryzący śmiech; niby żartuje, ale jak gdyby szydził, wciąż wargi jego wykrzywia jadowity sarkazm. Tak wszyscy trzej — na jedną modłę.

---

[1] Str. 9, 16, 17, 33 i d.

[2] Str. 35—6.

A dalej Mlicki i Rembowski i Adam zupełnie podobni. Pierwszy mówi: „Wiem, że dla Heleny śmierć byłaby prawdziwem szczęściem. A jednak... Jakbym miał gdzieś drugi mózg, który zupełnie inaczej myśli, który sobie ze mnie kpi, cały mój rozsądek wywraca...“ (akt III, 1). Pomimo tego nie może się myśli o Helenie pozbyć i zaniechać. Czy nie na takież rozdwojenie jaźni żali się Rembowski: „Ta druga dusza, ta ukryta poza świadomością jest niespokojną, męczy się i szarpie, i lęka się, że cię stracić może...“ (str. 20). Na to samo oni obaj cierpią i zginą na to.

Hela zaś i Irena zupełnie takie same natury. Irena lęka się kochanka, nienawidzi go [1], nazywa strasznym, twardym, okrutnym, a jednak kocha — słaba, biedna, oprzeć się nie może miłosnej suggestyi. „Trzymaj mię — woła jak Helena — bij mnie. Czemuś mnie nie zbił, nie stratował?“ [2]

Nie jestże to aż przykre, aż bolesne — takie upodlenie istoty ludzkiej? Obie te postaci są galaretowatym, drżącym zlepkiem z biadania i nieporadności, jednym jękiem na swoje niedołęstwo.

Najmarniejszą jednak figurą jest Przesławski. Irena ciągle mówi mu, że mocny [3]; on sam powtarza to sobie, w gruncie zaś to osobistość podłostkowata, nikczemna, bez charakteru, zasad i konsekwencyi. W każdem jego odezwaniu się „pęknięcie serca znać“. Ileż to razy Irena błaga go o pomoc, o radę, a on wynajduje frazesy i lichego rodzaju paradoksy. Szczupła to zatem ilość znękanych i zbolałych postaci łamanych w śrubach tego koła udręczeń, w jakie się same wplotły.

Czytałem w którejś recenzyi teatralnego przedstawienia „Złotego runa“ entuzyastyczny okrzyk: oto jest Ameryka Przybyszewskiego! Powieści, poematy prozą, psychologiczne studya — wszystko chybione powołanie — bo on jest urodzonym dramaturgiem! Trzy dramatyczne utwory powyższe żadną a żadną miarą nie upoważniają do nadziei: są to tragedye instynktów,

[1] Str. 32, 51.
[2] Str. 20, 59.
[3] Str. 53 akt II, 5.

do cna niweczących w jednym momencie długie pasma zasad, rozumowania i dyalektyki. Tak — tragedye instynktów. Ten sam Falk, który po to ze sobą do nieskończoności mocował się, kłócił, zgrzytał zębami, aby w końcu po prostu zrobić to, przeciwko czemu walczył, powtarza się tu w niezmienionem odbiciu. Stanowczo twierdzę, że Przybyszewski figur dramatycznych tworzyć nie umie, aczkolwiek napięcie i scenę dramatyczną powoła do życia tak, że nerwami widza lub czytelnika szarpnie i wstrząśnie potężnie. Zdumiewająca ciasnota i wązkość duszy jego figur czynią je podobnemi do osób, opanowanych somnambulizmem, idących przez scenę w drganiach kataleptycznych, ale z okiem i nerwami w jednym kierunku zwróconemi. A dodać trzeba do tego obcość tych wszystkich stosunków dla naszego społeczeństwa. Kwestya wiarołomstwa nie stała się jeszcze — chwała Bogu — w naszem środowisku tak pospolitą, aby widz, śledząc na scenie osobliwsze perypetye sexualnych cierpień, nie pomyślał po jednorazowym współudziale: „dosyć! Sprawa to dla mnie obojętna, gdyż myślę z uciechą, że w tem położeniu nie byłem i nie będę; sztucznemi zaś zgryzotami zatruwać sobie życia nie pragnę". To też było tak dotąd, będzie tak i nadal. Pomimo szumnych i zgiełkliwych protestów, sztuki — jak powyższe — raz tylko oglądać są w stanie blask naszych kinkietów teatralnych; za drugim razem zginą na zabójczą dla dramatu chorobę: brak widzów.

III.

Kiedy ten poeta przybył przed kilku laty do Krakowa, poprzedzony rozgłosem, entuzyastycznie przyjęty przez część krakowskiego towarzystwa, kiedy objął redakcyę *Życia* i swą niecodzienną indywidualnością pociągnął ku sobie spory zastęp młodzieży, stwarzając dla nowego kierunku poezyi gorących adeptów, dla siebie bezwzględnych wielbicieli — wówczas wyłoniły się różne kwestye, w tajemniczych głębiach indywidualizmu poczęte: o stosunku nowej sztuki do życia, artysty do społeczeństwa, poety do rodziny... Stąd szereg utworów dramatycznych, w których główne role przypadły artystom: poecie, ma-

larzowi, rzeźbiarzowi, aktorom, aktorkom. Obok nich pod rozbiór wzięto sprawy n a r a z i e bolące, jak kradzieże grosza publicznego, wady w wychowaniu młodzieży — i te poddano dyskusyi. Utwory te mają jeden osobliwszy rys i jedno osobliwsze znamię: są nazbyt miejscowe. Wszystkie one z wyjątkiem „Otchłani“ Konczyńskiego, śmiało do nazwy dramatu się przyznającej, zawierają w nagłówku jakieś omówienie: Kisielewskiego „W sieci“ — wesoły dramat, „Karykatury“ — studyum sceniczne, „Sonata“ — kompozycya dramatyczna, M. Szukiewicza „Ułuda“— fragment dramatyczny, J. Wójcickiej „Dyletanci“ — studyum sceniczne, „Psyche“ — tragedya dziecięca dla dorosłych ludzi. Zwracam uwagę na tę okoliczność, bo zdaje mi się, że zastrzeżenia autorów świadczą o pewnem wahaniu się ich samych. Co prawda— kolizyj dramatycznych we wszystkich tych sztukach nie brak, scen nerwy szarpiących niemało, cząstek ładnych w każdej dość, tylko — jako całości — nieskładne są i nieuharmonizowane.

Najpierw Kisielewski.

W dwóch sztukach rzecz odgrywa się na tle mieszczańskiego otoczenia, w pierwszej rodziny radcy Chomińskiego, w drugiej rodziny Zosi. W obu rolę główną mają młodzi ludzie, silnie pozujący na nadludzi, zapoznanych geniuszów. Jerzego Borońskiego („W sieci“) relegowali z trzeciego roku uniwersytetu, to też on pluje na patentowane egzamina, na patentowane studya, pluje na doktoraty, pluje na fachową psychologię; Relski („Karykatury“) przy egzaminie profesorskim padł, ale pomimo tego uchodzi za męża przyszłości. Otóż to bieda, że ci ludzie zanadto pozują. Dr. Leliwa z „Sonaty“ — cynik, jest nawet wedle krytyki *par excellence* modernistycznej, lubiącej kreować geniuszów „na prędce“ — pozą od początku do końca. Owa zaś poza bywa w dziewięciu dziesiątych częściach ironią. Zgryźliwość i żółciowość poety ostro kłuje nietylko filisterskie społeczeństwo, ale znęca się nad każdą figurą; niemasz w nim literalnie wiersza, któryby można przeczytać z wiarą, że pisze seryo, nie wyśmiewając. Ciągły ten grymas Satyra nuży i męczy w końcu, zwłaszcza, że towarzyszy mu nad wszelką miarę rozpuszczone gadulstwo. „U Kisielewskiego — pisze jeden z krytyków *Życia* —

wiele rzeczy przelewa się, przełamuje formę i traci przez to siłę syntetyczną. Ludzie jego za wiele m ó w i ą". Ściga nas powódź słów, niekiedy bez treści i bez sensu, orgia gadatliwości bezmyślnej i silącej się na sztuczny dowcip. Naprzykład:

Rolewski („W sieci") mówi: „Wszystko panie — wszystko razem. Nagniotki. *Fliegende Ambulance* — panie, panie — popogrzeb — karawan. Towarzystwo ratunkowe — policyanci jak fajermani na dachach — panie na dachach — nagniotki, łoskot, huk, teatr, cyrk, menażerya, wojsko idzie, panie mężatki wdowy rozwódki — panny separatki, rowery — w takich, panie, panie — przepraszam szerokich jak spodnie — na bicyklach, tandemach — fajermani jak policyanci. Tam ktoś umarł — panie, panie! Chichichi — chińczyk, murzyn, kilku eskimosów z fajkami — panie panie" i t. d. jeszcze kilkanaście wierszy druku... [1]

Autor może świadomie, może bezwiednie stosował w dramacie, mianowicie w dyalogu styl naturalistyczny — z całym aparatem mimiki, przemilczeń, dwuznaczników, akcentów; ponieważ atoli wzory zbierał w szczupłem kole cyganeryi artystycznej, stąd nerwowość figur, zbyteczna obfitość słów, wykrzykników, nieustanna ironia i sarkazm, nie niknący nawet w tych nawiasowych wskazówkach, jakie autor daje aktorowi lub reżyserowi. Pomimo tej wady, przechodzącej w „Sonacie" prawie w manierę — Kisielewski umie stworzyć figurę i ustawić ją pośród otoczenia tak, że nie traci swej indywidualności, choćby się posuwała w akcyę. Każda pozostaje sobą do końca, aczkolwiek bywa ich dużo i o nader różnych rysach fizyognomii.

Jest to znamię talentu dramatycznego. Spółcześnie wyprowadzi on na scenę dziesięć osób i daje sobie z niemi radę: każda z tych osób rusza się, żyje, mówi — i każda ma swoje specyalne znamiona. Pewna chaotyczność powstaje nie stąd, że każda mówi, lecz że mówią byle co i byle jak: konceptami często bez sensu i bez związku z głównym wątkiem.

Tegoż pokroju talentem jest Wójcicka — tylko miękkości

---

[1] „W sieci" str. 222—223 Obacz też monologi Jerzego Borońskiego na str. 59, 60, 63—66.

i delikatności w dotknięciu ma więcej, kiedy rysuje jakąś postać. „Dyletanci“ wyjaśniają tezę, że kto ma służyć sztuce, powinien być czysty i wolny i mocen, bez ambicyjek, bez gonienia za sławą i za pieniądzmi. „A wy — narzeka Strzaszak, zwrócony do swego artystycznego otoczenia — jesteście bandą matołów, filistrów, mydlarzy, strupieszalców, rzemieślników“.

Teza przeprowadzona na Jance, która chciała swego brata Stacha zrobić poetą dramatycznym, potem siebie aktorką dla tego, bo ojciec — ginąc śmiercią samobójczą, kazał jej przysiądz, że jedno z nich poświęci się sztuce. Obie próby chybiły, talent zaś miała W i n i a, ślepe i nieszczęsne dziecię, które o muzycznym swym talencie zgoła nie wiedziało. Tendencya sztuki piękna, tło malowane bardzo zręcznie, nawet mniej karykaturalnie, niż u Kisielewskiego. Figura Janki z kruchego ulana materyału. Zapewnia nas autorka, że panuje ona nad całem otoczeniem, wmusza w brata swego to, że usilnie dąży do sławy poetycznej, a potem pod wpływem jednego tylko niepowodzenia na scenie gnie się i łamie tak, że nie wiemy, gdzie się podziała siła oddziaływania na rodzinę i grono młodych artystów. Ciętość dyalogu, dowcip, niemały wdzięk w kreśleniu rodzinnych scen, umiejętność przelania duszy i życia w figury, chlubnie znamionują utwory poetki. Aktualność tezy widoczna zresztą zarówno w tym dramacie, jak i w „Psyche“, mającej za zadanie wykazać, że przy całem staraniu i pilności o głowy dziecięce, zbyt mało dbamy o wykształcenie charakterów i tęgość duszy. Tkliwość na braki naszego społecznego życia, niemała spostrzegawczość, znajomość sceny i techniki scenicznej, oraz styl i psychologia wcale staranna, lubo nie zawsze ze ścisłą konsekwencyą przeprowadzona, stanowią zalety utworów Wójcickiej. Nakoniec jedna uwaga. Kisielewski i Wójcicka ze skwapliwością i upodobaniem malują młodzieńczy światek cyganeryi artystycznej, światek knajpiarski, rozmiłowany w tłustych i dwuznacznych konceptach, podkasanej muzie, dymie tytuniowym i absyncie. Pomijając kwestyę zasad, trudno nie zaznaczyć, że stek tych na nice przewróconych, wszelkiej etyce urągających zapatrywań na życie, rodzinę, społeczeństwo i obowiązki zadumą,

niepokojem i troską napełnia, gdy się myśli o wpływie takiego iście „hultajskiego bigosu“ na młode zastępy widzów, czytelników i słuchaczy.

Podobną jak w „Karykaturach“ treść ma dramat Szukiewicza „Ułuda“. Malarz Kiryłło, mając już narzeczoną Helenę Lesińską, pod wrażeniem chwilowego uniesienia uwiódłszy Matyldę Sattlównę, ożenił się z nią, powodowany poczuciem uczciwości. Kłamie ku niej miłość widząc, że ona go kocha; ze serca jednak nie może wyrwać dawnego uczucia. Kiedy dostaje medal za obraz na wystawie, kiedy Lesiński z córką przybywa, nic nie wiedząc, że przyszły zięć jego od dawna żonaty, wówczas Kiryłło chce uciec, nie czyni tego jednak i w domu jego spotykają się żona z narzeczoną. Następują wysoce naprężone sytuacye i wyjaśnienia, wśród których Kiryłło w gniewie popycha żonę na kanapę tak nieszczęśliwie, iż powoduje poronienie i śmierć. Opuścili go potem i przeklęli wszyscy: Sattlowa, Lesińscy — dziecię mu jeno pozostaje.

Konflikt stanowi przeciwieństwo pomiędzy aspiracyami, pojęciem szczęścia, zasobem myśli i upodobaniami artysty a kobiety bardzo dobrej, ale pospolitej. *Si parva magnis componere licet,* zobrazował tezę powyższą w „Nieboskiej“ Krasiński w rysach wielkich i z siłą potężną. „Ułuda“ ma parę scen ładnych, ale faktura drugiej zwłaszcza części jest dziełem słabej ręki. Daleko więcej siły tkwi w dramacie T. Konczyńskiego: „Otchłań“.

Około banku krążą szpony ludzi podłych, chciwych grosza: Podosockiego, Woronka. Pierwszy, nikczemny cynik, gotów do zbrodni dla miliona, staje się obrzydliwym wówczas, gdy za pomocą pornograficznych książek i lubieżnych obrazków kala wyobraźnię niewinnej Maryni. Wężowa to, plugawa i pełzająca natura: działa za pomocą podszczuwań, cudzych rąk i wstrzykiwania rozpustnej trucizny w żyły lekkomyślnego, wiecznie sennego i zblazowanego dyrektora Władysława. Znamy już i tę figurę, ale ją znamy o całe piekło wyższą w postaci Masynisy. Podosocki pozuje na demoniczną figurę, ale i środki, których się ima i cele, do jakich dąży, i siła, jaką włada — nikczemne są i podłe bez piętna wielkości. Dziwić się nie trzeba, że Ha-

nusz tak łacno odgadł knowania tej płaskiej duszy i tak bez trudu je unicestwił, ocalając bank, córkę i Marynię.

„Otchłań", jako dramat, świadczy o dużym talencie. Wpływ i ojcostwo Ibsena zaprzeczyć się nie da; dostatecznie stwierdza to już sprawa pieniężna, jako podkład i sprężyna ruchów Hanusza, Podosockiego, Władysława, Woronka... Jeszcze lepiej stwierdzają to ludzie rozdrażnieni, nerwowi, wciąż czegoś niespokojni i jak gdyby czatujący na nieszczęście... Dyalog nadzwyczaj cięty i pełen werwy, splatanie scen o napięciu zbrodniczem i tragicznem ze scenami przedziwnie jasnej, słonecznej i niewinnej barwy często, acz nie zawsze nader zręczne. Kiedy bezpośrednio po rozmowie Hanusza i Kaliskiej o Podosockim (akt III. sc. 1) wpada ze swą trzpiotowatą wesołością Marynia i tajemniczo szepce o prześlicznych stalowych kwiatach storczyków, to przypominają się owe przesławne perypetye sofoklesowego dramatu; ale kiedy notoryczny złodziej i bezecnik Podosocki zachwyca i rozbawia Karolcię psiem szczekaniem, to scena wydaje nam się wprost niesmaczną i zgoła niezabawną, bo odczuwamy to silnie, że nad głową tego podłego indywiduum wisi katastrofa, która tę maskę zedrze. Przeładowanie akcyi dyalogami cokolwiek i tu razi, jak w poprzednich utworach, lubo mniej; zacierają się linie duszy ludzkiej pod potokiem słów, choćby najdowcipniejszych; zacierają się rzadko rozsypane błyskawicowe rzuty zasadniczej idei, głównego pomysłu i najtęższej osobistości. Co jest otchłanią? Kto gra pierwsze skrzypce: Hanusz czy Podosocki? Pomimo tego dramat ten uważam za najlepsze tendencyjne dzieło w zakresie psychologicznych dramatów.

(Dok. nast.).

Antoni Mazanowski.

CZY METAFIZYKA MA JESZCZE RACYĘ BYTU?

I.

Wyraz: metafizyka, jak zgodnie utrzymują dziejopisarze filozofii[1], powstał całkiem przypadkowo. Wiadomo z opowiadań Strabona (XIII, c. I, § 54) i Plutarcha (*Vita Sullae* c. 26), jak smutne koleje przechodziły pisma Arystotelesa. Pozostawił on je w spadku wraz z posiadaną przez się biblioteką ukochanemu uczniowi Teofrastowi, który je znów swemu uczniowi, Neleusowi z miasteczka Skepsis w Troadzie, przekazał. Po śmierci Neleusa ukryli jego krewni rękopisy w wilgotnej piwnicy czy też rowie (δῶρυξ) a to z obawy, iżby ich nie zabrali pergamejscy książęta do świeżo założonej biblioteki w Pergamum. Nie potrzeba chyba dodawać, ile ucierpieć musiały rękopisy przez długie lata w takiem ukryciu przechowywane. Około roku 100 przed Chr. dowiedział się namiętny zbieracz rękopisów, bogaty obywatel z Teos, Apellikon, o istnieniu zakopanych w ziemi rękopisów Stagiryty i Teofrasta i nabywszy je za drogie pieniądze przewiózł do Aten. Apellikon zabrał się czemprędzej do naprawy uszkodzonych tekstów, ale na nieszczęście, sam nie był filozofem, więc też i jego poprawki w tekscie porobione, były raczej zepsuciem tekstu, aniżeli jego poprawieniem. Niedługo po tem, bo już 86 r. przed Chr. zajmuje Sulla Ateny, a między zabranemi przez

[1] Por. dr. Fried. Überweg: *Geschichte der Philosophie.* I Bd. S. 198. Berlin 1886. VII Aufl. Por. także: Barthelémy St. Hilaire: *Métaphysique d'Aristote traduite en français.* Paris 1879, str. CCLIX préface.

niego do Rzymu skarbami greckiej kultury znalazły się także i rękopisy Stagiryty z biblioteki Apellikona. Gramatyk Tyrannion z Amisos w Poncie, otrzymał polecenie uporządkowania rękopisów, i od niego to otrzymał perypatetyk Andronikus z Rhodus (około 70 r. przed Chr.) kopie pism Arystotelesa, które wydać postanowił. Ów tedy Andronikus, porządkując pisma Stagiryty według ich treści, natrafił na luźnie ze sobą zespolone urywki dzieła Arystotelesowego, tak zwanej pierwszej filozofii (ἡ πρώτη φιλοσοφία), zajmującej się bytem niemateryalnym, czyli po fizyce, a z tego napisu: τὰ μετὰ τὰ φυσικά wytworzono z biegiem czasu jeden wyraz: metafizyka. To zatem, co Arystoteles przezwał: „pierwszą filozofią", poczęto zwać: metafizyką, i od dawna już ta ostatnia nazwa posiada w gronie umiejętności ludzkich swe ustalone znaczenie.

Czemże tedy zajmuje się metafizyka, albo jakby powiedział Arystoteles, „pierwszą filozofia"? Odpowiedział na to Arystoteles w I. i II. rozdziale księgi pierwszej swej metafizyki, i w rozdziale I. księgi czwartej. Właściwie dwie tam spotykamy definicye metafizyki. Do pierwszej dochodzi Arystoteles w następujący sposób. Przez spostrzeżenia częściej odbierane powstaje w nas doświadczenie, które jest podstawą zarówno sztuki jak i wiedzy. Sztuka nie przewyższa wprawdzie pod względem praktycznej doniosłości doświadczenia; mimo to ludzie zwykle jej większą dozę wiedzy przypisują, aniżeli doświadczeniu, a to dlatego, że sztuka, a nie luźne doświadczenie, prowadzi do odkrycia przyczyny. Że zaś do pojęcia wiedzy (ἐπιστήμη) jest niezbędna znajomość przyczyny dla jakiegoś faktu badanego, pokazuje się stąd, iż nikt nie nazwie prostego spostrzeżenia wiedzą, mimo że dla poznania jakiejś jednostki jest ono niezbędnym środkiem. Rozmaitym sztukom przypisywano w miarę ich powstawania rozmaity stopień wiedzy stosownie do tego, im która sztuka mniej miała na oku praktyczną korzyść. Z tego względu przyznawano teoretycznym umiejętnościom, powstającym na tle doświadczenia i sztuki, najwyższy stopień wiedzy, bo nie były uprawiane dla jakiejś korzyści materyalnej, lecz dla nich samych, dla samejże wiedzy. Stąd wynika, że należy

uważać za mędrszego tego, co posiada doświadczenie od tego, który tylko na spostrzeżeniu się ogranicza, a znów tego za mędrszego, co posiada jakąś sztukę od tego, co poprzestaje na samem doświadczeniu; w końcu mędrszym od tamtych powinien być nazwany ten, co uprawia wiedzę teoretyczną. Tak więc mądrość jest teoretyczną wiedzą jakichś zasad lub przyczyn. Wszelako wyraz: mądry, mądrość brany może być w dwojakiem znaczeniu: względnem i bezwzględnem. Raz bowiem nazywamy mądrym tego, co posiada biegłość w jakiejś sztuce, drugi raz zaś, w bezwzględnem znaczeniu, nazywamy mądrym tego, który posiada najdoskonalszą oraz najwyższą wiedzę. Kiedyż więc taką nazwą wolno nam się posłużyć?

Jeżeli mądrość (σοφία) ma być umiejętnością, wiedzą, to musi się zajmować badaniem jakichś przyczyn i zasad. Którychże to przyczyn i zasad znajomość sprawia, iż ten, który ją posiada, może być bezwzględnie nazwany σοφός? W odpowiedzi na to pytanie zauważa Arystoteles, że mądrym nazywamy najczęściej tego, który wszystko wie, pomimo że nie będzie posiadał znajomości każdego danego szczegółu; możebne to wtedy, gdy ktoś będzie posiadał wiedzę tego, co najogólniejsze, bo w ten sposób będzie znał i szczegóły zawarte w tem, co najogólniejsze.

Niemniej faktem jest, że ludzie tego uważają za mądrego, który posiada znajomość rzeczy z wielkim trudem człowiekowi dostępnych; że tak jest, przekonać się można z faktu, iż nikt nie nazwie mądrością spostrzeżenia, bo to czynność bardzo łatwa dla ludzi. Zaś nie ulega wątpliwości, że najtrudniejszą rzeczą dla człowieka jest poznać to, co jest najogólniejsze, bo ono najwięcej odbiega od tego, co w spostrzeżeniu rzeczy konkretnej się zawiera.

Podobnież zwykliśmy nazywać najmędrszym w jakiejś dziedzinie wiedzy tego, który posiada najdokładniejsze wiadomości z niej i najlepiej nauczać ich potrafi. Najdokładniejszą atoli wiedzą jest ta, która się zajmuje najpierwszemi pojęciami, gdyż one nie są złożone, a zaś łatwiej może być poznana rzecz prosta, niezłożona, aniżeli złożona. Tem samem atoli i wiedza o najpierwszych przyczynach lepiej może kogoś pouczyć, aniżeli

jakakolwiek inna umiejętność, gdyż nauczanie polega na wykazywaniu przyczyn rzeczy.

Niemniej ta umiejętność zasługuje bardziej od innych na nazwę wiedzy, której ktoś nabyć pragnie dla niej samej, a nie dla skutków, nie dla korzyści, jakie z jej posiadania wyniknąć mogą. Pożądamy nad to najwięcej tej wiedzy, która posiada za swój przedmiot rzecz najbardziej znania godną; taką zaś właśnie wiedzą jest ta, która bada najpierwsze przyczyny i zasady, bo z nich można poznawać i inne rzeczy.

W końcu bardziej na nazwę wiedzy zasługuje ta umiejętność, która jest zdolna rozkazywać, aniżeli ta, co jest podporządkowana innej wiedzy i tejże ulegać musi. Lecz rozkazywać może ta tylko wiedza, która zna cel wszelakiego działania, a więc tem samem nauka wskazująca ostateczny cel rzeczy najwięcej na miano wiedzy zasługuje.

Utorowawszy sobie zapomocą takiej indukcyi drogę, daje wreszcie Arystoteles definicyą metafizyki powiadając, że metafizyka, lub jak ją także nazywa: mądrość (σοφία) jest umiejętnością badającą najwyższe zasady i przyczyny wszech rzeczy (Met. A. p. 982 b 7).

Do drugiej definicyi dochodzi Arystoteles przez rozważanie przedmiotów rozmaitych nauk. Różne nauki zajmują się niejako częściami bytu i byt badają z jakiegoś szczegółowego punktu widzenia; powinna tedy istnieć umiejętność osobna, któraby zajęła się bytem najogólniej pojętym, czyli bytem o ile jest bytem. Ta wiedza bytu, o ile jest bytem, schodzi się najzupełniej z wiedzą o najpierwszych przyczynach i zasadach rzeczy, gdyż najwyższe przyczyny bytu jako takiego są zarazem przyczynami jakiegokolwiek szczegółowego bytu. Jest tedy metafizyka wiedzą najwyższych przyczyn bytu jako bytu (Met. Γ. p. 1003 a 27).

Jako nauka o bycie powinna metafizyka zająć się przedewszystkiem dokładną analizą pojęcia bytu, bo niedokładne pojęcie bytu stawało się, jak uczą dzieje filozofii, źródłem smutnych błędów, zwłaszcza panteizmu. Powinna dalej wskazać te okre-

ślenia, które każdemu bytowi, dlatego właśnie, że jest bytem, przysługują, czyli wskazać powinna transcendentalne własności bytu. Niemniej ważne jest pytanie, jakie to są najwyższe rozgałęzienia, najwyższe rodzaje bytu, czyli jego kategorye, a w końcu jego najwyższe przyczyny.

Nie trzeba jednakże zapominać, że byt najogólniej pojęty istnieje jedynie w naszej myśli, jest najogólniejszem pojęciem, jest najwyższą abstrakcyą ze wszystkiego, co jest; a tymczasem przed nami widzimy byty konkretne, które niemniej jak byt najogólniej pojmowany, wymagają wyjaśnienia swej istoty. Metafizyka tedy powinna od bytu najogólniej pojętego zejść do rozważania bytów konkretnych. Nowe więc otwiera się jej zadanie. Przed sobą widzimy mnóstwo niezliczone rzeczy; obejmijmy je wspólną nazwą: świat, a mimowoli nasuwać się nam będą pytania: skąd się wziął świat? jaki jego cel? jakie najwyższe prawa nim rządzą? Oto problem kosmologiczny.

Prócz tego w nas samych dość jest zagadek trudnych do rozwiązania. W świecie materyalnym przyczynowość panuje niepodzielnie i nieubłaganie; w nas tymczasem spostrzegamy możność dowolnego determinowania się do działania lub niedziałania, czynienia tego lub owego; przez analizę aktów naszej świadomości dochodzimy do poznania, iż jesteśmy istotami *sui generis*, bytami duchowo-zmysłowymi. Znów nowe pytania: co to jest duch, który go ożywia? jaki sposób połączenia ducha z materyą w jedną naturę ludzką? To problem psychologiczny.

Na tle zaś tych dwóch problemów wyłania się inne pytanie, pytanie szczególniejszej doniosłości, czy mianowicie wskazane przez kosmologię i psychologię najwyższe przyczyny bytu świata i człowieka, τοῦ μακροκόσμου καὶ τοῦ μικροκόσμου, są faktycznie najwyższemi i jedynemi przyczynami wspomnianych bytów, czy też domagać się mają istnienia najwyższej, ostatecznej oraz najpierwszej Przyczyny wszechrzeczy? Jeżeli zaś odpowiedź wypadnie twierdząco, to jakiż to byt ta najpierwsza Przyczyna! Jaka jego natura? stosunek do innych bytów? Oto problem teologiczny, korona dociekań metafizycznych. „Tak więc meta-

fizyka, pisze pięknie profesor Kappes[1], ma nam dać pogląd na świat w najprawdziwszem tego słowa znaczeniu; chce ona świat, nie tylko zewnętrzny, cielesny, lecz i wewnętrzny, duchowy, poznać i pojąć, co on w sobie zawiera. Jako pogląd na świat jest metafizyka zarazem poglądem życiowym, bo przez to, że chce wykryć istotę świata, chce równocześnie dać wyjaśnienie o znaczeniu, celu i końcu tegoż świata, a w szczególności własnego naszego bytu: co to jest człowiek? skąd przychodzi? dokąd zdąża? A gdy się jej uda na podstawie istniejącej rzeczywistości cielesnej i duchowej dojść do wyższego, transcendentnego, absolutnego Bytu, do Bóstwa, to tem samem posuwa całe ziemskie życie ze wszystkiemi jego potrzebami i dążeniami ku wyższemu oświetleniu i nadaje kierunek biegowi życia tak jednostek, jak i ich ogółowi ku temu, co wzniosłe, transcendentne, absolutne, wieczne, ku Bogu. Bóg, nieśmiertelność i wolność, te pełne treści wyrazy Wiary, których naukową wartość wyświetla metafizyka, wpływają na wyrobienie naszego poglądu o świecie i życiu. W takiem właśnie pojmowaniu metafizyki, jako poglądu na świat i życie, tkwi jej zadanie, jej doniosłość i znaczenie".

II.

Tę wielką doniosłość badań metafizycznych umiał ocenić nawet największy wróg metafizyki, Kant, gdy pisał: „Był niegdyś czas, kiedy metafizyka zwana była królową wszelkich umiejętności, i jeżeli się przyjmie chęć za uczynek, to zasługiwała ona ze względu na nadzwyczajną ważność swego przedmiotu bezsprzecznie na tę nazwę zaszczytną" [2].

Niestety, od dawna już nie pozwalano tej królowej panować w spokoju i rozlewać dobrodziejstw swego panowania. Raz po raz w ciągu długich wieków jej istnienia podnoszono bunty przeciwko niej, własne jej służebne spiknęły się przeciwko niej,

---

[1] Por. Dr. Mathias Kappes: *Die Metaphysik als Wissenschaft.* Münster. 1898. Str. 15.

[2] Kant: *Kritik der reinen Vernunft.* Vorrede zur I. Ausg. S. 3.

aby ją zrzucić z tronu, a same na nim rozwielmożnić się mogły. Musiała ona patrzeć na orgie greckich sofistów, wytrzymać tyle strzał zatrutych, a posyłanych w jej stronę wprawną ręką tych Wandalów prawdziwych na polu filozofii: sceptyków rozmaitych wieków i narodów, musiała wysłuchać tyle obelg, miotanych zaciekłemi usty różnych sekciarzy, patrzeć w końcu, jak ludzie źli usuwali jedną za drugą podwalinę z pod stóp jej tronu.

Przetrwała ona jednakże z rozmaitem szczęściem i powodzeniem burze i walki w ciągu wieków nad jej tronem szalejące; miała chwile świetlane, gdy promienna szczęściem odbierała hołdy zasłużone od swych wasalek, od specyalnych umiejętności ludzkich, które chętnie jej panowanie uznawały i poddawały się przodownictwu: ale też były chwile czarne, chwile upadku, w których jedynie dobroczynna ręka religii chrześcijańskiej dawała jej przytułek w swych przybytkach. Próbowano po niezliczone razy zabić ją milczeniem, wymazać jej nazwę z pamięci ludzkiej, ale jak feniks ze swych popiołów, powstawała ona z chwilowego upadku i zapomnienia, a niepomna krzywd nie przestawała uszlachetniać człowieka. To też po okrzykach: *ecrasez l'infâme*, zjawiali się inni, co tę królową nauk witali radosnemi: *hosanna*.

Lecz nigdy może walka przeciw metafizyce nie była tak zaciekłą, na tak wielkie podjętą rozmiary i z taką prowadzona wytrwałością, jak w czasach ostatnich, tak, że jednym ze znamienitszych rysów niedawno ubiegłego wieku XIX. pozostanie na zawsze jego pogarda dla metafizyki. Postanowiono raz na zawsze ją uniemożliwić, odebrać umysłowi ludzkiemu wszelką ochotę do zapuszczania się w dziedzinę badań metafizycznych, i dlatego wskazano mu ziemię z tem wszystkiem, co się na niej znajduje, jako jedynie odpowiedni cel i przedmiot jego dociekań. „Najwięcej zasadnicza różnica w obecnej filozofii, uważa Volkelt, nie polega na rozróżnianiu między spirytualizmem a materyalizmem, teizmem i panteizmem a ateizmem, monizmem i dualizmem i t. d.; różnica sięga daleko głębiej, mianowicie czy wogóle ma być dopuszczone odpowiednie poznaniu naszemu badanie najogólniejszych i ostatecznych przyczyn bytu, czy też

nie. Naprzeciwko filozofii uprawiającej metafizykę, stoi antymetafizyczna filozofia, a ten rozdział jest daleko większy, aniżeli między najbardziej przeciwnemi opiniami w obrębie metafizyki; jest on większy, aniżeli ten, jaki między spirytualizmem a materyalizmem istnieje“ [1].

Dwa wielkie hufce stanęły w rynsztunku bojowym do walki z metafizyką; hasłem pierwszego jest: Kant, wodzem drugiego August Comte z jenerałami Herbertem Spencerem, Stuartem Millem i kilku innymi. I uzbrojenie i metoda walki różne u obydwóch hufców, zapał jednak i nadzieja uniemożliwienia raz na zawsze metafizyki po obu stronach jednakowe. Przypatrzmy się tym hufcom bliżej.

Kant nie szczędził, jak już tego mieliśmy przykład, pięknych słów dla metafizyki, ale im głośniej ją chwalił, tem więcej ubocznie swą krytyką rozumu w nią godził. Nie od razu atoli zdradził on swe plany strategiczne, ani odchylił otwarcie przyłbicy; od czasu tylko do czasu puszczał w świat jakieś zdanie ironiczne pod adresem metafizyki, i tym sposobem podkopywał jej znaczenie. W r. 1762 uboczną drogą godził w metafizykę, dowodząc, że znane cztery figury syllogizmu polegają jedynie na krętactwie rozumu, i że zapomocą nich nie można wykryć żadnej nowej prawdy, gdyż logiczne poznawanie nie jest syntetycznej natury, tylko analitycznej, więc co najwyżej może tylko lepiej wyjaśnić znane już pojęcie [2]. W następnym roku w broszurze: *Versuch, den Begriff der negativen Grössen in die Weltweisheit einzuführen,* zastosował powyższe uwagi do dowodów Bożego istnienia, i zawyrokował, że się powinno mieć wiarę w istnienie Boga, ale dowód na tę prawdę jest i niekonieczny i niemożliwy. W tymże jeszcze roku pisze broszurę: *Der einzig mögliche Beweisgrund zu einer Demonstration des Daseins Gottes,* w której ani suchej nitki nie zostawia na powszechnie w szkołach używanych dowodach Bożego istnienia. W następnym roku

---

[1] Por. Volkelt Joh.: *Über die Möglichkeit der Metaphysik.* Hamburg 1884, str. 9.

[1] Por. Kirchner: *Die Hauptpunkte der Metaphysik.* Cöthen 1880, str 19 nast.

(1764) wydaje się mu w broszurze: *Über die Deutlichkeit der Grundsätze der natürlichen Theologie und Moral* metafizyka „jako bezdenna przepaść, jako ciemny ocean, pozbawiony brzegów i morskiej latarni", ale jeszcze z nią nie zrywa, tylko ją chce udoskonalić głównie pod względem metody. Wykazuje w tej broszurze, jaka istnieje różnica między syntetycznemi dedukcyami w matematyce i w filozofii; podczas gdy pierwsza ma do czynienia ze zrozumiałemi ilościami, a stąd może rozpoczynać od definicyi i z niej wyprowadzać coraz inne prawdy, to przeciwnie filozofia, mająca za przedmiot jakości oderwane a przytem nie zawsze zrozumiałe, powinna tylko analitycznie postępować, a więc rozkładać materyał z doświadczenia wzięty na prostsze pojęcia, i dążyć do definicyi, zamiast od niej rozpoczynać.

Atoli już w 1764, głównie pod wpływem pism angielskiego filozofa Hume'a, zajmuje Kant względem metafizyki stanowisko wprost nieprzychylne. W broszurze: *Träume eines Geistersehers erläutert durch Träume der Metaphysik* oświadcza wręcz, że metafizyka jest bezużytecznem marzeniem, bo nie kieruje się jedyną podstawą, na której stać powinna filozofia, doświadczeniem. Jeżeli tedy jakaś metafizyka ma istnieć, to chyba ta tylko, która ma przeświadczenie, że wszelkie ludzkie poznanie tylko z doświadczenia zmysłom dostępnego pochodzi; metafizyka ma być wiedzą nie rzeczy, lecz granic ludzkiego poznania, ma być poznaniem poznania. Dotychczasowa zaś metafizyka jest pustą zabawką umysłu, bo prawo przyczynowości, na którem się ona opiera, nie jest pojęciem analitycznem, tylko z doświadczenia wziętem, syntetycznem, a więc, jak to Hume wykazał, nie posiada wartości przedmiotowej.

Już odtąd szybkim krokiem staczał się Kant w objęcia fenomenalizmu i subjektywizmu; jeszcze w 1768 r. przyznawał czasowi i przestrzeni istnienie objektywne, ale w dwa lata później w rozprawce: *De mundi sensibilis atque intelligibilis forma et principiis* przyznaje czasowi i przestrzeni istnienie tylko idealne tj. w naszej myśli. Wreszcie pisma jego, po roku 1781 wydane, wprost uniemożliwiają metafizykę jako naukę o istocie rzeczy.

Wykazawszy, że czas i przestrzeń są tylko formami naszego zmysłowego poznawania, i wyszukawszy czyste pojęcia czyli kategorye, na dnie naszego rozumu drzemiące, z góry oświadcza w swej „Krytyce czystego rozumu“, że owe pojęcia tracą wszelką wartość, jeżeli się je chce stosować do rzeczy, do przedmiotów; zewnątrz nas istnieją tylko zjawiska jako podstawa doświadczenia; treść odebranych z nich wrażeń ujęta z jednej strony przez formy czasu i przestrzeni, a z drugiej, w rozumie, zmodelowana przez kategorye, poucza nas co najwyżej o stronie zjawiskowej przedmiotów, ale nigdy o tem, czem przedmiot jest sam w sobie. Rzecz w sobie, jej *noumenou* jest dla nas na zawsze ukryta, nie mamy bowiem sposobu dotarcia do niej, tem więcej, że w gruncie rzeczy poznajemy tylko nasze wyobrażenia, a nie przedmioty same. Stąd pojęcia Boga, duszy, wolnej woli, nieśmiertelności są tylko pojęciami normującemi nasze myślenie, ale nigdy nie da się wykazać, że tym pojęciom odpowiada jakaś rzeczywistość. Wprawdzie rozum praktyczny powinien się wobec powyższych pojęć zachować tak, jakby im odpowiadała rzeczywistość pozapodmiotowa, ale nie dzieje się to na mocy wykazanego przez rozum spekulatywny istnienia przedmiotowego tych bytów, tylko wskutek takiej już organizacyi praktycznego rozumu.

Ta destruktywna dla metafizyki robota Kanta nie zakończyła się z jego śmiercią (1804); zyskał on sobie licznych zwolenników, którzy przyjąwszy zasadnicze dogmaty swego mistrza z Królewca dalej kruszyli kopie przeciw metafizyce. I nie mogło być inaczej. Kto sprawę poznawania ludzkiego w ten sposób postawi, jak to Kant uczynił, mianowicie, że nie rzeczy poznajemy, tylko nasze o nich wyobrażenia, dla tego prawie niepodobną jest rzeczą wyrwać się z zaczarowanego koła subjektywizmu, dla tego metafizyka nigdy nie będzie umiejętnością, bo odebrał sobie możność rozprawiania o istocie rzeczy. Wystarczy też pobieżnie bodaj zaglądnąć do pism nowo-kantystów, aby się przekonać, jaka niechęć przeciwko metafizyce panuje w ich obozie. „Metafizyka jako umiejętność jest niemożliwą“,

wyrokuje Dilthey [1]; „metafizyka jest niedorzecznością", powiada niezgorszy przedstawiciel kantyzmu, Windelband [2]; „metafizyczne hypotezy są narkotykami dla umysłu; otumaniają go zamiast ożywiać i oświecać; niemożliwość metafizyki jako umiejętności jest od czasu transcendentalnej dyalektyki Kanta udowodnioną prawdą", taki aksyomat kantystów stawia Riehl [3]. Powiedzmy krótko: metafizyka jest w mniemaniu kantystów nieużytecznym gratem, przestarzałym, średniowiecznym sposobem myślenia, nienadającym się już do epoki myślenia krytycznego.

Gdy u Niemców krytycyzm Kanta coraz silniejsze zapuszczał korzenie, obejmując jedną po drugiej katedry filozoficzne, i pomału przeradzał się w apokaliptyczne systemy Fichtego, Schellinga i Hegla, tymczasem u praktyczniejszych ich sąsiadów zachodnich kwitnie materyalizm pod nęcącą nazwą: pozytywizmu. Twórca tej nazwy i systemu, August Comte, zastał u swych ziomków dobrze przygotowany grunt pod swą filozofię [4]; pisma Lock'a, przeszczepione na grunt francuski, wydają sensualizm Condillaca; pisma Hume'a podkopały wiarę w byty pozaświatowe i zrodziły Voltaire'a, reszty dokonał gruby materyalizm Magendie'go i Cabanis'a. Doskonale charakteryzuje wspomniany Volkelt sposób zapatrywania się na rzeczy u pozytywistów. „Pozytywiści, powiada on, lękają się, iż runą w przepaść bezdenną, gdy tylko nie czują pod swemi stopami tak zwanego doświadczenia; wszelkie wyjaśnienie i pojmowanie doświadczenia uchodzi u nich za oszukiwanie samego siebie albo za gonienie za wiatrem. Ze skromnością, którejby pozazdrościć można na innych polach, stawiają oni jako wyłączne zadanie filozofii, iżby wiernie oddawała to, co zawiera doświadczenie. Dla nich nie istnieje nawet, jak to przecież się dzieje u nowo-

[1] Wilh. Dilthey: *Einleitung in die Geisteswissenschaften.* Leipzig 1889, str. 512.

[2] Windelband: *Praeludien.* Freiburg im Br. 1884, str. 39.

[3] Aloys Riehl: *Der philosophische Kritizismus und seine Bedeutung für die positive Wissenschaft,* 2 Bd. Theil 2, S. 87 i 119. Przytacza ich Kappes we wspomnianej powyżej broszurze str. 23.

[4] Por. Herm. Gruber S. J.: *August Comte der Begründer des Positivismus.* Freiburg im Br. 1889.

kantystów i Spencera, coś wielkiego Nieznanego, co poza lub ponad doświadczeniem przebywa. Wrażenia i spostrzeżenia są dla nich jedyną i całkowicie zadowalniającą rzeczywistością" [1].

Bez wątpienia, takie postępowanie bardzo dogadza naturze ludzkiej, bo nie wymaga od niej znacznych wysiłków, żmudnej pracy ducha. Adepci tej szumnej filozofii, która wyrugować miała wszystkie inne filozofie i stać się jedyną filozofią ludzkości po wsze czasy, ani chcieli, ani mogli zrozumieć zanurzeni w mrowisku obserwowanych zjawisk, że takie badanie przyrody, jakie oni głosili, może być chyba wstępną pracą dla ludzkiego ducha, który stworzony do czegoś innego, aniżeli do ujarzmiania opornych sił przyrody. Ani zaś dodawać nie potrzeba, że przy takim poglądzie na rzeczy wszystko, co nie dało się ująć pod wagę, miarę i liczbę, wszelkie ideały dawnej ludzkości, poczytano za czczy wymysł marzycielskich i nieproduktywnych głów, a co najwyżej na widok zagadnień metafizycznych ruszano pobłażliwie ramionami i odpowiadano z olimpijskim spokojem: *ignoramus et ignorabimus*. Porzucono dedukcyę jako metodę średniowiecznych myślicieli, a na jej miejscu osadzono indukcyę, jako jedyną metodę, godną męskiego wieku, w jakim się podług Comte'a ma znajdować dzisiejsza ludzkość. Gromadzenie jak największej liczby szczegółów, ich wierne opisanie: oto ideał filozofa. Człowiek z ziemi wzięty, na ziemi żyjący i z niej soki żywotne czerpiący, ku ziemi też jedynie wzrok swój kierować powinien; wszelkie zakusy w krainę pozaświatową, w dziedzinę idei i ideałów są mu surowo wzbronione, gdyż byłoby to powrotem do minionej już na zawsze teologicznej epoki ludzkości.

Gdybyż to zresztą sami tylko zawodowi filozofowie mieli o życiu lub śmierci metafizyki wyrokować, jeszczeby to nie było tak dziwne, bo w najgorszym razie możnaby się pocieszyć słowami Cycerona, iż nie zna takiej niedorzeczności, którejby nie wypowiedział któryś z filozofów; ale na nieszczęście i fizycy, chemicy, biologowie poczęli rzucać swe grudki ziemi na grób

[1] Por. Volkelt dr. w prz. str. 11.

metafizyki. Istnieje siedm zagadek świata, twierdził swego czasu w uczonem gronie Du-Bois-Reymond [1], a to: istota materyi i siły, początek ruchu, powstanie życia, pozornie nieumyślne a jednakże celowe urządzenie świata, powstawanie świadomego wrażenia, rozumne myślenie i wolność woli, a każda z nich jest zagadką metafizyczną. Ponieważ zaś zadanie nauki polega na umiejętnem sprowadzaniu zjawisk świata do ruchu atomów, a z powyższemi zagadnieniami tak postąpić się nie da, przeto wyznać należy z całą otwartością, iż tego rodzaju pytań nigdy rozwiązać nie potrafimy, pozostaną one tem, czem są, wieczną dla nas zagadką. „Ten pyrrhonizm w nowej szacie, ku któremu moja filozofia przyrody zmierza, wielu się będzie nie podobał. Mogą oni sobie poszukać wyjścia na innej drodze, na drodze supranaturalizmu. Tylko niestety, gdzie się zaczyna supranaturalizm, tam ustaje umiejętność".

Że Du-Bois-Reymond natrafił na powyższe zagadki, jest pocieszającym objawem u przyrodnika; że ich wyszukał tak mało, można mu przebaczyć; ale darować mu nie można, że jedynie w ruchu atomów widzi godny nauki sposób rozwiązywania wszelkich zagadnień. W każdym razie dowiedzieliśmy się przynajmniej tyle od niego, że granice poznawania przyrody są zarazem granicami poznawania ludzkiego wogóle, czyli, co się nie da ująć, powąchać, dojrzeć, o to sobie głowy kłopotać nie potrzebujemy. Schodzi to na to samo, co dawno już powiedział sofista Protagoras, że bogi może i są, ale my o nich nic nie wiemy.

Możnaby nie rozwodzić jeremiad nad takiem dobrowolnem zubożeniem ducha ludzkiego, na jakie go skazują pozytywiści, gdyby tego rodzaju pogląd pozostał własnością jakiejś nielicznej garstki, choć i nad tem ubolewaćby należało: ale na nieszczęście idee pozytywistyczne zapuściły bardzo szerokie kręgi, przeniknęły do najniższych warstw, podkopując wiarę w to, co niegdyś dla ludzi było święte i drogie, a szczepiąc natomiast w ich

[1] Du-Bois-Reymond: *Über die Grenzen der Naturerkenntniss.* 1872. Tegoż: *Die sieben Welträthsel.* Rede gehalt. am 8 Iuli 1880.

sercach sceptycyzm i materyalizm. Jest to poniekąd naturalnem zjawiskiem, że idee początkowo na katedrach profesorskich głoszone lub w książkach dla niemieckiej garstki pisane, stają się pomału własnością ogółu. Nauka bowiem posiada swój niezaprzeczony urok, a stąd ludzie choć oddani trosce o chleb powszedni, chętnie nastawiają ucha, aby się dowiedzieć, co też tam się dzieje na Parnasie nauki, jakie są jej ostatnie wyniki, bo one potem posłużą za kompas myślenia i działania. Gdy jeszcze owe wyniki nauki wypadają po myśli zepsutej natury ludzkiej, nielubiącej hamulca na swe namiętności i za leniwej do badania tego, czego zmysłami ująć nie można, to nie dziw, iż takie hasła w lot bywają rozchwytywane. Patrzymy też na skutki pozytywistycznej filozofii: w poezyi zanik wszelkiego idealniejszego porywu, a natomiast rozmiłowanie w lubieżności, w sztuce kult naturalizmu, mamy psychologię bez duszy, grube tomy filozofii religii bezosobowego Boga, słowem, niesłychane obniżenie poziomu myśli ludzkiej. Wydarto za pomocą broszur, ludowych uniwersytetów i prasy niewykształconym masom ludzi wiarę w niebo, jako miejsce rekompensaty za chłód i głód na ziemi znoszone, a wskazano ziemię jako jedyny raj człowieka. To też słyszymy coraz silniejsze i groźniejsze dobijanie się do misy soczewicy, przy której dotąd garstka zasiadała szczęśliwców, a nadciągająca burza społeczna godnie ukoronuje dzieło siania wichrów materyalistycznych i pozytywistycznych poprzez stulecie całe. Zanik ideałów w poezyi i sztuce, w tłumach przerażające zdziczenie obyczajów, brak charakterów coraz większy, w polityce kult pięści silniejszej, nieuczciwość w życiu społecznem, milionowe kradzieże, niechęć do życia, brak ofiarności i poświęcenia się, a natomiast chęć używania najbrudniejszych i najwyuzdańszych rozkoszy i to za wszelką cenę — oto owoc antymetafizycznego poglądu na świat lub też złej metafizyki.

III.

E pur si muove? Tak miał powtarzać Galileusz, gdy go przymuszano do nauczania, iż ziemia stoi, a słońce około niej krąży. I my możemy zawołać do przeciwników metafizyki: *e pur*

si muove? Czemuż się jeszcze porusza? Czemuż żyje, ba rozwija się i mężnieje grożąc, że znów ujmie w przyszłości należne sobie berło królewskie w naukach? Czemuż to umysły wyższe, skoro metafizyka nie ma w sobie posiadać dość soków żywotnych, nie chcą się zamknąć w ciasnych granicach zmysłowego doświadczenia, ale wzrokiem sięgają raz po raz dalej, w dziedzinę pozazmysłową, w krainę metafizyki? „Żadne uszeregowanie dowodów, powiada z polotem G. Lewes, żadne nagromadzenie oznak pogardy, żaden historyczny wykład niepłodności jej wysiłków nie zdołał wykorzenić skłonności do spekulacyi metafizycznej. Jakkolwiek doktryny jej stały się pośmiewiskiem dla wszystkich (z wyjątkiem garstki najmężniejszych), to jednak metoda jej żyje jeszcze, jeszcze popycha do wznawiania poszukiwań i dotąd uwodzi niektórych mężów nauki. Napróżno historya wskazuje jawne niepowodzenie dwudziestu wieków. Metafizycy uznają fakt, lecz odwołują się do historyi po dowód tego, jak trwałą jest namiętność, której żadne niepowodzenie nie może zniszczyć. Stąd też czerpią oni wiarę w zwycięstwo ostateczne. Sprawa, trwająca w sile po całych wiekach porażki, jest sprawą zagrożoną tylko, lecz nie beznadziejną, pobijaną lecz niezwalczoną. Szeregi jej armii mogły się przerzedzić, sztandary pomięte są może i zabłocone, lecz niepokonana energia wybucha na nowo i walka trwa dalej“ [1]. To świadectwo Lewesa metafizyce wydane, jest tem większej wagi, że Lewes jako pozytywista przez długie lata był przeciwnikiem i to jednym z zaciętszych wszelkiej metafizyki. Nie musi więc być tak źle z nią, skoro nawet jej nieprzyjaciele zmuszeni się czują po dojrzalszej rozwadze oddać jej hołd i stanąć w obronie jej praw. Sprzykrzyły się już po prostu w kółko powtarzane nalegania pozytywistów, aby tylko to badać, co zmysłami może być ujęte; materyalizm, rozpierający się przed jakimi 30—40 laty, stracił obecnie wszelki kredyt w nauce; zaś straszne skutki materyalistycznego poglądu na świat

[1] Por. G. Lewes: „Zagadnienia ducha i życia“ w tłum. I. K. Potockiego. Warszawa. 1892. Str. 15.

i życie, owo rozpętanie się namiętności ludzkich w walce o byt, o lepszy, tłuściejszy kąsek przy uczcie życia, owo wreszcie poniżenie natury ludzkiej do prostej maszyny lub kuchni chemicznej wywołują siłą rzeczy coraz żywszą reakcyę w umysłach, tęsknotę za czemś wyższem, szlachetniejszem, za czemś, coby człowieka czyniło lepszym, przywracało mu należne miejsce w hierarchii jestestw, pchają umysły w objęcia metafizyki. To też widzimy metafizykę uprawianą przez tych nawet, na których najmniej liczyć było można. „W naszych czasach, powiada Alfred Fouillée[1], ukazuje się ruch w badaniach metafizycznych, który dalekim jest od samej pogoni za ideałem, jaką prekonizowali *(prêconizé)* Renan i Lange, lecz owszem zajmuje się poszukiwaniem rzeczywistości. Nawet w Niemczech, tym kraju wielkich przygód na polu spekulacyi, usiłował Schopenhauer ugruntować metafizykę na doświadczeniu, lecz na doświadczeniu zarówno wewnętrznem jak i zewnętrznem. Jeżeli Schopenhauer nadużył wyobraźni, jeżeli często podstawiał fantazyę w miejscu doświadczenia, pochodzi to może stąd, iż dość trudno jest zerwać naraz z przeszłością. Jego uczeń, autor filozofii Nieświadomości, w celu zaopatrzenia w etykietę zwodniczą swych spekulacyj możliwie najdowolniejszych, wypisał te słowa jako tytuł swej książki: Wyniki spekulatywne otrzymane za pomocą metody indukcyjnej z nauk przyrodniczych. Wobec tego jednakże, że Hartmann wcale się nie trzymał zapowiedzianej metody, dziwić się nie można, że napisał czystą apokalipsę. Lotze robi w obszerniejszej wierze użytek z doświadczenia w swej metafizyce. Wundt, umysł na wskróś naukowy dochodzi do poglądu na świat, w którym wola zyskała rolę pierwszorzędnego czynnika. W Anglii produkcye metafizyczne są znaczne; przegląd *Mind*, poświęcony w zasadzie psychologii, jest cały przesiąknięty metafizyką... We Francyi Taine, Ravaisson, Renouvier, Vacherot, Gyau i wielu innych wzywało z rozmaitych punktów widzenia i z rozmaitem powo-

[1] Por. Al. Fouillée: *L'avenir de la métaphysique.* Paris. 1900. Str. VIII préface.

dzeniem doświadczenia na pomoc w celu oparcia syntezy ogólnej na analizie bezpośrednich danych świadomości".

Il y a fagots et fagots, powiadają Francuzi; jest metafizyka i metafizyka; lecz choćby ktoś i złą uprawiał metafizykę, jeszcze fakt sam, że tylu wybitne imię w nauce mających ludzi zwraca się chętnie do badań metafizycznych, pokazuje, że metafizyka posiadać musi w sobie wielki zapas sił żywotnych. Gdy do powyższych słów Fouilléego dodamy cały szereg i autorów i pism pochodzących z obozu neoscholastycznego, że wymienimy tylko ważniejszych: Kleutgen, Balmes, Zigliara, Lorenzello, Lepidi, Liberatore, Schiffini, Palmieri, Fougiorgi, Gutberlet, Hagemann, Pesch Tielmann, Commer, Bauemker, Mercier, Nys, Farges i wielu innych, gdy nadto dodamy czasopisma jak *Divus Thomas*, *Revue thomiste*, *Revue néoscholastique*, *Jahrbuch für Philosophie und speculative Theologie*, *Philosophisches Jahrbuch*, *Annales de philosophie chrétienne*, *Revue de philosophie;* z innych zaś obozów Wundta: *Philosophische Studien*, *Archiv für sistematische Philosophie*, *Revue philosophique* przepełnioną artykułami do metafizyki się odnoszącemi: *Revue de métaphysique et de morale*, *Rivista italiana di filosofia* i mnóstwo innych, to nabierzemy chyba przekonania, że metafizyka żyje i rozwija się coraz więcej, a sam ten fakt jej istnienia jest zarazem najlepszym dowodem jej możliwości.

Ten fakt pokazuje zarazem, że metafizyka posiadać musi jakąś bardzo silną podstawę, skoro z jednej strony nie zdołały jej wykorzenić dotychczasowe walki jej przeciwników, a z drugiej umysły prawdziwie naukowe nie tylko nie uczuwają lęku przed tajemnicami metafizyki, lecz owszem silnie przez nie pociągane bywają. Nawet Kanta zadziwiało to zjawisko, że umysł ludzki mimo wszelkie próby odwracania go od badań metafizycznych, pomimo rzekomej bezowocności wszelkich wysiłków w tym kierunku, wciąż przecież do tych pytań powracał i powracać będzie: „Nie można pojąć, powiada on, dlaczego wobec bezustannie się objawiającej bezowocności usiłowań ludzi na polu metafizyki, próżną byłoby rzeczą wołać na nich, aby raz przecież zaprzestali toczyć ten kamień Syzyfowy, gdyby nie to, że interes, jaki

w tem ma rozum, jest najgłębszym z tych, jakie wogóle mieć można“ [1].

Mamy więc nareszcie wyjaśnioną przez Kanta zagadkę, skąd pochodzi owa odporność metafizyki na wszelkie ataki przeciw jej istnieniu wymierzone: nie zaginie ona, póki starczy ludzkiego ducha, który czuje w sobie nieprzezwyciężony, bo przyrodzony popęd do zajmowania się pytaniami metafizycznemi tak, że Schopenhauer śmiało mógł powiedzieć, iż *homo est animal metaphysicum*. Wiemy już teraz, czem sobie tłumaczyć mamy owo ustawiczne dobijanie się przez umysł do bram bytu pozazmysłowego, wiemy już, że to w jego naturze leży, że w nim istnieje głód prawdziwej wiedzy, który na razie może być przyciszony, ale nie może pozostać na zawsze niezaspokojony. Πάντες ἄνθρωποι τοῦ εἰδέναι ὀρέγονται φύσει, powiedział Arystoteles; więc skoro w naturze naszej leży ów bodziec do dociekań metafizycznych, to wykorzenić się on nie da z ludzkiej natury. Jak można na pewien czas nakazać milczenie głodnemu żołądkowi, ale na długo uspokoić go niepodobna, póki mu nie dostarczymy tego, czego potrzebuje, tak i ów, nazwijmy go tak, metafizyczny popęd może na jakiś czas być przytłumiony; roje wrażeń, troski i kłopoty życia mogą odwrócić umysł od zwracania na niego uwagi w celu zaspokojenia jego potrzeb; ale gdy tylko umysł znajdzie się niejako u siebie, poczuje się tem, czem jest, skupi się w sobie i pocznie robić obrachunek z tego, co widział, słyszał, dowiedział się, przedewszystkiem ze swej jaźni, mimowoli zejdzie on na pole czysto metafizyczne.

Atoli każdy popęd, jak nas uczy doświadczenie, posiada i posiadać musi swój przedmiot, ku któremu dąży i przez którego osiągnienie bywa zaspokojony. Zatem i o popędzie metafizycznym to samo powiedzieć należy, iż cel swych pragnień może osiągnąć. Naprożno Kant i jego zwolennicy usiłują w nas wmówić, że popęd metafizyczny jest tylko nieszczęściem dla nas, bo popycha nas w stronę przedmiotu, który nigdy nie będzie

[1] Kant: *Fortschritte der Metaphysik*. Rosenkranz'sche Ausgabe 1. 488. Por. także Kappes dr. w. prz. str. 32 nast.

dosiężony, że νούμενου rzeczy, jej istota, jest nieznanem X dla nas i na zawsze takiem pozostanie. Kant wyobraża sobie rzeczy pod zmysły podpadające na kształt jajka, którego skorupę widzimy, a nie możemy dojrzeć wewnątrz ukrytego żółtka. Zapewne, w wielu razach tak postępujemy; zadawalniamy się pozorami rzeczy, zamiast zejść aż do jej dna; ale też nie zawsze się tak dzieje. Gdy mam przed sobą narysowany na tablicy lub papierze trójkąt, i gdym poznał to wszystko, co o tym trójkącie może być wypowiedziane, to na jakiemże dalszem νούμενον mam śledzić? Wszak widzę trzy przecinające się boki, te boki są z delikatnych cząsteczek kredy, ołówka lub atramentu złożone, są sobie równe, ich kąty = 2R i t. p., i gdzież poza tem ukrywa się tajemnicze żółtko, owo: *Ding an sich?* Pojmuję, co to jest trójkąt, jaka jest istota koła, kwadratu, bytu i t. d., więc nieprawdą jest, jakobyśmy żadnej rzeczy w sobie nie poznawali; poznajemy ich wiele, a różne nauki o to się starają, abyśmy tych rzeczy w sobie poznawali coraz więcej. Wszak nie wszystkie nauki są tylko statystyką i fotografią, iżby się ograniczać miały na proste regestrowanie i wierne opisywanie tego, co pod zmysły podpadło, ale starają się także i o zbadanie ukrytej w zmysłowej szacie zjawiska istoty rzeczy. Zjawiska rzeczy, jej przypadłości, przejawy, nie są tylko jakąś łupinką, pod którą się kryje niedostępny dla nas owoc, ale są wyrazem istoty rzeczy, tak, że podczas gdy zmysły chwytają zjawiskową stronę danej rzeczy, przedziera się umysł poprzez przypadłości i dociera do właściwej istoty rzeczy. „Chociażby nasze poznanie rzeczy w sobie, powiada trafnie dr. Gutberlet[1], było niewiedzieć jak niedoskonałe, coś przecież o niej wypowiedzieć będziemy mogli, przynajmniej jej definicyę. Bynajmniej zaś nie przyjmujemy samowolnie owych transcendentnych przedmiotów, lecz odpowiednio do zjawisk, których one są podstawą. Stosownie do różnicy w zjawiskach musimy także przyjmować różne właściwości ich przyczyn, ich substancyalnych podścielisk. A tak są nam transcendentne przed-

[1] Dr. Coust. Gutberlet: *Logik und Erkenntnisstheorie.* Münster. 1898. Str. 223.

mioty dostatecznie znane, iżbyśmy je nie tylko jako możliwe, ale także jako rzeczywiste pojmowali i abyśmy im nie tylko zupełnie nie określone, ale także więcej szczegółowe własności w sądzie przyznawali". Wspomnieć zresztą nie zawadzi, iż Kant rzeczy w sobie tylko przez dziwną jakąś niekonsekwencyę przyznaje przedmiotowe istnienie. W myśl bowiem Kanta o istnieniu „rzeczy w sobie" dowiadujemy się jedynie zapomocą wnioskowania na prawie przyczyności oparci. Lecz samoż to prawo przyczynowości jest według Kanta tylko zasadą regulującą nasze myślenie, nie ma więc przedmiotowej wartości; ponieważ dalej w myśl Kanta nie rzeczy poznajemy, tylko nasze wyobrażenia, zatem i wywnioskowana na mocy prawa przyczynowości z wyobrażeń rzecz w sobie może istnieć o tyle, o ile jest postulatem mego myślenia, ale nie jako byt transcendentny. Lecz to właśnie twierdzenie, iż poznajemy nie rzeczy, lecz nasze o nich wyobrażenia, jest owem ἀληθινὸν ψεῦδος, które zrodziło system Kanta, a równocześnie jest jego Achillesową piętą. Kant wnioskuje: ponieważ do poznania rzeczy potrzebne jest jej wyobrażenie, przeto nie rzecz poznajemy, tylko nasze o niej wyobrażenie. Ależ na zasadzie takiego wnioskowania możnaby śmiało twierdzić, iż skoro do grania na organach potrzebne są miechy, to miechy grają. Aby poznać własne wyobrażenie, musimy je uczynić namysłowo przedmiotem poznania; zaś w zwykłym rzeczy porządku, gdy spoglądam na jakiś przedmiot, o wyobrażeniu zgoła nic nie wiem i nie widzę go wcale, tylko widzę przedmiot taki lub owaki.

Pokazuje się z tego wszystkiego, że Kant i jego zwolennicy tylko przez popełnienie całego szeregu jeżeli już nie sofizmatów, to przynajmniej paralogizmów mogli zawyrokować, że metafizyka jest niemożliwą, bo nigdy nie dojdzie do poznania rzeczy w sobie. Jakto, możemy ich zapytać, więc każdy popęd może być wcześniej lub później urzeczywistniony, może osiągnąć swój przedmiot i być przez to zaspokojony, a tylko najszlachetniejszy z pośród nich, popęd do wiedzy, popęd do poznania prawdy, która jest pokarmem umysłu, nie miałby być nigdy zaspokojony? Więc umysł ludzki wciąż uganiać ma tylko za

błędnemi ognikami, które go wabią i nęcą ku sobie, aby go w końcu wciągnąć w bagno zwątpienia? Miałby natenczas słuszność Pliniusz, gdy pisał: „Człowiek jest istotą pełną sprzeczności, najnieszczęśliwszem ze wszystkich stworzeń, bo żadne inne stworzenie nie posiada potrzeb i pragnień, któreby nie mogły być zaspokojone. Jego natura jest samem kłamstwem, największą nędzą w parze z największą pychą“ (Hist. nat. II. 7).

Ale na szczęście tak źle nigdy nie było i nie jest. Ów rzekomy tragizm natury ludzkiej istnieje chyba w wyobraźni kantystów; w rzeczywistości zaś, gdy bierzemy człowieka takim, jakim jest, rzecz ma się nieco inaczej. Człowiek nietylko może znaleźć, ale faktycznie znalazł odpowiedź na niejedno zagadnienie metafizyczne. Wszak przekonanie o istnieniu Bóstwa, o nieśmiertelności ludzkiej duszy, jej duchowości i wolności woli, o różnicy istniejącej między złem a dobrem, o potrzebie unikania pierwszego a czynienia drugiego i t. d. nie od dziś dopiero stało się własnością rodzaju ludzkiego. Jeżeli zaś ten i ów myśliciel gardzi dorobkiem swych poprzedników i rozpoczyna *ab ovo* szukać tego, co dawno inni znaleźli, i sądzi w swej pysze, że dopiero od jego rozwiązania sprawy zawisł byt i szczęście ludzkości, to takiej pychy jednostek nie można kłaść na karb natury ludzkiej jako takiej, tem zaś samem nie można narzekać, że jest skazana na męki Tantala, bo czuje głód wiedzy, a nigdy zaspokoić go nie może. Od takich dyagnostów i lekarzy natury ludzkiej, jak Kant, strzedz się należy, bo w fałszywem świetle jej symptomy przedstawiają.

W rzeczywistości bowiem człowiek bez jakiejś metafizyki obejść się nie może, powiemy więcej, bez metafizyki nie jest człowiek całym człowiekiem. Może ktoś nie znać nawet jej nazwiska, nie wiedzieć zgoła, co to za nauka, ale zdrowy jego rozum szukać będzie rozwiązania przynajmniej tych pytań: skąd się wziąłem na tej ziemi? poco istnieję? dokąd mam zdążać? jaki mój cel ostateczny? I jak długo człowiek nie znajdzie odpowiedzi na te pytania, odpowiedzi jasnej i stanowczej, tak długo życia jego nie można nazwać uporządkowanem, bo dopiero znajomość ostatecznego celu rzuci należyte światło na

wszystkie jego sprawy, będzie mu gwiazdą przewodnią w pielgrzymce życia. Rozumiemy teraz, dlaczego Stagiryta mógł powiedzieć o metafizyce: „Dla bezpośrednich praktycznych potrzeb życia mogą wszelkie inne umiejętności być potrzebniejsze, żadna jednakże nie jest od metafizyki lepszą“ (Met. A, 2 p. 983 a 10).

Stąd pokazuje się atoli, jak ścisły istnieje związek między metafizyką a etyką. Nie omylimy się twierdząc, że bez metafizyki jest niemożliwa etyka. Napróżno usiłują francuscy nowokantyści (Renouvier, Pillou, Lecquier, Secrétan i inni) wysunąć etykę na pierwszy plan i uczynić ją niezależną od metafizyki; napróżno wynoszą rozum praktyczny z jego postulatami ponad rozum spekulatywny, bo czynić dobrze można tylko wtenczas, jeżeli się już z góry wie, które to czyny są dobre, a które złe, czyli jeżeli się posiada ustaloną normę moralności. Lecz prócz normy potrzebna i sankcya, gdyż tak zwana niezależna moralność Benthama, Stuarta Milla, Spencera i t. d. jest dobra dla tych, co mają zdrowie i stół obfity, ale nie dla tych, co głód cierpią, albo wystawieni są na pokusy silne z przyświecającą im nadzieją bezkarności. A jeżeli do moralności potrzebna sankcya, to musi być znany i ten, co sankcyi udziela, prawodawca. Człowiek nim być nie może dla samego siebie, bo wówczas zamiast etyki mielibyśmy religię egoizmu; nie mogą być nim inni ludzie (państwo), bo pomijając inne niedostatki, prócz działania zewnętrznego, posiadamy nadto myśli, pragnienia i żądze, a o tych *non iudicat praetor*. Może więc onym prawodawcą moralności być tylko Ten, od którego cały nasz byt pochodzi, Ten, który w nas samych pozostawił jakby swego zastępcę, sumienie, które nasze czyny pochwala lub gani, które nas pociesza lub jak robak najjadowitszy gryzie. A właśnie wykazywanie istnienia Boga i określenie naszego stosunku do Niego należy do najszczytniejszych zajęć metafizyki. To też na zarzut, że metafizyka jest nauką nieużyteczną. bo nieproduktywną, odpowiedzieć należy, że jej wielkość i zasługa nie w tem spoczywa, iżby robiła wynalazki, bo od tego są inne nauki, ale w tem, że nadaje właściwy cel ludzkiemu życiu, uszla-

chetnia człowieka, podnosi ponad ziemię, zbliża do jego Stwórcy, udoskonala ową przednią część człowieka: jego nieśmiertelnego ducha. Gdzie więc brak jasnego i stanowczego poglądu na cel ostateczny, gdzie niemasz metafizyki lub jest zła metafizyka, tam ludzie kierować się mogą chyba zasadą pogańskiego wieszcza: *carpe diem,* tam braknie charakterów z jednego ulanych kruszcu, charakterów, posiadających jednostajne a wybitne rysy. Ta zaś zawisłość etyki od metafizyki pokazuje najlepiej, jak niezbędną umiejętnością jest metafizyka.

Gdy zaś zwrócimy naszą uwagę w stronę tych, co to wrzekomo w imię godności nauki powstają przeciwko metafizyce, to przedewszystkiem zauważyć musimy w takiem postępowaniu nauk grubą niewdzięczność względem swej dobrodziejki, filozofii, której metafizyka jest podwaliną. Wszystkie one tuliły się niegdyś jak pisklęta pod skrzydłami kokoszy pod jej płaszczem, ogrzewały się jej ciepłem, rosły pod bacznem jej i troskliwem okiem. I dopiero gdy pod jej dobroczynnem tchnieniem się rozrosły, iż poczęły stać o własnych siłach, przychodzi im ochota zapomnieć o swej wspólnej kolebce i macierzy, a nawet przeciw tej ostatniej się buntować. Ale też za karę dzieje się z niemi to, co często zauważyć można u maleńkich dziatek, które zaufane w swe siły gwałtem wydzierają się z rąk matki, aby biegnąć bez jej pomocy: raz po raz krnąbrny malec pada i zmuszony płaczem przyzywa odtrąconą matkę, aby się podnieść z upadku. To też śmiało powiedzieć możemy, że każda gałąź wiedzy ludzkiej o tyle na miano wiedzy zasługuje, ile w niej filozoficznego elementu. Którąkolwiek z nich weźmiemy na uwagę, przekonać się będziemy mogli naocznie, że żadna z nich nie zadowolni się prostem nagromadzeniem faktów, ale każda usiłować będzie zauważone zjawiska wyjaśnić, odkryć prawa danej grupy zjawisk, zbadać ich domniemaną lub rzeczywistą przyczynę, czyli raz po raz wychodzić będzie poza obręb doświadczenia, przyzywać będzie pomocy swej macierzy-filozofii. Któraż nauka nie posiada swych hypotez, teoryj, owych dedukcyj z uzyskanego doświadczeniem materyału? „Możnaby aż do oczywistości

wykazać, powiada Volkelt[1], że empiryczne umiejętności nawet co do swych najściślejszych i najbardziej uznawanych twierdzeń krok w krok przekraczają doświadczenie i dodają do niego mnóstwo absolutnie nie z doświadczenia wziętych czynników; co więcej, możnaby wykazać, iż ściśle rzecz biorąc, każdy akt myślny, każdy sąd rzeczywisty zawiera w sobie daleko więcej, aniżeli proste fakta doświadczenia, lecz że owszem w każdym choćby najprostszym akcie myślenia lub sądzie obok tego, co doświadczeniem dane, i to bywa pomyślane lub utrzymywane, czegobyśmy napróżno szukali we wrażeniu, spostrzeżeniu albo we wnętrznem doświadczeniu. Niemasz aktu myślnego czy to w umiejętnościach empirycznych, czy też w życiu codziennem, któryby nie służył do tego, aby za jego pomocą przez porównywanie i analogię pomyśleć to, co absolutnie z doświadczenia nie może być wzięte". Słuszne są te uwagi Volkelta. Nauka bowiem każda o tyle posiada wartość wiedzy, o ile dochodzi do ogólnych prawd i praw, będących wyrazem stałego sposobu objawiania swej działalności u badanych przedmiotów. Stąd to psycholog nie rozprawia o tej lub owej duszy, lecz o duszy ludzkiej wogóle; mineralog bada ogólne prawa krystalizacyi; botanik nietylko tą i ową zajmie się roślinką, ale badać będzie naturę rośliny wogóle. Słowem, każda nauka, chociaż w początkowem stadyum badania swego przedmiotu opierać się musi na jakichś szczegółach, to jednakże na nich nie poprzestaje, ale posuwa się dalej, wzywa na pomoc abstrakcyę, tworzy typ, dąży do ogólnych pojęć. Można w tym względzie przyrównać rozum ludzki do turysty, który wspina się na coraz wyższe szczyty, aby z ich wyżyn nacieszyć oko widokiem rozległego i pięknego krajobrazu. Jak długo turysta znajduje się na równinie, to horyzont jego w porównaniu z tym, jaki mu się przedstawi z wierzchołka góry, będzie stosunkowo niewielki; w miarę wspinania się ku szczytowi, uzyskuje turysta coraz rozleglejszy widok. Tak i z rozumem ma się rzecz; jak długo człowiek zbiera

[1] Por. Volkelt dr. w. prz. str. 21. Por. także Herbart: *Allgemeine Metaphysik.* Leipzig 1884, II. Th. S. 14.

spostrzeżenie za spostrzeżeniem, tak długo stąpa niejako po równinie; posiada wiadomości, ale te wiadomości nieujęte w ramy jednego widnokręgu przedstawiają się jako kupa luźnego materyału, z którego dopiero zdolny architekt ma wybudować wspaniały pałac. Dopiero gdy umysł podniesie się wyżej, gdy pominie jednostkowe cechy, a skupi znamiona istotne badanych przedmiotów, gdy utworzy ogólne pojęcie na podstawie zauważonych szczegółów, i zbada prawa tego idealnego typu, uzyskuje ogólniejszy, rozleglejszy widok, w którego ramach zmieścić się może niezmierzona liczba szczegółów. Pokazuje to z jednej strony, jak niedorzeczne jest żądanie pozytywistów, aby się ślepo trzymać deski doświadczenia i ani na włos nie wychylać się poza jej szerokość, a z drugiej, jak konieczną nauką jest metafizyka. Nie postępuje ona bowiem inaczej, jak którakolwiek inna umiejętność. Tak samo jak one dążą zapomocą abstrakcyi z przystępnych doświadczeniu szczegółów do ogólnych pojęć, do ogólnych praw i rezultatów, dąży i metafizyka przez stosowanie do najdalszych granic posuniętej abstrakcyi, do uzyskania najogólniejszych i nieodmiennych praw nietylko tego lub owego typu, tego lub owego rodzaju bytowania, ale wszelkiego bytu, wszelkiego stawania się. Każda przytem nauka ma swój przedmiot właściwy, swe zasady, któremi się kieruje przy badaniu tegoż przedmiotu. Lecz na dnie tych szczegółowych zasad i pewników spoczywają pewne najogólniejsze zasady, że wspomnimy prawo przyczynowości, prawo racyi czyli wystarczającego powodu, prawo tożsamości i sprzeczności, do których bezwzględnie każda umiejętność stosować się musi. Czyż więc niema być nauki, któraby zdała sprawę z owych zasad, będących najwyższemi prawami i normami zarówno rozumu praktycznego, jak teoretycznego?

Każda przytem nauka bada, jak to dobrze zauważył Arystoteles, cząstkę tylko jakąś bytu. Fizyk np. zajmuje się ciałami, bada ich własności, siły i t. p., ale nie zadaje sobie wcale pytania, co to jest materya, z której są zbudowane ciała, co to siła, co ruch. Matematyk tworzy sobie wielkości, stosunki ilościowe, posługuje się co chwila wyrazami: przestrzeń, czas,

liczba i t. p., a czyż dał odpowiedź na to, co to czas, co przestrzeń? Fizyolog bada wszelkie choćby najdrobniejsze objawy życia, zna funkcye każdego gruczołu lub tkanki i nerwu, ale pytanie: skąd się wzięło życie? pozostawia nietknięte. Człowiekiem tyle zajmuje się umiejętności: antropologia, fizyologia, anatomia, psychofizyka i t. d., a czyż nie będzie żadnej, któraby się pokusiła o odpowiedź najwięcej człowieka obchodzącą: skąd wyszedł? dokąd ma dążyć? To też metafizyka, która zajmuje się rozstrzygnięciem tak doniosłych pytań, która więc nietylko tym lub owym zajmuje się bytem szczegółowym, ale bytem najogólniej pojętym, i to nie pod tym lub owym szczegółowym względem, ale znów pod względem najogólniejszym tak, że przez nią wskazane prawa najogólniejsze bytu o każdej rzeczy wypowiedziane być mogą, i wszelkie stawanie się do nich stosować się musi, słusznie przez Arystotelesa nazwaną została „pierwszą filozofią", zasłużyła w całej pełni na nazwę królowej nauk.

Jeżeli zresztą kiedy, to w naszych czasach, w czasach posuniętej do nieznanych przedtem rozmiarów specyalizacyi w dziedzinie umiejętności ludzkich, objawia się tem większa konieczność nauki, któraby w swych rękach umiała skupić nici przewodnie tych umiejętności, a przynajmniej nie pozwoliła zagubić się człowiekowi w drobiazgach ze stratą ogólniejszego na świat poglądu. Nie myślimy przeczyć, że rozdrabnianie wiedzy ludzkiej na coraz mniejsze ułamki ma swą dobrą i korzystną stronę, bo pozwala podpatrywać przyrodę w najdrobniejszych nawet szczegółach; ale też z drugiej strony ma tę niedogodność, że oddzielne nauki tracą coraz więcej z oka całość i stają się sobie obce. Cóż zaś za korzyść wyniknęłaby stąd, gdyby każde kółko i kółeczko maszyny zegarowej przez osobnego było wykonane pracownika, a nie byłoby nikogo, ktoby je umiał dostroić, i zrobić z nich pożyteczną całość? Niech więc specyalizują się nauki, niech wydzierają przyrodzie tajemnicę za tajemnicą, niech każda dokłada swe cegiełki do podniesienia dobrobytu ludzkości, niech tylko żadna specyalna nauka nie uważa się w swej ciasnocie i specyalności za całość nauki, za wszystkość wiedzy ludzkiej;

owszem niech każda umiejętność specyalna zaznacza raz po raz tem większą potrzebę nauki, któraby orlim lotem szybowała ponad ciężbę drobiazgowych badań wskazując człowiekowi cel godny jego nieśmiertelnego ducha. A nie trzeba sądzić, że wystarczy zestawić mechanicznie wyniki rozmaitych odłamów i ułamków ludzkiej wiedzy, aby tem samem osiągnąć właściwy pogląd na wszechświat i stanowisko człowieka w nim. Kto tak mniema, zapomina, że rezultaty nauk pozostają z sobą nieraz w dość rażącej sprzeczności. Jeżeliby więc takie dodanie rezultatów oddzielnych nauk miało dać pogląd na całość stosunków świata i człowieka, to wprzódy musiałby się znaleźć ktoś, coby owe rezultaty umiał zestawić, należycie je przetrząsnął, oddzielając starannie szczere złoto prawdy od osobistych dodatków badaczy przyrody, a taka praca nie jest pracą ornitologa, fizyka lub chemika, tylko metafizyka.

Ks. dr. Franciszek Gabryl.

DZIEŃ ŚMIERCI CHRYSTUSOWEJ.

Einleitung in die Chronologie. Von *Dr. B. M. Lersch.* 2. Auflage.

Do prawd, zgodnie rozumianych w czasach najdawniejszych, a dziś rozszarpanych różnorodnym wykładem, należy wypadek dziejowy, że Chrystus Pan umarł przed wiekami niespełna dziewiętnastoma. Ledwo to ogólnikowe określenie ocalało do dziś w powodzi pism, które usiłują w przeróżnych latach stulecia 0 (pierwszego w mowie potocznej) pokazać dzień śmierci Chrystusowej, i sprawę tak zawikłały, że już nowsze dzieła chronologiczne rzadko kiedy śmieją orzec coś stanowczego w tej mierze.

Do wyjątków pod tym względem należy wymienione w nagłówku dzieło d-ra Lerscha, wspomniane już poprzednio [1], a niezwykle przydatne dla badaczy prawdy co do dnia śmierci Chrystusowej, bo jak pod wielu innemi względami, tak nie prześcignął nikt d-ra Lerscha w przystępnych wskazówkach, jak szukać w biegu lat ubiegłych dnia opisowo tylko zaznaczonego w pomnikach dziejowych, ale nie wymienionego datą wyraźną.

Nie o to idzie w niniejszej pracy, aby nowym domysłem zwiększyć plon pięknych kwiatów i brzydkich chwastów zbieranych na tej niwie bez żadnego owocu; wystarczy tu w świetle

[1] *Przegląd Powszechny.* „Wskazówki chronologiczne do ery Chrystusowej", styczeń 1901, str. 12.

przewodniem, zaczerpniętem z dzieła Lerscha, zwrócić uwagę na świadectwa samych Ewangelij, jasno rozumiane przez chrześcijan jeszcze zgodnych ze sobą: a sam czytelnik osądzi, czy nad rokiem i dniem śmierci Chrystusowej potrzebują zalegać mgły niepewności, w jakich prawda zasypia u wielu nowszych badaczy.

Aby jaśniej zdać sprawę ze świadectwa dawnych wieków, można obecnie rozstrząsnąć ich wskazówki, które określają sam dzień męki i śmierci Chrystusowej, a następnie rozpatrzyć, w którym roku ery chrześcijańskiej znajdziemy dzień, określony temi wskazówkami.

O dniu męki Chrystusowej piszą ewangeliści tak dokładnie, że dziwić może spór wywołany przez słowa w ewangelii jakoby dwuznaczne i sprzeczne jedne z drugiemi. Wypada tedy naprzód dosłownie przytoczyć ustępy, które rozstrzygają sprawę.

Św. Mateusz opowiada (XXVI, 17): „W piérwszy tedy dzień przaśników.. uczniowie.. zgotowali Pascha.. gdy był wieczór. Judasz.. Go wydał.. A gdy było rano,.. przywiedli Go Pontiuszowi Piłatowi.. A od szóstéj godziny stała się ćiemność po wszystkiéy źiemi aż do dźiewiątéy godźiny.. A około dźiewiętéy godziny.. Iezus.. wypuśćił ducha.. A gdy był wieczór,.. Ioseph.. ćiało.. położył w.. grobie.. A nazajutrz, który jest dźień po przygotowańiu.. obwarowali grób".

Zgodnie Marek (XIV, 12): „Y piérwszego dnia Przaśników, gdy Paschę ofiarowali,.. uczniowie.. nagotowali Paschę,.. gdy był wieczór.. Y wnet rano.. Iezusa wiedli y podali Piłatowi.. A dźiewiątéy godziny Iezus skonał.. A gdy już był wieczór (abowiem był dźień przygotowaniá, który jest przed szabbatem).. Ioseph.. położył Go w grobie".

Zarówno Łukasz (XXII, 7): „Y przyszedł dźień przaśników, którego było potrzeba zabić Paschę. Y posłał Piotra y Iana, mówiąc: szedszy zgotuycie nam Paschę.. y zgotowali Paschę.. Y rzekł im: pożądańiem pożądałem pożywać téy Paschy z wami, piérwéy niżbym ćiérpiał.. A gdy był dźień,.. wiedli Go do Piłata.. Y potrzeba mu było wypuścić im iednego na święto. Y zawołała społem wszytka rzesza, mówiąc: strać tego.. Y zać-

miło się słońce.. A Iezus skonał.. A Ioseph położył Go w grobie.. A był dzień przygotowania y szabat nastawał".

Nakoniec Jan (XIII, 1): „Przededniem świętym Paschy.. Iezus odprawiwszy wieczerzę.. wyszedł,.. kędy był ogród.. y służebnicy żydowscy poimali Iezusa.. Przywiedli tedy Iezusa od Kaifasza na ratusz. A było rano: y sami nie weszli na ratusz, aby się nie zmazali, ale iżby pożywali Paschy.. A był dzień przygotowania Paschy, godzina jakoby szósta.. Żydowie tedy, (ponieważ był dzień przygotowania,) aby na szabat nie zostały ciała na krzyżu, (abowiem był wielki on dzień szabatu,) prosili Piłata, aby połamano goleni ich.. A na mieyscu.. był ogród.. Tam tedy, dla przygotowania żydowskiego, iż grób był blizko, położyli Iezusa".

Czy w tych słowach ewangeliści istotnie sprawiają wrażenie, jakoby nie wiedzieli dobrze co piszą, czy w rzeczywistości jedni drugich zbijają, a wszystkich dopiero poprawia ostatni Jan?

Aby upatrzyć przeciwieństwa pomiędzy ewangelistami, trzeba chyba przekręcić ich słowa. Niejeden też pisarz mimowolnie przekręcił daty, bo zapomniał, że czyta wypadek nie rozdzielony przez ewangelistów na dwie doby, — na koniec naszego czwartku i ranek nasz piątkowy, — ale umieszczony w ciągu jednej doby, którą ewangeliści po żydowsku zaczynają od wieczora w nasz czwartek i kończą przed wieczorem w nasz piątek. Jak Mojżesz w księdze Rodzaju i jak do dziś dnia Żydzi przy obchodach świąt, tak ewangeliści w przeciągu doby liczą pierwej wieczór i noc, a potem ranek i dzień: więc opisują, że w ciągu doby piątkowej Chrystus wieczorem spożył Paschę, w nocy zdradzony począł cierpieć, rano stanął przed Piłatem, po południu skonał, a Józef spieszył pogrzebać Jego ciało, nimby zapadł szabas.

Doba ta nosi nazwę „Przygotowania" u wszystkich ewangelistów, nadto u Jana zachodzi pod nazwą „Przedednia święta Paschy", a u innych ewangelistów ma jeszcze inną nazwę: „pierwszego dnia Przaśników".

Równoznaczne te nazwy pochodzą z Mojżeszowego Zakonu i przepisów paschalnych. Czytamy (II. Mojż. XII, 1): „Rzekł też

Pan do Moyżesza y Aarona w ziemi Egyptskiéy: ten mieśiąc wam początkiem mieśiąców; piérwszym będźie między miesiącami roku.. Dźieśiątego dnia tego mieśiąca niech weźmie każdy baranka.. Y będźiećie go chować aż do cztérnastego dńia mieśiąca tego, y ofiaruie go wszytko zgromadzenie synów Izraelowych ku wieczorowi.. Y będą ieść mięso iego onéy nocy.. a będźiećie ieść śpieszno, bo iest Phase (to iest przeszćie) Pańskie: Siedm dni przaśniki ieść będźiecie: piérwszego dńia nie będźie kwasu w domiech waszych: ktoby iadł kwaszone, zginie dusza ona z Izraela: od piérwszego dnia aż do dnia siódmego... Piérwszego mieśiąca czternastego dnia mieśiąca ku wieczorowi będźiecie ieść przaśniki, aż do dnia dwudziestego piérwszego tegoż mieśiąca ku wieczorowi. Przez śiedm dni nie naydźie śię kwas w domiech waszych". Także (III. Mojż. XXIII, 5): „Mieśiąca piérwszego cztérnastego dnia mieśiąca ku wieczorowi Phaze Pańskie iest. A piętnastego dnia tego księżyca wielkie święto Przaśników iest Panu. Śiedm dni przaśniki ieść będźiecie. Dźień piérwszy będźie wam przechwalebny y święty; żadnéy roboty służebniczey weń robić nie będźiecie, ale ofiarować będźiećie ofiarę w ogńiu Panu przez śiedm dni, a dźień śiódmy będzie chwalebnieyszy y świętszy". I znowu wyraźnie (IV. Mojż. XXVIII, 16): „A mieśiąca piérwszego, cztérnastego dnia mieśiąca, Phase Pańskie będźie. A piętnastego dnia uroczyste święto".

Te przepisy Mojżeszowe wyraźnie wymieniają pierwszy dzień przaśników a 14-y dzień miesiąca pierwszego, dziś zwanego Nizan. Dzień ten nosi także nazwę pełni, bo 14-y dzień widzialnego księżyca po nowiu przeciętnie upływa w czasie astronomicznej przeciwległości, chociaż może przypaść w dzień poprzedni albo następny po pełni astronomicznej. Temu dniowi także trzej ewangeliści dają Mojżeszową nazwę „pierwszego dnia Przaśników". Mojżesz nazywa ten dzień także Phaze (*Péçah* albo Pascha), a nie poczytuje tego dnia za święto: dopiero „15-go dnia uroczyste święto". Zgodnie z Mojżeszem Jan wymienia tenże dzień 14-y jako „przeddzień święta Paschy" i używa dla niego nazwy, którą i inni podają: Przygotowanie (Παρασκεύη). Zatem już w tym dniu 14-ym Nizan albo pełni nie

nalazł „się kwas w domiech“ Izraela, ale jeszcze pracować było wolno. Żydzi dzisiejsi świątkują już w tym dniu, więc mają dwa dni świąt z początku tygodnia i znowu dwa na końcu, zamiast jednego, bo mówią, że nie wiedzą punktualnie, kiedy mają święcić właściwie. Odkąd Żydzi zaczęli podwajać swoje święta, o tem Lersch nie wspomina.

Aby zrozumieć dokładnie przepis Mojżeszowy, trzeba zdać sprawę jeszcze ze słów: „miesiąca piérwszego, Phase Pańskie będźie“.

Żydowski kalendarz nazywa inny przeciąg czasu miesiącem, niż nazywał kalendarz egipski i rzymski Juliusza Cezara, a potem chrześcijański. U nas miesiąc stanowi część mniej więcej 12-ą roku słonecznego a wcale nie zależy od zmian księżyca: żydowski kalendarz nazywa miesiącem przeciąg czasu od jednego nowiu do drugiego. W chwili, kiedy widnieje cienki sierp księżyca na nowiu, Żydzi liczą pierwszą dobę miesiąca i mają miesiące z 29-ciu dni albo z 30-u aż do doby, w której znowu dojrzą księżyc na nowiu.

Tu trzeba wspomnieć, że obieg księżyca naokoło ziemi nie zawsze trwa jednakowo: liczy dni 29 całych i nadto godzin czasem kilka, czasem kilkanaście. Otóż czasem na początku albo w środku doby widać nowy księżyc, a czasem dopiero przy końcu doby. W pierwszym razie po upływie całych dni 29-ciu (włącznie z 1-ym) widać już drugi raz księżyc na nowiu w środku doby 30-ej albo przy jej końcu: tedy Żydzi kończą swój miesiąc już z dobą 29-ą i zaczynają nowy miesiąc z dobą następną. Ale jeżeli nowy księżyc widać dopiero przy końcu doby pierwszej, w tym razie po upływie dopiero całych dni 30-u (włącznie z 1-ym) widnieje nowy księżyc na nowiu z początkiem doby 31-ej: tedy Żydzi kończą swój miesiąc dopiero z dobą 30-ą i zaczynają nowy miesiąc z dobą następną. Stąd to pochodzi u nich różnica między miesiącami jednemi o 29-ciu dniach, drugiemi o 30-u dniach. Nów widzialny w ciągu doby 30-ej po nowiu poprzednim nosił u nich nazwę prawidłowego albo właściwego, nów widzialny w ciągu doby 31-ej uchodził za nieprawidłowy.

Cały bieg nabożeństw i nieomal cały tok pracy codziennej zależał u Żydów od ich kalendarza, zatem od zmian księżyca: więc znać dokładnie pierwszy dzień od nowiu stanowiło dla nich obowiązek pierwszorzędny. Nietylko w czasach najdawniejszych, ale nawet po niewoli babilońskiej, niezadowolnieni pracą astronomów chaldejskich i tablicami nowiów, (wspomnianemi poprzednio w *Przeglądzie,*) Żydzi śledzili zmiany księżyca w sposób bardzo mozolny, opisany dokładnie przez rabina Mojżesza ben Maimonides, a streszczony u Lerscha i u Dyonizego Pètau[1]. Z tego opisu wiemy, że nie byle kto, tylko sami członkowie Wysokiej Rady (Συνέδριον) z urzędu śledzili stan nieba i tylko wyrok Wysokiej Rady obowiązywał wszystkich Żydów nieodwołalnie, bo z jej ust padały słowa drogie, jak trzos złota, albo jak z kości słoniowej wytoczony filar prawdy, a wszystkie inne bóżnice na ziemi izraelskiej i wszyscy rabini na świecie znaczą tylko tyle, co jeden pierścionek na palcu jednego członka Rady Wysokiej. Jeszcze za dni mędrców Miszny (wiek 2-i po Chr. P.) i za dni mędrców Gemary aż do dni Abji i Raby (wiek 6-y) rozproszeni Żydzi czytali dnie święte w wyroku z ziemi izraelskiej. A wyrok zapadał w ten sposób: trzydziestej nocy po nowiu ostatnim wszyscy członkowie Wysokiej Rady zasiadali w otwartem polu; trzymali na kolanach rozłożone księgi a oczyma wodzili po niebie pogodnem, czy nie dojrzą księżyca nowego. Tak śledzili niebo przez całą noc, póki księżyca nie dostrzegli, albo póki chmury nie obciągnęły nieba nad całą okolicą Jerozolimy. Jeżeli chmury zasłoniły widnokrąg, tedy Rada słała w okolice przygotowanych mężów, świadków wiernych, na zwiady, czy w dalszych okolicach na pogodnem niebie nie błyśnie nowy sierp księżyca. A słali na zwiady tylko wiernych świadków: nie mogli słać, jak tylko wybranych mężów w Izraelu. Wybrany mąż nie mógł być posłany krótko słowami: idź na zwiady; przechowywane w długich rozdziałach talmudu przepisy wskazują, jak Wysoka Rada przygotowywała wybranego męża, aby godnie mógł złożyć poważne świadectwo. A kiedy wybrany świadek

[1] Migne, *P. G.* XLII, 950.

ruszył na zwiady, Rada czekała, aż wróci i co odpowie. Kiedy wracał świadek z odpowiedzią, że własnemi oczyma dojrzał księżyc na nowiu, tedy Rada ogłaszała wyrok, że stary miesiąc już przeszedł i upływa pierwsza doba miesiąca nowego. I wyrok Rady leciał pędem do przełożonych bóżnic po całym kraju, wszędzie na wzgórzach czekały stosy chróstu suchego, które zapalane zaraz wkoło Jerozolimy dawały znak innym czatom, i coraz dalej leciał wyrok Rady a kapłani ludowi głosili trąbami, że już ubiega pierwsza doba nowego miesiąca.

A kiedy żaden świadek nie widział nowiu, choćby dla tego, iż także w okolicy chmury zasłaniały widnokrąg dokoła, tedy Wysoka Rada orzekała, że owa trzydziesta noc po nowiu ostatnim nie rozpoczyna jeszcze nowego miesiąca, tylko że upływa jeszcze miesiąc nieprawidłowy o 30-tu dniach, a dopiero następna noc, 31-a od nowiu, rozpocznie miesiąc nowy. Ale gdyby w cztery albo pięć dni po wyroku przybyli z dalszych stron wiarogodni Żydzi i zapewnili, że w ich okolicy widać było nów w swoim czasie, to jest w nocy trzydziestej, tedy Wysoka Rada musiała przystąpić do śledztwa: poważnie rozpatrywała sprawę i długo badała prawdę, aż ją odkryła; wtedy odwoływała poprzedni wyrok i zaczynała liczyć pierwszy dzień nowego miesiąca w tym dniu, na który wypadłby ostatni dzień starego miesiąca, gdyż świadkowie widzieli nów w czasie właściwym. Tym sposobem Rada nieustannie stała na czujnej straży, aby kolej miesięcy i lat szła porządkiem, jakiego wymagają wskazówki i znaki czasu na niebie.

Nie powinna nas dziwić ta troska Żydów o nów, bo dzień ten, — jak wspomniano, — przewodniczył im w całym toku ich spraw codziennych i obowiązków religijnych, uchodził nawet za rodzaj święta. Więc księga Judyty (VIII, 6) wspomina, że ta pogromczyni wojsk chaldejskich szukała pomocy z niebios przez post ustawiczny i każdodzienny, z wyjątkiem przedednia szabasu i szabasu, przedednia nowiu i nowiu, dni świętych i dni pamiątkowych domu Izraelowego. Otóż ta troska prawowiernych Żydów o dzień nowiu powinna była uspokoić chronologów, że żydowski kalendarz dawny wskazywał dnie wogóle zgodnie ze

słońcem i księżycem, a nie zawierał pomyłek, które dziś płyną z ich tablic, nie porównywanych już ciągle ze stanem nieba. Jednak dotychczas chronolodzy dość pogardliwie oceniali dawny stan kalendarza żydowskiego i dopiero Lersch spokojnie wystąpił w jego obronie. Słowa jego rzucają światło na dalszy ciąg niniejszej pracy, więc można je tu streścić (I, str. 195): „Kalendarz hebrajski i stopień jego dokładności zajmuje badacza przedewszystkiem przy pytaniu, w którym roku umarł Chrystus. Mogły wtenczas często zachodzić błędy w kalendarzu“, przyznaje to Lersch, ale nie staje po stronie pisarzy, — jak Sam. Petit, Lami, Pétau i nawet Keppler, — którzy odmawiają powagi skrzętnej trosce Żydów o dzień dla nich pierwszorzędnej wagi. Lersch tym pisarzom przeciwstawia innych, którzy dostrzegają daty wcale dokładnie obliczane przez ówczesnych Żydów; między nimi przytacza Schwarza, który sądzi, „że w największej liczbie wypadków Wysoka Rada jerozolimska za pośrednictwem świadków naocznych niemniej dokładnie oznaczała daty świąteczne, niż możemy je oznaczyć według dzisiejszego kalendarza poprawnego“. Prócz powag Schwarza i innych, Lersch przytacza przykłady z Fl. Józefa, który podaje daty ze stanem nieba równie zgodne, jak dziś możemy znaleźć w tablicach Oppolzera i t. d.

Słowem z jednej strony chronolodzy niektórzy nie umieli pogodzić żydowskich dat z Dyonizyańską erą albo z własną poprawką tej ery: i ci wątpią o powadze świadectw żydowskiej kalendografii; z drugiej strony religijna troska Żydów o nów, wiele ich dat zupełnie dokładnych, wynik pracy chronologów bezstronnych dla Żydów i nieuprzedzonych za żadną erą: te wskazówki każą przychylić sąd za powagą dat żydowskich, choć oczywiście tylko ludzką, omylną.

Myłka jednak każdorazowa polegała na podanej błędnie dacie miesiąca, a nie pociągała u Żydów następstw na późniejsze lata, bo u nich każdy miesiąc z osobna i każdy rok zależał wprost od nieba, a nie od tablic, wystawionych jak u nas na błędy, na razie nieznaczne, ale z biegiem wieków poważne. U Żydów po każdej pomyłce następna data dobrze zauważona

według stanu księżyca i słońca przywracała zgodę kalendarza z niebem [1]. Bez tej zgody nie mógłby zajść wypadek, który przecie miał miejsce w średnich wiekach, w ciągu sporów o erę Dyonizyańską i rok śmierci Chrystusowej. Któryś z obrońców Dyonizego poruszył myśl, że w sprawie spornej może rabini udzieliliby jaśniejszej wskazówki: przywołani Żydzi istotnie obliczyli żądane daty z przed półtora tysiąca lat tak dokładnie, że ich ówczesną odpowiedź tylko potwierdzają dzisiejsze tablice astronomiczne.

Stąd wynika, że słowa ewangelistów o dniu pierwszym przaśników, — kiedy u Żydów wieczorem pożywano Paschę, — nie wyrażają nic dwuznacznego ani wątpliwego, tylko określają dobę, w której Żydzi liczyli 14-y dzień od nowiu widzialnego, i w ciągu której upłynął wieczór nasz czwartkowy, noc cała, ranek piątkowy i dzień do zachodu słońca. Znamiona tej doby pozwalają już użyć tablic astronomicznych, aby z ich pomocą szukać dnia śmierci Chrystusowej. I tę pracę ułatwiają w pierwszym rzędzie kalendaryograficzne wzory, od prof. Karlińskiego pożyczone w poprzednich zeszytach *Przeglądu* w rozprawie o Wielkanocy, którym według d-ra Lerscha można nadać przystępniejszą postać. Nadto tę pracę ułatwiają pisarze, którzy do dwu wymienionych znamion dnia męki Chrystusowej dodają jeszcze trzecie, przez co pokazują prawdę nierównie wyraźniej: za świadectwem przodków po Wierze powtarzają, że Chrystus Pan umarł w piątek, podczas pełni, w dzień równonocni.

Nie wszyscy ci pisarze wymieniają każde z trzech znamion powyższych, nie wszyscy wyrażają się dokładnie (w mowach, głoszonych wobec ludu prostego), ale razem zestawieni nie zostawiają nic wątpliwego. Najczęściej potoczna ich mowa zacierała różnicę między żydowskim początkiem doby od wieczora, egipskim od rana, rzymskim od północy i Włochów innych od połu-

[1] Szerzej tę sprawę wyłożoną można znaleźć przy opisie kalendarza chaldejskiego i drobnej różnicy między nim a żydowskim w *Przeglądzie Powszechnym* r. 1900, paźdź., str. 6 i nast., r. 1901, styczeń, str. 16, 20. Dzieło ks. Kuglera dostarcza dowodu także, że wobec ówczesnego stanu astronomii chaldejskiej, Żydzi z nią obznajomieni, mogli wcale dokładnie obliczać nowie, skoro usiłowali przewyższyć Chaldejczyków.

dnia; nadto nie odróżniają ci pisarze nowiu widzialnego od konjunkcyi, ani dat równonocnych, zmiennych w juliańskim kalendarzu, od stałego pojęcia równonocni. Oczywiście rozróżniać tego nie było potrzeby w potocznych przemowach do prostych słuchaczy, ale stąd pochodzi, że wszyscy ci pisarze i mowcy chrześcijańscy jednakowo rozumieją i wyrażają tylko myśl ewangelistów o Wieczerzy Pańskiej wieczorem doby 14-ej Nizan a 1-ej przaśników, a dla następnego ranka i południa używają nazw rozmaitych i równonocnię nieraz mianują datami mniej zrozumiałemi. Czasem jeden i ten sam pisarz raz wyrazi rzecz zrozumiale dla nas, drugi raz użyje zwrotu, przystępnego dla jego czytelników, a dla nas zagadkowego.

Najdawniejszy z tych pisarzy, który mógł jeszcze osobiście znać uczniów apostolskich, Afrykanos, doszedł do nas w szczątkach pism, w których znajdujemy tylko krótką wzmiankę [1], że Chrystus Pan umarł w piątek 14-go dnia Nizan.

Epifanios [2] rozróżnia wyraźnie początki doby i mówi o dniu śmierci Chrystusowej: „czwartek doba trzynasta dzienna, nocna zaś czternasta... było wtedy (przy śmierci Pana w piątek) oświecenie otchłani, i ziemi, i nieba, i dnia przez piętnasty dzień księżyca i drogę słoneczną, bo.. zarazem wypadała równonocnia“. Epifanios wiąże tu myśl teologiczną o oświeceniu otchłani, ziemi i nieba przez śmierć Chrystusową, z uwagą o „oświeceniu dnia“ przez równoczesną pełnię i równonocnię. Tę jego uwagę, nie odrazu może dziś każdy zrozumieć; dawniej nazywano „oświeceniem dnia“ zbieg równonocni z pełnią, bo w tym wypadku mamy całą dobę oświeconą: od szóstej godziny przed południem do szóstej po południu świeci słońce a przy jego zachodzie wschodzi księżyc i świeci do następnego ranka. Powyższym tedy zwrotem Epifanios wyraża, że w piątek Męki Chrystusowej zbiegła razem równonocnia z pełnią cykliczną.

Za starożytnymi także pisarzami Teofanes powtarza, że Pan [3] „25-go marca zmartwychwstał, bo kto uważa znajdzie

---

[1] Migne, *P. G.* x, 89. [2] Migne, *P. G.* xli, 933.
[3] Migne, *P. G.* xix, 1409.

14-y Nizan 23-go marca w piątek Jego męki, a na trzeci dzień później zmartwychwstał". Datę 23-go marca podaje Teofanes według kalendarza juliańskiego, który w stuleciu 0 śpieszył o dwa dni przed nicejską datą równonocni.

Aleksandryjski biskup i męczennik, św. Piotr, również dobitnemi słowami podaje dzień śmierci Chrystusowej i używa żydowskiego pojęcia doby[1]: „do czasów Męki Pańskiej, owszem do czasu upadku Jerozolimy, tem bardziej w czasach dawniejszych lud izraelski obchodził Paschę w dniu 14-m pierwszego miesiąca. Pan też złożył ze siebie ofiarę w czasie święta Paschy, w dniu przygotowawczym a 14-m pierwszego miesiąca".

Także św. Justyn, filozof i męczennik, w rozprawie z Tryfonem Żydem, według jego pojęcia doby mówi[2]: „pojmaliście Go w dzień Paschy i zarówno w dzień Paschy ukrzyżowaliście".

Z aleksandryjska już dzieli dobę św. Cyryl Patryarcha[3]: „14-go dnia od nowiu zdradzony, 15-go cierpiał, w nocy z 16-go na 17-y zmartwychwstał". Według pojęcia żydowskiego, noc ze soboty na niedzielę nastąpiła dopiero po 15-ym dniu od nowiu i zaczynała dzień 16-y.

Także następca Cyrylów, Proter Patryarcha wylicza doby z egipska[4]: „we czwartek Pan 14-go dnia 1-go miesiąca Paschę spożył, następnego dnia w pełnię ukrzyżowany, w niedzielę zmartwychwstał 17-go dnia od nowiu". Słowa te wskazują, że Aleksandryjczycy w V-em stuleciu jednakowo z Żydami liczyli dobę tylko przez wieczorne godziny, a w rannych godzinach wyprzedzali Żydów o jednostkę.

Sewer, rocznikarz, tak znowu pisze[5]: „spożywszy Paschę we czwartek 14-go dnia księżyca a marca 22-go, 15-ej indykcyi, w nocy z tegoż dnia na 23-ci marca zdradzon, ukrzyżowan, zmartwychwstał 25-go marca w niedzielę".

Św. Ambroży musiał jeszcze słyszeć żydowskie zwroty, które mieniły piątek 14-m dniem Nizan, a nie rozumiał już

---

[1] Migne, *P. G.* XVIII, 511. [2] Migne, *P. G.* VI, 731.
[3] Migne, *P. G.* LXXVII, 389. [4] Migne, *P. L.* LXVI, 507.
[5] Migne, *P. G.* CXII, 1054.

widocznie takiej rachuby, bo nalega[1]: „Pan nie 14-go dnia od nowiu cierpiał, tylko 15-go, a 17-go zmartwychwstał“. Oczywiście łacińskie pojęcie nie mogło w piątek widzieć dnia 14-go, i musiało liczyć już 15-y dzień, jeżeli w poprzedni czwartek liczyło 14-dzień od nowiu.

Św. Maksym inaczej wyraża tę myśl[2] i za pomocą tak zwanych wrót słońca i księżyca dochodzi do wniosku, że Chrystus Pan umarł w dzień pełni 23-go marca.

Jeden z późniejszych Greków, Kedrenos[3], jeszcze pamięta, że: „Pan męce się poddał dnia 23-go marca w piątek“, ale już plącze liczby w dniach księżyca, bo nie rozumie, że ten sam 14-y dzień upływał wieczorem 22-marca i w południe 23-go.

Beda znowu nie zdaje sobie sprawy z różnicy między datami, które wyrażają ten sam dzień równonocny coraz inaczej w biegu stuleci: Juliusz Cezar w swoim kalendarzu liczył 25-y dzień marca jako równonocny, stulecie 0 widziało słońce w znaku równonocnym dnia 23-go marca, przed soborem nicejskim równonocnia przypadała już na dzień 21-y marca; jeżeli tedy w piątek zarazem i w dzień równonocny Chrystus umarł, tedy następna niedziela dostawała datę 27-go marca u tych, którzy liczyli według równonocni cesarskiej, a datę 25-go marca według kalendarza juliańskiego, nakoniec daty 23-go marca u tych, którzy później liczyli według równonocni nicejskiej. Nie obeznany z temi szczegółami Wielebny Beda pisze[4]: „że Pan 15-go dnia od nowiu w piątek wstąpił na krzyż, a pierwszego dnia po szabasie, to jest w niedzielę zmartwychwstał, o tem nie wolno wątpić katolikowi, aby nie wyglądał na niedowiarka, bo Zakon każe zabić baranka 14-go dnia 1-go miesiąca wieczorem, a ewangelia podaje, że Pan owego wieczora pojman przez Żydów, w piątek ukrzyżowan i pogrzebion, pierwszego dnia z szabasu zmartwychwstał. A wiadomo, ilu doktorów kościelnych mniema, że Pan 25-go marca ukrzyżowan, zmartwychwstał 27-go marca, chociaż

[1] Migne, *P. L.* XV, 1074.
[2] Migne, *P. G.* XIX, 1276.
[3] Migne, *P. G.* CXXI, 344.
[4] Migne, *P. L.* XC, 495.

Teofil Cezarejski, starożytny i blizki apostolskich czasów doktor, wraz z innymi biskupami z Palestyny pisze: ...„cierpiał Pan od 22-go marca, w nocy zdradzony przez Judasza, a 25-go marca z martwych wstał“... Gallowie zawsze obchodzili Wielkanoc 25-go marca, według podania, że tego dnia Pan zmartwychwstał“. Tyle znajdujemy u Bedy: zagadkę sprzecznych dat wiernie przedstawioną, ale nierozwiązaną.

Nie w tym jednym wypadku, który pozostał niezrozumiałym dla Bedy, zachodzą pozornie sprzeczne daty, które przecie wyrażają dzień istotnie jeden i ten sam. Podobny wypadek nieraz zachodził, kiedy pisarze z różnych narodów usiłowali swoim językiem kalendarskim wyrazić myśl, wziętą z kalendarza obcego. Tak u św. Klemensa Aleksandryjskiego[1] znajdujemy datę na pierwszy rzut oka niepojętą: Narodzenie Chrystusa Pana 20-go maja. Ten dzień kalendarza juliańskiego przychodzi u św. Klemensa pod nazwą egipską, jako 25-y dzień miesiąca Pachon, a Pachon był dziewiątym miesiącem egipskiego roku, zaczynanego w jesieni, jak u Żydów był dziewiątym roku miesiąc odpowiedni naszemu grudniowi: stąd chrześcijanie egipscy słyszeli o 9-ym miesięcu a myśleli o Pachonie, słyszeli o 25-ym grudnia a rozumieli 25-y Pachon czyli nasz 20-y maja. Z tej pomyłki powstał przecie spór, który trwał aż do św. Jana Chryzostoma w Carogrodzie: jedni obchodzili za Aleksandryjczykami Boże Narodzenie w maju, drudzy w grudniu, inni ze wstydem wyznawali, że chrześcijanie nie znają dat najważniejszych we własnych dziejach. Dopiero św. Jan Złotousty w jednej homilii wystąpił przed słuchaczami z pożądaną wieścią, że w Rzymie odnaleziono jasne dowody, które rozstrzygają spór i okazują źródło pomyłki Aleksandryjczyków.

Podobnież 25-y dzień egipskiego miesiąca Famenot odpowiadał 21-mu miesiąca marca juliańskiego w stuleciu II. (potocznie: 3-ciem), więc dniowi równonocnemu. Otóż pisarz światły, jak Wiktor Kapuański[2] nazywa ten dzień 25-ym dniem marca

---

[1] Migne, *P. G.* VIII, 883.
[2] Migne, *P. L.* XC, 603.

aleksandryjskiego, ale dodaje przynajmniej, że ta doba odpowiada po części 20-u, a po części 21-u dniowi marca łacińskiemu. Równie przezornych tłumaczy nie często znajdowali między sobą pierwsi chrześcijanie. Ogół przywykły w kalendarzu Juliusza Cezara czytać jego datę „cesarskiej“ równonocni 25-go marca łatwo mógł mniemać, że o tymże dniu słyszą z ust Aleksandryjczyków wzmiankę w ich dacie równonocni 25-go Famenot i tak trwał przy nazwie 25-go marca dla równonocni, że Beda pierwszy między łacinnikami śmiał przemawiać za równonocnią 21-go marca, i jeszcze musiał przyznać, że za cesarską równonocnią widzi powagę pisarzy dawniejszych, „licznych i mądrych, bądź pogan, bądź chrześcijan“, ale w imieniu powagi Ojców nicejskich skłaniał łacinników, aby ze Wschodem zaczęli liczyć równonocnię 21-go marca.

Wobec takiego wyrazownictwa i nieustalonego pojęcia równonocni, nie dziw, że jeszcze jedną datę znajdujemy dla piątku Męki Pańskiej: św. Klemens Aleksandryjski nie w swojem imieniu wprawdzie, ale jako czyjeś słowa [1] podaje, że „Mękę Jego niektórzy badacze podają na dzień 21-y marca“. Ta data nosi na sobie oczywistą cechę przeróbki, dokonanej na dacie juliańskiej 23-go marca w stuleciu 0, w tym celu, aby ją wyrazić datą nicejskiej równonocni. Wszak 21-y marca juliańskiego w stuleciu 0 należał jeszcze do zimy, więc choćby 14-y dzień od nowiu przypadł na 21-y marca w owem stuleciu, Żydzi nie liczyliby jeszcze miesiąca wiosennego Nizan, tylko zimowy Adar, więc nie obchodziliby Paschy od tego 14-go dnia księżyca, tylko dopiero o miesiąc później. Więc owi „badacze“ aleksandryjscy nie mogli słyszeć o Męce Pańskiej dnia 21-go marca juliańskiego, tylko o dniu równonocnym czytali pisarzy, poprzednio przytoczonych, i według swojego stulecia nazwali z nicejska ten dzień równonocny 21-ym marca.

Podobnym sposobem rozwiązać można zagadkę owej daty ciemnej dla Bedy, 25-go marca, którą powtarzają prawie wyłącz-

[1] Migne, *P. G.* VIII, 888.

nie pisarze romańscy. Biskup portueński, św. Hipolit[1], w swojej tablicy paschalnej stawia wyrazy ΠΑΘΟΣ ΧΣ przy dniu 25-ym marca, nazajutrz po 14-m Nizan, ale jak gdyby jeszcze wątpił, czy pod tą datą ma umieścić z romańska śmierć Chrystusową, czy z grecka Jego Zmartwychwstanie, dodał także znak Ἀναστάσεως ΧΣ. Dodać tu trzeba, że i o tablicy Hippolitowej i o innych podobnych tablicach u łacinników zauważył Ideler szczegół, na który prof. Karliński zwrócił uwagę w paschalnym kanonie aleksandryjskim: wszystkie te tablice idą rozmaitemi drogami i wpadają każda na swój sposób w błąd, który rośnie z biegiem lat; wszystkie już kryły w sobie nieznaczny błąd w czasach, kiedy powstawały, czyli już wtenczas nie na każdy rok pokazywały poprawne pełnie i wielkanoce — ale wszystkie pozawracane każda swoją drogą w tył do czasów Chrystusa gubią swój błąd i pokazują dzień Śmierci Chrystusowej w piątek, w dzień pełni i równonocni 23-go marca, nazywanej z romańska 25-ym marca. Oczywiście nie przypadek zrządził, że rozmaite drogi, odbywane w świetle różnych zasad, przecie okazują początek wspólny: widocznie w pamięci różnych kalendografów starożytnych tkwiła prawda, podana im przez przodków po wierze, że Chrystus umarł w piątek, w dzień pełni zarazem i równonocni.

Tę datę powtarzają także *Acta Pilati* i za świadectwem Epifaniosa[2] podają śmierć Chrystusa 25-go marca.

Tertulian[3] zgodnie zapisuje, że Pan cierpiał „za Tyberyusza cesarza w czasie Paschy 25-go marca".

Św. Augustyn[4] ogólnikowo nadmienia: „W miesiącu 9-ym urodzony dnia 29-go, oczywiście w miesiącu 1-ym poczęty około 25-go marca. I ten też był czas Jego Męki".

Wiktor Aquitański[5]: „W piątek 25-go marca umarł i pogrzebion".

---

[1] Migne, *P. G.* x. 87.
[2] Migne, *P. L.* xli, 885.
[3] Migne, *P. L.* x, 614.
[4] Migne, *P. L.* xxxiv, 629
[5] Migne, *P. L.* xlii, 943.

Także nieznany pisarz, który ułożył spis papieży najbardziej ceniony, znany *Catalogus Liberianus*, powtarza to samo, że 25-go marca Pan cierpiał.

Za tymi pisarzami martyrologium rzymskie zapisuje pod dniem 25-ym marca Pamiątkę dobrego Łotra, który umarł z Chrystusem na krzyżu.

Inne znowu martyrologia, na Zachodzie hiszpańskie i francuskie zgodnie ze zwyczajem Gallów, a na Wschodzie bardzo liczne, przytoczone u Bollandystów pod dniem 25-m marca składają to samo świadectwo o równonocnym dniu w Piątek Męki Pańskiej, ale mianują ten dzień 23-im według daty juliańskiej.

Cerkiew wschodnia w Menejach czyta pod dniem 22-im marca: „Pamiątka Wieczerzy Pańskiej“, — 23-go marca pamiątka poczwórna: „Chrystusa Jezusa Pana i Zbawiciela Ukrzyżowanie. Pamięć pobożnego Łotra z Chrystusem ukrzyżowanego. Złożenie Chrystusa Zbawiciela z krzyża. Pogrzeb Chrystusa Pana naszego za staraniem Józefa z Arymatei“, — 24-go marca: „Pamiątka Chrystusa w grobie złożonego i strzeżonego“, — 25-go marca: „Zmartwychwstanie Pana naszego Jezusa Chrystusa“.

Liczba tylu świadectw starożytnych nie wyczerpuje jeszcze źródeł, z których możemy prawdę poznać w tej mierze. O powszechnym głosie chrześcijaństwa nieraz składają dowód herezye, kiedy wystąpią z pomysłem nowym i przeciwnym zasadzie, poprzednio uważanej za nietykalną spuściznę po przodkach. Choć nie każdą zasadę Kościoła znajdujemy dokładnie rozwiniętą w szczątkach pism starożytnych, które doszły do naszych rąk, przecie ile razy nauka jakaś nowa wywoływała burzę w chrześcijaństwie od Wschodu do Zachodu, tyle razy widzimy znak niezawodny, że społeczeństwo całe źle przyjęło ową naukę jako napaść na swój skarb prawdy, podawanej z ust do ust przez następstwo świadków od czasów apostolskich. Objaw powszechnej zgrozy wobec nowej herezyi zastępuje nam długi ciąg świadectw, które przez wieki ginęły.

Otóż dwie herezye wynikły z powodu owego dnia 14-go Nizan, w którym pisze Paweł Apostoł (1 Kor. V, 7): „Pascha nasza ofiarowany jest Chrystus“: z wieczora po wieczerzy poj-

many na Mękę i w południe Ukrzyżowan. Na podstawie słów Pawłowych niektórzy rozumowali, że Wielkanoc jako chrześcijański dzień Paschy powinna wypadać w dzień przepisany na paschę w Zakonie Mojżeszowym, więc 14-go Nizan równocześnie z żydowskim dniem 1-ym przaśników. Zwolennicy tej nauki, odrzuceni od społeczeństwa z Kościołem Powszechnym, otrzymali nazwę odrębną Czternastodniowców [1].

Inni znowu na tej samej zasadzie oparli wniosek, że Ofiara Ołtarza, ustanowiona przy Ostatniej Wieczerzy 1-go dnia przaśników, wymaga koniecznie chleba przaśnego, a nieważnie odprawialibyśmy Mszę na chlebie kwaśnym. I tę naukę Kościół Powszechny potępił u tak zwanych Ebionitów.

Zasługują tedy na wzmiankę odpowiedzi, któremi prawowierni pisarze odpierają heretyków: przyznają im prawdę co do dnia Ostatniej Wieczerzy i przez to okazują, że co do wypadku dziejowego i jego daty nikt nie dostrzegał nic wątpliwego, ale Czternastodniowcom przypominają, że nie pamiątkę Ofiary na krzyżu obchodzimy na Wielkanoc, tylko pamiątkę Zmartwychwstania, i przywodzą najpoważniejszy i najdawniejszy przepis Konstytucyj apostolskich [2]: „Trzeba obchodzić dnie Wielkanocne po zwrocie (słońca) równonocnym, a nigdy nie święcić podług Żydów; strzeżcie pilnie równonocnego powrotu pory wiosennej, który następuje dnia 14-go miesiąca 1-go, i uważajcie aż do dnia 21-go od nowiu, aby nie na następny tydzień wypadł dzień 14-y po nowiu, ani nie na inny dzień wypadło święto Zmartwychwstania, prócz niedzieli".

Także Ebionitom odpowiadali pisarze kościelni, że Chrystus ustanowił wprawdzie Mszę przy Ostatniej Wieczerzy, kiedy u Żydów nie było po domach chleba kwaśnego, ale ustanowił Mszę nie na pamiątkę żydowskich obrzędów, tylko na pamiątkę własnej Ofiary Krzyżowej. Więc czytamy u Oryginesa w przekładzie Hieronima zasadę, wówczas spólną Wschodowi i Zacho-

---

[1] Na łacińskim Zachodzie *Quartodecimani,* na Wschodzie greckim Τεσσαρεσκαιδεκατίται. Migne, *P. L.* XLII, 31.

[2] Migne, *P. G.* I, 887.

dowi[1]: „Oczywiście tedy w jeden i ten sam dzień paschy trzeba było zabić baranka (zwanego paschą przaśników), i usunąć kwas dawny, i spożyć przaśniki z mięsem baranka... Stąd może kto nieroztropnie wywodzi, wpadając w ebionizm, że jeżeli Jezus obchodził zwyczajem żydowskim paschę za swojego pobytu w ciele, tak 1-y dzień przaśników jak baranka, tedy, — powie, — wypada podobnie czynić i nam, naśladowcom Chrystusa; a nie rozważa, że Jezus stał się pod zakonem nie po to, aby tych co pod zakonem byli, pod zakonem zostawić, ale aby wyprowadzić ich z pod zakonu".

Zachód przy tej zasadzie wytrwał i tak dalece bronił przeciw Ebionitom Mszy we Wschodnim obrządku odprawianej na chlebie kwaśnym, że i u siebie przez jakiś czas usunął chleb przaśny, na dowód, że nie przywięzuje do niego wagi istotnej, a tylko koniecznie żąda pszennego chleba. Ale Wschód dał u siebie posłuch stronnikom Kerulariosa, obrażonego o to, iż papież odmownie odpowiadał na jego prośbę o dostojeństwo ekumenicznego patryarchy. Z obrazy wynikły nieszczęsne spory i zarzuty, a między innemi także wywody chronologiczne[2], że „Chrystus... cierpiał w piątek, na który i 14-y dzień od nowiu wypadał pierwszego miesiąca roku.. i nie było przaśników we czwartek[3], bo to był po nowiu dzień 13-y, a nie 14-y". Z Bizancyum przynieśli tę chronologię Grecy na Ruś i jeden z nich zacięcie pisze po starosłowiańsku[4]: „Rzymian Niemcy przekabacili na obyczaje sprzeczne z dawnemi... Gdy Chrystus nowy zakon dał, wtedy przaśników nie było. Kazał Mojżesz na 14-y dzień miesiąca marca zarznąć baranka, na 15-y piekli przaśniki, a Chrystus 13-go dnia spożył wieczerzę. A gdzież przaśniki? Tegoż nie rozumiecie, ślepa łacino: skąd przyjęliście opłatki?".

---

[1] Migne, *P. G.* XIII, 1728.

[2] Migne, *P. L.* CXLIII, 977.

[3] Oczywiście nie było, póki z wieczorem nie nastąpił 14-y Nizan.

[4] Кормча Румянц. Муз. No 233, л. 371—375, przytoczona w dziele: „Исторія Русской Церкви Макарія митроп. московск." С. Петерсб. 1889, t. II, str. 336: „Rimljanjeż... Niemci ustomiszasja na innyja obyczai pacze cierkownych... Jegda Christos nowyj zakon dajet, togda opriesnok nie biasze.. powelje Moysej w 14 miesjacja marta zariezati oweń, w 15 tworiachu

Tą drogą Kerularios doszedł do wniosku, że tylko we Wschodnim obrządku Msza i Konsekracya na chlebie kwaśnym odnawia Tajemnicę, ustanowioną podczas Ostatniej Wieczerzy, a łacińska Msza i Konsekracya na opłatku, — chlebie przaśnym, to znaczy: bez drożdży, — nie znaczy nic, zatem Kerularios nie poczytywał sobie za świętokradztwo, tylko twierdził, że przeszkadza bałwochwalstwu, kiedy pozwalał w Carogrodzie po łacińskich kościołach bezcześcić konsekrowane Hostye; świadczą o tem Bizantyjczycy sami: Κεδρένος[1], Ζονάρας[2], Ψέλλος[3] i bezstronni łacinnicy.

W imieniu łacinników nikt podobno tak jasno nie odpowiedział Kerulariosowi, jak św. Tomasz z Akwinu, który oparty na słowach św. Augustyna[4]: „Zbawiciel wszystko uczynił w miejscu i czasie właściwym“ dowodzi[5], że z jednej strony stoją świadectwa o męce Pańskiej 14-go dnia Nizan, kiedy Żydzi zabijali baranka, i za tem przemawiają słowa Jana ew. i Chryzostoma, z drugiej strony pewno 14-go Nizan Chrystus spożywał wieczerzę, jak świadczą także trzej ewangeliści słowami o pierwszym dniu przaśników i Hieronim jasno rozumie te ich słowa, że 1-szy dzień przaśników wypada 14-go Nizan. Z powodu jednak naszego zwyczaju, że od północy zaczynamy nową dobę, upatrywali niektórzy przeciwieństwo między słowami o 14-ym Nizan razem w nasz czwartkowy wieczór i w nasze piątkowe południe. Zatem przywoływali powagę Chryzostoma (na Mat.), że Chrystus 14-go Nizan, to jest w dzień właściwy, spożywał wieczerzę, „na dowód, że do ostatniego dnia zachowywał Zakon“, a stąd wnosili ci pisarze, że Żydzi wbrew prawu odłożyli Paschę

---

oprjesnoky, a Christos w 13 deń sotwori wjeczeru. A gdje obrjetesja oprjesnoki?.. Togo że nie rozumjejetje, ślepaja Łatyno... odkuda pryjali sut' opłatki?“

[1] II, 480... 549...

[2] XVIII, 5.

[3] Na rok 1054 n. 2, 1058 n. 11.

[4] *Lib. Qq. vet. et n. Test. q.* LV: „Omnia propriis locis et temporibus gessit Salvator“.

[5] *Summa* p. III, q. XLVI, a. IX ad 1-m.

na piątek, i przez to naprowadzili na błędną myśl, jakoby 14-ty Nizan w piątek dopiero wypadał wieczorem.

Przeciwko temu zarzutowi broni Żydów św. Tomasz, oparty na słowach ewangelii, że Chrystus odprawiał wieczerzę razem z Żydami, kiedy ci także zabijali baranka. I przytacza Bedę na dowód, że Chrystus już tego wieczora zaczął dzień swojej męki, a najbardziej dowodzi tego słowami Jana o czwartkowym wieczorze, przededniem święta Paschy, gdyż następny wieczór, nasz piątkowy, nie należał już do doby piątkowej, do przedednia święta, tylko zaczynał już samą dobę sobotnią, w którą wypadało święto. I temu początkowi doby św. Tomasz daje nazwę „podziału doby naturalnego“ od zachodu do zachodu: „i tak tę samą dobę, którą Jan nazywa przededniem święta Paschy, ze względu na naturalny podział dób, Mateusz nazywa pierwszym dniem przaśników, bo według obrzędu żydowskiego święta, uroczystość zaczynała się od wieczora dnia poprzedniego“. A co do Paschy, którą jeszcze w piątek mieli jeść Żydzi, św. Tomasz przywodzi św. Chryzostoma na dowód, że jeść Paschę znaczyło jeść paschalny chleb przaśny, który służył przez cały tydzień świąteczny.

Na tej zasadzie oparty św. Tomasz wywodzi dalej [1], że co do chleba albo kwaśnego albo przaśnego odróżnić mamy to, co konieczne, od tego, co stosowne. Koniecznie ma być konsekrowany chleb pszenny, bez którego nie ważna Msza, a nie konieczny do ważności Mszy ani przaśny chleb, ani kwaśny. A stosowne dla każdego księdza, aby zachował obrządek swojego Kościoła. Następnie św. Tomasz przywodzi bardzo głębokie i piękne powody, dla których Wschód używa chleba na drożdżach, a Zachód przaśników. A pomiędzy różnemi powodami, dla których Zachód „stosownie“ używa przaśników, choć nie „koniecznie“, powtarza św. Tomasz także wzmiankę o Wieczerzy Pańskiej, spożytej przy chlebie przaśnym, bo [2] „jak czytamy w księdze *Exodus*, r. XII, uroczystość paschalna zaczynała się

[1] Tamże q. 74 a. 4 c.
[2] Tamże ad 1-m.

od wieczora 14-go Nizan, i wtedy Chrystus po zabiciu baranka wielkanocnego ustanowił Tajemnicę Ołtarza: stąd Jan mówi o tym już wieczorze, jako o przededniu święta obchodzonego w sobotę, a inni trzej mówią o nim, jako o pierwszym dniu przaśników, kiedy chleba kwaśnego nie możnaby znaleźć po domach żydowskich".

Te słowa św. Tomasza wystarczyć tu mogą, jako jasna treść wszystkich odpowiedzi, których dostarczają zebrane powyżej świadectwa i wywody z Ewangelij i Ojców Wschodnich i Zachodnich o dniu śmierci Chrystusowej.

Ks. K. Czaykowski.

MURZYŃSKA CYWILIZACYA NAD NIGREM.

(Ciąg dalszy).

V.

Nie wiemy jaką drogą Feliks Dubois do Europy powrócił: czy z jedną z licznych karawan puścił się na północ, czy też płynąc pod wodę, ciężko i powoli, dostał się do Bammaku a stąd lądem do St. Louis. Dość, że wrócił szczęśliwie skoro mógł tak wesoło opisać swą podróż. Ostatecznym jej celem było, zda się, Tombuktu, poza którem, dzięki zniszczeniu Gao, stolicy Songhoisów, poszukiwania historyczne byłyby zapewne pozostały bez skutku. Zapewne — bo skoro już w tej tajemniczej ziemi tak niespodziewane znalazły się cuda, kto wie, jakie zabytki przeszłości wynurzą się jeszcze pod ręką dalszych badaczy? Jedno jest pewnem, to że nad dalszym biegiem Nigru niema już wielkiego miasta. Przynajmniej porucznik okrętowy Hourst, pierwszy który olbrzymią rzekę zbadał w całej długości, od Bammaku aż do ujścia, nie widział żadnego. Wspomnieliśmy już, iż wysłanym był w misyi hydrograficznej; że jednak jest człowiekiem inteligentnym, przeto badając warunki żeglugi nie zaniedbał zauważyć moralnej i zewnętrznej fizyognomii ludzi, pomiędzy którymi przepływał. Książka jego jest jakoby dalszym ciągiem podróży Feliksa Dubois. W pierwszej części mówi nam głównie o swych przygotowaniach, o przykrościach, jakie wycierpiał ze strony rządu francuskiego, który wysławszy go w środek Afryki,

kazał naraz wstrzymać się w rozpoczętej wyprawie: snać po niewczasie obliczono w ministeryum, iż nie starczy na nią pieniędzy! Czekał rok cały na dalekiem wygnaniu, aż wkońcu, gdy już był i nadzieję i cierpliwość utracił, przyszedł znów niespodzianie rozkaz puszczenia się w drogę. Hourst nie był w Dienne, gdyż nie opuszczał właściwego łożyska Nigru; zboczył jedynie odnogą Dai do Tombuktu, którego wszakże nie opisał, tłumacząc się, że „już niema potrzeby, skoro to przyjaciel jego, Feliks Dubois, wybornie uczynił". Różni się z nim w dwóch tylko punktach, to jest w mniej optymistycznem zapatrywaniu na przyszłość Tombuktu, którego ważność handlowa, zdaniem jego, upadnie, gdy z postępem komunikacyi karawany przestaną przebiegać pustynię, a nadto w sądzie o Tuaregach. Do tych jednak miał później dopiero się zbliżyć. Tymczasem w Tombuktu uzupełnił skład swej drużyny. Z Europejczyków przydanymi mu byli dwaj niżsi w randze oficerowie marynarki: chorąży okrętowy *(enseigne de vaisseau)*, Baudry, młodzieniec o nieco semickich rysach, tchnących energią i inteligencyą, porucznik Bluzet, śliczny chłopiec, którego świeży wąsik zadziwia przy odznakach zasługi zdobiących piersi i dr. Taburet, nieco starszy, z poczciwem a czupurnem obliczem. Sam Hourst, według portretu, nie o wiele przekroczył trzydziestkę; twarz dość pełna, o rysach wybitnych, z wyrazem spokoju i siły — typ sympatyczny, spotykany często wśród marynarzy wszelkiej narodowości. „Wyjeżdża was czterech — mówił wsławiony dziś Marchand odprowadzając w Paryżu Baudry'ego na kolej — jest nadzieja, że choć jeden powróci!" Bogu dzięki, powrócili wszyscy a z nimi 20-tu *Laptotów* z Senegalu zabranych, czarny tłumacz najęty w Tombuktu i równie czarny sternik jednego ze statków, dzielny i mądry Digui, jedna z ważnych osobistości wyprawy.

Prócz nich powrócił przełożony Białych Ojców ks. Hacquart. Jedną z głównych pobudek zboczenia Hoursta do Tombuktu była chęć namówienia go, aby wziął udział w wyprawie. „Wyraz namowa — pisze Hourst — nie jest istotnie właściwym. Nie wątpiłem ani chwili, że Ojciec radby z nami pojechać. Dawny towarzysz wyprawy Attanoux do północnych Tuaregów, dawny

komendant Zbrojnych Braci kard. Lavigerie, nie mógł nie być porwanym perspektywą podobnej podróży. Wiedziałem jednak, iż jest zbyt obowiązkowym, aby się zawahać pomiędzy najpowabniejszym dlań projektem a dobrem misyi, której od roku przewodniczy w Tombuktu, nadając jej, dzięki swym wyjątkowym zaletom, dużo żywotności i ruchu. Z drugiej strony, zważywszy rzecz z punktu korzyści dla dzieła, któremu poświęcili się O. Hacquart i jego współbracia, czyż przebycie całego biegu dolnego Nigru, zawarcie stosunków z mieszkańcami wybrzeży, zebranie wiadomości dostatecznych do nakreślenia planu apostołowania, czyż to wszystko nie będzie olbrzymim krokiem naprzód, oszczędzającym długich lat pracy w przyszłości? Czynność O. Hacquart będzie podobną naszej: widzieć, badać, zyskać przyjaciół, zostawiając zwierzchnikom wybór postanowienia, co robić potem. Dla mnie, dla osiągnięcia celu wyprawy współudział O. Hacquart zdał się być koniecznym. Czułem, że jako obznajomiony ze zwyczajami Tuaregów, będzie mi drogocennym doradcą, że jako wysoki znawca arabskiego języka, będzie mógł nietylko rozmówić się bezpośrednio z niejednym krajowcem, co już bardzo ważną jest rzeczą, ale nadto będzie mógł kontrolować tłumaczenia i pisma mego drogmana, Araba, Tierno Abdulaj Dem. Wreszcie, co najważniejsza, jego rozum, wzniosłość pojęć, prawość i siła jego charakteru były dla mnie rękojmią, że będę mógł we wszelkich okolicznościach znaleźć w jego zdaniu probierz najpewniejszy i najskuteczniejszy moich czynów i moich zamiarów..."

Czy młody wódz wyprawy nigerskiej zdawał sobie sprawę, jak cudne własnej duszy słowami temi wystawił świadectwo? Ludziom sumienie zazwyczaj cięży, a ot, ten śmiały odkrywca dążący w kraje, gdzie będzie absolutnym panem swych czynów i życia swych towarzyszy, sprawia sobie drugie, żywe, ludzkim głosem przemawiające sumienie, *un contrôle de ses actes et de ses projets!* Widząc takie rzeczy, pojmuje się dlaczego Francya nie upada pomimo swoich rządów masońskich.

„O. Hacquart — mówi dalej Hourst — był w istocie dla nas tem wszystkiem. Często za radą jego zmieniłem moje plany

i zawsze wyszło mi to na dobre. Niech mi pozwoli wyrazić mu tutaj całą moją wdzięczność i głośno wyznać, że jeśli wyprawa Nigru przeszła bez jednego wystrzału wśród tylu różnorodnych, często wrogich ludności, to jemu po większej części zawdzięcza".

Postać czcigodnego misyonarza nadawała się równie fizycznie jak moralnie do podobnej wyprawy: na wizerunku podanym przez Hoursta widnieją pod fałdami białego płaszcza mniszego ramiona proste, silne, żołnierskie, a nad niemi twarz dosyć szczupła, czarną okolona brodą, z rysami nieregularnemi ale tchnącemi młodzieńczą energią i rozświeconemi parą dziwnie bystrych oczu. Tak jak u wielu misyonarzy bywa — głowa pasowałaby raczej ponad zbroję niż habit, gdyby ten nie był strojem jedynych już w naszym czasie rycerzy... Zdobywszy sobie tedy upragnione towarzystwo O. Hacquarta, podróżni dnia 22 stycznia 1896 r. wyruszyli z Tombuktu a raczej z Kabary trzema wielkiemi łodziami uzbrojonemi w dwa działka, karabiny z wielkim zapasem naboi i również znacznym zasobem podarków do rozdawania po drodze. Były tam prócz zwykłych paciorków, pełnych fałszywych pereł i t. p., mnogie sztuki tkanin, koce, ozdobne turbany, burnusy aksamitne i takież siodła haftowane złotem. Był dalej, dla imponowania krajowcom, bicykl wraz z fonografem i fotografiami rozwieszonemi na wewnętrznych ścianach budy, osłaniającej mieszkanie na statkach. Z tych pierwszy, statek komendanta, był cały z aluminium dla większej lekkości pojedynczych części, które można było składać i rozkładać do woli.

Droga Nigrem po nagłym zakręcie wiodła niemal wprost na południe. Tu sfera, której własność przypisują sobie Francuzi, rozciąga się jeszcze daleko; niemniej przeto poza Tombuktu wędrowiec może już liczyć tylko na swój takt osobisty a czasem i na wpływ przyjaznych Europejczykom plemion lub rodów. Takim np. jest liczny i wielkiego znaczenia używający ród *Kunta*. Są to Arabowie wywodzący się z Jemenu, od Sidi Akby, słynnego w VIII. wieku zdobywcy północnej Afryki. Pierwszy on, Sidi Akba, wprowadził islamizm aż po Tanger. Gdy zginął zabity pod Biskrą, potomkowie jego, a było ich

sporo, rozproszyli się po różnych stronach Afryki, wszędzie zyskując znaczenie, najwięcej zaś w Tuacie, gdzie jako marabuci zasłynęli pobożnością i wiedzą. Ich to na pomoc przeciw Fulbejczykom wezwali Tombuktuanie, z ich rodu też był przyjaciel Bartha, mądry Achmet el Bakay (czy el Beckay), którego imię na każdej karcie afrykańskich wędrowców zapisane jest z czcią i wdzięcznością. Zachęcony tem wspomnieniem Hourst usiłował, skoro potrzebował rady i pomocy, udawać się do któregoś z rodziny Kunta i choć już El Bakaya nie stało, nigdy przecież nie trafił na zdradę. Mianowicie użył teraz ich wpływu, gasnącego niestety nad Nigrem, aby się zbliżyć do Tuaregów inaczej niż w postaci wroga. Przedewszystkiem za radą ich zmienił swe europejskie nazwisko na arabskie Abd-el-Kader, podobnie jak Barth był swoje na Abd-ul-Kerim zamienił: nad Sekwaną wyśmiewają podobne wybiegi, tu jednak są widocznie potrzebne, bo obce brzmienie krajowców odstrasza. Nadto, zawsze za radą Kuntów, nowo kreowany Abd-el-Kader podał się za synowca Bartha czyli Abd-ul-Kerima, i tym sposobem otwarł sobie wstęp do niejednego namiotu. Dubois widział był Tuaregów jedynie przez oczy mieszkańców Tombuktu, więc osądził ich *en bloc* jako złodziei i zbójów: znał ich tak, jak my Tatarów, jedynie według ich łupieżczych napaści. Hourst zaś patrząc bliżej, nauczył się rozróżniać bandy rozbójnicze od spokojniejszych plemion a wśród tych wyszczególniać niektóre, jak np. liczny szczep *Auliminden* czyli Ulimidów dosyć Europejczykom przychylny.

Tuaregowie są jednym z ludów zwanych ogólnikowo przez Rzymian Maurami a przez Arabów Berberami, pomimo różnicy typów świadczących o odmiennem ich pochodzeniu w zamierzchłej przeszłości. Kartagińczycy zastali ich nad brzegami Śródziemnego morza i zaczęli wypierać w głąb kraju; wyparli ich do reszty Rzymianie, zwłaszcza z okolic Algieru i Tunisu (kolonizacya była znacznie słabszą w Maroku) tak, iż większość ich stała się koczowniczą. Odtąd najeżdżali zbójecko swe dawne posady a gdy moc Rzymu poczęła upadać, jęli do nich powracać stopniowo. W VIII. w. islamizm nadał im nowy kierunek i życie;

nasiąkłszy cywilizacyą arabską ponieśli ją do Hiszpanii. Wygnani znów za Gibraltar, po kilku wiekach rozkwitu, zastali swój kraj nadmorski w rękach czystych Arabów. Musieli tedy iść dalej; wielka część zaszła głęboko w murzyńskie kraje, do jezior Nigru, w okolice Ualaty i Tombuktu. Dziś jeszcze istnieje szczep *Andalussów*, samem imieniem swojem świadczący skąd przyszedł. W krajach tych zastali dawnych współplemieńników, tych którzy wypchnięci przez Rzymian nigdy już nie powrócili nad morze. Część została była w górach Atlasu, część zajęła Saharę a raczej żyźniejsze wówczas jej części. Odtąd i piaski wżarły się w ziemię rodzajną i ludzie złą gospodarką, zwłaszcza wycinaniem lasów, dużo miejsca przyczynili pustyni. Europejczycy zwą ich Tuaregami. Oni jednak nazwy tej nie znają, zwąc się raczej *Imohar* (człowiek wolny) lub według poszczególnych szczepów: *Hoggar*, *Auliminden*, *Adzer* i t. p. Do nich też przedostał się islamizm, ale podobno potrzeba było nawracać ich 14 razy!...

Tuaregowie a raczej Imoharzy opowiadają fantastyczne bajki o powstaniu swego plemienia, wywodząc swój ród od duchów, które poślubiwszy śmiertelne niewiasty wydały pokolenie silne i mądre, znające użytek żelaza. Czyżby na dnie tej baśni nie było wspomnienia o przymieszce krwi jakiegoś wyższego cywilizacyą narodu? Synowie duchów żyli odtąd zupełnie po ludzku. W XV. w. założyli o 450 kilometrów na północ od Gao stolicę Es-Suk, która — jak Karakorum dla Tatarów przed Tamerlanem — stanowiła centrum ich wpół koczowniczego i wpół spokojnego życia. Gród ten został zburzony przez Askiów a mieszkańcy ratując wolność uciekli w góry. Jeden tylko, według podania, Imohar pozostał i ten wydając córki swe za Arabów stał się ojcem nowego plemienia *Kel es Suk*, gardzącego odwiecznym obyczajem Tuaregów dla ścisłego zachowywania przepisów Proroka. Jest to po dziś dzień plemię złożone z samych marabutów czczonych bardzo wśród Tuaregów. Wpływ ich wszakże jest raczej polityczny niż religijny: uczy nienawidzić i unikać giaurów, ale ku islamizmowi nie skłania. Prawdę mówiąc prawy Tuareg jest mahometaninem tylko z imienia, jakoby „dla kompanii“, wierzy w Boga, nosi amulety a o Koran nie pyta. —

Z czasem zburzenie miasta Es-Suk pomściło się srodze na Songhoisach; na osłabionych i ubezwładnionych marokańską niewolą rzucili się Tuaregowie, odparli najazd Peulów [1], odpędzili dzikich Tukulorów, burzycieli Tombuktu i dziś rasa ich panuje zwycięsko nad brzegami Nigru od Kabary prawie aż do Sai. Zdobycze francuskie w Sudanie zgniotły jedną tylko ich cząstkę, Tengeregifów, dotychczasowy postrach kupców tombuktuańskich.

Przewaga Tuaregów nad wszelkimi murzynami z nad górnego Nigru jest tak zupełną, iż każdy z nich mógłby do woli wybierać z wiosek stada niewolników i pędzić na sprzedaż. Tuaregowie jednak ludzi nie sprzedają. Widzieliśmy, iż niedawno jeszcze Tombuktu było kantorem na handel niewolnikami, tak jak na handel solą: ten wszakże prowadzili murzyni z Mossi a nigdy Tuaregowie. Według Hoursta, posiadają oni zalety, które w stosunkach — obecnie z Europejczykami koniecznych — wyzyskać można i trzeba. Jest to wprawdzie lud pełen pychy, dziki, łupieżczy a zarazem żebraczy — ale jest wierny w dotrzymaniu słowa, dzielny, wytrzymały, rycerski względem kobiet, łagodny względem poddanych, nienawidzący — wbrew zarzutom Tombuktuanów — zwykłego złodziejstwa i, co więcej, wcale nie okrutny. Charakter ich przypomina uderzająco średniowiecznych *Raubritterów*. Dzielą się na dwie klasy wolne: wojowników, rodzaj szlachty, zwanych *Ihaggaren* i *Imradów*, pracowników. Ci ostatni, daleko nieraz zamożniejsi od swych obrońców, wtedy tylko występują do boju, gdy nieprzyjaciel ich obozowiska napada. Poniżej ich stoją niewolnicy, murzyni, od kilku pokoleń w jassyrze tuaregskim zrodzeni i snać niezbyt uciemiężani, gdyż dla właścicieli swych okazują przywiązanie niezmierne, biją się za nich do upadłego a ujęci przez Francuzów i puszczeni na wolność czemprędzej do nich wracają. Istnieją też lennicy: drobne szczepy dawniej zawojowane lub dobrowolnie poddane, płacące czynsz z używanych gruntów. Łupienie karawan tłumaczy Hourst jak następuje: szlak, którym ciągną, uważany jest przez Tuaregów za ich własność, wymagają tedy od towarów opłaty, podobnie

[1] Liczny lud zamieszkały między Nigrem a Czadem.

jak inne narody żądają zapłaty cła. Karawana, która się opłaciła, pozostaje pod ich opieką, bezpieczna od innych napaści przez całą drogę; taka, która się opłacić nie chce, rozbitą jest i złupioną. A cóż innego — pyta autor — robią na komorach naszych, jeśli kto kontrabandę przewozi? Wskutek ich życia koczowniczego i obraźliwego usposobienia łatwo bardzo z Tuaregami o zatarg; wprawdzie próbują najczęściej rzecz zatrzeć ugodą i dopiero gdy ta nie przychodzi do skutku, rzucają się na przeciwnika, wyprawiają wspólne lub prywatne *razzie*, łupiąc mienie i trzody. Ale i wtedy jeszcze, zwłaszcza jeśli obrabowany jest marabutem, można zaklęciem na imię Allaha uzyskać oddanie częściowe łupu. W boju równie przebiegli jak nieustraszeni, różnią się od otaczających ludów murzyńskich tem, że nie mordują zwalczonych ni jeńców, niemniej przeto dobro „zdobyczne“ równie im się wydaje chwalebnem, jak naszym dawnym rycerzom. Co więcej, podobnie jak ci, walczą na cześć swoich dam, używając imiona ich za hasła wojenne, pewni, że za powrotem, jeśli się potykali z chwałą, odniosą w dank ręką bohdanki ozdobioną tarczę lub pochwę od miecza. „Dama“ w zamian obowiązaną jest opiewać wierszami czyny swego rycerza. Nie potrzebuje zaś (zawsze jak w średnich wiekach) być tegoż rycerza żoną lub kochanką: romantyczność idzie swoją drogą a życie swoją. Przy tem oczywiście wielożeństwo jest rzeczą nieznaną. Małżonki odznaczają się wiernością, w przeciwnym razie mąż jest zobowiązany krwią żony obmyć swój honor. Dziewczęta za to używają iście amerykańskiej swobody tak w wyborze męża jak i w podróżach; w jednem tylko spotyka je przymus, to jest w konieczności lania w siebie nieskończonych czar kwaśnego mleka, potrzebnego do osiągnięcia wymaganych rozmiarów. O ile sam Tuareg jest zazwyczaj wysmukły i chudy, o tyle żąda od kobiet nie już otyłości ale tłuszczu, nie żałując przyrodzonych im wdzięków. „Nieraz widzi się ładną główkę, o pięknych oczach i delikatnych rysach a poniżej całą Niagarę miękkiego, trzęsącego się sadła“. Wspaniałość taka ma swoją osobną nazwę: *tobulloden*. Inna rzecz dziwna, to, że owe zapasione piękności chodzą zawsze z twarzą odkrytą, podczas gdy mężczyźni

nie zdejmują nigdy, nawet do jedzenia, czarnej zasłony, z ponad której widać tylko wierzch cienkiego nosa i wielkie, błyszczące oczy. Zasłona ta, zwana przez Arabów *litham*, składa się z długiego pasa czarnej, gładkiej tkaniny, owiniętej nasamprzód naokół głowy w kształcie lekkiego turbana, potem okrywającej dół twarzy i znów wracającej na czoło, aby tam utworzyć rodzaj daszku dla oczu. Pierwotną pobudką do tak dziwnego stroju była z pewnością konieczność ochrony źrenic przed palącem słońcem i piersi przed rozpalonym piaskiem pustyni, ale Tuaregowie znaleźli sobie znów romantyczne podanie: mówią, iż raz przed laty, mężczyźni ich napadnięci z nienacka, sromotnie uciekli, zaczem kobiety chwyciwszy porzucone oręże odpędziły wroga, i że od tego dnia odjęto welon płci pięknej i nadano mężczyznom. Dziś każdy Tuareg uważałby za nieprzyzwoitość twarz swoją odsłonić, i tak już między sobą do *lithamu* przywykli, iż jeśli go wśród boju zdarto któremu z poległych, pozostali muszą mu zakryć dół twarzy, aby módz go rozpoznać. Hourst spotkał nad Nigrem osadę niepodległych jeszcze Songhoisów, którzy od Tuaregów zapożyczyli tej mody: chcieli się tem zapewne zrównać z ogólnymi panami kraju, a przez to samo odróżnić od spodlonego tłumu dawnych współziomków i reszty murzynów. Ci są niemal od Tuaregów liczniejsi, równie silni fizycznie i równie zbrojni a są im poddani, jak owce pasterzom, dają się im — jak to widzieliśmy w Tombuktu — strzydz i poniewierać, daliby się sprzedawać i zarzynać, nie przez potulność, ale przez strach przed moralną przewagą zawoalowanych mężów. Co dziwna, to, że pod francuskim sztandarem potrafili parękroć oprzeć im się dzielnie, z czego niektórzy politycy paryscy rzucili myśl, iż chcąc być panami Sudanu należy użyć czarnych za narzędzie do zwalczenia Maurów. Hourst zaś, stawiający wnioski na miejscu a nie przy zielonym stoliku, jest zdania, iż nie ma po co niszczyć Tuaregów, bo oni jedni zdolni są w obecnych swoich ziemiach wyprodukować potrzebną dla handlu ilość wielbłądów, skór, gumy i wełny, nie mówiąc już o ich drobnych ale wybornych koniach. Radzi więc, aby im stałe wyznaczyć granice, strzegąc by poza ten kordon nie

puszczali zagonów, a przytem zachowując z nimi przyjazne stosunki.

Że to jest możliwem, świadczy sam szczęśliwy przejazd wyprawy dokonany istotnie bez jednego strzału. Co prawda nieraz zanosiło się na walkę. Nasi oficerowie widzieli zbrojne oddziały tuaregskiej konnicy, towarzyszące im milami całemi wzdłuż brzegów w zamiarze przeszkodzenia ich wylądowaniu, słyszeli złowrogie groźby i krzyki murzynów obawiających się — nie samych białych przybyszów — ale walki tychże z Tuaregami, wiedząc dobrze, iż oni to wzięci między dwóch silnych zapaśników, jak między młot a kowadło, najwięcej na walce ucierpią. Niełatwo było Hourstowi powstrzymać od strzelania swoich laptotów, którzy, uważając go niemal za tchórza, zaciskali pięści i gniewne wejrzenia posyłali ku brzegom. Najgorzej było 2-go marca o dwa dni drogi od Gao, gdzie do murzynów hałasujących nad rzeką, przyłączyły się białe postacie z arabo-tuaregskiego szczepu *Kel-es-Suk*. U tych nie było już strachu ale muzułmański fanatyzm; tłum biegł z okrzykiem: *La illa ell Allah!* a od czasu do czasu zatrzymywał się i bił solenny *salam* o ziemię. Znać marabuci głosili wojnę świętą przeciwko giaurom. Wtedy cierpliwość poczęła opuszczać Francuzów; dowódca miał już na ustach rozkaz do strzału, wstrzymał go jednak widząc, że wraz z mężczyznami biegły kobiety i dzieci, że czarny, ledwie od ziemi odrosły malec rzucający garściami prochu w stronę jego łodzi byłby pierwszy zmieciony kulami... Na czele tłumu jechał stale zbrojny *Kel-es-Suk* na wielkim, białym wielbłądzie. Widocznie prowodyr, podszczuwający ludność po drodze. Do tego Hourst ze dwadzieścia razy zmierzył karabin, ze dwadzieścia razy miał już palec na cynglu lecz nie wystrzelił, bo, nie widząc chwilowo konieczności obrony, wstydził się do człowieka strzelać jak do kaczki. Miał słuszność, bo gdy dopłynąwszy do jakiejś wioski dał rozkaz zbliżenia się do brzegu i chciał parlamentować, nie śmiano nań uderzyć. Mieszkańcy tylko poczęli nań wołać, aby się oddalił. Przez całą noc odgłos *tabali* (wojennego bębna), dochodził z lądu, a gdy rozedniało, ujrzeli na dolinie, naprzeciw miejsca wylądowania, oddział 500 do 600 ludzi uzbrojonych po

uszy. I znów rozległy się wrzaski gorsze niż wczora. Wtedy Hourst kazał dla postrachu z działka wypalić w powietrze. Napastnicy rozpierzchli się jak stado wróbli, lecz już po chwili zgromadzili się znowu i jęli jak poprzednio tworzyć łodziom lądową eskortę.

Trwało tak do godziny drugiej z południa. Wtedy ujrzano zbliżającego się naprzeciw, wzdłuż brzegu, Tuarega o wzniosłej i pięknej postawie, na przepysznym, czarnym rumaku: wódz jakiś sądząc z odzienia. Stanął, kilka słów przemówił do tłumu, który natychmiast umilkł i przylgnął do ziemi. Potem zjechawszy nad wodę, uczynił w stronę statków przyjazny znak, i poważny, wsparty na lancy, której ozdoby miedziane błyszczały w słońcu, stał patrząc jak się oddalały po fali. Odtąd cisza zapanowała na brzegach. Był to, jak się później dowiedziano, poseł od Amenokala czyli władcy Ulimidów, Madidu, który rozkazywał przepuścić wolno przybyszów, zastrzegając sobie dalszy wybór między pokojem a walką. Dzięki temu, uszy podróżnych mogły czas jakiś wypocząć a wzrok natomiast zająć się otaczającą naturą. Hourst przyznaje, że główną uwagę zwróciwszy na krajowców, polecił porucznikowi Baudry'emu, sporządzenie mapy, którą do dzieła dołącza. Z niej widać jak często Niger rozdziela się na podwójne i potrójne koryta, tworząc to duże wyspy, to archipelagi drobnych. Z rycin zaś można się domyśleć części tego, o czem zamilcza tekst. Tak np. na wizerunku przedstawiającym Tosaj, miasteczko położone o jakie (sądząc z mapy) paręset km. na wschód od Tombuktu, niedaleko od skrętu Nigru ku południowi, widzimy dwa długie a wązkie przylądki, niby czarne zęby skaliste wchodzące z obu stron w rzekę i zostawiające wązki tylko przesmyk dla łodzi. To Baror i Szabor, przedmiot obawy przejeżdżających pirog porywanych silnemi prądami, które tu przy wezbraniu wód mają panować. Poza owemi smokami, w pośrodku wody jest wyspa, czy też półwysep a na nim prawie prostopadle do rzeki wznoszą się mury tego, co Hourst nazywa „wioską Szeryfów", a co na obrazku zdaje się być rodzajem niemieckiego *burgu*. Brzegi Nigru długo od strony północy a potem wschodu bielejące podłużnemi wałami piasku, stają się

coraz bardziej skaliste, coraz częściej *borgu* tj. zieleń, po której suną się łodzie, ukrywa bok czarnego lub czerwonego głazu. Żegluga jednak dotąd nie przedstawia trudności.

Dnia 3 marca ze świtem, po spokojnie spędzonej nocy, Francuzi puścili się znów w drogę po rzece zasianej wysepkami. Przed sobą widzieli zbitą masę liściastych drzew, z pośród których niespodzianie wyłoniły się szare mury, kształtu piramidy obciętej u szczytu: to grób Askii Wielkiego, to Gao. Ale niestety! napróżno czytelnik się cieszy: prócz wzmianki o wzruszeniu doznanem na widok dawnej stolicy Songhoisów, prócz paru historycznych rysów znanych nam z dzieła Feliksa Dubois, nie ma już ani słowa o mieście, które dwu tylko poprzednio zwiedziło Europejczyków: Mungo-Park i Barth. Na wiarę tego ostatniego Dubois mówi nam o nędznych lepiankach otaczających meczet z grobowcem, a jednak tu znów na fotografii, zdjętej z pośrodka rzeki przez towarzyszów Hoursta, znać ogromną przestrzeń murów, wysokie i niższe budowle, tak że nie wiedzieć już kto kłamie, czy wielki podróżnik niemiecki, czy fotografia sprawiająca łamaniem się linii złudzenie optyczne. Wieczna szkoda, że Dubois nie dotarł do Gao; to archeolog, a Hourst tylko inteligentny i poczciwy oficer dbający daleko więcej o stosunki z Amenokalem Madidu, niż o wszelkie cuda historycznej przeszłości.

Co prawda nie miał czasu do naukowych rozmyślań wobec kilku tysięcy zbrojnych Tuaregów zajmujących wybrzeże, niemniej jak wobec oznajmienia, że Madidu naradza się ze swą starszyzną czy obcych przepuścić bezkarnie? Poczęły się traktaty; Hourst powołując się znów na swego zmyślonego wujaszka Abdul-Kerima (Bartha), posłał Amenokalowi najpiękniejszy swój dar — siodło aksamitne ze złotem i oznajmił, że przybywa w imieniu „sułtana Francuzów“ (p. Faure!) zawiązać z Tuaregami przyjazne stosunki. Kazano mu przed wieczorem udać się z całą drużyną na jedną z wysepek, i tu wśród niepokoju zapadła noc. „Gdybym powiedział — pisze — iż dobrze spałem z 4-go na 5-go marca, przypuszczam żeby mi nie uwierzono. Do niebezpieczeństw fizycznych, do walki z naturą i ludźmi, potrzeba mniejszej lub większej dozy odwagi, ale bądź co bądź

można się z tem oswoić. Z czem jednak nigdy oswoić się nie można i co gdy się przedłuża, niewymowne sprawia znużenie, to odpowiedzialność, to myśl, że jedno słowo niezręczne lub źle przetłumaczone może zgubić tych, co nam powierzyli swe życie i dla których jest się chwilowo — wszystkiem".

„O. Hacquart również niewiele spał tej nocy. Czy byłby spoczął gdybym mu był dał rozciągnąć się na jego posłaniu? Nie wiem, ale potrzeba mi było jego rady, więc spędziliśmy noc bezsenną, układając co będzie trzeba nazajutrz powiedzieć. Wynikiem naszych narad było, iż się zastosujemy do tego, co okoliczności przyniosą. Jednakowoż O. Hacquart jest optymistą, nasamprzód z usposobienia a potem dlatego, iż dzisiejsze zdarzenia składają się tak co do daty jak i co do faktów z tem, co przed dwoma laty przebył w Saharze. Wtedy to właśnie dnia 5 marca d'Attanoux i on zawarli zgodę z Tuaregami szczepu azgierskiego a więc..."

„Przez całą noc lewy brzeg płonął od obozowych ogni Tuaregów — istny pożar. Nie omyliliśmy się — jest ich dużo, bardzo dużo. Więc z rana serce zabiło mi silnie, gdy dostrzegłem dążącą ku nam pirogę, a w niej prócz murzyna posłanego od naczelnika sąsiedniej wsi, jakiegoś Tuarega i drugiego krajowca, którego po krętych włosach poznałem być z rodu Kuntów. Łódka przybiła; istotnie był to Kunta, Tuareg zaś był kowalem Madida".

„Czemu kowalem? Bo ten cech a raczej kasta umiała sobie u wodzów czarnych zdobyć wielkie znaczenie a nadbrzeżni Tuaregowie poszli za przykładem murzynów. Nie wszyscy kowale kują, ma się rozumieć. Są to najbliżsi dworzanie, doradcy i właściwie kierują wszystkiem: jak gdzieindziej tak i tu minister bywa potężniejszym od króla".

Można zdać sobie sprawę, jak ważną rolę grało niegdyś w Sudanie posiadanie wyrobów żelaznych, po samej czci, jaką otoczono mistrzów zdolnych do sporządzania ich. Po dziś dzień płatnerz musi być u Tuaregów osobą ważną, gdyż — zawsze jak nasi palladyni — gardzą „tchórzliwem" użyciem broni palnej, zbrojąc się tylko w dzidy, długie sztylety i miecze o rękojeści

w formie krzyża. Pierwszą strzelbę w ręku Tuarega miał Hourst ujrzeć w Gao u jednego ze starszyzny Madida.

Po przybyciu posłów Amenokala poczęła się rozmowa w języku arabskim za pośrednictwem młodego Kunty i Ojca Hacquart. Hourst wypowiedział, iż skoro Francuzi mają sąsiadować z Ulimidami, lepiej jest żyć w przyjaźni, niż w odosobnieniu, od którego do zatargów blizko. Posłał znów mnóstwo podarków, za które Madidu podziękował nowem poselstwem, dozwalając przytem na spokojny przejazd przez swoje ziemie. Nie przybył sam, bo, jak wszyscy władcy na Wschodzie, wodzowie Tuaregów nie pokazują się łatwo; że jednak pilno mu było pozbyć się Francuzów, by iść obronić jakiś napadnięty szczep hołdowniczy, przyrzekł, że jeśli będzie mógł spotka się z nimi poniżej rzeki lub przynajmniej pośle im pełnomocnika z własnej rodziny. Nakoniec wyraził jeszcze, z największą grzecznością, dwa skromne życzenia: prosił o 10 sztuk srebrnej monety, nie dla siebie ale dla żony, która ciekawą była poznać „ten biały metal, który nie jest miedzią a przecież wyrabia się podobnie jak miedź". W Sudanie, gdzie tyle złota, srebro jest zupełnie nieznane. Następnie prosił o portret „sułtana Francuzów", zaczem litografia przedstawiająca Feliksa Faure, powędrowała zdobić ruchomy namiot następcy Masynisy i Jugurty.

Dnia 6 rano, opatrzone sternikiem z łaski Amenokala, statki francuskie podniosły kotwicę wyruszając do Burnu. Żegluga była gładka, choć miejscami po wirach na wodzie można się było domyślić ukrytych skał; brzegi zdały się coraz bardziej dzikie i kamieniste. Co do Burnu, mamy po raz trzeci zawód: Hourst odsyła nas do opisów Bartha, podając tylko obrazek, na którym na stoku pogórka ponad skałami brzegu widać wśród drzew zarysy meczetu z wieżą i innych budowli. Burnu wydaje się dużo mniejszem od Gao, coś nieprzymierzając w rodzaju Lovrano. Pomimo to ma się do autora żal: nie każdy ma pod ręką opis podróży Bartha, a zresztą każdy piszący powinienby pamiętać zdanie Ernesta Doudan'a, iż „należy zawsze czytelnika mieć za głupiego" — to jest tłumaczyć mu wszystko jasno i dobitnie. Poza Burnu rzeka, ogromna zawsze, zaczyna przybierać

wygląd górskiego potoku; na krańcu wyspy Ansonga cztery okrągłe skały, bardzo malownicze, sterczą jako „granic pustyni pilnujące głazy“, ostrzegając o grożących żeglarzom zaporach. W istocie wkrótce potem rząd kamieni sterczących z wody, zostawia ledwie dość wielki otwór, by się łodzie mogły prześlizgnąć. U brzegów znów parlamentowanie z pobożnymi Tuaregami Kel-es-Suk i poddanymi im czarnymi, powoływanie się na pokrewieństwo z Barthem i opiekę Amenokala, rozdawanie pierścionków, bransoletek i fajek w zamian za jaja, kurczęta, masło i ładne torebki skórzane. Dalej wśród traw olbrzymie stada pasącego się bydła; ludność snać zwąchawszy podarki biegnie po brzegach z okrzykami przyjaźni. Entuzyazm wzmaga się za każdem przybiciem łodzi do lądu, chłopaki dają nurka lub biją się o szklany paciorek. Ludzie znaczniejsi dostają po 8 metrów materyi: 5 na płaszcz *bubu* i 3 na spodnie; synowiec Abdul Kerima pragnie równie dobre jak wuj zostawić po sobie wrażenie. Na wyspie Bure — wyjątkowo nienależącej do Tuaregów — Hourst zawiera układ z Idrisem, wodzem jedynego szczątku niepodległych dziś Songhoisów, ludzi wspaniałych, ogromnego wzrostu i siły. Idris przyjmuje flagę francuską, nie domyślając się, iż to znak niewoli — bodaj czy nie zagłady.

Były to chwile wytchnienia wśród żeglugi pełnej znużenia i troski zwłaszcza o jednę z łodzi, która zahaczała się o każdy głaz, osiadała na każdej mieliznie. Może była zbudowana wadliwie a może i nazwa przynosiła jej nieszczęście: ochrzczono ją bowiem *Aube,* nie od zorzy ale od nazwiska biednego młodzieńca, którego czarny, grobowy krzyż ponuro wita wjeżdżających do Tombuktu Francuzów. Łożysko Nigru zdało się wciąż wybrukowanem ostremi głazami, między któremi trzeba się było przesuwać. Na pociechę zaś przewodnicy zapewniali wędrowców: To jeszcze nic — zobaczycie po Labozenga!

Dnia 12 marca z rana dotarli do wyspy Fafa, gdzie czekał na nich z listem od Madidu, synowiec tegoż i wódz naczelny — piękny Dżamarata. Przybywał w dobrych zamiarach, lecz krajowcy z plemienia Peul bali się srodze: co wyniknie z zetknięcia się tych ludzi białych, tych istot wyższego rodzaju? Chcieli, by

Dżamarata udał się na łódź do Francuzów, zdało im się bezpieczniejszem, aby się biali rozprawili na wodzie i trzeba było całej energii przewodników songhojskich, by się nie sprzeciwili wylądowaniu Hoursta. Nareszcie Songhois, brat Idrisa, wziął go pod rękę i poprowadził do tuaregskiego wodza: Dżamarata wydał się Hourstowi dziwnie inteligentnym i wykwintnym w obejściu; miał pełnomocnictwo od stryja do zawarcia przymierza z Francuzami, co też zostało natychmiast uskutecznione mocą obopólnych aktów. W akcie przeznaczonym dla Amenokala, Hourst zaręczał w imieniu swego „sułtana", że Francuzi będą szanowali wiarę swych sprzymierzeńców, bo „sami żyją pod prawami Issy (Jezusa), modlą się, poszczą i czynią jałmużnę". Pytanie jak się prędko Tuaregowie dowiedzą, że ta wiara „Issy", którą się Francuzi tak szczycą przed nimi, jest u nich samych przedmiotem poniewierki i prześladowania! Zyskanie przyjaźni władcy Ulimidów (czy Auelimidenów) było ważną bardzo dla Francyi korzyścią, stanowią bowiem większość Tuaregów. Ci dzielą się ogółem na dwie wielkie konfederacye: Iguadaren i Ulimiden, i dość o ich potędze powiedzieć, że sam związek Ulimidów pod wodzą Amenokala Madidu zawiera 16 szczepów szlacheckich, 12 robotniczych (Imrad) i 7 szczepów hołdowniczych — razem 35! Wszystkie te ludy emigrują w porze suchej tj. od grudnia do maja, ze stron górnych w doliny, gdzie studnie nie wysychają, rzeki nie przestają płynąć i gdzie wielkie ich stada tuczą się na pastwiskach trawą *borgu* porosłych, wielbłądy tylko muszą trzymać nieco powyżej, gdyż, jak mówiliśmy, nie znoszą roślin wodnistych. Wtedy również pobierają od murzynów daninę w prosie, kukurudzy i tytoniu, wtedy też przedsiębiorą wyprawy wojenne. Przed porą wylewów powracają w górne koczowiska, kędy deszcze mniej obfite, niż na nizinach, są przecież dostateczne, aby napełnić strumienie i powlec zielonością pagórki.

„Co powiedzą czytelnicy — pisze autor — o Tuaregach, jakich przed ich oczy stawiłem? Zapewne, nie uczyniłem z nich świętych ani doskonałych mieszkańców nowożytnej Utopii. Może jednak niektórzy zgodzą się ze mną, że jest to typ wybitny, złożony z prawdziwych zalet obok niezaprzeczonych wad. Ich

wyższość umysłowa zasługuje na to, aby się nią zająć i doprowadzić ich do sposobu życia lepszego dla nich i bezpieczniejszego dla ich sąsiadów".

Ale czyż ludzie uwierzą? Ciężką jest rzeczą i niebezpieczną iść przeciw prądowi szablonowej opinii. To samo co Hourst, mówił i pisał już w r. 1880 młody podróżnik Duveyrier, który przeszło rok był spędził u Tuaregów Azgierów. Za jego powrotem rząd francuski wyprawił tam posłów, którzy z Azgierami zawarli przymierze. Ale, jak zawsze w polityce kolonialnej francuskiej, poprzestano na pierwszym kroku, nie wyzyskując zdobytej korzyści. I stało się, że wkrótce potem inny podróżnik, Flatters, poległ zamordowany przez inny szczep tuaregski, Hoggarów, przed którymi nietylko ostrzegał był Duveyrier, ale i władcy krajowi nie podejmowali się dostarczyć ochrony. Wtedy wielki krzyk zgrozy podniósł się na Duveyriera: oskarżono go o śmierć Flattersa omamionego złudnemi jego baśniami, tak iż biedny, ledwie dwudziestoletni chłopiec, chory jeszcze na febrę przywiezioną z Afryki, wpadł w rozpacz i zastrzelił się. „Anglicy byliby mu stawiali pomniki: ignorancya Francuzów (nie chcąc wyrazić się gorzej) popchnęła go do samobójstwa. Przykład nie jest zachęcającym..."

Od tego czasu znów paru oficerów zginęło z ręki Hoggarów — ale cóż to dowodzi? Oto, że do wpół dzikiego kraju, pomiędzy łączne rasą, ale poróżnione zawiścią i wojujące się szczepy nie należy iść nieostrożnie: toż w samym Londynie albo Paryżu niebezpiecznie jest nocą włóczyć się po przedmiejskich zaułkach. Zdaniem autora, wypada wzmocnić szlachetniejsze plemiona, dopomódz związkowi Ulimidów do osiągnięcia przewagi w Sudanie, a wtedy oni sami nasiąkną cywilizacyą Zachodu, *Raubritter* zamieni się w obywatela, przestanie łupić nieprzyjaciół i zacznie szachrować na giełdzie...

(Dok. nast.)

T. Wodzicka.

FREDERI MISTRAL.

Ze studyów nad współczesną literaturą prowansalską.

(Ciąg dalszy).

Rozgłośne swe imię zawdzięcza Mistral przedewszystkiem liryce i poezyi epicznej; sławnym i znanym w całym świecie literackim uczyniły go jego epiczne dzieła: *Nerto, Calendau,* a na pierwszem miejscu, wiernie odzwierciedlający życie i obyczaje Prowansyi poemat *Mirèio* (Marya). Utwór ten pojawił się w r. 1859 a już w 1864 liczył cztery wydania; we Francyi zrobił mu niebywały rozgłos Lamartine i Akademia francuska, która uwieńczyła *Mirèi*'ę jako „książkę wysoce moralną". Anglia nie została poza innymi i w pierwszych zaraz latach miała dwa tłumaczenia, tak samo i Niemcy; tłumacza niemieckiego, Augusta Bertucha, mianowali Felibrzy za jego prawie klasyczny przekład *Mirèi*'i *Sòci dóu Felibrige.*

Oto treść rozgłośnego dzieła: W skromnej chacie nad brzegami Rodanu mieszka ubogi koszykarz Ambroży z synem Wincentym. Poszukując pracy zaszli oni pewnego wieczora do domu bogatego gospodarza, Ramouna. Córka Ramouna, Marya, zajęta niewieścią jakąś robótką, siedziała na progu, a dwaj wędrowcy usiedli zaproszeni obok i oddawali się pilnie swemu zajęciu. Zbliżał się wieczór; z winnic i pól gromadzili się parobcy i dziewczęta a wszyscy podziwiali uroczą postać Wincentego; słońce Prowansyi opaliło jego lica, ale „czarna ziemia — dobra pszе-

nica, ciemna jagoda — ogniste wino". Księżyc już zeszedł, słowiki nuciły wśród kwitnących drzew, świerszcze grały w trawach, lecz nikomu nie chciało się odejść od stołu, gdzie Wincenty tak pięknie opowiadał i o igrzyskach w Nîmes i o świętych trzech Maryach nad morzem. *Mirèio* zasłuchana w opowieści młodzieńca czuje, że całą piękną noc mogłaby pozostać na dworze i przysłuchiwać się marzeniom Wincentego; nie dziw więc, że kiedy się następnym rankiem spotkali wśród drzew morwowych, których liście zbierały dorodne dziewczęta na karm dla jedwabników, przyjęła z biciem serca i szczęściem w duszy wyznanie chłopca; nie smuciło jej to, że towarzyszki sobie z niej żartowały — burzy spodziewa się skądinąd. Kiedy wiosną na zielonej murawie fiołki zakwitną, nie brak rąk, które je zerwać pragną. W domu Ramouna pojawiają się różni goście. Alari, król pasterzy ze skalistej Crau'y, który stada swoje na setki liczy, staje przed Mirèi'ą i prosi o jej rękę, a jako prezent ślubny ofiaruje jej nie złoto, lecz puhar, który w wolnych godzinach ozdobnie z bukszpanu wyrzeźbił; puhar podoba się dziewczęciu, lecz oddaje go pasterzowi z słowami: „Mój narzeczony piękniejszy dar mi przynosi, miłość swoją". Król pasterzy odchodzi zdziwiony, że można innego poza nim wybrać.

Wkrótce pojawia się drugi gość, Veranet. Na zielonych łąkach Camargu'y pasą się tabuny jego koni — jego żona będzie szczęśliwą. Stary Ramoun chętnieby przyjął Veraneta za zięcia, ale Mirèio nie chce o nim słyszeć, i smutny, choć rezygnacyi pełen, wraca Veranet do swej Camargu'y, gdzie szumiące wiatry wywieją z jego serca tęsknotę i ból.

I jeszcze lato się nie skończyło a w domu Ramouna pojawia się trzeci konkurent, Ourrias. Trzody jego latem i zimą pasą się na łąkach Sóuvage. Między niemi wychował się i wzrósł Ourrias. Mirèi'i obiecuje szczęście, rozkosz i dni wczasu, ale ona nim gardzi, bo serce jej nie jest już wolne. Roznamiętniony wraca Ourrias do swoich łąk i pastwisk; w drodze spotyka Wincentego i przeczuwa w nim wroga. Walka na śmierć i życie ma rozstrzygnąć, komu przypadnie w udziale ręka dziewczyny — Ourrias zostaje zwyciężony, krew bucha mu z ust, lecz wściekły

nienawiścią zrywa się z ziemi, idzie za nic nie przeczuwającym młodzieńcem i z tyłu przebija go oszczepem. Wincenty padł w kwitnące wrzosy; Crau'a była spokojna i cicha, gdzieś daleko kończyła się w morzu a morze topiło się w niebie, białe łabędzie świeciły srebrem w zachodzącem słońcu a błyszczące flamingi rzucały ogniste plamy na skalistą pustynię.

Ourrias ucieka po samotnem błoniu i zdala już widzi połyskujące fale Rodanu. Na jego wezwanie nadpływa łódź, która ma przewieźć mordercę na drugą stronę. Na środku rzeki łódź poczyna się chwiać, żeglarze nie mogą sobie dać rady, grozi zagłada: „Nędzniku! tyś człowieka zamordował!“ — wołają w rozpaczy. — „Ja? — odpowiada Ourrias — szatan niech mnie na dno pociągnie, jeśli jest prawdą, co ty tam kłamiesz“. Na to wioślarz: „Przebacz! dzisiaj noc Medarda, z głębi topielcy wypływają — ot, tam wśród mgły nadciąga już długa ich procesya“. Łódź pochyla się coraz więcej, nabiera wody, ginie pod powierzchnią a w żółtych falach Rodanu morderca rychły znajduje grób.

Na błoniu tymczasem spotkało trzech ludzi wczesnym rankiem śmiertelnie zranionego Wincentego. Zanieśli go do najbliższego domu, który był domem Ramouna. Matka Mirèi'i i dziewczyna same wymyły i opatrzyły jego rany a za poradą matki zaniosło czterech parobków rannego do jaskini, gdzie przemieszkiwała czarownica, Taven. Lekami i zaklęciami wróciła ona umierającemu już prawie młodzianowi zdrowie. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, wyjawił Wincenty ojcu swoją tajemnicę; starzec rozgniewał się nie na żarty, nie chciał nawet słyszeć o tem, by dla swego syna prosił o rękę córki bogatego Ramouna, ale wzruszony prośbami, niekontent zamruczał pod nosem: „Małe dzieci, małe troski, dzieci wielkie, wielkie troski“; ubrał się w odświętny swój strój i puścił się w ciężką drogę. Był to wieczór św. Jana. Pola szumiały złotemi kłosami a z gór schodziły gromady żniwiarzy, którzy rok rocznie ściągali z okolicy do pracy w dolinę; stary Ambroży przyłączył się do nich. Na pół drogi spotkali Ramouna oglądającego pola; ucieszył się on widokiem tylu żniwiarzy, umówił się o zapłatę i wesołą ucztą,

na której strumieniem płynęło chłodne wino Crau'y, rozpoczęto wieczór. Żeńcy starym zwyczajem wyszli na błonie i zbierali burzany i gałęzie dla rozpalenia ognia Sobótek a Ambroży poprosił Ramouna o rękę córki dla swego syna. Ale Ramoun zdumiony, że żebrak śmiał pomyśleć o bogatej jedynaczce, wpadł w złość, potęgującą się jeszcze, kiedy Mirèio wyznała, że tylko jednego Wincentego za męża weźmie — łzy, prośby, błagania nic nie pomogły: „zatrzymaj ty sobie swego psa, ja mą łanię zatrzymam". Złamany, upokorzony wrócił Ambroży do swej zagrody, a dokoła paliły się Sobótki, rozbrzmiewały tamburyny i flety, ogniska strzelały iskrami tak, że się zdawało, iż gwiazdy z nieba na ziemię spadają.

Noc, która wszystkim niesie spoczynek, odmówiła go dzisiaj Mirèi'i; bezsenna przewraca się na posłaniu, oczy jej we łzach a w sercu cierpienie — znikąd ratunku. W tej chwili przypomina sobie radę, jaką jej dał niegdyś Wincenty: „Jeżeli boleść serce twe nawiedzi, prędko biegnij do naszych Świętych nad morzem, u nich znajdziesz pociechę". Mirèio wstaje, ubiera się, wybiega z domu, wychodzi na step; nocna rosa zwilża jej włosy, gdyż nie zabrała z sobą swego słomianego kapelusza. Rankiem przychodzi do łąk, gdzie się pasły trzody jej ojca; pasterze dziwią się, widząc przelatującą córkę swego pana, a ona wbiegła już na bezbrzeżną płaszczyznę Crau'y. Tu i ówdzie wylatuje z pod jej stóp przestraszona przepiórka, świerszcze śpiewają swe odwieczne, monotonne melodye — pusto dokoła. Słońce pali jak ogniem, Mirèio słabnie, lecz dobiega skały, gdzie wśród kamiennych ścian tryskało źródło chłodnej wody. U źródła spoczywało pacholę, Andreloun, prawdziwe dziecko stepu, które po błoniach zbierało ślimaki. Po krótkim wypoczynku towarzyszy Andreloun Mirèi'i i prowadzi ją do położonej nad Rodanem chaty rodziców. Dziewczyna przepędza noc w domu uczciwych tych ludzi, a na drugi dzień ma się przez Rodan przeprawić i dojść do celu drogi. Rozpacz tymczasem nurtuje serce rodziców Mirèi'i. Nie wiedzą, gdzie się córka podziała a pierwszą ich myślą, że to Wincenty narzeczoną uprowadził. Stary Ramoun zwołuje wszystkich robotników i każe im opowiadać,

co rano widzieli. Zgromadzili się więc żniwiarze i pasterze, nie wiedząc jeszcze o co chodzi; domyślają się jednak, że coś niedobrego zaszło. To też każdy ma coś ciekawego, jakiś „znak“ do opowiedzenia. Ten pierwszy raz od lat trzydziestu zaciął się kosą, ów znalazł przy żniwie gniazdo z pisklętami, zjedzodzonemi już do połowy przez żarłoczne mrówki, a Antèume, jeden z najstarszych opowiada, że wczesnym rankiem pasterze na błoniu ujrzeli jakieś zjawisko i przysięgali, że to była Mirèio; słyszeli też głos wołający do nich: „Czyż żaden z was ze mną do świętych Maryj nie pójdzie?“ Z tego dopiero opowiadania wpadli rodzice na trop córki, każą zaprządz konie, siadają na wóz — nie spodziewali się, nieszczęśliwi, w jakim stanie swe dziecko znajdą.

Szybkie czółno pruje już fale Rodanu i Mirèio po spędzonej w domu rodziców Andrelouna nocy, przybija do Camargu'y. Słońce wytacza się coraz wyżej na niebo, coraz też silniej palą jego promienie, Mirèio słabnie a do kaplicy Świętych jeszcze tak daleko. Lecz oto! w dali widzi gładką toń jeziora, otoczonego koronami drzew, widzi złoty krzyż błyszczący na wieży świątyni, siły wracają, zbliża się coraz więcej do celu — zjawisko znika; *fata morgana* i na prowansalskiej Camargu'y znajduje swe ofiary. Zniechęcone i przerażone dziewczę powoli wciąż naprzód dąży, obok niej pustka i tylko słońce coraz niemiłosierniej piecze. Tym razem już na prawdę widzi cel swej podróży, kościółek Świętych, wita go lekkiem westchnieniem — i rażona udarem pada na ziemię. „Uwiądł najpiękniejszy kwiat Crau'y“. Ból wraca jej na chwilę przytomność, pełza po ziemi i nawpół umarła przychodzi wreszcie do progów świątyni, modli się. Ciało jej porażone, ale dusza zdrowa i świeża. Pod koniec modlitwy otwiera się niebo a po gwiaździstej drodze trzy cudnej piękności niewiasty ku niej zstępują. W blasku zbliża się pierwsza niosąc naczynie alabastrowe — to Marya Magdalena; Marya Jakóbowa przychodzi z palmą w ręku, oczy jej spuszczone ku ziemi, a wiatr rozwiewa złote włosy; Maryi Salome nie widać dobrze, bo dziewiczą twarz białym przysłoniła płaszczem, ale jej oko jaśniej od słońca błyszczy. Trzy Marye, Pa-

tronki Prowansyi, przynoszą jej pociechę, ale wskazują zarazem, że szczęścia tu nie znajdzie, bo spokój i wypoczynek dopiero tam za gwiazdami czeka. Na dowód tego opowiadają jej całe swe życie, trudy, cierpienia, wiekuistą nagrodę i znikają. Mirèio leży w zachwyceniu, lecz już nadbiegają rodzice, szczęśliwi, że się córka znalazła. Radość przemienia się wkrótce w ból, a tymczasem zewsząd nadciągają tłumy, które się o losie dziewczęcia dowiedziały. Chorą niosą do świątyni, żądają cudu, dotykają jej relikwiami świętych Patronek, lecz One inną opiekę dziewczynie obiecały. Śmierć zbliża się powoli, wyniesiono więc konającą na dwór i tam, gdzie w dali połyskiwały wody morza a obok falowały łany Camargu'y, oczekuje Mirèio ostatniej chwili. Przez łąki i skały biegnie Wincenty; z bólem w sercu a rozpaczą w duszy, klęka przy umierającej: „Poszłam za twoją radą, Święte mnie pocieszyły. Idą już, już się zbliżają, widzicie złoty okręt, który tam przez morze bez żagli płynie?“ Zbliża się kapłan, przynosi Mirèi'i po raz ostatni jej Zbawcę, daje jej Ostatnie Pomazanie i Świętych i Aniołów nieba wzywa, by ulatującą duszę przyjęły i u Boga dla niej wyprosiły miłosierdzie. Słońce zaszło — z ostatnim jego promieniem uleciało i życie Mirèi'i; stojący dokoła uczynili znak Krzyża św. nad zwłokami; w rozpaczy klęczą przy zmarłej rodzice i narzeczony, a z kościoła dochodzą poważne dźwięki pieśni, błagającej święte Patronki o pokój dla zbolałych dusz.

Oto w krótkim zarysie treść tych dwunastu składających się na *Mirèio* pieśni. Przedmiot sam nie jest nowy. Podobną opowieść przedstawia nam Goethe w utworze „Herman i Dorota“, a w nowszych czasach amerykański poeta Longfellow w „Ewangelinie“, mającej jedynie inne, potężniejsze może tło. Znany niemiecki pisarz, Fr. Weber, dał nam tragiczny epos „Goliat“, a Longus stworzył swą idyllę „Daphnis i Chloe“, w którą jednak nie potrafił wlać tej czystości, jaką włożył Mistral w swą *Mirèio*. Oryginalności więc przedmiotu nie zawdzięcza *Mirèio* swego rozgłosu; nie przyczyniła się do tego również kompozycya dzieła, która jest dość słabą stroną utworu. Gdzież więc szukać przyczyn tego ogólnego entuzyazmu, jaki przywitał

pojawienie się poematu? Częściowo odpowiedział nam na to Mistral w liście do Lamartine'a, w którym opisuje wrażenie wywołane utworem wśród ludu prowansalskiego: „i któżby był przypuszczał, że ten chłopak Frederi, którego wszyscy znamy, i z którym przecież jesteśmy przez ‚ty', takie piękne rzeczy napisać potrafił i to właśnie o nas!" Entuzyastyczna miłość, którą poeta wlał w swe dzieło i którą najdrobniejsze nawet jego ustępy opromienił, zjednała mu to uznanie i przykuła na stałe czytelników. Chociaż bowiem poemat obraca się dokoła starej a zawsze nowej historyi o czystej lecz nieszczęśliwej miłości, to jednak miłość ta nie jest bynajmniej treścią dzieła, „jest ona tylko nicią, która się przez całość ciągnie" [1] i dokoła której, jak perły na sznurku, grupują się obrazy, epizody i cała akcya utworu. Dlatego też Mistral nie opiewa jedynie losów Maryi i Wincentego — nie! Mirèio to „Prowansya, jej wyrazisty i harmonijny język, jej niebo, zwyczaje, jej krajobrazy, tradycye, jej gorące serce i ruchliwa dusza, tak jak Iliada i Odysea to Grecya pierwotna, jak Boska Komedya to Włochy trzynastego wieku, jak Camoënsa Luziady to Portugalia Jana III. i wielkiego Albuquerqu'a" [2]. Tem też dadzą się wytłumaczyć liczne opisy poematu. Poeta używa każdej okazyi, by sercu swemu, bijącemu gorącą miłością rodzinnego kraju, zadosyćuczynić, i dlatego gdzie tylko się da, wplata w tok akcyi jakiś opis malowniczy, jakiś poetyczny obraz lub potężne porównanie. Więc prowadzi nas z „Maryą" przez pustą Crau'ę, przez spalone stepy Camargu'y, wskazuje morze, które z szumem w piaszczystym ginie brzegu, i obszerne błonia, na których tu i ówdzie rozsiadły się jasne tamaryski. Słusznie też zauważył Gaston Paris, że nie znajdziemy żadnego znaczniejszego objawu życia prowansalskiego, któryby się wiernie nie odzwierciedlał w *Mirèi*'i.

Wielką zasługą tych wszystkich opisów i obrazów jest to, że nie są one dla akcyi bynajmniej obojętnemi, nie idą równolegle z nią, lecz wplatają się zręcznie w tok samej akcyi, tak

---

[1] Welter, *Frederi Mistral,* str. 59.

[2] Cornut, *Les maîtres du Félibrige. Mistral,* str. 143.

że żaden obraz lub opis nie jest niepotrzebnym dodatkiem, służącym tylko dla dekoracyi, gdyż autor przedstawia albo to, co wpływa na zmysły i wyobraźnię osób, albo to co powoduje ich los i warunkuje dalszy rozwój przedmiotu. Klasycznym w tym względzie przykładem jest, zdaniem krytyków np. IV. pieśń „Swaty“, w której między innemi po mistrzowsku maluje Mistral trzody Alari'ego i rumaki Camargu'y. Własność ta uwidacznia się jeszcze wyraźniej w dziewiątej pieśni „Zgromadzenie“. Wysłany przez Ramouna parobek biegnie zwołać wszystkich robotników. Z każdym krokiem wysłańca zmienia się scenerya tak właśnie, jak się jego oczom przedstawiała. Zdala zalatuje go już zapach świeżo koszonego siana, słyszy potem żęcie i widzi wreszcie żniwiarzy, pod których kosami padają łany traw. Rozkaz prowadzi go dalej do kobiet i dziewcząt pracujących w polu, do furmanów przez czerwone od marzanny pola do oraczy, którzy ostremi pługami przewracają ziemię. Przez kwitnące łąki i złote od dojrzewającego owsa błonia wiodą go jego kroki do żniwiarzy, którzy jak żarłoczne wilki, wydzierają latu i ziemi złoto i kwiecie — podobne do namiotów żołnierskich wznoszą się za niemi poustawiane rzędem snopy. Nie tu jeszcze koniec drogi. Wysłannik śpieszy przez gaje oliwne, przez zielone winnice i widzi przed sobą błonia Crau'y i głosi pasterzom rozkaz pana. Opisy te same z siebie przemieniają się w akcyę i jak Goethe w „Hermanie“ przedstawił nam gospodarstwo ojca Hermana tak, jak ono rzucało się w oczy matce, poszukującej syna, tak korzysta Mistral z biegu parobka, by nam pokazać wszystkie posiadłości Ramouna.

Co nas w tych opisach przedewszystkiem uderza, to nadzwyczajna rozmaitość uczuć. Jedne z nich wiosennym powabem chwytają za serce, inne przejmują grozą i roztaczają dantejskie obrazy. Trudno o piękniejszy opis nad ten, który odtworzył Mistral gdy opisywał żeńców, palących na stepie ognie Sobótek, lub starego Ramouna, gdy wychodzi oglądać łany swoje. Wiatr szemrze wśród złotych kłosów, one pochylają się falą, a ze szmerem wiatru dolatuje ucha starca kłosów szept: „Już czas, już czas, wołają jedne; kłosy nasze ciężko do ziemi

się chylą, wiatr nami trąca i złote ziarnka dokoła rozsypuje. A inne: długoż jeszcze na sierp poczekamy? Zaledwieśmy głowy nasze pochyliły, a szeregi mrówek po nas się wspinają i niszczą wonne ziarno". Słusznie twierdził Lamartine, że takie i tym podobne ustępy zasługują na to, by je wyryć złotemi literami.

W stylu Homera znowu przedstawiona jest walka dwóch rywalów na samotnym stepie. Rozdrażniony, od gniewu wściekły, z hańbą na czole a krwią w oczach, ucieka Ourrias po nieszczęsnej przygodzie na swą Camargu'ę; ostrogi wpił w bok rumaka, który piorunem leciał przez błonie a sam Ourrias w swem wzburzeniu chciał druzgotać kamienie Camargu'y i trójzębem przebić słońce. Biada Wincentemu, jeżeli się teraz spotkają — Ourrias odgadł wszystko; nie napróżno przecież widział on chłopca krążącego koło domu, w którym mieszkała Marya. Zły los podszepnął w tej chwili Wincentemu, by się udał do drogiego zakątka; na tej samej ścieżce spotyka się oko w oko z wrogiem. Jak dawni bohaterzy Homera, lub jak rycerze Niebelungów stoją zapaśnicy naprzeciw siebie, z ust ich padają, boleśniejsze od razów, słowa pogardy i przezwisk; wreszcie kroczą do walki. Jakie tu natężenie, jaka siła, jaka namiętność! Całą potęgę swego geniuszu wysilił poeta, by te zapasy dwóch rywalów godnie przedstawić. Dykcya stopniowo rośnie, obrazy się mnożą, porównania nasuwają się same, a jedne potężniejsze, oryginalniejsze od drugich. Silnie a gęsto padają razy, ramiona wrogów zczepiają się, krew się gotuje, żyły zdaje się pękną od naprężenia. Na chwilę przestają walki i stoją niewzruszeni, jak dwa słupy z granitu, ale zaraz zczepiają się znowu i tylko głuche uderzenia rozlegają się w puszczy. Hańba dodaje sił Ourriasowi, Wincentego podnieca miłość ku Maryi; młodzieniec pada, ale podnosi się natychmiast i uderzając wroga w pierś, rani go ciężko. Jak wieża, z łoskotem i hałasem, runął Ourrias na ziemię; Wincenty mógł go ubezwładnić zupełnie, przebaczył mu jednak — było to jego nieszczęściem, gdyż pokonany strasznie się zemścił a teraz ucieka na szybkim rumaku; przez głowę jego strzeliła radosna myśl: dziś wilki Crau'y wesołą sprawią sobie ucztę. Pol de Mont'owi

scena ta przypomina niezrównane polowanie Rubensa, my bliżej w „Ogniem i mieczem“ znajdujemy podobnie silne opisy.

Walka dwóch wrogów mimo całej swej potęgi nie przejmuje jednak grozą; czyni to dopiero obraz nocy nad Rodanem. Słońce już zaszło, ciemność zaległa pustkowie Crau'y, gdy Ourrias na spienionym koniu dobiegł brzegów rzeki; na falach kołysała się łódź, trzech przewoźników siedziało w niej. Ourrias pragnie się przewieźć na drugi brzeg, wsiada do łodzi, konia przywiązuje z tyłu, łódź odbija od brzegu; zaledwie wpłynęła na bystre fale, a już z głębi wypływają świecące ryby, okrążają ją a woda powoli wsiąka przez deski. Strach zjeżył włosy nieszczęśliwemu — lecz czemuż wioślarze widząc groźne niebezpieczeństwo, zdają się go wcale nie zauważać i nie przybijają napowrót do brzegu, ani też nie suną chyżo naprzód? Czyż ci przewoźnicy nie są ludźmi? „Nędzniku, zabiłeś człowieka“, woła sternik, a drugi przypomina sobie, że to dzisiaj noc Medardowa, w której wszyscy topielcy z głębi fal na powierzchnię wypływają — one to tak łodzią kołyszą. Przed oczami wystraszonego Ourriasa pojawia się teraz smutna procesya w całej swej grozie i beznadziejności. Zbliżają się starcy i chłopcy, niewiasty i dziewczęta — przerażający widok! Z zabłoconych sukni, z spleśniałych, porosłych wilgotnemi roślinami włosów, spadają powoli krople wody, a oni pełną piersią wdychają balsamiczne powietrze i rozogniony wzrok topią w ojczystej Crau'y — przechadzają się po brzegu, a tak cicho i spokojnie, że słychać lot muchy i brzęk komara. Dziwna! każdy z topielców trzyma w ręku zapalone światło i zdaje się szukać czegoś na ziemi. Ach! naprawdę szukają oni czegoś — szukają dobrych uczynków z czasów swego życia; jeżeli znajdą taki uczynek, schylają się i podejmują go, a on w ich rękach przemienia się w wonny, rozkoszny kwiat. Kto cały pęk kwiatów uzbierał, tego te kwiaty, jakby na skrzydłach, niosą do raju. Wszyscy inni, którzy niewiele dobrego a złego wiele po sobie zostawili, a więc mordercy, zdrajcy i bezbożni, muszą wracać przed wschodem słońca do swego zimnego grobu, gdzie napróżno zmiłowania Bożego oczekują. Lecz barkę już prawie woda zalewa, w śmiertelnym strachu czerpie ją Ourrias, koń jego nie-

spokojnie się rzuca, chce się urwać, zbrodniarzowi włosy na głowie stają — barka tonie. W tej chwili światła w ręku topielców rzucają na rzekę długi, drżący promień; po tym promieniu wioślarze-upiory spływają na brzeg a ciemne nurty Rodanu zlewają się nad mokrym grobem Ourriasa.

Od tego smutnego, rozpaczliwego obrazu zwróćmy się jeszcze na chwilę do innych rozkosznych, pachnących świeżością, pełnych sielankowego wdzięku. Są to przeważnie ustępy miłosne, tak lekko, delikatnie napisane, że potrafią z pewnością zająć czytelnika. Pieśni te są istnemi klejnotami poematu; skorzystał tu Mistral bardzo szczęśliwie z podań ludowych. Beznagannie prawie piękną jest jego pieśń o Magali, do której użył motywu, znachodzącego się także i w prześlicznej polskiej ludowej pieśni: „Choćby ja jeździł w dnie i w nocy..." Pieśń polska oznacza się może większą siłą i mocą dla tego, że kilka tylko stawia przed oczy obrazów, pieśń prowansalskiego poety, trochę za długa, obfituje jednak w większą, a nader szczęśliwą, rozmaitość myśli i porównań; dlatego też stała się na wskróś ludową i dzisiaj pieśń o Magali rozbrzmiewa z jednego zakątka Prowansyi do drugiego.

Nic również piękniejszego, jak opis pierwszego bliższego zetknięcia się Maryi z Wincentym w pieśni drugiej. Część ta należy do najbardziej oryginalnych w poemacie i w niczem nie ustępuje odpowiednim ustępom w „Odysei" lub w „Wyzwolonej Jerozolimie" [1]. Zbliża się czas zbioru liści morwowych, mających służyć za pokarm dla jedwabników. Na tle czystego nieba przesuwają się wczesnym rankiem między ciemnemi drzewami w malowniczych strojach postaci młodych dziewcząt, podobne do roju pszczół unoszących się nad krzakami rozmarynu. Najpiękniejsza między niemi to Marya — zamiast kolczyków ustroiła się w dwie ciemne, purpurowe wiśnie; jak wielki, błyszczący kwiat tak się odbija jej postać między gałęziami drzewa, na które weszła z zwinnością wiewiórki. Jest coś zamyślona. Drogą przechodzi Wincenty, wysokie pióro zwiesza się zalotnie z jego

[1] Cornut l. c. str. 144.

kapelusza a Marya wzywa go do pomocy. Praca nie postępuje; te dzieci przyrody czują się trochę zaambarasowane. Dziewczę bawi się gniazdkiem ptaszków, które znalazło na drzewie — nagle gałąź się łamie, Marya spada na ziemię; Wincenty śpieszy jej na pomoc. Z oczu dziewczyny wytryska łza, nie bólu wprawdzie, gdyż upadek nie był niebezpieczny — czuje się jednak rozstrojoną. I w tej chwili, w tem czarownem otoczeniu wydobywa się z jej serca tajemnica jej miłości, tej miłości, która tyle miała nieszczęścia i smutku spowodować. Chłopiec uszczęśliwiony, Marya zapłoniona, bo towarzyszki pracy prędko odgadły jej sekret, żartują sobie z niej, cieszą się i śmieją a na zakończenie i zachętę śpiewają tę cudną pieśń „o zwrotkach z kryształu“ [1], pieśń o Magali; i wszystko szepce i szemrze, żartuje i śmieje się, śpiewa i zachwyca się i wszystko łączy się w pochwalny hymn miłości czystej i młodości niewinnej.

Nie potrzeba chyba dodawać, że wszędzie tu jest opisane życie Prowansyi, i że tylko w Prowansyi podobne obrazy widzieć można. „Prowansya — pisze Lamartine — przeszła cała w jego duszę; kraj między Alpinami, Awinionem, Arles i morzem Marsylskiem zamienił się w książkę“ [2].

Nie tylko jednak życie, przedstawione w *Mirè*i jest życiem prowansalskiem; prowansalskiemi są i osoby i to prowansalskiemi tak na zewnątrz, ze względu na ich otoczenie, jak przedewszystkiem ze względu na cały sposób ich działania i czucia. Charaktery te nie odpowiadają wprawdzie pojęciom, jakieśmy sobie urobili o mieszkańcach południowej Francyi; brak w nich tego pulsującego życia, ognistej wyobraźni i usposobienia przypominającego żywe srebro. Osoby *Mirèi*'i to ludzie poważni, trzeźwi, roztropni w postępowaniu — ale bo też takimi są Prowansalczycy i takimi byli ci wszyscy, wśród których żył Mistral w młodości. Życie swe spędzają oni na pracy w polu, w ciężkiej walce o chleb powszedni, a ta walka wyrobiła w nich poważny po-

[1] Cornut l. c. str. 145.

[2] Lamartine: *Cours familier de littérature,* 40 entretien.

gląd na życie, charakter czysty, silny, czasami nawet może trochę ponury.

Najmniej prowansalskiemi są, zdaje się, dwie główne postaci dzieła: Vincèn i Mirèio. Wincenty dumny w swem ubóstwie, oddany całą duszą swemu zajęciu, o sercu niezepsutem i czystem jak kryształ, dlatego też o miłości bezinteresownej. Mirèio znowu zdrowa w swej naturalności, o duszy otwartej i czułej na wszelkie dobro i piękno, ognistej a wytrwałej w swem postanowieniu; pierwsza mówi o swej miłości i tu nie jest całkiem naturalną — prowansalskiego w tych dwóch dzieciach niewiele, jest niem prawie wyłącznie otoczenie, wśród którego żyją i tło, na jakiem się pojawiają.

Czysto za to prowansalską jest postać Ramouna i Ambrożego; w pierwszym przedstawił Mistral swego ojca. Wystarczy przeczytać tylko pamiętniki poety, w których daje obraz ojca i porównać ze starym Ramounem a podobieństwo samo się narzuca. Tych dwu ludzi tylko w Prowansyi zrozumieć można, poza nią pojąć się oni nie dadzą. Niemniej rodzimemi są postaci trzech rywalów: Alari'ego, Veraneta i Ourriasa — każdy występuje ze swą cechą charakterystyczną, jaką na nim wycisnęło najbliższe otoczenie i zajęcie.

Jeżeli jednak w tych obrazach, opisach i charakterystykach trzeba tylko uwielbiać geniusz poety, to nie można tego powiedzieć o wplecionych gęsto w tok poematu epizodach. Miłość kraju i zwyczajów rodzimych przesłoniła oczy Mistrala mgłą i dlatego nieraz pobłądził w tym względzie. Same w sobie są te epizody prawie zawsze doskonałe, małe arcydzieła, wzięte jednak w całości albo tamują bieg akcyi albo też nie dostosowują się do pojęć dzisiejszych, lub nie odpowiadają prawdzie życiowej. Taką jest np. cała pieśń jedenasta, oparta na tradycyi o wylądowaniu Świętych trzech Maryj z Łazarzem w południowej Francyi i krzewieniu tamże nauki chrześcijańskiej. Ustęp ten jest przepyszny pod względem języka i przeprowadzenia rzeczy, odzwierciedla nam też wiernie tradycye Prowansyi i religijny charakter tak całego narodu, jak i samego poety. Akcyi jednak pieśń ta przeszkadza a oprócz tego nie jest bynajmniej

na miejscu w tej chwili, w której Mirèio rażona od słońca, jest blizką śmierci.

Gorzej jeszcze przedstawia nam się pieśń szósta „Czarownica". Prowadzić ludzi, jak mówi jeden z krytyków, w wieku oświaty, kolei i krytyki do groty czarownicy, stawiać nam przed oczy cały *hokus-pokus* narwanej kobiety, wygląda dość dziwnie, tem bardziej, że wprost bez żadnego przygotowania stają przed oczami czytelnika te nieprawdziwe a grozą przejmujące obrazy. Niektórzy widzieli w tej scenie symbolizm; miała ona przedstawiać powolne zanikanie chrześcijaństwa i jego odrodzenie się przez miłość — takie pojęcie rzeczy sprzeciwia się jednak zupełnie charakterowi Mistrala i jest jedynie osobistem, niekoniecznie mądrem zapatrywaniem, które w dziele poety nie znajduje najmniejszego uzasadnienia. Podoba nam się raczej twierdzenie Kreitena, utrzymującego, że owa scena przywiodła mu na pamięć stare ilustrowane wydania Iliady, gdzie Grecy armatami Troję bombardują. Pieśń szósta jest dziś dla nas niezrozumiałą teatralną ozdobą, której nawet talent Mistrala nie potrafił uratować od ogólnego potępienia.

Niemało też rażą w *Mirèi'i* błędy przeciwne prawdzie historycznej. Znachodzą się one od czasu do czasu, najsilniej jednak występują w pieśni trzeciej, gdzie towarzyszki Maryi, proste wiejskie dziewczęta, objawiają taką znajomość średnich wieków i tak zapoznają czytelnika z powstaniem, rozwojem i zadaniem „sądów miłości", że podobne wiadomości jedynie fachowy uczony posiadać może. Usterki te pochodzą stąd, że poeta wybrał „znikająco małą statuę dla swego piedestału i za słabe zapory dla rozległego morza ludowej poezyi. Dlatego musiał obraz przed piedestałem ustąpić a fale zapory przełamać i niepohamowane rozlać się w dolinę" [1].

Nie wszystkim się też podoba właściwe nawiązanie ostatecznej katastrofy; Marya opuszczając nocą dom rodzicielski, by szukać pomocy trzech świętych Patronek, zapomina kapelu-

[1] Kreiten: *Felibre und Felibrige* w *Stimmen aus Maria-Laach* t. IX, str. 296.

sza. To zapomnienie zemściło się okrutnie na biednem dziewczęciu; rażona gorącemi słońca promieniami musiała u celu zginąć. Takie nawiązanie może w istocie nie każdemu do artystycznego przekonania trafi.

I jeszcze jedno zarzuca krytyka poematowi, choć, naszem zdaniem, niesłusznie. W zgonie Maryi widzą niektórzy pewną sprzeczność i nie mogą pojąć, jak dziewczę rwące się do życia, szczęścia i miłości, dziewczę, któremu świat stał otworem i rozkosz ofiarował, może się nagle tak przemienić, że zostaje prawie świętą, i spokojna, bez bólu, bez tęsknoty opuszcza umiłowanego. Jeżeli bowiem uwzględnimy głęboko-religijne wychowanie ludu prowansalskiego a zwrócimy i na to uwagę, że jest on wykarmiony nie „mlekiem dum i mleczem kwiecia", ale od samego zarania młodości baśniami i powieściami, między któremi legendy o Świętych pierwsze zajmują miejsce, to łatwiej zrozumieć, że ta przemiana nie wprowadza bynajmniej sprzeczności do charakteru Maryi, lecz tłumaczy go logicznie i odpowiednio do jego chwilowego nastroju. Zresztą dziewczyna była chorą, tyle rozmaitych wrażeń przeszło w ostatnich dniach przez jej umysł, że nic już w niej nie zadziwia.

Jak wobec tego wypadnie nasz ogólny sąd o poemacie? Zasługuje on w zupełności na to uznanie, z jakiem się spotkał. Przedstawił w nim Mistral w świetle chwały swą piękną, śpiewną, słoneczną Prowansyę. Prosta historya dwóch dzieci stepowych dała mu tylko sposobność; na ten sznur nanizał perły prawdziwej poezyi, których mu dostarczyły zwyczaje, tradycye i piękności natury rodzimej. Stworzył więc dzieło narodowe, w którem Prowansalczyk spotyka co krok swe najmilsze wspomnienia, swe najpiękniejsze krajobrazy, całe swe życie i działalność. „Jego farmerzy i pasterze wprowadzają nas od razu w pierwsze wieki świata. Ich uczucia są swobodne, ich namiętności gwałtowne, ich mowa zwięzła, brzmiąca, cała w obrazach" [1].

---

[1] Saint-René Taillandier: *La nouvelle poésie provençale* w *Revue des deux mondes* r. 1859, t. XXIII, str. 828.

Błędy utworu spowodowała zbyt wielka miłość ojczyzny, która mu nie pozwoliła uronić ani jednego z tych tak gęsto po dawnych podaniach i ludowych baśniach rozsianych klejnotów. Do tych błędów przyczyniło się także pragnienie stworzenia epopei. Epopeją też nazywają niektórzy jego utwór, i my go tak nazwać możemy, choć jest on raczej wspaniałą jakąś epiczną sielanką, pełną wiosennej rozkoszy i zimowej grozy; epicznemi są w poemacie pojedyncze ustępy i tło, nie sama treść. Wogóle wrażenie jest dodatnie, a że *Mirèio* osiągła swój cel, świadectwem słowa francuskiego krytyka: „Zwiedziłem niedawno zakątek, który przedstawił autor *Mirèi*'i... Widziałem drogę, którą tak często przebiegał Wincenty; przy delcie Rodanu ujrzałem dzikie rumaki, czarne buhaje i odgadłem, że między niemi znajdują się Veranet i Ourrias; ten zadumany pasterz, którego liczną trzodę napotkałem na górze, nie jest to czasem dumny Alari? Zdaje mi się, żem spotkał i Maryę, bo wszystkie te figury żyją i dla tego, który przeczytał *Mirèi*'ę, raz na zawsze zaludnią dolinę. Widziałem także te rośliny, te drzewa, te zwierzęta, które nadają krajobrazom ich odrębną, wyrazistą fizyognomię, a które artysta silnemi rysami namalował, krzewy figowe i oliwne, pinie, zielone dęby z rozsochatemi gałęziami, ziemię dymiącą pod promieniami słońca, skalne kwiaty wydające dziwną woń... i flamingi o ognistych skrzydłach, jak żegnają wieczorem ostatnie promienie zachodzącego słońca. Nieraz podziwiałem tę okolicę Alpin; o ile piękniejszą wydała mi się ona, kiedy znalazła swojego wieszcza!“ [1]

(D. c. n.).

Ks. Wiktor Wiecki.

[1] Saint-René Taillandier l. c. str. 838.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Maszkienice. Wieś powiatu brzeskiego. Stosunki gospodarcze i społeczne. Napisał *Franciszek Bujak*. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności 1901, str. 109.

Opisowe badania gospodarcze znajdują się u nas dopiero w początkach swego rozwoju. Szereg lepszych i słabszych opisów pojedynczych powiatów naszego kraju z inicyatywy Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego czyni w bardzo nieznacznej części tylko zadość potrzebie studyów opisowych tego rodzaju. Studya te są pisane głównie przez nauczycieli ludowych, niemających odpowiedniego do badań ekonomicznych przygotowania, oparte na urzędowej, a więc niedokładnej statystyce, a przepełnione materyałami etnograficznemi, mało przyczyniają się do pogłębienia ugruntowania znajomości naszego kraju. Napisanie naukowej monografii tak znacznego co do obszaru i ludności kawałka ziemi, jakim jest powiat w Galicyi, jest zadaniem kilkuletniej mozolnej pracy, której się podjąć może tylko człowiek w wyjątkowo pomyślnych warunkach się znajdujący. Potrzeba przeto, poprzednio zaznaczona, może być zaspokojona jedynie za pomocą badania drobniejszych całości a więc pojedynczych wsi lub parafij, albowiem w nich tylko zaznajomienie się z ludnością, wniknięcie we wszystkie stosunki jej życia, tudzież zebranie i opanowanie materyałów przyjść może z łatwością badaczowi.

Badanie stosunków społecznych i gospodarczych poszczególnych miejscowości może mieć oczywiście znaczenie tylko wówczas, jeśli się te miejscowości uważa za typowe. Postępowanie to posiada wówczas

dużo analogii z postępowaniem, będącem powszechnie w użyciu w naukach przyrodniczych przy badaniu roślin i minerałów, więc z tą presumcyą, że obserwacya przeprowadzona na jednem zjawisku, umożliwia zbadanie konstrukcyi wszystkich innych zjawisk tej samej kategoryi. I w naukach przyrodniczych nawet nie można tej metody przeprowadzić z całą ścisłością ze względu na znaczne różnice, zachodzące pomiędzy poszczególnemi zjawiskami indywidualnemi. O ile więcej musi to zachodzić, gdy chodzi o zastosowanie postępowania tego rodzaju do zjawisk społecznych. W postępowaniu tego rodzaju indukcyjność jest tylko pozorną. Bo mimo wszelkiej dokładności i sumienności wybór typu jest przecież natury ściśle dedukcyjnej, często nawet natury ściśle podmiotowej. Przyznaje to zresztą także p. Bujak. „Że tę właśnie wieś wybrałem — powiada on w przedmowie — powodem jest mój do niej stosunek: jest to moja rodzinna wieś, więc znam ją doskonale. Dokładna znajomość ziemi i ludzi, ich życia i charakterów, gospodarstw i wszystkich nawet drobnych stosunków ułatwiła mi pracę i zachęciła do niej". Z drugiej strony twierdzi autor, że wieś Maszkienice może być uważaną za typ wsi rolniczo-robotniczej, tj. wsi przeludnionej, której ziemia nie wystarcza na wyżywienie ludności bez znacznego obniżenia kulturalnego, z której więc ludność w znacznej części jest zmuszoną do emigracyi za zarobkiem. Nie chcę zresztą bynajmniej przeczyć, że prace tego rodzaju, jak praca p. Bujaka, zwłaszcza tak gruntowne i sumienne, przynoszą niewątpliwy pożytek nauce, zwłaszcza, że jak słusznie autor zaznacza, opisanie większych okręgów terytoryalnych jest połączone z nieprzezwyciężonemi trudnościami. Chodziło mi raczej o zaznaczenie mego metodologicznego w tej kwestyi stanowiska, o zaznaczenie, że typowość Maszkienic musi być uważana bądź co bądź za zjawisko stanowczo hipotetycznej natury.

Część materyałów pracy p. Bujaka jest zaczerpnięta z kancelaryi gminnej, szkolnej i parafialnej, tudzież z ksiąg gruntowych i hipotecznych, przeważna część materyałów natomiast zebrana w drodze ankiety, albo z całą ludnością, albo też z kilkoma gospodarzami, wybornie znającymi miejscowe stosunki, albo wreszcie z tym jednym gospodarzem, którego dana sprawa dotyczyła.

Autor uwzględnia stosunki społeczne Maszkienic przeważnie od r. 1848, częściowo tylko sięgając i do czasów dawniejszych. Wieś istniała już w początkach XIV. w. Dzięki zachowaniu się metryki w urzędzie parafialnym w Jadownikach od pierwszej połowy XVIII. w. przedstawia autor rozwój zaludnienia Maszkienic od półtora wieku.

W ostatnich dwudziestu latach da się zauważyć osłabienie wzrostu ludności.

Autor zauważył również znaczną ruchliwość ludności wiejskiej nietylko w obecnej dobie, ale i za czasów pańszczyźnianych, częste zaś zmiany nazwisk gospodarzy maszkienickich osłabiają ową głoszoną w nauce trwałość pokoleń i rodów na wsi w przeciwieństwie do miasta. Obszar, zajęty przez poszczególne kultury, wcale nie zmienił się w ciągu ćwierci wieku, ubyło tylko ról 2 morgi, z czego pewna mniejsza część obróconą została na łąki, a większa oznacza rozszerzanie się koryta Uszwicy. Co się tyczy rozdziału ziemi, to Maszkienice przedstawiają przerażający obraz rozdrobnienia ziemi, posuniętego ze względu na rolnictwo do rozmiarów wprost mikroskopijnych. Na jednego mieszkańca wypada wprawdzie około 1 mórg gruntu, co oczywiście mogłoby wystarczyć na mierne utrzymanie, gdyby ten grunt był zupełnie równo między całą ludność podzielony i gdyby był choć ze trzy razy lepszy. Ogółem też tylko 11 rodzin mogłoby uchodzić za wcale zamożne, 30 rodzin za średnio zamożne, 65 rodzinom ziemia ta dawałaby jeszcze dostateczne utrzymanie, a 105 rodzin jużby się z niej wyżywić nie mogły, 25 zaś rodzin pozostawałoby w zupełnej nędzy. Jeśli nie zawsze działo się tak faktycznie, to li tylko dlatego, ponieważ rodziny te nie czerpały wszystkich swych dochodów z ziemi tylko. W każdym razie stosunki w tym kierunku były bardzo smutne. Nic dziwnego tedy, że z pośród rodzin, zagrożonych nędzą, 15, z rodzin, walczących z niedostatkiem, około 80 wysyła swych członków na zarobek w świat.

Pod względem technicznym rozdrobnienie przedstawia się jeszcze jaskrawiej. Przeciętna parcela obejmuje tu 370 kwadr. sążni, a więc nieco mniej niż ćwierć morga. Bardzo dużo posiadłości gruntowych są to pasy bardzo długie i bardzo wązkie, niejednokrotnie przytem bardzo rozrzucone. W braku miedzy dozwala zwyczaj dostępu i dojazdu w poprzek cudzych zagonów, za wyrządzoną przez to szkodę mają właściciele prawo żądania wynagrodzenia, ale go prawie nigdy nie żądają. Własność wspólna wcale nie istnieje, majątek gminny jest ograniczony do bardzo drobnych rozmiarów.

Ceny gruntów okazują tendencyę zwyżkową. Ogólną wartość gruntów maszkienickich szacuje autor na 362.800 złr. Zwyżka cen ziemi spowodowana jest wyłącznie przez chłopów, którzy nie tylko kupują grunta między sobą, ale i parcelują obszary dworskie.

W kwestyi przenoszenia własności ziemi drogą spadku zauważył autor cały szereg objawów ujemnych. I tak sąd powiatowy dzieli zawsze

pole wzdłuż, bez względu na jego szerokość, bo stosowanie podziału całości na idealnie równe części, które później geometra na mapie wykreśla, jest łatwiejsze i mniej nastręcza trudności niż podział realny, oznaczający już z góry fizyczne cząstki gruntu (parcele), mające stanowić części równowartościowe. Tymczasem chłopi wolą raczej dzielić swój grunt w poprzek, ratując przez to ile możności szerokość gruntów, wolą także dzielić pojedyńczemi posiadłościami gruntowemi. Wola sądu zostaje zapisana do ksiąg urzędowych. Spadkobiercy jednak bardzo rzadko tylko stosują się do niej, pozostając przy podziale przez rodziców oznaczonym, jako rozsądniejszym i to staje się powodem zamieszania, niezgodności ksiąg z faktycznym stanem. To też nie trudno znaleźć w Maszkienicach grunta, których jeden człowiek jest posiadaczem, drugi dzierżawcą, trzeci podatnikiem, czwarty właścicielem, choć i jego nazwisko wcale nie figuruje w księgach gruntowych.

Uprawa roli uczyniła ogromne postępy w ostatnich 50 latach. Porzucono stare olbrzymie i ciężkie drewniane pługi, które miały tylko same ostrza lichą blachą żelazną kute. Obecnie są w użyciu tylko pługi żelazne. Zarzucono także system gospodarowania trójpolowy, istnieje on tylko szczątkowo i jest stosowanym na wyjątkowo złych gruntach. Obecnie od lat co najmniej 25 obowiązującym sposobem uprawy roli jest gospodarstwo dowolne. Nawożenie roli co trzeci rok jest rzadkie i uważane za niedbałość, to też gromadzeniu obornika i jego konserwowaniu poświęca się wiele uwag i choć gnojówka jeszcze nie zdobyła sobie należnego uznania, to jednak już niektórzy gospodarze wywożą ją w pole, zwłaszcza na łąki lub wypuszczają na przyległe zabudowaniom grunta.

Czynsz dzierżawny jest niezmiernie wysoki, tak że nawet dla bogatszych włościan wypuszczanie w dzierżawę ich gruntu, o ile go sami z rodziną obrobić nie mogą, jest wcale korzystnem. Dzierżawca osiąga bardzo drobne korzyści.

Bardzo jaskrawą wadą gospodarki rolnej jest zupełne niedbalstwo o odwodnienie pól. Maszyny i ulepszone narzędzia rolnicze nie mają, z drobnemi wyjątkami, zastosowania w Maszkienicach.

Chów bydła i koni stoi tu w stosunku do wielu sąsiednich okolic wcale wysoko mimo to, że o ustawę o licencyonowaniu rozpłodników nikt się w całej okolicy nie troszczy, podobnie jak nikt nie stosuje się do przepisów weterynarskich.

Ten znaczny i stały postęp tak w uprawie roli, jak i w chowie inwentarza przypisać należy, o ile chodzi o czasy dawniejsze, kilku go-

spodarzom, którzy przedsiębrali dalsze wyprawy handlowe, o ile zaś chodzi o czasy późniejsze, wzrostowi oświaty i coraz dalej postępującemu uświadomieniu społecznemu.

Najemników używa się bardzo mało, bo zaledwie w 30—40 gospodarstwach. O najmowaniu robotnika rozstrzygają w wielu wypadkach przyczyny nie wynikające bezpośrednio z gospodarstwa, np. wiek podeszły lub zwrócenie się właściciela do zarobkowania w świecie, które z łatwością pokrywa stratę z najmu robotnika pochodzącą, bo przynosi mu co najmniej podwójną płacę dzienną miejscową. Dodać także trzeba, że sąsiedzi pomagają sobie wzajemnie w pracy, albo posyłają swe dzieci nawzajem do siebie na odrobek, zwłaszcza powszechnie to się praktykuje przy sadzeniu i kopaniu ziemniaków („na odkopki"). Nie dzieje się to jednak dla zarobku, ale raczej dla oszczędzenia sobie trudu przez pracę w towarzystwie.

Płaca dzienna wynosi w czasie głównych robót polnych 50 ct., w wyjątkowych wypadkach podnosi się do 60 ct. Dzień roboczy trwa zwykle od wschodu słońca do samego zachodu, ale często opaźnia się rozpoczęcie roboty, gdyż dopiero o wschodzie wyrusza się w pole.

Stała służba, używana do codziennych usług gospodarskich, znachodzi się tu dość rzadko. Nawet zamożniejsi gospodarze jej nie trzymają, jeśli mają dzieci mogące już sprostać w całości obowiązkom gospodarstwa domowego.

Zbyt szczupły warsztat pracy, nadmiar sił roboczych a małe ich zapotrzebowanie sprawia, że emigracya za zarobkiem odbywa się w dość obszernych rozmiarach. Wychodźtwo to kieruje się przeważnie do Ostrawy. Robotnicy, pochodzący z Maszkienic, są w połowie cieślami, w połowie robotnikami ziemnymi. Sezon roboczy ma przeciętnie 26 tygodni czyli 130 dni roboczych. Oszczędność zawisła przeważnie od wielkości dziennej płacy i hartu woli.

Robotnicy maszkieniccy, emigrujący za zarobkiem, stanowią z reguły najniższą warstwę społeczną. Żyją razem ze sobą, co sprawia większą ich odporność narodową, ale też utrudnia przynoszenie oświaty do wsi rodzinnej. Odrębną kategoryę emigrantów za zarobkiem stanowią obieżysaski, emigrujące do Magdeburga, Westfalii, Danii i t. d.

Zarobki coroczne wsiąkają w gospodarstwa we wsi. Z nich pokryć trzeba pomoc w obrobieniu pola, bez której pozostałe żony nie mogą się obejść, jeżeli niema doroślejszych dzieci lub pola jest więcej i to odleglejszego. Trzeba następnie kupić niekiedy paszy dla bydła, spłacić jakieś długi, sprawić ubranie i przedewszystkiem trzeba dołó-

żyć do dochodów z ziemi osiągniętych, aby przeżyć rok cały. Trzeba dalej uzupełnić inwentarz żywy i martwy, dokończyć lub postawić budynki i uregulować stosunek do rodzeństwa, z własności ziemi wynikający. Wogóle wychodźtwo za zarobkiem przynosi Maszkienicom ogromne korzyści, tak pod względem ekonomicznym, jak i pod względem kulturalnym.

W przemyśle maszkienickim najwybitniejsze stanowisko zajmuje tkactwo, uprawiane przez 6 miesięcy w roku i siciarstwo, uprawiane nawet prawie przez cały rok. Tak jedno jak i drugie ma jednak niewątpliwe cechy przemysłu domowego.

Zakupno i sprzedaże odbywają się za jednym zachodem w okolicznych miejscowościach targowych. We wsi istnieją 4 sklepiki, 2 żydowskie i 2 chrześcijańskie. Kółko rolnicze, utrzymujące dawniej sklepik, obecnie zupełnie jest bezczynne.

Kredyt odgrywa tu oddawna wybitną rolę, ale ludność nauczona smutnem doświadczeniem z Bankiem włościańskim, unika zaciągania długów hipotecznych a poszukuje kredytu osobistego i prywatnego, woląc nieraz płacić większe procenta, niż być narażoną na spłacanie długu, ściśle określonego ratami, których niejednokrotnie dotrzymać nie jest w stanie. Również zmniejsza się także poszukiwanie kredytu bieżącego, każdy stara się zawsze zadowalać własnymi środkami, a nie szukać obcej pomocy i woli raczej przebiedować lub obejść się zgoła, niż pożyczać pieniędzy.

Kredytu *in natura* udzielał dawniej śpichlerz gminny. Obecnie śpichlerz ten już nie istnieje. Natomiast funkcyonuje bardzo prawidłowo kasa pożyczkowa gminna. Od żydów pożycza się niewiele. Interesami kredytowymi zajmowało się też 8 gospodarzy. Kredyt hipoteczny najwięcej znajdował zastósowania w latach 1876—1880. Kredytu tego używano jednak na cele ściśle osobiste, a nie na cele gospodarstwa, słowem marnotrawiono go formalnie.

W trzech ostatnich latach odbyła się parcelacya obszaru dworskiego. W parcelacyi wzięło udział 39 rolników i 43 robotników, przyczem ci ostatni nie zaciągali z tego tytułu żadnych prawie długów (w przeciwieństwie do rolników). Majątek ten był od dawna zresztą skazany na parcelacyę, ponieważ wszystkie grunta były chłopom wydzierżawione, a nie było ani inwentarza ani budynków gospodarczych.

Stosunki kulturalne są bardzo proste, nie wykazują też żadnych cech specyalnych. Chaty budowane nędznie, zdrowotność bardzo mała. Pijaństwo, które dawniej grasowało, obecnie jest mało rozpowszech-

nione. Kwestyę zawarcia małżeństwa traktuje się ze stanowiska ściśle ekonomicznego. Sąd nie budzi zaufania.

W życiu politycznem Maszkienice biorą słaby udział. We wsi istnieją dwie partye: ludowa (rolnicy) i radykalna (robotnicy). Przy ostatnich wyborach gminnych zwyciężyła ta ostatnia.

Prawo polowania jest własnością gminy od dawna. Szarwarki nie dają się ludności zbytnio we znaki. Ubezpieczenie od ognia jest mało rozpowszechnione, ponieważ pożary zdarzały się bardzo rzadko.

Analfabetów jest mało, bo zaledwie 17·5%. Mniej natomiast jest rozpowszechniona sztuka pisania. Czytelnia ludowa rozwijała się przez czas krótki. Maszkienicanie wykonują wiernie wszelkie praktyki religijne.

Są oni bowiem bardzo pracowici i pracują nawet w późnej starości. Powag nie lubią, ale uznają wyższość, na tradycyi lub sankcyi opartą. Gospodarze zamożni z praojców uważają się za coś w rodzaju arystokracyi rodowej. W ogólności Maszkienicanie są bardzo trzeźwi i znakomicie usposobieni do walki o byt.

Dr. Z. Gargas.

Wespazyan z Kochowa Kochowski. Studyum biograficzne. Napisał *Jan Czubek*. Kraków 1900. Osobne odbicie z tomu XXXII. Rozpraw Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie. 1900. Str. 189.

Bogaty plon zebrał prof. Czubek, odszukawszy obfite materyały w księgach krakowskich aktów grodzkich i ziemskich do życiorysów Wacława Potockiego i J. Ch. Paska. W życiu pierwszego udało się badaczowi wyjaśnić głęboki tragizm, płynący z rozterek religijnych, nurtujących w rodzinie Potockiego, o Pasku zaś stwierdziło się, już przedtem po części istniejące mniemanie, że nie był to człowiek o zbyt szlachetnych rysach charakteru. Plon ten mniejszym i mniej cennym jakościowo jest w ostatniej pracy prof. Czubka, poświęconej W. Kochowskiemu. Dwa razy był Kochowski żonaty i umarł 6 czerwca 1700 a nie 1699, jak dotychczas mniemano, to najważniejsze wyniki tej rozprawy. Prof. Czubek nazwał swą pracę „studyum biograficzne“ i to jest przyczyną, że podpisany, zajmując się od lat kilku Kochowskim, ośmiela się nieco obszerniejszej ocenie poddać niniejszą pracę. Że Kochowski miał jedno tylko imię: Wespazyan, a drugie (imię jego syna) dodał mu setnie bałamutny Rzążewski, o tem bezpotrzebnie rozpisuje się p. C., wszak wszystkie pierwodruki, zbiorowe wydanie dzieł Ko-

chowskiego przez Tarnowskiego (Kraków 1859), rozprawy znane i nieznane p. Czubkowi o Kochowskim, nieznany mu panegiryk Tarczewskiego [1] i t. d. podają tylko imię „Wespazyan". Po stwierdzeniu jedyności imienia poety, daje nam autor, idąc w ślady Rzążewskiego, wywód heraldyczny Sarnów-Nieczujów-Kochowskich, później streszczenie kilku procesów, jakie wiódł ojciec poety, podobnych setkom innych rozgrywających się w onych latach, a wreszcie po dłuższym wywodzie godzi się na ogólnie przyjęty rok urodzenia się poety 1633. Dość hipotetycznie wyraża p. C. twierdzenie, jakoby Kochowski raczej niż uczniem Akademii krakowskiej był uczniem Kollegium Nowodworskiego, będącego jakoby wstępną klasą do tejże Akademii. Bardzo być może, że tak było, ale dowody autora nie są jeszcze w zupełności wystarczające. Z ustępu w *Annales* (II. 103—105), prawiącego o szkodliwości wielkiej liczby szkół, wnosi dość śmiało p. C. o niechęci poety ku Jezuitom. (Kto zna zapatrywania religijne poety, ten ma pewne wątpliwości co do trafności tego wniosku). Niechęć ta ma być rzekomo wynikiem należenia poety kiedyś do poczetu uczniów kollegium. Nie jest też stanowczym dowodem na to, że *Alma Mater Jagiellonica* formowała umysł Kochowskiego *Praeliminare*, jakie ksiądz Jan Radzki Kochowskiemu *„olim in humanioribus disciplinis Academiae crac... suo discipulo"* napisał do *„Hypomnema reginarum Poloniae"* [2]. *Disciplinae humaniores* bowiem mogą oznaczać i Kollegium Nowodworskiego, będące wstępem do Akademii, a za takiem ich tłumaczeniem przemawia fakt, że nasz poeta nie był w języku greckim zbyt biegłym, a nawet i łacina jego „ani klasyczną, ani piękną nazwać się nie może". Oto dalsze słowa, jakiemi ocenia ją znakomity bezsprzecznie filologii znawca prof. Czubek: „Jej ciężkość, zawiłość i chropowatość nie ma w sobie nic z potoczystości i okrągłości cycerońskich okresów, nie lepiej ma się rzecz i z realnemi wiadomościami naszego poety".

Uzasadniwszy ten sąd co do małej znajomości języka łacińskiego i rzymskich realiów Kochowskiego, rozpoczyna badacz „Kronikę potoczną wypadków w życiu Kochowskiego". Są tu rzeczy w najznaczniej-

[1] „Sol in Lunis Bethlemiticis Ortus Christus Deus noster Liryco Concentu Celebratus ac Illustri et Magnifico Domino Vespasiano a Kochów Kochowski S. R. M. Cubicolario Inclyti Sarmatici Regni celeberrimo Historiographo et In Strenam A Joanne Tarczewski in Alma Universitate Crac. Artium et Phil. Baccalaureo cum submissa Veneratione et gratulatorio Applausu oblatus.

[2] Zwróciłem na to pierwszy uwagę w „Zapatrywaniach religijnych Kochowskiego" str. 6.

szej części znane. Służba wojskowa poety i jego ślub w r. 1658 z wychowaną u swej babki Katarzyny Oraczowskiej w Grudzinach Maryą Misiewską. Ślub odbyć się miał wbrew zwyczajom kościelnym pomiędzy 9 a 17 grudnia t. r. Wkrótce potem zamyka się w życiu Kochowskiego okres rycerski, a rozpoczyna ziemiański. Wypadków potocznych w życiu poety mniej, więc kogo tylko wspomniał Kochowski w swych fraszkach, komu wiersz jaki poświęcił, z kim był w jakimkolwiek, choćby dalekim stopniu pokrewieństwa, tego prof. Czubek doszukuje się w zapiskach aktów sądowych i ziemskich krakowskich lub w *Annales* i takiemi szczegółami zapełnia sporo kart (str. 36—76) swego studyum biograficznego. Praca to niezbyt pożyteczna, choć przyznać należy, że do rozjaśnienia genezy drobnych wierszyków nieco światła dorzuca. Zwłaszcza stosunek przyjacielski, jaki łączył naszego poetę z Janem Gawińskim, również poetą, zyskuje tu wiele nowego oświetlenia. Nie wspomina tylko autor, że o tej przyjaźni już poprzednio pisano [1].

Kłopoty finansowe są ustawicznym udziałem Kochowskiego. Z aktów wyciągnął prof. Czubek cały długi szereg spraw, których pozbyć się usiłował nasz poeta, niestety częściej napróżno. Ciekawy typ przedstawia szlachcic-lichwiarz, stryj poety, Aleksander. Nie był on za życia swego pomocą poecie, owszem zawikłał go raz nawet, w r. 1662, w awanturę z kahałem kazimierskim, gdy ustąpił mu część swego kapitału, umieszczonego u żydów kazimierskich na 10%. Wespazyan, nie mogąc nic u żydów wskórać słowami, przemówił do nich obuchem i kańczugiem, za co też „o mało nie zabici“ żydzi zanieśli protestacyę do grodu.

Sprawę działu ojcowizny przedstawia prof. Czubek zgodnie z poprzednimi biografami Kochowskiego, dodając nadto dokładne przedstawienie sposobu pierwszego, w jaki ta rzecz się odbyła. W latach 1668/9 rozpoczyna Kochowski zawód poety politycznego, w tym czasie wydaje „Kamień Świadectwa“. Trudno orzec, czy go napisał pod świeżem wrażeniem, jakie odniósł na pogrzebie Jerzego Lubomirskiego, czy też uległ namowom i zachęcie rodziny nieboszczyka. Po „Kamieniu“ idzie długi szereg drobniejszych wierszy religijno-politycznych, których rozbiorem i ugrupowaniem zająłem się w „Zapatrywaniach religijnych W. Kochowskiego“ (Kraków, *Przegląd Powszechny* T. II. 1894). Pewną liczbę z tych wierszy wspomina też mimochodem i prof. Czubek, szerzej zastanawiając się nad rolą, jaką odegrał Kochowski po abdykacyi

[1] *Biblioteka Warszawska* 1873. T. IV., str. 445—453.

Jana Kazimierza, pisząc aż trzy broszury wierszowane, polecające wybór Piasta. Zdaniem p. Cz. trzeba się w tym wypadku liczyć z wpływem ks. podkanclerzego Olszewskiego, tem prawdopodobniej, że „w trzy lata później, t. j. w r. 1671, wyrabia ks. podkanclerzy naszemu poecie podżupkowstwo w Wieliczce i puszcza w dzierżawę Kobylany i Brzezinkę nietyle może za popieranie Piasta, ile za późniejszą „Muzę Słowiańską", „Dziewosłęba Wiedeńskiego", „Hymen Jasnogórski", wreszcie za *Munus Civile* i *Praeliminare*. Podżupkostwo nie trwało długo, bo już w r. 1673 zamienił je król na pensyę roczną 500 złp. Pensyę tę pobierał Kochowski jeszcze i po śmierci Sobieskiego. Praca zatem w kancelaryi ks. podkanclerzego ujęła poecie trosk materyalnych, a twórczości poetyckiej Kochowskiego nie przyniosła widocznej szkody.

Dopiero w r. 1673 urodził się w pierwszych dniach października Kochowskiemu syn Hieronim Franciszek. Rok następny, to początek zatargu Kochowskiego z cenzorem ks. Szymonem Makowskim *ex re* wydania „Niepróżnującego Próżnowania". Zatarg to głośny, przez p. Czubka przedstawiony barwnie i zajmująco. W r. 1676 wybucha spór na nowo z ks. S. Makowskim, tym razem o „Fraszki". Ks. Nuncyusz, arcybiskup prymas Olszewski, sejmiki proszowski i opatowski, Sandomierzanie i liczne *illustrissimae personae* świeckie dopiero rzecz tę do końca doprowadzają. W r. 1677 lub 1678 umiera poecie pierwsza żona, Marya Misiowska. Pocieszycielem w tem strapieniu jest Kochowskiemu Gawiński. Kochowska umarła prawdopodobnie skutkiem morowego powietrza. Trafnem zdaje mi się być odniesienie genezy dwu utworów religijnych Kochowskiego „Ogrodu Panieńskiego" i „Chrystusa cierpiącego" do chwil smutku, wywołanych śmiercią pierwszej żony. Poeta nasz był prawdziwym męczennikiem t. zw. opieki, a tak opiekuństwo nad licznymi małoletnimi krewnymi, jak i ojcowstwo było mu źródłem przelicznych zmartwień. Syn Kochowskiego, jak ponoś zwykle synowie wielkich ojców, (a wielkim w swym wieku był bez wątpienia nasz Wespazyan), był nicponiem i hulaką, rwącym się do wesołych kompanijek i hulanek. W mej pracy p. t. „Psalmodya Kochowskiego" [1] podniosłem słowa, które i p. Czubek cytuje. „Rodzina i krewni tylko zaglądają nazierkiem z wierzchu, płaszczem pokrywając chciwość puścizny". Rzecz niewątpliwa, że rodzina i krewni to pleonazm, a w skardze swej miał schorowany i stary poeta na myśli przedewszystkiem swego jedynaka.

[1] Kraków 1896. „Sprawozdanie gimn. św. Jacka".

P. Cz. godzi się poniekąd z mem zapatrywaniem, że „Psalmodya“ nie powstała od razu; początek jej przenosi na czas przed r. 1670. „Psalmodya“ była zdaniem autora „pisana około tego właśnie czasu, choć także wcześniej i później“. Jak długiem jest to „wcześniej i później“? Dziwnem jest mniemanie, że „Psalmodya“ była przez lat kilkadziesiąt pisana. Współudział Kochowskiego w wyprawie wiedeńskiej opisany bez wybitnie nowych szczegółów. Podniesienie, a raczej podwojenie konferowanego dawniej jurgieltu za zasługi historyograficzne, śmierć drugiej małżonki i wielbionego króla Jana III, wydanie III-go „Klimakteru“, a wreszcie zgon poety zajmują ostatnie karty omawianej przez nas pracy. W anneksach „Epitaphium Imci Panu Samborowi Młoszowskiemu“ w nieznanym waryancie z bibl. Ossolińskich wydobyte, „Respons Imci Panu Kochowskiemu od Imci Pana Młoszowskiego“ i *Epitaphium* (łacińsko-polskie) *inscriptum M. D. Domaszewska capitaneae Lukowiensi 4-ti voti coniugi a Dno Kochowski poeta nativo,* wydane z rękopisów bibl. Jagiell. Jest to opis życia awanturnicy Agnieszki Machownej, która, przybrawszy nazwisko Aleksandry Zborowskiej, czterykroć zmieniała mężów, aż głowę katu oddała w Lublinie 12 lipca 1681 r. Przywilej króla Jana III. na 1000 zł. rocznej pensyi i tablice genealogiczne Kochowskich, Janowskich i Misiowskich kończą tę pracę.

L. M. Dziama.

Marco Beneventano, Kopernik, Wapowski, a najstarsza karta geograficzna Polski. Napisał *L. A. Birkenmajer.* (Osobne odbicie z Rozpr. Wydz. mat.-przyr. T. XLI. Serya A. Akad. Um. w Krakowie). 1901.

Do pobytu w Italii Kopernika odnosi się ten moment, któremu osobną rozprawę poświęcił znakomity, iście benedyktyńskiej pracowitości biograf naszego wielkiego astronoma. W Italii zacieśniły się stosunki blizkiej znajomości między przyszłym kanonikiem frauenburskim a celestyniańskim zakonnikiem, matematykiem, geografem i astronomem Markiem de Beneventano. Znał tego uczonego zakonnika również przyjaciel Kopernika, Bernard Wapowski. Poznał się z nimi Benewentano (prof. Birkenmajer nazywa go raz Benevento, raz Beneventano, to znów polszczy go i zwie Benewentanin) w Bolonii około r. 1500, później bawił czas jakiś w Wenecyi, gdzie żył bliżej z Janem Baduariusem, byłym legatem Signoryi weneckiej do Polski, wspomnianym w kronikach Miechowity i Wapowskiego. W r. 1507 na żądanie rzymskiego księgarza Tosino wspólnie z Fabritiusem de Verano i Corneliusem Benignem de Viterlo wydał Geografię i Planispherium Ptolomeuszowe,

pomnożone kilku kartami Ameryki i Polski, Mazowsza, Prus. Ostatnią kartę narysował uczony mnich dzięki szczegółom, otrzymanym od Kopernika i Wapowskiego. Rastawiecki w „Mappografii dawnej Polski“ znał tylko drugą edycyę z r. 1508, o tem, że karta ta wykonana została w r. 1506, a odbita po raz pierwszy w 1507, nie wiedział. Miejsce urodzin Wapowskiego, Radochowiec w Przemyskiem i tamże leżące Wapowice, choć to miejscowości nie historyczne, są na tej mapie uwidocznione, podobnie stało się z miejscowościami grającemi jakąś rolę w życiu Kopernika lub jego krewnych. W latach późniejszych posiadał w bibliotece swej prywatnej Kopernik Beneventana *Apologeticum Opusculum*, co świadczy, iż stosunki wzajemne obu tych uczonych nie zerwały się i nie poszły w niepamięć. Szczegóły z życia Beneventana, jego stosunek do współczesnej astronomii, matematyki, filozofii i geografii, dokumenta i wiadomości źródłowe, wiadomości o osobistościach, z któremi Beneventano w stosunkach pozostawał, podobizna *tabulae modernae Poloniae* zamykają zajmującą tę pracę.

L. M. Dziama.

Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk. 1800—1832. Monografia historyczna osnuta na źródłach archiwalnych przez *Aleksandra Kraushara*. Księga I. Czasy Pruskie. 1800—1807. Z illustracyami. Kraków—Warszawa 1900. (W 8-ce str. 10 nl. + 407 + 1 nl.).

Monografii, któraby przedstawiała dokładne prace Towarzystwa Przyjaciół Nauk, nie mieliśmy dotąd. Główną przyczyną takiego stanu rzeczy był brak źródeł i dostatecznych materyałów. Dopiero źródła rękopiśmienne stanęły otworem dla p. Kraushara, który wyzyskał zawartą w nich treść, ażeby w setną rocznicę założenia Towarzystwa przypomnieć dzieła, jakie wyszły z łona tej pierwszej, że tak powiemy, u nas Akademii. W ten sposób otrzymaliśmy pierwszy tom obszernej publikacyi, który obejmuje tylko pierwsze siedmiolecie prac i działań Towarzystwa. Do pisania recenzyi tego dzieła nie czujemy się na siłach, ale warto, choć pokrótce, zaznajomić czytelnika z treścią pracy p. Kraushara.

Skreśliwszy w zwięzłych słowach zamiary, jakie pragnęli wykonać w kierunku reformy wychowania publicznego pruscy mężowie stanu po przejściu Warszawy pod panowanie niemieckie, zajął się autor szczegółowem rozpatrzeniem projektów, które miały na celu z jednej strony germanizacyę młodzieży i całej prowincyi, z drugiej znowu zużytkowanie funduszów komisyi edukacyjnej na cele niewłaściwe. Po tym

dopiero wstępie przeszedł p. Kraushar do naszkicowania stanu umysłowości polskiej na schyłku XVIII. wieku, która miała takich reprezentantów, jak: Naruszewicz, Krasicki, Trembecki, Karpiński, Kniaźnin, Woronicz, Niemcewicz, ks. A. Czartoryski, Staszic, Czacki, Kołłątaj, Albetrandi, Zabłocki, Osiński, ks. Kopczyński, Linde, hr. Ossoliński, Śniadeccy i inni. Nie dziw więc, że z grona tych ludzi, którzy odznaczyli się wielkiemi zasługami na rozmaitych polach pracy czy to literackiej, czy naukowej, czy pedagogicznej, wyszedł projekt stworzenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk pod koniec roku 1800. Celem zaś tej instytucyi było „przykładanie się do rozszerzenia nauk i umiejętności w polskim języku". Wnet odbyło się pierwsze publiczne posiedzenie członków młodego Towarzystwa, na którego czele stanął Albertrandi. Towarzystwo pozbawione dostatecznych środków materyalnych musiało początkowo odbywać posiedzenia wydziałowe w domach prywatnych. Na tych posiedzeniach oprócz programowych przemów odczytywano rozprawy z różnych działów umiejętności. Ale — jak to często dzieje się — znalazło też niebawem Towarzystwo wroga w jenerale Kajetanie Hebdowskim, który w wydanej bezimiennie broszurze starał się obniżyć i ośmieszyć aspiracye tego grona ludzi. Na szczęście — pocisk chybił, a zarazem zachęcił członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk do tem gorliwszej pracy, która zadała najoczywiściej kłam insynuacyom Hebdowskiego. Wśród częstych dyskusyj na posiedzeniach wynurzały się przeróżne projekta, jak np. Albertrandego w sprawie napisania historyi polskiej, lub też w sprawie podniesienia piśmiennictwa naszego i wzbogacenia ojczystego języka. Co więcej, Towarzystwo uzyskało podczas pobytu pruskiej pary królewskiej w Warszawie w roku 1802 protekcyę panującego, która pozwalała oprzeć na trwalszych podstawach rozwój dalszej działalności. Instytucya wszelako sama dążyła nieustannie do ulepszenia swoich stosunków. I tak zaprowadzono dziennik posiedzeń członków Towarzystwa, jakoteż zastanawiano się nad sposobami zapewnienia temu ciału uczonemu niezbędnych dla jego istnienia funduszów, bo same składki członków Towarzystwa nie wystarczały. Praca naukowa rozwijała się nadzwyczaj pomyślnie, bo na posiedzeniach oprócz rozpraw naukowych roztrząsano przeróżne projekty, a więc „ustanowienia i udoskonalenia terminologii polskiej w naukach i umiejętnościach", lub też „czy wolno stare pismo poprawiać?", albo sprawę napisania dzieła elementarnego o historyi naturalnej i dziejów literatury polskiej. Rok 1803 przyniósł znowu projekt „rozszerzenia zamiarów Towarzystwa przez założenie „Ateneum" lub „Liceum"

na wzór zagranicznych tego rodzaju instytucyj, niemniej obmyślenia środków pomnożenia poprawnych edycyj pisarzów wzorowych i obniżenia ich ceny", jako też zapowiedź ukończenia „Słownika języka polskiego" Lindego, na którego druk otrzymał był autor zapomogę od cesarza Aleksandra I. w kwocie 500 dukatów. Rok 1804 znowu przyniósł wiele, bo udzielenie urzędowej sankcyi Towarzystwu przez Fryderyka Wilhelma III. Od chwili otrzymania patentu królewskiego postanowiło Towarzystwo podzielić się na trzy sekcye: matematyczną, filozoficzną i literacką, z których każda miała obradować peryodycznie na posiedzeniach prywatnych, a rezultaty prac swoich przedstawiać na sesyach „centralnych". W r. 1805, w którym upłynęła czteroletnia kadencya urzędowania prezesa Towarzystwa, wybrano ponownie Albertrandego, nadto dzięki ofiarności Staszica przystąpiono do budowy własnego gmachu „na Kanoniach". Tymczasem nadszedł rok 1806, a z nim burze napoleońskie. Wnet Warszawa została zajęta przez wojska francuskie. Na tem kończy p. Kraushar omawiany przez nas tom.

W dodatkach, zajmujących niemal 100 stron, pomieścił pierwotną ustawę Towarzystwa Przyjaciół Nauk, oraz kilka listów, mów i projektów członków Towarzystwa. Na zakończenie dodajmy, że całe dzieło p. Kraushara zostało ozdobione wielu rycinami, podającemi wizerunki członków tej naszej pierwszej Akademii Umiejętności, jako też widoki Warszawy za czasów pruskich.

Stanisław Zdziarski.

O skrupulatach. Napisał *ks. dr. Adam Gerstmann*, docent uniwersytetu lwowskiego. Lwów 1901. (Str. 51, w 8-ce).

Autor obrał temat każdemu spowiednikowi aż nadto dobrze znany, a jednak zawsze aktualny, rzecz o skrupulatach. Skrupuły, to choroba duszy, zwykle uporczywa, najczęściej z chorobliwości fizycznej płynąca, pełna kaprysów i urojeń, która sprawia, iż penitent nią dotknięty, jest ciężkim krzyżem dla samego siebie i prawdziwem utrapieniem dla spowiedników. Czy choroba ta jest nieuleczalną? Nie — ale pod dwoma warunkami: 1) jeśli się ją leczy rozumnie, konsekwentnie i z miłością; 2) jeżeli pacyent zechce być stale posłusznym. Oto krótka treść rozprawy ks. Gerstmanna, zawarta w siedmiu paragrafach. W dwóch pierwszych podaje autor określenie i objawy choroby, w § 3 jej przyczyny, w § 4 szkody rozmaite, jakie wyrządzają skrupuły w §§ 5 i 6 ogólne sposoby leczenia skrupułów, w § 7 sposób postępowania ze szczególnymi rodzajami skrupulatów.

Autor wyzyskał dobrze odpowiednią literaturę pastoralną, w której — nawiasem mówiąc — moraliści rozmaitych odcieni są wyjątkowo najzupełniej zgodni. Szkoda, że nie uwzględnił także G. Rodera *(Considerationes pro reformatione vitae in usum sacerdotum maxime tempore exercitiorum spiritualium*, ed. 2, Friburgi Br. 1891), który może najgłębiej wniknął w psychologię skrupułów, zwracając uwagę na rozliczne komplikacye tej choroby.

Rozprawka napisana zwięźle, jasno, a przedewszystkiem praktycznie. Autor ma talent popularnego przedstawiania rzeczy; więc dziękując za już, prosimy o więcej... A jeśli ks. Gerstmann wysłucha naszej prośby, to prosimy też, aby nam dawał na przyszłość „spis rzeczy“ i postarał się o lepsze przeprowadzenie korekty, która i tym razem wiele pozostawia do życzenia (np. *go* zam. *je* acc. rodz. nijak. str. 1 i 33; nadzie*ji* zam. nadzie*ć* str. 22, 28, 29; pokusy, któ*rych* Bóg dopuszcza, zam. któ*re* str. 26; postępy*wać* zam. postępo*wać* str. 33; nieodpowiedn*ego* zam. nieodpowiedn*iego* str. 35; Lemkuhl zam. Le*h*mkuhl str. 39, dwa razy; należy *go* objaśnić zam. *mu* wyjaśnić, nie wymieniając już błędów interpunkcyi i niewłaściwego łączenia lub odłączania przysłówka *nie* i w. i.). Wątpimy też mocno, czy można mieć niepokonalnie błędne sumienie co do godziwości i konieczności krzywoprzysięstwa (przykład o kolizyi obowiązków na str. 9 nr. 7).

Ks. Eugeniusz Hełczyński

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Geschichte der österreichischen Land- und Forstwirtschaft und ihrer Industrien 1848—1898. Wien 1899. M. Perles. I. tom, I. część. Lex. 8-vo, str. 578.

Z okazyi przypadającego w r. 1898 pięćdziesięcioletniego jubileuszu panowania cesarza Franciszka Józefa utworzył się w r. 1897 pod protektoratem ministeryum rolnictwa komitet, złożony z przedstawicieli rad kultury krajowej, towarzystw rolniczych i leśniczych całej monarchii, aby wydaniem historyi rolnictwa i leśnictwa za przeciąg lat od 1848—1898 uświetnić tę niezwykłą rocznicę. Pomysł zaiste bardzo szczęśliwy. Półwiekowe bowiem panowanie sędziwego monarchy obejmuje właśnie okres zmian, wprost nawet przewrotów, socyalnych, gospodarczych i technicznych, które monarchię naszą ze średniowie-

cznych niemal form bytu podniosły na wyżyny nowożytnego organizmu społeczno-państwowego.

To też określenie udziału, jaki w tych zmianach miało rolnictwo i leśnictwo, ma nietylko ogólne historyczne i społeczne znaczenie, lecz także jest ważnym przyczynkiem do rozpoznania dzisiejszego stanu produkcyi rolnej i leśnej, do zapoznania się z położeniem obecnem warstw ludności, żyjącej z tejże właśnie produkcyi. A że położenie to obecnie różowem nie jest, więc zbytecznem byłoby rozwodzić się szerzej nad znaczeniem dzieła, przedstawiającego historyę rolnictwa i leśnictwa w Austryi w latach 1848—1898.

Owocem trudów tego wielogłowego komitetu jest wielkie czterotomowe dzieło (przeszło 4000 str., lex. 8-vo), opracowane podług zakreślonego przez komitet planu przez liczny poczet fachowców i specyalistów w szeregu uzupełniających się monografij.

Niniejszem zamierzamy czytelnikowi zdać pokrótce sprawę z materyału zawartego w pierwszej połowie pierwszego tomu dzieła jubileuszowego. Obejmuje ona mianowicie dzieje ustawodawstwa, odnoszącego się do ustroju agrarnego *(Geschichte der Agrarverfassung)* i dzieje administracyi agrarnej 1848—1898.

Dzieje ustroju agrarnego (str. 1—535) obejmują 7 rozdziałów.

Rozdział pierwszy pióra d-ra Karola Grünberga omawia zniesienie stosunku pańszczyźnianego. Autor w historycznym wywodzie sięga początków XVIII. w. — przedstawia jak podjęta zrazu ze względów fiskalnych państwowa ochrona chłopa polepsza osobiste i posiadaniowe stosunki prawne stanu chłopskiego — i dąży do uregulowania i ograniczenia ciężarów pańszczyźnianych. Reformy te o charakterze zachowawczo-umiarkowanym za Maryi Teresy stają się prawie rewolucyjnemi za Józefa II., przez co wywołują naturalną reakcyę — martwotę na polu reform agrarnych trwającą aż do połowy XIX. w. Wykazawszy połowiczność reformy próbowanej dekretem z 18 XII. 1846, przedstawia Grünberg zniesienie pańszczyzny w 1848, wywołane przez ruch rewolucyjny, uchwalone przez Radę Państwa, a dokonane przez rząd absolutny z wielką energią i w krótkim przeciągu czasu. Stosunek osobistej niewolności zostaje zniesiony bezpowrotnie; wszelkie prawa i korzyści z niego i ze zwierzchności patrymonialnej wynikające zostają zniesione bez wynagrodzenia — ciężary, daniny i robocizny przywiązane do gruntów zostają odszkodowane, zaś niezmienne daniny dla kościołów, szkół i probostw zostają wykupione. Finansowa strona tych operacyj dokonuje się za pomocą obligacyj indemnizacyjnych. W za-

kończeniu przedstawia autor znaczenie całej reformy, która dała nowe podstawy dla rozwoju społecznego i ogółem biorąc tak obu interesowanym stronom — jak i całemu społeczeństwu — przyniosła korzyści doniosłe. Dołączone tabelaryczne zestawienia wykazują cały ogrom dzieła reformy.

W drugim rozdziale dr. Walter Schiff przedstawia regulacye i wykupna służebności leśnych i pastwiskowych, co było uzupełnieniem uwłaszczenia włościan. Wykazawszy, jak te służebności, mające źródło w dawnych gruntach gminnych, przeszłych na własność dziedziców i w książęcej zwierzchności górniczej i leśnej (w krajach alpejskich) doprowadziły do mnóstwa zaciętych sporów, autor roztrząsa teoretycznie sposoby uregulowania lub wykupna tych służebności wszelkiego rodzaju — w odniesieniu do interesowanych stron, jako też i do spraw kultury krajowej, wykazując potrzebę daleko idącego indywidualizowania w tej sprawie; jako główne zasady dla tych operacyj podaje: 1) powinny odbywać się z urzędu, przymusowo; 2) należy dążyć do usunięcia zupełnego służebności przez wykupno gruntem lub pieniądzmi; 3) gdzie gospodarstwo opiera się przeważnie na użytkach umożliwionych służebnościami, a wykupno gruntem przeprowadzić się nie da, tam należy przeprowadzić dokładną regulacyę użytkowania służebności, co także powinno mieć miejsce wtedy, gdyby oddanie gruntów w ręce uprawnionych zagrażało interesom kultury krajowej. Ustawy austryackie, głównie patent z 5 VII. 1853, czynią mniej więcej zadość tym wymaganiom, jak to wykazuje autor w szczegółowym rozbiorze postanowień zasadniczych i przepisanego postępowania. Zarazem dowodzi autor, że skutkiem rozmaitych okoliczności gospodarczej natury — wykupna pieniężne nie zdołały zastąpić w zupełności zniesionych korzyści *in natura*. Operacye serwitutowe rozpoczęły się po r. 1857, a trwały do końca lat 1880-tych. W braku dokładniejszych dat statystycznych — podaje dr. Schiff pojedyncze dane, wykazujące, że w krajach alpejskich i w Galicyi dokonano wykupna lub regulacyi w szerokich rozmiarach — podczas gdy w krajach sudeckich służebności odgrywały małą rolę i przeważnie jeszcze w pierwszej połowie XIX. w. wykupione zostały. W zakończeniu autor podnosi, że sprawa służebności jest i dziś jeszcze w wielu okolicach aktualną i wymaga ponownej akcyi reformującej.

Następny rozdział, opracowany przez tego samego autora, poświęcony jest ustawodawstwu o wspólnotach agrarnych. Autor, wyjaśniwszy powstanie wspólnie użytkowanych gruntów głównie jako przeżytku dawnego ustroju agrarnego — wykazuje jak utworzenie nowych

gmin politycznych w miejsce dawnych gmin gospodarczych wniosło w stosunki te dość już pogmatwane jeszcze większy chaos. Przedstawia rozmaite formy tych wspólnot (dobra gminne, dobra spółek interesentów, grunta wspólnie używane i t. p.), ich użytkowania pod względem miary i formy, ich zarządu, znaczne jeszcze ich rozpowszechnienie w niektórych krajach (zwłaszcza w Tyrolu, Dalmacyi i Galicyi) — oraz stwierdza przeważnie opłakany stan, w jakim się znajdują. Dowodzi następnie, że ustawy gminne nie przyczyniły się bynajmniej do rozwikłania tych spraw, a wykupno służebności przez odstąpienie gruntów na rzecz większej liczby uprawnionych rozszerzyło jeszcze zakres tych niejasnych stosunków — podczas gdy ustanowienie ksiąg gruntowych, w których często jako właścicieli dóbr gminnych powpisywano poszczególne uprawnione osoby — chaos ten jeszcze zwiększyło. Wskutek tego okazuje się potrzeba uporządkowania stosunków własnościowych dotyczących dóbr gminnych, uporządkowania użytkowania i zarządu wszelkiego rodzaju gruntów wspólnych, oraz potrzeba reformy postanowień prawnych co do podziału lub wykupna tych gruntów. Przedstawiwszy usiłowania poszczególnych krajów w tej mierze — omawia Schiff ustawę państwową z 7 VI. 1883 o podziale i regulacyi (użytkowania) gruntów wspólnie używanych, zastosowaną przez ustawy krajowe w kilku krajach alpejskich i na Morawach — wyszczególniając zasadnicze postanowienia, oraz sposób postępowania, bardzo długo ciągnący się i kosztowny. Rozpoczęte w ciągu 13 lat po wydaniu tej ustawy operacye dotyczą zaledwie $2^1/_2\,\%$ ogólnej ilości gruntów wspólnie używanych.

W czwartym rozdziale tenże sam autor omawia arondacyę i komasacyę gruntów. Wyszczególniwszy z wielką dokładnością wszelkie ujemne strony nadmiernego rozrzucenia gruntów, wykazuje, że jest ono rozpowszechnione w przeszło 80 % wszystkich gmin krajów austryackich z pominięciem Galicyi, dla której dat dokładnych nie ma, ale gdzie stosunki są wcale nie lepsze. Następnie tłumaczy powstanie tego rozrzucenia parcel sposobami osiedlania się ludności wiejskiej (podług badań Meitzena), dalej zaś podziałami spadkowemi i podziałami gruntów wspólnie używanych, wreszcie budową dróg i kolei. Przechodząc potem do ustawodawstwa austryackiego — nadmienia, że zrazu ograniczało się ono do francuskiego systemu ulg należytościowych przy wymianach i arondacyach, co bardzo nieznaczne przyniosło rezultaty, i opisuje przyjście do skutku państwowej ustawy komasacyjnej z 7 VI. 1883. Omówiwszy jej zasadnicze szczegóły i przepisany sposób postę-

powania, wspomina, że wprowadzoną została w życie zaledwie w dwóch krajach (Austryi Dolnej i Morawach), a komasacyę przedsięwzięto dotychczas zaledwie w 42 gminach katastralnych na 41.000 ha. Wszystkie trzy artykuły d-ra Schiffa napisane są z wielką szczegółowością, a ponieważ omawiają kwestye, będące ciągle na porządku dziennym, przeto mogą znakomicie posłużyć dla oryentowania się w tych kwestyach.

Następny rozdział skreślony przez d-ra Hermana v. Schullern zu Schrattenhoffe dotyczy zniesienia ograniczeń podzielności gruntów włościańskich i ustaw przeciw lichwie. W pierwszej części przedstawiony jest odnośny stan prawny w poszczególnych krajach aż do 1868, w którym wyszła ustawa, znosząca wszelkie ograniczenia podzielności gruntów włościańskich, przyjęta we wszystkich krajach z wyjątkiem Tyrolu. Tam bowiem ograniczenia te zgodne z interesami kultury krajowej i ze zwyczajami prawnemi ludności, utrzymały się w przeważnej części północnego (niemieckiego) Tyrolu, tak, iż sejm nie widział potrzeby ich zniesienia. Z innych krajów, tylko w Salzburgu i po części w Górnej Austryi utrzymał się zwyczaj dziedziczenia gospodarstw w całości — podczas gdy zresztą upadł on wszędzie pod wpływem przepisów nowej ustawy. Przy szczegółowem rozpatrzeniu okazuje się nieraz, że dawne ograniczenia podzielności gruntów chłopskich były wypływem względów nietylko czysto politycznych, fiskalnych i militarnych, lecz także w niemniejszej mierze gospodarczych i socyalno-politycznych — i bynajmniej nie miały na celu wyłącznie tylko interesów wielkiej własności ziemskiej.

Wobec tego autor wyraża przypuszczenie, iż zniesienie dawnych ograniczeń tam, gdzie one już się wżyły w pojęcia prawne ludności, było błędem, gdyż byłyby one w stanie ochronić stan chłopski od grożących mu obecnie niebezpieczeństw. W drugiej części wspomina autor o środkach przeciw lichwie w pierwszej połowie XIX. w., przedstawia zniesienie wszelkich ograniczeń co do umów pożyczkowych ustawą z 14 VI. 1868. Atoli już 1877 przychodzi do skutku specyalna ustawa przeciw lichwie dla Galicyi, a po paru latach wahania wydaną zostaje ogólno-państwowa ustawa z 28 V. 1881 w celu zwalczania lichwy, którą autor w ogólnych zarysach omawia.

W szóstym rozdziale przedstawia dr. Fryderyk v. Nemethy austryackie prawodawstwo ksiąg gruntowych i egzekucyjne.

Opisawszy całą rozmaitość ksiąg gruntowych i hipotecznych

w poszczególnych krajach monarchii, istniejącą pod koniec XVIII w., wykazuje wpływ ogólnej księgi ustaw cywilnych z 1811 na częściowe zbliżenie i ujednostajnienie tych partykularnych urządzeń, roztrząsając go w szczegółowym teoretycznym traktacie. Wspomniawszy dalej, że Tyrol, Istrya i Dalmacya nie miały właściwych ksiąg gruntowych, przechodzi do ustawy o księgach gruntowych z 15 VIII. 1871 i przedstawia szczegółowo urządzenie publicznych ksiąg gruntowych, rodzaje wpisów książkowych (intabulacye, prenotacye i t. p), oraz ich skutki i znaczenie prawne, omawia dokumenty i postępowanie przy zaciąganiu pozycyj do ksiąg. W drugiej części szkicuje prawo i postępowanie egzekucyjne obowiązujące aż do najnowszych czasów — dążenia do reformy, które doprowadzają do nowej normy egzekucyjnej z 6 VI. 1896, obowiązującej od 1898 roku.

Obszernem roztrząśnięciem postanowień nowej normy zwłaszcza przymusowej administracyi i przymusowego przetargu (licytacyi) zakończa autor swój zajmująco napisany, ale oczywiście z natury rzeczy czysto prawniczy wywód.

Ostatni siódmy rozdział dr. Maurycy Ertl poświęca próbom reformy agrarnej w Austryi. Ponieważ materya ta ma więcej aktualne znaczenie, przeto szkic ten omówimy osobno na innem miejscu.

Jak z tego, z konieczności pobieżnego, przeglądu czytelnik miał sposobność się przekonać, w powyższych dziejach ustroju agrarnego Austryi dominują przeważnie fakta, dotyczące ustawodawstwa, z ujmą dla materyału prawdziwie ekonomicznego. Nie rozszerzając się nad tem obszerniej, dość zaznaczyć brak przedstawienia podziału własności ziemskiej, ilości i wielkości gospodarstw, oraz składu ludności wiejskiej. Wprawdzie odnośne dane statystyczne nie odznaczają się wielkiem bogactwem — zawsze jednak brak ich nie pozwala wyrobić sobie pojęcia o charakterze agrarnym Austryi i poszczególnych jej krajów.

Dzieje administracyi agrarnej (str. 537—578) napisane są przez d-ra Leona v. Herza. W 1848 utworzone zostaje osobne ministeryum kultury krajowej i górnictwa, które raczej zajmowało się głównie domenami, lasami i kopalniami państwowemi. Już w 1853 zostaje ono rozwiązane, a agendy jego przydzielone do ministeryów spraw wewnętrznych i finansów. Wykonywanie niższego rzędu agend, dotyczących kultury krajowej, poruczono świeżo utworzonym namiestnictwom i starostwom obwodowym. W 1861 w nowo utworzonem ministeryum dla handlu i gospodarstwa narodowego przeznaczono osobnej sekcyi (III.) agendy kultury krajowej. Po ponownej reorganizacyi władz politycznych

w 1868 na zasadzie rozdziału administracyi od sądownictwa, powstaje w tymże samym roku ministeryum rolnictwa, rozszerzające stopniowo swój zakres działania i kompetencyi. W zakończeniu autor podaje zestawienie wszelkich podległych ministeryum rolnictwa władz, urzędów i organów, oraz krótki przegląd działalności dotychczasowych kierowników tego ministeryum.

Zauważyć możnaby, że w zarysie tym za mało uwagi poświęcił autor przedstawieniu działalności tej administracyi, ograniczając się głównie do nakreślenia jej organizacyi.

Jakkolwiek omówione powyżej części dzieła jubileuszowego podają mniej, niżby się można spodziewać po ich tytule i może w nich za dużo jest pierwiastków prawniczych, jednakże w swym ściślejszym zakresie zawierają obfity i dokładny materyał.

Dr. T. K.

Neue Ideale. Gesammelte Aufsätze von *Fritz Lienhard*. Leipzig und Berlin bei G. H. Meyer. Heimatverlag 1901. (Str. II i 271).

Szujskiego głośne słowo o „młodszości“ naszej cywilizacyi pozornie nie ma zastosowania w dzisiejszej polskiej literaturze. Wszak chlubimy się, że teraz kroczymy razem z Europą, że modernizm, symbolizm i wszystkie inne kierunki rozwijają się u nas równocześnie z poezyą Zachodu. A jednak i tu zostaliśmy w tyle. Modernizm i symbolizm u nas jedynie jest ostatnim wyrazem sztuki. Za granicą należą one oczywiście jeszcze do teraźniejszości, ale już nie są najświeższym prądem. W Niemczech modernizm ma nieprzyjaciela nietylko w dawniejszej sztuce, poezyi przeszłości, lecz i w sztuce nowej, gotującej się dopiero. Tam jest już garstka ludzi zwalczających modernizm w imię zdrowszej poezyi, tam jest już w cytowanej na początku księgarni nakładowej środkowy punkt tych dążeń i naczelny kierownik tego ruchu. To p. Fritz Lienhard, o którego „Nowych ideałach“ dlatego tu obszerniej mówimy, bo chociaż Niemiec i protestant, w głównych zasadach zdolnym jest pokazać dobrą drogę nietylko niemieckiej poezyi.

W przedmowie przypomina naprzód poprzednie swe prace, a zwłaszcza głośną broszurę o „Panowaniu Berlina“, silnemi argumentami zwalczającą nie tyle scentralizowanie produkcyi literackiej w stolicy zjednoczonych Niemiec, ile raczej zasklepienie się poezyi w ciasnej a dusznej atmosferze berlińskich wielkomiejskich motywów, branych z życia bankierów lub proletaryatu robotniczego, z buduarów, w których zagnieździło się zepsucie, z ulicy, gdzie rozpusta jawnie się pa-

noszy, ze suteren, gdzie nędza zabija ciało i duszę człowieka. Lienhard zwalcza najgwałtowniej patologiczny naturalizm, ale niemniej stanowczo potępia i rozmarzający symbolizm, w którym widzi także objaw współczesnego dekadentyzmu. Zaznacza wyraźnie, że nie chce stworzyć jakiegoś nowego „izmu“, tylko przypomina starą a dziś niestety zapomnianą prawdę. Poezya nie jest, nie powinna być ścisłem analizowaniem zwyrodnienia charakterów lub socyalnej nędzy społecznych stanów; nie, jej źródło jest trojakie: człowiek sam, indywidualność jego narodu i działająca w człowieku siła Boża *(der Mensch selbst, die Art seines Volkes und seine in ihm wirksame Gotteskraft)*. Oto jego zasady, których rozprowadzeniem jest powyższa książka. Jest to zbiór i przedruk ogłaszanych po czasopismach artykułów. Stąd nieraz niejedno zdanie, tem więcej niejedna myśl się powtarza, bo autor wciąż wraca do podstawowego punktu wyjścia i z tą samą zawsze siłą przekonania powtarza zasadnicze hasło. I dlatego stosowniej będzie zapewne nie streszczać i rozpatrywać każdą rozprawkę z osobna w tym porządku, w jakim one są w książce wydrukowane, lecz podzielić je na grupy, stosownie do głównego łańcucha myśli. Trzy takie odróżniamy: w pierwszej, najobszerniejszej, autor rozwija ogólny obraz „nowych ideałów“, w drugiej zastanawia się nad kwestyą stosunku literatury do chrześcijaństwa, a w ostatniej wreszcie przystosowywa ogólne zasady do krytyki poszczególnych objawów życia i literatury.

Do pierwszej grupy należą rozprawy: „Indywidualność i narodowość jako podstawy poezyi“, „Wielka poezya“, „Sztuka rodzima“, „Dzisiejsza młodzież literacka“, „Przy zmianie stulecia“. Negatywną stronę wywodów autora stanowi tu walka z naturalizmem, walka z literackiego, etycznego i narodowego stanowiska. Zola i Ibsen zabijają, według Lienharda, zdrowie, energię i radość życia *(Lebensfreude)*, rodzą pesymizm i zwątpienie, gdy przeciwnie prawdziwa poezya winna unosić w wyższe sfery, budzić chęć do życia, podniecać energię życiową. Zasklepieni w drobiazgowej analizie twórcy współcześni, zabijają z jednej strony własną indywidualność, która u poety powinna być potężniejszą, niż u zwykłych ludzi, z drugiej strony zaś tracą zdolność ogarniania większej i wyższej całości. Poezya bowiem ma być obrazem świata całego a nie mikroskopowem badaniem drobnego atomu. „Całość ogarnia poeta z Bożej łaski, prawdziwy poeta. Ale ogarnąć całość, nędzę świata opromienić słońcem i w szczęściu zachować miarę — może tylko ten, kto pojął wszechświat, jako ogromne dzieło harmonii, kto znalazł w tej rozmaitości szczegółowych objawów

trwały punkt, tylko ten, kto zapatrywania w sztuce buduje na jakichś religijnych przekonaniach (słowa te podkreśla sam autor). Poezyi nie godzi się zniżać do poziomu literackiej, technicznej brawury— poezya istnieje dla narodu a jeśli ma do swego ludu przemówić, musi być wyrazem indywidualności z rodzimym gruntem związanej. W ostrych słowach przemawia autor do dzisiejszej młodzieży a jego zarzuty i upomnienia i u nas niestety nie straciłyby słuszności. Wykazuje, jak ta młodzież literacka na ustach ma nietzschowskie frazesy o nadludziach, o „pańskiej moralności", w rzeczywistości zaś jest pokoleniem po części zwyrodniałem, po części, może jeszcze bardziej, udającem zwyrodnienie. Zatraciła godność osobistą, indywidualność, narodowość, wyziębiła serce, zrujnowała nerwy, skosmopolityzowała ducha. *Der geistige Staatskrüppel,* oto jej ideał w życiu i w poezyi. Ci Niemcy, tak dumni z pobicia Francyi, ze zjednoczenia państwa, małpują paryskich *Bohémiens,* indywidua zrujnowane moralnie i fizycznie. Więc raz trzeba z tem zerwać. A stanie to się, dokona się to uzdrowienie, jeżeli poeta przypomni sobie swą indywidualność i swą narodowość. Wejdźcie w siebie, rzućcie buduary odurzające perfumami, rzućcie dym kawiarni i przesyconą chloroformem atmosferę szpitali zakaźnych chorób, wejdźcie w siebie, odnajdźcie w samotności wielkość duszy ludzkiej, idźcie na rodzimą ziemię, odetchnijcie jej zdrowem, orzeźwiającem powietrzem. Lecz Lienhard nie pragnie szowinizmu narodowego. W jego książce jest potężne uczucie patryotyczne niemieckie, dlatego, że autor sam jest Niemcem; jako estetyk jednak doradza każdej innej narodowości, każdej innej literaturze tę samą rodzimość. Wyraźnie zaś zachęca do podróży po całym świecie, bo tak wchłania się w siebie moc nowych wrażeń.

Już w rozdziałach rozwijających ten ogólny program, autor podkreśla konieczność religijnych uczuć, wierzy, że pogląd w zakresie sztuki ściśle jest związany z religijnym. W drugiej grupie rozpraw ta kwestya obszerniej jest omówioną. Należą tu rozprawy: „Chrześcijaństwo i niemieckość" oraz „Literackie zadania katolików niemieckich". Pierwsza dostarcza wybornych argumentów przeciw zarzutom, które mogły powstać w umyśle niejednego czytelnika. Lienhard akcentuje tak silnie swą niemieckość, więc może jest to jeden z tych *Deutschnationalen,* których my Polacy właśnie tak dobrze w Austryi i w Prusiech znamy? Nie, zarzut podobny byłby niesprawiedliwym. Już powyżej powiedziało się, że Lienhard pragnie rodzimości w każdej poezyi, w tym rozdziale zaś polemizuje zarówno z postulatem pewnych pseudopatryotów niemieckich powrotu do germańskich pogańskich mitologicz-

nych wyobrażeń, jak i z wypowiedzianem przez Dühringa zdaniem, że Niemcy powinni chrześcijaństwo odrzucić jako pochodzące z żydostwa. Nie śmiem twierdzić, o ile autor pozostaje w granicach ścisłej nauki teologicznej, gdy występując przeciw Dühringowi twierdzi, że właśnie Samarya i Galilea były terenem mieszanej a nie czysto żydowskiej ludności, że więc Chrystus jako człowiek jest, mimo swego pochodzenia od Dawida, *ein galiläischer Mischling*, ale sądzę, że ma już zupełną racyę zwalczając zarzut, jakoby chrześcijaństwo, według Nietzschego, było twórcą potępianej przez „nadludzi“ *Sklavenmoral*. Lienhard widzi przeciwnie w chrześcijaństwie dążność do rozpętywania wyższej siły ducha drogą hamowania niższych instynktów naturalnych; chrześcijaństwo budzi w nas *das Heimatsgefühl in der Unendlichkeit*, a przez to właśnie i poezyi daje polot i wielkość. Poeta-chrześcijanin nie popadnie w pesymizm naturalistycznych analityków, bo rozumie, że w ogólnym planie stworzenia i zło ma uzasadnienie, chrześcijanin-poeta nie zagubi zdolności i chęci do życia.

Lienhard jest wierzącym rzekomo chrześcijaninem, ale protestantem. W rozprawie o „Literackich zadaniach niemieckich katolików“ nie oburza wprawdzie częstą u protestantów nienawiścią do katolicyzmu, niemniej jednak wykazuje brak zrozumienia katolicyzmu, nawet na gruncie literackim. Jego artykuł spowodowany został głośną w r. 1898 i 1899 broszurą niemiecką: „Czy katolicka beletrystyka stoi na wysokości czasu?“, ogłoszoną przez niejakiego Veremundus'a (oczywiście pseudonim), a jak się potem okazało, przez Karola Muth'a, naczelnego redaktora bardzo rozszerzonego katolickiego miesięcznika *Alte und Neue Welt*. Autor zaprzecza pytaniu w tytule broszury, a jego surowa ocena dzisiejszej literatury pięknej katolickiej w Niemczech wywołała całą powódź broszur i artykułów *pro* i *contra*. Lienhard przyznaje jego wywodom słuszność, bo istotnie katolicka literatura piękna niemiecka artystycznym wymogom niestety tylko w małej części czyni zadość. Jest to fakt, nad którym najgłębiej boleją właśnie katolicy, widząc, jak protestancka beletrystyka opanowała w zupełności i księgarski targ i lekturę Niemców i obcych. Lecz dlatego właśnie nie można przyznać słuszności dalszym wywodom autora. Sądzi on bowiem, że jakakolwiek odrębność katolickiej beletrystyki nie ma racyi, że literatura powinna być wogóle niemiecka i chrześcijańska a na różniczkowanie wyznaniowe niema miejsca; w wyższem wspólnem pojęciu powinny te różnice się rozpłynąć. Bez trudności można autora pobić jego własną bronią. Kto uznaje, że poezya powinna posiadać indywidualność osobistą i naro-

dową, temu nie wolno zaprzeczać prawa bytu i potrzeby indywidualności religijnej tej poezyi. Co powiedziałby Lienhard na żądanie, aby też i narodowe różnice rozpłynęły się w wyższem pojęciu ogólno ludzkiej, międzynarodowej poezyi? Niewątpliwie protestowałby. A zresztą czyż Lienhard nie widzi, że, choćby mimowoli, pisarz w dziele poetycznem występuje jako człowiek nietylko tej lub owej narodowości, ale i pewnej oznaczonej religii? Czy np. czytając Sudermanna, patrząc na „Hanusię“ Hauptmanna, na *Jugend* Halbego nie widzi się przed sobą protestanta, a nie tylko Niemca-chrześcijanina? Zapewne, że dzisiejsza beletrystyka katolicka potrzebuje naprawy, ale zasadnicze jej negowanie nie leży chyba w interesie estetycznych i etycznych przekonań Lienharda.

Trzecia grupa rozpraw obejmuje artykuły omawiające ze znanego już stanowiska poszczególne objawy dzisiejszego piśmiennictwa i życia. Autor nie wskazuje tu na żadnego niemieckiego autora jako na wzór tej wielkiej poezyi, której się domaga, i wogóle literaturą niemiecką zajmuje się mniej niż obcą, osłabiając tem po części znaczenie swej książki. Z najżywszem uwielbieniem wyraża się o Robercie Burns'ie, zmarłym już przed przeszło stu laty pieśniarzu szkockim; niemal tak samo wysoko ceni żyjącego dziś angielskiego pisarza Rudyarda Kiplinga, o ile obraca się w zakresie szkicu a nie wkracza na pole powieści. Rudyarda Kiplinga kocha za porzucenie nudnych problemów niewiary małżeńskiej, za rozszerzenie horyzontu wyobraźni, za działanie na serce i fantazyę. Tołstoj i Ibsen natomiast są mu przeciwni, bo nie są poetami, tylko wątpliwej wartości moralistami, budzącymi w sercu tysiące niepokojów bez jakiejkolwiek etycznej korzyści. Tołstoj i Ibsen są chorymi i piszą dla chorych, których jednak uzdrowić nie zdołają; zdrowy człowiek pragnie harmonijnej, silnej poezyi.

Sławne widowiska pasyjne w Ober-Ammergau do głębi go wzruszają mimo, że czyni wiele drobnych zastrzeżeń. Jak zawsze tak i tutaj Lienhard od obserwacyi przechodzi do ogólnych wniosków. Widzi w sztuce dramatycznej dwa kierunki, dwa style. Pierwszy, szekspirowski, jakby się można wyrazić, to dramat indywidualny, przez jednego człowieka dla garstki widzów napisany, to nasza tragedya, komedya, dramat i t. d.; drugi zaś, to wielkie widowisko uroczystościowe *(das Festspiel)*, za greckich czasów tak lubiane i w związku z religijnymi obchodami pozostające widowisko, powstało dzięki pracy i twórczości wielu i dla mas też przeznaczone; jeżeli pierwszy styl można porównać do obrazu w ramach, to drugi podobny jest do wielkich malowideł

ściennych *al fresco*. Widowiska w Ober-Ammergau są rzadkim dziś objawem tego drugiego stylu. Czyby nie można go pielęgnować równolegle z tamtym? Autor proponuje urządzanie letnich widowisk *(Sommerfestspiele)*; podziałają one ożywczo i na umysły słuchaczów i na sztukę dramatyczną. Dzisiejszy „naturalistyczno-symbolistyczno-dekadencki" dramat literaturę wpakował w ślepą ulicę bez wyjścia, ani męcząca drobiazgowość, ani trzeźwość, ani nerwowość dalej już pójść nie może. Więc może dobrze będzie zwrócić się ku innemu, zaniedbanemu stylowi, który przywróci dawną siłę sercu, woli, wyobraźni, namiętnościom, pokaże całego, pełnego człowieka w bujnem bogactwie jego życia.

Bez ściślejszego związku z zasadniczem pragnieniem Lienharda jest ciekawa jednak mimo to rozprawka: „Czy Shylock jest tragicznym bohaterem czy wywiedzionym w pole głupcem?" Autor odrzuca stanowczo pierwszy sposób pojmowania postaci żydowskiego lichwiarza z „Kupca weneckiego"; sentymentalna i tragiczna rola Shylocka jako męczennika i tragicznego bohatera jest poprostu wymysłem głośnego przed kilkudziesięciu laty aktora, Bogumiła Dawisona, z pochodzenia Żyda. (Dawison grywał i we Lwowie za czasów niemieckiego teatru). Podsuwa się Szekspirowi zamiary, których nigdy nie miał: twierdzi się, że poeta chciał pokazać Żyda, który jest zbrodniarzem, ale stał się nim dlatego, że chrześcijańskie społeczeństwo prześladując Żydów zmuszało ich do nienawiści i zemsty. Tymczasem w rzeczywistości Shylock jest owym znanym z średniowiecznych opowieści i dramatów ludowych „złym pierwiastkiem", po prostu mówiąc dyabłem, który w czasach nowożytnych przeobraził się w intryganta. Widz nienawidzi go, ale i szydzi z niego, a treścią dramatu jest właśnie to wyśmianie intryganta, wyprowadzenie go w pole, wtedy, gdy sądzi, że chytrością i rozumem najsilniej się obwarował. „Kupiec wenecki" jest naiwną, szczerą komedyą, a tylko dzisiejsi ludzie, w pogoni za „interesującą chorobliwością", za pseudo-głębokimi, zawiłymi problemami, widzą w tym dramacie tragedyę a w Shylocku tragicznego męczennika.

Niezawsze można się zgodzić z Lienhardem, niewszędzie jego zasady jasno się skrystalizowały, a jednak niepodobna zaprzeczyć, że autor „Nowych ideałów" posiada szczerą wiarę w to, co mówi, szczerą miłość i sztuki i ojczyzny! Jeżeli go zapał niekiedy unosi za daleko, jeżeli wtedy ścisłość wywodów na tem cierpi, to nieuprzedzony czytelnik polubi go jednak za ten zapał, dziś tak rzadki. Gdy ogromna większość pisarzów jest chora lub pozuje na chorą, gdy literatura szuka co najchorobliwszych motywów, orzeźwiającym jest widok człowieka

głoszącego gorąco wartość i potrzebę zdrowia, swobody, polotu. I może ten i ów z naszych czytelników zapyta się, czy Lienhard jako poeta jest podobnym do teoretyka? Mamy przed sobą jego liryki i jego dramaty („Król Artur", „Obcy", *Münchhausen*); w pierwszych jest ogromna szczerość uczucia, serdeczność i naiwność tonu, wybitna indywidualność; w sztukach dramatycznych wyjście z zaczarowanego koła patologicznych motywów, zwrócenie się do nieznanych lub zaniedbanych skarbnic zdrowej narodowej przeszłości. Więc chociaż szczegółowa krytyka tych utworów wykaże częste błędy, ogólny sąd stwierdzi, że praktyka nie kłóci się z teoryą.

Dr. Józef Flach.

Македония. Етнография и статистика отъ Василъ Кънчовъ. София 1900 (8⁰, стр. VI, 341). (Macedonia przez *Bazylego Kączowa*).

Wieki minęły, odkąd w powodzi wypadków wypłynął na widownię mały kraik macedoński, odkąd Demostenes rozpaczliwie wzywał zgnuśniałych Greków do walki z Filipem, a wkrótce potem nietylko Grecya ale i cała ćwierć Azyi truchlała przed zwycięstwami Aleksandra. Ale tylko na chwilę zajaśniała Macedonia ogniem bengalskim i runęła pod gromem rzuconym z Rzymu; długo deptana stopą zwycięzcy milczała, jakby bezsilnie oczekując ostatniego ciosu, który ją zmiażdży; jednak jej nie zgruchotał Rzym, nie zgładził następnie Stambuł i dzisiaj na nowo wypływa na widownię, a może niedługo nam jeszcze czekać, jak o niej już głośno mówić zaczną po świecie.

Nie grozi wprawdzie Macedonia światu nowym pochodem Aleksandra Wielkiego, jednak należy do czynników, na które dyplomacya wielko-światowa nie spogląda bez obawy. Pan Kączow[1] zdał sobie sprawę z zamieszek, do których Macedonia mogłaby dać powód, — zrozumiał, że jego rodacy staną przed sądem dziejów, jeżeli pójdą dalej drogą dotychczasowej polityki względem Macedonii, ale nie uznał Bułgaryi za coś gorszego od Grecyi: Grecy mogli mimo klęsk w ostatniej wojnie z Turcyą, przecie ujrzeć Kretę oderwaną od Turcyi, czemużby Bułgarzy nie mieli wywołać zamieszki wojennej i choćby doznać porażki, przecie oderwać od Stambułu Macedonię?

---

[1] Bułgarski dźwięk nosowy ѫ w nazwisku pana Kączowa brzmi jak nosowe dźwięki polskie ą albo ę w ustach górala, albo jak w potocznej wymowie brzmi nosowy dźwięk w słowie Anglia.

Myśli tej nie wypowiada pan K. nigdzie ani jednem słowem: jednak czytelnik tę myśl widzi w całej książce wyłożoną bardzo wymownie. Nie retoryczna przecie wymowa tutaj występuje, tylko nieprzeparta wymowa liczb ścisłych. Jeżeli w liczbach tych nie tkwi żadna arytmetyka osobliwie ułożona dla polityki bułgarskiej, w takim razie pan K. dla tej polityki zdobył każdego czytelnika bezstronnego: Słowianin każdy przekonany temi dowodami, dorzuci szczere życzenie, aby tylko Bułgarzy w niebezpiecznej grze nie doznali przygód jeszcze przykrzejszych, niż Grecy w sprawie kreteńskiej.

Co dotyczy jednak samej siły dowodów, trudnoby o niej wątpić, bo p. K. całą budowę swoich wywodów etnograficznych i statystycznych opiera po wielkiej części na dziełach cudzoziemców: Tomaschka, Niderlego, Hahna, Hammera, Ami Boué'go, Lejcana, Pettermannsa, Weiganda, Felmereiera i t. d. Na tle tych powag, nie podejrzanych przecie o stronnicze zapiski w dziełach naukowych, pan K. stawia obraz Macedonii, do którego dorzuca z własnych badań wiele szczegółów, ale tak zupełnie zgodnych z ogólnym sądem cudzoziemców, że nie pozwalają wątpić o świadectwie pana K.

Czemże tedy dziś jest Macedonia? Czemś podobnem do Prus ze względu na przewrót etnograficzny. Krzyżacy Zakonu niemieckiego zajęli kraj po dawnych Prusakach i przyjęli po nich nazwę zupełnie nieszczepową. Filip i Aleksander panowali nad szczepem illiryjskim, zmieszanym z Frygijczykami dawniej osiadłymi w tym kraju. Do tej mieszaniny napływali naprzód Trakowie, szczep pokrewny obu poprzednim, następnie przybysze włoscy za czasów władzy Rzymu nad Macedonią, nakoniec Słowianie. Ale nie całe plemię illiryjskie stopniało w tej powodzi najezdców: szczątki jego ocalały, zwane przez Greków Arwanasami, przez Turków Arnautami, przez Włochów Albańczykami. Ci jednak potomkowie właściwego plemienia, które z Frygijczykami stanowiło starożytną Macedonię, dziś zupełnie na boku, na zachód od państwa Filipa, założyli swoje siedliska w tak zwanej Albanii, a słowiańskie szczepy zalały ich dawny kraj aż po greckie granice na południe, po morze na wschód.

Co do początków Słowiańszczyzny na Półwyspie Bałkańskim, pan K. idzie za najnowszymi badaczami, którzy wraz z dziejopisem bułgarskim Drynowem zaprzeczają, jakoby Słowianie zajęli Półwysep w dobie przedhistorycznej. Jeszcze przed III. stuleciem doby chrześcijańskiej nie można znaleźć plemion słowiańskich w Macedonii, ale od trzeciego stulecia ślady te rosną coraz liczniej. W ósmem stuleciu cały

Półwysep należał etnograficznie już do Słowian, w których utonęła nawała plemienia wschodniego: Bułgarów.

W szybkim rzucie oka na kilka następnych stuleci, pan K. streszcza dzieje państwa słowiańsko-bułgarskiego, znane już nam przynajmniej pobieżnie z dziejów średniowiecza, i dochodzi do bardzo ciekawego opisu walki między Słowiańszczyzną a Muzułmanizmem w wiekach ostatnich. Te rozdziały zająć muszą czytelnika pod wielu względami: podziwiać trzeba niestrudzoną pracę, która umiała tyle przeglądnąć źródeł, aby opisać niedolę swojej ojczyzny; nadto zastanowić nas musi obraz nader smutnych stosunków religijnych. Religia bowiem pod wpływem islamizmu, przedstawia wcale przykry widok. Opis pana K. nie okazuje ani cienia życzliwości dla Kościoła zachodniego, mimo to niekatolikom nie szczędzi zarzutów.

Książka pana K. prowadzi do wniosku, że pokój w San Stefano i późniejszy w Berlinie najsamowolniej rozerwał Bułgarów: jednym przywrócił swobodę pod księciem w Sofii, drugich zostawił do dziś w ucisku. Ucisk ten wprawdzie zmalał po wojnie rosyjskiej, ale jeszcze dziesiątkami tysięcy Bułgarzy uciekają z pod władzy sułtańskiej do dzielnicy wolnej. Jednak z górą milion chrześcijańskich mieszkańców uciec nie może; więc należało zająć Rumelię naprzód, a potem iść dalej...

Ks. K. C.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

JESZCZE LOS VON ROM.

Gazety, zwłaszcza niemieckie, zaznajamiają nas stosownie do swych zapatrywań, mniej lub więcej bezstronnie, zawsze jednak dość dokładnie z każdą fazą ruchu *Los von Rom. Przegląd Powszechny* poświęcał od czasu do czasu swe szpalty artykułom, illustrującym ten najnowszy wykwit cywilizacyi pangermańskiej; nie od rzeczy więc będzie i dzisiaj dać ile możności treściwy obraz, obejmujący w głównych zarysach całokształt dziwacznego zjawiska z ostatnich dni.

Hasło *Los von Rom* równoważy się obecnie z hasłem *Los von Österreich* — nikt już o tem nie wątpi, choć koryfeuszom inscenizowanego ruchu nie bardzo to na rękę. Każdy człowiek ma w swem życiu parę chwil, w których jest zupełnie szczerym, znajdą się też nierzadko takie momenty, w których jest zdumiewająco nieostrożnym. Przez takie chwile widocznie przechodził Wolff, kiedy na publicznem zgromadzeniu w tak zwanych *Sofiensäle* zaznajamiał swych słuchaczów z marzeniami, które snuł przed posągiem Germanii w Niederwaldzie; z duszy wyrwało mu się wtedy westchnienie: „Ty należysz do nas, a my do ciebie“. W podobnym nastroju musiał się także i Schönerer znajdować, kiedy wniósł znaną interpelacyę o zlaniu się Austryi

i Niemiec. Stosunki polityczne dwóch tych krajów są względnie dobre i ścisłe; jakiegoż więc zlania i połączenia wymagał wódz? Nie zabrakło i trzeciego sojusznika. Eisenkolb, ten znany ze swej zaciekłości *Hektolitermensch,* jak jego i jemu podobnych dzisiaj nazywają, wydał przecież z okazyi podróży cesarza do Pragi bezczelną odezwę, w której wzywa wszystkich, by domy swe na ziemi austryackiej przybrali we flagi pruskie. Kierownicy więc owego ruchu nie ukrywają się bynajmniej ze swymi zamiarami; osądził je też głos publiczności.

Nie napróżno przecież arcyksiąże Franciszek Ferdynand, który siłą swego stanowiska musi się, i to bardzo, liczyć ze słowami, wygłosił publicznie zdanie, że *Los von Rom* i *Los von Österreich* — to jedno. W parlamencie nieraz zwracano na to uwagę, tak np. w przemowie młodoczeskiego posła d-ra Kramarza, który tak dobitnie napiętnował postępowanie austryackich wszechniemców, że aż echo tej mowy odbiło się nad Sprewą i wywołało w pewnych tamtejszych kołach niekoniecznie miłe wrażenie. To też tylko trochę zadziwi fakt, że wobec tak jasnych dążności, nawet pewien odłam prasy żydowskiej, np. wiedeńska *Sonn- und Montagszeitung,* musiał, acz z bólem serca, uznać te wrogie państwu knowania. Pokazało się wprawdzie, że fałszywą była wiadomość, jakoby prezydent ministrów pozwolił był na szerzenie ruchu *Los von Rom,* byleby on się tylko nie zmienił na *Los von Österreich,* ale już sam fakt, że podobna pogłoska powstała i przez dłuższy czas wiarę znajdowała, mówi jasno, jakie były w tym względzie zapatrywania publiczności. Bardzo za to dla partyi austryackiej bolesnem jest stanowisko, jakie wobec tej sprawy zajęła prasa niemiecka. Berlińska *National-Zeitung* nazywa całą akcyę chimerą, która się w życie wprowadzić nie da. Jeszcze ostrzej wyraża się protestancka *Kölnische Zeitung;* utrzymuje ona, że partya austryacka poszła stanowczo za daleko, że trudno nawet zrozumieć, jak można było wpaść na myśl, iż w Niemczech znajdzie się jakiekolwiek stronnictwo lub jakikolwiek wytrawny polityk, któryby się zgodził na projekty pangermańskie. Stwierdza wreszcie, że agitacye Schönererowców ten chyba osiągną skutek, iż rozluźnią węzły, łączące

dziś Austryę i Niemcy. Organ zaś szlachty niemieckiej *Deutsches Adelsblatt,* który, ponieważ jest organem całej szlachty, a więc tak katolickiej jak i protestanckiej, stara się o sąd rzeczowy i bezstronny, sądzi, że ruch ten grozi niebezpieczeństwem dynastyom i twierdzi, że broń wszechniemców nie jest ani chrześcijańską, ani ewangelicką, ani nawet szlachetną. To wszystko nie potrafiło jednak dotąd otrzeźwić zaślepionych i nie otrzeźwi ich tak prędko.

Lecz nie o polityczną stronę wstrętnej tej komedyi nam chodzi. Ponieważ skutki nie odpowiadały bynajmniej oczekiwaniom, poznali sojusznicy pangermańscy, że wystąpienie z otwartą przyłbicą przeciw Kościołowi katolickiemu może być dla nich trochę niebezpiecznem, że więc trzeba uwzględnić wiarę mas. Dlatego też głoszą dzisiaj, że ich zadaniem nie jest walka z religią, ale z klerykalizmem i niezdrowemi naleciałościami, które wypaczyły prawdziwą naukę Chrystusa i którą koniecznie zreformować trzeba. Narzuca się tu mimowoli pytanie, jak ludzie tacy, jak austryaccy wszechniemcy mogą wniknąć w ducha nauki Chrystusa i naukę Kościoła reformować — chcąc ją poprawić i doprowadzić do pierwotnej czystości, trzeba ją wpierw znać; lecz mniejsza o to! Klerykalizm, jezuityzm, ultramontanizm to dzisiaj bardzo wygodne koniki; każdy ich dosiąść może i do woli na nich hasać; ponieważ zaś, jak mówi przysłowie: niemądrych zawsze będzie dosyć, zawsze się też znajdzie dużo takich, którzy pójdą na lep i dadzą się obałamucić. Można więc występować przeciwko samej istocie i zasadzie chrześcijaństwa, a jednak pokryć to wszystko płaszczykiem walki z klerykalizmem, — wszyscy m ą d r z y, szczególniej ci, którzy są w tem interesowani, od razu uwierzą. Jeżeli więc *Los von Rom* jest tylko walką z klerykalizmem, jak tłumaczyć np. znane wystąpienie przeciwko spowiedzi! Wszak spowiedź jest jedną z najistotniejszych instytucyj Kościoła, jest Sakramentem od Chrystusa ustanowionym. Jak sobie tłumaczyć te ciągłe ataki zwrócone przeciwko papieżowi, jako Głowie Kościoła, przeciwko dogmatom, bez których Kościoła zrozumieć nie można? Nie! roztropnym ludziom tem się oczu nie zamydli; uwierzą im chyba ci

wszyscy, którzy razem z nimi do przewrotu dążą i w swoich brukowych pisemkach na klerykalizmie, niby na koniu do wszystkiego służącym, harcują, a z innemi ukrytemi zamiarami się noszą.

Nie tu jeszcze koniec. Celem wszechniemców jest nietylko walka z Kościołem katolickim, ale z religią wogóle. Zarzut to ciężki, a chociaż Schönererowcy starają się z niego oczyścić, jest on jednak aż nadto słusznym. *Unverfälschte deutsche Worte,* organ Schönerera i Ira, z początkiem maja bardzo jasno to wyłożyły. „Heine nazwał kiedyś miłość przyrody i z niej się rodzący panteizm ukrytą religią Niemiec. Twierdzenie to nie jest błędne, my zaś seryo za tą wskazówką iść powinniśmy i drogi tam wiodące... powoli wyrównać, by odnaleźć wreszcie naszą właściwą istotę... Ducha, który pchał Germanów do walki za wolność i honor, napróżno w Ewangeliach szukać będziemy; one nie znają ziemskiej wielkości i piękności; ojczyzna, obowiązki obywatelskie są dla nich obojętne. Życie według Apostoła nie ma w sobie żadnej wartości, jest ono tylko pielgrzymką, którą trzeba cierpliwie podjąć, by dojść do pozagrobowej szczęśliwości. To nie są germańskie zasady życiowe... Zapamiętajmyż to sobie już raz i uwolnijmy się nietylko od Rzymu, ale i od Biblii". Zdaje się, że to dość jasne!

Przyznać też trzeba wszechniemcom, że używają wszelkich środków, byle tylko pobudka ich jak najgłośniej brzmiała. O hałasach wyprawianych w parlamencie niema co nawet wspominać; są one aż nazbyt znane, a zresztą kompromitują jedynie organizatorów burd, a z nimi i cały parlament, który nie potrafił swej godności obronić. Prasa za to Schönererowców tym celem wyłącznie żyje. Zohydza się więc, podobnie jak i u nas w pewnych dziennikach, kler i religię, rzuca się potwarze, za które się potem pokutuje karą pieniężną lub więzienną; na domiar złego trzeba jeszcze te potwarze odwoływać, ale złe wrażenie zawsze w sferach, dla których te pisma są przeznaczone, pozostaje. Idylicznemi barwami opisują gazety piękne, swobodne i spokojne życie odstępców; wzywają do apostazyi gromadnie inne stany (w ostatnich czasach zwróciły się do nauczycieli; widocznie nie podoba im się protektorat arcyksięcia): jeżeli po-

trzeba wzywają zupełnie tak, jak pewna partya u nas, do bójek i niosą niezgodę aż w progi rodzinne, do szkół i uniwersyteckich stowarzyszeń. Wodzowie zaś całego ruchu na każdym kroku objawiają swe wyzwolenie się od Rzymu. I tak np. w Lincu na procesyi Bożego Ciała, w której brał udział namiestnik, marszałek krajowy i wszystkie władze, nie pojawiła się tylko rada gminna, wiernie wstępująca w ślady *Säcularmensch*'ów Wolffa, Schönerera i innych.

Nie brak też i komicznych stron w agitacyi. Jakiś proboszcz w Liebenstein dał się podobno dobrze we znaki całej partyi; postąpił niesłusznie, bo jego obowiązkiem jest milczeć, kiedy Schönererowcy w najohydniejszy sposób go zaczepiają, polityka bowiem nie należy do kapłana. Nastąpiła więc kara. Schönerer ogłasza w liście do stowarzyszenia gimnastycznego w Liebenstein, że za wystąpienie proboszcza przysyła wydziałowi 20 fl.; zobowiązuje się dalej, że za każde obrażające wszechniemców słowo, będzie i nadal stowarzyszeniu po 5 fl. przysyłał. *Reichspost* robi z tego powodu uwagę, że gdyby proboszcz w Liebenstein był tak narwany jak Schönerer, powinienby dużo i często besztać, a dowody tego Schönererowi na piśmie przesyłać — wkrótceby i florenów nie starczyło.

Więcej jeszcze jak prasa, agitują pastorzy protestanccy i to przeważnie pruscy. Rząd austryacki, tak czuły pod pewnemi względami, na tym punkcie jest bardzo tolerancyjnym. To też pastorzy rozlali się po Austryi i Czechach. Z sobą niosą słowa czystej ewangelii i uszczęśliwiają nią ludzkość; masy pism i broszur, zawierających najwstrętniejsze kłamstwa i potwarze, skierowane przeciwko Kościołowi, rozrzucają bezpłatnie między lud i cieszą się skutkami swej pracy. A skutek tego jaki? Garstka odstępców, których katolicy bynajmniej nie żałują, ci wszyscy bowiem już dawno katolikami nie byli. Pokazują to same motywa, któremi się apostaci kierowali. Jakiś inżynier np. przeszedł dla tego na protestantyzm, że kiedy obok niego przechodził w procesyi kapłan z Najświętszym Sakramentem, a on sam, jak przystało na wykształconego człowieka, stał obok z kapeluszem na głowie i cygarem w ustach i ironicznie patrzał na

zgłupiały tłum, jeden z bardziej krewkich uczestników procesyi zrzucił mu kapelusz z głowy. Inny znowu uszczęśliwił całą swoją rodziną szeregi ewangelickie, ponieważ jego dorosły syn, godny ojca potomek, został za ciężką obrazę miejscowego kapłana policyjnie ukarany, choć go ksiądz sam bynajmniej nie skarżył, a tylko policya sprawę w swe ręce wzięła; w każdym razie kapłan był tak bezczelny, że nie przeprosił ojca wyrostka, który go ciężko obraził. Największym jednak tryumfem ostatnich czasów, to przejście na starokatolicyzm księdza Franciszka Macha, niegdyś katechety w Czechach. Do szukania prawdy w nowym obozie popchnęły go, jak pisze, następujące przyczyny: celibat (!), brak wolnego badania i zabobony Kościoła, objawiające się przedewszystkiem w Lourdes. Z Macha jednak partya nie wiele będzie miała pociechy. Dzisiaj już odrzuca on nietylko katolickie, ale i starokatolickie i protestanckie wyznanie, gdyż zdaniem jego i one jeszcze za dogmatyczne — trzeba mu więc dopiero nową religię utworzyć. Pozytywnej religii jakiegobądź wyznania Mach korzyści żadnej nie przyniesie, tak jak nie przyniesie wogóle żaden z nowoczesnych odstępców, którzy kierują się wszelkimi motywami, byle nie religijnymi. Poznali się na tem sami rozsądni, wierzący protestanci, i dla tego trzymają się w rezerwie wobec apostatów, utrzymując, jak to czyni np. *Deutsches Adelsblatt*, że już z tego powodu protestantyzm nic nie zyska, ponieważ ci ludzie nie przechodzą do jakiegoś pewnego Kościoła, tylko do nieokreślonego protestantyzmu, zasadzającego się jedynie na negacyi. Protestanckie *Noviny Tesinské* wcale się nie cieszą z tego przyrostu i porównują odstępców do mułu, zanieczyszczającego pola i łąki.

Faktem więc jest, że agitacya istnieje, że jest ona politycznie niebezpieczną dla państwa, że wreszcie jadem bryzga na wszystko, co katolik sobie ceni i kocha. Jak wobec tego zachowuje się rząd? Ktokolwiek zna choć trochę stosunki austryackie, wie od razu, że gdyby tu chodziło, dajmy na to, o Żydów, rząd zabrałby się energicznie do dzieła; ale tu chodzi tylko o katolików i o Kościół katolicki, którego religia jest religią cesarza i państwa. Nikogo więc nie zadziwiło, gdy kilku przez lokalne

władze z powodu zaburzeń wypędzonych pastorów niemieckich Austrya pod parciem sąsiedniego rządu na nowo pokornie do kraju przyjęła; nie zadziwiło nawet i wtenczas, gdy doszły wieści, że polscy księża, polscy i czescy robotnicy z kraju hakaty bez najmniejszych przyczyn wydaleni zostali — nie zadziwiło, bo nic już zadziwić nie może. Niespodzianką za to, i to niespodzianką pewnie i dla samych wszechniemców, była mowa prezydenta ministrów, wygłoszona w tej kwestyi w pierwszych dniach czerwca. Prezydent prosi, żeby nie przeceniać ruchu. Twierdzi, że Kościół w Austryi nie jest bynajmniej zagrożony, gdyż troska i piecza o Niego spoczywa w pewnem i wiernem ręku, nadmiar zaś zarządzeń policyjnych jest zawsze czemś wątpliwem a nawet trochę niebezpieczny. Że Kościołowi takie wielkie niebezpieczeństwo ze strony ruchu *Los von Rom* nie grozi, o tem jesteśmy przekonani. Przez większe już burze przeszedł Kościół, a nie ugiął się; odstępstwa oczyszczą tylko atmosferę kościelną i zniszczą zarazki dżumy. Że jednak nie grozi żadne niebezpieczeństwo, to zawdzięcza Kościół jedynie swej żywotnej sile i Boskiemu posłannictwu, wcale zaś nie tej pewnej i wiernej ręce, o której wspomina prezydent ministrów. W ostatnich dziejach Kościoła w Austryi, tej silnej, pewnej ręki nie można było jakoś zauważyć i dotychczas jej nie widać. To też nie chodzi nam o nadmiar zarządzeń policyjnych; tego żaden z katolików nigdy nie żądał i do tego nigdy nie dążył. Dziwi nas tylko, że minister groził interwencyą władzy na wypadek jakichś knowań politycznych, przeciwnych bezpieczeństwu państwowemu, a uznał, choć nie w słowach, ale w rzeczy samej, za zgodne z prawem wszelkie występowanie przeciwko Kościołowi, potwarze, systematyczne zohydzanie kleru, jednem słowem, całą antyreligijną walkę, dla której każdy środek, wiodący tylko do podkopania władzy kościelnej, jest świętym i zacnym. O nasz Kościół nie lękamy się, choćby mu zabrakło i tej pewnej, wiernej ręki, opiekującej się nim; żądamy jednak sprawiedliwości dla powstrzymania jawnych oszczerstw i niczem niepohamowanej nienawiści względem Kościoła, który przecież ma swe zagwarantowane w Austryi prawa.

LOS VON ROM I PRUSY.

Hasło *Los von Rom* pojawiło się tymczasem i w Prusach. Powstało mianowicie w Berlinie w ostatnich czasach stowarzyszenie pod nazwiskiem *Neue Evangelisationsgesellschaft,* mające na celu agitować między katolikami w Prusach, uwolnić ich od krępującego wpływu Kościoła katolickiego a zawieść „do światła i do Chrystusa". Ciekawa rzecz! Kościoły berlińskie i wogóle protestanckie świecą pustkami; dochodziło już do tego, że w uroczyste nawet święta nie odprawiano nabożeństw z powodu zupełnej prawie nieobecności wiernych. Ateizm, liberalizm, zepsucie szerzy się z przerażającą szybkością; w samym Berlinie, stwierdza *Germania,* znajduje się co najmniej milion ludzi zupełnie bezreligijnych. Każdy rozsądny myślałby więc, że tu czeka predykantów praca prawdziwie zbawienna; tymczasem oni, choć ich nikt o to nie prosi, otaczają troskliwą opieką katolików. Czyżby już o swoich zupełnie zwątpili? Ale w takim razie, jeżeli protestantyzm w ten sposób prowadzi „do światła", cóż katolikom w zamian da? Fanatyczną chyba nienawiść i ujadanie na wszystko, co jeszcze serce ludzkie do siebie przykuć potrafi.

Na wszystkie te i tym podobne sztuczki wcale dziwnie zapatrują się poważni protestanci. Jedni nie chcą ani z *Neue Evangelisationsgesellschaft,* ani *Evangelischer Bund,* ani *Gustav-Adolf Verein* mieć nic do czynienia, inni potępiają cały sposób agitacyi, twierdząc, że rozżarzy on na nowo wojnę wyznaniową, niektórzy są nawet tak odważni, że pytali się *Verein*'ów, coby to było, gdyby katolicy założyli w samem centrum protestantyzmu stowarzyszenie w celu szerzenia swej wiary — wszak już dzisiaj i tak dużo na propagandę katolicką się wygaduje. Te i tym podobne uwagi nie przypadają do smaku gorliwym agitatorom, ale też trafiają na twarde głowy, więc niewiele skutkują. Owszem działanie ich rozszerza się i na Austryę.

Wrocław pod parciem swego nadburmistrza przeznacza pokaźną sumę na popieranie ruchu w sąsiedniem państwie a przeznacza tę sumę z pieniędzy, które i katolicy musieli składać. Inne miasta wysyłają broszury i pisma, zawierające cały stek najbezwstydniejszych kłamstw i uszczęśliwiają Austryę (między

innemi podobno i Kraków) predykantami o bardzo wątpliwej moralnej wartości. A biedna, łaknąca światła ewangelicznego Austrya otwiera gościnne ramiona ludziom, którzy pod płaszczykiem religii, dopuszczają się zbrodni zdrady kraju. Nie dość na tem!

Dla zbyt butnego zachowania się, umiano się wreszcie zdobyć, nawet w Austryi, na wydalenie kilku pruskich pastorów. Powstał hałas nie do pojęcia. Ministeryum saksońskie interweniowało w tej sprawie, a choć racye, dla których predykantów wydalono, były aż nadto słuszne, rząd austryacki nie umiał się naciskowi oprzeć i ku niezmiernej uciesze wszelkich *Saecularmensch*'ów cofnął pierwotny wyrok i wydalonym na nowo gościnne otworzył progi. I dla kogo to zrobił? Dla Prus, gdzie na proste orzeczenie policyi, że ktoś stał się *lästig*, bez litości pędzi się każdego, gdzie w ostatnich czasach setki robotników polskich i czeskich bez żadnych racyj do granicy odstawiono; gdzie polscy i czescy księża kraj opuszczać muszą, choć chodzi im jedynie o to, by biednemu ludowi nieść pociechy religijne, gdzie wreszcie księdza, któryby publicznie głosił zasady wyznawane przez protestanckich pastorów w Austryi, czeka proces o zdradę kraju i obrazę majestatu. Takie postępowanie każdemu słusznie zda się ciekawe, a powagi Austryi w Niemczech nie podniesie. Sami Niemcy, i to nie tylko katoliccy, dziwią się sąsiedniej gospodarce; *polnische Wirtschaft* w krótkim czasie zmieni przymiotnik.

MOWA TRONOWA REGENTKI HISZPAŃSKIEJ.

W jednym z poprzedzających numerów *Przeglądu* zajmowaliśmy się obszernie ostatniemi zajściami w Hiszpanii; wykazaliśmy tam, na kogo właściwie spada odpowiedzialność za zaburzenia i prowokacye, które znowu nie były tak wielkie i znaczące, jakby to pewien odłam prasy chętnie w nas wmówił. W szczególności zaś pokazaliśmy, że o żadnej z b r o d n i Jezuitów nie może być mowy, gdyż sprawa panny Ubao całkiem inaczej się przedstawia, jak to niektóre gazety suggerowały, a Jezuici żadnego w niej nie brali udziału. Skonstatowaliśmy jedynie fakt, że zaburzenia istnieją; nie można

jednak wtedy jeszcze było przewidzieć, jakie stanowisko w tej kwestyi zajmie rząd hiszpański. Obecnie mamy już odpowiedź, a dała ją nam mowa tronowa królowej regentki, która zdaje się została wciągniętą w zainicyowaną przez lożę walkę przeciw Kościołowi i zakonom, a mówiąc językiem modnym, w walkę przeciw klerykalizmowi.

Mowa królowej zaznacza najpierw, że stosunki Stolicy św. do Hiszpanii są nader przyjazne, że papież Hiszpanię popiera i jej dopomaga. Co to właściwie znaczy? Mowa regentki zapowiada rozmaite rzeczy. A więc ustawa o kongregacyach będzie zmieniona — zapewne na ustawę skierowaną przeciw kongregacyom; ma być zreformowany konkordat, zreformowany oczywiście według zapatrywań Sagasty i towarzyszów; ma być wreszcie ograniczona i polepszona ustawa o budżecie religijnym. Wobec tego mowa, zapowiadająca przyjazne stosunki ze Stolicą św., nie może być chyba brana na seryo; trudno przecież, żeby Ojciec św. zajął przychylne stanowisko wobec tych nowych planów walki kulturnej, którą rząd w całem tego słowa znaczeniu rozpoczyna, tem bardziej, że w jednej z ostatnich alokucyj, skierowanych na Konsystorzu do kardynałów, napiętnował Leon XIII. ostremi słowy walkę przeciw zakonom, którą we Francyi i Hiszpanii loża i jej słudzy, liberali, rozpoczęli. Czyż więc mowa regentki ma może na celu zamknąć tylko szerszej publiczności oczy i pokazać jej, że papież sympatyzuje z postępowaniem i taktyką rządu? Trudno wynaleźć naprawdę inną możliwość. Hiszpania dzisiaj już stoi nad przepaścią; walka kulturna, walka, której potężniejsze państwa przetrwać nie potrafiły, przyczyni się tylko do tego, że cały kraj jeszcze się prędzej w tę przepaść pogrąży.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z zakresu medycyny.

Niedawno przebrzmiało echo wiekowej rocznicy odkryć Volty, którym na łamach niniejszego pisma krótkie poświęciliśmy wspomnienie; niedawno również, według dowcipnego porównania jednego z niemieckich powieściopisarzy, głębiny morskie święciły jubileusz połączenia światów pierwszym podmorskim kablem; niedawno wreszcie gorącem słowem czciły czasopisma pamięć zmarłego przed stu laty twórcy psychofizyki, który położył podwaliny pod naukę fizyologii naszych zmysłowych wrażeń. Przy sposobności tych trzech rocznic rzucało się okiem na całe stulecie ubiegłe, analizując pojedynczę fazy naukowego postępu i zdając sobie sprawę ze stanowiska, na którem stoimy u początku nowego stulecia, a jednak, nim się to zrobiło, już nowe zawiały prądy i nowe przyszło nam zapisać odkrycia na kartach dziejowych. Wystarczy bodaj wspomnieć jaką siatką ścisłych pomiarów matematycznych otoczyli niedawno uczeni kulę ziemską za inicyatywą jenerała Baeyera, powołując do swego współpracownictwa 40 linij telegraficznych łączących San-Francisco z Chesapeakebai i słynnego Gill-Capa, oddającego się badaniom naukowym w Afryce i Indyach; wystarczy przypomnieć, iż pokuszono się nawet o zważenie całej atmosfery powietrznej, aby się przekonać, że ona waży 51344 trylionów kilogramów, a więc 247 razy mniej niż ocean, a 210900 razy mniej niż ziemia; wystarczy wreszcie zaznaczyć, iż w ostatnich czasach po tak ważnych odkryciach, jak np. telegrafia bez drutów, o których myślano, że chyba przez długie lata nic ich nie przewyższy, nastąpiły niebawem telegrafia barw, otofony i telegraphony Poulsena. Przekonać to wszystko nas musi, że wskazówka szybko się porusza na zegarze postępu; a choć czasem chwilowy zdaje się panować zastój i lepszym wydaje się powrót do dawniejszych praw i metod, bo nowe wynalazki nie od razu zdobywają sobie prawo obywatelstwa i nie od razu prowadzą do wszechstronnie świetnych wyników, to jednak postęp wyłamuje sobie wrota pałaców i drzwi zagród wiejskich, pociągając za sobą żądnych wiedzy, oświecając ciemnych, a niedowiarkom szepcąc słowa Horacyusza: „Jeśli sam nie wynalazłeś czego lepszego, z nami korzystaj z tego, cośmy zdobyli".

Mówiąc o teoretycznych naukach lekarskich rozpocząć musimy

od jednej z podstawowych nauk, a mianowicie od fizyologii. Badania ostatnich czasów przyniosły nam jako nowość ścisłe optyczne spostrzeżenia de Parville'a, nad drażniącą własnością barwy czerwonej, a uspokajającem działaniem barwy zielonej, co niezmierne ma znaczenie dla okulistyki, hygieny mieszkań i unormowania zajęć fabrycznych. Równocześnie z tem Madren i Causse stwierdzili różnoraki wpływ rozmaitych barw na skład i znaczenie organicznych i nieorganicznych cieczy. — Z dziedziny nauki o cieple wspomnieć należy badania Marxa, udowadniające, że temperatura $37{,}2^0$ u człowieka nie jest już normalną, lecz stoi zwykle w parze z zapowiadającemi się chorobliwemi zmianami. Niemniej ważnemi w dziedzinie nauki o magnetyzmie zwierzęcym są świeże doświadczenia, udowadniające nam, że organizm może znajdować się tak samo bez szwanku w polu magnetycznem aż 2000 jednostek, jak pod wpływem silnych prądów przemiennych o 280 peryodach na sekundę. O znaczeniu tych ostatnich łaskawy czytelnik przekonał się z artykułu poświęconego w niniejszem piśmie rozwojowi elektromedycyny; obecne badania nad polem magnetycznem uzupełniają jeszcze bardziej całokształt poczynionych spostrzeżeń. Z dziedziny nauki o lokalizacyi mózgowej wspomnieć możemy dwa fakta, a mianowicie nowe badania Welta i Jastrowitza, udowadniające, że siedzibą fizycznych władz, stanowiących podkład psychicznego usposobienia są płaty czołowe, oraz negatywne badania Friedmanna i Maas'a, wykazujące, że gruczoł, zwany przysadką mózgową, nie ma wcale takiego znaczenia, jakiego dawniej po nim spodziewano się. Wreszcie wspomniećby można na tem miejscu o licznych doświadczeniach nad wpływem promieni Röntgena na organizm oraz ciekłego powietrza. Aczkolwiek teoretyczne, poprowadziły one do szeregu praktycznych zastosowań, a'mianowicie: pierwsze do przyświecającego lekarzowi w postępowaniu z chorymi *cave,* drugie zaś do zastosowań leczniczych w chirurgii.

Z dziedziny anatomii patologicznej mało jest prac takich, o których w ramach niniejszego pisma wspomniećby można. Ogólniejszy interes wśród nowszych prac budziłby mogły tylko badania Zieglera nad własnością odradzania się tkanek uszkodzonych, oraz wyczerpujące badania Borrel'a z Instytutu Pasteur'a, który, nie przecząc istnieniu pasożytów w nowotworach, zwanych rakami, zaprzeczył jednak możliwości egzystencyi jakiegoś swoistego drobnoustroju, i położył koniec długo ciągnącej się w literaturze dyskusyi nad teoryami pasożytniczemi raka.

W krótkim stosunkowo czasie najwięcej nowych naukowych od-

kryć zdobyła bakteryologia. Pisma francuskie ogłosiły niedawno odkrycie zarazka ospy ludzkiej, dokonane przez prof. Roger'a z Paryża wspólnie z Weilem. Udało się badaczom zarówno wykryć te drobnoustroje w krostach naskórnych, jak też i we krwi chorych, w śledzionie, w rdzeniu. Również udało się wyhodować sztucznie te drobnoustroje oraz sztucznie u zwierząt przez szczepienie drobnoustrojów wywołać objawy chorobowe. Prawie równocześnie pisma niemieckie doniosły światu naukowemu o badaniach Zupnika, który u zwierząt wywołał objawy tężca, zapomocą laseczników, odkrytych przez Japończyka Kitasato, kładąc raz na zawsze tamę powątpiewaniom o tożsamości pierwiastka, wywołującego to cierpienie u ludzi i u zwierząt. Dla czytelnika może się zdawać przy pobieżnym rzucie oka, iż odkrycia tego lub owego drobnoustroju, tego lub owego pośrednika w przenoszeniu choroby, może być rzeczą mniejszej wagi. Dzisiejszy jednak kierunek nauki zdąża właśnie ku temu, aby, poznawszy niedostrzegalne dla gołego oka przyczyny chorób, szczepieniem różnych produktów tychże drobnoustrojów zapobiegać chorobom jeszcze przed powstaniem tychże. To co dzisiaj udaje się z ospą, to co zapobiega dyfteryi, to może z biegiem lat coraz szersze zagarnie widnokręgi. Ostatnie badania Miecznikowa, dokonane w instytucie Pasteura, któremi tegoroczne były przepełnione dzienniki, udowodniły nawet, że można zapomocą małych dawek sztucznie wytworzonych trucizn komórkowych, dać tym komórkom sposobność niejako do reakcyi i możność wzmacniania się i odnawiania się we wszystkich przypadkach wyniszczającego ustrój zaniku. Pobudką do tych badań były doświadczenia wykonane przez francuskich uczonych w r. 1898, udowadniające, iż można przygotowywać jady, które dowolnie zabijają pewne czynniki anatomiczne danego rodzaju zwierząt. Za tem poszło wynalezienie „odtrutek" na „trucizny komórkowe", czyli *antycytotoksyn*, a jeszcze dalej odkrycie zjawiska, iż pewne trucizny komórkowe w pewnej dawce sprawiają powiększanie się liczby danych komórek i sprzyjają ich rozwojowi. Uczeni rokują tym odkryciom zastosowanie praktyczne, tem bardziej, iż istnieje szereg chorób, w których jedne komórki bez przyczyny niejako zanikają, podczas gdy drugie są pełne życia. O ile jednak zanik starczy da się usunąć praktycznemi skutkami śmiałego odkrycia, jeszcze dziś powątpiewać należy. Mimochodem można tu wspomnieć o nowem dziele *Le Dantec'a*, ogłoszonem w *Revue Encyklopédique*, gdzie spotykamy się z twierdzeniem, iż niema śmierci, gdyż śmierć jest właściwie tylko ciężkiem omdleniem, w którem ciągłe odnawianie wewnętrznych cząstek

ustroju zostało przerwane. Rozprawa autora, niewątpliwie pełna erudycyi i doskonałych wskazówek praktycznych, odnośnych do sztucznego wywołania ruchów płuc i serca, jest jednak pełną komizmu z powodu sensacyjnych twierdzeń o śmierci organizmu i kwalifikuje się do tej samej kategoryi, co za daleko idące wnioski, które niektórzy autorowie wyciągają z powyżej wspomnianych badań nad śmiercią oddzielnych komórek.

Po tej małej dygressyi wracamy z łaskawym czytelnikiem do niedokończonego jeszcze przeglądu najnowszych prac bakteryologicznych, a mianowicie wspomnieć jeszcze słów kilka chcemy o zimnicy czyli malaryi. O ile choroby, o których dotąd mówiliśmy, polegają na tle zakażenia drobnoustrojami, których gołem okiem dostrzedz nie można, o tyle znowu przekonały nas najświeższe badania, że w malaryi przenośnikiem choroby, jest dobrze dostrzegalny wróg naszego zdrowia i częsty mieszkaniec naszych pokojów, a mianowicie komar. Właśnie w ostatnich czasach zdobyto cały szereg praktycznych spostrzeżeń i zabrano się z bardzo pomyślnym skutkiem do zrealizowania zasad, które przed dwoma laty wypowiedział był Koch, zwracając uwagę na możliwość przenoszenia tej choroby za pośrednictwem ukłucia komarów. W okolicach dotkniętych zimnicą pozaprowadzano jak najdokładniejszą ochronę mieszkań i kolei przed ukłuciem powietrznych wędrowców; okna zaopatrzono sieciami, twarze zasłonami, pokoje, izby i więzienia posypano mieszaniną rumianku, jastrunku i waleryany, lub chlorkiem wapna z kwasem siarkowym. I cóż okazało się? Oto przypadki zimnicy zmniejszyły się wszędzie do minimum, stosunki zdrowotne polepszyły się znacznie, a na niektórych wyspach, gdzie w latach poprzednich po 100 ciężkich bywało wypadków, ledwo kilka osób zapadło na wzmiankowaną chorobę. Oprócz powyższych praktycznych spostrzeżeń wzbogaciła się nauka szeregiem teoryj, wygłoszonych przez Kocha po powrocie z podróży po Afryce i Ameryce. Między innemi ważnem jest spostrzeżenie, że krew dzieci bardzo często zawiera pasożyty, których we krwi osób starszych nie znajdywano, oraz, że wyrobić się daje sztucznie odporność przeciwko nawrotom zimnicy, jeżeli w wieku dziecięcym jej nie tamowano lekarstwami, jak np. chininą. O ile badania, dotyczące ospy i tężca, o którym wspominaliśmy powyżej, rzuciły pomost między biologicznemi zjawiskami świata zwierzęcego i ludzkiego, poddając objawy różnorodne pod wspólny mianownik nowo wykrytych praw, o tyle znowuż wszystko, cośmy powiedzieli o teoryach zimniczych

Kocha, ma wielkie znaczenie praktyczne, a przedewszystkiem profilaktyczne tj. ochronne przed szerzącemi się spustoszeniami epidemij.

A skoro już jesteśmy przy profilaksie, nie można zamilczeć o najnowszych postępach higieny, która na każdym kroku stara się zwalczać choroby w ich zarodku i nie dopuszczać szerzenia się chorobotwórczych pierwiastków. Tak ważna, a tak wszechstronnie opracowywana sprawa odświeżania zużytego powietrza zyskała niedawno ważną zdobycz w odkryciu chemików Desprez'a i Balthazard'a których doświadczenia, wykonane z polecenia ministeryum marynarki we Francyi zupełnie zadowalniające dały wyniki. Słynny Joubert potrafił nadto obniżyć koszta sztucznego wytwarzania tlenu przez zastąpienie dwutlenku sodu innymi związkami, zawierającymi jeszcze więcej *oxygenium*, a nadto nadającymi się nietylko do potrzeb życia lądowego, lecz także do żeglugi podmorskiej.

Poza temi doświadczeniami, zdążającemi specyalnie do odświeżania tlenu powietrza, na każdym kroku spotykamy w najnowszem piśmiennictwie wszechstronne próby, dokonywane w kierunku dokładnego i skutecznego odkażania mieszkań, sal publicznych, szpitalów, szkół i t. d. Przedewszystkiem walka z gruźlicą zapowiedzianą jest na całej linii przez osobne towarzystwa, wydziały przeciwgruźlicze, a nawet międzynarodowe kongresy. Dla zrekognoskowania sił nieprzyjaciela powołano do wytworzenia ścisłej statystyki gruźliczej miasta, miasteczka, osady i wsie; zaproszono do współudziału księży, urzędników i zarządy gminne; zorganizowano komisye, zajmujące się odczytami i publikacyami o środkach zaradczych oraz komisye, zajmujące się zapobieganiem zaraźliwości zwierząt, mleka i środków spożywczych, wreszcie wytężono wszelkie usiłowania, aby w różnych miejscowościach i koloniach leczniczych zakładać specyalne sanatorya, w których kształt ubikacyj, materyał budowlany, system przewietrzania i dezynfekcyi, wreszcie przedewszystkiem ścisłe prawidła dyetetyczne i profilaktyczne składają się na jedną wzorową całość. Walka z gruźlicą nie jest w zasadzie rzeczą zupełnie nową, jednak w tych rozmiarach, jakie dzisiaj przybrała, i z tym krytycznym zapałem naukowym, jaki jej dziś przyświeca, musi być uważaną za odrębną erę postępu. Nadto podkreślić należy, że po gorączkowej epoce różnych wynalazków specyficznych i patentowanych, przeszliśmy dzisiaj do krytycznej równowagi, w której prym trzymają hygiena i profilaksa, oraz, że zachwalanych środków, które okazały się raczej dyagnostycznymi niż leczniczymi, użyto dziś

racyonalnie i skutecznie do wczesnego rozpoznawania choroby tam, gdzie o niej dawniej nie myślano, lub do ścisłego wykonywania kontroli nad gruźlicą zwierzęcą, która tak często i tak bardzo staje się przyczyną gruźlicy u ludzi. Czem w operacyach wojennych czułe oko posterunków, tem dzisiaj w medycynie stała się rekognoscyjna działalność lekarskiej profilaksy.

Dr. J. Zanietowski.

Druk ukończono 28 czerwca 1901 r.

Z DZIEJÓW AUSTRYACKIEJ POLITYKI HANDLOWEJ.

Początki nowożytnej polityki handlowej. — Zniesienie ceł wewnętrznych i system prohibicyjny. — Dążenie Austryi do unii celnej z Niemcami. — Umowa lutowa z r. 1853. — Zwycięstwo zasad wolnego handlu. — Autonomiczna taryfa celna z r. 1878 i początki zwrotu do systemu protekcyjnego. — Rozbicie się rokowań z Niemcami. — Dalszy rozwój systemu protekcyjnego w r. 1882 i 1887. — Układ z Włochami. — Wojna z Serbią. — Wojna celna z Rumunią. — Traktaty grudniowe.

Polityka handlowa we współczesnem tego słowa znaczeniu jest zjawiskiem stosunkowo późnem, którego początki sięgają zaledwie o mniej więcej trzysta lat wstecz w krajach pod względem ekonomicznym najwyżej rozwiniętych. Nowożytna polityka handlowa powstać mogła dopiero w chwili zaistnienia państwa nowożytnego. Średniowieczna organizacya społeczna objawiała się na zewnątrz z jednej strony daleko idącym samorządem administracyjnym a także politycznym oddzielnych krajów, prowincyj lub innych jednostek terytoryalnych, z drugiej zaś strony ich ekonomiczną niezależnością. Produkcya, konsumcya i rozdział dóbr dokonywał się przeważnie na targu lokalnym, miasto zużywało wytwory rolnicze okolicznych wsi, dostarczając im w zamian swych towarów, produkowanych sposobem rzemieślniczym, a nie fabrycznym. Z chwilą ustalenia się silnej władzy królewskiej, z chwilą wprowadzenia pewnej jednolitości administracyjnej łączy się także powolny zanik ekonomicznej niezawisłości poszczególnych historycznych jednostek terytoryalnych. Z czasem cena coraz większej ilości towarów kształtuje się nie

wedle podaży i popytu występującego na targach lokalnych, lecz wedle działania czynników, obejmujących cały obszar państwa. Mnoży się ilość towarów, produkowanych nie na potrzeby miejscowe, lecz przeznaczonych na zbyt w coraz to większym zakresie terytoryalnym. Równolegle z tą przemianą w technice produkcyi i organizacyi handlowej sprzedaży rozwija się akcya państwa skierowana do ujednostajnienia wewnętrznych stosunków ekonomicznych. Szybki wzrost wydatków wymaga reform skarbowych, dochody z domen i opłat okazują się niewystarczające, coraz to silniejszy nacisk trzeba kłaść na podatki, pobierane na rzecz państwa na całym obszarze kraju, a polityka handlowa wchodzi na zasadniczo odmienne tory z powodu powolnego znoszenia ceł wewnętrznych, utrudniających związki ekonomiczne poszczególnych prowincyj. Od tej chwili państwo pod względem handlowym występuje wobec zagranicy jako całość, a w dalszej konsekwencyi zachodzi potrzeba zawierania międzynarodowych t. zw. traktatów handlowych, które przez ustalenie obopólne ceł na pewien przeciąg czasu ułatwiają poddanym obu państw wzajemną wymianę towarów, czyniąc czasowo kalkulacyę cen niezawisłą od jednostronnych zmian w autonomicznej taryfie celnej.

Jako pierwszy przykład umowy tego rodzaju wymieniają zazwyczaj historycy ekonomii traktat Methuena z r. 1703, tak nazwany od nazwiska angielskiego pełnomocnika, który zabezpieczał Portugalii zbyt wina, a Anglii korzystną sprzedaż jej wyrobów wełnianych. Warunkiem zawierania traktatów handlowych było zatem poniekąd zniesienie wewnętrznych ceł, jeden z ważnych punktów programowych merkantylistycznej polityki ekonomicznej, którą Colbert zainaugurował we Francyi, a w Austryi niemal o sto lat później Marya Teresa.

Tak, jak w innych państwach, tak też i w Austryi wewnętrzna konsolidacya monarchii, rozpoczęta za Maryi Teresy, łączy się ze zniesieniem ceł wewnętrznych. Reforma z natury rzeczy nie mogła być od razu kompletną. Do wspólności cłowej nie włączono Tyrolu i krajów korony węgierskiej, a wobec zagranicy owoczesna polityka handlowa austryacka używała bar-

dzo pierwotnych metod postępowania. Prohibicya celna w najostrzejszej formie, jako zakazy wywozu surowców i kruszców szlachetnych a przywozu fabrykatów, była na długie lata przewodnią myślą polityki handlowej Józefa II., który jak w innych działach administracyi, tak i na tem polu rozwinął ożywioną działalność, potęgując swemi zarządzeniami a zwłaszcza patentami z r. 1784 i 1788 system prohibicyjny matki. Jego następcy tak skłonni skądinąd do zmiany zasad przez Józefa II. w czyn wprowadzonych, w zakresie polityki handlowej trzymali się kierunków przez niego wytkniętych. Ten system, właściwy prawie wszędzie pierwszym okresom merkantylistycznej polityki ekonomicznej, miał początkowo wielkie zasługi, głównie dzięki zaakcentowaniu jednolitości gospodarczej państwa przez zniesienie wewnętrznych ceł, z czasem jednak otwierał szerokie pole kontrabandzie celnej, nie mógł bowiem ostać się wobec wzrostu międzynarodowej wymiany dóbr.

W Austryi przetrwał stosunkowo bardzo długo, Rosya porzuciła go już w r. 1841 [1], podczas gdy monarchia Habsburgów zadowalniała się nim niemal aż do r. 1851 [2]. Powodów zmiany zapatrywań w sferach decydujących szukać należy nie w zwrocie poglądów na stosunki ekonomiczne, ale w odmiennem ukształtowaniu się polityki zagranicznej. Niemiecki związek celny z 1 stycznia 1834 r., który doszedł do skutku bez współudziału Austryi, nasunął austryackim mężom stanu myśl, że ekonomiczne wyodrębnienie Austryi może być początkiem osłabienia politycznych więzów między Austryą a Rzeszą Niemiecką; obawiano się hegemonii politycznej Prus w Niemczech, próbowano zatem przyłączyć się do niemieckiego związku celnego.

Rokowania podjęte w r. 1836 i 1847 z Prusami nie doprowadziły do rezultatu, rząd pruski bowiem stał na stanowisku, że zbliżenie się jest wykluczone wobec zasadniczo odmiennej

[1] Co do przyczyn i skutków tego zarządzenia por. między innemi, Jan Bloch: „Finanse Królestwa Polskiego, finanse Rosyi". Warszawa 1883. T. III, str. 71 i nast.

[2] Por. Dr. Aleksander Matlekovits: *Die Zollpolitik der oesterreichisch-ungarischen Monarchie von 1850 bis zur Gegenwart.* Budapeszt 1877.

polityki handlowej w obu państwach, że zatem zmiana prohibicyjnego systemu zakazów w Austryi, po której spodziewać się można ustania na przyszłość kontrabandy, jest niezbędnym warunkiem rozpoczęcia pozytywnych układów[1]. Rząd austryacki dopiero w r. 1849 zdecydował się energicznie pracować nad urzeczywistnieniem unii celnej z Niemcami, rewolucyjne ruchy w r. 1848 doprowadziły zatem także i w zakresie polityki handlowej do częściowego przynajmniej zwycięstwa zasad liberalnych. Urzędowy organ w numerze z 26 października 1849 ogłosił widocznie inspirowany artykuł, zawierający cały program stopniowego przeprowadzenia tej myśli, rozłożonej na cztery okresy, a obejmujący także porozumienie co do wprowadzenia wspólnych miar, wag, jednostek monetarnych, wspólnych ustaw handlowych, przemysłowych, wekslowych i t. d. Równocześnie minister handlu w gabinecie Schwarzenberga baron Bruck z wiosną 1849 r. rozpoczął przygotowania do zastąpienia systemu prohibicyjnego zakazów autonomiczną taryfą celną, któraby zawierała cyfrowe oznaczenie wysokości ceł i była, o ile możności, zbliżoną w swym układzie do taryfy niemieckiego związku celnego. Patentem z 7 czerwca 1850 r. zniesiono linię celną między Austryą a Węgrami, krok ten był zatem ostatecznem zniesieniem ceł wewnętrznych; nowa autonomiczna taryfa celna, oznaczająca wysokość ceł wedle wagi a nie w stosunku do wartości towarów, weszła w życie 1 lutego 1852 r. po zasięgnięciu opinii kół bezpośrednio interesowanych mimo silnego oporu ze strony sfer przemysłowych, które pragnęły zatrzymania dawnego systemu prohibicyjnego, nie czując się na siłach do podjęcia walki z zagraniczną konkurencyą nawet pod ochroną wysokich ceł, o nagłem bowiem przejściu od systemu zakazów do systemu wolnego handlu mowy być nie mogło; także i utrudnienia wywozu znikły wprawdzie w formie zakazów, natomiast wprowadzono, względnie zatrzymano cały szereg ceł wywozowych na drzewo, gałgany służące do fabrykacyi papieru, kości, surowy

[1] Adolf Beer: *Die oesterreichische Handelspolitik im XIX. Jahrhundert.* Wien 1891. Str. 75 i nast.

jedwab, odpadki przy wyrobie jedwabiu i t. d.; z ceł wywozowych cło nałożone na gałgany służące do fabrykacyi papieru *(Hadern)* utrzymało się aż do dzisiejszego dnia siłą tradycyi, aczkolwiek z powodu zmian technicznych w sposobach fabrykacyi gałgany jako surowiec mają już tylko minimalne znaczenie.

Rokowania między Austryą a niemieckim związkiem celnym o unię cłową, a raczej o szereg ułatwień i ustępstw celnych, któreby stanowiły stadyum przejściowe konieczne celem ekonomicznego zbliżenia między stronami interesowanemi i przygotowania terenu dla przyszłej unii rozbiły się o opór Prus, aczkolwiek państwa południowo-niemieckie, a zwłaszcza Bawarya i Saksonia popierały zamiary rządu austryackiego także z przyczyn przeważnie politycznych, czuły się bowiem zaniepokojone szybkim wzrostem potęgi i wpływu Hohenzollernów na bieg spraw ogólno-niemieckich. Nie doprowadziły także do skutku tajne układy o unię celną z wyłączeniem Prus; szczęśliwszym natomiast okazał się baron Bruck, były minister handlu, gorliwy propagator bardziej wolno-handlowych poglądów, który rościł sobie prawo do duchowego ojcowstwa idei unii celnej, jedyny może z ówczesnych wpływowych austryackich mężów stanu, dopatrujący się w niej zapowiedzi nietylko politycznych, ale także gospodarczych zdobyczy. Bruck przybył w grudniu 1852 r., jako przedstawiciel Austryi do Berlina, a już w lutym następnego roku doprowadził do zawarcia głośnego traktatu handlowego z Prusami t. zw. „lutowej umowy“ *(Februar-Vertrag)*, która na długie lata stała się osią austryackiej polityki handlowej. Art. 25 lutowej umowy, *pactum de paciscendo*, jak mawiał prezydent ministrów Manteuffel w pruskiej Izbie posłów, postanawiał, że w r. 1860 oba państwa wdrożą rokowania o unię celną — użyto słowa *Zolleinigung* — mającą obejmować prócz kontrahentów z r. 1853, a zatem Prus i Austryi, także i kraje należące do niemieckiego związku cłowego.

Gdy nadszedł rok 1860, Austrya okazała się skłonną do podjęcia układów o unię celną. Prusy jednak umyślnie przewlekały rokowania, dążąc do porozumienia z Francyą, hołdującą od r. 1860 systemowi wolno-handlowemu. Układem z 29

marca 1862 r. przyznały Prusy Francyi prawo wprowadzania swych towarów do Prus za opłatą ceł w umowie przewidzianych, a nawet niższych, o ile Prusy zrobią innemu państwu dalej idące ustępstwa celne w danej kategoryi towarów (t. zw. klauzula największego uprzywilejowania). Wykluczono zatem z góry zastosowanie wobec Austryi przyjętego w umowie lutowej systemu ceł różniczkowych, polegających na specyalnych ustępstwach, obowiązujących tylko państwa, zawierające umowę między sobą, a niedostępnych dla innych. Wykluczenie ceł różniczkowych przez klauzulę największego uprzywilejowania przyznaną trzeciemu państwu jest zatem także wykluczeniem unii celnej względnie rozszerzeniem jej na kraj, który zapewnił sobie największe uprzywilejowanie jednej ze stron zawierających unię celną. Zamiast projektowanej unii przyszła do skutku umowa między Austryą a niemieckim związkiem celnym z 11 kwietnia 1865 r.

Gdy Bruck ostatecznie usunął cła wewnętrzne i prohibicyjny system celny na rzecz protekcyjnego, gdy w umowie lutowej, zawartej na lat dwanaście, zwolniono od cła surowce, działał rząd austryacki głównie pod wpływem czynników politycznych, z czasem jednak dążenia wolno-handlowe stały się przewodnią ideą austryackich mężów stanu, którzy nie mogli oprzeć się prądowi powszechnie podówczas panującemu w Europie. Zresztą bitwa pod Königgrätz rozstrzygnęła ostatecznie spór o hegemonię wśród Rzeszy niemieckiej między Habsburgami a Hohenzollernami, unia celna zatem jako sposób politycznego zbliżenia się przestała mieć znaczenie. Nastały czasy zwycięstwa zasad wolno-handlowych, traktat między Anglią a Francyą z 23 stycznia 1860 r., w którego zawarciu brał udział Ryszard Cobden, założyciel głośnej, manczesterskiej *Anti-cornlaw-league*, dał hasło także i innym państwom do przyjęcia tego systemu. Traktat Cobdena nie zniósł wprawdzie ceł między Anglią a Francyą, ale obniżył je znacznie, ustalając jako maksymalne cło 30% wartości towarów[1]; *de facto* cło w tej wysokości

[1] Por. Johann von Bazant: *Oesterreichs Handelspolitik 1875—1892.* Leipzig 1894. Str. 3 i nast.

pobierała Francya tylko od pewnej kategoryi wyrobów żelaznych, natomiast tkaniny opłacały najwyżej 15% wartości, a półfabrykaty 4—5%, surowce przeważnie od ceł uwolniono. Anglia zniosła znaczną część opłat, obniżyła zarazem cła od wina i spirytusu. Za pośrednictwem klauzuli największego uprzywilejowania, którą najpierw zastrzegły sobie Prusy w wspomnianym już układzie z 29 marca 1862 r., ta taryfa celna stała się niemal ogólnie obowiązującą w Europie. Zaraz po wojnie z r. 1866 przystąpiła Austrya do zawarcia umowy z Francyą na podstawie klauzuli największego uprzywilejowania, który to traktat doszedł do skutku jeszcze w grudniu tego samego roku. W trzech następnych latach pozawierano umowy handlowe ze wszystkiemi ważniejszemi państwami, tak że „tymczasowa“ autonomiczna taryfa celna z 11 kwietnia 1865 r. stosowaną była z państw większych tylko wobec Rosyi, jej stosunkowo jeszcze wysokie cła miały zatem raczej tylko teoretyczne znaczenie, taryfa umowna zawierała bowiem znaczne ustępstwa od opłat, przewidzianych w taryfie autonomicznej. I tak: za cetnar cłowy zwyczajnych towarów bawełnianych trzeba było płacić 36 złr. w. a. wedle autonomicznej, a 16 złr. wedle umownej, za zwyczajne wyroby lniane 36, względnie 10—20 złr., za żelazo surowe 0·4, względnie 0·25 złr. i t. d., w towarach delikatniejszych, w fabrykatach, których wyrób stanowił właściwość wyżej rozwiniętych krajów przemysłowych, różnice były jeszcze znaczniejsze, a cło stosunkowo niższe. Układy owoczesne, zawierane były przeważnie na lat dziesięć, a terminu tego nie przetrwały.

Gdy rząd austryacki w połowie XIX. wieku usuwał system prohibicyjny, sfery przemysłowe monarchii stawiały silny opór[1], ten sam objaw powtórzył się przy sposobności zawierania umów handlowych, obniżających znacznie dotychczasową wysokość ceł między rokiem 1865—1869 włącznie. Układ z Niemcami z 11 kwietnia 1865 r. uzyskał z trudem większość w izbie posłów w zamian za przyrzeczenie nie rozciągania ustępstw w nim zawar-

[1] Por. Karl Mamroth: *Die Entwickelung der oesterreichisch-deutschen Handelsbeziehungen (1849—1865)*. Berlin. 1887. Str. 4 i nast.

tych na inne państwa, *pactum de contrahendo* z Anglią z r. 1865, umowy pozawierane z Francyą, Włochami, Belgią i Holandyą w latach 1865, 1866 i 1867, byłyby prawdopodobnie nie znalazły większości w austryackiej Izbie posłów, doszły jednak do skutku bez przyzwolenia parlamentu z powodu chwilowego zasystowania konstytucyi przez Belcrediego. Już odnowienie traktatu z Niemcami w r. 1868 wywołało silną opozycyę w sferach parlamentarnych, zwłaszcza wśród przedstawicieli miast i Izb handlowo-przemysłowych, działających pod wpływem opinii swych wyborców, przeważnie bezpośrednio w tych tak żywotnych kwestyach interesowanych, chodziło przedewszystkiem o zniżenie ceł dla tkanin *(Webwaaren)*. Prawdziwą burzę wywołało w następnym roku przedłożenie przez rząd dodatkowej konwencyi *(Nachtragsconvention)* z Anglią w wykonaniu *pacti de contrahendo* z r. 1865; opozycyi jądrem była grupa przemysłowców morawskich z Berna i z okolicy, której głównie chodziło o cło na fabrykaty z wełny owczej, a jej poseł Skene, sprawozdawca komisyi, której Izba przekazała projekt dodatkowej konwencyi z Anglią, zdołał uzyskać pewne podwyższenie pozycyi, obejmującej wyrób pończoch *(Strumpfwirkerei)*.

Pod wpływem odnowienia traktatu handlowego z Niemcami, zawartego 9 marca 1868 r. Izba niższa już 15 maja tego samego roku wezwała rząd do opracowania i przedłożenia projektu nowej autonomicznej taryfy celnej, któraby zastąpiła „tymczasową“ z r. 1865. Spodziewano się przez zmianę podstawy i punktu wyjścia obowiązujących umów wpłynąć na przewrót w dążnościach handlowo-politycznych rządu. Ministerstwo austryackie zastosowało się do życzenia parlamentu o tyle, że wdrożyło rokowania z Węgrami o porozumienie się co do treści projektu nowej autonomicznej taryfy celnej. Rokowania jednak okazały się na razie bezskuteczne. Węgrzy, ci „urodzeni wolno-handlowcy“, jak powiada Matlekovits[1], byli oczywiście zadowoleni z istniejącego stanu rzeczy, w danych warunkach dla nich mo-

[1] *Die Zollpolitik der österreichisch-ungarischen Monarchie und des deutschen Reiches seit 1868 und deren nächste Zukunft.* Leipzig 1891. Str. 5.

żliwie najlepszego, zależało im bowiem na wywożeniu płodów rolniczych na Zachód Europy, podwyższenie ceł na wyroby przemysłowe dotykało ich podwójnie, z jednej strony narażało bowiem na pogorszenie dobre stosunki handlowo-polityczne monarchii z państwami, które były odbiorcami ich płodów rolniczych, a które właśnie na tem polu mogły szukać sposobności do represaliów, a z drugiej strony groziło im kupowaniem austryackich wyrobów przemysłowych po cenach podwyższonych o zwyżkę cła. Wypadki gospodarcze lat następnych z natury rzeczy, jak to zresztą zaraz zobaczymy, musiały utwierdzić parlament austryacki w przekonaniu o potrzebie powrotu do systemu protekcyjnego; wobec bezskuteczności rokowań z Węgrami Izba niższa dała ponowny wyraz swej niechęci do odnowienia traktatów, upływających z końcem ósmego dziesięciolecia interpelacyami z 30 października 1874 i z 18 marca następnego roku; zapytywano rząd, czy ma zamiar wypowiedzieć obowiązujące umowy i przedłożyć projekt nowej autonomicznej taryfy celnej, a sejmy wszystkich trzech krajów korony czeskiej i Dolnej Austryi, a zatem sejmy krajów *par excellence* przemysłowych, wezwały rząd do porzucenia polityki handlowej, opartej na międzynarodowych umowach i do powrotu na drogę autonomicznej taryfy. W listopadzie 1875 r. rząd austryacki przeprowadził wypowiedzenie dodatkowej konwencyi z Anglią, oraz traktatów z Francyą i Rzeszą Niemiecką mimo stanowczego oporu Węgier, wypowiedzenie bowiem umowy musiało nastąpić na żądanie jednej z obu połów monarchii. Rząd węgierski, dotknięty tym krokiem, wypowiedział ze swej strony traktat zawarty między Austryą a Węgrami z r. 1867, a ustanawiający wspólność cłową na lat dziesięć.

Powodów czysto rzeczowych do zmiany stanowiska rządu nie brakło. Zwrot wolno-handlowy po ostatecznem rozbiciu się rokowań z Niemcami o unię celną okazał się zbyt nagłym, co przyznają także zwolennicy i obrońcy liberalnej polityki handlowej, nietylko Adolf Beer, ale nawet Matlekovits. Zwłaszcza układ z Francyą i dodatkowa konwencya z Anglią jest przedmiotem niemal powszechnej krytyki. Błędna ówczesna polityka handlowa

monarchii, która dała się zwłaszcza we znaki mniejszym przedsiębiorcom, uchodzi także za jedną z przyczyn wyuzdanej spekulacyi giełdowej, zakończonej znanem przesileniem z 15 maja 1873 r., w którym to dniu zgłoszono na giełdzie wiedeńskiej 120 bankructw. Pierwszem następstwem była prawie ogólna hyperprodukcya wywołana zmniejszeniem się zdolności konsumcyjnej wśród ludności. Do potężnej grupy przemysłowców berneńskich, w wysokim stopniu protekcyjnie usposobionych, jak to już poprzednio zaznaczono, przyłącza się obecnie także bardzo wpływowa grupa przedsiębiorców produkujących i przerabiających żelazo. Najważniejszym odbiorcą przemysłu żelaznego są przedsiębiorstwa budowli kolejowych; otóż wedle Matlekovitsa w r. 1871 oddano do użytku 2163, w r. 1872—2137, a w latach 1874—1880 łącznie zaledwie 2965 km. nowych linii kolejowych. Nic dziwnego, że przemysł żelazny wobec tak znacznego zacieśnienia pola zbytu stał się protekcyjnym, a przedsiębiorcy, pracujący w tej gałęzi produkcyi zawiązali towarzystwo, którego agitacyi Matlekovits przypisuje dojście do skutku protekcyjnej uchwały austryackiego kongresu ekonomistów z r. 1875.

Komitet zajmujący się przygotowaniem kongresu przedłożył zgromadzonym uczestnikom sprawozdanie i wnioski, w których żądano zniżenia cła na surowe żelazo i uznano ewentualne podwyższenie taryfy za ekonomiczny błąd; za wnioskiem sprawozdawców głosowała znikająca mniejszość, większość natomiast zgodnie z żądaniami posłów Peeza i Mengera oświadczyła się za wypowiedzeniem traktatów i za nałożeniem ceł autonomicznych przeważnie w wysokości 10—20% wartości towarów.

Zwrot w kierunku protekcyjnym zaznaczył się także w innych krajach Europy: Thiers we Francyi, Luzzati we Włoszech a Bismark w Niemczech powoli przygotowywali grunt do tej zmiany frontu. Rząd austryacki nie życzył sobie bynajmniej równie nagłego przejścia z jednego systemu polityki handlowej do drugiego, jak to nastąpiło dziesięć lat temu, gdy po rozbiciu się układów o unię celną z Niemiecką Rzeszą rząd austryacki zawarł szereg traktatów z wybitną tendencyą wolno-handlową. Obecnie chodziło przedewszystkiem o odnowienie umowy o wspól-

ność cłową z Węgrami, oraz o porozumienie się z nimi co do projektu nowej autonomicznej taryfy celnej, ponieważ „tymczasowa“ z r. 1865 opartą była na przestarzałym podziale towarów, szemat jej, zbliżony do wzorów niemieckich — resztka usiłowań o zawarcie unii celnej — nie odpowiadał współczesnemu rozwojowi techniki produkcyjnej, dając przez to sposobność do nadużyć, do obchodzenia ceł w taryfie przewidzianych, co się objawiło dotkliwem zmniejszeniem się dochodów celnych monarchii. Wyobrażano sobie jednak, że nowa autonomiczna taryfa celna podobnie jak tymczasowa z r. 1865 nie będzie w rzeczywistości obowiązywać, lecz stanie się podstawą do zawarcia z chwilą wygaśnięcia podówczas obowiązujących nowych międzynarodowych traktatów handlowych, będzie zatem *de facto* obowiązywać taryfa umowna, wyższa wprawdzie w myśl zamiarów rządu austryackiego od swej poprzedniczki, ale w każdym razie zapobiegająca powrotowi do samodzielnej, niekrępowanej umowami polityki handlowej.

Zgodnie z przedstawionemi zasadami rząd austryacki jeszcze w r. 1875 zaprosił rząd niemiecki do rozpoczęcia rokowań o zawarcie nowego traktatu, a zwrócono się najpierw do Niemiec z propozycyą nowych układów handlowo-politycznych, ponieważ mocarstwo to było gospodarczo ściślej związane z Austryą, jak jakiekolwiek inne, a wzajemna wymiana towarów bardziej ożywioną, jak z innymi krajami. Rząd niemiecki od początku trzymał się taktyki przewlekającej, domagając się przedłużenia na krótki przeciąg czasu obowiązującej umowy z marca roku 1868. Wysłańcy rządu niemieckiego (rokowania toczyły się we Wiedniu) osobiście dążyli do zawarcia traktatu, ale ich mocodawcy zdaje się, że widzieli w układach tylko sposób zyskania czasu i przygotowania zasadniczego zwrotu w niemieckiej polityce handlowej, do którego Bismark podobno dążył już wówczas. Rokowania musiano co chwila przerywać z powodu braku instrukcyi z Berlina.

Po rozbiciu się dwuletnich układów z Niemcami głównie z powodu budzącego się w tamtejszych decydujących sferach przekonania o potrzebie ochrony rodzimej wytwórczości rolniczej,

na razie jeszcze starannie ukrywanego [1], udało się rządowi austryackiemu skłonić Węgry do przedłużenia na dalsze lat dziesięć wspólności cłowej, oraz do zgody na nową autonomiczną taryfę celną z 27 czerwca 1878 r., która weszła w życie pierwszego stycznia następnego roku, a obowiązywała do 1 czerwca 1882 r. Właściwy jej charakter ochronny występuje na jaw najsilniej w podwyższeniu ceł na tkaniny bawełniane i wełniane, cła na żelazo i wyroby żelazne pozostały prawie niezmienione, natomiast w innych działach taryfy mamy do zaznaczenia nawet zniżki celne; jest to zwycięstwo węgierskich wolno-handlowych wpływów. Węgrzy wymówili sobie wolność cłową dla zbóż, chodziło im o dowóz z Bałkanu pszenicy, którą przerabiali w swych młynach celem wywozu do Niemiec i do Anglii oraz kukurydzy, którą żywili swe świnie, i z której wyrabiali spirytus. Podwyższenie cła na kawę i naftę jest wynikiem dążeń do podniesienia przy tej sposobności dochodów skarbowych. Parlament austryacki nieprzychylnie zapatrywał się na tę zmianę dawniejszej taryfy celnej, powołując się na większą konsumcyę tych towarów w Austryi, jak w Węgrzech, co pociągałoby za sobą większe obciążenie poddanych austryackich. Cel ten osiągnięto w znacznej mierze, w roku bowiem 1881 dochód celny z kawy i z nafty, uważanej wówczas jeszcze za przedmiot ceł skarbowych, wyniósł sześć milionów guldenów więcej, jak w r. 1877. Zatrzymano wolność cłową dla surowców, ale podniesiono cło na bydło, jednak podwyższone cło odpowiadało zaledwie 2—4% wartości importowanego towaru. Polecenie opłacania cła, przewidzianego nową autonomiczną taryfą celną w złocie równało się podwyższeniu cła o mniej więcej 15%, a nawet więcej.

Zaraz po ogłoszeniu autonomicznej taryfy w dzienniku

[1] Przyczyny zerwania rokowań są bardzo rozmaicie oceniane, wolnohandlowcy austryackiego parlamentu już podczas wielkich rozpraw handlowo-politycznych z roku 1878 przypisywali winę wygórowanym protekcyjnym dążeniom rządu austryackiego; w literaturze późniejszej zarzut ten powtarza się, a niektórzy widzą w ówczesnem stanowisku Austryi, a nie w taryfie niemieckiej z r. 1879 początek protekcyjnego zwrotu w Europie kontynentalnej (z wyjątkiem Holandyi), ponieważ ich zdaniem Austrya swem postępowaniem wywołała protekcyjną decyzyę Niemiec.

praw państwa rząd niemiecki rozpoczął nowe rokowania, żądając ponownie przedłużenia dobiegającego do końca traktatu z r. 1868, Austrya ponownie odmówiła, ograniczono się zatem do wzajemnego przyznania sobie umową berlińską z 16 grudnia 1878 r. klauzuli największego uprzywilejowania, a nadto uregulowano umownie kilka ważnych kwestyi kolejowych i ograniczono t. zw.: „obrót graniczny“ *(Grenzverkehr)*. Podnoszono wprawdzie, jak to wyraźnie zaznacza Matlekovits, starannie zapisujący wszelkie objawy pomyślne dla unii celnej, tej naczelnej idei jego handlowo-politycznej działalności, ze strony niemieckich pełnomocników potrzebę ściślejszego zbliżenia się celnego między obu sąsiadującemi mocarstwami, ale nie przedstawiono konkretnych wniosków.

Co się tyczy obrotu granicznego, zaznaczyć należy, że odgrywa on dziś jeszcze w Austryi rolę znacznie większą, jak gdzieindziej. Wszędzie wprawdzie ludność sąsiadujących państw, zamieszkała w wązkim pasie granicznym doznaje specyalnych ulg cłowych dla wzajemnej wymiany towarów, w Austryi jednak dziś jeszcze włoska klauzula winna i obrót graniczny z Serbią ma charakter ceł różniczkowych, ulgi bowiem dotyczącymi układami objęte nie podlegają z tytułu „obrotu granicznego“ klauzuli największego uprzywilejowania, są zatem dostępne tylko dla Włoch i dla Serbii z wykluczeniem wszelkich innych państw.

Dawniej ulgi cłowe objęte nazwą „obrotu granicznego“ odgrywały wielką rolę także i w stosunku do Niemiec, było to pozostałością czasów, w których Śląsk Pruski należał do Austryi, wówczas rzeczywiście chodziło tu o przeważnie ściśle lokalną wymianę tkanin lnianych; z czasem oczywiście ruch ten przybrał znacznie większe rozmiary z powodu zmian w technice produkcyi oraz udoskonalenia i potanienia środków przewozowych. W Niemczech skarżono się na konkurencyę austryackiego surowego płótna *(Rohleinenverkehr)*, które sprzedawano tanio na targach niemieckich, były to bowiem wytwory przemysłu domowego rozpowszechnionego wśród ubogiej ludności, zamieszkującej góry Olbrzymie, a zadawalniającej się nizkim zarobkiem, natomiast z drugiej strony bawełniany przemysł austryacki

skarżył się na wywóz bawełnianych półfabrykatów, które potem wracały z Niemiec bez cła na targi austryackie jako gotowy produkt *(Appreturverkehr)*. Umowa z 16 grudnia 1878 r. zapoczątkowała powolne zniesienie tych ulg cłowych, objętych nazwą obrotu granicznego, rząd niemiecki ograniczał coraz to bardziej handel płótnem, a austryacki w drodze retorsyi utrudniał przeróbkę austryackich bawełnianych półfabrykatów na fabrykaty w Niemczech; z końcem roku 1882 ten rodzaj obrotu granicznego ustał w zupełności.

Postanowienia kolejowe zawarte w umowie z 16 grudnia 1878 r. dotyczą z jednej strony wzajemnego wykluczenia tajnych refakcyi, których dopuszczanie Niemcy zarzucały rządowi austryackiemu, z drugiej strony obejmowały zrzeczenie się prawa do egzekucyjnego zajęcia wagonów kolejowych z powodu długów, zaciągniętych przez zarządy kolejowe. Chodziło tu o wypłaty w srebrze dokonywane przez austryackie koleje na rzecz niemieckich wierzycieli, którzy domagali się wypłat w złocie z chwilą przejścia Niemiec do złotego monometalizmu w r. 1873.

Trzy były główne trudności, z powodu których rozbiły się w grudniu 1877 r. rokowania Austryi z Niemcami o zawarcie nowego traktatu handlowego: obrót graniczny, egzekucyjne zajmowanie austryackich wagonów przez sądy niemieckie, wreszcie szykany weterynaryjne, których usunięcia domagały się przedewszystkiem Węgry w obronie wywozu swego bydła. Ten trzeci punkt nie był całkiem objęty umową z 16 grudnia 1878 r., którą *successive* z małemi zmianami przedłużono aż do połowy 1881 roku.

Także rokowania z innemi państwami, zwłaszcza z Francyą, prowadzone w tych czasach nie wyszły poza granice wzajemnego przyznania sobie klauzuli największego uprzywilejowania[1]. Tylko z Włochami doszła do skutku umowa z 23 grudnia 1878 r., zawarta na lat dziesięć, gwarantująca Austryi stosunkowo nizkie cła na płótna i drzewo (drzewo nieobrobione, a zatem okrąglaki

[1] Umowa z Francyą z 18 lutego 1884 r. zawiera prócz klauzuli największego uprzywilejowania pewne zniżki dla win szampańskich w zamian za ułatwienia wywozu mięsa i węgierskich baranów.

były nawet zupełnie wolne od cła) w zamian za ustępstwa w ocleniu jedwabiów, wina, ryżu i owoców południowych (fig, cytryn, pomarańcz, migdałów i t. d.). Zapewniono nadto prawo rybołostwa w Austryi mieszkańcom włoskiej wyspy Chioggi ze szkodą rybaków zamieszkałych w Dalmacyi i Istryi.

Autonomiczna taryfa celna z r. 1878 okazała się wnet niewystarczającą wobec wzrostu dążności protekcyjnych, powstanie jej przypisać należy nie tyle chęci samoistnego oparcia na niej przyszłej polityki celnej, ile zamiarowi zawarcia traktatu z Niemcami, zawierała zatem szereg pozycyj, obliczonych na pozyskanie rządu niemieckiego dla idei traktatu. Okazuje się z tego, że nie znano wówczas przygotowań niemieckich do zasadniczego zwrotu w polityce handlowej, skrystalizowanego w niemieckiej autonomicznej taryfie celnej z 15 czerwca 1879 r., która w literaturze uchodzi za koniec epoki wolnego handlu w kontynentalnej Europie, zainaugurowanej w r. 1860 traktatem Cobdena, oraz za początek ery protekcyjnej. Niektórzy uczeni, jak to już zaznaczyliśmy, uważają już austryacką autonomiczną z r. 1878, a zatem o rok wcześniejszą za początek nowej epoki w polityce handlowej; jest to może mniej stosownem już choćby dlatego, że w austryackiej taryfie niema charakterystycznego znamienia odróżniającego nową erę protekcyjną od dążeń do ochrony celnej z przed roku 1860, niema w niej bowiem ceł rolniczych, dawniej chodziło głównie o ochronę produkcyi przemysłowej, od r. 1879 za przykładem Niemiec agrarny protekcyonizm odgrywa coraz to większą rolę w polityce handlowej niemal wszystkich państw.

Niemieckie cła agrarne były, jak na początek przystało, stosunkowo skromne, za 100 kg. pszenicy, żyta i owsa przywiezionego do Niemiec trzeba było na przyszłość płacić jednę markę, za 100 kg. jęczmienia 0·50 m., mąki 2·50 m., roślin strączkowych 3 m., za 100 kg. słodu jedną markę, drzewa 0·10 m., a tartego 0·25 m. i t. d. Cło nałożone na zwierzęta wymierzane było od sztuki, za wołu 20 m., za świnię 2·50 m., za cielę 2 m.; cła te byłyby zresztą nie uszczupliły dowozu bydła i trzody chlewnej z Austryi do Niemiec; powodem znacznego zmniej-

szenia się dowozu w następnych latach były utrudnienia weterynaryjne.

W wysokim stopniu charakterystyczne dla niemieckiej taryfy z r. 1879 podwyższenie ceł na żelazo i stal — większość protekcyjna w parlamencie cesarstwa doszła do skutku na podstawie porozumienia się, pod patronatem kanclerza, grup rolniczych z przedstawicielami przemysłu żelaznego, obejmującego wzajemną gwarancyę głosowania za zwyżką celną w obu kierunkach[1] — nie przyniosło szkody pokrewnym austryackim gałęziom produkcyi, zajętym zdobywaniem wewnętrznego rynku, natomiast zniesienie ułatwień celnych dla handlu płótnem i podwyższenie ceł na tkaniny lniane, szkło, papier, na wyroby z gliny i drzewa, guziki i t. d. okazało się w skutkach swych dla Austryi niekorzystnem. Wobec tego Austro-Węgry przystąpiły do rewizyi własnej swej taryfy nietylko z powodu potrzeby zastosowania się do radykalnie zmienionej sytuacyi handlowo-politycznej w Niemczech, ale także w myśli podwyższenia dochodów celnych i technicznego udoskonalenia taryfy ciągle jeszcze niezgodnej z nowoczesną techniką i specyalizacyą produkcyi. Równocześnie na żądanie Węgier wznowiono w Berlinie rokowania z Niemcami o zawarcie nowego traktatu handlowego, które ostatecznie rozbiły się w r. 1881, podobnie jak cztery lata temu trzeba było ograniczyć się i w tym wypadku do wzajemnego przyznania sobie klauzuli największego uprzywilejowania. Pierwszym skutkiem przerwania rokowań było porzucenie polityki wolno-handlowej przez Węgry, których zwrot w kierunku protekcyjnym miał tylko taktyczne znaczenie, chodziło o skłonienie Niemiec do zawarcia umowy na podstawie zniżenia i ustalenia na dłuższy przeciąg czasu ceł rolniczych przez *repressalia* na ich wytwory przemysłowe. Zwrot protekcyjny w taryfie z r. 1882 występuje daleko intenzywniej, jak w r. 1878, obecnie bowiem stracono nadzieje zawarcia nowej umowy z Niemcami, to też rząd austryacki w motywach, przedłożonych parlamentowi nazywa przyszłą taryfę z r. 1882 „prawdziwie autonomiczną“ w odró-

[1] Sojusz ten powtarza się także niejednokrotnie przy sposobności zwrotu protekcyjnego w innych krajach.

żnieniu od dawniejszej, która bynajmniej nie oznaczała zerwania z systemem umów handlowych.

Pierwsze kroki Austryi na drodze ochrony celnej były przedewszystkiem obliczone na poparcie wyrobu tkanin, obecnie przyszła kolej na żelazo. Dawniej na czele ruchu protekcyjnego w Austryi stała berneńska Izba handlowo-przemysłowa reprezentująca interesa tamtejszego rozwiniętego przemysłu wyrobów wełnianych, a zwalczająca głównie konkurencyę tkanin angielskich; od kilku lat prymat przeszedł w ręce praskiej Izby handlowo-przemysłowej, której członkom dawało się, we znaki przedewszystkiem współzawodnictwo niemieckich fabryk żelaza.

Podniesiono cła żelazne wszystkich kategoryi zarówno na surowiec, jak niemniej na półfabrykaty i fabrykaty; surowe żelazo miało na przyszłość opłacać na granicy austryackiej nie 0·50 jak dawniej lecz 0·80 złr. Zwolennicy ochrony celnej uważali za błąd taryfy zbyt małe podwyższenie ceł na maszyny. Nie zapomniano także o wydatniejszej ochronie przemysłu chemicznego i o tkaninach wszelkiego rodzaju; podwyższono cło na przędzę bawełnianą powyżej Nr. 50 o 4 złr.; podwyższeniu cła na jutę sprzeciwiali się Węgrzy, którzy nie chcieli płacić drożej, jak dawniej, za worki, cena ich odgrywa bowiem wielką rolę przy przewozie i wywozie płodów rolniczych, przedstawiających, jak wiadomo, zazwyczaj małą wartość w stosunku do swej objętości. Cło na towary ze szkła, skóry, papieru i kamienia zrównano przeważnie z wyższymi cłami niemieckimi nałożonymi na towary tego samego rodzaju. Nie pominięto także towarów drobniejszego znaczenia jak futer, konserw, sznurów i t. d. Bazant [1], właściwy autor taryfy z r. 1882, podnosi w swej książce jako zasługę otoczenie ochroną przemysłów, które się tego nawet nie domagały.

Ważną innowacyą jest różniczkowe oclenie towarów sprowadzanych *per mare* do Triestu i Fiumy, najznaczniejsza zniżka dotyczy kawy (40 złr. lądem, 37 złr. w razie sprowadzenia

[1] L. c. str. 72.

morzem), chodziło tutaj o przełamanie monopolu Hamburga na handel kawą do Austryi.

Obok zwyżki cła na kawę w stanie surowym, niegotowanym z 24 na 40 złr. (oczywiście za 100 kg.) w celach skarbowych, co nie powstrzymało dalszego wzrostu konsumcyi, podwojono cło na herbatę w r. 1878 na 50 złr. oznaczone, podwyższono także cło na olej skalny z 60 ct. na 1 złr. 10 ct., a na naftę z 3 na 10 złr. Niestety znane węgierskie nadużycia celne popierane przez rząd tamtejszy pozbawiły Austryę zarówno spodziewanej zwyżki dochodów w tej kategoryi ceł, jak niemniej upragnionej ochrony rozwijającej się właśnie wówczas galicyjskiej produkcyi oleju skalnego. Wielka rafinerya w Fiume, a później i inne drobniejsze sprowadzały w znacznych ilościach pozornie zanieczyszczoną naftę za opłatą cła od oleju skalnego i po przeróbce celem odczyszczenia sprzedawały ją jako naftę rzekomo przez siebie rafinowaną. Najważniejszą nowością zawartą w taryfie z r. 1882 było wprowadzenie ceł rolniczych, niemal nieznanych taryfie z r. 1878 pod wpływem przykładu danego przez Niemcy, a naśladowanego nietylko przez Austryę. Na 100 kg. pszenicy nałożono 50 ct. cła, na jęczmień i żyto 25 ct., na mąkę 1 złr. 50 ct. Towary te dawniej cła nie opłacały. Podwojenie cła na chmiel z 5 na 10 złr. tłumaczy się tem, że rząd uważał cło na chmiel za cło skarbowe. Nastąpiły także nieznaczne zwyżki ceł opłacanych od przewozu zwierząt domowych.

Nałożenie względnie podwyższenie ceł rolniczych wydaje się dziwnem na pierwszy rzut oka, jeżeli się weźmie pod uwagę, że Austro-Węgry jako całość były wówczas krajem wywożącym zboże. Złożyły się na to różne przyczyny, z których może nie najmniej doniosłą była popularność w szerokich sferach ogólnika o potrzebie zrównania ceł austryjackich z niemieckiemi: aksyomat ten dla wielu stanowił przez szereg lat podstawę ich mądrości handlowo-politycznej. Otóż przedewszystkiem w Austryi (nie w Węgrzech) zdawano sobie już wtedy dokładnie sprawę z tego, że wywóz okazuje tendencyą raczej zniżkową zresztą wobec powolnej utraty zbytu na targach zagranicznych

myśl zabezpieczenia sobie zawczasu targu wewnętrznego przed zalewem konkurencyjnego towaru amerykańskiego, rosyjskiego i t. d. nasuwa się niemal sama przez się. Wobec państw bałkańskich chciano uzyskać w ten sposób przedmiot kompensacyjny, sposobność do zrobienia ustępstw stosunkowo tanim kosztem, spodziewano się wreszcie po nałożeniu cła na pszenicę i żyto korzystnego wpływu na ceny zważywszy, że przecie monarchia sprowadzała niewielkie ilości tych towarów zwłaszcza na pograniczu i w latach mniej urodzajnych.

Oczywiście, że o właściwej ochronie celnej nie było tu mowy, punktem ciężkości handlowo-politycznych interesów rolnictwa była wówczas jeszcze niemal wyłącznie potrzeba zabezpieczenia sobie wywozu. Środkiem naprawdę protekcyjnym było tylko zamknięcie w r. 1882 na Wschodzie granicy rumuńskiej i rosyjskiej dla przywozu tamtejszego bydła stepowego ze względu na obawę przewleczenia wysoce niebezpiecznej zarazy płucnej, a zatem ze względów weterynaryjnych. Zarządzenia tego kilkakrotnie domagał się sejm galicyjski.

Zaostrzono także *repressalia* celne wobec państw, które na towary pochodzenia austryackiego nakładają cło wyższe, jak na towary innego państwa. Wedle taryfy z r. 1878 towary pochodzące z takiego państwa opłacały cło o 10% wyższe od pozycyi autonomicznej taryfy, na przyszłość zwyżka ma wynosić 30, a nie 10%.

Taryfa z r. 1882 zatrzymała opłatę cła w złocie, wprowadzoną w r. 1878, a utrzymująca się odtąd stale w austryackim systemie celnym.

Dokonane w tych czasach rozszerzenie terytoryum celnego przez wcielenie Bośni i Hercegowiny nie koniecznie było korzystnem z ściśle rolniczego punktu widzenia.

Niemieckie cła zbożowe i drzewne nie długo utrzymały się na poziomie ustanowionym w r. 1879, rzut oka na statystykę poucza, że nie były w stanie powstrzymać przywozu tych wytworów z zagranicy. Niemieckim mężom stanu nasunęła się zatem myśl daszego ich podwyższenia, skierowanego między innemi także przeciwko Austryi, wobec której zwłaszcza różnicz-

kowe oclenie towarów morzem sprowadzanych ze szkodą hamburskiego handlu kawą i innymi zamorskimi towarami wywołało pewne rozgoryczenie. W r. 1885 podniesiono cło na pszenicę z jednej marki na trzy, cło na żyto z jednej marki na dwie, na jęczmień z 0·50 na 1·50 m., cło trzech markowe na mąkę podwojono cło (0·10 m.) na drzewo nieobrobione potrojono, cło na słód podwyższono z 1·20 na 3 m. W r. 1887 niemieckie cło na pszenicę i żyto (wówczas zrównane) doszło nawet do 5 m. za 100 kg., na słód do 4 m., na mąkę do 10·50 m.

Rząd austro-węgierski nie zwlekał ze swej strony ze zwyżką autonomicznej taryfy; już w r. 1885, z niezwykłym zatem pośpiechem, przedłożono austryackiej i węgierskiej Radzie państwa nowelę do obowiązującej taryfy z r. 1882. Motywa dołączone do jednobrzmiących w tekście ustawy przedłożeń obu rządów zawierają charakterystyczną sprzeczność, co do przyczyn powstania noweli cłowej. Motywa austryackie zastrzegają się wyraźnie przeciwko nasuwającej się na pierwszy rzut oka myśli, że chodzi poprostu o odwet wobec Niemiec i stwierdzają, że celem projektu jest utrzymanie zagrożonej równowagi w bilansie handlowym, natomiast motywa węgierskie oprócz zabezpieczenia targu wewnętrznego dla wytworów krajowego rolnictwa podają jako drugą przyczynę przedłożenia noweli zamiar zastosowania odwetu celnego wobec Niemiec. W sprzeczności tej uwydatniają się wyraźnie odmienne stanowiska obu rządów, austryacki korzysta z rozdrażnienia Węgier celem wzmocnienia przemysłu krajów korony czeskiej i Dolnej Austryi, natomiast węgierski chce w drodze zwyżek celnych zmusić Niemcy do zawarcia traktatu, obniżającego cła rolnicze. Dla Austryi dalsze zaostrzenie taryfy protekcyjnej jest samo w sobie celem, dla Węgier jest środkiem do celu; Austrya jest stale usposobioną protekcyjnie, a Węgry chwilowo.

Projekt noweli z r. 1885 stał się ustawą dopiero w dwa lata później, głównie z powodu opozycyi posłów polskich, żalących się na niedostateczną ochronę produkcyi oleju skalnego. Po długich walkach z Węgrami przeforsowano podwyższenie cła na ropę rysyjskiego pochodzenia z 1·10 na 2 złr., ulgi dla

rumuńskiej ropy, opłacającej dawniej 68 ct. ograniczono w ten sposób, że na przyszłość pozwolono po tem cle niższem przywozić do Austryi tylko 200.000 ctm., niestety jednak nie udało się usunąć nadużyć węgierskich, którym nawet Matlekovits całkiem nieśmiało przeczy, z przywozem nafty rosyjskiej sztucznie zanieczyszczonej.

Cło na pszenicę i żyto podniesiono na 1·50 złr., pozwalając jednak na wolny od cła przywóz 20.000 ctm. pszenicy i prosa do Dalmacyi, także i inne cła rolnicze doznały dalszej zwyżki. Zrobiono jednak wyjątek dla Serbii, wobec której i nadal miały być stosowane cła zbożowe taryfy z r. 1882. Rządy oparły się wprawdzie żądaniu podniesienia cła na żelazo surowe ponad poziom 0·80 złr. z r. 1882, ustanowiony wówczas w interesie słabo rozwiniętych, produkujących na małą skalę, a zatem drogo, fabryk Styryi i innych krajów alpejskich, ale zniesiono dozwolone taryfą z r. 1882 wprowadzenie maszyn, niewytwarzanych w kraju za opłatą połowy cła i podwyższono cła na maszyny, między innemi na młocarnie i inne maszyny potrzebne rolnikowi w jego pracy wytwórczej. Nie brakło także drobniejszych podwyższeń dla przędzy bawełnianej i pewnych towarów wełnianych.

Taryfa z r. 1887 poleca zarazem zwracać cło za pewne surowce lub półfabrykaty sprowadzone z zagranicy, w Austryi przerobione, a potem z niej wywiezione bez przeprowadzania jakościowego dowodu identyczności. Dawniej, gdy sprowadzono dajmy na to żelazo surowe celem wyrobu naczyń kuchennych w Austryi, wywożonych i sprzedawanych potem za granicą, trzeba było dla uzyskania zwrotu cła zapłaconego za przywiezione żelazo surowe udowodnić nietylko, że wywożone naczynia kuchenne wyrobiono z tej ilości żelaza, którą dawniej sprowadzono, ale także, że wyrób dotyczy specyficznie tego samego, a nie innego żelaza. Ta druga część dowodu na przyszłość miała odpaść. Taryfa z r. 1887 zarządza między innemi przy wywozie mąki zwrot cła za sprowadzone zboże bez jakościowego dowodu identyczności, jest to głośny obrót mlewem, w Węgrzech później bardzo rozwinięty. Przemysł mało korzystał z tych ulg z powodu

zbyt uciążliwych i biurokratycznych formalności, połączonych z ich zastosowaniem.

Podwyższenie cła na jedwabie w noweli z r. 1887 miało taktyczne znaczenie, chodziło o stworzenie przedmiotu kompensacyjnego ze względu na Włochy, które wypowiedziały układ z 28 grudnia 1878 r. W nowym traktacie z 7 grudnia 1887 r. obniżyła Austrya cło na jedwab do poziomu, przyznanego Włochom w dawniejszym układzie tj. do 200 złr.; Austrya zgodziła się także na rozszerzenie t. zw. „klauzuli winnej" *(Weinclausel)*, obowiązującej dawniej tylko odnośnie do północnych i środkowych Włoch; obecnie wino importowane z całych Włoch do Austryi opłaca 3·20 złr. Jak już nadmieniliśmy ulga ta objęta nazwą obrotu granicznego ma charakter cła różniczkowego, gdyż inne państwa, nawet te, którym Austrya przyznała największe uprzywilejowanie nie mogły z nich korzystać. Wogóle można powiedzieć, że Austrya nie zmieniła wysokości swych ceł w nowym traktacie, natomiast Włochy potrafiły wyrobić sobie pewne podwyższenia ceł nakładanych na przedmioty austryackiego importu, np. cło na piwo podwyższone z 2 na 3 liry, na kosy z 10 na 12 lirów i t. d.

Prócz z Włochami doszedł jeszcze do skutku traktat z Szwajcaryą z 23 listopada 1888 r., stosunek z Niemcami uregulowano w ten sposób, że przedłużono na czas nieoznaczony umowę z r. 1881, ograniczającą się właściwie, jak wiadomo, niemal wyłącznie do wzajemnego przyznania sobie klauzuli największego uprzywilejowania, zastrzegając sobie jednoroczne wypowiedzenie.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć w kilku słowach o stosunkach handlowo-politycznych z państwami Bałkańskiemi; 22 czerwca 1875 r. doszedł do skutku zawarty na lat dziesięć traktat z Rumunią, początkowo w Rumunii ze względów politycznych przychylnie powitany, sporną była wówczas kwestya, czy Rumunii wolno było zawierać traktaty handlowe bez zezwolenia Turcyi, przyznanie jej tego prawa przez Austryę przyjęto oczywiście z uznaniem, a to tem bardziej, że traktat zawierał cenne ustępstwa na rzecz rumuńskiego wywozu. Austrya uwolniła bo-

wiem od cła wino, zboże i bydło, a w zamian za to otrzymała szereg uwolnień i zniżek cłowych dla swych przemysłowych fabrykatów i półfabrykatów, dla wyrobów skórnych, z drzewa i szkła, dla piwa, cukru, papieru i wyrobów papierowych, dla towarów wełnianych i bawełnianych, fortepianów i t. d. W r. 1882 nastąpiła zasadnicza zmiana sytuacyi, ponieważ Austrya na życzenie Węgier i Galicyi zakazała przywozu bydła rogatego ze względu na opłakane stosunki weterynaryjne rumuńskie, grożące zawleczeniem księgosuszu i zarazy płucnej; oprócz tego wydawały władze austryackie od czasu do czasu zakazy dowozu świń i owiec. Skutkiem było nieodnowienie wygasającego w r. 1886 traktatu handlowego. Ponieważ zaś Rumunia ocliła wysoko austryackie towary, przeto Austrya zastosowała do towarów pochodzenia rumuńskiego cła odwetowe, wyższe, jak już wspomnieliśmy, o 30% od ceł autonomicznej taryfy; nadto zabroniono przywozu wszelkich roślin i zwierząt nawet w ruchu tranzytowym. Wojna celna wyrządziła dotkliwe szkody austryackiemu przemysłowi. Wedle Matlekovitsa wywóz Austryi spadł z 39·2 milionów złr. w r. 1885 na 6·6 milionów złr. w r. 1887.

Zupełnie inaczej ułożyły się stosunki z Serbią; jeżeli w układzie z 6 maja 1881 r. otwarto granicę austryacką dla serbskiego bydła z pewnemi zastrzeżeniami weterynaryjnemi za opłatą cła z tytułu rzekomego obrotu granicznego niższego od tego, które pobierano przy imporcie z innych państw, powodem tego ustępstwa była może nie tyle problematyczna wyższość serbskiej policyi weterynaryjnej nad rumuńską, może nie tyle chęć zabezpieczenia pola zbytu przemysłowi krajów korony czeskiej i Dolnej Austryi, ile zamiar pozyskania dla austryackiej polityki na Bałkanie poparcia ze strony Serbii.

Niebezpieczeństwo zawleczenia zarazy starano się ograniczyć przez surowe postanowienia konwencyi weterynaryjnej, zawartej między obu państwami. I tak Serbia wzięła na siebie obowiązek zamknięcia swych granic dla przywozu bydła z Rumunii, Bułgaryi i Turcyi, oprócz tego obowiązek założenia katastru bydlęcego w pasie granicznym stosunkowo szerokim. Policya weterynaryjna serbska miała uledz reformie w kierunku przy-

jęcia zasad obowiązujących w Austryi pod tym względem. Całemu szeregowi towarów serbskich, prócz bydła i zboża, już wspomnianego, przyznano różniczkowe cła, rakia i wino płaci 3 i 20 złr., a zatem tyle, co uprzywilejowane wina włoskie; prawda, że z ograniczeniem do czterech powiatów. Owoce i warzywa są wolne od cła, suszone śliwki, powidła, orzechy płacą cło stosunkowo nizkie i t. d.

Austrya uzyskała różniczkowe oclenie surowego żelaza, maszyn rolniczych, pewnych gatunków papieru i szkła, wyrobów glinianych i kamieniarskich.

Epokę w dziejach austryackiej polityki handlowej stanowią niewątpliwie „traktaty grudniowe“ z r. 1891, zawarte na lat dwanaście między Austryą, Niemcami, Belgią, Włochami i Szwajcaryą, a obowiązujące do 31 grudnia 1903 r. Z tą chwilą rządy austryacki i węgierski będą musiały postarać się o nowe uregulowanie stosunków celnych monarchii.

Nasuwa się w pierwszym rzędzie pytanie, dlaczego właściwie traktaty grudniowe stanowią epokę w dziejach austryackiej polityki handlowej? Czyżby były może porzuceniem systemu protekcyjnego na rzecz wolnego handlu, jakby to z różnych względów na pierwszy rzut oka sądzić można? Ci, którzy podczas rozpraw parlamentarnych, w prasie lub literaturze bronili lub bronią podobnego zdania, są, zdaje mi się, w błędzie, zachodzi tu bowiem pomieszanie zewnętrznej formy stosunków handlowo-politycznych z ich wewnętrzną treścią.

Przez długie lata przeważało przekonanie, że polityka celna, zadowalniająca się autonomiczną taryfą celną, ustanawianą przez dane państwo we własnym zakresie działania, a zatem każdej chwili dowolnie zmienną, w miarę uznania organów konstytucyą do tej czynności powołanych, jest równoznaczna z protekcyonizmem a nawet wojną celną, podczas gdy zawieranie międzynarodowych umów oznacza zwycięstwo zasad wolnego handlu. Otóż z teoretycznego punktu widzenia jest rzeczą *a priori* jasną, że można otworzyć granice swoje dla przywozu obcych towarów zapomocą ustaw lub zarządzeń administracyjnych wewnętrznych, wydawanych bez porozumienia się z obcemi państwami,

można także zawrzeć umowę, która zawierać będzie cła wysoce ochronne. Praktycznie rzecz biorąc sprawa przedstawia się trochę inaczej; otwierając granice swego państwa pod dogodnymi warunkami dla przywozu obcych towarów jest wskazanem zapewnić sobie także możność wywozu swoich wytworów, uzyskać w zamian za zniesienie lub zniżenie ceł pewne ustępstwa handlowo-polityczne ze strony zagranicy, dla której przecie otwarcie granic zagranicznego państwa przedstawia pewną wartość. Natomiast, gdy chodzi o prowadzenie polityki wybitnie protekcyjnej, samoistne regulowanie wysokości ceł jest z wielu względów potrzebnem, uwalnia bowiem poniekąd od ustępstw wobec zagranicy. Każdy traktat jest targiem, jest wzajemną wymianą koncesyj, zresztą wiąże na pewien czas ręce. Autonomiczna polityka celna pozwala każdej chwili na dalszą zwyżkę ceł w miarę zmieniającej się konjunktury handlowej lub techniki produkcyi, a dziś czynniki te ulegają szybszym zmianom, jak dawniej. Praktyka uczy nas, że traktat Cobdena z r. 1860 jest wyrazem zasad wolnego handlu, a natomiast dziś obowiązująca amerykańska taryfa Dingleja jest niemal wojną celną z Europą.

Austryacka polityka handlowa w jej trzynastu latach autonomicznych między 1878 a 1892 r., w czasach zatem, w których jedynym ważniejszym traktatem były umowy z Włochami z r. 1878 i 1887, nie jest właściwie otwartą, wyraźną wojną celną z Niemcami, a traktaty grudniowe nie są bynajmniej, jak to zresztą zaraz zobaczymy, powrotem do zasad wolnego handlu, stanowiących myśl przewodnią dawniejszych austryackich układów, zawieranych między r. 1865—1869. Austryacka polityka handlowa jest zatem wymownym przykładem rozbieżności między formą a treścią polityki handlowej.

Jeżeli zatem nowością w traktatach grudniowych nie jest zmiana systemu polityki handlowej, to może stanowią epokę z powodu jeśli nie urzeczywistnienia, to przynajmniej zbliżenia się do unii celnej z Niemcami, do której Bruck i inni austryaccy mężowie stanu wytrwale dążyli przez szereg lat? Nie ulega wątpliwości, że traktaty grudniowe zawierano nie pod hasłem wolnego handlu, ale w znaku środkowo-europejskiej unii celnej,

zwróconej przeciwko współzawodnictwu amerykańskiemu a po części rosyjskiemu, które to dwa państwa prowadziły politykę autonomiczną i protekcyjną ze szkodą zwłaszcza agrarnych interesów środkowej Europy, nie zapewniając w zamian traktatami ustępstw przemysłowych. Pojęcie unii celnej zmieniło się zatem zasadniczo od czasów ogłoszenia znanego artykułu w austryackim urzędowym organie, pojęcie unii celnej uległo także znacznemu rozszerzeniu, związek z dawną ideą widoczny jest przedewszystkiem w tem, że za jądro przyszłej unii celnej środkowo-europejskiej uważano porozumienie się Austryi z Niemcami. Motywa przedłożeń rządowych, dyskusya w parlamentach państw zawierających traktaty grudniowe, literatura i prasa współczesna pełna jest myśli tego rodzaju. Międzynarodowy kongres rolniczy, obradujący w r. 1885 w Budapeszcie oświadczył się za środkowo-europejską unią celną. Matlekovits w swej wielkiej książce poświęcił ostatnich sto stron na streszczenie literatury tego przedmiotu, począwszy od rozprawy Molinariego z r. 1879, i na zbicie zarzutów, podnoszonych przeciwko tej idei, a w końcu zamieścił projekt zasad austro-węgiersko-niemieckiej unii celnej. Poseł Peez, który w r. 1879 pisał broszurę przeciwko unii, w latach 1889—1891 ogłaszał rozprawy w jej obronie [1].

Inscenizowanie, sposób zawierania traktatów grudniowych świadczy, że myśl środkowo-europejskiej unii celnej przyznawano urzędownie. Najpierw nastąpiło porozumienie Austryi z Niemcami, poczem oba te państwa prowadziły wspólnie rokowania z trzema innymi kontrahentami. Gdy traktaty grudniowe stanęły na porządku dziennym w austryackiej Izbie posłów, minister handlu oświadczył, że umowy tworzą całość, trzeba zatem uchwalić wszystko albo nic.

Było to oczywiście złudzeniem już choćby ze względu na jednostronnie niewypowiedzialny art. II. traktatu frankfurckiego, który zapewnia bez czasowego ograniczenia Francyi wobec Niemiec *et vice versa* klauzulę największego uprzywilejowania. Chcąc stworzyć pewną gospodarczą całość z kilku państw, celem

[1] *Zur neuesten Handelspolitik.* Wien 1895.

przeciwstawienia ich innym, trzeba koniecznie użyć do osiągnięcia tego celu ceł różniczkowych, jest to jedyny sposób wyodrębnienia tych państw. W myśl art. 11 wszelkie ustępstwa poczynione przez Niemcy wyszły także na korzyść Francyi. Co gorsza, gdy w r. 1894 rząd niemiecki przyznał Rosyi klauzulę największego uprzywilejowania, szereg ustępstw poczynionych przez Niemcy na rzecz Austryi stał się iluzorycznym. Umowa lutowa z r. 1853 ze swemi cłami różniczkowemi mogła uchodzić za pierwszy krok do unii celnej. Traktaty grudniowe, nieograniczające kontrahentów w przyznawaniu na przyszłość klauzuli największego uprzywilejowania innym państwom, z unią celną nie miały właściwie nic wspólnego. Hasło to miało, co najwyżej wartość agitacyjną, jako sposób pozyskania opinii publicznej.

Ogłoszono traktaty grudniowe w chwili ich zawierania, jako środek wzmocnienia trójprzymierza. Zobaczymy, że Austrya podobnie jak w stosunku do Serbii, także i w tym wypadku nie wyszła dobrze na łączeniu kwestyj celnych z polityką zagraniczną.

Przypatrzmy się najpierw traktatowi z Niemcami, najważniejszemu dla Austryi, a zwłaszcza dla Galicyi i jej agrarnych interesów. Austrya, a raczej przedewszystkiem Węgry, od dawna dążyły do umownego zniżenia niemieckich ceł rolniczych. Co jednak skłoniło Niemcy do zmiany stanowiska?

Tamtejsze sfery przemysłowe wobec coraz to silniejszego rozwoju tych gałęzi wytwórczości, z natury rzeczy coraz to uporczywiej domagały się zabezpieczenia umowami swego wywozu, a konsumenci, zwłaszcza robotnicy odczuwali dotkliwie podrożenie cen chleba i innych płodów rolniczych. Rok 1891 był rokiem wielkiego nieurodzaju i zwyżki ceny żyta, połączonej z ogólną depresyą ekonomiczną i pewną stagnacyą obrotów handlowych [1].

Zresztą Niemcom groziło pewnego rodzaju odosobnienie

[1] Karol Kautsky (*Handelspolitik und Socialdemokratie*, Berlin 1901, str. 78), twierdzi, że po ustąpieniu Bismarcka następcy jego odczuwali potrzebę robienia tego, czego żelazny kanclerz robić nie chciał. Ponieważ Bismarck był przeciw traktatom, Caprivi starał się o ich przeprowadzenie

cłowe, w tych warunkach szczególnie dotkliwe. Taryfy celne Ameryki poruszały się ciągle w kierunku zwyżkowym, a protekcyonizm przemysłowy Mac Kinleya zwyciężał na całej linii. Rosya wobec wzrastającego cła niemieckiego na żyto odpowiadała podwyższeniem ceł na żelazo, maszyny i na inne towary wywożone przez Niemcy do Rosyi. W Anglii hasło *Free Trade* straciło dawną popularność na rzecz *Fair Trade,* surowemi zarządzeniami weterynaryjnemi chroniono produkcyę zwierzęcą, *Merchandise Marks Act* i inne podobne zarządzenia dążą do powstrzymania niemieckiego przywozu znaczeniem towarów słowami *Made in Germany,* utrudnienia celne dla towarów w więzieniach wyrabianych są także zwrócone w pierwszym rzędzie przeciwko niemieckiemu importowi tych produktów. Francya, która w r. 1860 dała Europie hasło do zwrotu wolno-handlowego, obecnie popadła w drugą ostateczność: protekcyonizm agrarny Mélina, który doprowadził do tego, że dziś Francya ma cło na pszenicę najwyższe znane w dziejach polityki handlowej, doszedł do szczytu przez przyjęcie w autonomicznej taryfie celnej z r. 1892 systemu podwójnego, maksymalnego i minimalnego, równocześnie rząd francuski wypowiedział z r. 1892 wszystkie traktaty, łączące go z innemi mocarstwami. Od r. 1892 zatem klauzuli największego uprzywilejowania Francya nikomu nie przyznaje już choćby z tego powodu, że tych uprzywilejowanych podówczas wogóle nie było. Chodziło tu zapewne o to, żeby Niemcom nie przyznać pośrednio żadnych korzyści handlowych, w myśl bowiem znanego nam już art. 11 traktatu francuskiego każde ustępstwo, wywalczane przez Francyę, *eo ipso* wychodzi także na korzyść Niemiec. Krok ten podyktowany był może więcej politycznymi, jak ekonomicznymi motywami, Prowadzenie wojny na wszystkie strony wydawało się Niemcom prawdopodobnie niezbyt dogodne, stąd dość nagły zwrot do polityki traktatowej w stosunku do Austryi.

Powiedzieliśmy, że umowy grudniowe nie są zerwaniem z systemem protekcyi celnej. Nagły zwrot wolno-handlowy był już dla Austryi z tego względu wykluczony, że inwestowano znaczne kapitały w przedsiębiorstwa przemysłowe licząc na

trwałość systemu protekcyjnego, kapitały te byłyby niewątpliwio zagrożone. Umowy grudniowe oznaczają jednak ustalenie stosunków celnych na dłuższy przeciąg czasu, oraz zrzeczenie się dalszej akcyi protekcyjnej, stagnacyę w pracy sztucznego wytwarzania przemysłu przez zwyżki celne. Natomiast ze zdobyczy epoki autonomicznej uroniono rzeczywiście stosunkowo niewiele w odniesieniu do Niemiec.

Cło na surowe żelazo obniżono z 0.80 na 0·65 złr.; niewielkie upusty przyznała także Austrya przy ocleniu maszyn, znaczniejsze zniżki widzimy w dziale przyrządów i narzędzi. Zniżki dochodzą do 50% np. przy fortepianach i blasze, a zniżki w przemyśle chemicznym idą jeszcze dalej. Tu właściwie szukać należy głównych ustępstw austryackich. Taryfa z r. 1878 postawiła sobie za cel ochronę tkanin, w r. 1882 przyszła kolej na żelazo, a równocześnie wzmocniono ochronę w działach, w których ją poprzednio zainaugurowano, w r. 1887 utrwalając dawniejsze zdobycze, położono główny nacisk na maszyny i rozpoczęto pracę nad wytworzeniem przez cła przemysłu chemicznego. Zniżki w r. 1892 dotknęły najsilniej początkujący przemysł chemiczny, na razie zaniechano pracy w tym kierunku. Inne ustępstwa np. dla berlińskiej konfekcyi damskiej mniejsze mają znaczenie.

Zdobyczy austryackich szukać należy w cłach rolniczych i konwencyi weterynaryjnej; cło na pszenicę i żyto zniżono z 5 na $3^1/_2$ m., a zatem o 30%, zniżki w tej samej procentowej wysokości uzyskano przy owsie i chmielu (z 4 na 2·80 względnie z 20 na 14 m.); przy słodzie zyskała Austrya tylko 10% (4 i 3·60), przy jęczmieniu $12^1/_2$% (2·25 i 2), cła na rzepak (2 m.), na okrąglaki (2·20 m) i na suszone owoce (4 m.) pozostały niezmienione. Rząd austryacki nie domagał się nawet zniżki cła na okrąglaki w interesie miejscowych tartaków, którym wywóz drzewa do Niemiec podraża surowiec, natomiast dla materyału drzewnego tartego uzyskano zniżkę 20% (1 i 0·80 m.). Zniżka przy jajach wynosi 33% (3 i 2 m.).

Produkcya zwierzęca monarchii zyskać miała, wedle myśli twórców grudniowych traktatów, nie tyle na stosunkowo nie-

znacznych zniżkach celnych przyznanych przez Niemcy, ile na równoczesnem zawarciu z traktatami konwencyi weterynaryjnej [1]. Chodzi tu o pewne ułatwienia w obrocie granicznym, np. właściciel bydła pędzonego na targ do Niemiec ma prawo do zwrotu cła, jeżeli bydło wraca niesprzedane po stwierdzeniu identyczności, najważniejsze jednak są postanowienia o imporcie zwierząt domowych, ograniczonym wedle art. I. konwencyi do pewnej oznaczonej ilości stacyi granicznych; przy przekroczeniu granicy należy wykazać się świadectwem pochodzenia i udowodnić, że na 40 dni przed wysyłką w miejscu pochodzenia bydła i w sąsiednich gminach nie panowały zarazy; przy transporcie koleją lub okrętem ma być przeprowadzona rewizya weterynaryjna przed załadowaniem. Na granicy można nieprzepuścić zwierząt, jeżeli weterynarz państwa importującego stwierdzi chorobę lub podejrzenie (!) choroby, względnie jeżeli dane zwierzę było razem przewożone ze zwierzęciem chorem lub podejrzanem o chorobę albo weszło z nim w styczność. Wybuch księgosuszu upoważnia do zamknięcia granic (art. 4), od czasu jednak zakazu importu bydła z Rosyi i Rumunii w Austryi księgosuszu niema. Wybuch zarazy płucnej uzasadnia zamknięcie granicy dla zwierząt, pochodzących z okręgów, dotkniętych zarazą. Okręgiem w Austryi jest kraj koronny, w Węgrzech komitat, co jest oczywistem uprzywilejowaniem Węgier. Porozumiano się także co do dezinfekcyi wagonów i okrętów, co do ogłaszania wykazu miejscowości dotkniętych zarazami i t. d.

Układ z Włochami opiera się na dawnych podstawach, jest jednak o tyle pogorszeniem *status quo ante*, że Włochy po dłuższym oporze ze strony Austryi przeprowadziły podwyższenie swoich ceł na przędzę lnianą. Dawna zasada wzajemnego uwarunkowania nizkich ceł austryackich na jedwabie nizkimi cłami na wyroby lniane została naruszoną na niekorzyść Austryi, rząd austryacki oświadczył jednak w parlamencie, że dla tej jednej

---

[1] Por. Gustav Marchet: *Internationale Veterinärkonwentionen* w *Beiträge zur neusten Handelspolitik Österreichs* Leipzig 1901. *(Schriften des Vereins für Socialpolitik* t. XCIII) str. 237—282.

kwestyi nie chciał narażać wszystkich umów, tworzących rzekomo organiczną całość. Układ zawiera także specyalne ustępstwo 75% dla włoskich serów Stracchino, Gorgonzola, Parmesan z tytułu obrotu granicznego (20 i 5 złr.), ustępstwo w tej samej wysokości zawiera układ z Szwajcaryą dla twardych serów wagi 50 kg. i więcej.

Ważnem uzupełnieniem traktatów grudniowych jest konwencya handlowa z Rumunią z dnia 21 grudnia 1893 r. zawierająca wzajemne przyznanie sobie klauzuli największego uprzywilejowania („zasady największej przychylności" — jak się wyraża urzędowe polskie wydanie dziennika praw państwa). Umowa gaśnie za dwunasto-miesięcznem wypowiedzeniem jednej ze stron. Zakończenie wojny celnej z Rumunią leżało w tendencyi traktatów grudniowych, mających zabezpieczyć wywóz płodów rolniczych na Zachód, przemysłowych na Wschód celem wyrównania ofiar poniesionych przez przemysł w traktatach grudniowych kosztem koncesyi agrarnych, które rolnictwo mogło znieść ze względu na ułatwienia uzyskane w eksporcie na Zachód.

O ile te zamiary twórców grudniowych traktatów urzeczywistniły się, pouczy nas rzut oka na cyfry statystyczne.

Adam Krzyżanowski.

MŁODA POLSKA W POWIEŚCI I POEZYI.

5. Dramat modernistów.

(Ciąg dalszy).

IV.

Spółcześnie z próbami dramatu psychologicznego, spółcześnie z nowymi kierunkami w poezyi lirycznej, kiedy wychodziły pierwsze tomiki Tetmajera, kiedy Przybyszewski nieznany w kraju, wydawał w Berlinie swoje drobne broszurki z dziedziny psychologii, zanim jeszcze Miriam ogłosił zajmującą książkę o Maeterlincku z przekładem kilku jego utworów (1894), wnet potem, jak imię Maeterlincka, dzięki „Cieplarniom“ i dramatowi „Księżniczka Malena“ (1889), zjednało sobie w Europie rozgłos,— zaczęli i u nas młodzi poeci przenosić maeterlinckowskie nastroje na scenę. Do pierwszych tego rodzaju zjawisk należą: dwa wczesne utwory Lucyana Rydla p. t. „Matka“ — scena dramatyczna i *Dies irae* — misteryum fantastyczne (oba w 1893 r.); „Sfinks“ Kazimierza Tetmajera, później zaś ukazały się: „Kwiat pleśni“ i „Śnieg“ M. Szukiewicza, „Noc“ Wł. Orkana i „Sonata“ Kisielewskiego. W dwóch pierwszych utworach są zaledwie ślady nastrojów. Oto matka rodziny umarła; z dwóch córek jedna leży od dawna sparaliżowana, kryją więc przed nią śmierć matki, uważając, że wiadomość byłaby zabójczą. Helenka budzi się, przeczuwa, a gdy rodzina wraca z pogrzebu, chora z kilku nieostrożnych słów wszystkiego się domyśla. Wtedy wydaje się jej,

że matka przyjdzie do niej, że już przyszła; wizya trwa dość długo, aż w końcu chora zrywa się i pada martwa.

Dies irae ma akcyę, która rozgrywa się na ogromnych, nagich polach. Ludzi dławią przeczucia zbliżającego się końca, bo ziemia drży w posadach i pęka, pokarmu niema, głód skręca wnętrzności. Fabrykanci wiją się w bólu obok robotników, Siostry Miłosierdzia obok nierządnic, słychać chóry procesyjne, bo oto tłumne procesye z papieżem na czele zawodzą błagalne pienia.

Następują cuda: z monstrancyi papieskiej ulatuje Hostya do nieba, woda zamienia się w krew, suche liście pełzają po ziemi i szepcą, nareszcie wśród straszliwej ciszy pojawia się ogromny człowiek o kościanej twarzy, oczach jak żużle, z brodą jak piana morska: to Eliasz — wzywa do pokuty. Kamienie modlą się, syn dusi matkę, iżby nie patrzała na groźne dziwy. Płynie Lewiatan i wiezie Antychrysta, którego twarz Chrystusowa, ale pełna sinych plam, na dłoniach i stopach wrzody cuchnące, na lewym boku wrzód pulsujący, jak wyłupione oko. Z nim pospołu obrzydła kobieta stara — Astarte, Judasz i Kain. Adepci Antychrysta mordują się i dławią. Nakoniec: — grzmi dziewięć trąb miedzianych, jasność przerażająca, wojsko duchów, Królowa Anielska i głos z góry: „Jam jest sprawiedliwość i miłosierdzie".

Kiedy była mowa o liryce modernistów, wspominałem o poematach Kasprowicza, Żuławskiego i Perzyńskiego, tę samą chwilę sądu ostatecznego malujących. Najwcześniejszym utworem jest Rydla *Dies irae*. W duchu wierzeń chrześcijańskich, bez tendencyi żalem i nienawiścią ku Bogu tchnącej, usiłuje to misteryum ująć w całość szereg okropnych wizyj o końcu świata i spleść je w obraz grozą potężny. Ani w „Matce", ani w *Dies irae* nie jest Rydel niewolniczym naśladowcą Maeterlincka; nie jest nawet w tym stopniu, co Szukiewicz w „Kwiecie pleśni", a zwłaszcza Tetmajer w „Sfinksie". Cóż to jest tedy „Kwiat pleśni"? „Powiadają, że kiedy ma runąć w gruzy stary, omszały, spleśniały mur, najbardziej nawet bezzielenna, szara,

zimna pleśń wydaje w ostatnią noc dziwny, ogromny ponsowy kwiat".

Wygasa ród w starym zamku. Burza na dworze. Pani — blada, ruchy powolne, senne, włosy rozpuszczone, szata biała, na piersiach wyszyta wielka lilia złota — przychodzi do komnaty. To jej ostatnia noc; wie, że zginie. W taką samą noc okropnie zginął ojciec, w taką samą noc rok temu siostra Pani zginęła — wśród cudownych zjawisk. Starzec pragnie Panią bronić. Wchodzi Podróżny: zawiązuje się długa rozmowa między nim a Panią, owłada niemi miłosne uniesienie, a z uderzeniem dwunastej godziny Pani gaśnie. Poemat to melodyjnym językiem napisany, częściowo we wiersze strojny, zbliża się tajemniczością, zestawieniem i uharmonizowaniem nastrojów do dzieł Maeterlincka daleko bardziej, aniżeli „Sfinks" Tetmajera.

Burza nadciąga. Matka, Anna i brat jej głucho-niemy i ślepy Leon w pałacu — niepokoją się. Anna wielbi muzykę, szczególniej dzieła Werena; Leon zdaje się płonie niemą miłością ku siostrze. Przybywa Artur Weren, syn owego muzyka. Pomiędzy nim i Anną szybko zadzierzga się nić porozumienia. Kiedy wyznają sobie miłość, Leon ciężkim wazonem zabija Werena.

Cały szereg nastrojów, odczuwanych przez Annę, towarzyszy wypadkom. Nocny ptak jakiś frunął koło oleandrów (163), drzewa drżą w ogrodzie (164), słychać szelest roślin podwodnych (!) w jeziorze (165), w powietrzu stłumione, migotliwe dzwonienie (165), wicher gwiżdże po szklanym dachu cieplarni (177), ptaki nocne szeleszczą skrzydłami (181), ogary wyją na folwarku (184), dreszcz drzew przelata nad ogrodem (184), węże budzą się w trzęsawiskach, dźwigają głowy i syczą (185), coś idzie przez ogród, nie dotykając drzew; w ciemności świecą wielkie, okrągłe, krwawo iskrzące ślepia (187), bije piorun, pożar i t. p.[1].

„Sfinks" jest to najbardziej niewolnicze naśladowanie nastrojów maeterlinckowskich w naszym dramacie. Począwszy od

[1] Cyfra oznacza strony książki p. t. „Poezye", ser. II, 1894.

pałacu, schodów marmurowych, nocy księżycowej, ptaków nocnych, łabędzi na jeziorze, węży syczących — aż do tych wiotkich, na poły sennych, bez zarysów prawie ludzi — wszystko obce. Świeży powiew do tej cieplarnianej atmosfery wnieśli ze sobą młodsi poeci, kiedy dostatecznie uświadomiono, że nastroje są wprawdzie dobre, bo odtwarzają tajemniczy i niezbadany wpływ przyrody na duszę ludzką, ale koniecznie potrzeba przytem brać w rachubę swojską przyrodę, a u nas przecież śpiących królewien, marmurowych pałaców i t. d. niema. W kilka lat po owych pierwszych próbach, rodzimą górską naturę wprowadzili Orkan i M. Szukiewicz.

Pierwszy pisał a podobno i pisze dramat p. t. „Pomsta". Ogłoszono z większej całości tylko fragment „Noc" [1]. W górach puste pole. Przy ogniskach ludzie pilnują pól przed dzikami. Lękliwa i nerwowa Marysia boi się i co chwila budzi Zosię. Nic dziwnego: od czasu do czasu słychać jakieś wołania, klepanie kos, dźwięki trąb, jakieś śpiewy, smutek idzie ugorem, jak cień...

Przy drugim stosie czuwają macocha i pasierb. Macocha wysyła pasierba, aby zamordował Jantoszkę. „Ona hań pilnuje, może śpi, sam ogień się pali... Nikogo nima, nie bój się, każdy wie, że śmierć po ludziach chodzi"... i ciszej dodaje o krzywdzie, o pomście... Jantek pójdzie, a kiedy sowa zahuczy, wszystko się już spełni za potokiem. Poszedł. I znów szelesty, drżenia, zawodzenia skrzypiec, pełno głosów w powietrzu...

Nareszcie przybywa Hanka (kochanka pasierba?) i jej zjawia się cień zamordowanej...

Fragment mało zrozumiały sam przez się, charakterystyczny jednak przez to, że nastroje tracą już ten dziwny charakter malowniczej cudowności, a zyskują zacięcie swojskie.

Jeszcze milej uwydatnia się to w „Śniegu" Szukiewicza [2]. Dziewczęta i chłopcy robią ze śniegu Zawieruchę i Mroza. Od czasu do czasu biją śnieżkami — i jęczą zcicha Mróz i Zawieru-

[1] *Życie* 1 stycznia 1900.
[2] *Młodość* 1900, 3, 4, 5.

cha. Dzieje się to obok chaty Szymona i Magdy, dwojga starych bezdzietnych, a za dziećmi tęskniących. Wśród dziewcząt rozumem i dobrocią celuje Jaga, w której kocha się skrzypek Bartek. Jeden z parobków uderzył Szymona śnieżką w głowę, a Jaga poszła do chaty przepraszać starego. Tam staruszkom pomogła i tak ich rozrzewniła, że oboje marzą o synu i córce. Wkońcu zgraja młodzi ucieka do karczmy. Magda idzie spać, a Szymon odmawia pacierze i roi mu się, że Zawierucha i Mróz to jego dzieci, aż usypia. Drzwi się otwierają, Mróz i Zawierucha powoli wchodzą do chaty. Ale pomiędzy Szymonem a nimi niema porozumienia. Szymon nieci ogień, one umykają ze zgrozą. Zjawia się Bartek, gra, Zawierucha wyznaje mu swą miłość, on ją obala i niszczy. Szymon z jękiem ginie, gdy widzi śmierć Zawieruchy. W głębi tkwi myśl dość skomplikowana o dziwnych kaprysach upodobań, nie o nią jednak idzie. W całym toku wierszowanego dramaciku można się z łatwością i nastrojów rodzimych dopatrzeć, i wiersza krótkiego w dramacie z takiem upodobaniem używanego przez autora „Lilli Wenedy“, „Księdza Marka“ i t. d.; już nawet motywa pieśni ludowych, śpiewów ogładzonych artystycznie przez obu tych poetów dość misternie wplecione. Jaga przy budowaniu Zawieruchy śpiewa taką piosnkę:

JAGA. Idzie wicher od północy,
To przypadnie, to podskoczy,
Sam se na fujarze gra.

CHÓR. Dana da, dana da.

JAGA. Idzie lasem, chróstem trzęsie,
Gna przed sobą białe gęsie
Wybrał sobie jednę gąskę,
Ślubną włożył jej obrączkę.

CHÓR. Dana da, dana da.

JAGA. Nie minęły nocki trzy,
Gąska wzdycha, leje łzy,
Oj, nieboże, ty, nieboże,
Teraz wiesz, co miłość może.

CHÓR. Dana da, dana da i t. d.

Jawią się tu pierwiastki swojskie, rodzime, ludowe, które z daleko większem powodzeniem, w nierównie większych, acz

niejednakiej ceny dziełach rozwinęli niebawem poeci: Kasprowicz, Rydel i Tetmajer. Mam na myśli: „Bunt Napierskiego“, „Zaczarowane koło“ i „Zawiszę“.

Rzecz w Kostce Napierskim osnuta jest na podaniu historycznem, jakoby Kostka, jako naturalny syn Władysława IV. poszedł pomiędzy lud górski na Podhalu, „bacował gazdom długie lata, robił żentycę, woził ser do miasta“ i baczył, czy z chłopskich pleców krew się nie leje, „z czego są starościńskie baty i jak ściągają czynsze i szarwarki“, a gdy mu zabrakło cierpliwości, zbuntował chłopstwo.

Napierskiego tedy z dramatu mocno czuć dzisiejszym ludowcem, a nawet niekiedy socyalnym demokratą. Gdy szlachcic Zdanowski utrzymuje, jako w „bożem przyrodzeniu leży, by n a m chłopstwo do nóg padało“, Napierski na to zdanie o chłopach z emfazą i patosem odpowiada: „Od nich świat się pocznie“. Materyał zatem na bohatera dramatycznego niezwyczajny, bo niezaprzeczenie w dawnych wiekach w Europie a może i u nas bywali utopiści, marzący o zniwelowaniu różnic między ludźmi, zwłaszcza zaś o podźwignięciu z niedoli ludu. Jakkolwiek zatem i cokolwiek historya o Kostce Napierskim mówi[1], mógł sobie poeta rolę jego i charakter ukształtować zgodnie ze swą ideą dramatyczną. Wszak Szekspir, niedościgniony dla późniejszych dramaturgów wzór w swoich historyach, czerpał pełną dłonią z Holinshada i Holla, przeobrażając charaktery w miarę potrzeb zasadniczej myśli. Jużby większą rościć można pretensyę do autora tego dramatu o to, że niektóre f a k t y naciągnął i zmienił, sam np. stwierdził: „rzecz dzieje się w 1651“, tymczasem Zdanowski mówi o zamiarze Napierskiego co do wypędzenia Rakoczego, a przecież taki zamiar nie mógł się zrodzić w tym roku, skoro najazd Rakoczego miał miejsce kilka lat później (str. 89); dalej możnaby rościć pretensyę i o to, że przeniósł akcyę w góry, wiadomo zaś powszechnie, iż górale wówczas najmniej mieli powodów burzenia się i najwięcej swobody; że tak dziwnie skojarzył najosobliwsze figury, jak monstrum Ra-

[1] Jest o nim szkic dr. L. Kubali.

dockiego — zdaje się — wykwit różnych sekt innowierczych, Łętowskiego, pół chłopa, pół arystokratę, Czepca, pół kozaka, pół górala, Mojsze, pół Żyda, pół Polaka — i całą butną rzeszę gazdów z końca I. aktu, i całą dziką czeredę zbójnickich górali z początku III. aktu i ten obłędny dziwoląg śród owych stron, który się nazywa Salką, ma być dawną królewską ulubienicą, a jest włóczęgą, rodzajem prorokini w łachmanach, jedną z prababek Kseń i Kostuś legendowych. O tobym się wszystko z poetą wreszcie nie spierał, gdyby poemat miał tchnienie silnego dramatycznego talentu. Ale go nie ma. O Kostce mówi Salka, że naokoło „rozsiewa władzę okiem, licem i postacią, odwagą, siłą i wielką nadzieją rajskiego życia, co ich (tj. chłopów) z upodlenia podnosi". Niestety, są to tylko słowa, gdyż Napierski nie działa zupełnie. Słów i o nim i jego szumnych i dumnych dość w dramacie, cóż, kiedy im nie towarzyszą czyny. Jest to wielkość bez siły, *lucus a non lucendo.* I cała akcya — jaka jest — cierpi na ostrą bezkrwistość. Wydaje się ona — niby burza w szklance wody, niby dziecinna igraszka, nie budząca grozy, bo wiemy, że z niej ani dla króla, ani dla ówczesnej Polski nie urośnie poważny zamęt. Zaściankowość akcyi kłóci się ze sztucznym brzękiem słów, które o jej doniosłości prawią, ale niemasz w całym dramacie jednego miejsca wstrząsającego do głębi. Całość chybiona; dobre chęci poety uznania godne w tem, że sięgając w przeszłość ujął konflikt społeczny, nie polityczny, jak dotąd czyniono, oraz, że usiłował z pojęciem naszego historycznego dramatu zespolić pierwiastek ludowy, aczkolwiek uczynił to nieosobliwie.

Mniej jeszcze udatnie wypadła próba dramatyczna K. Tetmajera p. t. „Zawisza Czarny". Tu autor prawie zupełnie nie liczył się z tem, że dramat rozgrywa się w XIV. wieku. Z uśmiechem pobłażliwym mówimy, że w „Juliuszu Cezarze" Szekspira zegary biją na wieżach, że w „Życie snem" Kalderona w górach Karpackich szumi morze — i nikt zapewne nie myśli wytaczać stąd procesu wielkim poetom; ale p. Tetmajer nie jest ani Szekspirem, ani Kalderonem, to też nad miarę razi nas to całkowite lekceważenie dziejowej prawdy. Jak mogła Dwina

w XIV. wieku mówić Zawiszy stylem Przybyszewskiego: „Chcę się wgryźć w ciebie“? (str. 60). Jak mógł Wojewoda nazywać Ewę „porcelanką“ (str. 67), skoro porcelana — to wynalazek znacznie późniejszy? Jak można było przedstawiać w XIV. w., kiedy się dopiero u nas drobna szlachta tworzyć zaczynała, taki stosunek czołobitnej klienteli na dworze Wojewody? Jak można było przez usta Felsburga wypowiadać tyle pychy i pogardy dla szlachty, a przez usta szlachty tyle uwielbienia dla tytułów zagranicznych, kiedy Polska w XIV. wieku po złączeniu z Litwą potężną była śród mocarstw Europy, a nasze rycerstwo jeszcze w XVII. wieku gardziło obcymi tytułami o czem świadczy chociażby „Poczet herbów“ Potockiego. Owoż takich — „jak można było“ — lektura „Zawiszy Czarnego“ nastręcza co kilkanaście prawie wierszy — tak dalece, że mógłbym mniemać, iż autor świadomie zadrwił sobie z historyi i czytelników. Sam Zawisza wygląda mimo swej zbroi na upudrowanego galantoma i junaka z XVIII. wieku, nieco rozsentymentalizowanego, nieco zblazowanego, gdy myśli o samobójstwie, albo gdy się rozczula w słowach nad swoją boleścią po śmierci Ewy. W obu tych dramatach są dzisiejsi ludzie i dzisiejsze serca, w obu są chybione zakusy dostrojenia się do wieków dawnych w próbach akcesoryów dramatycznych, słownictwa, niektórych pojęć, w obu brak duszy dramatycznej, jakkolwiek w pierwszym nie brak idei, oba wreszcie mają zaletę wyzyskania motywów ludowych w zwyczajach, zabobonach i uczuciach ludu. Lud w „Buncie Napierskiego“ odgrywa główną rolę — i to lud góralski. Ale i Zawisza upodobał sobie górali, a poeta nie szczędził stroju do tej kanwy. Widma mnichów, widmo juhasa, wałęsające się po skalnych złomach, widziadło zbójcy, co swe grzechy dźwiga jako krwawiące płaty mięsa przyrośnięte do ramion i kąsa zębem, a krew mu na bladą twarz tryska, ryba z baranią głową, mająca rogi z korali a we łbie dyamentową tarczę i t. p. reminiscencye gminnych podań obok zwyczajów i pieśni co krok się w dramatach spotyka.

Więcej, szczęśliwiej, zręczniej wplótł motywa ludowe poetyczne w sieć konfliktu L. Rydel w „Zaczarowanem kole“,

baśni dramatycznej. Myślę, że całe swe zasłużone powodzenie zawdzięcza utwór temu, co jest baśnią, a wszystkie zarzuty temu, co ma być dramatycznością w poemacie. W istocie Głupi Maciuś, Dziadek leśny, Kusy i Boruta, dziwy w jeziorze i dziwy w lesie, owe dzwony, pojedynki między dyabłem a człekiem, owe sposoby na miłość, użyte przez Młynarkę, ów upiór Młynarza — cały ów aparat podaniowy i z natury wzięty, całe cudowne tło malownicze zapewniają trwały byt „Zaczarowanemu kołu“ w pamięci polskich czytelników. Natomiast każdy zauważy, że zespolenie takie sfery chłopskiej z magnacką, jako węzeł dramatyczny — jest nienaturalne i mało historyczne, choćby się nawet pominęło okoliczność, że atrybucyi sądowniczych w sprawach gardłowych nie miewał u nas wojewoda; każdy spostrzeże, że o ile postaciom dobrym, poetycznym, sielankowym nie brak wdzięku, o ile Młynarka i Jasiek mają swoje fizyognomie nader wyraźne i pewną kreślone ręką, o tyle figury szlachty i wojewody suche są i papierowe. Czy nie więcej demonicznej grozy i zajęcia budzi wojewoda okropny i dziki z „Mazepy“ albo tajemniczy i posępny z „Maryi“?

„Zaczarowane koło“ wszakże ma coś, czego oba powyższe dramaty nie mają: ma cudny wiersz i przepyszny język staropolski. Kasprowicza lud mówi gwarą góralską, w której co krok słyszysz: na grapie, kierdel, siklawice, putnię, haw, harnaś, puciera, gajdoski i t. d.; Tetmajer modernizuje czasami wprost nieznośnie — Rydel lubi naszą mowę, umie jej zażyć i gdyby żył Słowacki, doznałby rozkoszy i pociechy, bo jego marzenia o języku poetycznym nie zapadły bezpotomnie w niepamięci łono. Marzył Słowacki o czemś innem jeszcze. W prologu kordyanowym trzecia osoba mówi:

Dajcie mi proch, zamknięty w narodowej urnie,
Z prochu lud wskrzeszę, stawiam na mogił koturnie,
I mam aktorów wyższych o całe mogiły,.
Z przebudzonych rycerzy zerwę całun zgniły,
Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem,
Wszystkich oświecę duszy promieniem, i świtem
Urodzonych nadziei — aż przejdą przed wami,
Pozdrowieni uśmiechem, pożegnani łzami.

Wielki poeta pisał te słowa bezpośrednio nim zaczął tworzyć „Balladynę“, „Mazepę“, „Horsztyńskiego“, ale wtedy w duszy ważył już zamiar, skąd ma brać do dramatów materyał. Czemże jest jeden i drugi i trzeci z powyższych utworów, jeżeli nie zerwaniem całunu z przebudzonych rycerzy? Wszystkich tych rycerzy witamy uśmiechem, ale nie wszystkich łzami żegnamy. Na to potrzeba nam o wiele więcej. Jawi się jednak i to nareszcie.

V.

Od dłuższego już czasu rozwijał się wśród nas duży talent, większy od poprzednich w dziedzinie dramatu — Stanisław Wyspiański. Droga, jaką przebiegł w poezyi dramatycznej — dość długa; szybko pisze utwór po utworze i od r. 1892 w przeciągu lat ośmiu tworzy ośm dramatów: „Legenda“ (1892—1897), „Meleager“ (1894—1897), „Protesilas i Laodamia“ (1899), „Klątwa“ (1899), „Lelewel“, „Warszawianka“ (1899), „Legion“ (1900) i „Wesele“ (1901).

Zawcześnie na wyczerpującą charakterystykę tego poety, bo trzeba przypuszczać, że twórczość jego nieraz przeistoczy się jeszcze. Dla wypełnienia obrazu atoli wypada omówić główne poemata. Najpierw tedy „Legenda“. Drewniany zamek krakowski, a w nim Krak na łożu śmierci. Naszli Niemcy i w tej chwili wre walka poza ostrokołami. Krak dogorywa. Chce, aby Wanda objęła nad wojskiem dowództwo. Jednakże na Wandzie cięży wina: „brat zabił brata, a ja, karząc zbrodnię, we krwi braterskiej pokalałam ręce“ (str. 25). Tutaj zaś

trza, by ktoś był,
Jako sam Piorun bóg
I nie znał trwóg,
Co mi łańcuchem skuły dłonie,
A serce żalem szarpią w łonie,
Że słabnę.
Ja muzyk chcę i gęśli słuchać łkań,
Ja śpiewów chcę i lubych, czułych słów,
Brzęczących harfy grań. (Str. 28).

Ginie tedy Krak śród tęsknot i niewiadomości o los swego grodu. A po jego śmierci Łopuch, jeden ze starców, mówi

Wandzie, że skoro pragnie wypędzić Niemców, niech się ofiaruje Żywi. Jeśli wprzódy nie kochała, jeśli młoda, to Żywia przyjmie ofiarę. Wanda bierze nóż ofiarny, zabija łanię, toczy krew, na nóż kładzie palce i błaga:

Weź młode moje ciało
Do twoich krajów w głębiach wodnych;
Kwiat moje ciało:
Kwiat czysty.
Sama się rzucę w nurt,
Sama skoczę
Na głąb skalisty.
Moje ręce nijakie,
Dziewczęce,
Daj mnie
Siły dziewięciorakie.

Poczem zapada w sen i widzi orszak wodników, rusałek, wiślanek, wilkowyjów, wilkołaków, koźlonogów, baraniogłowów, turoniów, wiedźm, guślarów; cały orszak wchodzi, kładzie Wandzie wieniec na głowie, zabiera zwłoki Kraka i znika.

Łopuch widzi kwiat krasy na czole Wandy i wie, że do trzech dni umrze, ale taka dziewica „przez chwilę moc posiada, siłami wszelkich czarów włada". Prawie cały drugi akt odbywa się w toniach Wisły śród wodników i rusałek. Wanda odpędziła Niemców i uroczyście oddaje się rzece. „Legenda" jest właściwie dyalogowanym poematem, w którym dekoracyjność znaczy niemało, a pierwiastek fantastyczny prawie przygłusza akcyę; to też do pysznego baletu mógłby on dać motywa. Natomiast psychologia ludzi nasuwa pewne wątpliwości. Przypominam, co mówił Słowacki w swoim pięknym liście „Do autora Irydiona" na czele „Lilli Wenedy". Ilekroć chciał rozpocząć dyssekcyę dusz, pisząc o dawnych ludziach, tyle razy jawiły się przed nim mary ich, jawiły się przed nim i wołały: myśmy miały zdrowe zmysły i serca, choć córy królewskie, prałyśmy bieliznę matek naszych, choć synowie królewscy, pędziliśmy trzody na paszę. Dla tego w „Lilli" wziął wielki poeta p ó ł p o s ą g o w ą formę Eurypidesa tragedyi... Czy może nie miał racyi? A tymczasem Krak umierając wciąż żuje tęskną i bolącą myśl: „co się zacznie gdy się to skończy, na co patrzę jeszcze", a tymczasem Wanda

marzy o łkaniu gęśli... Taki nastrój marzycielski czy odpowiada wiekom owym? To pominąwszy, poemat okazywał talent duży: wprowadzał język barw i krasy pełen, wiersz rytmiczny, pełen muzykalnych efektów, odznaczał się mnóstwem niesłychanie malowniczych sytuacyi. Spółcześnie pisał się „Meleager". Rzecz w Kalydonie. Osoby: Oeneas król, żona Altea, syn jej Meleager, Atalanta. Chóry starców prawią o nieszczęściach, bijących na kraj za to, że Oeneas pominął w ofiarach Dyanę, która się sroży. Dzik potworny naszedł i zamącił pokój. „Zboże spustoszone i stratowane; winne płody, łodygi ich soczyste, wieloletnie rozburzone we winnicach; przytem pogryzione ich grube korzenie, do mocnych pędów zdolne. Oliwki o gładkim liściu połamane; kalają się gliną i prochem listki zielone tłuste, kalają się porówno owoce pożywcze a dla piersi dobre". Owoż Meleager z Atalantą poszli zabić dzika. Tymczasem Altea opowiada Oeneasowi o przesądzie. Wydawszy na świat Meleagra miała sen. Przyszły Parki i stanąwszy przy ognisku mówiły, że dziecię umrze, zanim dogoreje głownia. Wtedy matka skoczyła, wyrwała i zgasiła głownię, a zawarłszy ją w skrzynce, chroni dotąd jak oka w głowie. Teraz atoli odczuwa jakieś dziwne niepokoje. Nienawidzi Atalanty... Wtem przybiega pastuch jeden, potem drugi i donosi: Atalanta poraziła, Meleager dobił dzika. Altea zbiera się iść ku lasom złożyć ofiarę Dyanie, ale coś się stało. Niosą mary, na nich dwa ciała braci Altei. Padli oni pod ciosami Meleagra, gdy mieli znieważyć Atalantę. Wówczas Altea w gwałtownym gniewie ku synowi — p a l i g ł o w n i ę.

Meleager i Atalanta wyznają sobie miłość. Atalanta jednak złożyła Dyanie ślub dziewictwa w zamian za sławę. Lecz Meleager domaga się od niej dowodu miłości. Ona ucieka, on goni — głownia się dopala i oboje giną. Życie wysącza się z Meleagra zwolna, ale do kropli; Atalanta topi się. Altea w rozpaczy głowę o mur rozbija, pozostaje jeno Oeneas. Pokazuje się, że Altea była nieprawą córką, że matka jej wyznała to Oeneasowi, który obiecał uszanować jej czystość, złamał ślub — i stąd nieszczęście. Tragedya ta bez aktów i scen, podzielona wedle wzorów starożytnych na *prologos*, *epeizodia*, *chóry* i *exodos*. Wady jej są widoczne.

Rysunek postaci dość mdły, daleki od tej przemożnej harmonii i wypukłości, albo od tej druzgocącej wszystko potęgi, jak u Sofoklesa lub Eschila. Są one raczej sylwetkowo szkicowane. Najważniejsza — Altea, jako figura dramatyczna nie jest zupełnie jasna. Że niema w niej łamania się duszy, to dobrze, ale miłość dawna macierzyńska ku Meleagrowi i nienawiść nagła nie dadzą się usprawiedliwić. Nie można zapłonąć ku dziecku własnemu taką nienawiścią, aby w jednym momencie pozbyć się przesądu, kilkadziesiąt lat piastowanego i w lot skazać własne dziecię na śmierć. Oeneas — marna figura, rodzony braciszek hamletowego Poloniusza. Pełna wciąż gęba u niego mądrych sentencyi, które w gruncie okazują się banalnemi np. „szczęścia tak mało jest, jak sięgnę wzrokiem, że gdzie jest szczęścia nadzieja, jest już zawiele o szczęścia nadzieję“ (str. 28). Altea mówi o nim, że „jest bez niej niczem“ (str. 23). Nie wiem, dla czego poeta przystroił go w taką napuszoną i uroczystą togę i przeznaczył mu ważną rolę, boć on to właściwie dwukrotnie zawinił przeciwko bogini, ominąwszy ją w ofierze i nie dotrzymawszy ślubu uszanowania dziewictwa Altei. Co do chórów, wiadomo, że greckie, zwłaszcza Sofoklesa, są najpiękniejszemi pieśniami, jakie sobie wyobrazić można. W nie wkładał tragik grecki wszystko, co łączy poezyę z nieskończonością, co wybiega poza krańce ziemi, co jest mądrością wieków, co jest pięknem życia. Tu w „Meleagrze“ chór starców nie ma samodzielności, tylko znaczenie przejściowe. Oni uwiadamiają o tem, co się dzieje lub co się ma dziać, ale bez tego mądrego o ludziach i rzeczach sądu, jak w greckiej tragedyi. Rzekłbym prawie, że są to głupie i jękliwe starce.

Najładniejszą, choć najmocniej zmodernizowaną w guście Maeterlincka jest scena pomiędzy Meleagrem i Atalantą. Meleager jest naturą przeczuloną, pełną obrazów, jakie mogły się zrodzić w duszy modernisty. „W tej chwili czułem — mówi[1] — że odchodziłaś już myślą odemnie; myśl twoja schodziła już z tych białych ławic pałacu w ogród i szłaś przez ogród długi kędyś, skąd kaskada szmer ledwo dosłyszalny nam przyrzuca“.

[1] Str. 44.

Czy to nie jest obraz z „Anhellego“, kiedy Szaman wywołuje duszę Anhellego a „ta idzie ku ojczyźnie po jeziorze?“ Takie obrazy, jak „larwa piekieł uskrzydlona“, „skłębione olbrzymie ciała węży drżą wśród stromych skał granitowych“ — mogły powstać dziś, nie dawniej. Meleager np. pod wpływem światła księżycowego marzy:

Jednak jest dziwna w tych urokach siła,
Gdy patrzę w krąg ten milczeniem jaskrawy,
Taki poważnie groźny, tak nieubłaganie
Nakazujący ciche snom poddanie...
Jakby w nim sama Dyana taiła
Swą boską twarz — i zeń patrzyła
Sama... [1]

Cała ta scena, pomimo swego modernizmu, daje przedsmak ponurych wypadków, które się knują. Nastraja ona czytelnika zarówno szeregiem przeczuć w naturze, jak wyjawieniem ślubu Atalanty, zarówno gorącym, namiętnym tonem Meleagra, jak i śladami agonii zbliżającej się śmierci obojga młodych. Ale nie ta jedna scena daje utworowi znaczną wartość. Wieje zeń jakaś młodzieńcza świeżość helleńskiego świata. Życie zewnętrzne bez troski, bez trudu, w religijnym pietyzmie, w takiej silnej wierze w prawdę, przemoc bogów, tak bezpośrednio wyrażające swe wrażenia i uczucia — toć to istotnie świat i duch grecki. Przytem i tragiczność wysnuta z konfliktu, wywołanego niezgodą pomiędzy pożądaniami ludzi a wolą bogów; przytem i język archaizowany, niepozbawiony przedziwnych piękności stylu i obrazowania. Tok wierszy poważny, harmonijny, powiedziałbym muzyczny, barwy języka ciepłe, właściwe klimatowi i przyrodzie greckiej. Niekiedy rytmiczny biały wiersz zamienia się w rymowany, zwłaszcza w silniejszych akcentach uczuciowości — i wtedy jeszcze brzmi piękniej.

Z greckiego życia „Protesilas i Laodamia“ jest właściwie poematem, nie tragedyą. Rzecz we Phylace. Protesilas i Laodamia pobrali się, gdy się gotowała wyprawa pod Troję. Apollo w Delfach zapowiedział, że kto pierwszy padnie pod Ilion, „dana mu

[1] Str. 46.

będzie sława największa, śmiercią i grobem zdobyta". Protesilas wyrwał się z objęć żony, poszedł i pierwszy poległ. Ona tęskni i boleje. Czyni zaklęcia i straszne czary, aż przybywa Merkury i obiecuje, że na chwilę do niej przywiedzie Protesilasa. W istocie przywodzi, a gdy Protesilas opuszcza Laodamię, ona ginie.

Poemat ma swoje piękne strony, jakkolwiek cały jest jednem zobrazowaniem żarów miłosnych, żądnych zaspokojenia. Już w czasie tworzenia tego dzieła myślał Wyspiański widocznie o odmiennem zużytkowaniu meterlinckowskich nastrojów. Pojawia się w poemacie Zmora, Sen, Nuda — ale mają one charakter wytworów greckiej kultury. Odtąd zwrócił się poeta stale ku tragedyi narodowej, ku legendom, historyi, życiu ludu i stąd czerpie motywa do dzieł coraz tęższych. Tak powstały „Klątwa", „Lelewel", „Warszawianka", „Wesele".

(Dok. nast.)

Antoni Mazanowski.

WYŻSZE CHRZEŚCIJANSKIE SZKOŁY

W PIERWSZYCH PIĘCIU WIEKACH PO NAR. CHRYSTUSA [1].

Gdy w pierwszym wieku po narodzeniu Chrystusa Pana Boska Jego nauka w rzymskiem państwie szerzyć się zaczęła, wówczas jej wyznawcy okazywali do pogańskiej oświaty wyraźną niechęć i nieufność. Nawet św. Paweł nie wahał się przestrzegać chrześcijan przed tak zwaną filozofią pogan. Skoro zaś św. Marek do Aleksandryi przybył i tu pierwszą chrześcijańską szkołę katechetów założył, to była ona z początku ogniskiem ruchu, skierowanego przeciwko pogańskim nabytkom grecko-rzymskiej umysłowości.

Prostaczkami byli Chrystusa uczniowie, nieczuli na zewnętrzną świetność i ogładę, która wobec nieskończenie wyższych moralnych zadań człowieka dla nich żadnej nie posiadała wartości. Szkoła więc katechetów w Aleksandryi miała na celu tylko przyswojenie głównych zasad nowej nauki i moralne udoskonalenie do najszczytniejszego podniesione ideału. Święty Marek do Aleksandryi jedną tylko przyniósł z sobą księgę, tj. swoją własną Ewangelię, która przez długie lata była wyłączną nauczania podstawą, a każdy nauczający obowiązany był trzymać ją w ręce wobec uczniów; oprócz niej nauczano jeszcze tylko Składu Apostolskiego, liturgii i śpiewu kościelnego. Nadto nadał

[1] Ustęp z dzieła p. t. „Uniwersytety, ich cywilizacyjne znaczenie w przeszłości i zadania przyszłości".

św. Marek swoim uczniom przepisy, dotyczące wspólnego pożycia i moralnego doskonalenia się; tak stał się założycielem pierwszych klasztornych urządzeń, z których wyrósł następnie osobny rodzaj wyższych chrześcijańskich szkół.

Nauczanie odbywało się pierwotnie w Aleksandryi tak samo jak w Jerozolimie pod św. Cyrylem. Uczniowie czyli katechumeni gromadzili się w przedsionku kościoła, mężczyźni i kobiety osobno, a nauczyciel szedł między nich, przyswajał im pierwsze zasady wiary i przygotowywał do przyjęcia pierwszych sakramentów. Taki stan rzeczy trwał prawie do roku 179, to jest do czasu, gdy św. Panten objął kierownictwo aleksandryjskiej szkoły. Był to mąż wielkiej nauki i prawdziwie porywającej wymowy; pierwotnie zwolennik stoickiej filozofii, zaczął pierwszy posługiwać się swoją dawną wiedzą i mądrością, aby bronić i utrwalić swoją nową wiarę. Gdy św. Panten udał się jako apostoł do Indyj, podjął dalszą w tym samym kierunku pracę najznakomitszy jego uczeń Klemens Aleksandryjski; z nim rozpoczyna się chrześcijańsko-naukowy okres. Nie jest to zaś wcale rzeczą przypadku, iż kolebką naukowego w chrześcijaństwie ruchu stała się właśnie Aleksandrya. Tu, jak powszechnie wiadomo, istniało jedno z głównych ognisk starożytnej oświaty, tu klasyczna wiedza i wschodnia mądrość po raz pierwszy wzajemnie przenikać się zaczęły, tu już Filo, Żyd, podejmował próby pogodzenia Starego Testamentu z grecką filozofią. Skoro więc na tym tak świetnie przysposobionym gruncie zaczęli do nauki Chrystusa garnąć się już nietylko prostaczkowie, ale także uczeni, mowcy, myśliciele, to potrzeba było koniecznie stanąć na ich wysokości i przemówić do nich godną wielkiej oświaty mową.

W tym samym więc czasie, w którym Kościół w Małej Azyi walczył z herezyami gnostyków, a w Rzymie skupiał swoje siły, aby wytrwać w prześladowaniu i przeprowadzić silną we własnem łonie organizacyę, w tym samym czasie Aleksandryi przypadła w udziale nauka. Tu chrześcijańscy nauczyciele zaczęli najwcześniej z wielką gorliwością zajmować się całym obszarem ówczesnej wiedzy, a szczególnie filozofii. Między nimi w pierwszym rzędzie stoi Klemens. Urodzony zdaje się w Ate-

nach, przeniknął do głębi współczesną umysłowość, wtajemniczył się nawet w misterya greckie. Doznawszy wszędzie tylko zawodów, przeszedł na łono nowej wiary. Dwanaście lat rozwijał w Aleksandryi obfitą w plony nauczycielską działalność. Podczas prześladowania chrześcijan za Septyma Sewera (202) usunął się jednak z widowni i przeniósł najpierwej do Kappadocyi, później do Jerozolimy, gdzie znowu publiczną otworzył szkołę, w której, podobnie jak w Aleksandryi, gorąca jego wiara i wszechstronna głęboka nauka, jasny metodyczny wykład i wielka wymowa istnych dokazywały cudów. „Ponieważ Słowo — pisze Klemens w jednem z dzieł swoich — do nas z nieba zstąpiło, nie potrzeba nam więc już ludzkich szukać szkół, nie potrzeba wędrować do Aten, do Grecyi i do Jonii, aby się czegoś nauczyć. Jeżeli bowiem nauczycielem naszym jest Ten, który wszystko świętą swoją napełnił mocą, zbawieniem i nauką, to jesteśmy już o wszystkiem pouczeni; dzięki Jemu są teraz wszędzie Ateny, wszędzie Grecya“ [1]. Czyż słowa te nie wskazują na ten wielki dziejowy zwrot, jaki przygotowywał się dzięki chrześcijaństwu w całym systemie przyszłego nauczania?

Przewodnią myślą staje się zasada, którą już Klemens zupełnie jasno sformułował, tj. że chrześcijańska nauka zawiera w sobie najwyższą filozofię, co było przed nią, tj. Stary Testament i grecka filozofia mają się do niej tak, jak się mają części jednej prawdy do całości. W całej jednakże pełni ogarnął chrześcijaństwo naukowy kierunek dzięki Orygenesowi. Oczywiście nie tu jest miejsce, aby się szeroko rozwodzić nad działalnością tego nadzwyczajnego człowieka, w kilku jednakże słowach musimy zwrócić uwagę na jego pracę jako chrześcijańskiego nauczyciela.

Syn wszechstronnie wykształconego retora a przytem chrześcijanina, dojrzały już od dziecka, objął Orygenes w 18 roku życia po Klemensie ster szkoły katechetów w Aleksandryi, równocześnie zaś sam kształcił się dalej w helleńskich naukach i w filozofii, zależało mu bowiem, aby mógł na wszelkie, czy to

[1] Por. Möhler: *Patrologie.* I. Bd. Regensburg 1840. Str. 437.

przez pogan, czy przez heretyków stawiane, pytania dawać wyczerpujące naukowe odpowiedzi; był więc nawet sam przez jakiś czas uczniem Ammoniusa, założyciela nowoplatońskiej filozofii. W szkole, którą kierował, oddał Heraklasowi kurs przygotowawczy, zachowując wyłącznie dla siebie wyższe nauczanie. Przechodził więc z uczniami wszystkie działy ówczesnych nauk, prowadząc ich stopniowo do chrześcijańskiej wiedzy. Dwadzieścia blizko lat rozwijał taką działalność, a sława jego po całym ówczesnym rozeszła się świecie. Gdy mu w r. 231 skutkiem różnych intryg stanowisko nauczyciela w Aleksandryi odjęto, przeniósł się do Cezarei i tu założył wyższą szkołę, której rozgłos zaćmił wkrótce Aleksandryę, stała się ona później wzorem dla wszystkich tego rodzaju chrześcijańskich szkół, dlatego nie od rzeczy będzie przytoczyć, jaki był tam cały bieg studyów.

Naukę rozpoczynał zwykle Orygenes praktycznie, odzwyczajając swoich uczniów od wielu złych narowów, teoretycznie wpajał najpierwej prawidła logiki, która „uczy wyróżniać prawdę od fałszu“, następnie przechodził do fizyki, która „uczy rozumieć i podziwiać dzieła boże“, dalej do geometryi, „która, dzięki swoim jasnym i nieulegającym wątpieniu dowodom, jest ideałem nauki“, potem nauczał astronomii, nauki „podnoszącej umysły od ziemi ku niebu“, wreszcie przychodziła kolej na filozofię, której nauczanie skupiało się w pewnych ostatecznych moralnych wnioskach, to wszystko zaś służyło tylko jako przejście do najwyższej z nauk o istnieniu i naturze Boga [1]. Uczniom swoim pozwalał Orygenes swobodnie wszystko czytać i szukać nauki o Bogu wszędzie, gdzie tylko chcieli, wskazując w końcu Pismo św., jako jedynie prawdziwe jej źródło. W jednym z listów do św. Grzegorza Cudotwórcy pisze: „Wszystkie nauki świeckie należy tak uprawiać, aby przyczyniały się do zrozumienia Pisma św., gdyż tak samo jak filozofowie zwykle utrzymują, że geometrya, muzyka, retoryka i astronomia przygotowują nas do studyum filozofii, tak my możemy powiedzieć,

[1] Por. *Christian schools and scholars.* London 1867. Vol. I, str. 12.

że filozofia dobrze nauczana przysposabia do poznania chrześcijaństwa“ [1].

Oto program tych pierwszych wyższych chrześcijańskich szkół, z którego jasno wynika, iż nie było żadnej gałęzi ówczesnej wiedzy, któraby tam nie była uprawianą. Duch jednak, jaki w tych szkołach panował, wyróżniał je w sposób zasadniczy od współczesnych pogańskich. Te ostatnie nie posiadały żadnego ideału prawdy, któryby wszystkie przenikał usiłowania, brakło im przewodnich idei, dlatego nauczanie miało charakter czysto formalny i powierzchowny; na zewnętrzną stronę, na piękność formy w wysławianiu się główny był położony nacisk, a strona moralna nie miała właściwie o co się oprzeć: uprawiano wprawdzie filozofię, uważając ją za najlepszy dla duszy pokarm, ale umysły spragnione prawdy i oparcia, błąkały się tu bezradne wśród mnóstwa różnorodnych kierunków. W chrześcijańskiem natomiast nauczaniu wszystko było jedną najwyższą przejęte ideą i do jednego skierowane celu, w którym najogólniejsza teorya ściśle splatała się z praktyczną stroną i z praktycznemi zadaniami życia. Ale już Arystoteles zrobił uwagę, że wszelkie wyższe nauczanie opiera się na wiedzy poprzednio uzyskanej. Ponieważ więc klasyczną oświatą były przejęte umysły, które do chrześcijaństwa się garnęły, przynosiły ze sobą dawne poglądy i metody, które oczywiście tu dalsze znajdywały zastosowanie. Tak dokonywało się od trzeciego wieku począwszy stopniowe, wzajemne przenikanie się chrześcijańskiej nauki i klasycznej mądrości.

Powstają coraz liczniej wyższe prywatne szkoły, zakładane przez retorów i filozofów, którzy chrześcijańską przyjęli wiarę. W tej samej np. Cezarei, gdzie przedtem nauczał Orygenes, zakłada taką szkołę św. Pamfiliusz. Wykształcony w sławnej szkole prawa w Berytus, poddawszy się po nawróceniu kierunkowi Pieriusa następcy Orygenesa w Aleksandryi, osiadł potem w Cezarei i całe życie i majątek poświęcił swojej szkole. Założył wielką chrześcijańską bibliotekę, która liczyła przeszło

[1] Tamże.

30000 dzieł, sam mnóstwo dzieł skopiował, a Pismo św. rozdawał każdemu, kto je tylko mieć zapragnął. Wyszło też ze szkoły jego wielu chrześcijańskich uczonych, pisarzy i męczenników. Podobną szkołę założył w Antyochii Lucyan, i tu Pismo św. i helleńska wiedza były głównymi nauczania przedmiotami. Na takie wzajemne przenikanie się chrześcijaństwa i klasycyzmu wpływała korzystnie także i ta okoliczność, że chrześcijanie i do pogańskich szkół chętnie się garnęli.

Już Tertulian w drugim wieku pisze, że niemożliwą dla chrześcijanina jest rzeczą być nauczycielem w pogańskiej szkole, ale nieraz zmuszony jest uczęszczać do niej jako uczeń, inaczej bowiem nie nabędzie wiadomości, które są „kluczem do życia", niechaj więc tam się uczy, wolno mu zaś odrzucić wszelkie pogańskie legendy i brednie. Jak wielką zaś wartość przywiązywali chrześcijanie w IV. wieku do klasycznej oświaty i świeckiego wyższego wykształcenia, dowodzi tego najlepiej fakt, że gdy Julian Apostata zamknął państwowe szkoły dla chrześcijan, a nawet zabronił im prywatnie zajmować się naukami i literaturą, to posypały się ze strony biskupów energiczne protesty piętnujące juliański edykt, jako objaw okrutnej tyranii. Grzegorz z Nazyanzu wystąpił z całą potęgą swojej wymowy przeciw takiemu barbarzyństwu. „Cenię tylko nauki i literaturę — pisze — i nigdy nie pożałuję pracy, jaką im poświęciłem. Naukę stawiam nad wszystkie ziemskie bogactwa i nie znam nic na ziemi droższego; zaiste praca umysłowa najwięcej zbliżoną jest do niebiańskich rozkoszy i pragnień nieśmiertelności" [1]. Z drugiej jednak znowu strony prawdą jest, iż wszyscy chrześcijańscy pisarze i Ojcowie Kościoła domagali się, aby świeckie nauczanie chrześcijańskie uwzględniało potrzeby. Św. Bazyli porównuje umysł ludzki do drzewa, które wydaje owoce i liście: „Owocem jest prawda tylko w Piśmie św. zawarta, literatura zaś i sztuki piękne to liście, które zdobią i osłaniają prawdę. Mojżesz i Daniel pierwej pogańską przyswoili sobie wiedzę zanim ze świętemi zapoznali się naukami. U poetów i filozofów mnóstwo

[1] *Christian schools and scholars.* Vol. I, str. 23.

znajdujemy myśli, które głęboko powinny wryć się w nasze serca. Chrześcijanie mając tak ciężkie do staczania walki, niechaj zużytkowują wszystko, co im tylko pomódz może a więc tak dobrze poezyę, jak filozofię, retorykę i sztuki piękne. Powinni rozważać słońce prawdy odbijające się w falach ludzkich umysłów, a potem wznosić oczy ku górze i podziwiać jej świetność w niebiosach. Chrześcijański uczeń powinien podobnym być do pszczoły, która miód na wszystkich zbiera kwiatach, oddzielając go jednak starannie od trucizny“ [1]. Podobne zupełnie zdania w zastosowaniu do szukających mądrości wygłaszał już Plato a nawet Cicero, a więc i pod tym względem kierowali się chrześcijańscy myśliciele tylko miłością prawdy i pragnieniem urzeczywistnienia najwyższych moralnych ideałów. Ze względu jednakże na nowe potrzeby chrześcijańskiego społeczeństwa przygotowuje się równocześnie także nowy w chrześcijańskiem wyższem nauczaniu kierunek.

Podstawą organizacyi Kościoła byli ci, na których przeszła władza Apostołów i uczniów Chrystusowych, a więc biskupi i prezbiterzy. Od chwili zaś jak Chrystus tym uczniom swoim powiedział, idźcie i nauczajcie, stało się nauczanie jednem z najgłówniejszych zadań Kościoła. Chcąc nauczać, a przytem także spełniać cały szereg innych jeszcze wobec wiernych obowiązków, trzeba było mieć odpowiednio przysposobionych pracowników. Ich kształcenia któż inny mógł się podejmować jeżeli nie biskupi, jako bezpośredni Apostołów następcy?; tem więcej, że oni tylko mieli moc i władzę wyświęcania kleryków na kapłanów. Powstają zatem powoli przy wszystkich biskupich stolicach wyższe szkoły zawodowe. Już aleksandryjska szkoła katechetów była czemś w tym rodzaju; o niektórych innych przechowały się także dosyć dokładne szczegóły; najwięcej oczywiście o takich, z których wyszli jacyś w późniejszem życiu sławni męczennicy lub uczeni chrześcijańscy. Z życia np. św. Jana Chryzostoma, który był także uczniem retora Libaniosa, wiemy,

[1] Św. Bazyli: *De legendis Gentilium libris*, wyd. Gaume'a t. II, str. 245 i dalsze.

iż kształcił się i do swego zawodu przygotowywał w seminaryum biskupa Antyochii Melecyusza; św. Cyryl uczył się w szkole swojego wuja, biskupa Teofila i t. d. Do takich zawodowych szkół biskupich przybywa wkrótce drugi typ szkół klasztornych.

Pierwsze początki klasztornego życia sięgają niewątpliwie czasów św. Marka, ale pełny jego rozwój rozpoczyna się w trzeciem dopiero stuleciu. Różne zaś działały tutaj przyczyny. Wogóle należy pamiętać, że skłonność do życia pustelniczego zdala od świata i jego zgiełku wspólną jest wszystkim wschodnim społeczeństwom. Ma ona niewątpliwie źródło swoje w usposobieniu człowieka południowe zamieszkującego kraje i we wpływie otaczającej go przyrody. Obok wielkiego w zmysłowych rozkoszach wyuzdania, spotykamy się tu często z nięzwykłym dla idealnych celów zapałem i z siłą woli tak nieugiętą, iż wszelkie kruszy węzły, aby tylko swój ideał urzeczywistnić. Wiadomo, iż rozwój życia pustelniczego największe przybrał rozmiary w Indyach, dzięki właśnie tamtejszym przyrodniczym i społecznym stosunkom. Mamy również dowody, że także w Egipcie od wieków było dobrze znane życie w zupełnem odosobnieniu i zdala od świata. W piśmie św. Starego Testamentu ciągle jest mowa o pustelnikach i prorokach na puszczy przebywających. Jest to więc objawem zupełnie zrozumiałym, iż właśnie w Egipcie — gdzie chrześcijaństwo szybko szerzyć się zaczęło, równocześnie zaś panowała wśród pogan wielka rozwiązłość w obyczajach i takie zepsucie, że dla chrześcijanina było życie według przepisów św. Marka wśród społeczeństwa z największemi połączone trudnościami[1] — że w Egipcie, powtarzamy, zaczęła coraz większa liczba chrześcijan uciekać w odludne miejsca, aby zdala od zepsutego na wskróś pogańskiego społeczeństwa prowadzić życie, oddane wyłącznie modlitwie, rozmyślaniu i moralnemu doskonaleniu się. Przykład dali św. Paulus i św. Antoni, za nimi poszli wkrótce wierni setkami! Tak powstały najdawniejsze związki ascetów i pustelników, którym Pachomiusz pierwszą

[1] Dowodem tego najlepiej znany powszechnie fakt dobrowolnego okaleczenia się Orygenesa, aby tylko uniknąć pokus.

nadał organizacyę. Powodzenie reguły Pachomiusza było tak wielkie, że już w połowie IV. wieku liczył jego klasztor 1500 zakonników, a siedem tysięcy przyjęło jego regułę po różnych innych miejscowościach.

Na zachód przeniósł klasztorne urządzenia Atanazy wraz z opisem życia św. Antoniego, tu dopiero zaczyna się wielka monachizmu historya, jego zaś rozwój rozstrzyga także, jak zobaczymy później, o dalszych dziejowych losach wyższego nauczania.

Nie można wątpić, że nauczanie uprawiano już w najstarszych wschodnich klasztorach. Gdybyśmy nawet nie przywiązywali wagi do słów Theodoreta, który nazywa klasztory ἀγάλματα τῆς φιλοσοφίας, uważając, iż nazwy „filozofia“ użył tu w znaczeniu praktycznem, to jednak z różnych wzmianek takich pisarzy jak Jan Chryzostom, Grzegorz z Nazyanzu, Bazyli i wielu innych jasno wynika, iż przy klasztorach istniały szkoły, w których nauczanie nie stało widocznie bardzo wysoko, ale przecież przyswajano młodzieży główne zasady chrześcijańskiej wiary i moralności przy zupełnem klasycznego pierwiastku wykluczeniu. Św. Jan Chryzostom np. pisze, że jeżeli rodzice nie mają w pobliżu szkoły, w której uprawa świeckiej nauki byłaby połączona z nauką cnoty, to powinni na korzyść strony moralnej poświęcić wykształcenie umysłu i oddać synów do klasztornej szkoły: „Jeżeli macie nauczyciela, który mógłby przyjąć odpowiedzialność za cnotę waszych dzieci, to daleki jestem od nakłaniania was, abyście wybierali klasztor. Jeżeli jednak nie macie należytego zabezpieczenia, to nie posyłajcie dzieci tam, gdzie pierwej nauczą się grzechu zanim nabędą wiedzy. Wartość jej stosunkowo mała, duszę zaś zgubią na zawsze. O cóż należy więcej dbać, o naukę, czy o duszę? Możecie połączyć obie korzyści, czyńcie to z całych sił, jeżeli nie wybieracie, co jest cenniejszem“ [1].

Słowa te dowodzą, że już w czwartym wieku istniały klasztorne szkoły, w których nauczanie nie stało wprawdzie tak

[1] Św. Jan Chryz. wyd. Gaume'a. Tom I. Str. 115—122.

wysoko jak w świeckich, ale zabezpieczało przynajmniej młode dusze przed zepsuciem. Z tych oto szkół wyszła niechęć i zaczęła powoli szerzyć się nawet nienawiść do klasycznej oświaty, która z chwilą, gdy pogańska religia przestała być panującą, najszersze ogarnęła koła i przybrała żywiołowego ruchu cechy. Warstwy oświecone, wykształcone w szkołach retorów, przesiąknięte wyrafinowaną kulturą, długi czas chwieją się między chrześcijaństwem a klasycyzmem, nie mogą od razu tak świeżych wyzuć się wspomnień.

Niektórzy pisarze chrześcijańscy z końca czwartego wieku walczą coraz energiczniej przeciw pogańskim szkołom, odradzają wprost rodzicom posyłania synów do Aten, wyszydzają szkoły retorów, a krytykują bez litości całą ich mądrość na marnej grze słów opartą. Nawet św. Augustyn, jakkolwiek szczery klasycznej umysłowości wielbiciel, przecież często mówi o niebezpieczeństwach, grożących młodzieży ze strony dawnego systemu nauczania. Sam ich na sobie doświadczył! opisuje więc ciasnotę poglądów ówczesnych gramatyków i retorów, ich chciwość i okrutną wobec młodzieży surowość. „Dla niejednego z nich — pisze — większą było zbrodnią wymówić słowo *homo* bez należytego akcentu aniżeli człowieka nienawidzić“ [1]. Jest niewątpliwie św. Augustyn najwspanialszą postacią z całego okresu rozwijającego się i świat zwyciężającego chrześcijaństwa. W umyśle jego jak we wspólnym ognisku zestrzelił się i skupił cały ośmiowiekowy rozwój oświaty i ostateczny na rzecz chrześcijaństwa dokonał się przełom. Z poganina i zwolennika platonizmu, błąkając się wśród różnych kierunków filozofii, którym po kolei hołdował jakiś czas wyznawca manicheizmu, w końcu zostaje chrześcijaninem, przynosząc na łono nowej wiary bogate życiowe doświadczenie, olbrzymią wiedzę i znajomość starożytnej umysłowości, nieugiętą, bo w walce ze samym sobą zahartowaną wolę, wreszcie najgorętszą miłość do chrześcijańskiego na świat poglądu, podsycaną głębokiem przeświadczeniem, że za chrześcijaństwem niema dla duszy spokoju, a dla ludzkości niema

[1] *Christian schools and scholars.* I. Str. 21.

odrodzenia się do nowego życia. Jest przecież u Augustyna jeszcze wielka cześć dla klasycznej oświaty, bo jest zrozumienie jej treści przy stanowczem odrzuceniu zepsutej zewnętrznej formy. Powoli jednakże oddala się św. Augustyn coraz więcej od klasycznych tradycyi, a w założonej przez niego szkole biskupiej w Hippo przeważa stanowczo duch klasztorny i niechęć do wszelkiego rodzaju świeckiej literatury.

Zupełnie podobny proces przeszedł także św. Hieronim. I on wykształcony w szkołach retorów lubował się za młodszych lat w pogańskim klasycyzmie, aż nareszcie raz miał sen, w którym zdawało mu się, że stanął na sądzie Bożym i usłyszał wyrok, że on nie jest *Christianus* ale *Ciceronianus*, przysiągł więc, że odtąd pogańskich autorów zupełnie nie będzie czytał, a odda się wyłącznie badaniu Pisma świętego. Nie wszystkie ale umysły przechyliły się tak stanowczo na stronę nowej prawdy, wahanie się trwa jeszcze przez parę pokoleń. Taki np. poeta Ausoniusz był chrześcijaninem, a przecież czuł i myślał jak poganin, dla niego Bóg to jakaś czysta abstrakcya, to formalność i podatek, który trzeba zapłacić nowemu rzeczy porządkowi. Wykwintny sybaryta płaszczy się przed cezarem, nazywając się jego kreaturą, jako pisarz na formie wszystko zasadza, zabawki myśli uważa za dzieła sztuki, a gdy mu przyjaciel przysyła 30 ostryg, układa na ten temat kunsztowny epigram, popisując się nim jak arcydziełem. Jego towarzysz Symmachus, który pozostał poganinem lepsze nawet robi wrażenie od tego chrześcijanina! Prośba Symmacha do cesarza Gracyana za staremi bogami, ułożona w chwili gdy boginię zwycięstwa usunięto z sali posiedzeń senatu, o ileż wznioślejsze robi wrażenie od wszystkich Ausoniusza wierszydeł. A taki np. Sydoniusz czyż to nie oczywisty dowód, jak trudno było tym umysłom nagiąć się do nowego rzeczy porządku. Wszak zostawszy biskupem musiał aż ślub składać, że odtąd świecka u niego zamilknie muza, a będzie pisał wyłącznie tylko na cześć świętych. To też z żalem odzywa się do młodych: „Używajcie młodości, rozkoszujcie się nad Horacym i Ciceronem, gdy starość nadejdzie będziecie musieli myśleć o zbawieniu,

a starych pogan w kąt odrzucić". Pisma chrześcijan nie są mu dosyć wykwintne, dobre tylko, aby uniknąć piekła.

Zaczynają więc mnożyć się usiłowania, aby w miejsce pogańskiej stworzyć literaturę z chrześcijańską treścią, ale w niej dawna maniera długo jeszcze przeważa, w listach pełno płaskich komplementów, w mowach chełpliwa pokora, w poezyi bawienie się najświętszemi uczuciami i wprowadzanie świętych w miejsce dawnych mitologicznych bogów, jednak powoli przecież cały ruch umysłowy pogłębia się i uszlachetnia. Najpierwej upraszcza się forma: „Czegom się od uczonych i retorów nie nauczył, tego na ich sposób nie będę opowiadał — pisze Prosper w rozprawie *De vita contemplativa* — nie zawstydzę się, jeżeli miłośnicy marnej gry słów będą moją prostą mową niemile dotknięci" [1]. Dalej myśl chrześcijańska coraz skuteczniej walczy z przesądami i formami starej kultury. Widocznem to np. u takiego Salwiana: jest to już zupełnie nowy człowiek, „ewangelia podniosła go wysoko ponad całą nędzę upadającego świata, a przecież i on jeszcze w pismach swoich starej maniery całkowicie zrzucić z siebie nie może. Wszystkie te sprzeczności stąd właśnie pochodzą, iż ci ludzie kształcili się jeszcze w szkołach retorów. Aż nareszcie na schyłku piątego wieku szkoły te giną, a wychowanie klasztorne zaczyna i na Zachodzie stanowczo przeważać. Z warstw ludowych przez chrześcijaństwo tak wysoko podniesionych, odzywa się coraz gwałtowniejsza nienawiść do dawnych bogów, którym warstwy oświecone nie przestawały jeszcze w cichości hołdować. W związku z tem stoi palenie dzieł i księgozbiorów, niszczenie dawnych świątyń i wogóle zabytków klasycznej przeszłości. Na czele takiego ruchu widzimy w niejednem miejscu zakonników, dla których cała ta klasyczna kultura przedstawia się już jako dzieło szatana. Wymowa kaznodziejska ujęta w ludową gwarę, bo dla ludu przeznaczona, staje się prostą a działającą siłą przekonania, nie zaś sztuką. *Stilus scholasticus* przez retorów uprawiany, rzadko gdzie odzywa się z kazalnicy,

[1] Georg Kaufmann: *Rhetorenschulen und Klosterschulen.* (Fr. Raumer historisches Taschenbuch 4-te folge 10-ter Jahrg. Leipzig. 1869). Str. 42.

miejsce zaś wyszukanych heksametrów zastępuje śpiew Ambrozyański, przejmujący swoją siłą uczucia, a wielki swoją prostotą. Prawdą jest, że cały ten ruch doprowadził do prostactwa w obyczajach, że wykwintne obejście i wyrafinowana kultura stawała się coraz rzadszą, a przecież naturalnym był on objawem i społeczeństwu potrzebnym, jeżeli nowy porządek miał się naprawdę ustalić.

W klasztorach dawna metoda nauczania zanika; gramatyka i retoryka ustępują miejsca ćwiczeniom ascetycznym i modlitwie. Klasztor staje się istotnie pewnego rodzaju wyższą szkołą, mnisi uczniami w niej, a przełożony ich mistrzem i nauczycielem. Powstaje więc zupełnie nowego rodzaju korporacya nauczająca, i tu chodzi o pogłębienie religijnego życia, ale nie pod względem teoretycznym; nowa teorya, nowe ideały są i działają jako organiczna całość, w niczem do dawnych niepodobne wierzeń, potrzeba je przecież w czyn wprowadzić i w życiu urzeczywistnić, w tym kierunku więc rozwijają klasztory swoją działalność. Potrzeba było jakby ognistem żelazem dawne z organizmu społecznego wypalić narowy, wspomnienia i przyzwyczajenia.

Właśnie w takim duchu rozwija pełną energii pracę Jan Kassyan, którego dzieła trafnie nazwano najstarszą życia i klasztornej wiedzy encyklopedyą. Pojmuje on klasztor zupełnie jako wychowawczy zakład, w którym czczej i czysto formalnej kulturze retorów przeciwstawią myśl Bożą i umiejętność o Bogu. Oświadcza się więc Kassyan stanowczo przeciwko wszelkiemu zajmowaniu się starożytnymi autorami, idąc w tej mierze zupełnie za zdaniem egipskiego opata Nestorosa, który do jednego z przyjaciół Kassyana, niejakiego Germanusa, gdy się tenże uskarżał przed nim, iż go ciągle prześladuje wspomnienie dawnych bogów, w te odezwał się słowa: „czytaj tylko księgi święte z tą samą usilnością i gorliwością, z jaką dawniej czytałeś pogan, a uwolnisz się od tych szkodliwych wpływów“ [1]. Jedynym przedmiotem nauczania w klasztorach była tylko religia i wiara chrześcijańska. Nauka dzieliła się według Kassyana na dwa kursa: pierwszy

[1] G. Kaufmann: *Rhetorenschulen und Klosterschulen.* Str. 65.

praktyczny, obejmujący naukę przepisów, drugi teoretyczny, prowadzący do głębszego zrozumienia prawd wiary i Pisma świętego. Obok tak urządzonych klasztorów starał się każdy biskup o posiadanie szkoły przy swojej stolicy, która miała do kapłańskiego przygotowywać zawodu; w nich przeważył także od czasów św. Euzebiusza z Vercelli, a szczególnie od czasów św. Augustyna duch zupełnie klasztorny. Tu biskup był mistrzem i nauczycielem, a św. Cezaryusz powiada, że wszystkiego można się spodziewać tylko po klasztornej karności i po serdecznym, poufnym stosunku ucznia z nauczycielem. Metoda nauczania żadnej tu nie odgrywa roli, a pierwiastek rozumowy z zupełnem spotyka się zaniedbaniem.

Powtarzają się wprawdzie tu i ówdzie usiłowania, aby dawne szkoły retorów przekształcić na rodzaj nowych teologicznych akademij. Taki np. opat Pomerius urządza w Lyonie retoryczne odczyty i ćwiczenia w związku z teologicznem nauczaniem, coś podobnego próbuje także Klaudianus Mamertus w Vienne. Ale były to tylko jakby początki jakichś chrześcijańskich uniwersytetów, do stałych urządzeń nie przyszło, interes teologiczno-naukowy schodzi zupełnie na drugi plan, w tych zaś warunkach trzeba przyznać, iż całemu dalszemu rozwojowi umiejętności kościelnych poważne zaczęły grozić niebezpieczeństwa. Z jednej ostateczności ruch umysłowy przeszedł w drugą. Od wykształcenia formalnego w szkołach retorów, uwzględniającego tylko rozumowanie i mówienie, przerzucono się na stronę moralno-ascetyczną, o ćwiczeniu zaś rozumu zapomniano prawie całkowicie. To też znać już w szóstem stuleciu, że chrześcijańscy kapłani oduczyli się porządnego myślenia, dawna wspaniała twórczość na polu teologii słabnie, a z nią i ruch literacki zmniejsza się coraz bardziej, i byłoby może przyszło do zupełnego wygaśnięcia wszelkiej oświaty, gdyby nie korporacya, która stała się istną arką przymierza między nowemi a dawnemi laty.

Na początku szóstego stulecia przedstawia się nam stan wyższego nauczania w następujący sposób. Dawna metoda, owoc dyalektyczno-retorycznego stopnia rozwoju ludzkiej umysłowości, przeżyła się całkowicie. Szkoły retorów już istnieć przestawały,

natomiast rozpowszechniły się wszędzie szkoły klasztorne i seminarya biskupie; dla świeckich był przystęp do jednych i do drugich możliwy, tam więc garnął się każdy szukający nauki, inna bowiem szkoła i inny nauczyciel, nie duchowny był już wówczas rzadkością. Tu i ówdzie zaczęły także powstawać prywatne szkoły, zakładane przez księży i zakonników, ale te skutkiem powszechnego zamętu i ciągłych wojen i napadów, nie utrzymywały się zwykle długo, na wszelki sposób do walki z nawałą ciemnoty i barbarzyństwa one wystarczyć nie mogły, do tego potrzeba było organizacyi i współdziałania wielu zakładów według jednej prowadzonych metody. Otóż takiej nowej metody nauczania brakowało. Chrześcijaństwo wskazywało znakomite środki do moralnego doskonalenia się, ale w nauczaniu i w przyswajaniu wiedzy nie miało jeszcze czem zastąpić starych dyalektyczno-retorycznych praktyk. Kassyan w tym kierunku także nowej nie stworzył metody; wkrótce też okazuje się u zakonników i księży brak wyrobienia w myśleniu, brak wszelkich systematycznych wiadomości i daleko posunięte wszelkiej wiedzy lekceważenie. Nowe germańskie dwory sprzyjały wprawdzie rzymskiej oświacie, była im ona nieraz nawet pożyteczną, ale przecież dla jej podtrzymania nie robiły nic, zazdrosne o cywilizacyjną wyższość zwyciężonych. Nauki teologiczne, jak długo tylko mogą korzystają z metodycznego przysposobienia umysłów w szkołach retorów, ale w końcu wszystko ustaje, tak, że chcąc nawiązać jakikolwiek węzeł przeszłości z przyszłością, należało koniecznie powrócić do dawnej harmonii nauki świeckiej z kościelną, filozofii z teologią i ratować z przeszłości, co się tylko dało, aby później jakąś nową dla oświaty przygotować przyszłość.

Na takiem stanowisku staje Kassiodor, ostatni z długiego szeregu rzymskich konsulów, a pierwszy siewca średniowiecznej kultury. Po śmierci króla Teodoryka, którego był ministrem, zakłada Kassiodor nowego rodzaju klasztor, *Vivarium*, pod Squillaci w tak zwanej Bruccyi. Tu gromadzi bogatą bibliotekę i nakreśla cały metodyczny plan studyów, w którym świecka i kościelna nauka najzupełniej ze sobą się łączą. Jego dzieła o nau-

czaniu Pisma św. i o siedmiu sztukach wyzwolonych zawierają program tej nowej nauki. Tak przekazał Kassiodor resztki naukowości najbliższym w coraz większą ciemnotę zanurzającym się pokoleniom. Wprawdzie własne dzieło Kassiodora nie utrzymało się długo, ale cały jego plan studyów, jego metodę, tradycyę przejął żywcem właśnie wówczas powstały zakon św. Benedykta, którego reguła nie zabrania zakonnikom naukowej działalności i pozwala przyjmować dzieci i młodzież na naukę.

Dziwnem zaiste zrządzeniem Opatrzności, w tym samym roku, w którym Justynian zamyka szkoły ateńskie, tj. w r. 529, powstaje zakon Benedyktynów. Stara oświata, która tam na Wschodzie w najświetniejszem niegdyś ognisku tj. w Atenach długowieczny zakończyła żywot, równocześnie w tym samym roku, jakby dla zaznaczenia nieprzerwanej łączności, na Zachodzie, jak feniks, z własnych odradza się popiołów.

Może w tych samych chwilach, w których ostatni ateńscy filozofowie z boleścią i z goryczą w sercu przechodzili bramy odwiecznej stolicy muz, aby podążyć na daleki Wschód, przystępował św. Benedykt, pełen natchnień proroczych do dzieła, które miało zanieść na najdalszy znowu Zachód słowo Boże wraz z wszystkimi nabytkami starej oświaty! I znowu kiedyś po paru wiekach ta praca Benedyktynów na Zachodzie i te ziarna zaniesione na daleki Wschód przez ostatnich filozofów miały się złączyć z sobą i wydać obfite, a dla ludzkości tak dobroczynne, plony.

Prof. dr. M. Straszewski.

FREDERI MISTRAL.

Ze studyów nad współczesną literaturą prowansalską.

(Ciąg dalszy).

Alfons Daudet zapowiedział już w swych *Lettres de mon moulin* pojawienie się nowego dzieła Mistrala, to też oczekiwanie było niezwykłe. Nowy poemat, przewyższyż on *Mirèio?* Pozostanie w nim autor w dawnych granicach, czy też poszuka innego pola dla swego dzieła?

Wreszcie w 1867 r. wyszedł *Calendau, pouèmo prouvençau.* Krytyka zachwycała się utworem i osądziła, że gwiazda Mistrala nietylko nie blednie, ale silniejszym nawet zaczyna płonąć blaskiem. Publiczność za to, a przyznaje to sam Mistral, zajęła wobec nowego dzieła stanowisko dość obojętne, może nawet zniechęcające. Dziwny ten fakt da się częściowo przynajmniej tem wytłumaczyć, że niektórzy z krytyków widzieli w poemacie symbol i alegoryę, a takie rzeczy nie trafiają każdemu do przekonania.

W *Calendau* wprowadza nas Mistral od razu w środek rzeczy. Na stromym szczycie Gibal widać młodą niewiastę, Esterelę, i młodzieńca. Dokoła cisza; u stóp ich leży osada rybacka Cassis, w dali wznoszą się wieże Toulonu, a jeszcze dalej wypełniają horyzont fale morskie. Calendau, bo on był tym młodzieńcem-rybakiem, stara się o miłość Estereli; rusałką lasów nazywa ją lud okoliczny. Ona miłości tej mu nie da,

gdyż jest już poślubiona człowiekowi, którego nie może kochać. Żyje w Prowansyi stary ród hrabiów Li Baus. Mury ich zamków brzmiały zawsze szczękiem oręża, pieśnią wojennego rogu i dźwiękiem puharów, a tylko w komnatach dziewic mieszkała poezya. Tam przebywali trubadurzy, u stóp rycerskich córek wygrywali swe pieśni i wtajemniczali je w sztukę „wesołej umiejętności“. Dzisiaj zamki rozpadły się w gruzy, snem wiecznym śpią rycerze pod kamiennymi nagrobkami; gdzie dźwięczała niegdyś lutnia, słychać ciemną nocą tylko jęk puhacza. Z całej tej chwały pozostała jedna, najpiękniejsza pamiątka, Esterela. Wysoko w górach, na zamku Aigloun, swobodne wiodła życie. Na szybkim rumaku przebiegała błonia i lasy, badała życie kwiatów w głębokim gąszczu i lot motyli na słonecznej łące a zepsuta hołdami, jakie jej składali przybywający z dala i z blizka rycerze, pogardziła wszystkimi. Pewnej burzliwej nocy, gdy węże błyskawic wiły się po niebie, obcy jakiś przychodzień zapukał do bramy i prosił o nocleg. Był to hrabia Severan; jego siła, majestat, wyraz twarzy imponują Estereli i w niebacznej chwili proszona o rękę, ofiaruje ją przybyszowi. Ślub nastąpił wkrótce a hałaśliwe uroczystości weselne oznajmiają okolicy, że córa hrabiów Li Baus ma zostać hrabiną Severan. W czasie uczty wchodzi do sali żebrak. Ciało jego kryją wprawdzie łachmany, ale dumna twarz i wyniosła postawa króla przypominają. Hrabia Severan blednie, każe żebraka psami wyszczuć, lecz ten zbliża się do stołu — dwie łzy płyną z jego ócz. „Nieproszony, jak śmierć, przyszedłem tutaj, by moją synowę poznać. Ojcu więc twemu drzwi pokazujesz. Przekleństwo Boże niech na ciebie spadnie. Wiedz, nieszczęsna, żeś poślubiona dowódcy zbójców“. Powstaje hałas nie do opisania, Esterela mdleje a w nocy opuszcza dom męża. Błądzi po lasach i górach, aż wreszcie osiadła na stromym Gibalu; lud okoliczny nazwał ją rusałką Esterelą, królową gór i lasów. Ciężko jej nieraz i tęskno w tej pustyni, ale uczucie wolności wynagradza chwile smutku i bólu.

Tej opowieści młodej kobiety przysłuchiwał się Calendau a rozdrażniony z słowy: „hrabia, ten potwór musi umrzeć!“

biegł wyzwać do walki Severana. Znalazł go w olbrzymim lesie, gdzie z towarzyszami zbójeckich wypraw zabawiał się łowieniem ptaków. Śmiałością i wyzywającą postawą zaimponował młodzieniec bandytom, to też Severan wzywa go, by wesołą opowieścią zabawił zgromadzonych. Propozycya ta była młodzieńcowi bardzo na rękę; miał on zamiar różowemi barwami przedstawić całe swe życie i szczęście w miłości, a tym sposobem rozżarzyć w sercu bandyty zazdrość i doprowadzić go do walki. Opowiada więc o miejscu swego urodzenia, osadzie Cassis, w której rybacy ciężki, lecz wesoły wiodą żywot na szerokiem morzu; nocą tam morze gwiazd do fal spływa, a drugie morze z fal do góry się podnosi, a fale wtenczas jaśnieją i błyszczą, świecące ryby z głębin wypływają, z dali zaś dolatuje smutna skarga syreny. Zgromadzonym podoba się sposób opowiadania młodzieńca, to też słuchają go wszyscy, bandyci i kurtyzany, a najuważniej najpiękniejsza ze wszystkich, Fortunata.

Ojciec wychowywał młodego chłopca surowo, wpajał w niego zdrowe, żywotne zasady, kazał mu być „pokornym z pokornymi, lecz dumniejszym od dumnych“, długiemi zaś wieczorami czytał ze starych kronik dawno minione dzieje, w których w świetle chwały stawała przed oczami śpiewna Prowansya i trubadurzy i sądy miłości i ten czas pełen męstwa, zgiełku bitew i dźwięku fanfary. Dziś wszystko minęło; ojczysty język musiał szukać schronienia wśród ludu, a lud ten zaprzągł go wprawdzie do rydla i wiosła, ale zarazem dał mu za pałac przyrodę, za koronę gwiazdy, fale morskie za zwierciadło a wysmukłe pinie za ochronę. Aż jednego dnia, gdy samotny błądził Calendau po lasach Gibalu, ujrzał w pełnem świetle południa wcielenie swych marzeń młodocianych, niezwykłej piękności dziewicę. Znikła mu ona wprawdzie prędko z oczu, ale serce biło niespokojnie, a stary, siwy wyrobnik, któremu opowiedział o całem zdarzeniu, pouczył go, że ową dziewicą mogła być tylko Esterela, królowa lasów, ale zarazem nieszczęście wszystkich, którzy ją spotykają na swej drodze. Calendau słucha starca, lecz nie myśli iść za jego radą, szuka tajemniczej istoty, znajduje ją, lecz Esterela z słowami: „nie jesteś sławnym, nie jesteś dzielnym, nie jesteś dla mnie

dość szlachetnym“ odrzuca go od siebie. Zrozpaczony chce miłość dziewicy pozyskać skarbami; zbliża się połów ryb. Na prośbę młodzieńca ojciec przygotowuje olbrzymią sieć; sieć tę zapuszczają na morskie głębiny a gdy ją z trudem na powierzchnię wyciągnięto, zdawało się, że żywe złoto, srebro, lazur, rubiny i szmaragdy ją wypełniają. Połów udał się nadspodziewanie; Calendau skupuje za zyskane tym sposobem pieniądze klejnoty i dyademy i ofiaruje je ubóstwionej pustelnicy, lecz ona gardzi klejnotami, bo „kto sobie za mieszkanie dzikie obrał skały a za napój rosę niebieską, temu na takich rzeczach nic nie zależy“. Calendau rzuca więc skarby w bezdenną przepaść a Esterela poucza go, że miłości za pieniądze kupić nie można; inaczej starali się o miłość starzy trubadurzy. „Ucz się więc na tych przykładach“, kończy i znika między piniami. A młodzieńcowi jej słowa niebo otworzyły; czuje w sobie siłę olbrzymią i bezgraniczną potęgę, wraca do osady i z okazyi szczęśliwego połowu urządza wielką narodową zabawę. Z wyścigów i zapasów wraca zwycięzcą, aż jeden z rywalów, trawiony zazdrością, podburzył lud przeciwko niemu. Calendau musiał uciekać. Z bólem w sercu idzie do swej rusałki, u stóp jej składa już nie złoto, lecz wieniec laurowy przeplatany cierniem, opowiada jej o swych tryumfach lecz i o niezasłużonej hańbie. Esterela pociesza go, podnosi na duchu, a Calendau postanawia wielkich dokonać czynów i pokazać tak swym ziomkom, jak go niesłusznie osądzili.

Ożywiony tem pragnieniem podbiera najpierw w dolinie Nesque'i liczne ule, a potem wdziera się z niebezpieczeństwem życia na stromy szczyt Ventour i tam przez dziewięć dni niszczy prześliczne lasy modrzewiowe; drzewa z łoskotem spadają na okoliczne wioski a przerażona ludność sądzi, że to już dzień sądu się zbliża. Ale omylił się Calendau w swych nadziejach. Esterela gromi go za tę zbrodnię na niewinnej przyrodzie popełnioną, a on smutny i zawstydzony idzie szukać innych przygód. W Santo-Baumo, gdzie niegdyś św. Marya Magdalena łzy pokuty lała, trafia na zaciekłą walkę, którą z sobą toczyły tamtejsze cechy rzemieślnicze. Rzuca się pomiędzy nich,

przemawia uspokajająco a wrogowie rozdzielają się na chwilę, przysłuchują jego propozycyom, aż wreszcie pogodzeni, wesoło do domu wracają. Teraz dopiero dostaje się młodzieńcowi słowo uznania ze strony Estereli, zachęca go do dalszych prac i tryumfów i przemawia gorąco do jego serca. On wyrusza do niebezpieczniejszej jeszcze walki — chce dostać w swe ręce włóczęgę i mordercę Marco-Mau, grozę i przestrach całego kraju. Goni za nim do jego kryjówek, zwycięża w walce na śmierć i życie i skutego w kajdany prowadzi w tryumfie do Aix. Tu obchodzą właśnie uroczystość Bożego Ciała; młodzieńca przyjmuje lud niby sławnego księcia, wiedzie go w tryumfie na ratusz, gdzie już czekają na niego konsulowie a za zasługi położone dla kraju mianują go królem młodzieży, *Abat de la Jouvènço*. Jako taki bierze udział w ceremoniach; Esterela wyznaje mu miłość swoją, ale zarazem otwiera bolesną tajemnicę, że jest już żoną drugiego — choć jednak takie węzły ich krępują, w sercu i pamięci jedno zawsze do drugiego należeć będzie.

Calendau skończył; w sali zapanowała cisza, tylko w sercu Severana burza wrzała, bo od dawna już poznał, że Calendau jest wybrańcem jego własnej żony. To też chętnieby młodzieńca zgładził, ale wie, że mimo tego będzie on zawsze żył w pamięci Estereli. Zły duch podszepnął zbrodniarzowi w tej chwili iście piekielny plan; Severan chce przywieść Calendau'a do upadku i rozpusty — wtenczas Esterela sama nim pogardzi. Zaprasza więc wszystkich na ucztę do swego zamku Aigloun, gdzie taki smutny los spotkał niegdyś Esterelę. Zaczyna się uczta a po niej orgia, opisana tak drastycznemi, że aż niezdrowemi barwami; Severan i kurtyzany dworskie, na ich czele Fortunata, używają wszystkich sposobów, żeby do upadku przywieść młodzieńca, lecz on pozostaje zimny i niewzruszony, aż wreszcie pełen gniewu i oburzenia zrywa się od stołu i namiętnemi słowy wyzywa hrabiego do walki. Severan każe go związać i wrzucić do więzienia, a sam staje na czele swych hufców i idzie szukać żony, której schronisko w niebacznej chwili Calendau mu wyjawił. Ten ostatni tymczasem niedługo w więzieniu siedział; Fortunata ofiarowała mu swoją miłość, on nią po-

gardził a rozbiwszy siłą drzwi więzienne znalazł się na wolności; w Cannes wsiadł na łódź, żeby uprzedzić przybycie zbójców i zaczaił się tuż pod szczytem Gibal na jedynej dróżce wiodącej do góry. Kiedy nadeszły zastępy Severana, przywitał je gradem skał i kamieni, tak, że trup po trupie staczał się w przepaść. Rozwścieczony herszt kazał zapalić trawy i lasy dokoła szczytu rosnące, lecz sam zginął w płomieniach, gdy paląca się sosna na niego runęła. Żaden ze zbójców nie uszedł żywy, a z Cassis przyszły tłumy na pomoc młodzieńcowi i Estereli, którzy pełni szczęścia i siły widzą się u celu swych marzeń.

O tym tedy poemacie utrzymywano zaraz po jego pojawieniu się powszechnie, że jest on alegorycznym. *Esterella* miała zdaniem krytyków przedstawiać gnębioną Prowansyę; *Calendau* odźwierciedlał w sobie związek Felibrów, według niektórych nawet samego Mistrala; jemu też przypadła w udziale rola uratowania Estereli-Prowansyi z rąk Severana, czyli z pod jarzma nałożonego jej przez północną Francyę, a w szczególności przez Paryż. Zdanie to, które się przyczyniło nie mało do nie popularności *Calendau*'a, znajdowało pewne uzasadnienie w błędnej budowie poematu. Hrabianka z domu Li Baus, zaskoczona niespodziewanie przez herszta zbójców oddaje mu swą rękę, nocą jeszcze opuszcza zamek, w białej powłóczystej sukni wiedzie całymi miesiącami żywot pustelnicy w trudno dostępnej pieczarze na szczycie góry — takie pojęcie rzeczy należy istotnie do krainy marzenia i nadaje się raczej do przedstawienia w operze, aniżeli na poemat heroiczny. Nie dziw też, że jak *Mirèio* znalazł się i *Calendau* wkrótce na scenie, przekształcony na operę przez kompozytora Marèchal. Ogólne zaś zdanie krytyków, widzących w nowym utworze tylko symbol i alegoryę, było jednak fałszywe. Dowód na potwierdzenie tego sądu znajdujemy w jednym z listów Mistrala, napisanym do swego biografa w Niemczech, Weltera; bardzo energicznie protestuje tam poeta przeciwko takiemu pojmowaniu rzeczy, nazywając je wymysłem rozbujałej wyobraźni. Zresztą jest to tłumaczenie całkiem niepotrzebne do zrozumienia poematu; bliższy rozbiór sam to wykaże.

Jak w *Mirèio* tak i tu chciał Mistral napisać hymn pochwalny ku czci swej ubóstwianej Prowansyi, owszem „od początku samego, pisze Feliks Hémon, nosił się Mistral z zamiarem stworzenia niejako poetycznej encyklopedyi, w której ramach chciał zamknąć całą Prowansyę; od początku samego postanowił objąć nią... zwyczaje, uroczystości i przysłowia, słowem wszystko nie wyłączając fauny i flory krajowej“ [1]. Przygody Estereli i Calendau'a są, tak samo, jak w *Mirèio*, jedynie nicią łączącą wszystko.

Akcya rozgrywa się w czasie poprzedzającym prawie bezpośrednio wielką rewolucyę francuską. W ojczyźnie poety żyły jeszcze w całym blasku dawne tradycye i zwyczaje, lecz już nadciągała burza, w której wielu spodziewało się znaleźć ludzkość odrodzoną, a zamiast ziszczonych nadziei ujrzało tylko z przerażeniem potoki krwi i łuny pożarów. Jednak jak wszędzie po świecie, tak i w Prowansyi wiele z biegiem lat nagromadziło się złego, a największą plagą kraju byli wówczas wszędzie grasujący bandyci. Szlachta, potomkowie dawnych rycerzy i zwykły lud łączyli się między sobą w gromady, niepokoiły całe okolice, urządzały napady na wioski i miasta a tak rosły w potęgę, że nawet wojska nie zawsze się z nimi mierzyć mogły. Siedzibą tych band zbójeckich i widownią ich krwawych zapasów były przeważnie Alpiny i górski łańcuch Estérel. Tu też wsławiło się dwóch hersztów, Gaspard de Besse i Mandrin; ich przedstawił Mistral w postaciach Severana i Marco-Mau'a. Według zamiaru Mistrala miała znów Esterela łączyć przeszłość z teraźniejszością, teraźniejszość zaś uwidocznił on w postaci Calendau'a i Severana; Calendau odźwierciedlał w sobie dążenie do wyzwolenia się i uszczęśliwienia ludzkości, Severan za to uosabnia nam strupieszały zabytek lat minionych, któremu z dawnej, świetnej przeszłości nic krom imienia nie pozostało.

Trzy te postaci odpowiadają też wiernie celowi, zamierzonemu przez poetę. Idealna wielkość Estereli, jej zamiłowanie wolności, jej duma, która całą duszą nienawidzi zbrodni i po-

[1] *Revue politique et littéraire,* 3 lipiec 1880.

dłości, a uwielbia szlachetność, męstwo, odwagę; zdrowa lecz nieokrzesana z początku natura Calendau'a, która jak złoto w ogniu oczyszcza się powoli przez cierpienie i mądre rady Estereli, aż dochodzi do najwyższego prawie stopnia doskonałości ludzkiej; szatańska złość Severana, skojarzona z niezachwianą jakąś śmiałością i pewnością siebie, charakter w gruncie obrzydliwy, egoistyczny, najniższych namiętności pełny — wszystkie te przymioty i błędy dokładnie ilustrowały cel, o który Mistralowi chodziło.

Na tem częściowo historycznem, częściowo socyalnem tle odbija się dopiero całe życie Prowansyi, a jest ono opisane tak gorącemi, błyszczącemi barwami, że nie różni się prawie wcale od najpiękniejszych ustępów z *Mirèio*. Tylko nie życiem wieśniaków zajął się Mistral, uwagę jego zwróciło na siebie tym razem życie i praca rzemieślników i rybaków. A życie to tak zrozumiał, tak je odczuł i uwydatnił, że próżno szukać w całej prowansalskiej literaturze podobnie doskonałych malowideł. Przy tem wszystkiem nie zapomniał i o przeszłości; to też odżywają pod czarownem Mistrala piórem na nowo dawni rycerze, słychać hałas walki i szczęk oręża, z grobu powstają dawne księżniczki, a pod oknami ich komnat przeciąga trubadur z pieśnią na ustach i lutnią w ręku. Jego pieśń śpiewa o miłości, a dźwięki lutni budzą w sercu rozkoszne uczucia.

I jak w *Mirèio*, tak i w *Calendau* zabłysnął talent opisowy poety w całej pełni; nie znaleźć chyba piękniejszego opisu nad ten np., w którym Mistral przedstawia morze, połów ryb, niszczenie lasu modrzewiowego na szczytach stromych Ventour'u, lub walkę z Marco-Mau, albo też pożar na górze, gdzie ginie Severan. Opisy te i epizody są zawsze prześliczne same w sobie, lecz barwy ich tu i ówdzie trochę za drastyczne, często też nie stoją w żadnym prawie związku z całością i w tem, również jak w samej budowie poematu, ich słabość. Trudno jeszcze nie wspomnieć o jednym szkopule, ominiętym bardzo szczęśliwie przez poetę. Nie łatwo było uniknąć w poemacie przykrej jednostajności, a co za tem idzie i nudy; ostatecznie bowiem składa się *Calendau* z szeregu rozmaitych przygód i awantur. A jednak

wlał Mistral w te wszystkie sceny tyle ognia, tyle poezyi i zapału, tyle cudownych opisów, że wykształconego czytelnika trzyma po prostu na uwięzi i każe mu się raz i drugi i trzeci do czytania utworu wracać.

Tak jest *Calendau* niejako *pendant* do *Mirèio;* oba te utwory uzupełniają się. *Mirèio* opiewa życie rolnika, rozległe pola, zielone błonia, pachnące winnice, *Calendau* życie rzemieślnika i rybaka, jego ukochane morze; *Mirèi'ę* charakteryzuje delikatność i powab i urok, *Calendau'a* siła, odwaga, męstwo i polot. Dla tego też panuje w *Mirèio* przeważnie serce, w *Calendau* rozum, głębokość myśli i w tem leży główna racya, że *Mirèio* pozostanie na zawsze ulubioną lekturą wszystkich, a *Calendau'a*, choć wiersze w nim silniejsze, a język czystszy „będzie czytać tylko nieznaczna garstka dumnych i wolność kochających mężów, a tym podniesie on serce i wzmocni umysł“ [1]. *Calendau* nie będzie nigdy popularnym.

* * *

W dwadzieścia pięć lat po napisania *Calendau'a*, pojawiło się ostatnie większe dzieło Mistrala *Nerto, nouvello prouvençalo* w r. 1884. Wiele się w tych latach zmieniło. Wątła latorośl prowansalskiej poezyi wyrosła w olbrzymie drzewo a cień tego drzewa sięga daleko poza Prowansyę i Katalonię i przykuwa do siebie serce artysty i poety. Zmienił się i Mistral; z młodzieńca pełnego ognia i młodocianych aspiracyj wyrósł w dojrzałego męża, to też ostatnia większa pieśń jego nie tryska tem silnem uczuciem, jakie charakteryzowało *Mirèi'ę* i *Calendau'a*, ale za to odznacza się doskonalszą formą i ściślejszem przeprowadzeniem rzeczy.

Trochę w humorystycznym tonie trzymany prolog rozpoczyna poemat, w tej humorystycznej formie zawiera on jednak dużo poważnych i bystrych myśli; tłumaczy się poeta, czemu w jego dziele zły duch tak wielką odgrywa rolę i tym sposobem przygotowuje zarazem czytelnika do lepszego zrozumienia

[1] Nicolaus Welter: *Frederi Mistral.* Str. 164.

niezwykłej w każdym razie treści. Nauka twierdzi wprawdzie, że skończyła z szatanem i zalicza jego istnienie już tylko do krainy wyobraźni, a on tymczasem istnieje tak jak przed laty; sieje niezgodę pomiędzy ludźmi, prowadzi ich do złego, uczy ulegać namiętnościom, ale choć wielką jego władza i potęga, to jednak człowiek lękać się go nie potrzebuje — zwycięstwo ostateczne pozostanie po stronie Boga i człowieka a tak sprawdzi się znowu stare przysłowie, że „sam zły duch znosi kamienie, z których powstanie świątynia Boża".

Wysoko ku niebu strzelają wieże zamku *Castel-Renard;* dziś on wprawdzie w ruinach, pokrytych tymiankiem i dziką szałwią — nad gruzami rozłożyły pinie swe szerokie korony. Nie tak jednak było dawniej, kiedy na wyprawy wojenne wyjeżdżał jego potężny pan, Pons. Dziwny to był człowiek; jego twarzy nigdy uśmiech nie rozjaśnił, z jego ust żadne nie wyszło wesołe słowo; ponury jak noc uspokajał się tylko na chwilę, gdy trzeba było porwać za oręż i wyruszyć przeciwko nieprzyjacielowi. W bitwie rzucał się zawsze w sam wir walki i zawsze powracał zwycięzcą, a przecież zdawało się, że śmierci szuka. Ile razy przybywał do domu z uśmiechem radosnym wybiegała naprzeciw córka, Nerto, ale on ją szorstko od siebie odpychał, a równocześnie w oku jego zabłysły dwie wielkie łzy; ludzie mówili: „gdy ujrzy córkę, płacze za żoną". Lecz i na Ponsa przyszła kolej. Wybrał się pewnego razu przeciw Grenobli a powrócił tak poraniony, że nawet „król lekarzy, Żyd Mardocheusz" pokiwał głową na widok swego klienta. Pons czuje, że trzeba już umrzeć a ma jeszcze ciężką tajemnicę na swem sercu, wzywa więc do sypialni córkę, aby duszy strapionej ulżyć. I w ostatniej chwili ojca dowiaduje się córka o strasznej tajemnicy, — jest zapisana księciu ciemności. W niebacznej chwili, podniecony winem stracił stary Pons w grze w kości cały swój majątek aż do ostatniego szeląga. Zrozpaczony, upokorzony wracał późną nocą do zamku, który od dzisiaj przestał być jego własnością a z serca wyrwało się słowo: i córkę moją zapisałbym szatanowi, gdyby mi w tym kłopocie dopomógł. W tej chwili ciemna chmura rzuciła gęsty cień na spokojne błonie,

z cienia powoli wynurzył się blady księżyc a w jego promieniach ujrzał Pons olbrzymie koło, które z hałasem i stukiem szybko toczyło się ku niemu. Potworna postać — jej oczy świeciły jak dwa płomienie — kierowała kołem, a ono poczęło wyrzucać z siebie złoto i srebro. Pakt stanął: niewinne, nieletnie dziecię zostało zapisane szatanowi a Pons nie zaznał wprawdzie od tej chwili spokoju, ale należał do najbogatszych między bogatymi.

Oszołomiona słucha tych słów swego ojca Nerto — ona, której życie płynęło dotychczas tak wesoło. Wszyscy ją kochali, ale bo też wszystkim dążyła z pomocą; jej rozkoszą było wejść na balkon wiszący na wysokiej wieży, oddychać pełną piersią świeżem powietrzem i srebrnym głosem dzwonić swe piosenki. Była jeszcze zupełnie niewinną, „nikt jej nie powiedział, co kwiaty oznaczają“, a nad czystością jej duszy czuwała ciotka, Sybila. Ona też dała jej do czytania *Breviàri d'amor*. Ach! jakie tam piękne stały rzeczy i o ptaszkach i o rybach i o wszystkich żyjątkach ziemskich. *Breviàri d'amor* opowiadał jej o tajemniczych a dziwnych przymiotach roślin i drogich kamieni, o szafirach i o kamieniu miłości, który żelazo nawet z ręki wyciąga. A już najbardziej podobały się Nercie obrazki; gdy ujrzała wizerunek małej jakiejś dziewczynki o ustach z karminu, o oczach z chabru i włosach ze złota, „prawda, ciociu — mówiła wtedy — to jest mój wierny portret“.

I w to idyliczne życie, tak wiosenne i rozkoszne, wpada nagle straszna opowieść umierającego ojca. Dziewczę blednie, wzywa pomocy Najświętszej Panienki a ojciec ją pociesza, że może jeszcze nie wszystko stracone; on sam niech będzie potępiony, ale dziecko jego musi być wyrwane z sideł szatańskich. W Awinionie oblegają już piąty rok wojska marszałka Boucicaut papieża (w istocie antypapę) Benedykta XIII. Stary papież dzielnie się broni, ale do twierdzy wdarł się największy wróg, głód. Z Castel-Renard wiedzie podziemny ganek do zamku w Awinionie. Tym gankiem ma się Nerto udać do Awinionu, wyprowadzić papieża z niewoli a gdy się on sam znajdzie w zamku, cała Prowansya stanie, jak jeden mąż, po jego stronie. Papież

też będzie mógł uratować Nertę, wszak jemu jest dane związywać i rozwiązywać na niebie i ziemi. Nerto słucha, nadzieja wstępuje w jej duszę, puszcza się w drogę i niespodziewanie jak duch zjawia się w dziedzińcu awiniońskiej twierdzy. Rodrigo, synowiec papieża, zepsuty i rozpustny młodzian, wiedzie ją do komnat Benedykta; Nerto ogłasza papieżowi wolność, on nie chce się cofać, lecz oto zamek się pali, bierze więc św. Hostyę, wychodzi na wał, błogosławi *urbi et orbi*, a wojska nieprzyjacielskie schylają w pokorze żelazne czoła. Szczęśliwie przybywa Benedykt do Castel-Renard, gdzie już stary Pons na sądzie Bożym stanął, zewsząd zlatują się rycerze do obrony a na ich czele Ludwik II., król Neapolu i Jerozolimy i hrabia Prowansyi; węzłem małżeńskim ma go związać papież z księżniczką aragońską, Jolandą.

Nerto przedstawiła tymczasem Benedyktowi swój smutny stan i błaga go o pomoc. Dziwna! Papież twierdzi, że nie w jego mocy wyrwać dziewczynę z rąk szatana; musi ona, jeżeli chce znaleźć ratunek, wstąpić do klasztoru, tam może znajdzie wyzwolenie. Niedługo potem do Arles jedzie wesoły ślubny orszak; w orszaku znajduje się stroskana Nerto, która w klasztorze *Sanct-Cesàri* ma przyjąć wkrótce welon. Do milczącej, stroskanej dziewicy przyłącza się Rodrigo, chcący pozbawić pokoju tę duszę czystą; słowa jego sączą truciznę, lecz brzmią tak słodko a Nerto czuje, że miłość zakrada się do jej serca. Ślubne uroczystości już się ukończyły, przepychem swym oczarowały widzów a teraz dwór i całe Arles udają się gromadnie do amfiteatru, gdzie dziki lew ma walczyć z czterema buhajami z Camargu'y. Trzy buhaje zginęły już od olbrzymich pazurów króla zwierząt, lecz czwarty przebił mu rogiem bok a wściekły lew przeskoczył zapory i upadł u stóp nowożeńców. Straszna to była chwila, niebezpieczeństwo groźne, gdy nagle Rodrigo z ostrą szpadą rzucił się na rozszalałe zwierzę i zręcznym ciosem na miejscu uśmiercił. Dokoła huczą oklaski a Nerto czuje, że jej serce coraz to niespokojniej bije; wszak Rodrigo w tej chwili życie i jej uratował. Jakiż twardy, tęskny, smutny żywot będzie odtąd pędzić w murach klasztornych!

Na drugi dzień odbywają się obłóczyny pani z Castel-Renard. Nerto cierpi, lecz złote sploty jej włosów spadają na kamienną posadzkę, a sam papież nakłada czarny welon na jej białe czoło i mocą swą pozwala jej złożyć od razu trzy śluby zakonne. Wieczorem zaś zebrał Rodrigo garść awanturników, napadł z nimi na klasztor, przemocą uprowadził Nertę— lecz już pomoc nadeszła, trzeba było walczyć o własne życie. Zemdlona Nerto, porzucona na chwilę przez Rodriga na cmentarzu, przychodzi do siebie, słyszy szczęk oręża, jęki rannych i umierających, widzi ciemno palące się pochodnie, zdaje się jej, że to szatan sam z klasztoru chciał ją uprowadzić, w śmiertelnej więc trwodze zrywa się i ucieka daleko, daleko.

Nad ranem doszła do pustyni, w której samotne życie prowadził pustelnik. Skarzy się jemu, a on obiecuje jej ratunek. Kaplica jego jest poświęcona archaniałowi Gabryelowi, a ten codzień mu się ukazuje. Opowiada więc archaniołowi historyę młodej zakonnicy, lecz archanioł chmurny ucieka do nieba, wołając w odlocie: siebie zaledwie ratować potrafisz, a ty chcesz jeszcze innym z pomocą iść! Zasmucony wraca pustelnik, oddala Nertę i wskazuje drogę do klasztoru.

Naprożno szukał Rodrigo rankiem po walce Nerty na cmentarzu; w swej rozpaczy wezwał wreszcie pomocy szatana. Szatan też wysłuchał jego błagań i wybudował mu cudowny zamek „siedmiu grzechów głównych“. Rodrigo był złym i zepsutym, lecz nie utracił swej wiary, w zamku czuje się więc nieswojskim, nic go nie zadowalnia — szuka Nerty i znajduje ją wreszcie idącą po drodze wiodącej do Arles. Zawiódł ją do swego zamku, pokazał wszystek jego przepych, lecz dziewczę lęka się i czuje, że fatalna godzina się zbliża; serdecznemi słowy wzywa więc młodzieńca do żalu i pokuty. Wtem ktoś silnie trzy razy w bramy uderza, drzwi otwierają się same, lampy i pochodnie tracą swój blask a po salach przeciąga zimny powiew; w sali pojawia się demoniczna postać, czerwone pióro spływa z kapelusza. Rodrigo poznaje szatana, zbliża się ku niemu, obchodzi z nim cały zamek i prosi go, by mu oddał Nertę. Lecz zły duch śmieje się; wszak w podziemiach ma same

czarne, czarne dusze, dzisiaj dopiero o północy pierwszą jasną, czystą duszę piekło pochłonie. Wtedy Rodrigo porywa za oręż i w imieniu troistego Boga, każe mu zniknąć. Głuchy odgłos grzmotu przedarł powietrze, błyskawice oświeciły ciemności, burza rozszalała na ziemi a gdy się wszystko uspokoiło, z zamku nie pozostało ani śladu, tylko kamienna postać mniszki stała na miejscu, gdzie przedtem panował grzech.

Przez trzy dni nie pojawił się archanioł pustelnikowi. Dziś przybył on znowu i opowiada starcowi, że do chwały wiecznej przyjętą została Nerta, a z nią wstąpił do nieba i jej rycerz, odrodzony przez wiarę, żal i pokutę a wielka radość panuje z tego powodu w niebie.

Dziś jeszcze wśród gruzu i ruin stoi kamienna postać; u jej stóp rozrosła się wonna mięta, a w niej kryją się przed upałem południa białe ślimaki. Słońce ją zewsząd oświeca, lata płyną jedne za drugiemi, a ona stoi samotna i cicha. I tylko w pewnych dniach, tak opowiada sobie lud, kamienna mniszka śpiewa; nieme jej usta nucą wtenczas „Anioł Pański“ ku czci tej Dziewicy, która ją wyrwała z niewoli szatańskiej.

Nowelą nazwał Mistral swój poemat, jak jednak z załączonej treści wynika, jest on raczej ludową baśnią i opowieścią, a należy w każdym razie do najdoskonalszych dzieł nowej szkoły. Nie ma wprawdzie *Nerto* tego znaczenia, jakie posiada *Calendau* lub *Mirèio*. Dwa te utwory obejmują całą Prowansyę i jej historyę, *Nerto* zaś przedstawia tylko kartę z tej historyi i pokazuje nam małą część Prowansyi. W pierwszych dwóch epicznych utworach był Mistral poetą w całem słowa znaczeniu, w *Nerto* jest on ponadto artystą. Pod względem formy i jednolitości akcyi nie stworzył Mistral doskonalszego dzieła. W prologu wyłożył nam główną myśl poematu. Każda pieśń utworu dąży do wyjaśnienia tej myśli, powtarza ją raz jeszcze wyraziście zakończenie. Epizody nie występują, jak w *Calendau* lub *Mirèio*, na pierwsze miejsce, zależą zawsze od akcyi, płyną z niej, tłumaczą ją i są z nią ściśle związane; tak nic jedności poematu nie przerywa i uwagi od przewodniej myśli nie od-

wraca. Znać, że poemat pisał człowiek dojrzały, o silnym polocie ale rozważającym i trzeźwym umyśle.

Poemat *Nerto* nazwali niektórzy prowansalskim Faustem; jeżeli jednak wiele jest momentów stycznych w tem porównaniu, jest wiele a może i więcej jeszcze rozbieżnych. „Faust“ Goethego i „Cypryan“ Kalderona łączą się z duchem ciemności po długich namysłach i refleksyach, motywem ich sojuszu są zawsze chorobliwe, niezdrowe badania, poszukiwania, marzenia. Prowansalczycy, Pons i Rodrigo, łączą się z szatanem nagle, bez żadnych poprzedzających rozwag, a łączą się w chwili, w której nie widzą innego wyjścia z fatalnej sytuacyi. Jeden utracił wszystko, zamek, bogactwa, klejnoty, wyszedł na nędzarza, drugi utracił co miał najdroższego w świecie, swą Nertę — nie myśląc wiele, jeden i drugi, pakt z szatanem zawiera.

Większą jeszcze różnicę widać w sposobie przedstawiania osobistości złego ducha. Tak u Fausta jak i u Kalderona szatan wkracza bezpośrednio w akcyę, bierze w niej olbrzymi udział, powoduje jej wynik, w *Nerto* zstępuje on na drugi plan. Unosi się wprawdzie nad całym poematem, czuć go w każdej scenie, w każdem prawie słowie, przeraża grozą fatalnego zapisu, tak że nie można o nim zapomnieć, nie bierze jednak bezpośredniego udziału w akcyi, nie wpływa decydująco na postępowanie drugich, a kiedy w ostatniej pieśni się pojawia, to tylko po to, aby zobaczyć, jak zdobycz z rąk mu się wyrywa; akcya zaś jest wynikiem wolnej ludzkiej woli, która się sama decydować potrafi, i w tem leży główna zasługa poematu. Widzimy bowiem walkę czystej duszy przeciwko złemu i szatanowi; walkę tę doprowadza autor do tego stopnia, że już łaska musi przyjść z pomocą, by wola w nierównym tym boju nie uległa; a podczas kiedy łaska wzmacnia wolę i pomaga jej do zwycięstwa, niewinność wpływa kojąco na grzesznika i sprawia, że Rodrigo, który miał być narzędziem szatana, nawraca się i wyrywa ze szpon wroga. Tak więc konflikt polega w tem, że szatan porusza wszystkie sprężyny, używa wszelkich środków, by dojść do posiadania sprzedanych mu dusz, a wreszcie z hańbą odejść musi, gdyż tylko grzech mógł mu dać moc nad nieszczęsnemi

istotami. Grzechu tego nie było; Nerto nie jest tylko pozornie czystą, jak Małgorzata, ale jest w rzeczywistości czystą i niewinną, a Rodriga uwalnia od grzechu nie miłość Nerty, jak Fausta miłość Małgorzaty, ale jego wiara i żal.

Szczęśliwym pomysłem Mistrala było przeniesienie akcyi w czasy awinionskich papieży a w szczególności w czas antypapy Benedykta XIII., tym bowiem sposobem mógł nadać odpowiedni koloryt i tło swej opowieści. Ten czas walki i rozterki w kościele samym, kiedy zły duch na prawdę tryumfował, nadawał się w sam raz do podobnego utworu. Z trudności, które ten pomysł nasuwał, wybrnął poeta bardzo szczęśliwie. Wprost przeciwko Benedyktowi wystąpić nie mógł, gdyż w takim razie prysnąłby czar, jaki nad tym czasem i całą akcyą się unosił, dlatego nie wyraża się o nim sam, ale przedstawia go przeważnie w sądach i zapatrywaniach osób, które jak najzupełniej były przekonane, że Benedykt jest prawdziwą głową Kościoła, i dlatego też występuje antypapa w niektórych chwilach z majestatem. Jest to istotnie poetyczna scena, gdy Benedykt uchodząc z Awinionu, błogosławił całemu światu. Głowę jego kryła tyara, w ręku trzymał Hostyę, dokoła klęczał lud awinioński po placach i ulicach, nawet wojska wrogów pogięły kornie swe kolana i pochyliły sztandary, z hukiem i trzaskiem palił się zamek a daleko rozlegał się rozgłośny papieża głos: *Benedicat vos omnipotens Deus,* a cały lud jednym jękiem przeciągłym odpowiedział *Amen* a dzwonek z wieży dzwonił srebrnym dźwiękiem do grobu awinionskiemu papiestwu.

Z drugiej za to strony prawda historyczna i gorące przywiązanie Mistrala do Kościoła nie mogły pozwolić na to, by ostatecznie z rewolucyonisty zrobił ideał. Kładzie więc Mistral w usta papieża takie słowa i każe mu tak postępować, jakby prawdziwy papież sobie nigdy nie postąpił. Rzeczywisty papież nie powiedziałby chyba, że przechodzi jego moc wyrwać kogoś ze szponów szatańskich, nigdyby nie zmuszał biednego dziewczęcia do wstąpienia do klasztoru a już z trudnością pozwoliłby na złożenie trzech ślubów w sam dzień obłóczyn — wszak słyszał on skargi Nerty, jej płacz i jej rozpacz.

Wykonanie poematu jest udatne. Charaktery są nawskróś oryginalne a sama Nerto tak idealna i piękna, że inne postaci Mistrala wiele wobec niej tracą. Jak ślicznie charakteryzuje dziewicę fakt, że w największej trwodze i niebezpieczeństwie zwraca się instynktownie do pogromicielki złego ducha, Najświętszej Dziewicy; jej niewinność określa szczęśliwie temi słowy: „nikt jej jeszcze nie powiedział, coby kwiaty znaczyły“, a kiedy Rodrigo przemawia do niej gorącemi i namiętnemi słowy, odpowiada mu, iż *Breviàri d'amor* uczy, że miłość prawdziwa powinna być czystą, jak lazur niebieski, i pokorną.

Obrazy i opisy, jakie się w poemacie znachodzą, odznaczają się wszystkie niezwykłą wyrazistością. Niezwykłem i grozą przejmującem jest objawienie się szatana staremu rycerzowi — na żółtawem, bladem tle nieba odrzyna się olbrzymie, wiecznie obracające się koło, a na niem duch ciemności. Zręczność znów poety objawia się w scenie porwania Nerty z klasztoru; scena sama w sobie mogłaby łatwo wywołać wrażenie cyniczne, usuwa to wrażenie fakt, że zakonnicom i Nercie wydają się ci nocni zbrodniarze być wysłannikami samego piekła. Opisy przyrody prowansalskiej i zwyczajów krajowych wprowadzają w poemat potrzebną rozmaitość i w ciemne, ponure tło rzucają strugi światła. Błędy prawie znikają a dodatnie przymioty dzieła objawiają na nowo w całej potędze niezamierający talent ich twórcy.

(Dok. nast.)

Ks. Wiktor Wiecki.

PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW KOŚCIOŁA

W INFLANTACH I KURLANDYI.

Cokolwiek w końcu XVI i na początku XVII stulecia zdziałano w Inflantach i Kurlandyi dla powrócenia mieszkańców na łono Kościoła powszechnego, było niemal wyłącznie staraniem i pracą Jezuitów. Kierują oni, walczą i panują tak samowładnie, że niema w tem nic bardzo dziwnego, iż w historyi inflanckiej, do której opracowania przyczyniali się przeważnie autorowie protestanccy, wyrazy k a t o l i c y z m i j e z u i t y z m stopniowo stały się prawie równoznacznymi. Rzadko tylko (właściwie tylko przy oddawaniu usług podrzędnych) przypuszczają tutaj członkowie Towarzystwa Jezusowego i inne zakony do pracy na niwie religijnej.

Już w pierwszym roku po ustaleniu rządów polskich w dawnych krajach inflanckich — a mianowicie w roku 1583 — założone zostają w Rydze i Dorpacie k o l e g i a j e z u i c k i e, a przy każdem z nich szkoła. Trzy nieopodal od siebie położone domy Boże posiada wówczas zakon jezuicki w Rydze: kościół św. Jakóba, kościół św. Maryi Magdaleny, należący niegdyś do zakonniczek Cystersek, oraz niewielką kapliczkę oznaczaną w aktach miejskich ryskich mianem *templum polonicum* lub też *sacellum beatissimae Virginis, in quo polonicae orationes habentur* [1].

[1] Obecnie niema już śladów owego *templum polonicum*. Kościół zaś św. Jakóba *(Jacobikirche)*, dziś protestancki, położony naprzeciw gmachu

Oprócz kościołów mieli tu Jezuici tak zwaną bursę czyli gmach, w którym się mieściła ich szkoła i uczniowie *(bursistae)*, a także dom pauprów.

Król Stefan Batory zajmował się żywo utworzeniem owych kolegiów jezuickich, które polski prowincyał Jezuitów, Ojciec Campano, zwiedzał kilkakrotnie. To też działalność nowej fundacyi sięgnęła niebawem i poza granice Rygi.

Z wiejskich kościołów w najbliższym do ryskich Jezuitów stosunku stanął kościół w Ubbenorm, w którym, według niewątpliwych źródeł rękopiśmiennych [1], w czasie większych uroczystości spowiadali bezustannie Ojcowie Jezuici nietylko we dnie, ale i w nocy.

Przytoczone w przypisku roczniki ryskiego kolegium jezuickiego wielkie budzą zajęcie z powodu szczegółowych wiadomości o podróżach misyjnych czyli tak zwanych „exkursyach“ Towarzystwa Jezusowego, przedsiębranych z Rygi niemal corocznie po całej Łotwie inflanckiej i kurlandzkiej.

---

rycerstwa inflanckiego i kościół św. Maryi Magdaleny (dziś cerkiew schizmatycka *Alexiuskirche)*, zeszpecony ostatnimi czasy bizantyńskim szczytem na wieży pierwotnie gotyckiej, — utrzymały się po dzień dzisiejszy przy ulicy *Kleine Schloss-Strasse.*

[1] Rękopis ten nader cenny, stanowi własność Biblioteki rycerstwa inflanckiego *(Rigasche Ritterschaftsbibliothek)*, a katalog biblioteki oznacza go słowami: *Annalen des Rigaschen Jesuiten-Collegiums 1604 bis 1618.* Stanowi on zeszyt w formacie małej ćwiartki o okładce pargaminowej, zawiera 174 stron paginowanych, zapisanych pismem najrozmaitszem, a z których badacze przeszłości inflanckiej dotąd bardzo mało korzystali. Jeśli porównamy zawartość tych dorocznych sprawozdań czyli *Annales* kolegium ryskiego z tem, co pisze profesor historyi inflanckiej w byłym uniwersytecie dorpackim dr. Ryszard Hausmann *(Sitzungsberichte der Gelehrten estnischen Gesellschaft zu Dorpat)* w rozprawie ogłoszonej w roczniku 1885 tegoż Towarzystwa uczonego (na str. 239—261 pod tytułem: *Ueber die Bedeutung der Annuae Litterae der Gesellschaft Jesu für die Geschichte Livlands*, o drukowanych w Rzymie *Annuae Litterae Soc. Iesu)*, — przekonamy się niewątpliwie, że ryskie *Annales* kolegium jezuickiego nie tworzą bynajmniej rodzaju kroniki, kreślonej wyłącznie dla użytku kolegium, lecz, że przeznaczeniem ich było raczej służyć przedewszystkiem wyższym przełożonym zakonu (którzy z kolei korzystali z dosyłanego przy końcu każdego roku materyału), dostarczając dla nich streszczenia, przesyłanego corocznie w miesiącu styczniu jenerałowi zakonu do Rzymu, gdzie z tych wyciągów układano

Z rocznika z roku 1606 dowiadujemy się naprzykład, że Łotysze w okolicy Rzeżycy *(arx Rositten)*, Lucyna *(arx Ludsen)* i Iłłukszty *(oppidum Illuxt)*, w tymże roku 1606 w grubej jeszcze pogrążeni byli niewiadomości i ciemnocie, dzieląc z sąsiednim ludem litewskim wszystkie błędy starożytnego politeizmu. Kłaniali się po różnych uroczyskach „poświęconym drzewom“ [1], przed któremi w wiadomej od nich jednych tylko porze roku składali przez ręce własnego 90-letniego kapłana i przywodzili do ofiary potrójnej: czarnego wołu, czarnego koguta i beczkę czarnego piwa. W ostatku składali u stóp bożyszcz swoich jaja, masło, sery wędzone, słoninę i czarnego kozła, poczem już zarżnąwszy wołu i kura, wśród pląsów i uczty uroczystość po swojemu święcili.

Dla tej to właśnie gałęzi najciemniejszych Łotyszów wydał rektor kolegium ryskiego Ojciec Edward Tolgsdorf, (którego ręką przeważna część roczników tegoż kolegium jest kreśloną), już w roku 1604 najdawniejszą księgę łotewską pod tytułem: *Catechismus nomenclaturae, conciones, hymni et antiphonae lingua livonica seu lothavica in usum excursion · consecr · A · D · 1604* [2].

---

do druku tak zwane *Annuae Litterae Soc. Iesu*, rozsyłane wszystkim domom rozgałęzionego po całym świecie zakonu. Doroczne sprawozdania czyli *Annales* kolegium ryskiego musiały więc być przesyłane prowincyałowi litewskiemu, do którego prowincyi zaliczano Kurlandyę i Inflanty, a po opracowaniu przez niego na miejscu, wysyłano je już w innej formie do jenerała zakonu w Rzymie, gdzie w skróceniu ogłaszane były drukiem, wchodząc stopniowo w skład wspominanych powyżej *Annuae Litterae*. Co do sprawozdań pojedynczych kolegiów *(Annales)*, te nigdy nie bywały ogłaszane drukiem. Nawet tworzone z nich *Annuae Litterae* należą obecnie do rzadkich druków, które w większym komplecie posiadają tylko najbogatsze biblioteki, jak np. publiczna biblioteka w Petersburgu.

[1] Najstarsze i najwspanialsze z tych świętych drzew łotewskich zdobiło uroczysko zwane „Dąbjezioro“ nieopodal Iłłukszty; nazwę tę wzięło z powodu leżącego w wąwozie u stóp jego małego, ale głębokiego jeziora tejże nazwy. Uroczysko to do 120 stóp wysokie, pokrywa i po dzień dzisiejszy dębina i rozmaite krzewy tak gęsto, że światło dzienne tylko z góry prostopadle tu oświeca; najlżejszy wiatr tam nie dochodzi, a powierzchnia jeziorka lśni się jak gładkie, czarne zwierciadło. Z uroczyska odkrywa się rozległy widok z jednej strony na Iłłukształę z jej wspaniałym kościołem pojezuickim, z drugiej na Dźwinę aż ku Dyneburgowi.

[2] Następca wielebnego Ojca E. Tolgsdorfa, O. Jerzy Elger w r. 1620

Pierwszym Jezuitą, który zawitał do Kurlandyi, był powszechnie znany w dziejach poseł papieża Grzegorza XIII. do Iwana Groźnego, Ojciec Antoni Possewin, który w czasie swej słynnej podróży do Moskwy w roku 1502, zatrzymał się w Iłłukszcie i tutaj odprawiał mszę świętą w jedynym miejscowym kościółku podówczas jeszcze protestanckim[1]. Nic w tem tak bardzo dziwnego, gdyż w czasie tejże podróży posła Possewina, w oddalonym o $1^1/_2$ mili od Iłłukszty grodzie dawnych komturów, Dynemborku, sami luteranie garnęli się do Ojca Antoniego Possewina, jak tego dowodzi list jego z d. 28 kwietnia 1582 r. z tamtąd kreślony, w którym czytamy, że „w Dynemborku szlachcic luterski i pastor ofiarowali się z gotowością powierzenia mu swych synów“[2].

To też nic dziwnego, że po śmierci pierwszego a zarazem ostatniego pastora potestanckiego w Iłłukszcie, dziedzic tej osady, Zyberk (Syberg zu Wischling), rozkazał zamknąć ów kościółek i już go protestantom nie oddał. Ci rozpoczęli długoletni proces,

---

ogłosił drukiem w temże narzeczu łotewskiem katechizm pod łacińskim tytułem: *Institutiones christianae autore R. P. Georgio Elger,* Vilnae, Typis Acad. S. I. Anno Dni 1620, oraz kilka innych dziełek treści religijnej, których spis szczegółowy, ogłoszony przez nas w r. 1885 w czasopismie *Magazin der lettisch-literarischen Gesellschaft* (17 Bandes 2-tes Stück, P. 181—204), zbija dostatecznie zarzut, czyniony przez niektórych zażartych *Kulturträgerów,* iż rzekomo w wieku XVII. katolicy i Polacy o oświacie Łotyszów ani nawet pomyśleli! Ułożony chronologicznie z całą dokładnością bibliograficzną długi szereg publikacyj katolickich w narzeczu łotewskiem, ogłaszanych pomiędzy rokiem 1604 a 1879, bywa obecnie częstokroć zużytkowywany przez poważniejszych badaczy dziejów nadbałtyckich, na wielkie upokorzenie tych miejscowych szowinistów, którzy śmiało posługiwali się zasadą: *l'histoire n'est on fond qu'un mensonge convenu,* zanim dzieło Jansena *Geschichte des deutschen Volkes* i rozprawy tegoż autora: *An meine Kritiker,* oraz *Ein zweites Wort an meine Kritiker* nie zniewoliły stronniczych pisarzy do nieco większej oględności.

[1] Rostowski, *Lit. Soc. Iesu histor. libri decem.*

[2] List ten przytaczany przez berlińskiego prof. Teodora Schiemana w jego rozprawie *Die Katholisirung Livlands* (Mitava 1877) oburza niesłychanie tego autora, który swych współwyznawców pragnie koniecznie wykierować na nieszczęśliwe ofiary srogiej zaciekłości religijnej katolików. Z listu zaś widzimy, że Inflantczycy sami garnęli się do Possewina, za co przecież nie należy winić sławnego Jezuity.

aż dopiero po śmierci Zygmunta III. król Władysław IV. przyznał sporny kościółek Janowi i Jerzemu Zyberkom wyłącznie dla nabożeństwa rzymsko-katolickiego, poczem objęli go we władanie Ojcowie Jezuici, których ruchliwa praca w Rydze i jej okolicach już przed kilkunastu laty ustać musiała z powodu zalania tej części Inflant przez Szwedów i dla tego przeniesioną została do Inflant południowych, trzymających się wiernie przy Rzeczypospolitej polskiej i następnie — w przeciwieństwie do „Inflant szwedzkich“ *(Livonia suecica)* — nazywanych stale „Inflantami polskiemi“ *(Livonia polonica)* [1].

Zaludniło się i rozświeciło w Inflantach polskich. Na samem ich pograniczu w Iłłukszcie, w pobliżu odwiecznej komturyi dyneburskiej, przy powróconym katolikom kościele pierwszym

---

[1] W Inflantach polskich bowiem wojny szwedzkie sprowadziły pod względem religijnym stan nader opłakany. W wizytacyi inflanckich kościołów, odbytej w r. 1613 przez Jezuitę Tecnona, wziął udział czynny jeden z członków kolegium ryskiego (jak to uwydatniają przytaczane już przez nas *Annales*). Akt wizytacyi zaznacza wyraźnie, że w tej części Inflant Tecnon znalazł roku 1613 tylko jeden kościół drewniany, źle utrzymany, który następnie runął zupełnie, w Rzeżycy *(arx Rositensis)*, gdzie w końcu XVI. stulecia były dwa kościoły murowane. W innych zaś miejscowościach tej części kraju wszystkie domy Boże całkowicie były zniesione. Więc po usunięciu się z Inflant szwedzkich przystąpili Jezuici niebawem do wzniesienia kościoła i kolegium jezuickiego w Dyneburgu w r. 1620, w sąsiedniej Uźwaldzie w r. 1625 fundacyi Lackiego; w Auli erygował kościół parafialny (obsługiwany również przez Jezuitów), w r. 1626 wojewoda smoleński Aleksander Gosiewski. Dziedzic położonego w tejże części kraju Krasławia, Jerzy Ludingshausen-Wolff, wstąpiwszy do Towarzystwa Jezusowego, wzniósł w Krasławiu pierwszy kościół parafialny drewniany w kształcie krzyża w r. 1678, a w tymże roku takiż parafialny kościół wzniesiony został przez Pociejów w Liwenhofie, w r. 1685 przez wojewodę Franciszka Bielińskiego w Rzeżycy (obsługiwany również przez Jezuitów), w r. 1686 w Lucynie fundowany dla Jezuitów przez wojewodę krakowskiego a starostę lucyńskiego Szczęsnego Potockiego. W tymże czasie wznieśli Jezuici kosztem króla Jana III. kościół parafialny w Osuniu (w r. 1680), kosztem Sokołowskich pierwszy kościół parafialny drewniany w Ruszowie (w r 1677), kosztem chorążego Sołtana (w r. 1702) w Kownacie, kosztem Jerzego Hylzena (r. 1705) w Dagdzie, w r. 1708 odebrali heretykom kościół niegdyś katolicki w Fajmanach; w r. 1709 założyli kościół parafialny w Stygłowie, a kaplice filialne pozakładali w wielu innych miejscowościach ciż Jezuici, słowem, przyczynili się do tego, że wiara chrze-

drewnianym, powstaje kolegium jezuickie, do którego jako zakonnik Towarzystwa Jezusowego wstępuje syn dziedzica dóbr Iłłuksztańskich *(Illuxt-Beveru)* młody Fryderyk Zyberk. Za jego wstawieniem się konsekruje w r. 1690 ów kościół drewniany Mikołaj Korwin-Popławski, znany z gorliwości pasterskiej biskup inflancki, pierwszy który obrał siedlisko w Dyneburgu, przy kościele jezuickim, będącym wówczas zarazem katedralnym[1]. Za wstawieniem się tegoż Frydr. Zyberka poświęca gorliwy biskup M. Popławski w ośm lat później kościół również drewniany, w sąsiedniej Indrycy Platerów, przerobiony z protestanckiego i przeniesiony ze wzgórza na dolinę staraniem dziedzica Jana Andrzeja Platera, który, nawrócony przez Jezuitów, w tym właśnie czasie został katolikiem.

ścijańska, jakoby na nowo tu opowiadana, uszlachetniała serca, podnosiła umysły, gdyż nietylko wznosili kościoły, ale zaprowadzali misye i nabożeństwa, oświecali lud wiejski. Znacznie później zaczęły tu rozwijać swoją działalność inne zakony katolickie (Dominikanie, Bernardyni, Misyonarze i t. d.); pojawiają się w tej części kraju zaledwie w XVIII. stuleciu lub na samym końcu XVII. (Porównaj: Rękopis przechowywany w archiwum katolickiego probostwa w Mitawie pod tytułem: *Relatio de statu Ecclesiae Livoniensis ab Episcopo Christophoro Szembek anno 1714 ad Summum Pontificem Clementem XI. facta).*

[1] Od czasu kiedy upadło arcybiskupstwo ryskie, a następnie i ustanowione później przez sejm warszawski biskupstwo wendeńskie, biskupi inflanccy *in partibus,* mieszkając najczęściej w prywatnych miejscach, zarządzali tą małą cząstką dyecezyi, która, dzięki gorliwości i skutecznej pracy Jezuitów, istnieć nie przestała. Następcy ostatniego biskupa wendeńskiego Ottona Szankinga — Mikołaj Krosnowski (od r. 1643) Aleksander Chodkiewicz (1649—1676) i Aleksander Ludingshausen-Wolff (1677—1679)— tytułują się wprawdzie biskupami inflanckimi, lecz nie rezydują wcale w swej dyecezyi, ale w Warszawie, jako wikaryusze prymasa gnieźnieńskiego, a ponieważ nie rezydowali w swej dyecezyi, przeto duchowne potrzeby ich owieczek opatrywali *ratione vicinitatis* biskupi żmudzcy. Rzeczywistym biskupem inflanckim pierwszy był Mikołaj Korwin-Popławski (1685—1710). Osiadł przy katedrze w Dyneburgu, będącej zarazem kościołem parafialnym, obsługiwanym przez Jezuitów, wizytował, konsekrował i odnawiał kościoły, zagrzewał do wiary. Z powodu, że biskupstwo inflanckie było słabo uposażone, a nadto sprawą o wykupno dawnego biskupstwa piltyńskiego obarczone, każdy z następców biskupa Popławskiego rezydujących w Dyneburgu, starał się to biskupstwo jak najprędzej opuścić i otrzymać inne w Koronie lub na Litwie, gdyż tu nie było ani odpowiedniej katedry ani nawet seminaryum.

Wogóle Jezuici tych czasów gorliwą opieką otaczali Kościół inflancki i starali się skutecznie o rozkrzewianie i utrwalanie w tym kraju wiary rzymsko-katolickiej. Ich wpływem całe życie katolickie okolicy skupiało się w ich głównej siedzibie inflanckiej Uż w a ł d z i e oraz kurlandzkiej — Iłłukszcie, przy których wznosiły się ich kolegia i szkoły.

A gdy w roku 1748 pierwszy drewniany kościół i kolegium w Iłłukszcie padły ofiarą płomienia, wzniósł na ich miejscu w latach 1754—1760 starosta bolnicki Jozafat Zyberk (następnie wojewoda inflancki) iście wspaniały nowy kościół i klasztor jezuicki w stylu włoskiego odrodzenia. Gmach ten majestatyczny o niebotycznych wieżach, z których każda liczy 280 stóp wysokości, stanowi i po dzień dzisiejszy podziwiane powszechnie przez znawców arcydzieło architektury kościelnej. Wzniesiony jest w kształcie krzyża, rozdzielony na trzy obszerne nawy o przepysznych sklepieniach renesansowych, liczy sto łokci długości, 48 szerokości i 64 łokci wysokości.

Ołtarz główny zdobi znakomite malowidło Smuglewicza przedstawiające „Rozesłanie Apostołów". Na filarach bocznych zwracają uwagę widza tablice marmurowe, umieszczone przez Jezuitów na pamiątkę odbudowania przez wojewodów Zyberków kościoła po pożarze, po którym nabożeństwo odprawiało się w szopie, nieopodal spalonego domu Bożego, aż niebawem Jozafat Zyberk ze swą małżonką Magdaleną, pomyśleli o wymurowaniu nowego kościoła z obszernym klasztorem.

Żona obiecała zebrać niezbędne pieniądze na opłatę rzemieślników i artystów ze sprzedaży mleka, masła i serów w licznych dobrach Zyberkowskich, zajmujących w owym czasie poważny obszar 30 wiorst kwadratowych, a mąż miał dostarczyć wszelkich materyałów do budowy. Stąd urosło miejscowe podanie u ludu łotewskiego, że kościół i klasztor iłłuksztański z masła i sera zbudowano.

W roku 1754 dnia 2 czerwca rozpoczęto roboty. Pierwszy kamień poświęcił przełożony, ks. Jezuita Izdebski, wkładając do fundamentów kości św. Urszuli.

W roku 1760 skończono budowę o tyle, że dnia 22 wrze-

śnia odbyło się w niem pierwsze nabożeństwo i tymczasowe poświęcenie kościoła [1].

Drugie podanie ludowe z powodu pożaru, uwiecznione zostało malowidłem *al fresco* na jednem ze ślepych okien (ściany zewnętrznej) biblioteki klasztornej w Iłłukszcie. Według tego podania, miejscowy przełożony zakonu Jezuitów wielkim był zwolennikiem hodowli ptaków. Podczas pożaru, gdy przerażeni zakonnicy wołali ratunku, przełożony odezwał się do nich: „Nie rozpaczajcie! nasi dobrodzieje lepszy nam kościół i klasztor odbudują". I nic z pożaru nie wyniósł, tylko swoją papugę i różaniec. Z tego więc powodu, po wzniesieniu nowego kościoła i nowego kolegium, na wieczną pamiątkę odportretowany został na owej ścianie zewnętrznej z różańcem w ręku i z papugą w klatce.

Pod kościołem rozlegają się korytarze i sklepy, w których ongi grzebano nietylko miejscowych zakonników, ale rodzinę oraz bliższych i dalszych krewnych fundatora Zyberka.

Za głównym ołtarzem, który, zarówno jak i wszystkie poboczne, zdobią bogate sztukatury renesansowe o licznych postaciach Świętych, a jeszcze liczniejszych figurach Cherubinów i Serafinów, — łączy się gmach kościelny z kolegium czyli klasztorem o jednem piętrze w kształcie podkowy wzniesionym, z rozległym korytarzem i licznemi celami dla zakonników. Na piętrze obszerne sale biblioteczne, w których się mieści po dzień dzisiejszy kilka tysięcy dzieł treści naukowej i religijnej oraz 65 rękopisów. Jeden z tych ostatnich poucza nas, iż słynna w swoim czasie szkoła sześcioklasowa w Iłłukszcie założoną została w roku 1692 w dniu 25 lutego pod kierunkiem Jezuitów. Pierwszym prefektem szkół iłłuksztańskich był Stanisław Za-

---

[1] Literatura niebawem zapisała Zyberkom wdzięczność za ową fundacyę. Jakób Nakcyanowicz, profesor matematyki w ówczesnej Akademii Wileńskiej, dedykował bowiem staroście bolnickiemu i jego synom: Janowi Tadeuszowi, Janowi Kazimierzowi i Janowi Zyberkom, dzieło pod tytułem: *Exercitationes in analysi cum finitorum tum infinitorum mathem.* i t. d. (Vilnae 1758), a w dedykacyi umieścił liczne szczegóły biograficzne o Zyberkach po części nader ciekawe.

horski Jezuita, a pomocnikiem jego Ojciec Jan Żebrowski, ostatnim prefektem jezuickim był Ojciec Mateusz Bartuzala.

Po kasacie zakonu jezuickiego, objęli sprowadzeni w r. 1783 przez komisyę edukacyjną z Wilna do Iłłukszty księża Lazarzyści (inaczej Misyonarzami zwani) w swój zarząd kościół i szkoły miejscowe, a w r. 1835 odebrano Lazarzystom naprzód zarząd szkół, w roku zaś 1842 skasowano ich zakon. Kościół z klasztorem oddano duchowieństwu świeckiemu, uposażenie zaś bogate zabrane zostało do skarbu państwowego wraz z folwarkiem Koniecpolem. Szkołę sześcioklasową już w r. 1835 przeniesiono do Dyneburga jako gimnazyum pod zarząd cywilny z wykładem rosyjskim.

Kończąc naszą pobieżną wzmiankę o kościele i klasztorze Jezuitów w Iłłukszcie [1], zastanówmy się nad tem, jak wiele ci Jezuici zrobili dla ludu wiejskiego w niektórych częściach Kurlandyi i całych Inflantach polskich, oświecając go przez parę

[1] Dodać tu winniśmy, że to cenne ognisko katolicyzmu na Łotwie tworzyło od r. 1690 do r. 1757 rezydencyę Zakonu OO. Jezuitów, która w r. 1757 wyniesioną została do rzędu kolegiów ze słynnem w swoim czasie gimnazyum iłłuksztańskiem. Od tego kolegium (jeszcze z czasów, gdy stanowiło ono tylko rezydencyę) zależały liczne misye jezuickie w Kurlandyi Górnej, a mianowicie: w Aronie, w Bebrze (od r. 1724—1773), w Koniecpolu, w Podźwiniu czyli Podunaju, w Suboczu, w Świętmujży i t. d. a także w dawnem księstwie inflanckiem, jak naprzykład stacye misyjne w Platerowskiej Indrycy i w Zyberkowskiej Liksnie (około r. 1757), a nawet w sąsiedniej Litwie w miasteczku Widzach.

Natomiast od rezydencyi jezuickiej w Mitawie (która tam już w r. 1670 utworzoną została przez kolegium Poszawskie, istniejące już od roku 1659) zależały misye OO. Jezuitów w Kurlandyi Dolnej, a mianowicie: w Alszwangu od r. 1673, w Bowsku od r. 1714, w Liwenbersie, w Goldyndze od r. 1717, w Janiszkach i w Linkowie, w Łaukiesie od r. 1724, w Łaukszodzie od r. 1710, w Lenen od r. 1770, w Szembergu już od r. 1660. Istniało w Szembergu nawet gimnazyum OO. Jezuitów. Tę misyę Szemberską, w której od roku 1692 wznosi się iście wspaniały kościół w stylu włoskiego odrodzenia, podziwiany powszechnie po dzień dzisiejszy, podniesiono w r. 1761 na stopę osobnej rezydencyi, zależnej od kolegium Reszelskiego (położonego w dyecezyi warmińskiej); w Uzułmujży (Ekhof jej nazwa niemiecka) istniała także misya rezydencyi mitawskiej od r. 1716—1761, którą to misyę w r. 1761 uczyniono zależną już wyłącznie od nowokreowanej rezydencyi Szemberskiej, jak

stuleci w wierze, podnosząc duchowieństwo katolickie, które w szkołach i seminaryach jezuickich ich kosztem się kształciło, jak ogół okolicznej szlachty (jeszcze w końcu XVI. stulecia niepiśmienny i nieczytający) postawili na szczeblu ówczesnego europejskiego wykształcenia, ile przytem dziełek różnej treści dla Łotwy katolickiej napisali i wydali, — jak dla wydźwignienia tego ludu ze stanu poniżenia i ciemnoty urządzali domy misyjne w Kurlandyi i części Inflant od Szwedów uratowanej, a za ich gorliwą pracą od protestantyzmu ocalonej i dotąd historycznie utartą nazwę „Inflant polskich“ noszącej.

Lud był zawsze szczególniejszym przedmiotem starania i troskliwości Jezuitów dyneburskich, uświadzkich i iłłukształńskich. Ci jezuiccy misyonarze byli twórcami i przełożonymi nowych parafij; lecz przedewszystkiem mieli zadanie oświecać biedny lud łotewski w rzeczach wiary, ułagodzić jego obyczaje i polepszyć byt materyalny [1].

---

o tem świadczy *Catalogus domorum Societatis Iesu in Polonia 1464—1899.* (Cracoviae 1899).

Co zaś do dawnego księstwa inflanckiego czyli **Inflant polskich**, to mieli w tej prowincyi OO. Jezuici główną rezydencyę naprzód w Dyneburgu, a ta wyniesioną została do stopnia kolegium od r. 1761—1811 W roku 1811 stąd przeniesione zostało to kolegium czasowo do Puszy. a w r. 1813 ostatecznie do Uświadły. Od tego głównego kolegium polsko-inflanckiego zależały misye jezuickie w Auli (od r. 1626), w Prelach, (od r. 1731), W Warklanach (od r. 1731), w Krasławiu (od r. 1680—1757, a następnie już jako „rezydencya krasławska“ z osobnem gimnazyum od roku 1811—1820), w Dagdzie (od r. 1742), w Bukmujży (od r. 1751), w Kownacie (od r. 1742), w Rzeżycy z osobnemi stacyami misyjnemi w Neuteranach i w Birżach inflanckich (w wieku XVIII), w Liksnie (od r. 1749—1757 i od r. 1758—1804), w Puszy (od r. 1743—1811), dokąd w r. 1811 przeniesiono nowicyat, a czasowo nawet samo kolegium dyneburskie, zanim w roku 1813 ukończono przeznaczony na nie gmach w Uświadzie, w którem to kolegium pozostało aż do wygnania Zakonu z cesarstwa rosyjskiego w r. 1820. We wszystkich wspomnianych powyżej miejscowościach wznoszą się obecnie parafialne kościoły rzymsko-katolickie, które gorliwości Zakonu jezuickiego zawdzięczają swoje istnienie.

[1] Odsyłamy czytelnika do naszego studyum „Księstwo Inflanckie w XVII. i XVIII. stuleciu“ (Kraków 1897 r., odbitka z *Przeglądu Powsz.* Str. 18 do 22), w którem pomiędzy innemi usiłowaliśmy przedstawić działalność Jezuity Ojca Michała Rotha, zwanego powszechnie na Łotwie apostołem łotewskim.

Już około jednego tylko Dyneburga w dawnem księstwie inflanckiem wywrócili Jezuici aż sześć pogańskich ołtarzy [1]. A ileż ich poniszczyli przy traktach lucyńskim (w Birżach, Bołowsku i Maryenhauzie) i rzeżyckim (w Dagdzie, Bukmujży, Puszy i t. d.)? Ile drzew bożkom poświęconych zrąbali w Kurlandyi (w Alszwangu, Schönbergu, Lenen, Ellernie i t. d.)?

Domy misyjne urządzili w Alszwangu w r. 1623, w Mitawie w r. 1634, w Goldyndze w r. 1640, w Stalmujży w r. 1650, w Schönbergu w r. 1692 i w wielu innych miejscowościach Kurlandyi, stanowiących aż po dzień dzisiejszy oazy katolickie w kraju protestanckim.

O głównych domach misyjnych Księstwa Inflanckiego wspominaliśmy w odsyłaczu na stronie 232; tu zaś dodamy tylko, że z tych domów misyjnych wychodziły liczne filie misyjne jezuickie, stanowiące obecnie osobne wielotysięczne katolickie parafie [2].

Kościół i klasztor jezuicki w Iłłukszcie był przez parę stuleci jednym z głównych ognisk Łotwy katolickiej. Z tego ogniska wychodzący zacni kapłani już od początku XVII. stulecia stale przewodniczyli katolickiej części ludu kurlandzkiego oraz całemu ludowi polsko-inflanckiemu, który i dotąd słynie z prawdziwej pobożności, a z którego łona po dzień dzisiejszy wychodzi wiele godnych i zdolnych duchownych.

W przytaczanych w niniejszym zarysie źródłach przeważnie rękopiśmiennych, niejedno grono poważniejszych badaczy znalazłoby ciekawe przedmioty do studyów, a nauka niemałoby na tych studyach zyskała, gdyż czas i wypadki, o których tu mowa, wysokie mają znaczenie. Wykazują one w sposób niewątpliwy, jak daleko sięgała olbrzymia, a ruchliwa praca Towarzystwa Jezusowego, która przy końcu XVI. i w pierwszej ćwierci XVII. stulecia ogromne na protestantyzmie zdołała zdo-

---

[1] Rostowski: *Lit. Soc. Iesu histor. libri decem.*

[2] Kościoły parafialne w Birżach inflanckich i w Neuteranach (Rogówce) były aż do połowy wieku XVIII. tylko filiami kościoła parafialnego w Rzeżycy i tamecznego domu misyjnego Jezuitów.

być przestrzenie, o mało go całkiem nie zdławiła — i zaledwie w Rydze i jej okolicach do stagnacyi doprowadzoną została.

Zapanowawszy czas jakiś nad wszystkimi krajami inflanckimi, musiała je po wielkiej części z rąk swych wypuścić, kontentując się cząstkami Kurlandyi Dolnej, całą Kurlandyą Górną i całemi Inflantami polskiemi czyli tak zwanem „Księstwem inflanckiem“, będącem właściwie tylko województwem.

Tu bowiem, w dawnych Inflantach szwedzkich na czele z zatwardziałą w protestantyzmie Rygą, odniósł swe pierwsze nad katolicką propagandą zwycięstwo, największy jej przeciwnik i wróg najzaciętszy, król szwedzki Gustaw Adolf, tu przechodził swą szkołę, stąd wyszedł na walkę, co całym światem chrześcijańskim głęboko wstrząsnęła.

Ruch więc jezuicki w dawnych krajach inflanckich nie stanowi bynajmniej jednego tylko rozdziału w dziejach tych kraików. Jest on nierównie większej wagi: zawiera w sobie niewątpliwie moment powszechno-dziejowego znaczenia, który i dla szerszego koła badaczy przedstawiać może niepośledni interes.

Gustaw Manteuffel.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Historya Uniwersytetu Jagiellońskiego; średnie wieki i odrodzenie, z wstępem o Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego. Napisał *Kazimierz Morawski.* Kraków. 1900, w 8-ce. (Tom I, str. XVIII, 467; tom II, str. 472). Z indeksami: osobowym i rzeczowym.

Na czele prac podjętych w hołdzie Uniwersytetowi Jagiellońskiemu stoi niewątpliwie sama jego historya, opracowana wytwornem piórem znanego z gruntowności badacza, a tej szkoły profesora. Do podjęcia takiej pracy nikt bardziej od prof. K. Morawskiego powołanym nie był. Szeroki, prawdziwie europejski jego horyzont, wykształcenie wszechstronne, bo i naukowe i artystyczne, wykazane od dawna a zwiększane ciągłem ćwiczeniem znawstwo humanizmu, polot i gotowość do śmiałej syntezy, ale przy tem nie mniejsza również zdatność i gotowość zbadania drobnego szczegółu najżmudniejszą analizą, oto przymioty rzadko złączone w jednej osobie, a do opracowania takiego tematu potrzebne. Przywykliśmy już brać każdą pracę prof. Morawskiego do ręki z zaufaniem, że na jego poszukiwaniach, na jego aparacie naukowym można polegać; przywykliśmy też czytywać go z przyjemnością, bo ma niepospolity dar pisarski, jakiego nie było od czasów Karola Szajnochy. Miał Szajnocha naśladowców, ale dorównał mu ten tylko jeden pisarz, który go całkiem nie naśladuje i nigdy naśladować nawet nie próbował! Styl jego i sposób przemawiania do czytelnika niema w sobie nic sztucznego, nic układnego; wynika widocznie z wewnętrznej harmonii ducha, z tego zrównoważenia władz umysłowych, które się zdobywa tylko sumienną nad sobą pracą. Rozporządza przy tem autor

wielką plastyką pisarską, tak, że nad jego książką wyobraźnia ciągle jest czynna i pomaga przyswoić sobie treść dzieła.

Dzieło podzielone jest na opowiadanie o fundacyi Kazimierza W., odgrodzone od reszty samem nadaniem mu nazwy „wstępu“ i na cztery księgi: I. Władysław Jagiełło; II. Zbigniew Oleśnicki (w tomie pierwszym; a w drugim:) III. Walki i przeobrażenia za Kazimierza Jagiellończyka i jego synów; i do wszystkich poprzednich ksiąg odnosząca się IV: Z życia scholarów i magistrów. Przyczynki do poznania organizacyi Uniwersytetu.

Zanik fundacyi Kazimierza W. tłumaczy autor podobnie, jak wszyscy inni, którzy dotychczas zabierali głos w tej materyi, przedwczesnością pewną samej myśli. Przyjęło się jakoś uważać Kazimierza W. wogóle za fenomenalne zjawisko, które odbija od społeczeństwa i nieda się wytłumaczyć genetywnym i organizacyjnym związkiem z narodem. O ile miałem sposobność obeznać się z tym okresem, doszedłem do innego przekonania: Kazimierz Wielki jest właśnie wykwitem społeczeństwa, przoduje mu, bo się na niem opiera i wyraża najlepiej jego pragnienia. Współczesni rozumieją go doskonale; nie narzucił on niczego społeczeństwu, ale tylko wykonywał plany, które ogół ówczesnej inteligencyi doskonale zrozumiał i aprobował. Ten ruch, który wydał Kazimierza W., zaczął się już za młodych lat Łokietkowych i aż do rządów „młodych“ za Kazimierza Jagiellończyka rozwija się jak najnormalniej w świecie, bez żadnych przeskoków, bez jakichkolwiek wyjątkowych wpływów lub wstrząśnień. Jest to jeden jednolity okres historyi polskiej i przyjdzie czas, że się go uzna jako zaokrągloną w sobie całość. A przez cały ten czas nie narzucił tron ani razu swej woli społeczeństwu, lecz przeciwnie, społeczeństwo tronem szafowało, a królowi nieraz narzucało swoją wolę! Cenię niezmiernie ostatniego Piasta i wielkim, prawdziwie wielkim uznaję; ale nie był on bynajmniej tytanem formującym społeczność i nadającym kształt masie; być nim niepotrzebował, bo społeczeństwo polskie już było zbyt dojrzałe i nawet samo się rządzić umiało doskonale, jak wkrótce po jego zgonie tego dowiodło. Brak wzmianki o Uniwersytecie u Janka z Czarnkowa nie może dowodzić, że nie przywięzywano wielkiej wagi do tej sprawy; Janko o wielu innych sprawach również milczy, i to tak, że o tem przemilczaniu w jego kronice możnaby pisać osobne studyum. Uniwersytet upadł tylko przez brak rządu za czasów Ludwika węgierskiego; ci zaś, którzy stali na czele narodu, mieli dosyć do czynienia ze samym królem i musieli pilnować spraw jeszcze pilniejszych od Uniwersytetu.

Za młody był jeszcze, żeby nie ginąć, gdy się nim korona przestała opiekować. Nie potrzeba zaś zgoła przypuszczać, że on już za Kazimierza Wielkiego upadł lub nawet tylko upadał. Przez sześć lat jego panowania (1364) wydał szkołę „wyzwolonych“ i dekrety, trochę kanonów; że nie więcej, z tego wysnuwa się wniosek, że nie funkcyonował należycie. Mnie się zdaje, że inaczej być nie mogło, i że w r. 1364 wiedziano dobrze, że za sześć lat nie będzie więcej. Wynikało to z ówczesnych zapatrywań na klasyfikacyę umiejętności, z podziału ich na niższą, wyższą i najwyższą teologię. Artes są szkołą wstępną, prawo kursem średnim, a teologia koroną studyów; medycyna dodatkiem stojącym na uboczu tego programu nauk. Zakładając uniwersytet rozpoczęto od kursów początkowych, od owych sztuk wyzwolonych, a żadnej katedry prawa nie było potrzeba, póki się nie miało uczniów, którzyby ukończyli tamten kurs wstępny. Dopiero po czterech latach, a więc w r. 1368 można było zainaugurować wydział prawniczy, co też rzeczywiście nastąpiło, bo wiemy, że się jakieś wykłady odbywały. Kazimierz Wielki odumarł swej fundacyi właśnie w tym czasie, kiedy trzeba było rok w rok uzupełniać wydział nowemi katedrami. Fakultet niegotowy rozprzęgł się; przetrwała Ludwikowe czasy szkoła „wyzwolona“, bo już była kompletna. Wszystko to było zresztą dopiero czynnością przygotowawczą, a uniwersytet był naprawdę dopiero wtenczas, gdy był wydział teologiczny. Musiało minąć od założenia szkoły lat przynajmniej sześć do ośmiu, nimby się zebrało grono sposobne do słuchania teologicznych wykładów; w rzeczywistości termin przedłużał się bardzo wobec tego, że drobna tylko część uczniów dochodziła, aż do tego najwyższego szczebla. Trzeba było dłuższej tradycyi „bakalarskiej“ na miejscu, znacznej ilości takich, którzy przeszli nie tylko przez *artes*, ale nawet przez prawa, zanim wytworzyło się to środowisko, wśród którego mógłby utrzymać się wydział teologiczny, a przez to zakwitnąć Uniwersytet. Dlatego-to może historya każdego uniwersytetu — co autor tak trafnie podniósł — wykazuje z początku stan taki, który nam wydaje się „upadkiem“. Wobec tego należy utarty sąd o tych początkach naszej Szkoły poddać rewizyi. A czyż mamy pewność, że za Ludwika nie odbywały się już te wykłady, które wprowadzone były za Kazimierza? Może cały ten rzekomy upadek polegał tylko na tem, że sprawa nie czyniła postępów i pozostała aż do r. 1400 w stadyum przygotowawczem. Nie można z tego wnosić, że była w r. 1364 „przedwczesną“.

Ustawiczne porównywanie naszych stosunków z obcymi uniwer-

sytetami stanowi pierwszorzędną zaletę dzieła. Na początku księgi pierwszej skreślony przepysznie wpływ kultury czeskiej, filiacya nasza względem Karolińskiej akademii w Pradze, scharakteryzowane całe to grono, które myśl królowej Jadwigi zwróciło w tym kierunku, żeby za pomocą Uniwersytetu zapewnić trwałość szerzeniu katolicyzmu i zachodniej kultury na dalszym wschodzie, jak to grono opiera się zrazu kulturalnie o Pragę, a nawet stamtąd ściąga do Polski wybitne siły naukowe i misyonarskie. Wszystkie źródła są wyzyskane, tak wyczerpująco, że widzi się niemal tok narad odbywanych w komnatach świętobliwej królowej. Nie wie się, co bardziej podziwiać, czy drobiazgowość badań uczonego, czy biegłość pisarską literata, który w konstrukcyi tak zręcznie zatarł wszelkie wrażenie tych drobiazgowych mozołów, że kto sam nie jest fachowcem, kto nie wie, jak i z czego „taka rzecz się robi", odnosi wrażenie, jak gdyby autor czerpał bez najmniejszej fatygi pełną ręką z gotowego jakiego pamiętnika. Nie opuszcza ten talent autora ani wtedy, gdy się rozpisuje szczegółowo o materyalnej stronie przedmiotu, o wyposażeniu Uniwersytetu, o dochodach katedr. Pierwsze wystąpienie Uniwersytetu na widowni europejskiej: sobór w Konstancyi (rozdział trzeci) daje autorowi sposobność do wielkiego popisu tego wszechstronnego właśnie pojmowania wypadków dziejowych. Stanowisko Polski, a zwłaszcza młodego Uniwersytu wobec schyzmy papieskiej, wystąpienie Pawła Włodkowica i Andrzeja Laskarego, sprawa pamfletu Falkenberga na Jagiełłę i cały naród polski — jakżeż to wszystko wybornie osadzone na tle europejskiem, jak powiązane z całym współczesnym stanem kultur. Z końcem XIV. i początkiem XV. w., podniosło się wielce znaczenie uniwersytetów, bo podczas schyzmy one były największą powagą teologiczną; wszak one wydawały opinie w sprawach reformy Kościoła, którą przeprowadzić i rozpocząć należało od samej „głowy". Z paryskiego uniwersytetu wyszło hasło koncyliaryzmu, bronione przez pierwszą powagę w Europie, sławnego Gersona. Ten sam uniwersytet bierze inicyatywę w sprawie poskładania z godności papieżów, żeby jedność kościelną przywrócić *via cessionis* i rozsyła w r. 1395 do wszystkich uniwersytetów okólnik w tej sprawie. Uniwersytety tworzyły wtenczas opinię publiczną i one to wymogły zwołanie soboru powszechnego.

Nasz uniwersytet, też „koncyliarny" brał udział już w pizańskim soborze 1409 r., a gdy nadzieje zawiodły i zamiast jedności wyrósł trzeci papież, Aleksander V., dawny franciszkański misyonarz na Rusi, *slavonicae linguae peritus*, Polska pozostała konsekwentną po jego ry-

chłej śmierci i przyjęła obedyencyę jego następcy Jana XXIII. i na jego zawołanie obesłała sobór w Konstancyi. Polski delegat, biskup poznański, Andrzej z Gosławic, był tym, który na sesyi 6 kwietnia 1415 odczytał dekrety o wyższości soboru nad papiestwem i przewodził w procesie wytoczonym Janowi. Był on na soborze „jednym z chorążych rewolucyjnego kierunku". Towarzysz jego, Paweł Włodkowic, trzymał się bardziej sprawy bezpośrednio Polskę samą obchodzącej i poświęcił swe siły sporowi z Zakonem niemieckim. O osobach delegatów przybywa nam w tej pracy szereg nowych wiadomości, a działalność ich na soborze staje w pełnem świetle. Uczone wywody Włodkowica roztrząśnięte krytycznie w zestawieniu z średniowiecznemi teoryami. Jest on uczniem padewskiego dekretysty Franciszka Zabarelli, zwanego królem jurystów. Ten zostawszy z biegiem czasu kardynałem, brał udział jako purpurat w soborze, pozostawał w blizkich, osobistych stosunkach z Polakami; nie wywarł na nich wpływu politycznego, bo nasi delegaci należeli do najradykalniejszych i przy swojem obstawali, a Zabarella bardzo się zawahał, gdy głoszono dekrety przeciw papiestwu, lecz wywarł znaczny wpływ kulturalny, a był zwolennikiem humanizmu, znał greckich uczonych i lubował się w helleńskich kodeksach. W nauce pozostaje nasz Paweł uczniem Zabarelli o tyle, że przyznaje papiestwu pierwszeństwo, a cesarstwo uważa tylko za świeckie jego ramię. Ale główną zasługą jego pozostanie to, co sam wymyślił, czego nie wziął od żadnego mistrza, twierdzenie, że ziemie pogan nie są *res nullius*, a więc *primi occupantis*, i że nie wolno nawracać mieczem, *fides ex necessitate esse non debet*. To wszędzie dotychczas za mało jeszcze jest podniesione i również w tej najnowszej pracy. Wszak Paweł Włodkowic jest twórcą nowego systemu prawa narodów (t. zw. międzynarodowego), jest przytem pierwszym prawnikiem, uznającym prawa przyrodzone, oparte na dekalogu i zdrowym rozsądku, ponad sztuczne prawnicze teorye. Niema do dziś dnia specyalnego dzieła o rozwoju teoryi ustroju państwowego, historyi nauki o państwie, nauki starej, datującej od św. Augustyna; gdy ta historya kiedyś powstanie, nasz rektor krakowski zajmie w niej jedno ze znacznych stanowisk. Gdy teorya imperyalizmu była już od dawien, boć już za Dantego czasów — jak to pięknie a jędrnie powiedział Klaczko — utopią z przeszłości; gdy tedy właściwie żadnej nie było teoryi, on pierwszy w Europie próbuje nowej i obmyśla taką, że cały bieg dziejów, cały postęp ludzkości zmieścić się może w jej konsekwencyach. Na tego Pawła, syna Włodzimierzowego, przyjdzie jeszcze czas, a teorya jego podnie-

siona będzie przez uczonych prawników, jako perła średniowiecza tak świetna, że może osadzona będzie niedaleko genialnych myśli wielkiego Akwinaty, z którym może i wspólności pewne się odnajdą; a w zborze wielkich Polaków stanie ten krakowski profesor na wysokim piedestale, jako po Koperniku, a może i obok niego, największa chwała narodu. I czyby Europa nie była dziś bliższa „państwa Bożego“, gdyby zamiast legizmu rozwijały się dalej Włodkowicowe teorye? *Pium desiderium*, a do tego zwrócone ku przeszłości! Zapewne — ale wszak mówimy tylko o historyi myśli ludzkiej, a w tej należy się naszemu prawnikowi wielkie imię, większe od wszelkich bolońskich profesorów.

Rozdział IV. obejmuje dzieje uniwersytetu w drugiej połowie rządów Jagiełły (1410—1434), a pierwsza jego część poświęcona politycznej działalności „mistrzów krakowskich“.

Opowiedziawszy sprawy Pawła Włodkowica i kilku współczesnych profesorów, podaje autor przegląd wyposażenia uniwersytetu. Dzięki hojności królewskiej i prywatnej (każda fundacya omówiona z osobna) liczył uniwersytet przy końcu panowania Jagiełły około 25 stanowisk ubezpieczonych na fundacyach. Szkoda, że nie da się obliczyć (bo niema do tego odpowiedniego materyału), jaką wartość przedstawiały rozmaite prebendy, kanonie i altarye *collegiatorum*. W obszernych ustępach wykazuje autor następnie, jak te dochody dzielono pomiędzy wydziały i katedry. Zasadnicza to część książki do ocenienia uniwersytetu. Ledwie czwarta część scholarów ubiegała się o stopień bakałarza nauk wyzwolonych. Do karyery akademickiej uprawniał zaś dopiero stopień *magistra artium*. Jakie przechodziło się wykłady i ćwiczenia dla pozyskania tych stopni, to znajdujemy tu po raz pierwszy dopiero należycie rozpatrzone i krytycznie wyjaśnione. Magister, jeżeli pozostał w akademii, utrzymywał się zrazu z opłat studenckich i prywatnych lekcyj. Po dłuższym nieraz dopiero czasie dostawał dotacyę na zamkowej altaryi, niewiele przynoszącą dochodu; potem według kolei starszeństwa postępował na coraz lepszą, aż dostał się do rzędu nauczycieli „królewskich“, do owych sześciu, na których było sto grzywien rocznie. Ci wykładali Arystotelesa i tworzyli trzon wydziału. Jeden z nich mógł postąpić na kanonika kolegiackiego u św. Floryana; kantorya przy tym kościele była szczytem karyery mistrza nauk wyzwolonych. Mistrz otrzymywał ulgę w spełnianiu obowiązków nauczycielskich, jeżeli sam kształcił się dalej na jednym z wyższych wydziałów; jeżeli osiągnął doktorat, mógł się całkiem uwolnić od lekcyj na wydziale „wyzwolonym“, wcześniej nie chciano go puścić. Uwalniali

się po większej części samowolnie, ale dopiero w r. 1603 uznano urzędowo, że kanonikaty św. Floryana są dla tych mistrzów, którzy studyują teologię, i nie żądano już od nich niczego więcej. Kanonicy ci nie przestawali tedy być przez pewien czas jeszcze scholarami, chociaż przestali już być profesorami; od profesorstwa nauk wyzwolonych przechodzili do scholarstwa teologii.

„Fakultety medyczne są słabą i chorzejącą latoroślą północnych uniwersytetów". Podobnież było w Krakowie, a najwybitniejszy medyk, Jan de Saccis, pochodził z Włoch. Chcąc słuchać medycyny, trzeba było być już mistrzem nauk wyzwolonych, a wykłady medyczne trwały pięć lat. Profesor był jeden, a gdy ten wyjechał, wezwany gdzie do jakiego chorego dostojnika, wtedy „ustawała wszelka praca". W XV. w. niema też właściwie zorganizowanego wydziału lekarskiego, jakkolwiek się o to starano; bywa tylko (i to nie zawsze) ktoś, kto scholarów koło siebie gromadzi i przerywaną raz w raz tradycyę medycyny na nowo zawiązuje.

Nie kwitnęło też na północy prawo rzymskie. U nas wspomina o niem dokument fundacyjny, ale projektu nie urzeczywistniono, aż dopiero w XVI. wieku. Wydział prawny był przeto wydziałem kanonistycznym dekretów. W r. 1441 było czterech profesorów; główny z nich, *ordinarius,* pobierał 40 grzywien z żup bocheńskich, drugi nieoznaczoną i zmienną zapewne resztę, trzeci 20 grzywien z dziesięcin w Luborzycy, czwarty ma prebendę w kaplicy św. Maryi Magdaleny, a więc już niewiele. Autor zatrzymuje się przy ważniejszych kanonistach, Zaborowskim, Oporowskim, Elgocie, Mikołaju z Błonia, rozważa ich udział w sprawach karnych publicznych, mianowicie w sprawie kwestyi o koronacyi Witołda, czy Zygmunt Luksemburczyk miał prawo koronę mu nadać? Dekretyści przechodzili po większej części na wydział teologiczny, szczyt akademickiej wiedzy i karyery zarazem. Słusznie podnosi autor, jak fatalną była ta organizacya dla uniwersytetu.

„Karyera teologiczna była bardzo uciążliwa, trwała długo, a prócz tego wymagała znacznych kosztów i opłat egzaminowych. Na Zachodzie wymagał jej przebieg czasem dziesięć do dwunastu lat"... Poddający się egzaminowi na doktora teologii musiał obdarzać magistrów, bedeli i przyjaciół rozmaitymi podarunkami w pieniądzach i naturze, które mogły niejednego odstraszyć od ubiegania się o ten zaszczyt i rzeczywiście odstraszały".

Takie ustawicznie w tem dziele na każdym kroku bogactwo treści, że obszerna nawet recenzya ledwie tknie szkieletu tej pracy.

Żal się robi, że nie można zwrócić czytelnikowi uwagi na wszystko w ten sposób, jakby się pragnęło i jak trud autora na to zasługuje. Zmuszony skracać się, w krótkości tylko powiem o księdze drugiej: „Zbigniew Oleśnicki“, że jest ona sama dla siebie znakomitą książką. Nigdy jeszcze postać wielkiego kapłana i statysty nie wystąpiła przed polskim czytelnikiem tak plastycznie, a wraz z nim całe jego „otoczenie“, szereg wybitnych imion współczesnych, uczonych polskich i zagranicznych. W pierwszym rozdziale, „Nowe prądy“, zwrócono po raz pierwszy uwagę w naszej nauce na rozbudzenie się historycznego zaciekawienia i dociekań nad przeszłością w drugiej połowie XV w. i na skutki tego nowego kierunku myśli. Równocześnie pierwszy świt humanizmu! Cyceronianizm kształci poczucie formy, coraz więcej wybitnych osób i pisarzów staje pod hasłem humanizmu. Stają tu przed nami Jan Elgot i Długosz, którego historyę rozważa autor jako „wykwit kultury dworu i czasów Oleśnickiego“, Mikołaj Lasocki, Stanisław Ciołek, Grzegorz z Sanoka; z obcych: Guarino, Filelfo i Eneasz Silvius Piccolomini. — W drugim rozdziale opisane osobno wpływy soboru bazylejskiego i tych licznych spraw z nim się wiążących. Jest to doskonały pragmatyczny przegląd samych dziejów soboru, szczegółowe opisanie stanowiska Polski, dworu królewskiego i uniwersytetu, deputacye urzędowe i półurzędowe do Bazylei, od biskupów, akademij, tudzież od rejencyi imieniem państwa, poselstwo od soboru do Polski, prace naukowe profesorów za soborem się oświadczających, sprawa purpury kardynalskiej Oleśnickiego, potem starcie się obydwóch stronnictw w Polsce, wahanie się i przejście rządu do przeciwnego obozu, aż wreszcie sam król Władysław udzielił nagany uniwersytetowi. Za Kazimierza Jagiellończyka uznał i Oleśnicki Mikołaja V., podczas gdy uniwersytet długo jeszcze obstawał przy koncyliaryźmie i pobudzał nawet inne akademie w tym kierunku, nie złożywszy broni, aż dopiero w r. 1449. Jest w tem wszystkiem na dziesiątki ciekawych epizodów, a raz w raz natrafia się na szczegóły wydobyte po raz pierwszy na jaw, lub po raz pierwszy dopiero należycie wyjaśnione. To też należy te dwa rozdziały uważać za pierwszą w polskiej literaturze próbę ogólnej konstrukcyi dziejowej tych lat. Stosunkowi Oleśnickiego do samego uniwersytetu, jako takiego, poświęcony jest osobny rozdział (czwarty) i tu z powodu jego starcia z uniwersytetem wciągnięto rzecz o mistrzu Gałce z Dobczyna, tudzież o objawach husytyzmu z Wielkopolsce. Byłoby może lepiej przełożyć ten rozdział z trzecim, zajętym przez

„wewnętrzne dzieje“ uniwersytetu, a którym zamknąć tę księgę byłoby może sprawniej. Tu jest też ustęp o św. Janie Kantym.

Tom drugi zaczyna się od rozdziału „Ludzie i prądy po soborach“. Tło nadaje spór Kazimierza Jagiellończyka z kuryą papieską o obsadzenie biskupstw i znowu zwrócenie się do porównania z dziejami innych narodów, że takie starcia bywały wówczas powszechne. W Niemczech spór o biskupstwo w Brixen, „zakłócił spokój na cały lat szereg i miał niejedno podobieństwo z „wojną duchowną *(bellum spirituale)* krakowską“; wychodziły też w Niemczech ostre traktaty przeciw Rzymowi, a we Francyi są to czasy sankcyi pragmatycznej i gallikanizmu. O memoryale Ostroroga mniema autor, że czas powstania tego pisma należy oznaczyć „raczej bliżej roku 1460, a nie w drugiej połowie rządów Jagiellończyka, około 1477“. Oleśnicki spodziewał się, „że przez wpływy i rady św. Jana Kapistrana zmieni niejedno w postępowaniu króla“, to też dzięki jego staraniom rozbrzmiał głos świętego kaznodziei u kościółka św. Wojciecha; był to ostatni czyn Oleśnickiego. Poszło za tem sprowadzenie Obserwantów (Bernardynów) do Polski. Ustęp, opisujący krótko stanowisko i prace misyjne Kapistrana, należy do najpiękniejszych pod względem literackim miejsc dzieła. Następuje potem obszerniejszy ustęp o Sędziwoju z Czechła, który aż do śmierci obstawał przy doktrynie wyższości soboru. Postać to bardzo mało znana, a wielce ciekawa; spopularyzowanie pamięci tego uczonego stanowi prawdziwą zasługę prof. Morawskiego. Powiada o nim, że „wchłonął w siebie wszystkie niemal prądy różnorodne swego stulecia, był najlepszem ich odbiciem, a bogactwem i bujnością swej treści przykuwa do siebie uwagę“. Sędziwój był mistrzem artystów w Krakowie, następnie kanonikiem gnieźnieńskim, brał udział w soborze ferrarskim i krótko w bazylejskim. Bawił później w Paryżu, w Troyes i Tours, w kolegium nawarskiem działał jako bakałarz teologii *sententiarius* i *formatus;* doktoratu nie osiągnął, bo na to trzeba było przeszło 60 grzywien! Potem chciał się promować u nas i ofiarował 40 węgierskich florenów magistrom, a 40 na ubogich, ale „z uśmiechem odrzucili tę ofiarę, wyrzucając mu skąpstwo“. W r. 1450 był na nowo w Gnieźnie i oponował królowi przy obsadzeniu arcybiskupstwa. Wezwany do stopni tronu *ad audiendum verbum,* powiedział śmiało, co myśli. Król dawał mu biskupstwo wileńskie; nie przyjął. Przy wybuchu 13-letniej wojny był za przyjęciem hołdu Jaszczurców, przeciwny w tem Oleśnickiemu. Ale swoją drogą gromił króla i klęskę pod Chojnicami tłumaczył karą Bożą za królewskie występki, za ciągłe gwałcenie prawa

kościelnego. Sam poszedł do króla do Brześcia powiedzieć mu to. Szedł z Gniezna pieszo, w pokutniczej szacie, przemówił w Brześciu do ludu, a króla gromko skarcił! Potem w r. 1456 na sejmie w Piotrkowie miał ognistą mowę, wzywając do pokuty, ale też do dalszej walki. Wstąpił następnie do Augustyanów w Kłodawie w Łęczyckiem, a z tego zacisza udaje się na sejm w Brześciu w r. 1463, „aby bronić z innymi praw króla przeciw Zakonowi i zetrzeć się z legatem papieskim Hieronimem Laudo co do klątwy rzuconej na mieszkańców Gdańska, Torunia i Elbląga". Podczas *bellum spirituale* podjął na nowo walkę z królem. Sędziwój zajmował się wiele pracą literacką, gromadził rękopisy kronik polskich, Gallusa i Janka z Czarnkowa, studyował sprawę wschodnią, drżał o Konstantynopol; znał dobrze autorów klasycznych i to nietylko łacińskich, lubował się w Demostenesie. Z Dominikanami krakowskimi spierał się o usunięcie z kościoła rzeźby przedstawiającej Matkę Bożą na łożu po narodzeniu Zbawiciela. Rzeźba była w kościele już od dwustu lat. Sędziwój z Czechła wydał przeciw niej cały szereg mów i listów. Dominikanie zasłaniali się starodawnem uświęceniem niejako rzeczy przez zwyczaj. A Sędziwój na to: Chrystus powiedział: *Ego sum veritas et vita,* a nie: *Ego sum consuetudo* (Dominikanie uznali, że czysto miejscowy zwyczaj nie rozstrzyga sporu zasadniczo i usunęli rzeźbę niegodną Matki Boskiej). Zająłem — jak na recenzyę — za dużo miejsca Sędziwojem z Czechła, ale bo też co za posągowa postać! A zarazem niech to będzie przykładem, jak ciekawych rzeczy można się dowiedzieć ubocznie z tej „Historyi Uniwersytetu", obok głównego jej tematu.

W drugim rozdziale trzeciej księgi omawia autor stosunek Kazimierza Jagiellończyka do uniwersytetu, jego majątek, nowe fundacye (probostwo św. Mikołaja) i sześć nowych kolegiatur, tudzież historyę *Collegii Minoris.* Przechodzi następnie każdy z trzech wyższych wydziałów z osobna. Przy sprawach teologicznego podnieść należy przedewszystkiem opisanie stosunku uniwersytetu do Franciszkanów i stanowiska jego w sprawie unii na Rusi i przeciwnym jej prądom. Sprawa była aktualna zawsze, ale przez małżeństwo królewicza Aleksandra z Heleną moskiewską nabrała znaczenia tem większego. Uniwersytet zajął wobec dyzunitów stanowisko skrajne, bo za warunek „redukcyi" uważał rebaptyzacyę, co kurya odrzuciła. W imieniu uniwersytetu występował wówczas Jan Sacranus. W krakowskiej teologii przeważał skotyzm pod przewodem Mikołaja z Bystrzykowa. Na prawniczym wydziale, nowością byli legiści, z humanistów oni najpierw pojawili się w uniwersytecie.

Prawo rzymskie wysławiał Ostroróg, lecz w łonie uniwersytetu pierwszy ślad legizmu i to niewyraźny znajdujemy pod sam koniec dopiero XV wieku, w dziełku medyka krakowskiego Jana Bera, zwanego Ursinus, który był zarazem *legum licenciatus.* Humanista ten wydał *modus epistolandi;* nakoniec jest przemowa bez daty, ułożona jako wstęp do wykładów instytucyi Justyniańskich, które jednakże nie odbyły się. W r. 1506 był w Krakowie Joannes Silvius, Sycylijczyk, który (prawdopodobnie) szerzył znajomość prawa rzymskiego. W cztery lata później zawitał do Krakowa Hiszpan Garcias, doktor obojga już prawa. Pierwszym pewnym profesorem instytucyi jest kanclerz Bony, Ludwik Masati de Aliphia. Stałą katedrę utworzył wreszcie Tomicki w r. 1533. Medyczny wydział zawsze tak był nieliczny, że nawet nie miał kolegialnego „życia i ustroju", bo „nie było tu kogo zespalać i skupiać". Wydano przepisy zmuszające każdego lekarza praktykującego, żeby się inkorporował na wydziale, ale nie zwiększyło to ilości wykładających! W r. 1464 jest jednak obok profesora przynajmniej bakałarz. Pierwsza promocya medyczna odbyła się w Krakowie dopiero w r. 1527. Autor czyni bystre spostrzeżenie, że humanizm podniósł wielce znaczenie medycyny i zamiłowanie do niej. „W epoce, w której serca żywiej zadrgały dla wszystkich marności tego świata, które bywają jego pięknościami, rozbudzała się namiętność życia, wyraźna skłonność do wszystkiego i wszystkich, którzy to życie od cierpienia i utrapienia wyzwolić obiecywali. Ten kult dla medyków i medycyny wyraźnie się zaznacza u pierwszego, wybitnego humanisty polskiego, Grzegorza z Sanoka". Z początkiem XVI w. podniósł się wydział lekarski i przybyła mu druga katedra. Główniejsi przedstawiciele medycyny w Polsce mają sobie poświęcone osobne ustępy, zwłaszcza Miechowita, zwany przez współczesnych *universitatis Cracoviensis columna,* uniwersytetu najlepszy administrator, a w niejednem nawet reformator i wielki jego dobrodziej, nie szczędzący mu nigdy ni trudu, ni grosza własnego, oszczędności wieloletniej pracy, gdyż nie rodził się bogato.

Rozdział trzeci trzeciej księgi „Na przełomie dwóch wieków", „Humanizm i Uniwersytet", podzielony jest na trzynaście oddzielnych ustępów. Najpierw, jak zawsze, uwzględnione ogólne tło dziejowe, stanowisko Polski za Kazimierza Jagiellończyka, polityka czeska i węgierska; następnie piękny wywód o dworze królewskim, o Długoszu i Kallimachu, jego uczniach, zwolennikach i przeciwnikach osobny ustęp, będący kwintesencyą i ostatnim wyrazem nauki tej postaci. Scharakteryzowana następnie ówczesna kultura Krakowa, po czem cie-

kawe wielce uwagi o „ostatnich błyskach“ średniowiecznej nauki. Na przełomie dwóch wieków scholastyka na nowo „wybujała obficie“. „Jakby w przeczuciu, że prace i myśli ubiegłych czasów ustąpią niebawem z pola, przystąpiono w końcu wieku do inwentaryzacyi dotychczasowej nauki do spisywania podręczników, które tę naukę w przystępnej miały podać formie... *Servum pecus* niesamodzielnych badaczy występuje w szranki, a ta niesamodzielność objawia się między innemi w zacieraniu się przeciwieństw, w elektycyzmie, który bywa zawsze znamieniem i właściwością epok nietwórczych“. Towarzyszy tej powodzi komentarzy do komentatorów i ekscerptów z nich rozkwit sztuki mnemotechnicznej, którą uprawiali z szczególnym zapałem krakowscy Bernardyni. Najbardziej znamienną jest jednak mnemonika Tomasza Murnera ze Strassburga, który przybył do Krakowa w r. 1499 i wydał tu w r. 1507 *Cartiludium logicae,* tj. o sztuce wyuczenia się logiki za pomocą gry w karty. Miał ze swym „wynalazkiem“ trochę przygód, ale w końcu zwyciężył i dostał się do uniwersytetu.

Od str. 165 poczyna się rzecz o humaniźmie, korona całego dzieła, ustępy pisane widocznie z największem upodobaniem przedmiotu. Co tu przepysznych charakterystyk! Laurentius Corvinus, Konrad Celtes, Sommerfeldowie, Henryk Bebel, Agricola młodszy i cały szereg mniej głośnych humanistów przedstawia się nam w jędrnych a głęboko pojętych charakterystykach, w których każdy szczegół sumiennie na źródłach oparty. *Sodalitas Vistulana,* a potem „najazd Szwajcarów na Kraków“ (1510—1520) stanowią w tym czasie dwa główne momenty w rozwoju stosunków krakowskich. A dowiadujemy się tu mnóstwa spraw z innych dziedzin życia, nie łączących się z uniwersytetem bezpośrednio, lecz składających się na przepyszne tło dla jego historyi. Tem dokładniej znaczą się na tem tle i w tem zestawieniu z szeregiem przybyszów rodzime postacie Stanisława z Łowicza, Łukasza z Nowego Miasta, słynniejszych poetów Jana z Wiślicy i Pawła z Krosna. W ustępie dziesiątym z kolei opracowano greczyznę; jej zaniedbanie i odrodzenie studyum tego języka na Zachodzie, pochód nowej nauki na północ do Erfurtu, Wittenbergi i Lipska. Do Krakowa zawitała ona jednak nie z Niemiec, lecz wprost z Południa. Z początkiem XVI w. nastaje po alzackim i szwajcarskim najazd włoski na Kraków. Rozpoczyna go z pomiędzy tych, którzy nauczali publicznie, ów Jan Silvius, Sycylijczyk, doktór praw i legista, późniejszy nauczyciel Zygmunta Augusta; on to zaprowadził greczyznę w Krakowie wraz z drugim Włochem Constanzo Claretti de Camellieri, z którym swoją drogą po-

zostawał w sporach a nawet procesował się, popierał zaś te usiłowania biskup płocki, Erazm Ciołek. Działo się to zrazu poza uniwersytetem, który później dopiero udało się zdobyć dla helleńskiej mowy. Z Krakowa szerzyła się odtąd znajomość greczyzny na Północy. I cały humanizm wogóle krzewił się przeważnie poza uniwersytetem; to było już wiadomem, ale teraz po raz pierwszy jaśniej się przedstawia, jak ta okoliczność wpłynęła ujemnie na uniwersytet, na jego frekwencyę, a przez to i na magistrów. Bursa węgierska i nowsza niemiecka zamieniały się jakby na drugi jaki wolny uniwersytet, podczas gdy w kolegiach bywały pustki na wykładach. „Zaczynał się wyraźnie już rozwój, który doprowadził później do tego, iż szkoła Jagiellońska, opuszczona przez wyższe warstwy, przekształciła się w studyum plebejskie. Wśród samych magistrów „tchnienie nowych prądów studziło dawną gorliwość i rozluźniało dyscyplinę", czego jest szereg przykładów ciekawych, nieraz nawet drastycznych. Uniwersytet przechodził przesilenie.

Na czem ono polegało? Czy tylko na tem, że miejsce scholastyki miał zająć humanizm, ale jeszcze nie zajął, wywalczając tylko sobie ustępstwa, po większej części połowiczne? Czy przez to następnie upadł uniwersytet, że humanizm ostatecznie nie zakorzenił się należycie i nie zakwitnął w jego murach? Sądziłbym, że odkąd nauka świecka zdobyła się na samodzielną metodę (filologiczną), odtąd żaden uniwersytet nie mógł już przyczyniać się skutecznie do rozwoju wiedzy, pókiby nie uznał zasady równości i równorzędności nauk. Zasada ta przyjęła się szybko w świecie literackim i naukowym, a gdy jej nie uznały uniwersytety, poczęła nauka od nich stronić i przez to spadły też one wszędzie do poziomu szkół średnich. Chociażby z uniwersytetu wyrzucono wszystkie *summy*, *parvulae*, *artes* i t. d., a wprowadzono natomiast „autorów", na nicby się to nie zdało, skoroby humanizm wiódł tylko do — kantoryi u św. Floryana, a chcąc dojść wyżej, a choćby tylko posiąść tytuł doktorski, trzeba było rzucić filologię, a przejść na prawo lub medycynę. Nie przyjął się humanizm w uniwersytecie, ponieważ nie wiódł do niczego w jego obrębie; ludzie posiadający wyższy stopień wiedzy i europejskie stosunki nicby w jego murach urzędowo nie znaczyli wobec najniższego początkującego bakałarza teologii, który niedawno zdążył wykuć wykrojony z przeróbki przeróbek tłumaczeń i skracań Arystotelesa podręcznik, używszy do pomocy kart mnemonicznych! Można, zrezygnować z karyery, a nawet naprawdę się o nią nie troszczyć, można spędzić całe życie w ubóstwie i pomimo to działać,

co się da; ale nie można dać się poniewierać, i w tem tajemnica, dlaczego humanizm odsunął się od uniwersytetów. Odsunęła się od nich wszędzie wogóle samodzielna, prawdziwie twórcza umysłowa zdolność i aż do schyłku XVIII w., z wielkich europejskich uczonych — ani jeden nie był profesorem uniwersytetu! Dopiero, gdy zniesiono hierarchię nauk, stały się uniwersytety na nowo ogniskami nauki. W tem i w niczem innem tkwił zasadniczy moment sprawy. Filolog, a następnie historyk i przyrodnik nie chciał i nie mógł się zdecydować na to, żeby przez całe życie przewodził nad nim lekarz i prawnik. U nas zaś upadek Szkoły był tem dotkliwszy i zupełniejszy, że nastała — bieda, której początki zaznacza autor z źródłami w ręku już z początkiem XVI wieku. Skutkiem niedostatecznych środków materyalnych coraz rzadziej zdarzał się i ten dobry prawnik lub medyk i trzeba było jeździć do nich za granicę.

Nie pomogły usiłowania Konarskiego, Lubrańskiego, Ciołka, Tomickiego, arcybiskupa Łaskiego. Sprawa reformy uniwersytetu przechodzi przez synody, opiera się aż o papieża-humanistę Leona X. (*breve* z r. 1518), ale napróżno, bo system hierarchiczny był najdogodniejszy dla miernot, a tych wszędzie i zawsze była, jest i będzie większość; nie było zaś siły, któraby reformę przemocą narzuciła. Maciej Miechowita zrozumiał rzecz dobrze, zastrzegając, żeby fundowana przez niego katedra astrologii nie podlegała „opcyi", tj. nie przechodziła z rąk do rąk drogą ustawicznego awansu „niższych" w miarę, ile razy astrolog posunąłby się na kolegiaturę wyższą. Słusznie zwraca autor uwagę na zasadniczą cechę tego „wyłomu w zasadzie". Podobnież zastrzegł w r. 1531 Tomicki, że *Oratoriae lectura* ma się dostawać z wyboru członków *Collegii Maioris* uzdolnionemu kandydatowi „nie zważając na prawo starszeństwa". Tomicki posunął się dalej, działał wręcz rewolucyjnie: zastrzegał, że nawet na stopnie uniwersyteckie zważać nie trzeba, a nauczyciel może być żonatym! Ale te dwa wyłomy na nic się nie zdały, gdyż nie przypuszczono potem szturmu generalnego. Autor zaznacza, że dopiero reforma Górskiego 1579 r. dała humanistom należne znaczenie i swobodę. Ale nie zdobyto się na zrównanie wydziału „wyzwolonych" z „wyższemi"; humanizm miał swobodę, ale nie miał — tęgich humanistów; ci nadal pozostali poza uniwersytetem. Zbiedzonemu uniwersytetowi brakowało wogóle tęgich ludzi. Górski jest wyjątkowym luminarzem, a przecież wielkości w nim niema. Nastały też potem czasy, w których nie można już było narzekać na odzywanie

się profesorów do spraw politycznych; już ich do tego nie wzywano, bo byli nieprzydatni!

Zwrócił autor uwagę, jak równocześnie w XVI w. upadają uniwersytety w Wiedniu, Erfurcie, Rostoce i w Gryfii, a Paryż nie dopuszczał też żadnej reformy. U nas w r. 1528 w letniem półroczu jeden tylko scholar zdawał egzamin na bakałarza, a wpis ogólny nader słaby; w r. 1534 wychodzi pierwszy zakaz odbywania studyów za granicą, zakaz świadczący tylko o tem, że wyjeżdżano, ale wyjazdów zatamować nie mogący. Szkoła krakowska przestała być międzynarodową, ale co gorsza, przestała łączyć w swych murach synów wszystkich stanów, jak niegdyś w XV w., kiedy-to uczęszczali do niej i „prostacy i członkowie pierwszych rodów".

Słusznie należy się osobny rozdział, „Do dziejów matematyki i astronomii" uniwersytetowi, w którym nauczał Brudzewski, a uczył się Kopernik. Nie mogąc już dla braku miejsca zająć się bliżej tym rozdziałem, stwierdzę tylko, że jest to znakomity przegląd wszystkiego, co tylko o tym przedmiocie dotychczas wiedziano, wzbogacony rozległemi studyami porównawczemi i sporą wiązanką nowych faktów wydobytych ze źródeł; przynosi zaś autorowi tem większy zaszczyt, że przedmiot sam leży daleko od właściwego pola jego studyów, a jednak nie traktuje go wcale po macoszemu. Zasługują tu zwłaszcza na ogólniejszą uwagę charakterystyki Jana z Głogowy i Michała z Wrocławia, tak sławnych za życia; „wielkość prawdziwie efemeryczna bez żadnego donioślejszego znaczenia w nauce". Pysznił się uniwersytet, że astrologią słynie *apud exteras remotissimasque nationes.*

Księga czwarta i ostatnia zajmuje się obszernie życiem wewnętrznem uniwersytetu. Obyczaje scholarów, pochodzenie, ich mieszkania, wybryki, waśnie i organizacya opisane wyczerpująco. Na każdej stronicy znajdzie się coś, co przykuwa uwagę. Tu pokazany jest uniwersytet, jakby w przekroju, odsłonięte jego słoje, a charakterystyczne szczegóły wprowadzają czytelnika *in medias res.* Czyta się z zajęciem o przycinkach i satyrach na Mazurów, *scrofae mazovianae* zwanych, o przedrzeźnianiu ich języka; już wtenczas ślepo się rodzili. Zawzięci widać byli i bardzo wojowniczy, skoro w r. 1558 przy rozwiązaniu węgierskiej bursy resztka jej mieszkańców nie chciała się przenieść do bursy filozofów, mówiąc, że „trudnoby jagniętom przebywać wśród wilków mazowieckich". Zdaje się, że młodzież z mazowieckich księstw była najzdrowsza i najsilniejsza w pięści, a siły swej nie żałowała przy sposobności! Nie mogąc jej pokonać w walce, używano sobie na

nich złośliwemi wierszykami. Gorsze były zatargi z Węgrami i Niemcami, ale swary narodowościowe były też na każdym większym uniwersytecie. Osobny rozdział opisuje nam dokładnie egzaminy na wszystkich wydziałach, połączone z tem formalności i zwyczaje. Potem następuje krótko wiadomość bardzo cenna o „rozkładzie i porządku nauki", tj. o roku szkolnym i semestrach, o wakacyach, których właściwie nie było, bo ustawały tylko główne wykłady, o rozkładzie lekcyj w ciągu dnia i t. p., poczem idzie rzecz o rektorze i zarządzie uniwersytetu, o pomocnikach rektora, o bedelach zwanych *Sapientiae,* a którzy muszą być *aliquantum literati;* oni to podawali profesorom noty do *liber diligentiarum.* Wyjaśnia następnie autor stosunek kolegiów do fakultetów i całego uniwersytetu, opisuje sprawy każdego kolegium z osobna i ich organizacyę, a w końcu zajmuje się „porządkami i nieporządkami" wśród magistrów.

Na tem się książka kończy niestety. Szkoda, że nie sięga dalej, bo nie prędko znajdzie się autor, któryby zechciał się przebijać przez mnóstwo nieopracowanych jeszcze zgoła krytycznie źródeł, a trzebaby prawdziwie mieć szczęście, żeby się znalazł rychło ktoś mogący w tej mierze dorównać zdolnościami prof. Morawskiemu. Czemuż przynajmniej czasy Górskiego nie są jeszcze wciągnięte do dzieła; wszak autor pracował już nad tą postacią i mógłby, nie bez trudu oczywiście, ale z mniejszym stosunkowo, doprowadzić swą rzecz do początków XVII w. Należy nawet przypuszczać, że autor ma pewnie *in petto* tom trzeci i po jakimś czasie będziemy się dalej delektowali kontynuacyą dzieła znakomitego i co do treści i co do formy.

Mamy nareszcie zbiór pewnych wiadomości o uniwersytecie, podany syntetycznie, a pod literackim względem ponętnie, tak, że księga pełna erudycyi stanowi zarazem przyjemną lekturę. Jest-to pierwszorzędne dzieło, którego wartość pozostanie trwałą, bez którego pracownie uczonych nigdy się już nie obejdą; jedna z tych fundamentalnych książek, na których oprzeć się musi wszelki dalszy postęp nauki w danej gałęzi.

„Historya Uniwersytetu" zjednywa sobie czytelnika, bo nie po pedancku jest pisana, chociaż z pedantyczną ścisłością. Zaraz po odczytaniu kilkunastu ćwiartek zadzierżga się jakiś węzeł pomiędzy autorem a czytelnikiem, jest w książce wciąż coś między jej wierszami, co dodaje jej uroku; coś niepowiedzianego, a jednak widocznego i oddziałującego na czytelnika. Miłość przedmiotu, miłość przeszłości narodowej to sprawia. Książka, która powstała nie tylko z głowy, ale też i z serca,

jest nietylko zdobyczą naukową, ale też dobrym uczynkiem społecznym. Nie zabraknie też autorowi czytelników, którzy go pojmą i zrozumieją.

Wezbrane uczucie wiedzie autora często do pesymizmu. Ilekroć wypadnie mu podnieść co dobrego w przeszłości, nasuwają mu się porównania z teraźniejszością i biaduje, że teraz ludzie gorsi. W jednem miejscu wysławia średniowiecznych, że umieli uprawiać naukę dla nauki, a nie troszczyli się o to, żeby ją „w chleb zamienić". Bywało i wtenczas rozmaicie i dziś rozmaicie bywa. Ale spojrzmy koło siebie! Znajdziemy wśród polskich uczonych, i to wśród wybitnych: urzędników kolejowych, nauczycieli prywatnych, tłumaczów redakcyjnych i t. p. Przecież dzisiaj w Polsce wyjątkowo tylko może ten lub ów zamienić naukę w chlebodajną żywicielkę, a jednak nam tych ludzi nie ubywa! Olbrzymia większość polskich uczonych boryka się z losem wśród najtwardszych warunków, nie stoimy więc pod tym względem niżej od dawnych magistrów nauk wyzwolonych. Stanowczo nie jesteśmy gorsi, chociaż wśród gorszych warunków, bo w Warszawie, w Poznaniu i w Wilnie ani nawet magistrem zostać nie można i niema nadziei, choćby nawet na kantoryę św. Floryana. A ci, którzy w Galicyi mają coś owoś na atrament, nie przestaliby pracować nadal, gdyby im to było odjęte. Owszem, idealne pojmowanie życia, a bez deklamacyj, a twardo, po męsku, bierze stanowczo górę. I wśród młodzieży coraz jest lepiej i to znacznie lepiej. Lektura zaś „Historyi Uniwersytetu" zjedna ideałom także niejednego adepta i tak samo dzieło zada kłam poglądowi autora, w ten sposób najlepiej chwaląc swego mistrza.

Dr. Felix Koneczny.

Zasady ekonomii społecznej. *Karol Gide,* profesor Uniw. w Montpellier. Drugie polskie wydanie, podług pierwszego wydanego pod kierunkiem prof. d-ra Juliusza Leo, świeżo opracowane i rozszerzone przez d-ra Włodzimierza Czerkawskiego, prof. Uniw. Jagiellońskiego. Kraków 1900.

Zadaniem ekonomii politycznej jest krytyczne badanie stosunków społecznych i podanie środków, w jakich społeczeństwo rozwijając się najpewniej cel swój osiągnąć może. Niełatwe to zadanie, bo ma się poznany ideał wprowadzić i zastosować w życiu praktycznem. To też różni ekonomiści różnych używali sposobów do ocenienia zjawisk ekonomicznych i różne podawali metody w zastosowaniu. Obecnie cztery metody szkół ekonomicznych są najwięcej przyjęte.

Najstarsza z nich metoda szkoły klasycznej, albo liberalnej, optymistycznie ocenia ustrój społeczny. Hasłem jej każdemu pozostawić swobodę w działaniu, za pierwszy cel prac ekonomicznych stawia egoistyczną walkę o byt, ta jednak prowadzi społeczeństwo do upadku. System ten nawskróś materyalistyczny usuwa na bok cel najwyższy tj. Boga, a na jego miejsce stawia człowiekowi jego własne „ja“ jako cel jego bytu i dążeń. Wprowadza zatem indywidualizm, a zwalcza asocyacyę w dziedzinie spraw społecznych, zaniedbując przez to najgłówniejsze prawa, prowadzące ludzkość do wiedzy i postępu.

Przeciwnie metoda szkoły socyalistycznej uwielbia wspólność. Jednostka ma tutaj tyle tylko praw, ile jej społeczeństwo udzieli. Przez państwo tylko człowiek staje się człowiekiem, jego osoba, dom, rodzina i mienie należy do państwa, tego uczył już Plato. Jest to głównie metoda krytyczna, ma kilka odcieni: komunistów, anarchistów, kolektywistów i narodowców. Uważa istniejący porządek społeczny za wadliwy, a za źródło złego własność indywidualną. Usiłuje przynajmniej większość socyalistów wprowadzić nowy ustrój społeczny przez rewolucyę. Prowadzi do absolutyzmu na polu politycznem a do ateizmu na punkcie religijnym, chociaż niektórzy socyaliści nie zaprzeczają wcale istnienia praw naturalnych.

W duchu reakcyjnym przeciw szkole liberalnej powstała w połowie XIX wieku szkoła historyczna, biorąc za hasło *historia est magistra vitae* bada krytycznie i z dodatniemi skutkami stosunki ekonomiczne przeszłości, by to co dobre zastosować w teraźniejszości. Jednak jako jednostkę miernicą dawnych stosunków bierze obecny ustrój społeczny, nie pojmując ducha czasu tak różnego w różnych epokach na punkcie umysłowym, moralnym i społecznym. Odrzuca prawa Boże niezmiennie rządzące ludami, a przyjmuje za to prawa ludzkie, robiąc wielkie ustępstwa na rzecz państwa.

Jednak cała ta praca wymienionych szkół ekonomicznych przy swoich zaletach i zasługach ma tę wadliwość, iż jest jednostronną, a więc kulejącą i chwiejną, nie uwzględnia wcale, lub tylko bardzo lekko zbywa naukę Chrystusa, która w dawnym czasie tak pięknie ukształtowała stosunki społeczne w pierwszych gminach swoich, a i teraz ona jedna jedyna tylko dobrze zrozumiana i mądrze zastosowana może rozwiązać piekącą kwestyę socyalną, bo odpowiada ogółowi potrzeb człowieka i poskramia jego wady. Społeczeństwo obecnie znajduje się w stanie obałamucenia i zamieszania socyalno-ekonomicznego. Jak jednostka, tak i ludy całe mogą kierować się prostemi i jasnemi zasa-

dami chrześcijanizmu, albo też mogą je odrzucić i szukać gdzieindziej punktu wyjścia, lecz ta pomyłka boleśnie musi być odpokutowaną. Organizacya obecnego społeczeństwa nie jest dobrą, choć Opatrzność światem rządzi, lecz winną jest tutaj zepsuta ludzka natura w nadużyciu wolności. Wpierw potrzeba umoralnić ludzkość, a wtedy inną ona będzie społecznie. Temi zasadami kieruje się szkoła katolicka.

Oprócz tych czterech szkół głównych są jeszcze poboczne. Z tych wymienimy tylko szkołę współdzielczą, zwaną także szkołą solidarności, bo do niej należy nasz autor. Szkoła ta mniej ma zwolenników między ekonomistami, więcej między socyologami i filozofami, pragnie łączyć jednostki w stowarzyszenia, by tem energiczniej i skuteczniej pracować dla wspólnych celów, a za hasło przyjmuje w miejsce liberalnego „każdy dla siebie", „każdy za wszystkich". Nie sprzeciwia się interwencyi państwa, jednak przy reformowaniu społeczeństwa unika przymusu państwowego, a potępia rewolucyę. Usuwa egoistyczne współzawodnictwo, a zaleca pracę z poświęceniem własnych interesów na rzecz bliźnich.

W tym duchu i na podstawie takich zasad solidarności napisał swe dzieło prof. Gide. Powszechne uznanie, z jakiem spotkała się ta praca naukowa we Francyi i za granicą daje najlepszy dowód o jej wartości. To też prof. Czerkawski zrobił wielką przysługę społeczeństwu naszemu, a szczególniej uczącej się młodzieży, że dzieło to, w wydaniu prof. Leo u nas już wyczerpane, przetłumaczył i zaopatrzył objaśnieniami. W dopiskach swych już to uzupełnia autora, już też rzuca inne światło na nowsze kwestye. Jednak czasem przez zbytnie rozwałkowywanie rzeczy zatraca się tu jednolitość.

Zaletą dzieła prof. Gide'a jest zwięzły i zrozumiały sposób przedstawienia rzeczy. Przytem wykład popularny urozmaicony licznymi przykładami z przyrody, czy historyi, sprawia, że czyta się to dzieło, ucząc się z przyjemnością. Jest to jeden z najlepszych, jeśli nie najlepszy podręcznik ekonomiczny dla samouków. Pozostawia uczącemu się wolność w wyborze różnych zdań, bo autor w kwestyach spornych podaje myśli, ale ich wcale nie narzuca czytelnikowi, a przeciwnikowi, gdzie może, przyznaje słuszność, i tak np. zaznacza, że krytyka szkoły socyalistycznej wywarła zbawienny wpływ na poglądy i dążenia XIX stulecia. Najlepiej może obrobione są teorye o wartości (str. 43—114) i produkcyi (117—367), a najwięcej zajmująco o zasadach rozdziału dochodów (448—509). Zastanawiając się nad prawem zbytu, stara się wykazać, że niema najmniejszej obawy nadmiaru produkcyi, jeśli tylko

wzrost produkcyi odbywa się równocześnie i proporcyonalnie we wszystkich jej gałęziach, bo wtedy nie zmieni się stosunek ilościowy pomiędzy dobrami zamiennemi.

Ogólny zaś zastój *(general glut)* trafnie tłumaczy tem, że produkcya rolnicza nie rozwija się tak szybko, jak produkcya przemysłowa, wywołana ustawicznym rozwojem mechaniki. Ponieważ ilość produktów rolniczych słabiej wzrasta, więc wartość ich zwiększa się w stosunku do wartości wytworów przemysłowych. Jedynie podniesienie rolnictwa wpływając na zniżenie cen materyałów spożywczych usunęłoby zastój ogólny i wpłynęłoby na polepszenie bytu społecznego, bo dobre odżywianie się jest pierwszym warunkiem wydatnej pracy, a zarazem materyalnego dobrobytu. Gdyby rozwój w rolnictwie równie szybko postępował, jak w przemyśle, wtedy konsument potrzebowałby mniej na wyżywienie się, a zbywającą resztę obróciłby na zakupno wytworów przemysłowych. Szczególniej uwagi te autora znajdują zastosowanie w naszym kraju, gdzie zastój w rolnictwie sprowadza ustawiczne klęski i jest jedną z przyczyn szalonego bankructwa większych własności, a emigracyi ludu z drobnej własności.

Zło całe społeczeństwa obecnego słusznie upatruje autor w chciwości, i co za tem idzie braku miłości bliźniego, że człowiek silniejszy używa słabszego za narzędzie do swych celów. A jako punkt wyjścia z tej gmatwaniny znajduje li tylko organizacyę produkcyi na zasadach asocyacyi między przedsiębiorcą a robotnikami (402—407). Do tej wspólnej pracy żąda pewnego poświęcenia, stawiając za pierwszy przepis moralności pamięć w każdym wypadku, że powinniśmy uważać osobę naszego bliźniego za cel, a nie za środek. Przepiękne to zdanie i jedyny klucz do rozwiązania kwestyi socyalnej. Nie możemy jednak pojąć dlaczego prof. Gide przypisuje tę maksymę geniuszowi (!) Kanta, kiedy to wyszło najpierw z ust Chrystusa! Brzmi ono źródłowo: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego". Prof. Gide idąc za Kantem uważa unormowanie stosunków człowieka do człowieka za punkt wyjścia życia społecznego, jednak przecież wpierw potrzeba unormować ten stosunek człowieka do Stwórcy. A jeśli ten jako podstawowy, pierwszy, silnym będzie, wtedy dopiero wzmocni i da gwarancyę drugiemu czysto już społecznej natury.

Nie możemy również zgodzić się z autorem, że „małżeństwo, a raczej rodzina była pierwotnie związkiem utworzonym w celach gospodarczych" (str. 198). Dowody, jakie podaje na dowód prawdziwości swego twierdzenia, brane od Indyan północno-amerykańskich i Arabów,

nie są wystarczającymi, bo przecież i w naszym wieku wielki procent małżeństw zawiera się w celach materyalnych, a przecież twierdzenie jakoby małżeństwa w XX. wieku zawierano w celach ekonomicznych byłoby śmiesznem.

Tem więcej jeszcze wystąpić musimy przeciw utrzymywaniu autora, „że nierozerwalność małżeństwa powstała z interesów ekonomicznych (str. 199), bo tę wprowadził Chrystus Pan w daleko wyższych celach i o wiele z wyższych pobudek niż ekonomicznych.

W rozdziale o zasadach socyalistycznych (str. 488—509) przechodzi wszystkie zasady socyalistyczne i wykazuje ich błędy w teoryi, a niewykonalność w praktyce. Bardzo silnie i barwnie przedstawia w stosunkach ludzkich różnice moralne i intelektualne, a zwłaszcza majątkowe. W swych zaś konkluzyach jest może aż pesymistycznym, a raczej czując bezsilność ducha ludzkiego wobec otaczających go tysiąca nędz, pyta się i szuka dlaczego? Szczególniej boleśnie dotyka go pytanie, dlaczego biedny nie tylko cierpi wiele nędz materyalnych i moralnych, ale dlaczego i żyje za krótko, bo statystyka stwierdza, że średnia długość życia jest dwa razy większa w warstwach bogatych, niż w biednych. Gdy jednak o krótkość życia tylko chodziło, to zbytecznem jest narzekanie autora na „krwawą ironię losu“, bo jeśli ono gorzkie i przykre to chyba jedyne w tem dobro, że krótkie!

Zdawaćby się mogło, że autor, omawiając tak gorzko i pesymistycznie nierówność majątkową, przychyli się do równego podziału. Lecz ten sposób rozwiązania kwestyi socyalnej, którego z upragnieniem oczekują socyaliści, uważa za nierozsądny i dziecinny jako tamujący działalność produkcyjną i niszczący wolność osobistą. Statystycznie udowadnia, że gdyby nawet było możliwem do przeprowadzenia, to podniosłoby dochód większości w bardzo małym stosunku. Upatruje zaś trudność kwestyi socyalnej nie tyle w nierównym podziale, ile raczej w niedostateczności dóbr.

Na to zgodzić się nie możemy. Bo choćby dobra ziemskie dziesięć razy były powiększone, to jednak, gdy egoizm u ludzi zostanie, silniejsi do siebie je zagarną i tem większa byłaby nierówność, a, co za tem idzie, większe niezadowolenie. Nam potrzeba nie powiększenia dóbr ziemskich, ale skrzętności i umiejętnego wykorzystania ziemi, a mniej egoizmu, a więcej poświęcenia się dla innych. W Rosyi np. najbujniejsze obszary odłogiem leżą, a głód dziesiątkuje ludność. Czyż tu wina Opatrzności, że ludzie z głodu umierają? Mało zważa autor na militaryzm, który nie tylko, że pochłania wiele sił produkcyjnych,

ale zmusza nadto innych, by na miliony ludzi młodych pracowali. Nie wspomina również o więźniach, którzy straceni dla społeczeństwa, kosztem jego żyją. Jest to złe konieczne obecnego ustroju, ale wspominamy na dowód, że nie brak dóbr, ale brak moralności jest przyczyną zła społecznego. A więc żadna metoda choćby najlepsza nie zdoła poprawić losu ludzkości, bo tu potrzeba nie tyle zmiany stosunków, jak uszlachetnienia natury ludzkiej, podniesienia moralności, a najdzielniejsze środki na to podaje nauka Chrystusa.

Odrzucając urojenia socyalistycznego podziału dóbr, zbliża się autor nieco do komunizmu, o tyle przynajmniej, że nie uważa go za niemożliwy, skoro istniał w początkach wielkiej części społeczeństw. Dotąd jeszcze w Stanach Zjednoczonych istnieje 70—80 stowarzyszeń ściśle komunistycznych — posiadają one około 10 tysięcy złr. na jedną osobę, a członkowie ich są ludźmi dość pracowitymi. Komunizm więc nie wyklucza bezwarunkowo pracy i produkcyi, lecz możliwy tylko w pewnych warunkach. A te według autora są: mała liczba członków w pojedynczych stowarzyszeniach, (około 1000) i bardzo surowa karność. Zdaniem naszem, chrystyanizm tak zrozumiany i pojęty jak w pierwszych czasach apostolskich, gdzie bogaci dzielili się z biednymi, a uważali za wspólne majątki, mógłby to uskutecznić, naturalnie nie według programu naszych komunistów! Możliwe, że udoskonalona chrystyanizmem ludzkość cała, która będzie jedną owczarnią pod jednym pasterzem powróci do wspólności pierwszych chrześcijan — dziś na to za wczas. Godzi się z tem autor, bo zauważa, że tylko uczucia religijne są w stanie utrzymać karność w gminach komunistycznych.

Co do st-symonizmu, „arystokratycznego socyalizmu", to autor nie przyznaje mu żadnej wartości ni praktycznej ni prawnej. Wreszcie kolektywizm, którego dobre i złe strony wylicza, uważa za przejściowy do czystego komunizmu, unarodowienie zaś ziemi uważa za możliwe tylko w krajach młodych i koloniach, i w tem widzi obok źródła dochodów dla państwa, ułatwienie rozwiązania kwestyi socyalnej przyszłym pokoleniom. Cała ta część o podziale dochodów jest bardzo zajmująca.

Jednak to dzieło przy wielkich swych zaletach robi wrażenie, że autor bał się poruszać stosunku chrystyanizmu do spraw ekonomicznych, chcąc być bezstronnym. Obraża przez to sprawiedliwość, zapominając, że chrystyanizm ogromnym swym wpływem przeistoczył ustrój społeczny, a i dotąd tyle w nim tkwi siły, że on tylko jedynie może ożywić ludzkość nowym duchem.

Ks. dr. Stanisław Trzeciak.

Wieczory nad Adryatykiem. *Ks. Franciszek Starowieyski.* Część I (wydanie drugie). Część II (dotąd niedrukowana). Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie. 1901. (Str. 216).

Szanowny autor, zachęcony powodzeniem poprzedniej swej pracy, pod tym samym wydanej tytułem, wziął się do jej kontynuowania. Pierwszą część drukował w fejletonie *Ruchu katolickiego,* a potem wydał ją w osobnem odbiciu; druga część po raz pierwszy teraz wychodzi z pod prasy. Obecne wydanie, ozdobnie i starannie wykonane, zaszczyt przynosi tak autorowi, jak firmie nakładowej.

O pierwszej części „Wieczorów nad Adryatykiem" zamieścił już *Przegląd Powszechny* pochlebną recenzyę (w t. LXV, str. 297). Uwagi, podane tam przez ks. Maryana Morawskiego, odnoszą się całkowicie i do drugiej części. Nie będziemy ich przeto powtarzali.

Główną zaletę książki stanowi z pewnością to, co szanowny jej autor sam w przedmowie wyraźnie zaznacza, mówiąc o sobie, że „ożywiony dobremi chęciami oddania usługi zacnej sprawie, obrał formę dyalogu, jako przystępniejszą dla przedstawienia ze stanowiska praktycznego rzeczy dotyczących stosunków życia publicznego, przedewszystkiem zaś obowiązków obywateli względem Kościoła, które w społeczeństwie katolickiem dokładnie znane i zrozumiane być powinny i dlatego ich przypominanie nigdy dosyć częstem, nigdy zbytecznem być nie może.

Właśnie dlatego książka księdza prałata Starowieyskiego zasługuje na gorące polecenie, że obudzić może konieczne zainteresowanie się sprawami i kwestyami, któremi nasz ogół zbyt mało się interesuje i na których zbyt mało się rozumie.

Żal tylko pewien mamy do szanownego wydawcy za pewne usterki językowe, których niemało się wkradło do tej pracy.

Ks. S. Kobyłecki.

Bronisław Grabowski 1841 — 1900. *Henryk Ułaszyn.* W Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska. 1901. (Str. 21).

Pan H. Ułaszyn pragnął spopularyzować wspomnienie pośmiertne o ś. p. Bronisławie Grabowskim, zamieszczone w *Przeglądzie Polskim.* W tym celu niniejsza odbitka.

Czytelnik spotyka się w niej nie tylko z treściwą wzmianką o życiu i działalności nieodżałowanego pisarza, ale nadto z sumarycznym a wcale wyczerpującym wykazem prac jego literackich, oraz z ich oceną ogólnikową wprawdzie, ale wystarczającą do wyrobienia sobie

przybliżonego sądu o zasługach Grabowskiego. Z oceny wynika, że Grabowski choć w dramatach, komedyach i innych utworach poetycznych nie przekroczył miary pisarza o średnich zupełnie zdolnościach, przecież przez ilość ich i dobór, jak niemniej przez niezmordowaną pracowitość na polu zaznajamiania nas z literaturą pobratymców Słowian wzniósł się istotnie na stanowisko niepoślednie w szeregu literatów i publicystów naszych z lat ostatnich. Sąd to zupełnie słuszny, przez wielu już otwarcie wypowiedziany, i dlatego tendencya autora, by zedrzeć koniecznie zasłonę zapomnienia kryjącą dotąd zasługi zmarłego pisarza w oczach szerszej publiczności, bynajmniej nie razi.

G. F.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Versuche einer Agrarreform in Österreich. *Dr. Moritz Ertl.* (W *Geschichte der österr. Land- und Forstwirtschaft 1848—1898*). Wien 1899. Tom I, str. 468—535 [1].

W szkicu, z którego niniejszem mamy zdać sprawę, porusza autor, sekretarz w ministeryum rolnictwa, trzy kwestye: dziedziczenia gruntów chłopskich, organizacyi zawodowej rolników i obdłużenia hipotecznego. Kwestye, jak widzimy, wielkiej aktualności, — co nas uwalnia od wstępów i pozwala przystąpić od razu do streszczenia wywodów autora.

I. Uwłaszczenie włościan i zaprowadzenie zupełnie swobodnego obrotu ziemią było tylko połowiczną reformą, której uzupełnienia pozytywnego zaniedbano. Nowy porządek prawny oparty na pojęciach miejskich, dotyczących handlu i przemysłu, a przeważnie niezastosowanych do potrzeb życia i pracy na roli, zmobilizował ziemię, czyniąc ją zwykłym towarem. Z tego wynikło w krótkim czasie nadmierne obciążenie długami posiadaniowemi, które zaczynają pochłaniać nawet zarobek roboczy, należący się gospodarującym właścicielom ziemskim. Taki obrót rzeczy nietylko się sprzeciwia istocie naszego ustroju ekonomiczno-prawnego, ale dotykając żywotniejszych interesów najliczniejszej klasy ludności i podkopując jej byt i siłę społeczną, stanowi piekący odłam kwestyi społecznej. Kwestya agrarna jest dziś kwestyą

[1] Por. *Przegląd Powszechny* zeszyt z lipca 1901, str. 114.

najstosowniejszego, ze względu na ogólne interesa społeczeństwa, porządku prawnego dla rolniczej własności ziemskiej.

Dawne austryackie ustawodawstwo w sprawie prawa spadkowego dla posiadłości chłopskich opierało się na dwóch zasadach: 1) że majątek rolniczy nie powinien być dzielony między spadkobierców, lecz ma być oddany w całości jednemu z nich; 2) że obejmujący gospodarstwo nie powinien być przeciążony spłatami spadkowemi, że przeto wartość majątku winna być tak szacowana, żeby obejmujący mógł się utrzymać przy majątku.

Ustawa państwowa z 27 czerwca 1868 r., uzupełniona ustawami wszystkich niemal krajów koronnych z wyjątkiem Tyrolu, zniosła w zupełności te specyalne normy.

Ministeryum rolnictwa, uznając konieczność reformy, doprowadziło po długich przygotowaniach i walkach parlamentarnych do ustawy państwowej z 1 kwietnia 1889 o wprowadzeniu osobnych postanowień spadkowych dla rolniczych posiadłości średnich rozmiarów.

Postanowienia te mają na celu utrzymanie posiadłości niepodzielnej w rękach rodziny, mianowicie przez ułatwienie przejścia jej w całości na jednego spadkobiercę. W zasadzie zgodne są one z odpowiedniem ustawodawstwem niemieckiem, któremu początek dała hanowerska ustawa o zagrodach z 1 czerwca 1874.

Postanowienia ustawy odnoszą się do dziedziczenia *ab intestato*, tj. w razie braku ostatniego rozporządzenia i dotyczą tylko posiadłości rolniczych, opatrzonych domem mieszkalnym, rozmiarów średnich tj. przynajmniej takich, aby mogły zapewnić odpowiednie utrzymanie rodzinie z pięciu osób, a najwyżej czterokrotnie większych od tej normy.

Dla postępowania spadkowego sąd ocenia majątek podług szacunku rzeczoznawców i podług swego uznania, że obejmujący mógłby się przy nim utrzymać. Podstawą więc oceny nie jest wartość sprzedażna majątku, lecz wartość obliczona podług czystego przychodu z tegoż majątku. Na korzyść spadkobiercy może być z tej wartości strącone *praecipuum* najwyżej do jednej trzeciej. Zarazem wartość, w jakiej spadkobierca przejmuje zagrodę, ma służyć za podstawę wymierzenia należytości przenośnej, co stanowi znaczną ulgę fiskalną.

Ustawa ta jako państwowa t. zw. ramowa, wymaga wykonawczych ustaw krajowych. Rząd wniósł projekty takich ustaw dopiero w pięciu sejmach.

Zawierają one o tyle ważną zmianę, iż ogłaszają zagrody rolnicze średnich rozmiarów, jak powyżej wymieniono, za niepodzielne bez

zezwolenia władzy politycznej, i nie dozwalają również na złączenie dwu lub więcej zagród w jednej ręce.

Dotychczas przedłożeń rządowych w żadnym sejmie nie przyjęto; w sejmie zaś tyrolskim uległy one najsurowszym i głęboko uzasadnionym krytykom.

II. Niewesoły los powyższej próby przekonał ministeryum, iż akcyę reformy agrarnej należy oprzeć na podstawie zawodowej organizacyi stanu rolniczego.

Uwłaszczenie włościan i podział gruntów wspólnie używanych, rozluźniło w krótkim czasie wszelkie węzły zawodowej łączności między rolnikami, gdy równocześnie nowożytny rozwój gospodarstwa społecznego wciągnął rolnictwo coraz bardziej w wir obrotu targowego. Towarzystwa rolnicze dla braku kupieckiej osobistości i dla szczupłych środków finansowych, zadaniom gospodarczym, acz próbowały je podjąć, należycie podołać nie były w stanie.

Z formy zaś spółek zarobkowo-gospodarczych, chociaż zupełnie odpowiedniej do tych celów, rolnicy nie umieli dotychczas szerzej skorzystać. Dopiero w ostatnich czasach rozpoczął się żywszy ruch w organizacyi spółkowych kas pożyczkowych systemu Raiffeisena.

Wystąpiło więc z początkiem lat 1880-tych ministeryum z planem utworzenia Rad kultury krajowej, opierających się na powiatowych spółkach rolniczych. Urzeczywistniono plan ten jednak tylko w Tyrolu i Górnej Austryi; oprócz tego w łączności z wolnemi towarzystwami rolniczemi przyszło do skutku ustanowienie Rad kultury krajowej w Czechach, Istryi, Dalmacyi i na Morawach.

Fakultatywnym powiatowym spółkom rolniczym w Tyrolu przysługuje prawo inicyatywy i głosu doradczego wobec władz w sprawach dotyczących interesów rolniczych ich okręgu. Członkami spółek mogą być tylko osoby prowadzące gospodarstwo rolne lub leśne w okręgu spółek. Inne osoby są wykluczone. Wobec całego kraju stanowisko analogiczne zajmuje Rada kultury krajowej, składająca się z przewodniczących spółek powiatowych.

W Czechach członków krajowej Rady kultury wybierają po jednemu z każdego powiatu sądowego towarzystwa rolnicze, uprawnione do tego podług ustawy (istniejące od roku i mające przynajmniej 30 członków). Zakres czynności Rady kultury obejmuje oprócz podawania wniosków i wydawania opinij, popieranie działalności towarzystw rolniczych, zawiadywanie szkołami rolniczemi i innymi zakładami, jakoto biurem melioracyjnem, statystycznem, biblioteką, stacyami rol-

niczemi: botaniczną i chemiczną, instytutem sadowniczym i t. p. wreszcie pośrednictwo w rozdawnictwie subwencyj. Rada podzielona jest na dwie sekcye: czeską i niemiecką, jednako zorganizowane, nad któremi stoi wspólny wydział.

W podobny sposób zorganizowaną jest (od r. 1897) Rada kultury krajowej na Morawach, której członków wybierają oprócz towarzystw, także i spółki rolnicze.

W 1898 r. ministerya rolnictwa i handlu powołały do życia Radę przemysłowo-rolniczą; sekcya jej dla rolnictwa, leśnictwa i górnictwa, składa się z 75 członków, mianowicie 17 delegowanych przez Wydziały krajowe, 38 przez korporacye zawodowe i 20 mianowanych przez ministra i stanowi radę przyboczną ministerym rolnictwa dla wydawania opinii i inicyatywy. Tak dla swego składu jak dla zakresu działania rada ta w obecnej formie nie może uchodzić za przedstawicielstwo zawodowych interesów stanu rolniczego.

W głębokiem zrozumieniu potrzeby zawodowej organizacyi stanu rolniczego wystąpiło ministeryum rolnictwa w październiku 1893 r. do Rady państwa z przedłożeniem o ustanowieniu zawodowych spółek rolników. Przedłożenie to powtórzone w r. 1896 i 1897, jakkolwiek zasadniczej opozycyi nie napotkało, jednakże dla znanych zawikłań politycznych ulegało ciągłemu odkładaniu.

Istota i zakres działania projektowanych spółek przedstawia się podług d-ra Ertla w ogólnych rysach jak następuje.

Wszyscy rolnicy posiadający grunta należą obowiązkowo do spółek zawodowych utworzonych w gminie, w powiecie sądowym i w kraju. Wskutek skupienia wszystkich rolników mają spółki zapewnioną ciągłość działalności a przez prawo poboru dodatku do podatku gruntowego materyalną podstawę. Istniejące wolne towarzystwa i stowarzyszenia rolnicze nie będą zniesione, lecz mogą się stopniowo wcielić w tę nową organizacyę.

Zastępstwo interesów uprawnia spółki do inicyatywy i wydawania opinii w sprawach obchodzących ogół rolniczy danej spółki i do udziału w samorządzie agrarnym, zwłaszcza w szerzeniu wiedzy rolniczej.

Jeszcze obszerniejsze pole działania otwiera się spółkom zawodowym w sprawach gospodarczych. Nie mają one bynajmniej usunąć spółek zarobkowo-gospodarczych, lecz owszem mają jak najskuteczniej poprzeć ich rozwój — dostarczając im najpierw należycie w duchu solidarnej działalności wykształconych ludzi i włączając je w sieć organizacyi, zapewniającej wielką siłę w sprawach targowych. Niemniej

mogą według rządowego projektu i spółki zawodowe same podejmować interesa handlowo-gospodarcze w imieniu swych członków.

Działalność spółek zawodowych, dotycząca obniżenia kosztów produkcyi rolnej, będzie obejmowała — dostarczanie artykułów rolniczych, wpływowe stanowisko w sprawach podatkowych i taryfowych, przeprowadzenie obszernych a tanich ubezpieczeń materyalnych i socyalnych, popieranie organizacyi kredytu rolniczego i pomoc w umniejszaniu zadłużenia.

Jeszcze donioślejsze znaczenie ma mieć akcya dla umożliwienia lepszego spieniężania produktów rolniczych. Spółki zawodowe uzyskają wpływ na organizacyę targu i jego więcej regularne zaopatrywanie, osiągną zmniejszenie niepotrzebnych kosztów przewozu i możliwe ograniczenie nieracyonalnego pośrednictwa, biorąc z czasem w swoje ręce zaopatrywanie wielkich miast w chleb, mięso i t. p.

Przedłożenie rządowe znalazło w sferach rolniczych, zwłaszcza niemieckich, życzliwe przyjęcie. Ostatnia zaś jego redakcya pozostawia ustawom krajowym możność przystósowania go do miejscowych stosunków.

III. Przechodząc do prób rozwiązania kwestyi nadmiernego zadłużenia, autor wywodzi, że tak zw. „liberalne“ reformy prawa własności gruntowej osiągnęły skutek zupełnie przeciwny niż zamierzały, mianowicie odosobnienie i bezsilność rolników w gospodarczej walce o byt. Na miejsce zniesionego poddaństwa mnogie warstwy ludności rolnej popadły w gorszą nieraz zawisłość od kapitału pieniężnego.

Swobodny obrót ziemią, mobilizacya jej jakby towaru, doprowadziły w krótkim przeciągu czasu do olbrzymiej przepaści między wartością przychodową a wartością targową ziemi. Przy każdej zmianie własności skapitalizowany dochód nabywcy, z góry uwiązany bywa w hipotece i przychodzi często do tego, że właścicielem roli nie jest uprawiający ją gospodarz, lecz wierzyciel jego hipoteczny; on bowiem zagarnia cały niemal czysty przychód z ziemi, a gospodarz jest właściwie tylko wyrobnikiem w jego służbie.

Jak dla Niemiec Rodbertus, tak dla Austryi Lorenz v. Stein dowiódł, że długi ziemskie powinny być wolne od wypowiedzenia i raczej mieć charakter stałej renty a nie kapitału. Stein rzucił myśl, iż długi ziemskie powinny przejść w ręce gminy — jako stowarzyszenia właścicieli ziemskich. Gmina ma udzielać pożyczek, ściągać renty od dłużników i spłacać listy rentowe. Indywidualne długi hipoteczne mają być niedopuszczalne. Kredytu osobistego mają udzielać spółki.

W razie sprzedaży majątku ziemskiego za długi osobiste przypada on napowrót do gminy.

Jednocześnie Schäffle proponuje inkorporacyę kredytu hipotecznego. Podług niego wszyscy mniejsi i średni właściciele ziemscy łączą się w przymusowe spółki powiatowe, krajowe i państwową centralną, — które to spółki są wyłącznie uprawnione, ale i obowiązane do udzielania pożyczek w formie listów zastawnych.

Pożyczki, nad których użyciem należytem czuwać mają korporacye, mogą być udzielane dla rzeczywistych melioracyj, dla poratowania po nadzwyczajnych klęskach, dla niektórych celów rodzinnych i dla opłat ubezpieczeniowych. Kredyt nabywczy (reszty ceny kupna) ma być bardzo ograniczony; ogółem zaś obciążenie nie może przekraczać 50% wartości majątku, oszacowanej podług czystego przychodu. Każdemu wspólnikowi przysługuje prawo ofiarowania korporacyi majątku cokolwiek poniżej taksy; takie zaś majątki obowiązana byłaby korporacya oddać najwięcej dającemu rolnikowi w dzierżawę lub na własność, z uwzględnieniem jednakże interesów ogólnych. System ten oczywiście miałby być wprowadzony zwolna i stopniowo.

Podobnie i Ruhland proponował zniesienie hipoteki indywidualnej i przekazanie monopolu kredytu realnego ogółowi posiadaczy ziemskich zorganizowanych w spółki zawodowe.

Od r. 1868 do 1892 stan obdłużenia hipotecznego miejskiego w krajach sudeckich i alpejskich (z wyjątkiem Tyrolu) wzrósł o 55% i doszedł do wysokości 2184 mil. złr. W tymże przeciągu czasu sprzedano egzekucyjnie przeszło 182000 realności wiejskich za sumę 373 mil. złr., przyczem umorzono 287 mil. złr. wierzytelności z powodu niedostateczności uzysku. W latach zaś 1878 do 1892 przyrost długów przez podziały i zapisy spadkowe wynosił 274 mil. złr. — prócz reszty cen kupna aż 410 mil. złr., co dowodzi, że reforma prawa spadkowego mogłaby usunąć tylko część przyczyn obdłużenia.

To też potrzeba reformy była głęboko uzasadniona. Plan jej przedłożyło ministeryum rolnictwa w r. 1893 w projekcie włości rentowych.

Podczas gdy pruskie ustawodawstwo o dobrach rentowych odnosi się do wewnętrznej kolonizacyi czyli parcelacyi, to podług projektu austryackiego, włości rentowe mają na celu usunięcie nadmiernych długów hipotecznych, oczywiście bez szkody obcych interesów. Ponieważ oczywiście wykupno wszystkich hipotecznych ciężarów od razu mogłoby wprowadzić zamęt w wartości ziemi i w stosunkach hi-

potecznych, przeto zakładanie włości rentowych odbywać się ma z początku tylko w razie wystawienia realności na sprzedaż przymusową. Wtedy zawodowa spółka rolnicza przeprowadza oszacowanie danej realności i jest obowiązana współlicytować aż do wysokości tego szacunku. Zarazem są współlicytanci obowiązani do całkowitego uiszczenia ceny licytacyjnej, przez coby się zapobiegło lekkomyślnym lub spekulacyjnym kupnom. Zaznacza tu autor ten ujemny punkt, iż według tego projektu, spółka oznaczałaby sama granicę swego obowiązku współlicytowania, który to jednakże szkopuł możnaby ominąć wprowadzając pewne zmiany w systemie oszacowania.

W razie utrzymania się przy kupnie, spółka spłaca wierzytelności, o ile przy licytacyi nie odpadły dla niedostateczności uzysku, licytacyjną ceną kupna, a oczyszczona w ten sposób zupełnie hipoteka majątku, zostaje na nowo obciążona ceną kupna — w formie nie kapitału — lecz stałej renty rocznej.

Oprócz takiego przymusowego zakładania włości rentowych ustawa przewiduje jeszcze dobrowolną inkorporacyę. Jeżeli zgłoszony majątek jest obciążony ponad szacunek, to spółka prowokuje licytacyę i sprawa załatwia się jak wyżej. Jeżeli zaś wartość szacunkowa jest większa niż obdłużenie, to spółka spłaca wierzycieli, wypłaca ewentualną nadwyżkę byłemu właścicielowi w gotówce i obsadza go na majątku jako włości rentowej.

Renta ma wystarczyć na oprocentowanie i umorzenie kapitału rentowego i na pokrycie odnośnych kosztów administracyjnych spółki. Włość rentową należy oddać dawnemu jej posiadaczowi, o ile temu nie stoi na przeszkodzie jego nieudolność lub charakter; nie budzący zaufania. Inaczej władza agrarna wybiera wśród zgłaszających się rolników najodpowiedniejszego. Operacye finansowe załatwia spółka krajowa przez wypuszczanie oprocentowanych i umarzalnych listów rentowych, poręczonych przez państwo.

Dla zabezpieczenia dokonanego w ten sposób uporządkowania długów gruntowych, nie dopuszcza się nowego obdłużenia, a wydzierżawienie lub podział włości rentowej, jako też obciążenie jej służebnościami możebne jest tylko ze zgodą spółki i władzy.

Niedopuszczalność obdłużenia jest zupełnie naturalną, bo dług rentowy przedstawia niemal całą wartość majątku, i musi przedewszystkiem być umorzony, a nie jest krzywdą dla posiadacza włości rentowej, bo kredyt jego i przed regulacyą rentową był zupełnie wyczer-

pany. Zresztą kredyt obrotowy znajdzie on w spółkowej organizacyi kredytu osobistego, a kredytu melioracyjnego klęskowego i na cele familijne dostarczy mu w miarę potrzeby rzeczywistej spółka krajowa, właścicielka włości, która zresztą ciągle będzie czuwać nad dobrem swych rentowników.

I ograniczenia co do wydzierżawienia ustanowienia służebności i t. p. tłumaczą się prawem własności, przysługującem spółce, i względami na kulturę krajową i dobro ogółu. Ograniczenia te trwają zresztą tylko do czasu umorzenia kapitału rentowego.

Gdyby działalność rentownika okazała się szkodliwą dla spółki, może ona w ostateczności usunąć go, zwracając mu spłacone przez niego renty i wartość melioracyj, a włość odddaje na nowo komu innemu.

Streszczając wynik swych wywodów, dr. Ertl powtarza, iż podstawą reformy agrarnej będzie zawsza organizacya zawodowa, poczem dopiero przystąpić można do najtrudniejszych kwestyi zadłużenia. Rozdział kredytu osobistego od realnego dokonywać się będzie z rozszerzeniem sieci kas Raiffeisenowskich i rozwojem krajowych banków hipotecznych, przygotowując grunt pod sanacyę stosunków hipotecznych.

To też autor kończy swój jasno i zajmująco napisany szkic, wyrażeniem nadziei, że reforma agrarna w Austryi przedłożeniami o zawodowych spółkach rolniczych i o włościach rentowych zbliżyła się wielkim krokiem ku swemu urzeczywistnieniu.

Byłoby bardzo pożądanem, aby i w naszym kraju tej doniosłej sprawie reformy agrarnej poświęcono baczną uwagę.

Dr. T. K.

Výklad posvátných Žalmů a biblických chwalozpěvů breviaře. Napsal *Dr. Jaroslav V. Sedláček.* V Praze. 1900. 1901. (Díl. I, LVIII, 568. Díl. II, 569—1284).

Z podobnym pożytkiem, jak przy dziełach Ojców Kościoła, można bogobojnie spędzać godziny nad dziełami tak napisanemi, jak wymienione w nagłówku. Z pożytkiem czysto duchownym łączy czcigodny autor skarby wiedzy, zaczerpniętej z nowożytnej lingwistyki i krytyki, przez co stworzył dzieło, z którego może korzystać każdy kaznodzieja, w wielkiem mieście albo konferencysta: znajdzie tu bowiem naukę objawioną rozwiniętą we wspaniałej zgodzie z wynikami ścisłej wiedzy, a podaną językiem dziwnie przystępnym i miłym.

We wstępie czytelnik spotyka rozprawę egzetyczną o księdze

psalmów, jej treści i podziałach, o prawdopodobnych pisarzach, którzy uzupełnili liczbę psalmów, ułożonych przez Dawida, o dość zawiłej sprawie napisów na wielu psalmach, o czasie, kiedy najwięcej z nich powstało, nakoniec o ich przekładach na różne języki i rozmaitych wydaniach. W tej rozprawie wprowadza autor równie licznych pisarzy kościelnych od najdawniejszych aż do Bedy i dalej, jak też wiele nazwisk egzegetów późniejszych, bez pogardy dla pisarzy innych wyznań, którzy czasem mogli na swój sposób wyświadczyć niejedną przysługę badaczowi prawdy. Księga Psalmów zawiera tyle osobliwego uroku nawet dla innowierców, że najmniej ucierpiała przez nich, chociaż streszcza w sobie prawie całą naukę objawioną, więc wspomina także prawdy, które nie przypadły do smaku innowiercom w księgach Machabeuszów, liście św. Jakóba albo innych; chociaż te inne części Biblii uchodzą w oczach innowierców za podrobione, przecie księga Psalmów pozostała u nich w czci i znalazła między nimi wiele wykładów bardzo starannych. Wykłady takie dotyczą bardziej stron jakoby bibliograficznych albo filologicznych, a mniej poruszają sporów dogmatycznych; tym to sposobem mogą czasem wyświadczyć rzetelną przysługę badaczom. Autor ocenił słusznie ten wzgląd i pozwolił im, jako filologom, zabierać w dziele egzegetycznem głos przy sporach gramatycznych i im podobnych.

Zwięzły wykład i udatny dobór ważnych szczegółów umożliwił autorowi wiele rzeczy powiedzieć w krótkim wstępie. Zaleta ta należy do niezbyt pospolitych u egzegetów, którzy ze samego wstępu robią czasem cały gruby tom pierwszy, a egzegezę właściwą zamykają w tomiku drugim i ostatnim.

Po tak pomyślnie opracowanym wstępie, autor przechodzi do oddzielnych psalmów i wprowadza ich rozbiór i wykład, w porządku przydatnym dla każdego czytelnika, który łatwo znajdzie, czego szuka w tej książce, czy osobistego pożytku duchownego, czy dogmatycznej prawdy do obrony wiary, czy dowodu moralnego, czy ascetycznej zasady do pracy kaznodziejskiej, misyjnej albo pisarskiej.

Każdy psalm według liczb porządkowych Wulgaty jest naprzód zaopatrzony nazwą, np. „Wieczorna pieśń w ucisku“, „Prośba o pomoc, odpuszczenie grzechów i oswobodzenie“, „Prośba o obronę przed nieprzyjaciółmi“, „Dziękczynienie“ i t. d. Pomysł ten pooznaczania psalmów nazwami, ułatwia sprawę każdemu, kto według rady św. Jakóba otwiera księgę psalmów w różnych nastrojach duszy, aby

dla nich znaleźć wyraz i ulgę dla przepełnionego serca. W tej mierze za drogowskaz rzadko służą hebrajskie nagłówki psalmów.

Następnie dla bibliografii albo czasem dla dogmatyki służy rozbiór nagłówka, przytem kilka słów o autorze rozstrząsanego psalmu, jakoteż o czasie, kiedy powstał i jego użytku liturgicznym w Synagodze, nakoniec podział jego na części według toku myśli.

Następuje teraz rozbiór każdej cząstki osobno: więc naprzód czeski przekład słowami Wulgaty a za nim dosłowny przekład z tekstu hebrajskiego. W dalszym ustępie autor wyraża szerzej swojemi słowami myśl całej cząstki rozbieranej, i te ustępy tworzą każdy dla siebie całość, odbitą odrębnemi czcionkami; ułatwia to użytek dzieła dla czytelnika, który szuka w niem albo pokarmu dla własnej duszy, albo pomocy przy pracy kaznodziejskiej.

Potem następują uwagi króciutkie treści naukowej, w których autor wszechstronnie oczytany, słowami najpoważniejszych pisarzy wyjaśnia zagadnienia, wynikłe głównie z różnicy między tekstami. W tych uwagach każdy wątpliwy tekst mazoretski dostaje się pod rozbiór ścisły, podany oczywiście w postaci właściwej czcionkami hebrajskiemi. Kto w te rozprawy wchodzić nie zamierza, widzi zaraz po nich ustępy, w których znajduje wykład następnej cząstki psalmu.

Po końcu ostatniej cząstki autor dodaje kilka słów o całym psalmie i jego myśli ogólnej, przytem wskazuje, przy których nabożeństwach psalm ten znajduje miejsce stosowne i w jakie święta służy do pacierzy kapłańskich.

W takim układzie napisane dzieło zasługuje na pochwałę pod innymi jeszcze względami, prócz wymienionych. Niepodobna tu zamilczeć o podniosłym nastroju ducha, z jakim autor rozumie psalmistę i oddaje jego natchnione wyrazy dźwięcznemi słowami czeskiego języka: nie czuć tu szorstkiego przekładu albo zimnej nauki, ale można słuchać, jak pobożnie płynie śpiew psalmisty, ujęty mile w szaty tej mowy pobratymców naszych, która w naszym uchu brzmi prostotą wielkiej powagi a zarazem jakoś pieszczotliwie — serdecznie.

To samo oczywiście powiedzieć można o wykładzie kilku hymnów, używanych w pacierzach kapłańskich, a wziętych z różnych ksiąg biblijnych poza Psałterzem. Wszędzie wieje ten sam duch pobożny i pełen głębokiej nauki, który każe dziełu księdza Sedlaczka dać miejsce przy „Wykładzie psalmów“ kardynała Bellarmina.

Ks. K. Czaykowski.

La mort des dieux. Le roman de Julien l'Apostat. *Dmitry de Merejkowskij.* Traduit du russe par *Jacques Sovrèze.* Paris. Calmann Lèvy Editeurs. (Str. 483).

Tak brzmi tytuł francuski rosyjskiej powieści Merežkowskiego, bardzo nowej formą, pomimo, iż treść jej sięga w epokę bogato obrobioną w historyi, romansie i dramacie. Trzeba mieć dużo odwagi, aby na podobny temat się porwać, dużo talentu, aby zeń rzecz własną, oryginalną utworzyć. Talentu autor ma dużo, a oryginalności chyba mu nikt nie zaprzeczy. Istnieją sztychy, kędy rysunek składa się nie z kresek, nie z okrągło lub prosto pociągniętych linii, ale z punktów, których większe lub mniejsze nagromadzenie stanowi światło lub cienie. Taki sztych, wykonany w bardzo żywych kolorach, mógłby dać plastyczne wyobrażenie o dziele Merežkowskiego. Jest to serya króciuchnych obrazków, po większej części niepowiązanych między sobą ciągłością faktów, ale składających się razem na portret wykończony i żywy. Czy jest podobny? Zdaje się, że tak, choć trudno mówić o absolutnem podobieństwie wobec modelu, o naturze tak skomplikowanej, o rysach tak ruchliwych i zmiennych. Co zaś dotyczy kolorytu tak tła jak i głównej postaci, ten jest bogatym, jaskrawym i silnym aż do znużenia: istny obraz Wschodu nakreślony przez wschodniego artystę. Co prawda opisy są świetne; czytając czuje się żar słoneczny wśród białych marmurów świątyni Apollina, czuje woń hyacyntów pod sennym cieniem cyprysów, szuka się tchu świeżego wśród spalenizny pól perskich lub wstrętnych wyziewów konstantynopolitańskiego przedmieścia.

Każdą z osobistości poznaje się dokładnie, choć jest nagłem tylko naznaczona dotknięciem, a poznawszy... wolałoby się o niej zapomnieć. Trudno bowiem o większy pesymizm w nakreśleniu epoki: pogaństwo strupieszało, filozofia zwietrzała, chrześcijaństwo zwichnięte od początku odbiegło od swego ideału i nie dojrzawszy psuje się na pniu, mając jednak dość siły, by zczerniałemi pędami zdusić w morderczym uścisku helleńską poezyę i sztukę. Wszędzie zgnilizna: u ludu chciwość, okrucieństwo, zabobon i ciemnota, w świecie uczonych znów chciwość, próżność i nicość duchowa, u dostojników służalstwo, chytrość i zmienność, u kapłanów wszelkiego autoramentu — najgorzej. Ostatni kapłan słonecznego bóstwa chwycił się na pociechę butelki, arcykapłan bogini Astarte, Hekebolis, cztery razy przeszedł od starej wiary do nowej i *vice versa,* kapłani chrześcijańscy, naród jaszczurczy, ziejący nienawiścią i fałszem, podzielony na liczne sekty żrące się wzajemnie ku

serdecznej uciesze pogan. Gdzieniegdzie na drugim planie jakaś dodatniejsza postać jak np. prefekt Antyochii Sallustus — poganin, lub młody mnich ozdabiający miniaturami zwoje pergaminów a i ten, raz tylko widziany, niespełna rozumu...

Na tem tle różnobarwnem, migotliwem, a brzydkiem rysuje się Julian i trzeba przyznać, że pomimo migotliwości, rysuje się potężnie. Autor nie czyni zeń prawdziwego apostaty, ale od dzieciństwa skrytego wroga chrześcijan. Po rzezi całej swej rodziny, wychowany z bratem pod strażą w Macellum doznaje dobroci tylko od pogańskiego ochmistrza swego Mardoniusa i od również pogańskiej starej mamki Lebdy. Mardoniusz karmi go wielkiemi dziejami bogów i bohaterów Hellady, Lebda zabobonami podziemnych bóstw; religii Chrystusa naucza go Aryanin podły i głupi. Chłopiec uczy się kłamać i kłamie wciąż słowami i czynem; chytrość, nienawiść i złość wzrastają w nim obok marzycielstwa, humanitarnych teoryj i chorobliwego pociągu do spraw nadnaturalnych. Bóstwa Olimpu nie wystarczają mu, bo gdzieś topnieją w przeźroczach; tem chciwiej przeto rzuca się w Atenach w neoplatońskie mgławice Jamblicha, a z nich w tajemniczy kult Mithry Maxyma. Temu kultowi Mithry autor stanowczo zbyt mało miejsca poświęcił, zważywszy znaczenie, jakie był pod te czasy w cesarstwie osiągnął. Zeus czy Jowisz, Minerwa czy Juno były bogami oficyalnymi, którym się hołdowało na okaz, choć w nie od dawna już wierzyć przestano. Kto wierzył w cośkolwiek, a nie przylgnął do Krzyża — ten wierzył w Mithrę. Juliana pociągnęły tajemnicze obrzędy, olśnił czar proroczych zjawisk, któremi Maxym go mamił, uwierzył w swą przyszłą wielkość, uwierzył w boskość widomego objawu Mithry-słońca. Wiara ta splotła się w jego głowie z wiarą w dawne bogi, co opromieniły wymarzony obraz Hellady pięknej, jasnej, wesołej, pełnej szczęśliwości i śpiewu, Hellady, jaka nie istniała nigdy, krom w pieśniach poetów. Ale pod temi wszystkiemi wierzeniami kryło się — zdaniem autora — jedno jeszcze, najsilniejsze może, chociaż bezwiedne: wiara w boskość Ukrzyżowanego, znienawidzona, odepchnięta, deptana każdej chwili jego filozoficznym rozumem, druzgotana jego imperatorską potęgą, a jednak uporczywa, dręcząca i nieśmiertelna. Czy w przypuszczeniu tem niema trochę słuszności? Julian nie prześladował chrześcijan za wzorem Nerona i Domicyana, jako wrogów państwa rzymskiego, ale jak sekciarz prześladuje innych sekciarzy. Jako panujący przypomina — z uwzględnieniem miejsca i czasu — spotęgowany typ Józefa II; humanitarny ideolog a despotyczny reformator, pozbawia-

jący chrześcijan chleba powszedniego pod pozorem zwrócenia ich ku ideałowi ewangelicznego ubóstwa, usiłujący rzeczy boskie i ludzkie pod ten sam sprowadzić mianownik. Jako wódz — zawsze według autora — przypomina Karola XII, i to w sposób tak uderzający, iż zda się niemal kopią z natury. Jako człowiek zaś mieszanina naiwnej dobroduszności z gryzącą ironią a raczej temperament chorobliwie nerwowy, przechodzący z jednej ostateczności w drugą. Chwilami mieni się być zbuntowanym tytanem, to znów schodząc do roli natchnionego hierofanta, celebruje z dziecinnem przejęciem w obchodzie na cześć Dyonizosa i dopiero po osowiałych twarzach swego otoczenia poznaje, że jest śmiesznym, i że z całej maskarady świątecznej on jeden jest prawdziwym młodego bożka czcicielem. Patrzy obojętnie na ludzkie łzy a marzy o krainie wiecznej pogody i wiecznego śmiechu...

Ostatnie rozdziały opowiadające wyprawę do Persyi, mniej psychologiczne od innych a bardziej epiczne porywają umysł czytelnika w atmosferę lżejszą i czystszą. Sam Julian podnosi się i szlachetnieje, wychodząc na szersze pole wojennego działania. Zda mu się, iż się wyzwolił z pod ciążącej nad nim chmury. Od dawna już wypowiedział on walkę na życie i śmierć Galilejczykowi, od dawna uznał się sam Antychrystem i skojarzył z szatanem i z razu szło mu wszystko po myśli. Od pewnego czasu jednak gmach pomyślności na wsze strony pęka. Z gruzów świątyni Salomonowej, którą na pohybel słowom Chrystusowym odbudowywać zaczął, wybuchnęły zewsząd na pracujących płomienie, jak stada kruków zlatywały złe wieści o trzęsieniach ziemi, powodziach, głodzie, pożarach, złych wróżbach ksiąg sybillijskich, ostrzeżeniach kapłanów etruskich... Julian wyruszył z wojskiem, jakby przed złą mocą uciekał, mocą, wobec której bogowie jego zdali się bezsilni lub z nią sprzysiężeni. Jeżeli wróci w tryumfie, zgniecie ją i zetrze z ziemi znienawidzony Krzyż. I teraz słońce znów nad nim zabłysło, więc w upojeniu i chwale pędzi na oślep, głuchy na prośby wodzów i cierpienia żołnierzy. W obozie mówią po cichu, że August oszalał. Szalony czy chory daje się zwieść jak dziecko zdradzieckiemu Persowi i każe podpalić okręty. Poznawszy zdradę, wpada w rozpacz i szał, roztrąca nogą ołtarz, kędy miał składać ofiarę i woła, że niema bogów, że i to było kłamstwem, złudzeniem. Bogów niema, ale moc Galilejczyka pognała za nim i zwyciężyła. Po ostatniej walce ranion śmiertelnie, wyznaje swą niższość z pogardliwą goryczą. Umiera, według opisu Ammiana Marcellusa, wpatrzony we wschodzące słońce,

pocieszając się sofizmatami o zwycięstwie ludzkiego rozumu — nad wszystkiem.

Jedyna silniej narysowana postać niewieścia, Greczynka Arsinoë, niezbyt szczęśliwie wypadła. Rzeźbiarka, duchem Fidyaszowej Hellady przejęta, a więc niezrozumiana przez współczesnych filistrów, jedyna bratnia dusza Juliana, górująca nad nim siłą nerwów i woli. Ona to, wahającego się, pchnęła na drogę ambicyi i czynu, ale gdy u stóp jej złożył koronę i serce, odrzuciła je, bo choć niewierna, na prośby umierającej siostrzyczki oblekła habit i chce się do wiary przymusić. Idzie na Thebaidę i dopiero po kilku latach zjawia się podczas pochodu na Persyę w namiocie Augusta. Próżne były jej modły, nie zdołała stać się chrześcijanką, ale za to przywiozła nową mieszaninę wierzeń, do której chce Juliana nawrócić. Kojarzy twory poezyi greckiej z wiarą Ewangelii, i w końcu widzimy ją rzeźbiącą przecudną figurę młodzieńczą, łączącą w sobie cechy Dyonizosa i Chrystusa Pana. Posąg ten i Arsinoë, zdają się być syntezą przekonań autora.

Dziwna zaprawdę książka! Cześć dla Chrystusa a nienawiść dla chrześcijan; chwilami możnaby sądzić, że naśladuje Juliana i jak on wierzył w Mithrę a pod Mithrą w bogi Hellady, tak autor wierzy w Boga a pod nim w też same bóstwa, na których zniknięcie z tęsknotą spoziera. Erudycya zapewne wielka, zrazu olśniewająca; po chwili wszakże spostrzega się w niej luki, a co gorzej — sztuczki. Przedewszystkiem anachronizmy: przepełnienie miast i grodów klasztorami, z których roje czarnych mnichów i mniszek rozsypują się, jak stada nietoperzy, niszcząc sztukę i szpecąc piękność przyrody. Dziwne to nieco (przemilczawszy stronę moralną), gdy się wspomina, że w owym czasie życie zakonne dopiero świtało, że anachoreci zaczynali uciekać na puszczę, a św. Bazyli nie zdążył jeszcze spisać swych reguł zakonnych, gdy go p. Merežkowski już w szkołach ateńskich postrzygł na mnicha! Nadto autor ma swych czytelników za mało oczytanych, skoro przenosi do obozu rzymskiego w Gallii, w czasy wielkorządztwa Juliana znaną z Annałów Tacyta (Lib. I. cap. XXII) anegdotę o centuryonie, przezywanym *Caedo Alteram*, dla tego, iż przy egzekucyach złamawszy rózgę na plecach karanego żołnierza, temi słowami wołał wesoło o drugą. Jaskrawszem jeszcze jest włożenie w usta pustelnika Pamwy, przybyłego dla gromienia cesarza, całego ustępu z Apologii Tertuliana i to ustępu przytoczonego w każdym podręczniku historyi kościelnej. Być może, iż podobnych „adaptacyj" jest więcej. Dwie ostatnie nawet byłyby dość niewinne, gdyby nie główny zasadniczy

fałsz historyczny. Kłamać można nie tylko mową i uczynkiem, ale nieraz gorzej jeszcze — milczeniem. Popełnia się historyczne kłamstwo, krzywdzi się opisywaną epokę, wyjmując z niej wszystkie objawy dodatnie, wszystkie wzniosłe i świetne postacie. Oczywiście, jeśli kto chce koniecznie przedstawić chrześcijan IV. wieku, jako gromadę łotrów, tłumicieli światła i rozumu ludzkiego, ten musi zamilczeć o płomiennych duchach jąk śś. Atanazy, Hieronim, Ambroży, Grzegorz z Nazyanzu, Bazyli[1] i inni; trzeba mgłą zapomnienia zasłonić ową plejadę gwiazd rozświecających noc barbarzyństwa, która ze wszech stron widnokręgu poczynała się zwieszać nad firmamentem rzymskiego imperyum. Boć przecież niepodobna, aby społeczeństwo, skąd tacy ludzie wyrośli, skąd miał niebawem wyłonić się geniusz Augustyna, było samym stekiem zgnilizny! Autor rosyjski dał nam z wielkim talentem skreśloną czarną połowę obrazu. Patrząc nań serce się rwie z pragnienia, by który mistrz silniejszym uzbrojony lotem odmalował nam całość z pełnią światła i cieni, oblaną blaskiem wielkiej prawdy wieczystej.

T. W.

[1] Święci Grzegorz i Bazyli ukazują się na chwilę podczas pobytu Juliana w Atenach, ale przez chwilę tylko jako para bladych, ascetycznych mnichów.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

KOŚCIÓŁ POLSKI. Ubiegły miesiąc lipiec przynosił zachodniej Europie coraz jaśniejsze dowody, że wrogowie Kościoła przeciw niemu toczą walkę obecnie nie na jednem tylko albo drugiem miejscu bez głębszej myśli, ale, że rozpoczęli długi ciąg zamachów przeciw Kościołowi, obmyślanych zawczasu i wykonywanych ściśle według szczegółowego przepisu. Ruchliwa Francya prześcignęła inne narody w prześladowczych pomysłach przeciw Wierze i jej przedstawicielom, ale także w środkowej Europie i nawet na wschodnich posterunkach Wiary w polskich dzielnicach spotykamy podjazdy wysyłane, aby burzyć społeczeństwo przeciw Kościołowi i jego sługom. U nas ta podjazdowa wojna nie przybrała jeszcze znacznych rozmiarów: poprzestać musi na polu bajek, dziennikarskich zapisek i złośliwych telegramów, które opiewają rzekome wybryki albo nawet zbrodnie duchowieństwa różnych stopni i widocznie służą na pierwszy posiew rozterki między wiernymi a ich pasterzami.

Posiew ten jednak nie prędko może oczekiwać plonu, bo teraźniejsza chwila pokazuje nam społeczeństwo ściśle związane węzłami miłości i zaufania ze zwierzchnikami Kościoła polskiego. Gdziekolwiek ostatnie tygodnie odkrywały jaśniej stosunki ko-

ścielne w polskich dzielnicach, wszędzie biskupi w nadarzonych chwilach znajdywali przy sobie społeczeństwo gotowe iść za nimi, dokąd wezwie katolicki obowiązek. Najnowszy układ między Leonem XIII a Mikołajem II wprowadził dwu nowych dostojników Kościoła do grona tych biskupów, którzy umieją pozyskiwać serca ludu przez gorliwą nad nim opiekę i nawiązywać pożądane dla dobra Kościoła stosunki z władzami świeckiemi. W Żytomierzu ks. biskup Kłopotowski pracował w takim duchu nad powierzoną sobie trzodą duchowną i tyle dobroczynnego wpływu na nią wywierał, że już przez chwilę zachodziła obawa, czy zazdrosne oczy nie wypatrzą pozoru do zarzutów przeciw ulubionemu przez owieczki pasterzowi. Jednak ze Stolicą Apostolską zgodnie rząd petersburski umiał w świetle prawdy spoglądać na zasługę biskupa, który wiedzie za sobą duchowieństwo do wytężonej pracy dla królestwa niebieskiego a nie uprawia pola interesów doczesnych i ziemskiej polityki. Podobnież w Saratowie, ks. Szembek, zwrócił na siebie przychylne oczy żywotem prowadzonym w duchu wyłącznie kapłańskim, którym zjednywał sobie władze duchowne i świeckie. Obaj ci dostojnicy Kościoła zajęli obecnie wyższe stanowiska w hierarchii kościelnej, witani na nowych stolicach biskupich z tym zapałem, który wymownie świadczy, że w rosyjskiej dzielnicy Polski żaden wróg Kościoła niełatwo oderwie lud od biskupów.

I pod austryackim rządem stosunki między polskim episkopatem a narodem niczem nie mogą podniecać we wrogach Kościoła nadziei, że łatwoby im przyjść do nas z okrzykiem *Los von Rom*, albo kuć u nas ustawy prześladowcze przeciw zakonom. Polski mowca w imieniu zarówno Koła jak całego parlamentu wiedeńskiego odparł wymownemi słowami niecne napaści przeciw nauce św. Alfonsa. Zapał, z którym przyjęto gorącą obronę Kościoła przez polskiego posła, grzmiące dla niego oklaski i tysiączne słowa podzięki pokazały Steinom i Wolfom, że ich zamach na Wiarę znajdzie zwarty zastęp polskiego narodu, gotowego bronić skarbów najświętszych. Wkrótce potem podobny objaw ducha wiary uświetnił obrady sejmu galicyjskiego. Kiedy lwowski arcybiskup ksiądz Bilczewski wraz z księ-

dzem biskupem przemyskim Czechowiczem zażądali od sejmu, aby nauka religii wróciła w szkołach galicyjskich na poważniejsze stanowisko przy egzaminie dojrzałości, wtedy posłowie wszyscy, równie katolicy jak wolnomyślni, mogli dobrze rozumieć, że Kościół nietylko o tę jedną krzywdę religii w programie nauk szkolnych zamyśla się upomnieć głosem gorliwych biskupów: wiele bardzo ważnych praw swoich Kościół musi odzyskać i przeprowadzić dokładną zmianę w obecnym ustroju szkolnictwa, nim zwycięsko zakończy walkę przeciw zgubnemu dotychczas systemowi wychowawczemu: każdy z posłów mógł w owym występie biskupów widzieć dopiero zapowiedź bardzo poważnych zapasów ducha chrześcijańskiego z duchem bezwyznaniowym w sprawie wpływu na młodzież. Jakżeż tedy sejm przyjął tę zapowiedź walki zasadniczej? Przemowy wybitnych posłów dowodzą, że całe społeczeństwo czekało już od dawna na hasło do takiej walki o prawa religii. Ledwo z ust wodza wyszło takie hasło, jakoby pierwsza pobudka do dalszych zapasów coraz poważniejszych, zaraz izba poselska oświadczyła, że zwartym hufcem pójdzie za wodzem: przez gromadne powstanie zaraz posłowie przyjęli wniosek, w którym wzywają rząd, aby przy egzaminie dojrzałości napowrót załączył naukę religii do przedmiotów obowiązkowych. Objaw ten zgody narodu z Kościołem oczywiście nie stanowi przez się żadnego jeszcze zwycięstwa nad bezwyznaniowym ustrojem szkół naszych, bo na razie dotyczy zaledwie zewnętrznej strony stosunków, i gdyby nie zapowiadał dalszej pracy nad zmianą ustawodawstwa bezwyznaniowego, okryłby tylko szatą religijną zło wewnętrzne i przez to jeszczeby je utwierdził i wzmocnił. Ale podczas przemów biskupich taki nastrój umysłów panował w sejmie, że niepodobna przypuszczać, aby następna sesya nie miała ziścić nadziei dalszej walki zwycięskiej, do której poprowadzą naród dostojni przedstawiciele Kościoła.

W dzielnicy pruskiej, arcypasterz Wielkopolski, choć skołatany tylu burzami, jednak wcale nie wyczerpał sił do dalszych walk o prawa i swobodę Kościoła: świeżo znowu podjął rękawicę rzuconą przez zachłanną hakatę. W miasteczku Dobrzyca

burmistrz w towarzystwie żandarmeryi wkroczył do katolickiego kościoła, aby urządzić podczas nauki katechizmu śledztwo nad sposobem, w jaki proboszcz miejscowy, ksiądz Niciński, przygotowuje dzieci do bierzmowania. Żadna ustawa nie uprawnia świeckiej władzy w kraju najdzikszym do świętokradzkiego śledztwa w kościele nad księdzem w czasie sprawowania jego obowiązków stanu: tylko urzędnik przesiąknięty duchem hakaty znalazł do takiego czynu powód w plotce, którą usłyszał w mieście, jakoby ksiądz, pod pozorem nauki o bierzmowaniu, uczył dzieci po polsku wbrew zakazowi rządu. Trudno pojąć, aby bezmyślny germanizator nie wiedział, że zakaz rządowy może dotyczyć tylko godzin katechizmu w szkolnym gmachu rządowym, a nie wiąże duchowieństwa podczas nauki w kościele: jednak Niemiec ze zbrojną siłą wtargnął do domu Bożego na wojnę z księdzem i przestraszonemi dziećmi, wydzierał im z rąk katechizmy, znieważał Najświętszy Sakrament i znalazł w spokojnym zakątku Wielkopolski pole do bohaterstwa, jakby na wojnię z Chińczykami. Oczywiście śmiało działał, bo za sobą czuł potęgę groźnej hakaty i żadnych przeszkód nie musiał przewidywać w mężnej wyprawie na wielkopolski kościółek; jednak natrafił na czujnego Pasterza, gotowego dochodzić krzywdy swoich owieczek: arcybiskup nie struchlał przed hakatą i w Berlinie oskarżył jej rycerza o napad na kościół, a nadto założył protest przeciw wszelkim zamachom świeckiej władzy na swobodę duchowieństwa w wykonywaniu swojego urzędu w obrębie kościoła. Krok ten arcybiskupa zdumiał hakatę, której dotychczas nikt nie przypomniał, że za swoje bezprawia może odpowiadać przed sądem: w jej obozie słychać wyrazy trwogi, czy słowa arcybiskupie nie wywrą wpływu w Berlinie. Tej nadziei nie żywi prasa bezstronna, dobrze świadoma ducha, jaki opanował rząd pruski, ale mniema, że choć ten rząd nie odstąpi od swoich haseł, przecie pozna niewątpliwie, ile przeszkód w swoich zamiarach dozna ze strony duchowieństwa i ludu katolickiego, który za swoim zwierzchnikiem pójdzie nieustraszony w bój o prawa Kościoła.

Słowem nasze społeczeństwo nie tak łatwo pójdzie za ha-

słem niewiary do walki przeciw Kościołowi, którą widzimy na Zachodzie. Krętym manowcem i cichaczem musi pełznąć do naszego ogółu duch bezwyznaniowy: szuka sobie ścieżki do umysłów przez rozsiewane brednie na duchowieństwo i już pośród Polaków, rozproszonych poza krajem, zaczyna zbierać pierwsze plony niechęci ku władzy kościelnej. Niechęć ta przechodzi nad Renem rozmiary zwyczajnego u nas braku karności: tamtejsi robotnicy polscy pozbawieni proboszcza Polaka i jego stałej posługi duchownej, wolą odprawiać wspólne modlitwy i nucić polskie pieśni w izbach, najmowanych po domach zajezdnych, niż do kościoła katolickiego chodzić na nabożeństwo odprawiane po niemiecku. Do takiego stopnia odrazy ku niemczyznie doszli polscy robotnicy... Kto w tem zawinił? Kto rozdmuchał taką nienawiść i kto ją żywi ciągle?

Jeżeli na to pytanie można odpowiedzieć zasadą: *is fecit, cui prodest,* — wtedy oczywiście duch to wrogi Kościołowi zatruwał serca katolickie waśnią narodową i sprawił, że naszym robotnikom milej na sposób luterski bez księdza odprawiać nabożeństwo, niż pod przewodnictwem Niemca-kapłana.

Biedni ludziska szukają wymówki w przysięgach, że nie rozumieją po niemiecku... a nie uważają, że przez taką wymówkę sami na siebie podają broń nieprzyjaciołom. Jedni — jak świadczy *Słowo* — poczytują tę wymówkę za niezręczne kłamstwo, głoszone w obronie fanatyzmu narodowego; ci nieprzyjaciele nasi dowodzą, że gdyby Polacy po kilkuletnim pobycie w szkole niemieckiej i mężczyźni po odbytej służbie w niemieckiem wojsku nie zdołali jeszcze brać udziału w dodatkowem nabożeństwie niemieckiem, tedy tworzyliby jakiś szczep zwyrodniały umysłowo. Tymczasem przy robocie okazują wogóle wszyscy zdolności dobre, a niekiedy wcale niepospolite. Także przy sądowych rozprawach nieuważnie okazują, że choć urzędowo niby nie rozumieją po niemiecku, przecie zdają sobie sprawę dostatecznie ze wszystkiego, co słyszą w tym języku, i sami nawet nieźle wyrażą swoje myśli, jeżeli mogą ciągnąć stąd jaki zysk. Zatem ci nieprzyjaciele nasi wnoszą, że tylko duma narodowa każe Polakowi żądać w środku Niemiec pol-

skiego duszpasterstwa: ten to duch zawiódł ich w r. 1899 przed biskupa Paderbornu, od którego żądali polskich proboszczów, zarówno jak Niemcy mają swoich, a niezadowolnieni wszystkiem, co mógł dla nich obmyśleć biskup, oświadczyli hardo, że w takim razie przestaną uczęszczać na nabożeństwa kościelne i płacić składkę na kościelne wydatki.

Życzliwsi czy mniej nam nieprzychylni Niemcy muszą przyznać, że roboczy lud polski może nie rozumieć po niemiecku a nie należeć jeszcze do wyrodków umysłowych, bo widujemy osady Niemców między Polakami zamieszkałych od kilkudziesięciu lat i dłużej, a niezdolnych dotychczas brać udziału w polskiej rozmowie albo korzystać z kazania polskiego. Można zatem wierzyć, że wielu robotników polskich bez pożytku dla duszy słyszy niemieckie kazanie, a z pożytkiem przypomina sobie prawdy wiary, kiedy śpiewa polskie pieśni religijne; można przypuszczać, że nieszpory po niemiecku śpiewane nie przemawiają do duszy polskiej, która nawet w miejscu mniej stosownem woli polski śpiew, niż pieśni niezrozumiałe w kościele; ale tego nie może katolik pochwalić, że Polacy wyżej sobie cenią polskie pieśni od Mszy w niedzielę: wszak księża jednakowo w Niemczech i w Polsce odprawiają Mszę po łacinie, więc Polacy nie mają w nieznajomości języka niemieckiego wymówki, iż nie zachowują przykazania kościelnego.

Za tym pierwszym krokiem najbardziej nagannym idą u nadreńskich Polaków dalsze kroki na drodze, przed którą przestrzega ich usilnie *Kuryer Poznański*. W pierwszym rzędzie do kroków niebezpiecznych należy rozbrat między Polakami a *Centrum* w sprawie wyboru posła z okręgów nadreńskich. Dwa główne obozy ruszają tam do walki: z jednej strony katolickie *Centrum*, z drugiej socyalna demokracya. Otóż Polacy rozporządzają znaczną liczbą głosów, które mogłyby rozstrzygnąć zwycięstwo katolików nad socyalistami w razie wyborów. Z tego powodu niektóre pisma zarzucają biednych robotników polskich radami, które niby mają im zabezpieczyć narodową posługę duchowną, ale bardzo przejrzyście okazują łapkę zastawioną na Polaków, aby oderwać ich od *Centrum* a zlać z obozem socya-

listycznym. *Gazeta Toruńska* wręcz uczy nadreńskich Polaków, żeby od papieża zażądali opieki dla narodowych praw swoich do stałego duszpasterstwa polskiego w głębi Niemiec, i żeby zapowiedzieli z góry, że w razie rozluźnienia węzłów z Kościołem przejdą pod chorągiew socyalnych demokratów. Inne pisma zręczniej popychają Polaków do rozbratu z katolickiem *Centrum:* nie każą im przechodzić na wiarę socyalistów, ale dla rozwoju samowiedzy narodowej polecają im opuścić *Centrum* a wystąpić z kandydatem własnym; nie wspominają oczywiście, że rozbrat między Polakami a *Centrum* może zapewnić zwycięstwo socyalistom, ani nie zapowiadają zwycięstwa polskiemu kandydatowi, bo tego nikt nie uważa za prawdopodobne: nalegają jedynie na rozwój ducha polskiego między robotnikami, kiedy ci wystąpią osobnym obozem o własnych siłach do walki wyborczej. Na ten pomysł słusznie odpowiada w dziennikach ludowych ks. Liss, długoletni pracownik nad Renem i najlepszy znawca stosunków tamtejszych: przypomina, że Polacy umieją różnymi sposobami budzić ducha narodowego, a nie potrzebują opuszczać katolickiego *Centrum,* które właśnie stawia kandydata życzliwego Polakom w osobie p. Rintelena; trzeba na nim wymódz obronę praw polskich i pomódz do jego wyboru, a nie zrywać zgody z katolickim obozem. Na tę radę nie zwróciło uwagi stronnictwo tych narodowców, którzy z niechęci ku Niemcom przestępują przykazanie kościelne i po lutersku odprawiają nabożeństwa niedzielne, których też słusznie oskarża *Słowo,* że im więcej idzie o narodową dumę, niż o zbawienie duszy. Inni robotnicy polscy, niemniej troskliwi o dobro religii, jak o prawa narodowe, nie mieli żadnej nadziei, żeby mogli nakłonić stronnictwo zagorzałych narodowców do zgody z katolickiem *Centrum;* wypadało jednak wszystkim Polakom jednomyślnie wystąpić przy wyborach, aby nie rozdzierać sił: więc po ostatecznych naradach wszyscy postanowili popierać kandydaturę pana Leona Czarlińskiego z Torunia, a gdyby wybory nie od razu miały doprowadzić do zwycięstwa któregobądź kandydata, wtedy Polacy przy ściślejszych wyborach uradzili oddawać głosy za

kandydatem *Centrum*. Dotychczas nie wiadomo, co wyniknie z tej próby niebezpiecznej.

I o stosunkach Kościoła wśród Polaków amerykańskich wypada nam wspomnieć, a to tem bardziej, im więcej nas musi zająć i cieszyć nieoczekiwany zwrot na lepsze między nimi. Dotychczas rodacy nasi na zachodniej półkuli chorowali na zakorzenioną między nami wadę,

...która starym obyczajem
każe nam się gryźć nawzajem.

Ale jak na tę chorobę Opatrzność Boska zadała nam w Wielkopolskiej dzielnicy skuteczne lekarstwo przez Hakatę, tak w dzielnicy amerykańskiej dopuściła na nas amerykański bicz, który do żywego naszych braci dotknął, ale nad wszelką nadzieję ludzką szczęśliwy wydał skutek: wywołał hasło zgody i wspólnej pracy, przyjęte z zapałem przez wszystkie główne stronnictwa.

Amerykanizm bez miłosierdzia wynaradawiał Polaków zarówno jak innych przybyszów z Europy. Rozszarpana stronnictwami Polonia nie podołała nierównej walce i traciła jedno stanowisko po drugiem. Raz po raz dzienniki ubolewały, że np. przedstawienia teatrów amatorskich pielęgnują wprawdzie język polski wobec widzów, ale za kulisami amatorzy mówią po angielsku, albo że na balach narodowych niby to Polonia ocuca uśpionego ducha, ale rzeczywiście nie słychać tam ani słowa czasem w innym języku, jak w angielskim, ani o polskich tańcach nikt tam nie pomyśli, a nawet zaprosiny do Jasiów, Jadwiś, Kaś i Maryś przychodzą pod napisem: Jossy, Kathy, Mamie, Hatt'e i innych dziwolągów. Za utratą języka u tych biedaków idzie zawsze upadek wiary i obyczajów.

Co dzienniki donoszą o powolnej zagładzie ducha katolicko-polskiego w naszej dzielnicy amerykańskiej, to samo we fabrykach widzą tamtejsi misyonarze. Dwaj z nich: bracia Marc. Chmiel. i J. Kramař T. J. naumyślnie zaszli w mieście Ohama na dzielnicę, zamieszkaną przez kilka tysięcy polskich robotników fabrycznych, bo chcieli sprawdzić, czy znajdą tak dobrze zachowany żywioł polski w mieście fabrycznem, jak widzieli w innych miastach, np. Chicago albo Buffalo, osady polskich rolników

i kupców dość odporne przeciw zamachom amerykanizmu. Niestety naocznie stwierdzili, że robotnicy fabryczni toną zupełnie w powodzi angielskiej: setki twarzy polskich w Ohama mijały obu misyonarzy, a we wszystkich ustach brzmiała bez wyjątku jedna tylko mowa angielska... i wyraz wielu twarzy zezwierzęconych dowodził, że nasi rodacy nietylko własną mowę dali sobie wydrzeć, ale i duszę zgubili w odmęcie niewiary. Praca we fabryce rozsypuje tysiące Polaków między setki tysięcy Anglików i wypuszcza ich do domowego ogniska ledwo na kilka godzin w nocy: nic dziwnego, że wobec braku zgodnej opieki kościelno-narodowej nad tymi biedakami giną śród nich tysiące.

Nakoniec padł na powaśnione stronnictwa polskie cios dotkliwy z ręku dwóch biskupów, którzy oczywiście ani nie przewidywali bolu, jaki sprawią Polakom, ani nie w ten sposób zamierzali wywołać zbawienne skutki dla naszej sprawy, w jaki pchnęli ją naprzód. Ksiądz biskup Eis z Marquette Mich. i ksiądz Messmer biskup z Green-Bay zauważyli, że dzieci i wnuki osadników z Europy, — Niemców, Polaków, Czechów, Francuzów, Włochów i t. d. — po angielsku już albo mówią przeważnie, albo nawet wyłącznie, zatem następne pokolenia nie znajdą posługi duchownej w kościołach, stawianych przez ich przodków, jeżeli słyszeć będą ciągle tylko języki europejskie, a nie spotkają nigdzie wprowadzanego zwolna języka angielskiego. Z tych powodów przepisali rzeczeni biskupi, aby prócz kazań i dodatkowych nabożeństw w językach europejskich księża miewali przy cichej mszy dwa razy na miesiąc katechizmową naukę po angielsku. Przepis obu biskupów wywołał niezwykłą wrzawę między Polakami, jako zamach amerykanizmu na polskie kościoły. Darmo uspokajali rodaków Ojcowie Zmartwychwstania Pańskiego w swoich czasopismach *Sierota* i *Dziennik Chicagowski*. Pisma te z naciskiem podnosiły, że powyższe przepisy biskupie nie wyszły jako rozkazy, tylko jako wskazówki albo rady, które nie wszędzie nakładały obowiązek na duszpasterzy, ale zależały od potrzeb miejcowych, a gdzie duszpasterz nie znajduje potrzeby nauk w angielskim języku, tam powinien biskupowi donieść tylko o stosunkach i poprzestać na kazaniu w europejskim języku.

Z owemi pismami zgodnie rozumieli księża owe przepisy, bo niektórzy z nich, natychmiast zebrani w Chicago, rozpisali listy do wszystkich innych księży polskich w dyecezyach Marquette i Green-Bay, na które dostali prawie jednogłośną odpowiedź, że żaden z nich nie znalazł jeszcze potrzeby angielskich przemów, więc nie zastosował u siebie przepisu, w którym widział tylko radę daną stosownie do potrzeb miejscowych a nie żaden rozkaz bezwzględny.

Aby uciszyć wrzawę, która mimo wszystkiego nie przestawała jątrzyć Polaków przeciw biskupom, W. O. Spetz C. R. wystosował list wprost do księdza biskupa Eisa i prosił o urzędowy wykład owego przepisu. Biskup w niezwłocznej odpowiedzi zapewnił, że jego rozkaz nie był wydany, aby zabronić używać jakiegobądź języka europejskiego, lecz tylko dla pożytku dzieci narodzonych w Ameryce: mianowicie przepis zmierza do tego, aby młode pokolenie znalazło Słowo Boże w kościołach, stawianych przez ich rodziców i dziadów, głoszone w języku zrozumiałym dla tych, którzy stracą pierwotną mowę ojczystą.

W tej odpowiedzi biskupa różne pisma polskie wyczytały jedną myśl, którą podobno najwłaściwiej wyraził okólnik, wydany przez Zarząd Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-katolickiego: mianowicie ten okólnik określa całe niebezpieczeństwo słowami: „Obcy powiedzieli nam otwarcie, że wprowadzą nam do kościołów język angielski, jeżeli młodzież nasza się wynarodowi". Zatem, zamiast hałasować przeciw biskupom, potrzeba nam w zakresie własnej gospodarki kościelno-narodowej zaprowadzić porządek i zażegnać niebezpieczeństwo, w jakie wpadamy przez bezrząd. Aby na tory ładu wprowadzić sprawę, *Polak w Ameryce* podniósł w marcu b. r. myśl o potrzebie walnego zjazdu Polaków amerykańskich w Buffalo, jako w mieście środkowem między osadami naszemi. Zjazd ten miałby zebrać wszystkich katolików bez różnicy stronnictw i bez względu na odcienia polityczne, aby przedsięwziąć środki ochronne przed wspólnemi niebezpieczeństwami polskiego Kościoła i narodu w dzielnicy amerykańskiej.

W pierwszej mierze zjazd powinienby zjednoczyć naszych

rodaków pod jedną Głową, którą pragną wszyscy mieć w osobie biskupa polskiego. Tę myśl zaraz przyjął całem sercem Zarząd wielotysięcznego Zjednoczenia P. R. K., wkrótce także Związek Narodowy przystąpił do tej myśli z kilkudziesięciu tysiącami swoich członków. Wobec tych dwóch czynników najpoważniejszych w naszem społeczeństwie amerykańskiem, niewidziana poprzednio zgoda zapanowała w piśmiennictwie polskiem: niby hufiec po hufcu i chorągiew za chorągwią prowadziły do boju swoich czytelników dzienniki: *Gazeta Katolicka, Zgoda, Dziennik Milwaucki, Wielkopolanin, Kurjer Polski, Dziennik Chicagowski, Naród Polski* i t. d. Słowem pisma zwane wolnomyślnemi i poczytywane za ultramontańskie, i pisane w duchu republikańskim i wierne hasłom demokratycznym, i ludowe i przeznaczone dla warstw oświeceńszych: wszystkie przyklasnęły hasłu do zgody i jednolitej pracy w obozie, prowadzonym przez biskupa polskiego.

Tylko członkowie „niezależnych kościołów“ spoglądali spodełba na myśl o zjeździe i następnej pracy jednomyślnej. Ale ich niechęć do zgody kościelnej i narodowej nie umniejszyła zapału w innych stronnictwach. Nawet pisma zaliczane do wolnomyślnych, jak *Kuryer Polski*, zapewniają nas, że w stronę „niezależnych“ nie warto nam spoglądać, bo rozkład, jaki między nimi nastał, usuwa ich powoli z widowni i pogrąży niebawem w stanie „drobiny niegodnej uwagi“. Podług *Kuryera Polskiego* ruch niezależny wchłania w siebie mnóstwo szumowin społecznych i przez to truje powietrze coraz straszniej: roztacza skrzydła opiekuńcze nad oszustami, w rodzaju Pociechowskich i Pilszaków, nad istotami niewiadomego stanu, bo raz ubierane po świecku, raz w szatach duchownych pokazują jakieś świadectwa zaopatrzone podpisami biskupów, jeżdżą wszystkiemi kolejami po całej Ameryce, wyłudzają od ludzi pieniądze na przeróżne składki i trwonią cudzy grosz na zbytki, a nawet na pijatykę. Na czele takich istot stoi osoba Kozłowskiego z Chicago, osławiona znowu procesem przeciw d-rowi Polakowi, który to właśnie nieszczęsnego „biskupa“ zawiózł do starokatolików szwajcarskich i u nich wykołatał dla niego infułę. Przy boku

tego biskupa widzimy bezczelnego księdza Hodura, zajętego targiem o cenę nawrócenia swojego, widzimy takich apostołów niezależnego kościoła, jak Hańczakowski, zamknięty w Milwaukee za szalbierstwo, i dziesiątkę podobnych pasorzytów, którzy wyzyskują łatwowierny lud po parafiach niezależnych. Na ten widok, — kończy pismo wolnomyślne, — każdy pozna, że tak zwany „kościół niezależny“ wpadł w najsmutniejszy stan rozkładu i stanowi po prostu zakałę naszego społeczeństwa, której im prędzej się pozbędziemy, tem będzie nam lepiej, bo przewodnicy tego ruchu nie tylko nie zdołają prowadzić nikogo i utrzymać w karbach, ale wprowadzają bezrząd coraz straszliwszy wśród naszego społeczeństwa, — a już bez nich tak trudno między nami utrzymać ład jakikolwiek.

Słowa te okazują, jak mało wobec zespolonych obecnie sił całej Polonii znaczy odszczepieńcza szajka niezależnych. To też ogół dzienników poprzestał na podobnym sądzie o tej szajce jak *Kuryer Polski* i oświadczył, że wcale nie poczytywałby za dobrą nowinę, gdyby dyecezyanie „biskupa“ Kozłowskiego zapowiedzieli swój udział w zjeździe polsko-katolickim. Bez troski tedy o odszczepieńców, powstał Wydział przygotowawczy zjazdu i już w kwietniu poddał pod sąd całej Polonii swój zarys prac, nad któremi mieliby obradować członkowie zjazdu. Zarys ten, wkrótce przyjęty przez wszystkich z nieznacznemi zmianami, obejmuje sprawę naprzód dostępu duchowieństwa polskiego do stanowisk w hierarchii kościelnej Stanów Zjednoczonych, dalej szkoły, stosunki z Polską europejską, pomoc dla polskiego przemysłu, skarb wspólny na rzecz oświaty i nakoniec porządek obrad. Potem Wydział ogłosił, że po naradach z różnemi stronnictwami i za ich zgodą zwołuje zjazd na 24-y września b. r.

Widok tedy dobrego ducha i zgody, która widnieje w kościele polskim po obu półkulach świata, zapowiada nam, że zamachy na Kościół, duchowieństwo i zakony wykonywane po innych krajach, nie niosą jeszcze dla Polski prędkiego niebezpieczeństwa.

Ks. K. Czaykowski.

Oświata ludu.

Ciemnota w naszym kraju wciąż olbrzymia, a objawia się w sposób najrozmaitszy. Dowodów doświadczalnych jednego z tych objawów dostarczył nam na nowo ostatni spis ludności. Okazuje się z niego, że ludność naszego kraju w większej części nie umie czytać ani pisać.

Nie chcemy twierdzić, że ten objaw ciemnoty jest najgroźniejszy. Nie sądzimy również, aby sama umiejętność czytania i pisania była dowodem wystarczającym oświaty. Jeśli kto jednak w naszych czasach nie posiada tej umiejętności, uchodzi za nieokrzesanego barbarzyńcę. Jeśli z takich jednostek składa się cała gmina albo większa jej część, to gmina taka uchodzi słusznie za niecywilizowaną. Jeśli naród w większej swej części składa się z takich jednostek i z takich gmin, to słusznie mógłby uchodzić za niecywilizowany, dziki.

Pomijamy tu różne refleksye, jakie się nasuwają wobec myśli, że się jest członkiem narodu ciemnego, niecywilizowanego, dzikiego...

Naród taki, o ile doszedł do cywilizacyjnej świadomości w tej szczęśliwszej mniejszej swej części, obowiązek ma ścisły dołożyć wszelkich starań, aby upośledzona większa jego część wyszła ze stanu ciemnoty. Obowiązek powyższy spada na wszystkie jednostki owej części mniejszej, a obowiązek tem ściślejszy i tem wyraźniejszy, im są one więcej cywilizowane, im większą osiągnęły świadomość swej kultury. Jednostki wybitniejsze, zdolniejsze, światlejsze winny ze wszelką energią zabrać się do tego, aby szerzyć oświatę wśród warstw nieoświeconych. Winny ku temu zmierzać nie tylko pouczając jednostki nieoświecone w najbliższem swem otoczeniu, ale nadto łącząc się w stowarzyszenia w tym celu organizowane, aby nieść oświatę w ciemne warstwy narodu.

Jeśli zaś stowarzyszenie podobne już istnieje, to te wyższe jednostki winny usilnie o to się starać, aby przez własny w niem współudział i własną pracą stowarzyszeniu umożliwić i ułatwić spełnianie zadań cywilizacyjnych, jakie na siebie wzięło.

Przed dwudziestu prawie laty za inicyatywą kilku jednostek, świadomych obywatelskich swych obowiązków, powstało „Towarzystwo oświaty ludowej we Lwowie“. Stowarzyszenie to postawiło sobie za zadanie: przyczynić się do rozbudzenia oświaty w kraju naszym. Środki do tego celu są, według statutu Towarzystwa, następujące:

„*a)* Zakładanie czytelń bezpłatnych, wypożyczalń i bibliotek publicznych, zaopatrywanie takowych w pożyteczne książki i czasopisma, tudzież wspieranie już istniejących czytelń i bibliotek. *b)* Urządzanie w tychże czytelniach głośnego czytania z czasopism i książek, w czytelni się znajdujących. *c)* Urządzanie publicznych odczytów z przedmiotów użytecznych. *d)* Rozdawanie dziełek popularnych jakoteż nagród w książkach celującym uczniom szkół ludowych. *e)* Zakupno w większej ilości książek i sprzedaż ich po nizkich cenach bez zysku. *f)* Wydawnictwo dziełek ludowych, pism patryotycznych i tym podobnych publikacyj. *g)* Premiowanie nauczycieli, odznaczających się gorliwością około krzewienia oświaty. *h)* Wspieranie wszekich prywatnych usiłowań pod tym względem podejmowanych".

Jak z programu widać, stowarzyszenie to mogłoby rzeczywiście przyczynić się znakomicie do oświecenia ciemnej części kraju, gdyby część jego oświecona szczerze a energicznie zabrała się do rozwoju „Towarzystwa oświaty ludowej". Towarzystwo to, jak każde stowarzyszenie, osobę stanowi moralną, a jej byt cały, życie i działalność zależy od jednostek, tych mianowicie osób fizycznych, które w skład jej wejść mają i wchodzą.

Niesłuszne są uskarżania się i utyskiwania na dotychczasowy brak energii i niezdolność „Towarzystwa oświaty ludowej". Czyja w tem wina? Tych oczywiście dzielnych i energicznych jednostek, które do Towarzystwa nie wstąpiły, aby rozbudzić w niem życie i rozwinąć działalność należytą. Przez 20 lat swego istnienia Towarzystwo mogło więcej zrobić dla oświaty kraju naszego. To pewna. Ale i to pewna, że nie było to łatwem wobec obojętności na jego losy oświeconych członków naszego społeczeństwa.

Obojętności tej przypisać należy wprowadzenie w życie dotychczas małej tylko cząstki programu. Dobre i to, co się zrobiło, ale tego wszystkiego za mało, przerażająco za mało. Tem większa cześć się należy i uznanie nielicznej garstce dotychczasowych pracowników Towarzystwa, że trudnościami i brakiem pomocy i poparcia nie dali się odstraszyć, ale wytrwale pracowali w szczupłym przynajmniej zakresie cząstki swego programu. O pozytywnych dowodach tej ich pracy dotychczasowej świadczy wymownie ostatnie urzędowe sprawozdanie Wydziału Towarzystwa. Dowiadujemy się z niego, że staraniem Towarzystwa powstało i pod jego zawiadywaniem zostaje czterysta czytelń lub biblioteczek domowych rozrzuconych po całym kraju.

Cześć i uznanie wyrazić tu musimy nie tylko Towarzystwu oświaty

ludowej, co założyło te biblioteczki i czytelnie, ale tym zwłaszcza wszystkim, co bezinteresownie wzięli na siebie kierownictwo owych czytelń ludowych. Między tymi kierownikami przeważnie widzimy nauczycieli i nauczycielki szkół ludowych. Nie bacząc na najlichsze, jakie tylko da się pomyśleć, uposażenie materyalne, nie szczędzą trudów i kłopotów, byle krzewić oświatę wśród ciemnych mas ludu.

Ostatnie sprawozdanie Towarzystwa w gorących słowach odzywa się do wszystkich, którym dobro kraju leży na sercu, o poparcie, wzywa do wpisywania się w szeregi członków i do wspólnej pracy nad krzewieniem oświaty.

Odezwa ta nie przebrzmi bez oddźwięku czynnego a skutecznego. Społeczeństwo nasze oświecone nie może obojętnie patrzeć na szlachetne usiłowania drobnej garstki, podjęte w dobrej i świętej sprawie. Gorąca miłość do kraju przysporzy niezawodnie Towarzystwu tysiące i dziesiątki tysięcy nowych członków i współpracowników, którzy z niego zrobią pierwszorzędną instytucyę cywilizacyjną[1].

Kiedy Towarzystwo nie na dziesiątki, jak dotąd, ale na dziesiątki tysięcy, zacznie rachować swych czynnych członków, wtedy możliwem będzie wprowadzenie w życie całego już programu, nietylko małej jego cząstki, jak niestety dotychczas. Wtedy będzie można przedewszystkiem wprowadzić w życie działania, objęte szerokiemi ramami ostatniego punktu § 2 Statutu, według którego Towarzystwo oświaty ludowej wspierać ma wszelkie prywatne usiłowania podejmowane w celu krzewienia oświaty.

Pragnęlibyśmy gorąco, aby Towarzystwo te usiłowania skierowywało głównie ku prywatnemu nauczaniu czytania i pisania po siołach i chatach. Dobre są czytelnie ludowe, ale trzeba się starać o to, aby z tych czytelń mogli korzystać ci, którzy dotychczas należą do owej upośledzonej, ciemnej, większej części ludności kraju naszego.

Ks. S. Kobyłecki

---

[1] Po statut i jakiekolwiek objaśnienia należy się zgłaszać do Towarzystwa oświaty ludowej we Lwowie ul. Czarnieckiego l. 28. — Członkowie wspierający płacą rocznie 5 fl.; członkowie czynni tylko 2 fl.

Druk ukończono 29 lipca 1901 r.

ZAGRANICZNY HANDEL AUSTRO-WĘGIER.

Ogólny rzut oka na bilans handlowy. — Eksport drzewa. — Wywóz jaj. — Handel zbożem, a zwłaszcza pszenicą i jęczmieniem. — Eksport zwierząt domowych. — Przywóz wina. — Handel zagraniczny Galicyi. — Stosunek z krajami bałkańskimi.

Anglia, Niemcy, Francya i Włochy mają już od szeregu lat bierny, natomiast Stany Zjednoczone, Rosya i Austrya mają bilans handlowy czynny; najbardziej biernym jest bilans angielski (na 3108 milionów marek w r. 1899), najbardziej czynnym bilans Stanów Zjednoczonych (na 1907 milionów marek w r. 1899)[1]. Bilans niemiecki jest biernym i to od r. 1897 na kwotę przewyższającą miliard marek.

Chcąc porównywać austro-węgierski bilans handlowy z poprzednimi trudno sięgać poza rok 1876, ponieważ dawniejsze zestawienia statystyczne różnią się zasadniczo od późniejszych co do metody zbierania dat; dla przykładu wystarczy przypomnieć, że przed r. 1876 słód i jęczmień wliczano do jednej i tej samej pozycyi, dopiero później wykazywano osobno te dwa produkta w zestawieniach statystycznych. Warto przy tej sposobności przypomnieć, że statystyka austryacka dopiero od r. 1891 wykazuje dokładnie proweniencyę towarów do Austryi sprowadzanych, jakoteż miejsce przeznaczenia towarów z Austro-Węgier wywożonych.

W ostatniej ćwierci wieku (1876—1900) wartość towarów wywiezionych, wedle obliczeń austryackiego ministerstwa handlu, przewyższa okrągło o 5250 milionów koron wartość towarów

[1] Por. Georg Gothein: *Der deutsche Aussenhandel.* Berlin 1901. Str. 7 i n.

z całej kuli ziemskiej do Austro-Węgier przywiezionych, a zatem średnia roczna przewyżka wartości eksportu nad importem wynosiła w ubiegłem dwudziestopięcioleciu 210 milionów koron. Oczywiście między oddzielnemi latami są znaczne różnice: najkorzystniejszy dla austro-węgierskiego bilansu handlowego jest r. 1888, wykazujący nadwyżkę wywozu w kwocie 391 milionów koron; w dziesięć lat później bilans handlowy monarchii pogorszył się o 415 milionów koron, r. 1898 wykazuje bowiem przewyżkę wartości importu nad wartością eksportu w kwocie 24 milionów koron. Jest to zresztą jedyny wypadek bierności bilansu handlowego monarchii w ubiegłem dwudziestopięcioleciu.

Między rokiem 1876 a 1900 pięciokrotnie bilans handlowy wykazał nadwyżkę na korzyść Austro-Węgier, przewyższającą kwotę 300 milionów koron, są to lata 1886, 1888, 1889, 1890 i 1891. Bilans z r. 1886 wykazuje 318 milionów koron nadwyżki, silniejszy eksport tłumaczy się do pewnego stopnia tem, że rząd niemiecki miał zamiar podnieść wysokość ceł w r. 1887, zapowiedzi zaś tego rodzaju towarzyszy prawie zawsze zwiększenie ruchu handlowego, ponieważ kupcy gromadzą większe zapasy towarów sprowadzanych za opłatą jeszcze nie podwyższonego cła.

Te wielkie nadwyżki znikły w chwili nadania mocy obowiązującej traktatom grudniowym, przecie w roku 1891 nadwyżka na korzyść Austro-Węgier wynosi 345, w roku następnym tylko 200 milionów koron, pogorszenie zatem w pierwszym roku nowej ery handlowo-politycznej doszło do 145 milionów koron.

Na epokę traktatów grudniowych przypada nie tylko jedyny wypadek bierności naszego bilansu handlowego, ale także tu szukać należy dwóch jedynych lat, w których nadwyżka eksportu spada poniżej stu milionów koron, są to lata: 1895 z 38·6 i 1897 z zaledwie 21·96 milionami koron nadwyżki. W r. 1876 wartość wywozu wynosiła 1190456144, a przywozu 1068556652 koron bez uwzględnienia obrotu w kruszcach szlachetnych, dotyczące liczby za r. 1900 wynoszą 1912891506 i 1683482293 K. Od r. 1876 do r. 1900 włącznie wzrósł zatem wywóz o 60%, a przywóz o 57% w porównaniu z r. 1876. Pamiętać jednak trzeba, że, jak to już wspomnieliśmy, austro-węgierskie

terytoryum cłowe doznało rozszerzenia w czasie porównaniem objętym, porównanie zatem nie jest zupełnie ścisłem. Dochód z ceł, który w r. 1876 wynosił zaledwie 19·046 milionów złr., doszedł w r. 1899 do 57·734 milionów złr. w złocie, *maximum* dochodu celnego przypada oczywiście na rok biernego bilansu handlowego tj. na r. 1898, dochód celny przyniósł wówczas wspólnemu skarbowi państwa poważną kwotę 69·704 mil. złr. w złocie [1].

Obrót handlowy Austro-Węgier z zagranicą jest znacznie słabszy, niż obroty handlowe innych państw. Wywóz wynosił w milionach marek:

	w r. 1891	w r. 1899
Anglii . . .	4944	5293
Niemiec. . .	3175	4414
Francyi. . .	2956	3119
Austro-Węgier	1338	1582

Wywóz Austro-Węgier wykazuje zatem na pierwszy rzut oka w porównaniu z wywozem niemieckim różnicę na niekorzyść Austryi, znacznie większą, niżby wypadało w stosunku do obszaru i zaludnienia; okazuje się również z tych liczb, że obrót handlowy Austro-Węgier rozwija się wolniej, niż Niemiec.

Handel zagraniczny małej Holandyi jest znacznie większy, niż austro-węgierski, którego rozmiary są bardzo zbliżone do belgijskiego. Jeżeli weźmiemy pod uwagę kwestyę, gdzie Austrya wywozi towary przez siebie wyrabiane i skąd sprowadza wytwory jej potrzebne, uderzy nas od razu fakt ścisłej łączności gospodarczej między Austro-Węgrami a Niemcami. W r. 1899 37·17% wartości wszystkich towarów importowanych do Austryi pochodziło z Niemiec, a 48·14% wartości wszystkich eksportowanych wytworów znalazło zbyt w Niemczech. Objaw ten bynajmniej nie jest chwilowym, przeciwnie jest to zjawisko stałe w austryackiej statystyce handlowej. Zdaje się, że w czasie trwania obecnych traktatów grudniowych łączność ta wzrosła. W r. 1891 liczby dotyczące były mniejsze, wynosiły wówczas

[1] W cyfry dochodu celnego jest także wliczony nieznaczny dochód z ceł wywozowych, wynoszący np. w r. 1899 — 10084 złr. w złocie.

35·86% i 47·34%. W następnych latach widać niestałą wprawdzie, ale przecie niezaprzeczalną tendencyę do małego wzrostu.

Doniosłość tego związku gospodarczego między Austro-Węgrami a Niemcami wystąpi jeszcze jaskrawiej na jaw, jeźli uwzględnimy nie wartość, lecz ilość i ciężar towarów. Te dane biorąc w rachubę, stwierdza Philippovich [1], że w r. 1899 72·2% całego importu Austro-Węgier pochodziło z Niemiec i że 78·9% całego eksportu Austro-Węgier znalazło zbyt na targach niemieckich. Swoją drogą Niemcy nie są miejscem konsumcyi wszystkich towarów z Austro-Węgier do Niemiec wywożonych, dla pewnej ich części kupiec niemiecki, a zwłaszcza hamburski jest tylko pośrednikiem, który towary te odsprzedaje do Anglii lub krajów zamorskich.

Zależność handlowo-polityczna od Niemiec występuje także na jaw wtedy, gdy weźmiemy pod uwagę stosunki transportowe. Droga do Atlantyku prowadzi przez Niemcy, to też, gdy w r. 1879 rozbiły się rokowania z Niemcami o zawarcie traktatu, a gdy poprzednio jeszcze Niemcy podwyższyły swe taryfy, Austrya z pośpiechem zabrała się do budowy kolei przez Arlberg, oraz do ożywienia ruchu handlowego w Tryeście i Fiume celem częściowego zaradzenia złemu.

Wymiana towarów z innymi państwami jest oczywiście znacznie mniej ożywioną. Po cesarstwie niemieckim największą doniosłość dla Austryi ma stosunek z Anglią i z Włochami, ale wartość importu z Anglii jest mniej więcej cztery razy mniejszą, jak wartość przywozu z Niemiec, wynosiła bowiem w r. 1899ym 9·20% całej wartości importu z zagranicy do Austryi; a co się tyczy wywozu, to w r. 1899-ym 8·87% całej wartości eksportu austro-węgierskiego znalazło zbyt na targach angielskich, a więc wywóz do Niemiec był przeszło pięć razy większym. Trzecie miejsce zajmują Włochy, którym sprzedała monarchia w r. 1899-ym 7·71% swego całego eksportu, a pobrała od nich 7·42% całego przywozu. Przewaga stosunku z Niemcami jest zatem bardzo znaczną.

Stosunek ten jest niestety jednostronnym. W r. 1899 Niemcy

[1] *Beiträge zur neuesten Handelspolitik Österreichs.* (*Schriften des Vereines für Socialpolitik,* B. XCIII) Vorrede str. VI.

sprzedały Anglii towarów za 851, Austro-Węgrom za 466, Rosyi za 437, Stanom Zjednoczonym za 378 milionów marek. Eksport niemiecki do Austryi stanowi mniej więcej 10—11% ogólnej wartości niemieckiego wywozu, oczywiście zatem, że uregulowanie stosunków handlowych między Austro-Węgrami a cesarstwem niemieckiem ma *caeteris paribus* większe znaczenie dla Austryi, niż dla Niemiec. Z drugiej strony wprawdzie bilans handlu Austro-Węgier z Niemcami jest stale czynny, a Niemiec z Austro-Węgrami stale bierny, ale w każdym razie mniej bierny, niż bilans handlu niemieckiego z Rosyą, a zwłaszcza ze Stanami Zjednoczonymi, które w r. 1899 dostarczyły Niemcom towarów za 907 milionów marek; bilans w handlu Niemiec z Austryą poprawia się, zdaniem Gotheina, natomiast w handlu z Rosyą, a zwłaszcza ze Stanami Zjednoczonymi, pogarsza się.

Najważniejszą pozycyą w wywozie Austro-Węgier jest niewątpliwie eksport drzewa[1], jeszcze w r. 1891 cukier zajmował pierwsze miejsce, wywieziono bowiem wówczas cukru za 166 milionów koron, a drzewa tylko za 127·2 milionów, ówczesny

---

[1] Z obfitej literatury, dotyczącej zagranicznego handlu drzewem, wymieniam najważniejsze prace (z pominięciem urzędowych publikacyj).

Johann Eisler: *Handel und Verkehr mit Forstproducten* w *Geschichte der österreichischen Land- und Forstwirthschaft und ihrer Industrien 1848—1898.* Wien 1899, t. IV, str. 316–347.

J. S.: *Die Stellung der Holzbranche zu den Holzzöllen* w *Beiträge zur neuesten Handelspolitik Österreichs.* (*Schriften des Vereins für Socialpolitik,* B. XCIII, str. 213—227).

Adolf Guttenberg: *Zum Kampfe der Holzindustriellen gegen unsere Holzausfuhr. — Mittheilungen der österreichischen Centralstelle Nr. 71.* Wien 1900. *Verhandlungen des österreichischen Forstcongresses 1887,* str. 180—244. Kongres leśników obradował także w bieżącym roku nad sprawą ceł na drzewo. Obrady te jednak, w których miałem sposobność zabrać głos imieniem galicyjskich uczestników, dotychczas nie zostały ogłoszone drukiem.

Z prac dotyczących specyalnie Galicyi wymienić należy:

Maryan Małaczyński: „Handel drzewem“ w dziele: „Powszechna wystawa krajowa 1894 r. i siły produkcyjne kraju“ str. 123—130, oraz zeszłoroczny memoryał Gal. Tow. leśnego przedłożony ministerstwu rolnictwa, a w znacznej części przedrukowany w książce Ludwika Frankla, wydanej przez Austryacki Związek Towarzystw rolniczych: *Die Wünsche und Forderungen der österreichischen Land- und Forstwirthschaft auf dem Gebiete der Zoll- und Handelspolitik des Eisenbahntarif und Veterinärwesens.* Wien 1901.

wywóz drzewa, stanowiący 8·1% całego eksportu monarchii, był niemal równy eksportowi zboża, oszacowanemu również na 127·2 milionów. W r. 1899 drzewo zajmuje pierwsze miejsce z kwotą 232·6 milionów koron, która w r. 1900 wzrasta do blizko 250 milionów, przewyższa zatem niemal w trójnasób wywóz zbóż wszelkiego rodzaju, wynoszący w r. 1899 tylko 82·3 mil. K.; wartość eksportu drzewa stanowi w r. 1899 ósmą część całej wartości wywozu austro-węgierskiego (12·5%). Jeżeli ogólną cyfrę eksportu drzewa rozłożymy na jej oddzielne składniki i porównamy wyniki ostatniego roku z datami za całe ubiegłe dziesięciolecie, to przekonamy się, że wszelkie gatunki drzewa, wyszczególnione w statystycznym wykazie towarów, biorą udziały w dążności zwyżkowej wywozu z wyjątkiem drzewa opałowego, które dopiero w r. 1900 wykazuje znaczniejszy przyrost i to w eksporcie do Niemiec; jest to zresztą zupełnie naturalnem.

Wywóz drzewa opałowego ma wyłącznie znaczenie lokalne, występuje przeważnie w charakterze obrotu granicznego. Najbardziej wzmógł się eksport materyału surowego *(rohes Werkholz, hart und weich)*, a mianowicie z 9 milionów ctm w r. 1890 na 19 w r. 1899 a na 20 w r. 1900; wywóz materyału tartego nie wzrósł w tym stopniu, aczkolwiek traktaty cłowe zawierają zniżkę celną w tej a nie w poprzedniej pozycyi, eksport materyału tartego w r. 1890 wynosił $8^1/_2$, w r. 1899-ym 13·4, a w r. 1900-ym 14·6 milionów ctm.

Wywóz okrąglaków skierowany jest w wyższym stopniu do Niemiec, niż wywóz materyału tartego. W r. 1899 eksportowano do Niemiec 15 milionów ctm okrąglaków, a materyału tartego 4·2 miliony ctm. Dla właściwej oceny tych cyfr uwzględnić trzeba zwyżkę cen drzewa i fakt, że do wytworzenia 13·4 milionów ctm materyału tartego, wywiezionego z Austryi w r. 1899, trzeba było zużyć mniej więcej 27 milionów ctm surowca drzewnego.

Przywóz drzewa do Austryi: 1·88 milionów ctm w r. 1899, wartości około ośmiu milionów koron, jest bez większego znaczenia, w ostatniem dziesięcioleciu przywóz nie ulegał znacz-

niejszym zmianom. Rosya importuje trochę drzewa opałowego na Podole galicyjskie, a Rumunia dostarcza surowca pewnej grupie tartaków siedmiogrodzkich, część sfer przemysłowych obawia się jednak w przyszłości konkurencyi amerykańskiej, na razie już odgrywającej wielką rolę wobec austro-węgierskiego drzewa na targu niemieckim, ale jeszcze nie na naszym wewnętrznym targu.

Znaczenie eksportu drzewa dla Austro-Węgier podnosi jeszcze okoliczność, że w r. 1899 wywieziono wyrobów drzewnych za 44·3 milionów K.; wprawdzie doniosłość tej pozycyi oceniać należy raczej wedle wartości pracy zużytej na wyrób tych towarów, a nie wedle wartości materyału surowego, potrzebnego do wyprodukowania towaru; ale niewątpliwie i ta druga okoliczność nie jest bez znaczenia, zwłaszcza np. przy t. zw. zwyczajnych wyrobach drzewnych *(gemeinste Holzwaare)*, których wywieziono w r. 1899 za mniej więcej 10 milionów K., wartość materyału odgrywa ważną rolę.

Eksport materyału tartego okazuje wyraźną stagnacyę, a nawet dążność zniżkową do r. 1895 włącznie, dopiero pomyślna konjunktura przemysłowa w Niemczech, którą Austya umiała wyzyskać, spowodowała nagły i silny wzrost importu drzewa tartego austryackiego do Niemiec. W ostatnich pięciu latach wzrost był tak silny, że w r. 1900 wartość materyału tartego, dostawionego z Austro-Węgier przewyższyła po raz pierwszy import szwedzki. Jest rzeczą charakterystyczną, że i w czasie, gdy eksport austryackiego materyału tartego, a mianowicie w latach 1891—1895, okazują tendencyę zniżkową, eksport rosyjski i szwedzki do Niemiec okazują się daleko odporniejszymi wobec stagnacyi w owoczesnym niemieckim handlu drzewem. Już o poprzednim dziesięcioleciu (1881—1890) zauważył Bazant (l. c. str. 110), że Rosya okazała się daleko mniej czułą niż Austrya na podwyższenie niemieckich ceł drzewnych. Urzędowe wykazy statystyczne stwierdzają, że w pierwszych pięciu miesiącach bieżącego roku w porównaniu z pięciu pierwszymi miesiącami zeszłego roku nastąpiła zniżka w eksporcie

materyału tartego o 200 tysięcy ctm wartości przeszło 4 mil. K. — w cyfrach tych znać wpływ pogarszającej się w Niemczech konjunktury. Wywóz jednak surowego materyału wykazuje pewną zwyżkę w porównaniu z tym samym okresem poprzedniego roku.

Galicya nie posiada statystyki swego handlu z zagranicą i z innemi prowincyami monarchii, uprawdopodobnić jednak można na podstawie opinii ludzi praktycznie obznajomionych z faktycznym stanem gospodarczym kraju twierdzenie, że dla Galicyi handel drzewem ma większe znaczenie ekonomiczne, niż dla Austryi, wziętej pod uwagę jako całość. Drzewo stanowi ósmą część wartości wywozu austro-węgierskiego, gdybyśmy mogli obliczyć wartość eksportu galicyjskiego, okazałoby się prawdopodobnie, że drzewo stanowi znacznie więcej, niż jednę ósmą część naszego wywozu.

Galicyjskie towarzystwo leśne we wspomnianym memoryale oblicza, że kraj nasz ma rocznie 70 tysięcy wagonów drzewa na sprzedaż, z czego 30 znajduje zbyt w kraju, a zatem przedewszystkiem w miejscowych tartakach, gdy 40 tysięcy aż za granicą, z tych 10 tysięcy wagonów spławia się Dniestrem i Prutem do Rosyi, małą część Wisłą do Niemiec, a dla reszty tj. 30 tysięcy wagonów posługiwać się trzeba transportem kolejowym.

Galicya zachodnia wywozi 35% swej produkcyi do zachodnich krajów koronnych, 50% do Niemiec (przeważnie na Śląsk pruski), 15% ku Czarnemu morzu, do Batum, europejskiej Turcyi i t. d. Wschodnia Galicya odstępuje zachodnim krajom koronnym 10, Niemcom 20, a na Wschód 70% swej produkcyi. Część eksportu na Wschód idzie z Odessy *per mare via Gibraltar* do Rotterdamu. Obecnie zmieniły się stosunki z powodu zniżenia austryackich taryf; towar wschodnio-galicyjski przeznaczony na Zachód przestał niemal całkiem używać tej drogi wodnej.

W tym obrachunku Galicyjskie towarzystwo leśne, o ile mi wiadomo, nie uwzględnia wywozu materyału tartego. Trochę światła na dawniejsze stosunki w handlu drzewem rzucają prace prof. Tadeusza Pilata o handlu Galicyi i Bukowiny z cesar-

stwem niemieckiem, ogłoszone w t. X i XIII „Wiadomości statystycznych“, a oparte na niemieckiej statystyce kolejowej. Wedle Pilata wywóz drzewa z Galicyi i Bukowiny do Niemiec wynosił z wliczeniem materyału tartego:

w r. 1885 . . .	4438	wagonów
1886 . . .	6310	„
1887 . . .	6970	„
1888 . . .	10653	„
1889 . . .	16746	„
1890 . . .	18240	„

Powiedzieliśmy, że Austrya spieniężyła w r. 1899 przeszło 48% swego eksportu w Niemczech. Biorąc pod uwagę wyłącznie drzewo, przekonamy się, że Austrya pozbyła w Niemczech blizko 60% tego towaru (stosunek przy materyale surowym wynosi około 75%). Jest prawdopodobnem, że Galicya wywozi do Niemiec więcej, niż 60% drzewa na eksport rok rocznie przeznaczonego — kraj nasz przecie wywozi stosunkowo dużo materyału surowego. Jeżeli uwzględnimy doniosłość drzewa dla naszego bilansu handlowego, trudno oprzeć się wnioskowi, że dla Galicyi ukształtowanie się stosunku handlowo-politycznego do Niemiec ma większe znaczenie gospodarcze, niż dla Austro-Węgier jako całości. Zresztą dominujące znaczenie targu niemieckiego dla Galicyi występuje na jaw także w innych grupach towarów, do których z kolei przystępujemy.

Cukru wywiozła Austrya w r. 1899 za 173 milionów koron (9·2% wartości wywozu), z czego blizko połowę zakupiła Anglia, z innych krajów importują austryacki cukier w znaczniejszych ilościach Turcya, angielskie Indye, Szwajcarya i Włochy. W r. 1891 wartość eksportu wynosiła 166 milionów koron. Import jest bez znaczenia.

Trzecie miejsce zarówno w przywozie jak w wywozie zajmuje węgiel, a mianowicie za r. 1899 w wywozie z kwotą 85·9 (4·6% całego wywozu), a w przywozie z kwotą 83·9 milionów koron (5·2% przywozu), bilans handlowy w węglu stale się pogarsza, wzrost bowiem eksportu nie dorównywa wzrostowi importu, który w r. 1891 wynosił tylko 48·8 milionów koron.

Natomiast bilans w handlu jajami, których wywóz zajął w r. 1899 czwarte miejsce z kwotą 85·2 milionów koron (4·6% wywozu) daje szybko wzrastające nadwyżki: w r. 1891 bowiem eksport wynosił tylko 32 miliony koron, — prawda, że w tym samym czasie import wzrósł z 0·4 na 27·3 miliony koron (1·7% importu). Przeszło trzy czwarte tego towaru pochodzi z Rosyi, a idzie do Niemiec. Wywóz do Niemiec wzrósł z 0·36 w r. 1891 na 0·876 milionów ctm w r. 1899; pewna część jaj idzie zapewne z Niemiec dalej na Zachód, do Anglii i t. d. W r. 1900 nastąpiła dalsza zwyżka w ilości eksportu, tem bardziej korzystna dla bilansu, że równocześnie nastąpiła zniżka w ilości importu. Wartość eksportowanych jaj w r. 1900, obliczono aż na 99 milionów koron, uwzględnić jednak należy, że ta znaczna zwyżka w kwocie 14 milionów koron pochodzi częściowo tylko ze zwyżki w ilości eksportu, częściowo zaś z powodu wyższego oszacowania wartości wywiezionych jaj. Towar rosyjski bywa sortowany w kraju, przyczem mniejsze, a zatem mniej wartościowe jaja, niemające zbytu za granicą, bywają przeznaczone na konsumcyę miejscową; podobny objaw powtarza się przy obrocie mlewem.

Bilans handlowy Austro-Węgier w zbożu stale się pogarsza; w roku 1891 wywieziono zboża za 127 (8·1% eksportu), w r. 1899 za 82·3 miliony koron (4·4% wywozu), a przywieziono za 14·4 (1·1% importu) i za 31·7 milionów koron (2% przywozu). Wyjątkową zupełnie rolę odgrywa rok 1898, ponieważ rok poprzedni był rokiem wielkiego nieurodzaju: wówczas przywieziono zboża za 146·5 (18·9% importu), a wywieziono zaledwie za 64 milionów koron Dochód z ceł zbożowych w r. 1898 wynosił 13·3 milionów koron, a zatem o przeszło 10 milionów więcej, niż dwa lata temu. Tu szukać należy głównej przyczyny bierności bilansu handlowego monarchii w r. 1898. Także nadzwyczaj małe nadwyżki lat 1895 i 1897 są wywołane w znacznej mierze niekorzystnym stanem bilansu zbożowego.

Nie wszystkie oczywiście gatunki zboża równomiernie biorą udział w pogarszaniu się ich ogólnego bilansu; nie dotyczy to

przedewszystkiem jęczmienia[1], aczkolwiek ustępstwa cłowe Niemiec właśnie w tym wypadku były nieznaczne.

W r. 1884 porównanie ilości dowiezionej do Austryi pszenicy z ilością wywiezioną tego samego towaru, wykazuje małą przewyżkę 17·7 tysięcy ctm na korzyść dowozu, zestawienie jednak wartości pieniężnej obu tych pozycyj wykazuje małą przewyżkę w kwocie 2·2 miliony koron na rzecz wywozu[2], zapewne dla tego, że przy ocenianiu wartości towaru wywiezionego brano za podstawę wyższą jednostkę wartości, niż przy obliczaniu importu. A zatem w r. 1884 bilans handlowy w pszenicy już był biernym, objaw to jednak wówczas wyjątkowy. W następnych latach stosunek eksportu do importu stale się poprawia na korzyść wywozu, a w roku 1888 przewyżka eksportu nad importem doszła do 4130 tysięcy ctm, wartości około 70 milionów koron. Liczba ta jest przełomową: odtąd bilans prawie stale z roku na rok się pogarsza, przewyżka maleje, a w r. 1897 bilans staje się biernym. Fakt ten powtarza się w latach 1898, 1899 i 1900. Schweitzer[3] i inni przedstawiciele kierunku agrarnego powołują się dla wytłumaczenia tego zjawiska przedewszystkiem na nieurodzaj z r. 1897. Nie ulega wątpliwości, że silny przywóz zboża wszelkiego rodzaju, a zatem także i pszenicy, w r. 1898 jest zjawiskiem wyjątkowem, ale i w następnych dwóch latach bilans nie stał się czynnym; prawda, że przewyżka importu z 39 milionów koron w r. 1898 spadła na 2·5 miliona koron w r. 1900. Porównywając wyniki roku 1898 z r. 1888, dochodzimy do wniosku, że bilans pszenicy pogorszył się o 109 milionów koron. Pozycya ta stanowi przeszło czwartą część ogólnego pogorszenia się bilansu austro-węgierskiego z r. 1888 w porównaniu z r. 1898, wynoszącego, jak to już nadmieniliśmy, 415

---

[1] Pod tym względem Austro-Węgry znajdują się obecnie w podobnej fazie rozwoju, jak np. Królestwo. Por. Władysław Żukowski: „Bilans handlowy Królestwa Polskiego". Warszawa 1901. Str. 23 i nast.

[2] Por. dzieło wydane przez austryackie ministerstwo rolnictwa: *Das Getreide im Weltverkehr*, str. 165 i 169.

[3] Dr. Karl Allesina von Schweitzer: *Die handelspolitischen Interessen der österreichischen Landwirthschaft* w *Beiträge zur Handelspolitik Österreichs* (*Schriften des Vereins für Socialpolitik*, B. XCIII, Leipzig 1901). Str. 161.

milionów koron. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę nietylko pszenicę, ale także i inne gatunki zbóż, to przekonamy się, że bilans handlowy w zbożu w r. 1888 był czynnym na przeszło 149 milionów koron, a w dziesięć lat później był biernym na przeszło 82 milionów koron. Pogorszenie zatem w bilansie zbożowym wynosi blizko 233 milionów koron, co stanowi przeszło połowę ogólnego pogorszenia się bilansu monarchii z r. 1888 w porównaniu z r. 1898, a przecież w r. 1888 import kukurudzy i prosa przewyższa wywóz.

Małe znaczenie stosunkowo wielkiej, bo 30% zniżki celnej dla pszenicy, uzyskanej w traktatach grudniowych, charakteryzuje najlepiej nagły spadek przewyżki eksportu, wynoszącej w r. 1891-ym 35 milionów koron na 12·5 miliona koron w roku następnym. Spadek ten nie jest bynajmniej chwilowym, dalsze lata wykazują coraz to mniejsze przewyżki, a począwszy od r. 1897 deficyty. Przy ocenie przyczyn pogorszenia się bilansu pszenicy należy wziąć pod uwagę także przyrost wewnętrznej konsumcyi (wzrost ludności i potrzeb), ustanie w r. 1894 wojny celnej między Niemcami a Austryą, wreszcie w najnowszych czasach zniesienie obrotu mlewem. W przytoczonem przed chwilą dziele, wydanem przez austryackie ministerstwo rolnictwa, znajdują się liczby dotyczące wewnętrznej konsumcyi pszenicy i żyta w rozmaitych państwach europejskich, ze względu na swój sposób zbierania i obliczania, daty te mają wprawdzie tylko bardzo problematyczną wartość, można jednak przecie na ich podstawie z pewnem prawdopodobieństwem twierdzić, że średnia konsumcya wewnętrzna w Austro-Węgrzech jest mniejsza, niż w innych państwach, a zatem zdolna do silniejszego wzrostu. — Dawniej w latach normalnych Austro-Węgry wywoziły pszenicę, a w razie nieurodzaju nie potrzeba było uciekać się do importu obcej pszenicy; dziś przewyżka eksportu chyba tylko w latach bardzo urodzajnych pojawi się w bilansie; w normalnych latach Austrya będzie jedynym niemal odbiorcą pszenicy węgierskiej w Węgrzech niezużytej.

Z 81 tys. ctm pszenicy wywiezionych z Austryi w r. 1900-ym 49 tysięcy poszło do Niemiec, 20 do Szwajcaryi, 10 do Włoch,

reszta do innych krajów. Dawniej eksportowano trochę pszenicy do Francyi i Anglii; wywóz ten w zupełności ustał; w latach 1893—1897 pszenica węgierska szła głównie do Szwajcaryi, południowe Niemcy zajmowały drugie miejsce. Procentowe zmniejszenie się udziału austro-węgierskiego w ogólnym imporcie do Niemiec pszenicy (i innych rodzajów zboża) jest daleko silniejsze, jak bezwzględne zmniejszenie się, a to dla tego, że w międzyczasie rok rocznie dowóz zboża do Niemiec wzrasta bardzo silnie. Zwiększone zapotrzebowanie na targach niemieckich, oraz zmniejszony dowóz z Austro-Węgier wyszedł przedewszystkiem na korzyść Rosyi, a w drugim rzędzie Stanów Zjednoczonych, Rumunii i Argentyny, o ile chodzi o pszenicę.

W r. 1900 importowano do Austryi (pomijając wolny od cła dowóz do Dalmacyi) 280 tysięcy ctm z Serbii za opłatą niższego cła, 67½ tysiąca ctm z innych krajów, a mianowicie 34 tysiące z Rosyi, 14½ z Niemiec, a 16 z Włoch. Niemcy w imporcie pszenicy odgrywają znaczniejszą rolę dopiero od r. 1897, dawniej prym dzierżyła Rumunia, obok niej Rosya i Serbia (cyfra dla Serbii w r. 1900 jest uderzająco wielką).

To, co powiedziałem o pszenicy, tyczy się także *mutatis mutandis* żyta, którego bilans jest już stale od r. 1893 włącznie biernym. W poprzednich latach zachodziły pod tym względem częste zmiany; przewyżka wartości importu wyniosła w r. 1899-ym 2·5 a w r. 1900 blizko milion koron.

W r. 1900 wywieziono z Austryi 3715 ctm żyta, z tego 3240 do Niemiec, przywieziono w tym samym czasie 266 tysięcy ctm z Serbii za opłatą niższego cła, a 48·6 tysięcy z innych krajów za opłatą cła w normalnej wysokości a mianowicie 28·5 z Rosyi, 18·8 tysięcy z Niemiec, przywóz niemieckiego żyta datuje się od r. 1897.

Austryjacki bilans handlowy w owsie był w r. 1885 czynnym na 7 milionów koron. Od tego czasu pogarsza się: od r. 1894 włącznie jest biernym, w r. 1899 wykazuje jednak ponownie nadwyżkę na korzyść wywozu w kwocie 8 milionów koron, także i w r. 1900 eksport przewyższa przywóz, ale już tylko o 4 miliony koron. Z 331·5 tysięcy ctm owsa wywiezionych

z Austryi w r. 1900, blizko 138 tysięcy znalazło zbyt w Szwajcaryi, 128 tysięcy w Niemczech a reszta w innych krajach. Przywieziono w tym samym czasie 9146 ctm z Serbii za opłatą niższego cła, a 58233 ctm za opłatą normalnego cła z innych krajów, mianowicie: 34 tysiące z Rumunii, przeszło po 10 tysięcy z Rosyi i Turcyi, resztę z innych krajów.

Jęczmień stanowi od dłuższego czasu jedną z najważniejszych pozycyi naszego bilansu, i to pozycyi stale czynnych. Od r. 1887 przewyżka wywozu wynosi 60—80 milionów koron rocznie, aczkolwiek wyjątkowo granice te przekracza. Rok 1900 należy, pod tym względem, do mniej pomyślnych przewyżka wywozu wyniosła bowiem tylko 50 milionów koron, a zatem o 20 milionów mniej, niż w roku poprzednim. Głównym odbiorcą tego produktu są browary niemieckie; około 85% całej wywożonej ilości jęczmienia idzie rok rocznie do Niemiec, w r. 1900 wywieziono niemal trzy miliony ctm, z tego przypada na Niemcy 2·6 milionów.

Wywóz do Niemiec, bezwzględnie rzecz biorąc, utrzymuje się z roku na rok na tym samym poziomie, o stałej zwyżce lub zniżce nie może być mowy; nastąpiło jednak niewątpliwie względne zmniejszenie się wywozu do Niemiec, rozumieć to należy w ten sposób, że Niemcy obecnie sprowadzają znacznie więcej jęczmienia jak w r. 1889, ale ten wzrost importu pokrywają dostawy rosyjskie i amerykańskie, a nie austryackie. Wedle Gotheina (l. c. str, 98) w r. 1889 dostarczyły do Niemiec: Austro-Węgry 280, Rosya 341, Stany Zjednoczone 1·247 tysięcy ton, natomiast w r. 1900 Austro-Węgry 285, Rosya 381, Stany Zjednoczone 57 tysięcy ton. Objaw ten jest stałym; z każdym rokiem konkurencya rosyjska i Stanów Zjednoczonych wzrasta, aczkolwiek nie trzeba zapominać, że Rosya dostarcza do Niemiec, podobnie jak i do Austryi przeważnie jęczmienia pastewnego. Drugim z rzędu odbiorcą jest Anglia, do której wywieziono w r. 1900-ym 123 tysiące ctm, a prawdopodobnie także przeważna część eksportu do Hamburga, wykazana na r. 1900 z ilością 69 tysięcy ctm, przeznaczona jest dla Anglii. Potwierdza do pewnego stopnia ten wniosek okoliczność, że w porównaniu

z r. 1899 nastąpiła w r. 1900 zniżka wywozu do Hamburga, oraz równocześnie zwyżka wywozu do Anglii o mniej więcej tę samą ilość zwłaszcza, jeżeli uwzględnimy ogólne zmniejszenie eksportu w r. 1900. Z innych krajów jako odbiorca austro-węgierskiego jęczmienia zasługuje jeszcze na uwagę Holandya, do której wywieziono w r. 1900-ym 95·5 tysiąca ctm; dawniej wywóz do Szwajcaryi, który w r. 1893, w roku najsilniejszego wywozu jęczmienia z Austryi, wynosił 139 tysięcy ctm, odgrywał znaczniejszą rolę, odtąd jednak ciągle spadał.

Tak, jak wywóz okazuje wahania z roku na rok, wywołane prawdopodobnie głównie różnicą w zbiorach, tak samo też i przywóz podlega zmianom. Natomiast twierdzenie Schweitzera[1], że eksport i import okazują zwyżkową tendencyę, nie wydaje mi się zgodnem z cyframi urzędowej statystyki, Austrya importuje przeważnie ze Wschodu jęczmień sprzedawany zazwyczaj na paszę dla bydła (eksportuje się wyżej wartościowy jęczmień browarny[2]): w r. 1900 importowały Austro-Węgry 218 tysięcy ctm, z tego przypada 180 tysięcy na Serbię, reszta weszła do Austryi za opłatą normalnego cła; znaczniejszą pozycyę stanowi przywóz z Rumunii w ilości 31·5 tysięcy; w dawniejszych latach Rosya wykazywała większe ilości eksportu jęczmienia do Austryi i tak w r. 1894, w roku najsilniejszego przywozu jęczmienia do Austryi, eksport z Rosyi wynosi 496 tysięcy ctm, a zatem przeszło połowę całego ówczesnego importu austro-węgierskiego.

Znaczenie produkcyi jęczmienia dla bilansu handlowego Austryi ocenimy w właściwy sposób dopiero wtedy, gdy weźmiemy pod uwagę znaczny eksport słodu i piwa, produktów, w składzie których jęczmień odgrywa wielką rolę. Do wyrobu

---

[1] l. c. str. 157.

[2] Wychodząc z tego założenia wzięto za podstawę przy obliczaniu pieniężnej wartości importu w r. 1900 kwotę 10 koron za ctm., natomiast przy obliczaniu eksportu oceniono ctm. na 17·36 K — tak wielka różnica nie wydaje mi się uzasadnioną w rzeczywistych cenach targowych, aczkolwiek uwzględnić należy, że wartość importu oblicza się *loco* stacya graniczna, bez doliczenia cła i kosztów transportu ze stacyi granicznej do miejsca konsumcyi, natomiast wartość eksportu oblicza się *loco* stacya graniczna z doliczeniem kosztów dowozu do niej.

100 kg. słodu trzeba użyć 133 kg. jęczmienia, a do wyrobu jednego hektolitra piwa 20 kg. słodu. W r. 1899 wywóz słodu stanowił 2·7% ówczesnej całej wartości austro-węgierskiego eksportu, zajmował mianowicie ósme miejsce w rzędzie produktów stanowiących najznaczniejsze przedmioty wywozu z kwotą 50·5 milionów koron, która w r. 1900 obniżyła się do 50 milionów. Import nie odgrywa żadnej roli: za rok 1900 wykazany jest w statystyce austryackiego ministerstwa handlu z kwotą 950 koron, przedstawiającą wartość 38 ctm. Wywóz słodu podniósł się zwolna z 14 milionów w r. 1877 na 40 milionów w r. 1893, w następnych zaś latach wartość wywozu waha się między 48 a 50 milionami koron. Mniej więcej 60% austryackiego wywozu przypada na targi niemieckie, 20% na szwajcarskie. Wywóz piwa z Austryi stale wzrasta, w r. 1900 wartość eksportu wynosząca 15·4 miliony koron obniżyła się w porównaniu z r. 1899 o 0·3 miliony koron, nastąpiła także zniżka w ilości wywiezionego piwa, o 12 tysięcy ctm; jest to wynikiem podwyższenia cła niemieckiego z dnia 1 lipca 1900 r. W r. 1900 około 75% całego eksportu wywieziono na targi niemieckie, drugie miejsce w wywozie zajmują Włochy, ale eksport w tym kierunku stale się zmniejsza. Import piwa do Austryi przedstawiał w r. 1900 wartość $1\frac{1}{2}$ miliona koron a pochodził prawie wyłącznie z Niemiec. Pierwszych pięć miesięcy bieżącego roku wykazuje dalsze pogorszenie się bilansu zbożowego: w życie, w owsie i w jęczmieniu, którego nie zdołała zrównoważyć wcale znaczna zwyżka w pszenicy. Dla uzupełnienia poglądu na handel zbożowy wspomnę w kilku słowach o kukurydzy i mące.

Z $21\frac{1}{2}$ tysiąca ctm kukurydzy wywiezionych z Austro-Węgier przypada 17 tysięcy na eksport do Niemiec, przywieziono natomiast 525·6 tysięcy z Serbii a 1·262 miliona ctm z innych krajów. Więcej niż połowa dowozu z innych krajów przypada na Rumunię, a przeszło jedna trzecia na Rosyę. Bilans handlowy w kukurydzy był w r. 1900 bierny blizko na 13 milionów koron. Bilans jest od r. 1869 stale bierny z wyjątkiem lat: 1869, 1875, 1876, 1889, 1891, 1892.

W r. 1900 Austro-Węgry wywiozły pół miliona ctm mąki,

wartości 15 milionów koron, z czego blizko połowa przypada na Anglię, a czwarta część na eksport do Niemiec. Bilans handlowy w mące jest stale czynny, aczkolwiek od r. 1888 daje się zauważyć stała zniżka na niekorzyść Austro-Węgier, która zwłaszcza w latach bezpośrednio poprzedzających rok 1900 daje się silnie we znaki. Wyjaśnienie sytuacyi tkwi w obrocie mlewem, którego tu nie uwzględniamy, ponieważ mąka z tego tytułu wywożona w ostatnich latach przeważnie do Anglii jest pochodzenia zagranicznego rumuńskiego, serbskiego i rosyjskiego a zatem eksport mąki tej kategoryi ma znaczenie tylko dla węgierskiego przemysłu młynarskiego. Z czasem cały wywóz mąki oparł się na obrocie mlewem, to też eksport mąki poza obrotem mlewem stawał się coraz mniejszy. Z chwilą ustania obrotu mlewem od 1 stycznia 1900 r. wzmógł się nagle eksport mąki, oraz import zboża serbskiego za opłatą niższego cła, z tytułu obrotu granicznego. Wielkie młyny węgierskie w ten sposób przynajmniej częściowo łagodziły skutki zniesienia obrotu mlewem. Wzrost importu serbskiego z tego tytułu w zbożu i kukurydzy jest wprost zadziwiający. I tak przywóz jęczmienia potroił się, w pszenicy wzrost jest przeszło pięciokrotny, w życie przeszło ośmiokrotny, w kukurydzy przeszło trzechkrotny, natomiast dowozy z innych krajów znacznie zmalały. W pierwszych pięciu miesiącach bieżącego roku mamy do czynienia z bardzo znacznym wzrostem eksportu mąki w porównaniu z tym samym czasokresem poprzedniego roku. Austro-Węgry przywożą znacznie więcej prosa, niż wywożą. Nadwyżka wartości importu dochodziła w r. 1900 do 2·9 milionów koron, dostawcą głównym Rumunia, eksport niewielki, bilans handlowy od dłuższego czasu stale bierny.

Chmiel należy do czynnych pozycyj w bilansie. W r. 1900 wywieziono z Austro-Węgier 44·5 tysięcy ctm wartości 15·5 miliona koron, z czego 70% poszło do Niemiec, do Szwecyi wywieziono 2 tysiące ctm. Przywóz wynosił 6710 ctm, pochodził mniej więcej po połowie z Niemiec i Rosyi i przedstawiał wartość 1·67 miliona koron. Wywóz z Niemiec do Austro-Węgier w ostatnich czterech latach stale się zmniejsza. Austro-Węgry

pokrywają około $^4/_5$ całego importu niemieckiego, $^1/_5$ pochodzi z Rosyi. Niemcy mają bilans handlowy czynny w chmielu.

Roślin strączkowych wywieziono z Austro-Węgier w r. 1900 959 tysięcy ctm wartości 16·5 milionów koron, z czego przeszło $^1/_3$ przypada na Niemcy, przeszło $^1/_5$ na Francyę, blizko $^1/_9$ na Włochy, przeszło 8% na Stany Zjednoczone i t. d. Wartość importu nie dochodziła do miliona koron, przywóz pochodzenia przeważnie rosyjskiego.

Owoców eksportowały Austro-Węgry w r. 1900 za 15 milionów koron; z 929 tysięcy ctm, wywiezionych w tym czasie, 880 tysięcy poszło do Niemiec, przywóz wyniósł $10^1/_2$ miliona koron pochodzenia przeważnie serbskiego ($^1/_3$ ogólnej ilości) i włoskiego (blizko $^1/_3$), import świeżych i suszonych serbskich śliwek oraz włoskich pomarańcz okazuje tendencyę zwyżkową.

W warzywach wartość importu przewyższa eksport mniej więcej o trzy miliony koron w r. 1900, najważniejszym miejscem zbytu okazały się Niemcy, import zaś pochodzi głównie z Niemiec i Włoch.

Także w nasionach mamy bierny bilans handlowy; import w r. 1900 przedstawiał wartość przeszło 35, wywóz blizko 21 milionów koron; Austro-Węgry wywiozły w tym czasie $8^1/_2$ tysiąca ctm rzepaku do Niemiec, ale przywiozły za to przeszło 11 razy więcej z Rumunii. Sprowadza się wielkie ilości lnu z Rosyi, za blizko 7 milionów koron, tudzież pestek owocowych i palmowych, głównie z afrykańskich kolonii niemieckich. Bilans handlowy w koniczynie jest czynny (eksport 15·8, import 6·9 milionów koron); chodzi tu głównie o stosunek z Niemcami, którym Austro-Węgry w r. 1900 sprzedały 94, a kupiły od nich 23 tysiące ctm. Wielkim dostawcą innych gatunków nasion są Niemcy. Pierwsze miesiące bieżącego roku wykazują dalszy wzrost eksportu koniczyny.

Wywóz bydła rogatego, owiec, kóz i świń, który w r. 1894 doszedł do 166·2 milionów koron (10·4% całego eksportu), spadł w r. 1897 do 40·7 milionów koron (2·7% eksportu). W latach 1899 i 1900 nastąpiła jednak korzystna dla Austro-Węgier zmiana w tym dziale, eksport podniósł się do 61·9 względnie 62·5 mi-

lionów koron (3·3% eksportu). W r. 1894 ta grupa towarów zajmuje pierwsze miejsce w eksporcie (przed cukrem i drzewem), w r. 1899 już tylko siódme. Import przedstawia w r. 1900 wartość 22 milionów koron, coby mniej więcej odpowiadało wartości przywozu w r. 1892. Pozycya ta od r. 1892—1900 włącznie waha się między 19 a 26·8 milionami koron, wahania importu są zatem znacznie mniejsze, niż wahania eksportu.

Wywóz nasz składa się z pół miliona koron za świnie sprzedane do Szwajcaryi, z 627 tysięcy koron za owce dostawione do Francyi i do Szwajcaryi, reszta przypada na bydło rogate sprzedane prawie wyłącznie Niemcom (przeszło 40%), zwłaszcza na woły, których na 70 tysięcy sztuk eksportowano w r. 1900 z Austro-Węgier, do Niemiec poszło 67 tysięcy [1]. Wywóz baranów węgierskich do Paryża był bardzo ożywiony, póki rząd francuski zarządzeniami weterynaryjnemi nie powstrzymał go na korzyść dostaw z Algieru.

Rok 1894 był dla tego tak pomyślny dla austro-węgierskiego bilansu, że rząd niemiecki interpretował swobodnie konwencyę weterynaryjną i wpuszczał tutejszą trzodę chlewną; w miarę surowszego zastosowania przepisów konwencyi weterynaryjnej bilans się pogarsza. Rząd niemiecki, który od r. 1896 nie wpuszcza austryackiej trzody chlewnej, uznaje przywóz rosyjskiej za mniej niebezpieczny i nie zamyka dla niej swych granic. Rosyjskie urządzenia weterynaryjne cieszą się widocznie bardzo dobrą opinią u władz niemieckich, gdyż nietylko z Austro-Węgier, ale i z innych krajów np. z Holandyi, która swego czasu znaczne ilości trzody chlewnej (260 tysięcy sztuk w r. 1891) dostawiała na targi niemieckie, niemniej z Danii zakazano dowozu, jedynie Rosyę uważano za stosowne oszczędzić. Wykonywanie konwencyi weterynaryjnej względem bydła rogatego jest daleko łagodniejsze; ostatnie lata wykazują niewątpliwy wzrost eksportu węgierskich wołów do Niemiec, Galicya jednak jest ciągle zamkniętą.

[1] Dziwnym sposobem statystyka niemiecka wykazuje w tej pozycyi o mniej więcej 7000 sztuk mniej, a także w poprzednich latach cyfry te są zazwyczaj mniejsze od austryackich.

Serbia jest dostawcą zwierząt domowych dla Austro-Węgier, ze 198 tysięcy sztuk importowanych w r. 1900 przypada na Serbię 163 tysiące, są to przeważnie przeznaczone na targ budapeszteński woły, za które opłaca się cło niższe, z tytułu obrotu granicznego. Sposób wykonywania konwencyi weterynaryjnej ze strony Austryi nie powoduje wahań tak znacznych, jak przy wywozie do Niemiec.

Eksport koni wzrasta w ostatnich latach bardzo szybko: z 18·6 w r. 1891 podskoczył na 56·9 milionów koron w r. 1900; prawda, że równocześnie import wzrósł (w tym samym czasie) z 4 na 6·2 milionów koron, aczkolwiek co do ilości sztuk okazuje raczej tendencyę zniżkową. Z 67 tysięcy sztuk sprzedanych zagranicę w r. 1900: do Włoch poszło 32, a do Niemiec 14½ tysięcy sztuk. Głównymi dostawcami 3764 importowanych sztuk są Niemcy (1546) i Rosya (1483).

Handel rybami jest biernym; ryb morskich dostarczają w trzech czwartych Niemcy i Włochy w jednej czwartej; ryb rzecznych i stawowych w połowie Rumunia i w jednej trzeciej Rosya. Import ryb morskich przedstawia wartość trzech milionów koron w r. 1900, eksport tylko 13% tej sumy; w przywóz nie wliczono jednak bardzo znacznego importu śledzi niemieckich i marynat rybich, coby znowu wielce pogorszyło bilans. Korzystniejszym jest bilans w handlu rybami rzecznemi i stawowemi: w r. 1900 import 4·3, eksport 3 miliony koron, w handlu rakami mamy nawet czynny bilans: przywóz 400, wywóz 800 tysięcy koron.

Ze 133 tysięcy ctm drobiu wartości 23·4 milionów koron, eksportowanego w r. 1900, poszło do Niemiec 23 tysiące ctm, import w tym samym czasie (61 tysięcy ctm, wartości 6·4 milionów koron) pochodził w połowie z Rosyi, reszty głównie dostarczyła Serbia (18 tysięcy ctm). Ruch handlowy drobiem wzrasta szybko i stale zarówno w eksporcie, jak w imporcie; jeszcze w r. 1891 obliczano import na 130 tysięcy, a eksport na 8 milionów koron, w ugrupowaniu krajów biorących udział w eksporcie względnie w imporcie nie zaszły ważniejsze zmiany w tym czasie.

W rzędzie państw wywożących masło Austrya zajmuje czwarte miejsce po Danii, Francyi i Rosyi z 58 tysiącami ctm wartości 9·8 milionów koron w r. 1900, z czego przeszło 90% idzie do Niemiec. Import bez znaczenia (115 tysięcy koron) od dłuższego czasu nie podlegający znaczniejszym zmianom, także eksport do r. 1898 włącznie przebywał epokę stagnacyi: w r. 1898 wartość wywozu była ta sama, co w r. 1891, a ilościowo rzecz biorąc nastąpiło pewne zmniejszenie się. Dopiero dwa ostatnie lata wykazują stanowczy postęp, co stosuje się także do pierwszych pięciu miesięcy bieżącego roku.

Natomiast handel serem jest stale bierny, zagranica dostarczyła w r. 1900-tnym 33 tysiące ctm wartości 5·3 milionów koron, z czego więcej niż połowa przypada na Szwajcaryę, a przeszło jedna trzecia na Włochy; wywóz (3156 ctm wartości 40 tysięcy koron) idzie przeważnie do Niemiec. Import sera od r. 1894 powoli, ale stale wzrasta.

Różne przyczyny złożyły się na znaczne pogorszenie bilansu handlowego w winie, który jeszcze w r. 1892 był czynnym, przynajmniej co do wartości, co do ilości zaś już wówczas ilość importu była dwa razy większą, jak eksportu; wzrost przywozu łączy się ze zmniejszeniem wywozu. Z jednej strony spustoszenia w winnicach węgierskich zrządzone przez filokserę, uszczupliły eksport, z drugiej strony wojna cłowa między Włochami a Francyą odbiła się na Austro-Węgrzech zwiększeniem importu włoskich win, które wyparte z targów francuskich, wskutek podwyższenia tamtejszych ceł szukały rekompensaty w Austro-Węgrzech, korzystając przytem ze zniżenia cła od 27 sierpnia 1892 r.

Import pochodzi prawie wyłącznie z Włoch, wywóz kieruje się głównie do Szwajcaryi i do Niemiec, a mianowicie z 215 tysięcy ctm wartości 9·7 milionów koron, wywiezionych w r. 1900, poszło do Niemiec 104, a do Szwajcaryi 94 tysiące ctm; natomiast z przeszło jednego miliona ctm przywiezionych w r. 1900, pochodzi przeszło 96% z Włoch; import włoski jeszcze w r. 1891 nie dochodził ośmiu tysięcy ctm, a już w r. 1892 podniósł się na 476 tysięcy ctm; uwzględnić jednak należy, że przed r. 1892

wywożono z Włoch do Austryi wina mocniejsze i cenniejsze, wina tanie i lekkie dopiero od r. 1892 wchodzą w wielkich ilościach. Wartość importu wynosi 26·6 milionów koron w. r. 1900, a zatem bilans w winie był biernym na blizko 17 milionów koron.

Z punktu widzenia rolniczego zasługuje także na uwagę wywóz spirytusu z Austro-Węgier, który w r. 1900 wynosił 271·8 tysięcy ctm wartości 7·4 milionów koron, z czego mniej więcej po $^1/_4$ sprzedano do Turcyi, Szwajcaryi i do Tryestu, a $^1/_8$ poszła do Hamburga, a zatem znaczna część spirytusu z Austryi eksportowanego przeznaczona jest na konsumcyę zamorską. Import bez znaczenia.

Chcąc sobie urobić opinię o handlu zagranicznym Galicyi i o jej interesach wywozowych, musielibyśmy rozporządzać dokładnem obliczeniem bilansu handlowego. Wspomniane już prace prof. Pilata uwzględniają ruch kolejowy nie między Galicyą i zagranicą, lecz między Galicyą i Bukowiną a cesarstwem niemieckim, wciągnięta jest zatem Bukowina, a pominięty transport wodą, nie mówiąc już o mniejszej wagi przewozie kołowym i pocztowym; uwzględniono tylko cesarstwo niemieckie, a nie całą zagranicę. Wobec szybkiej zmiany nowoczesnych stosunków ekonomicznych daty z sześciolecia 1885—1900 mają przeważnie historyczną wartość. Najsłabszą jednak stroną tych liczb jest ich problematyczna wartość. I tak daty odnoszące się do wywozu żyta, wykazują rażące sprzeczności z cyframi urzędowej statystyki. Wedle dat kolejowych niemieckich, eksport żyta z Galicyi i Bukowiny w każdym z tych sześciu lat przewyższał kilkakrotnie wywóz z całej monarchii austro-węgierskiej, wykazany w urzędowej statystyce. Źródłem błędu jest najprawdopodobniej import rosyjskiego żyta przewożonego galicyjskiemi kolejami albo podwójne, względnie kilkakrotne liczenie towaru przy przejściu z jednej linii kolejowej na drugą. Przy innych towarach tranzyt rosyjski nie odgrywa tej roli, to też dotyczące cyfry eksportu drzewa lub innych produktów są zapewne bardziej do prawdy zbliżone. W każdym razie jednak trudno wyciągać wnioski z materyału w tych pracach zawartego.

„Wiadomości statystyczne“ zawierają prócz prac prof. Pilata także rozprawę prof. Stefana Pawlika: „Statystyka ruchu towarowego na pocztach galicyjskich w r. 1895“ (t. XVI i XVII). Jak już sam tytuł wskazuje chodzi tutaj wprawdzie nietylko o handel zagraniczny Galicyi, ale także o zakrajowy i wewnętrzny, w bardzo jednak ciasnym zakresie. Ruch towarowy na pocztach zawiera w sobie oczywiście tylko część całej wymiany towarów, zresztą daty z jednego roku nie są wolne od podejrzenia przypadkowości. Materyał ten uprawnia zatem tylko do wniosków ogólnikowych, hypotetycznych, okazuje się np., że przywieziono pocztą do Galicyi znacznie więcej sera, jak wywieziono.

Okoliczność ta uprawdopodobnia w wysokim stopniu znany skądinąd fakt bierności naszego bilansu w handlu serem, ale nie daje nam całkiem nawet przybliżonego cyfrowego wyobrażenia o rozmiarach tej bierności.

Wobec takiego stanu materyałów nie pozostaje nam nic innego, jak tylko ogólnikowo zaznaczyć, że dla Galicyi traktat z Niemcami ma większe znaczenie, niż dla Austro-Węgier, jako całość wziętych. Wynika to już poniekąd z geograficznego położenia kraju, który przecie swych płodów rolniczych nie będzie wywoził ani do Węgier, ani do Rosyi, ponieważ te kraje także eksportują produkta gospodarstwa rolnego. Galicya nie ma wielkich interesów wywozowych w zakresie przemysłu, nawet przy nafcie chodzi głównie o zdobycie targu wewnętrznego monarchii, a największym odbiorcą naszego wosku ziemnego są znowu Niemcy (przeszło 70% całego wywozu w r. 1900 poszło do Niemiec).

W ostatnich dziesięciu latach z płodów rolniczych znaczne ożywienie wywozu, jak już nadmieniliśmy, wykazują drzewo, jaja, drób i konie. W tych wszystkich czterech produktach, zwłaszcza w drzewie Galicya jest niewątpliwie wysoce interesowaną. Także w wzrastającym wywozie koniczyny Galicya ma niemały udział. Naturalnym terenem zbytu dla Galicyi zachodniej jest Śląsk pruski (wedle Pilata w sześcioleciu 1885—1890 wywieziono najwięcej drzewa do rejencyi opolskiej), tam eksportujemy warzywa i owoce (jabłka, śliwki) z Galicyi zachodniej

w ilościach prawdopodobnie szybko wzrastających, niemniej pewne ilości rzepaku. Galicya wschodnia ma wcale znaczny eksport w roślinach strączkowych, w grochu i t. d.; oprócz tego wywozi się do Niemiec stosunkowo dużo karpi i raków[1]. Rolnicy skarżą się na wywóz otrąb z Galicyi, potrzebnych na paszę dla bydła.

W ostatnich latach eksport trzody chlewnej do Niemiec był minimalny, nie można jednak wątpić w zdolność eksportową naszego kraju w tym kierunku; każdej uldze w wykonywaniu konwencyi weterynaryjnej ze strony Niemiec towarzyszy znaczny wzrost wywozu z Galicyi. Dla naszego chłopa sprzedaż trzody chlewnej jest nawet w wielu okolicach kraju czynnikiem decydującym o rentowności jego gospodarstwa.

Pogorszenie się bilansu handlowego w epoce traktatów grudniowych jest zatem przeważnie wynikiem wzrastającego importu płodów rolniczych, a zmniejszającego się ich wywozu, dotyczy to w pierwszym rzędzie bilansu w handlu zbożowym. Obrót w produktach przemysłowych nie wynagrodził tych strat. Nie jest moim zamiarem ten dział handlu zagranicznego szczegółowo omawiać, chcę tylko zwrócić uwagę na stosunek z państwami bałkańskimi: z Rumunią, Bułgaryą i Serbią, dla których Austro-Węgry są ze względu na swe położenie geograficzne naturalnym, rzec można, dostawcą fabrykatów; zresztą stanowisko Austro-Węgier pod tym względem jest do pewnego stopnia uświęcone tradycyą historyczną. Blizkie stosunki handlowe między nimi, a bałkańskimi krajami sięgają czasów, w których poddani innych państw mało trudnili się handlem w tych stronach. Wedle Grünberga[2], który zużytkowuje w swej pracy statystykę rumuńską w r. 1878, import austryacki stanowił 54·8% całego przywozu rumuńskiego, a do chwili wybuchu wojny cłowej

[1] O handlu rybami i rakami zawiera szereg informacyj rozprawa d-ra Zygmunta Fiszera: „Rybactwo", pomieszczona w dziele „Powszechna wystawa krajowa 1894". Lwów 1896, t. II, z. 7.

[2] *Die handelspolitischen Beziehungen Österreichs-Ungarns zu Rumänien, Serbien und Bulgarien.* (*Schriften des Vereins für Socialpolitik*, B. XCIII. Leipzig 1901).

udział innych państw w imporcie był znacznie mniejszy. Skutkiem wojny Austrya zeszła na trzecie miejsce, ustępując pierwszeństwa Niemcom i Anglii, w r. 1889 import austryacki stanowi tylko 13·42% całego przywozu. Traktat z Rumunią poprawił o tyle stosunki, że przywóz austryacki zrównał się mniej więcej z niemieckim, w przeciągu lat 1894—1899 wynosił włącznie 27·77%. Bezwzględnie rzecz biorąc, wywóz austryacki od r. 1895 wykazuje wprawdzie zwyżkową tendencyę, ale w r. 1900 nastąpił nagły, a znaczny spadek. Rumunia wywozi do Austro-Węgier mniej, jak z nich importuje, ($^1/_3$ wywozu rumuńskiego idzie do Belgii, $^1/_4$ do Austryi), bilans nasz w handlu z Rumunią jest zatem czynny, wyjątkiem był oczywiście rok 1898 z powodu silnego eksportu rumuńskich płodów rolniczych do Austryi.

Natomiast bilans handlowy z Serbią jest stale bierny, Serbia wywozi do Austryi osiemdziesiąt kilka procent całego swego eksportu. Bezwzględnie biorąc import serbski do Austryi niemal stale wzrasta z 32·6 milionów koron w r. 1896 na 44·5 w r. 1900. Serbia wywozi przedewszystkiem bydło (42·3% całego eksportu w przecięciu lat 1888–1897). W imporcie serbskim Austrya zajmuje pierwsze miejsce, jej udział w latach 1884–1892 włącznie waha się między 59·24 a 75·16% całego rocznego importu, w latach 1893—1899 włącznie udział ten obniża się, wykazuje bowiem wahania między 55·88 a 59·18%, bezwzględnie rzecz biorąc o stałej zniżce nie może być mowy.

Co się tyczy Bułgaryi, która stosunkowo mało importuje do Austryi, to niewątpliwie w ostatnich latach udział Anglii i Niemiec w ogólnej sumie przywozu powiększył się, a Austro-Węgier zmniejszył się, nawet bezwzględne cyfry wykazują tendencyą zniżkową. I tak import austryacki jeszcze w r. 1898 wynosił 14·9, a w r. 1900 tylko 9·36 milionów koron.

W r. 1898 z wywozu łącznego Austro-Węgier do tych trzech państw bałkańskich 39·12% przypadało na towary pochodzenia węgierskiego.

Wywóz do Rosyi w latach 1897–1899 okazywał dość silną tendencyę zwyżkową.

Materyał statystyczny tu przytoczony, aczkolwiek może

niezupełnie dokładny, daje przecie obraz w swych ogólnych zarysach mniej więcej zgodny z rzeczywistością, na liczby te wszyscy mniej więcej się zgadzają, a jednak są wielkie różnice w poglądach na przyczyny i skutki faktów w tych liczbach się objawiających, różnice uzasadniane odmiennem ugrupowaniem materyału statystycznego. Te sprzeczności w zapatrywaniach natury nie tyle teoretycznej, jak raczej wynikające ze sprzeczności interesów między oddzielnemi grupami wytwórców, wystąpiły jaskrawo na jaw z powodu przygotowań do ułożenia nowej autonomicznej taryfy celnej i do ewentualnego odnowienia dobiegających do końca traktatów handlowych.

Adam Krzyżanowski.

MURZYŃSKA CYWILIZACYA NAD NIGREM.

(Dokończenie).

VI.

Wyjazd z pod wyspy Fafa był nieco trudnym, przebyto go jednak szczęśliwie; biedna Aube tylko nabierała wciąż wody, którą trzeba było co godzinę wyrzucać. Wieczorem zatrzymano się w wiosce Karu, gdzie sędziwy sołtys wyraził radość, iż mógł przed śmiercią ludzi białych oglądać. Ostrzegł jednak, iż jakiś wódz poniżej rzeki zbiera oddział, aby na nich uderzyć. Wesoła zapowiedź w pobliżu groźnych porohów Labozengi! Proszony o przewodnika, wyznaczył starego murzyna używającego wielkiej sławy, ale który Francuzom wydał się tylko niepomiernie głupim.

„Dnia 14 marca — pisze Hourst — ujrzeliśmy tę straszną Labozengę; choćbyśmy sto lat żyli, będziemy o niej pamiętać. Przewodnik nasz począł od świtu czynić czary dla przebłagania, zda się, złośliwych duchów. Wydobył ze skórzanego worka płaskie kamyki zebrane w rzece, pozawijał je w płócienne szmatki, splunął na każdy i porozkładał je po łodzi. Nurt unosi nas szybko; parękroć próbuję zapytaniami przerwać uroki przewodnika, ale ten odpowiada niedbale, iż żadnego niebezpieczeństwa niema, że nas sam na czas ostrzeże. Naraz poza małym przylądkiem, zasłaniającym widok, spostrzegam dziwny huk, w tejże chwili prąd zwiększa się, zaczynamy płynąć z szybkością co najmniej ośmiu kilometrów na godzinę. Wytężamy słuch

i wzrok, i oto widzimy przed sobą rzekę zagrodzoną na całej szerokości — około 900 metrów — ścianą skał, ponad które ciskają się fale. Przewodnik podniósł głowę; teraz dopiero spostrzegł niebezpieczeństwo; robi nam znak, abyśmy skręcili do brzegu. Osioł! przy takim prądzie wnetby nas woda bokiem porwała i roztrąciła o głazy. Przybliżamy się z piorunującą szybkością. W jednem miejscu, na jednej trzeciej szerokości, zda mi się widzieć nieco mniej piany: istotnie to jest przesmyk, brama, w którą trzeba się rzucić. Czyż to możebne?

Nasi czarni majtkowie pracują przeciw prądowi, aż o mało wiosła nie pękną; pot leje się z ich świecącej skóry. Miałem zaledwie czas wystawić znak nakazujący innym łodziom naśladować moje obroty: szczęściem Baudry na Aubie i sternik Dantec'u zrozumieli mnie. A teraz: w górę wiosła! — i na los szczęścia! Szybkość biegu jeszcze się zwiększa, rzeka wchłania łódź ku przesmykowi, przez który wylewa się w dolne koryto, czuję, że wpadamy, że nas przyciąga wir, jedno mgnienie — przebyliśmy!

A teraz drudzy. Obracamy się... krzyk zgrozy dobywa się z piersi. Łódź Le Dantec, która płynęła za nami nagle stanęła, maszt jej pękł i padł naprzód od siły wstrząśnienia, ludzie zostali rzuceni w głąb statku. O niespełna metr od miejsca, którędyśmy przebyli, napotkał ukryty pod pianą głaz i osiadł na nim. Szczęściem nie zanurza się, ale za to jak grom uderza nas myśl: A Aube?...

Aube zbliża się niesiona prądem. Przed nią droga zawalona, musi zgruchotać Dantec'a i zgruchotać się sama, straceni!...

Ale nie! Promień piany wytryska u przodu, drugi u tyłu — Baudry kazał zarzucić kotwicę i hak — oby chwyciły! — Dobrze! Haki zaczepiły się, Aube stanęła o niecałe sto metrów od Dantec'a, u wstępu porohów. Ale cóż się dzieje? Aube pochyla się na 45 stopni; siła prądu jest tak wielką, iż łódź podnosi ze spodu podczas gdy u góry trzymana jest łańcuchem od kotwicy i liną od haka. Przybijam do brzegu z moim statkiem Davoust — trzeba tamte łodzie ratować. Z Dantekiem rzecz stosunkowo łatwa, boć to dziwny okręcik, tak zwinny i giętki, iż krom

dwóch pękniętych desek, nie odnosi szkody. Posyłam doń pirogę z Diguim, który go przywodzi do lądu. Pozostaje Aube, a z tą bardzo źle, bo ma ster pęknięty. Podnoszą kotwicę, ale haka wyrwać niepodobna. Zapewne uwiązł w szczelinie głazu i każdy wysiłek wbija go silniej. A tymczasem pchana wirami i wiatrami łódź, zaczyna kręcić się koło haka. Gdy się przetnie linę, nie stanie fizycznie czasu na żaden obrót, należy na przerznięcie jej skorzystać z chwili, gdzie kręcący się statek będzie się znajdował wprost na linii przesmyku: jedną sekundę pierwej lub później a będzie po nim.

Wyszedłem na maleńki wzgórek i ze ściśniętem sercem pątrzę na manewr, jaki Baudry wykonać zamierza. Tę chwilę właśnie wybiera jakiś Tuareg, aby mnie poklepać po ramieniu i powitać zwyczajnem: *Salam raleikum, mahindia!* Łatwo pojąć, jak go przyjmuję. Ale on nie tracąc spokoju, mówi:

„Widzę, że jesteś w kłopocie. Z mego obozowiska śledziłem od rana wasze obroty i miałem was za straconych. Bóg cię ocalił i podobnie ocali twoich krewnych. Zakazałem ludziom mego plemienia naprzykrzać się wam, bo wiesz, że my zawsze żebrzemy. Teraz odchodzę, ale gdybyś potrzebował kogo z nas, Tuaregów czy czarnych, wypraw tylko posłańca. Jesteśmy na zawołanie. Taki zresztą rozkaz Amenokala".

W chwili gdy kończył, widzę, że Digui podnosi topór i przecina sznur haka. Aube wpada w przesmyk, ale nie może uniknąć skały, którą przed chwilą opuścił Le Dantec, uderza, prawym bokiem zupełnie podnosi się z wody... Czy pęknie? Nie — siła prądu rwie ją tak szybko, iż się przesuwa nad głazem. Uratowana! chwilę potem przybija do brzegu.

„Cóż, Baudry, jest dziura?" — „Zdaje się, że nie, aleśmy o włos nie przepadli". Po obejrzeniu pokazało się, że istotnie dziury nie ma: Baudry utrzymuje nawet, że się odbite deski napowrót skleiły.

Mój Tuareg, o którym zapomniałem, zaczepia mnie znowu: „A widzisz?" — i z pod zasłony oczy jego błyszczą radością, jak gdyby jemu samemu coś szczęśliwego się stało. I to mają być bydlęta, ludzie zdolni jedynie do złego? *Absurdum!* Gdzież

tu była jego korzyść? Czyżby nie lepiej było dla niego, gdyby statki nasze zginęły? Wtedy i nasze mienie i nasze osoby stałyby się jego niezaprzeczoną własnością. Niech mnie tylko Opatrzność chroni, abym wśród moich współziomków nie znalazł ludzi gorszych od Tuaregów!

Dostał oczywiście materyał na całe ubranie i różne jeszcze przedmioty. Powracając do siebie długim i elastycznym krokiem, zawołał nam na pożegnanie: *Ikfak i Allah el Khei!* Niech Bóg ci da wszystko dobre!"

Było to pierwsze przejście Labezengi i najłatwiejsze. O kilkaset metrów dalej czekała nowa linia porohów i nowy spadek. Na prawo brzeg był górzysty, na lewo rzeka dzieliła się tworząc kilka wysep, między któremi Baudry przez całe popołudnie szukał przesmyku: wszędzie było równie straszno, kotłowanie wody, szalony prąd, skały i spadki. Rzeka literalnie wije się na miejscu w swojem korycie i przelewa po dwakroć z jednego boku na drugi. Jest na pewno co najmniej dwa metry różnicy w poziomie wody między jednym brzegiem a drugim". Wyjazd był jednak koniecznym, bo pora była spóźniona i poziom ten co dnia się zniżał, trzeba więc było zdecydować się na odnogę nieco mniej groźną od innych pomiędzy dwoma wyspami, choć i tu wydało się niepodobieństwem, aby się większa łódź mogła przedostać.

„W niedzielę dnia 15 z rana O. Hacquart odmówił nam Mszę; przysposabiamy się do przebycia katarakt. Zważywszy, że załoga dwóch galarowych statków (Le Dantec i Aube) zbyt szczupłą jest na dostateczne obsłużenie obu, postanawiamy każdy z nich przeprowadzać kolejno. Przytem sternik Auby, Idris, traci potrosze głowę wobec niebezpieczeństwa, więc Digui jest jedynym człowiekiem, któremu można powierzyć ster. Wypijamy po dobrej filiżance kawy — może po raz ostatni — poczem Davoust puszcza się w drogę, Baudry płynie za nami w czółnie. Tenże sam widok co wczora: wązkie przejście, piekielny prąd, uczucie wchłonięcia przez głębię, pod którem dech ustaje i serce się ściska. W prawo i w lewo fala z hukiem straszliwym rozbija się o olbrzymie głazy. Naraz wstrząśnienie — statek usuwa

nam się z pod nóg. Tym razem była kolej na Davoust'a. Ukryta skała przedziurawiła dno na przodzie, pod moją kabiną. Przez otwór na 30 centymetrów długi woda wlewa się obficie, w kilka sekund jest jej już na stopę u spodu. Było jednak powiedzianem, że dojedziemy do morza, więc wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, wbrew wszelkiej logice zawsze w danej chwili stawał się cud. A Bóg jeden wie, ile razy nam tych cudów było potrzeba!

Lecieliśmy z taką szybkością, że uderzając o skałę łódź wylazła na nią i pozostała chwilę zawieszona, zanim przebywszy ją spuściła się na głęboką wodę. Dziwnem szczęściem służący mój, Mume, znajdował się w kabinie w chwili uderzenia i dziura rozwarła się prawie pod jego nogami. W mgnieniu oka dzielny chłopak zerwał swój burnus, zwinął w kłębek i zapchał nim otwór: zabrało to parę sekund, tyle właśnie, wiele pozostaliśmy oparci dnem na skale, bez czego bylibyśmy zanurzeni natychmiast. Cud się stał — byliśmy ocaleni...

Le Dantec przepłynął za nami spokojnie. Z Aubą, Digui, sądząc, że nie może ominąć głazu, który nas zatrzymał, wziął się na sposób niesłychany: korzystając z szalonej szybkości, z jaką niosła go fala, rzucił na brzeg łódź, która formalnie wyskoczyła w górę. Następnie uczepiwszy się traw, dał jej spuścić się tyłem i byłby spokojnie dopłynął do brzegu, gdyby nie jakiś róg skały, o który statek zahaczył się w ostatniej chwili. Była godzina 2 popołudniu; potrzeba nam było ośmiu godzin do przebycia tysiąca metrów w prostej linii. Byliśmy zgłodniali; nic bowiem tak nie działa na żołądek, jak wzruszenie. Zamianowałem się tedy kucharzem...“

„Odpocząwszy nieco, a Bóg widzi, że zasłużyli na spoczynek, Baudry udał się z Diguim do wsi Labezenga po przewodników. Wrócił przerażony tem, co widział: biedy, jakieśmy dopiero przeżyli, przyjdzie nam jeszcze przebywać przez miesiąc. Nie chciałbym *post festum* dramatyzować naszych przygód w podróży. Gdy człowiek raz na co się puści, gdy konieczność i sama natura pchają go naprzód, musi się chcąc nie chcąc przyzwyczaić poniekąd do niebezpieczeństwa. A jednak za żadne skarby

świata nie zacząłbym na nowo w takich samych warunkach tego, cośmy zrobili...“

I nie dziw: dziesięć razy na dzień też same zapory, ten sam trud, ta sama groza, zawsze porohy, kotłowanie fal, okropne uczucie wchłonięcia przez wir, zahaczanie statków o skały. Śmierć ciągle blizka, bo niema pływaka, któregoby te dzikie prądy nie roztrąciły o głaz, a pod każdym głazem czyha głodny olbrzymi kaiman“.

Okropna śmierć! Kaiman bowiem nie zabija od razu swej ofiary jak rekin, ale ją wprzód zanurza i topi. Wystawmy sobie uczucie człowieka chwyconego wielkim zębem potwora i wleczonego po głębi aż go tam woda zadusi.

„Generał Skobelew[1] mawiał: Jeżeli kto ci powie, że się nigdy nie bał, pluń mu w twarz i nazwij go kłamcą! Co do nas, mogę przyznać, żeśmy żyli w trwodze przez cały miesiąc w trwodze przez dzień za każdem przebywaniem porohów, w trwodze w noc, bo okropności dnia powtarzały się we śnie, gdzie wiry, skały i kaimany majaczyły przed myślą, jak zmora. Niech pierwszy, który po nas przepłynie cały bieg Nigru, powie czyli przesadzam...“

Z ciężkiem sercem, naprawiwszy, o ile mogli, łodzie, podróżni puścili się dalej. Co krok trudności stawały się cięższemi do przezwyciężenia, bo woda opadała w Nigrze, a po brzegach ludność wrzała coraz to gorszą niechęcią, powstrzymywaną w stanie biernym jedynie przez rozesłane rozkazy Amenokala Madidu'. „Gdyby nie on — pisze Hourst — dawnoby kości nasze na tych wybrzeżach bielały“. Dnia 26 marca dotarli do wyspy Farka, położonej na 14° 29′ szer. półn. a 0° 57′ dług. wschodn. o 860 kilometrów od Tombuktu. Był to najdalszy punkt, do którego w poprzednim roku dotarła była wyprawa kapitana Tontée, idącej od strony Gwinei. Ten jednak pozbawiony protekcyi Amenokala, zmuszonym był walczyć z krajowcami, których dla tożsamości uzbrojenia i zasłon na twarzy, nie umiał

[1] Gen. Skobelew brał udział w wojnie rosyjsko-tureckiej, oraz wielkie położył zasługi w kampaniach rosyjskich nad morzem Kaspijskiem. Był to jeden z najdzielniejszych ludzi XIX wieku.

zawsze od Tuaregów odróżnić. Po wyprawie tej złe pozostało wrażenie: „Przybądź jeżeli chcesz — oświadczyli Hourstowi posłańcy z Zinderu — ale nam przyjemniej będzie, jeżeli nie przyjdziesz. Wiemy teraz, że nie masz złych zamiarów — ale ostatni biały, który tędy przeszedł, dużo pozabijał ludzi: widok twój odnowiłby boleść matek i żon". Miejscami tylko przyjęcie, acz zawsze podejrzliwe, było nieco łaskawsze: chorzy zbiegali się do d-ra Taburet, kupcy znosili kość słoniową i pióra strusie, te ostatnie stosunkowo drogie, pióra bowiem z jednego ptaka wynoszą około 75 franków. W stronach tych odnajduje się znów kaurisy, muszelki służące za pieniądz nad górnym Nigrem. Moneta to dziwnie drobna: 1 frank wart jest mniej więcej 3320 kaurisów. Wogóle atmosfera tak moralna jak fizyczna była niemiła. Deszcze z wiatrem, potem upały, rzeka pomiędzy cudnemi brzegami wprost rozpaczliwa. Przyszła chwila, gdzie wpływ Amenokala się skończył a rozpoczęła przeciwna mu wroga przewaga Tukulorów. Tych niejeden władca drobnego plemienia radby się pozbyć a nie śmie. Tukulorzy mają długie ręce a los zniszczonego Tombuktu świadczy, jak strasznie te ręce działać potrafią. Tukulorowie są zawziętymi wrogami Tuaregów a choć im własną siłą sprostać nie mogą, używają przeciwko nim pomniejszych szczepów. Syn wielkiego Omara el Hadź Ahmadu Szeiku, acz mu już nie marzyć o potędze ojcowskiej, rządzi przecież jeszcze rozległą krainą. Władca Sai Amadu Satiru jest jednym z jego wasali.

Sai zda się być punktem chwilowo dość ważnym, coś jakoby początkiem pasu granicznego między francuskim i angielskim wpływem. To też Amadu nagabywany z różnych stron, zawierał już parękroć zgodę lub przymierze z dowódcami misyj francuskich, trudno jednak liczyć na obietnicę każdego muzułmanina: jest sto sposobów przysięgania na Koran a choćby i przysięga była ważną, toż Prorok pisze, iż zgwałcenie jej okupić można czterema dniami postu. Hourst zatem nie bardzo wierzył traktatom i z pewnym niepokojem zbliżał się do Sai, głównej siedziby Amadu.

W niedzielę Wielkanocną 5 kwietnia O. Hacquart odprawił

nabożeństwo, poczem płynęli dalej po rzece wyjątkowo gładkiej, poprzedzeni pirogą przewodnika Sulejmana, Senegalczyka, którego los zawieruszył w dalekie strony, a który zaprosił się do służby Francuzów, aby go do ojczyzny odwieźli. Nazajutrz mieli przejechać przed osadą Dunga, należącą do Tukulorów. Hourst wbrew przestrogom Sulejmana, aby się niepotrzebnie nie wystawiać na ogień strzelb tukulorskich, kazał podnieść maszty, wywiesić flagi, uporządkować pakunki, poczem przepłynął umyślnie powoli, o sto metrów od brzegu, na którym z pobliskiego pagórka spoglądał na nich oddział tysiąca uzbrojonych jeźdców. Nie było ani krzyku, ani nieprzyjaznego ruchu — może właśnie wskutek odważnej postawy na łodziach. O 40 klm dalej zatrzymali się na noc w pobliżu Sai, nazajutrz rano dotarli do miasta upragnionego, jako jeden z celów wyprawy: tu bowiem według rozkazów z ministeryum odebranych przed samym wyjazdem, mieli zastać dalsze instrukcye lub na nie czekać w razie, gdyby przed niemi przybyli. Podobny rozkaz mógł mieć jedynie źródło w zupełnej nieświadomości stosunków miejscowych. Wogóle co do Sai panuje w Europie pewne nieporozumienie. Nazwa na mapach naznaczona jest grubszym drukiem, to, co jest tylko dużą wsią o słomianych chatach, nazwane jest miastem.

Zarzuciwszy kotwicę na lewym brzegu pod miastem, Hourst wysłał prosząc o audyencyę u króla. Ten wyprawił doń wpierw głównego dowódcę jeńców, z których podobnie jak u innych władców w Afryce składa się znaczna część jego wojska. Tukulorowie, jak wspomnieliśmy u wstępu, są mieszańcami murzynów z Fulbejczykami, i tak rasą jak oświatą stoją niżej od Tuaregów. Otrzymawszy żądane posłuchanie, Hourst udał się bez broni do królewskiej lepianki. Amadu, gruby murzyn o oczach chorych i uciekającem spojrzeniu, siedział na wiązce łodyg palmowych, owinięty kocem, którego pierwotna barwa znikała pod warstwą brudu: nosi on przecież przydomek *Modibu* tj. Uczony! Dokoła niego stali: dowódca jeńców, Kadi i cały tłum Tukulorów, wobec którego Hourst pożałował prawie, że przyszedł bezbronny. Nie dając jednak poznać obawy, począł po zwykłych powitaniach, opierając się na mocy traktatów, prosić o gościn-

ność a raczej o pozwolenie na dłuższy pobyt. Na to Amadu odmówił wręcz; po 4 lub 5 dniach mieli Francuzi iść precz.

Hourst zawahał się chwilę. Wprawdzie mógł od biedy jeszcze o jakie sto kilometrów popłynąć — ale on sam i ludzie jego byli wyczerpani, woda codzień płytsza, a nadewszystko rozkaz z Paryża kazał wyraźnie czekać tu na instrukcye. O gdybyż to dali im byli wyjechać przed rokiem, w czasie gdzie wyprawa zamierzoną była pierwotnie. Wtedy Hourst byłby się spotkał z misyą Toutie lub misyą Decoeur i rzeczy byłyby inny obrót wzięły. Gdyby choć owe zapowiedziane instrukcye posłano — ale nie! stało się, jak się często zdarza: rząd wysyła ludzi do dzikich krain i zapomina o nich do chwili, gdzie wieść o ich śmierci lub o szczęśliwym ale tysiącem boleści okupionym powrocie przywiedzie ich napowrót na pamięć... Hourst tedy postanowił pozostać. W odpowiedź na zimne oświadczenie króla Sai, sypnął nań grodem wyrzutów, nazwał go kłamcą, zdrajcą i t. p., a wreszcie oświadczył, że się bez pozwolenia jego obejdzie, bo jest zdecydowany pozostać. Sulejman użyty za tłumacza, powtórzył wszystko dobitnie a biedny Amadu nie przywykły do podobnego łajania zamilkł zdumiony.

Chwilę potem Hourst powrócił do swoich, kazał zwinąć namioty, wypróżnić kociołki z gotującym się obiadem, wrócić na łodzie i odbić od brzegu. Ludzie jego spragnieni spoczynku patrzyli nań z rozpaczą. Noc cała przeszła w pośrodku rzeki na niespokojnem czuwaniu; z rana 8 kwietnia Francuzi wypłynęli nieco poniżej miasta do wyspy oddalonej od brzegu; tutaj wylądowali i założyli obozowisko. Ostrów 200 metrów długi a 40 szeroki obronny był od strony Sai rzędem nadbrzeżnych skał, strojnym w kilka pięknych drzew tamaryndowych i kilkanaście innych o grubych pniach i skąpych liściach, zasiany przytem kopcami wielkich mrowisk, w kwietniu, na szczęście, pustych. Szczęściem też wyspa była niezamieszkałą; krajowcy siali tam nieco prosa, ale nikt nie śmiał budować tu chat. Chodziły wieści, iż ledwo słońce zgasło okropne dyabły pod postacią potwornych małp uganiały się wśród gałęzi drzew. Faktem jest, iż za każdym razem, gdy ludzie odosobnieni zapóźnili się w noc czy

na wyspie czy na lewem wybrzeżu, napróżno już oczekiwano ich we wsi. Czy ich porwali zbóje, hyeny czy może lwy — odgadnąć trudno: krajowcom wygodniej wierzyć, że dyabły. Francuzów jakoś nie śmiały zaczepić: murzyni mówili, że miały respekt przed ludźmi, którzy widzieli Niger u źródła... O. Hacquart nie potrzebował wyspy egzorcyzmować, dzięki Bogu, gdyż wraz z towarzyszami miał na niej pozostać pięć miesięcy.

Trzeba się było zagospodarować. Hourst nadał schronieniu swemu nazwę *Fort Archinard* od zdobywcy Tombuktu, pułkownika, którego imię pozostało postrachem wrogów Francyi w Sudanie; zatknął trójkolorową flagę u szczytu wielkiego mrowiska, działka na sztucznem podwyższeniu obrócił ku miastu. Następnie pod kierunkiem Bluzeta stanął gruby mur z strzelnicami wybudowany modą murzyńską z okrągłych cegieł ulepionych z gliniastej ziemi; poza murem zaś wzniosły się mieszkania ludzkie, kubiczne budki z palików i słomy: „wydrążone kopy siana", mówi Hourst. Każdy ubrał swoją i zabezpieczył o ile mógł od słońca, deszczu i od kul Tukulorów. Te ostatnie co prawda milczały; ulewy za to z towarzyszeniem gwałtownych wichrów dały się we znaki przed ukończeniem budowy. Nie były to deszcze przeciągłe, ale burze nagłe i krótkie, nadciągające zazwyczaj wraz z zachodem słońca. Powietrze było niemal wilgotne, ale upał wzmagał się co dnia przez kwiecień i maj a przez czerwiec trwał nieprzerwanie. Kąpiel była utrudniona obawą kaimanów, w nocy sen przerywany kąsaniem mustyków. Tukulorzy nie próbowali napadu, mącili tylko spokój Francuzom przez intrygi, groźby, fałszywe ostrzeżenia i wieści. Z lądu niejedno przypływało czółno. Do fortu wprawdzie nikt nie miał wstępu, ale poza murem tworzył się jakoby mały targ: kobiety zasiadały z żywnością na sprzedaż, pędzono barany, chorzy tłoczyli się do doktora. Hourst miał sposobność badania usposobienia i obyczajów mieszkańców, między którymi fetyszyzm sąsiaduje gęsto z mahometanizmem. Jego laptoci również byli wszyscy prawie muzułmanami o różnych stopniach pobożności lub fanatyzmu. U nich to, prócz kilku wyjątków, zauważył, iż nagłe napady pobożności szły zazwyczaj w parę z napadami

złodziejstwa: czuli, że grzeszą, więc r ó w n o c z e ś n i e z grzechem usiłowali zadosyćuczynić pokłonami i różańcem.

Psychologiczne badania nie mogły wszakże wystarczyć ludziom przywykłym zawsze do czynu a w ostatnich tygodniach do gorączkowego życia wpośród katarakt. Gdy praca nad budową fortu ustała, zrobiło się nudno. Byli po prostu uwięzieni na wyspie nie mogąc ani iść na ląd z powodu niechęci Tukulorów, ani wyruszyć w drogę z powodu nizkości wód na dalszych porohach. Temperatura trzymała się na 40 do 50° cent.; upał, brak ruchu, snu i zajęcia zasępił umysły, zepsuł apetyt i ściągnął gorączkę. Równocześnie zaś z gorączką czy febrą przyszła dziwna choroba tych sfer? — *sudanita.* Jestto rozstrój nerwowy dochodzący do łagodnego obłędu, objawiającego się u każdego jakąś manią osobnego gatunku: jeden np. nocą strzelał do butelek, drugi zamykał się w mieszkaniu zatykając szpary od przystępu powietrza — wszyscy byli rozdrażnieni do najwyższego stopnia. Wspólne obiady zamieniały się w sceny gniewu, kłótni lub groźnego milczenia, aż strach było pomyśleć, jak to wszystko się skończy. Szczęśliwy koncept uratował biedaków: wzięli się do pracy umysłowej. Każdy obrał sobie jedno narzecze i korzystając z różnorodności odwiedzających gości, spisywał słownik mniej lub więcej bogaty.

Tymczasem jednak wokoło uwięzionych gromadziły się chmury. Zrazu Amadu próbował był chytrości, aby ich wywieść z warowni, z której każdemu napastnikowi groziły kule działowe; prawiono im tedy o hufcach francuskich kroczących ku Nigrowi, to znów chcąc uśpić ich czujność, łudzono ich traktatami z sąsiedniemi wodzami: jeden z nich ofiarował swoją opiekę, drugi swój wpływ u króla Amadu, z którym chwalił się, że jest złączony „jak dwa zęby“ jednego grzebienia; inni znów uciekali się rzekomo pod skrzydła Francuzów przed Tukulorami. Łatwo było przytem sfanatyzować ludność: toż po kilku burzach nastała uporczywa posucha; deszcz padał wszędzie oprócz na Sai, a na dobitek szarańcza nadleciała nad pola: oczywiście biali rzucili urok na kraj. Wodzowie tedy ułożyli plan ściągnięcia pod pozorem jakiejś wyprawy swoich sił do Sai, gdzie

Amadu miał im w imię Proroka udzielić błogosławieństwa i przy tej sposobności zwrócić ich zapał przeciw Giaurom, prawdziwym i najgorszym wrogom.

Hourst nie dał był wiary wieściom o nadciągającej odsieczy, dał się był jednak omamić udanemi oznakami przyjaźni tukulorskich aliantów i spał spokojnie, o ile mu dały mustyki, ciesząc się przewagą, jaka stąd dla imienia francuskiego wyrośnie. Naraz jednak z kilku niebacznych słów jednego z odwiedzających powziął podejrzenie, poczem badając zręcznie, dowiedział się o zbrojnej kolumnie ciągnącej ku Sai. Przytem na dworze króla Amadu znalazł się Wallenrod: dawny jeniec wojenny porwany z kraju Peulów, gdzie mu Tukulorowie całą rodzinę wyrżnęli. Amadu polubił go, wziął na swój dwór i całą ufnością obdarzył, nie mógł jednak zgasić cichego pragnienia zemsty, która teraz wyszła na jaw zdradą. Mumi jął o wszystkich knowaniach ostrzegać Francuzów, którzy rzucili się skwapliwie do wzmocnienia swojej forteczki. Po kilku dniach gorączkowej pracy byli gotowi, wprawdzie nie zwyciężyć, ale drogo sprzedać swe życie; część ich nabojów była niestety zamokła, ale Senegalczycy byli wierni i sprawni, czujni na każdy znak komendy, więc Hourst przybrał minę wielce groźną i kazał powiedzieć królowi, że za pierwszym nieprzyjaznym krokiem miasto podpali i nie pozwala, aby doń obce hufce wchodziły. Była to groźba na wiatr, bo obrońców w porcie było wszystkiego 34 a pod Sai ściągało 10 do 15000.

Kilka nocy przeszło niespokojnie. Od strony północy połyskiwały jakieś ruchome światła po lasach. Od Talibii do Sai zapalano trzy po trzy ogniska ze słomy, dając niemi znaki niezrozumiałe dla Europejczyków. Dnia 17 lipca o nowiu Mumi ostrzegł zrana, iż tegoż dnia przy Salamie o 3-ciej Amadu podnieci lud, i że około 10-tej wieczór mają być napadnięci od prawego brzegu. Rzecz zdała się być tem pewniejszą, iż tego rana ani jedna kobieta ze wsi na targ nie przyszła. Czekano tedy pod bronią, tymczasem przeszedł wieczór, przeszła noc i było cicho. Zdala tylko małpy krzyczały po drzewach i rzeka szemrała wśród głazów. Nazajutrz znowu cisza, potem dymy, które

we dnie widniały z obozu, poczęły rzednąć i znikać, ognie przelatujące nocą zagasły, przekupki z żywnością poczęły znów powracać na wyspę. I pokazało się, że w ostatniej chwili murzyni widząc swój plan napaści odkryty, zawahali się przed mnogością strat w ludziach, jakie byliby od armat francuskich ponieśli, więc rozproszyli się małemi kupami, jedni do domów a drudzy w poblizkie ziemie na połów jeńców. Co prawda także deszcz zaczął był padać w dzień zamierzonego ataku wytrącając z ust króla-marabuta najsilniejszy argument przeciwko białym!...

Nas dziwi tylko brak konceptu u Tukulorów: toż mając Francuzów w pułapce mogli ich po prostu ogłodzić — chyba jeden Madidu byłby, dla własnych celów, pomyślał o pomszczeniu ich śmierci. Szczęściem dla nich Amadu nie miał tak przewrotnego pomysłu. Od tego dnia księżyc począł na nowo oświecać noce a równocześnie poziom Nigru jął się podnosić na dobre, tworząc coraz to głębszą przepaść pomiędzy fortem a jego wrogami. Nie zaraz jednak mogli podróżni opuścić swoje więzienie; trzeba snać było czekać jeszcze kilka tygodni na zupełny wzrost wody. Zaczęli zwolna gotować się do drogi, a był już czas, bo febra poczynała na dobre grasować wśród małej załogi, zwłaszcza w pośród laptotów. Nareszcie posłano sternika Digui na zbadanie Nigru; wrócił nieco chmurny: „Bardzo tam źle — oświadczył — ale jakoś to będzie!“ Nie chciano nic w forcie murzynom po sobie zostawić; zrobiono tedy olbrzymi stos ze stołów, drzwi, desek i słomy i podpalono na czterech rogach, poczem laptoci poczęli z radości tańczyć w koło ogniska. Jeden stary Suliman chodził zasmucony, bał się, że go napowrót Tukulorom wydadzą, w czem jednak doznał przyjemnego zawodu; Hourst zabrał go z sobą do Senegalu, gdzie dziś zapewne kończy spokojnie żywot w rodzinnej wiosce.

Fort Archinard płonął przepysznie; gdy dym począł chwytać za gardło, komendant dał rozkaz odjazdu. Działo się to dnia 15 września. Na początek przeprawa okazała się mniej trudną niż był zapowiedział Digui, była jednak chwila gdzie wszyscy pobledli bo przed łodziami rzeka na całą szerokość roztaczała się pofałdowana w karby kształtu wąsów oznaczające zazwyczaj

długie rzędy podwodnych raf. Już zabierali się do szukania przesmyku, gdy nagle Digui zawołał radośnie: ryby! W istocie była to ława ogromnych nigerskich szczupaków... Brzegi były mniej dzikie okryte cudownymi gajami, tworzącemi nieraz szpalery z ogromnych drzew. Niepodobna było jednak nacieszyć się ich cieniem, gdyż wieczorem chmary mustyków, a we dnie złośliwe bąki znęcały się nad skórą podróżnych. Ludzi nie widzieli prawie wcale, wsie zdały się martwemi, a niektóre leżały w gruzach; wszędzie znać było trwogę przed łupieżnemi zagonami Tukulorów, polujących na jasyr. Dalej nieco w kraju Dendi mieszkańcy znać są tęższi, tu widać wsie obronne w fosy i mury, mężczyźni pilnie zajęci tkactwem, umią przy tem podnieść broń na nieprzyjaciela. Hourst wyraża pretensyę, iż ziemia ta według traktatu 1890 r. pod protektorat Francyi należy: przypuszczam, iż Anglicy są przeciwnego zdania.

Bądź co bądź ulegając prośbie krajowców udał się wraz z doktorem do miasta Tenda. Gorąco było i duszno, nogi mokły, gdyż po ziemi już na wpół zalanej trzeba im było brodzić po kolana, droga jednak opłaciła się, gdyż znaleźli wielką osadę otoczoną fosą i murem wysokości $5^1/_2$ metra, poprzerzynaną w proste, dość porządne ulice wzdłuż domów z gliny pokrytych słomą. Lud i kraj wydały się Francuzom tak pożądanemi i łatwemi do pozyskania, że po powrocie komendanta do statków, Baudry jął się dopraszać, aby mu pozwolił w Tenda pozostać dla „głoszenia krucyaty przeciw Tukulorom". Działanie ich spotykali na każdym kroku nienawistne dla białych a dla murzynów szkodliwe; byli „do głębi wzburzeni na to plemie rabusiów i handlarzy ludzkiem mięsem, którzy spustoszywszy Sudan niosą tu, pomiędzy szczepy dzikie, ale poczciwe i zdrowe, zwykły swój arsenał rzekomej wojny świętej, a z nią zniszczenie, głód, niewolę i śmierć". Hourst żałował, że — zawsze dzięki spóźnionym rozkazom z Paryża — musiał zimować w Sai a nie tu, gdzie mógł być użytecznym; na prośby towarzysza jednak nie przystał, gdyż wiedział, iż przybywszy do Oceanu nie będzie mógł po niego z siłą zbrojną powrócić.

Razem tedy wyruszyli dalej. Niebo w Sai tak długo upor-

czywie pogodne, ukazywało im się wciąż pochmurnem od chwili wyjazdu, teraz rozpoczęły się deszcze. Od Tendy jeden dzień nie minął bez tornady lub zwykłego deszczu, pora zimowa bowiem przychodzi później w miarę zbliżania się ku zwrotnikowi. Wraz z deszczem mnożyły się i ślady europejsko-handlowego wpływu, ale niestety w najniekorzystniejszych objawach. W Girris, porcie miasta Ilo, stary wódz wystąpił w płaszczu o srebrnych lamach, darowanym przez Niemców, w czerwonych butach, darowanych przez Francuzów, w koralowym turbanie około brudnej mycki i w trójkolorowej przepasce na jeszcze brudniejszych a nagich piersiach. Towarzyszył mu orszak 50 ludzi na pięknych rumakach oraz orkiestra złożona z trąb i różnych narzędzi o przeraźliwym dźwięku; gdy zaś zażądał szampana: „wina, które robi bum!“ i począł takowe zapijać, wnet gdzieś z pod ziemi zjawiły się ogromne kadzie pełne piwa z prosa, na które dwór jego rzucił się skwapliwie tak, iż wkrótce z całego tłumu nie było człowieka, z którymby się można dogadać. Europejczycy wszakże nie zdali się być tu obcymi, coraz więcej spotkać można było ludzi nie miejscowych, przybyłych to z północnych to zachodnich wybrzeży, coraz częściej wspominano o poprzednich wyprawach: francuzkich, niemieckiej — czysto handlowej — a wreszcie o Anglikach z potężnej Niger-Company, słowem — krajowcy czy głupi, czy ogłupieli olśnieni błyskotliwemi śmieciami cywilizacyi a wśród nich rój wyzyskiwaczy w fezach, mundurach i surdutach chciwych jedni dla siebie, drudzy dla swego kraju, a trzeci znów dla siebie pod formą procentu, pobieranego od używającej ich firmy.

Od Girris droga Nigrem już niedaleka do Bussy, poza którą czekały katarakty najgorsze w całej przestrzeni. Zdala już rzeka przybiera na nowo kamienistą postać, przy czem — co się czasem zdarza podczas przypływu — wody zdały się nagle zatrzymywać gdzieś w górze i poziom ich chwilowo opadał. Wypadało na samą przeprawę wziąć miejscowego sternika, ten bowiem który od pewnego czasu towarzyszył Francuzom stary był i przyznawał, że ostatni raz przed 20 laty porohy pod Bussą przebywał. Zatrzymali się tedy w Bussie. Tu przyjęto ich nie źle,

mogli się nasłuchać miejscowych griotów i dowiedzieć się z ich śpiewów, że mieszkańcy wywodzą ród swój od Persów za Kozroesa W., wygnanych przez Mahometa z ojczyzny. Ciekawem jest, że i król Numidów Hiempsal II. badany niegdyś przez Sallustyusza o pochodzenie północno-afrykańskich ludów, odrzekł, iż według podania część ich pochodzi od Ormian, Persów lub Medów... Ten wszakże mówił o Maurach a tu w Bussie zdają się sami mieszkać murzyni — przynajmniej Hourst nie oddziela ich wyraźnie od reszty ludności. Skąd więc takie dziwne podanie? Uczeni wyśmieją je zapewne tak jak wyśmiali, zowiąc je wymysłem greckim — baśnie Hiempsala [1], w każdym razie owi rzekomi potomkowie Persów mocno zdziczeli a zwłaszcza odwykli od przyzwoitego odzienia. O ile bowiem Tuaregowie i pod przewagą ich zostające szczepy zasłaniają się „poza uszy“, o tyle w miarę posuwania się ku koloniom angielskim, a raczej ku południowi czarne skóry swobodniej połyskują na słońcu, pomimo wielkiej taniości i obfitości tkanin. Hourst atoli nie miał czasu na archeologiczne a etnograficzne badania. Natomiast domagał się przewodnika, sypał podarkami, namową — wszystko napróżno. Bawiono go obietnicami, tłumaczono się wykrętami, ale w końcu sternika nie dano, czy to z własnej niechęci, czy też — jak Hourst podejrzywał skutkiem poduszczeń Kompanii Niger, gniewnej na wkroczenie Francuzów w swoje granice. Z niepokojem i rozjątrzeniem w sercu trzeba się tedy było puścić na łaskę i niełaskę fal. Dnie 7 i 8 października były po prostu straszne. Z każdą z łodzi kolejno trzeba było walczyć o życie wśród wirów, raf i prądów pędzących nie już 8 ale 12 i 14 mil na godzinę. Siła tych prądów tak jest olbrzymią, iż przy pierwszej katarakcie, gdzie połowa Nigru rzuca się wyjąc przez otwór 50 metrów między dwoma skałami, rzeka traci swą horyzontalną powierzchnię. „Rzecz nie do uwierzenia!“ pisze Hourst... Woda szybkością prądu odrzucona gwałtownie ku brzegom podnosi się po obu bokach najmniej o metr ponad zagłębienie, które się rysuje w pośrodku. Tą bruzdą właśnie przesunąć się trzeba

[1] Gaston Boissier: *L'Afrique Romaine.*

z okropnem wrażeniem, iż wał wodnisty z obu stron runie pochłaniając ludzi i łódź. Strasznem było popatrzyć, strasznem pomyśleć, to też mądry Digui, prawdziwy dnia tego bohater, miał chwilę przed przeprawą przemowę do swych podwładnych: „Teraz baczność! Trzymać wiosłem, nie patrzyć! Pierwszemu, który spojrzy w bok roztrzaskam łeb!“

„Wpadli — trzydzieści okropnych sekund — prąd porywa statek, obejmuje go, skorupa łodzi trzeszczy pod naciskiem fal wracających od brzegu — przebyli...“ Ale na tem nie koniec, za tą łodzią druga i trzecia, za tą przeprawą druga i trzecia i czwarta, piąta i szósta — dwa straszne dni wysiłków i wzruszeń, straszna noc niepokoju o łódź *Le Dantee* uczepioną gdzieś niebezpiecznie na skale...

Na tem kończy się istotna podróż hydrograficzna wyprawy Hoursta. O pół godziny drogi za ostatnią kataraktą leży Leba, gdzie już powiewa flaga Kampanii Nigru. Bogu dzięki, przebyli szczęśliwie wszystkie zapory; wszyscy uczestnicy wyprawy żyją, wszyscy zdrowi choć chwilowo wyczerpani trudem. Odtąd skończyło się z niebezpieczeństwem fizycznem; natomiast przybywają przykrości z cywilizowanymi ludźmi. Wprawdzie marynarze i oficerowie angielscy witają Francuzów jak braci ale ajenci od Niger-Company postępują chłodno, podejrzliwie, pozwalając sobie nawet ciągnąć zysk z sytuacyi: za holowanie łodzi wyprawy, przez statek angielski poprzez swoje terytoryum każą sobie zapłacić 1800 franków! A zauważyć należy, iż o holowanie to oni sami dbają jako o rodzaj konwoju: chodzi im bowiem o dozór nad Francuzami, aby nie wylądowali w nieproszonem miejscu i nie zawiązywali z krajowcami stosunków. Dość już było tego, co mogli zanotować w Lokodży: tu murzyni bardzo ucywilizowani używają porcelanowych talerzy i filiżanek w kwiaty, używają nawet płukanek; Hourst jednak zastał tu rozpustę i bezwstyd o jakich się nie śni nikomu w dzikszych stronach Sudanu. Dzieje się to pod samym bokiem, jakoby pod opieką Kompanii... Możnaby surowość sądu złożyć chociaż po części na stronniczość francuzką, na *Brodneid*, jak mówią Niemcy, gdyby nie różnica,

jaką autor czyni między Anglikami z Protektoratu, których wysoko ceni a ową Kompanią mającą tylko pieniądz na celu. Główny jej agent ma siedzibę w Assaba, gdzie również znajduje się posterunek misyonarzy zwanych *Pères du St. Esprit*, którzy się tu przenieśli z Lokodży. W Assabie pozwolono oficerom wylądować; jeden z księży — jedyny chwilowo obecny w misyi — czekał na nich u brzegu i natychmiast do siebie zaprosił. „Życie tych Ojców — pisze Hourst — bardzo jest ciężkie choć dom mają piękny. Dokuczają im jako katolikom i jako Francuzom, a przytem skromność budżetu daje im się we znaki. Obok nich jest i zakład Sióstr. Jedni i drugie chodzą pieszo w głąb kraju, od wioski do wioski odwiedzając swych chrześcijan. Chodzą nocami dla uniknięcia upału. O kilka godzin od rzeki istnieją pono wielkie osady, kędy oni jedni przystąpić mogą. Nie zawsze dzieje się to bez niebezpieństwa: niektóre z Sióstr musiały znosić widok mordowania ofiar ludzkich i scen kannibalizmu. Znowu okropność, która nie działaby się we francuzkim Sudanie! Ale cóż to Kompanię Nigru obchodzi, byle mogła za dowolną cenę kupować olej palmowy?

„Tego wieczora mieliśmy u siebie na obiedzie misyonarza i dwie zakonnice, z tych przełożona, Siostra Damien, jest bladą Włoszką, której twarz stała się przejrzystą od uporczywych napadów febry. Nie mniej przeto prowadzi dalej wesoło swą apostolską pracę. Nie znam nic piękniejszego nad życie takich kobiet na krańcach cywilizacyi, wśród skwaru, febry, tęsknoty, najróżnorodniejszych trudów, obojętności czarnych a w dotatku złośliwości białych. Od dawna już pono ani Ojciec ani Siostry nie byli tacy weseli, pomimo tornady, która nas złapała w środku obiadu i zmusiła do schronienia się w kabinie O. Hacquart, gdzie deszcz lał przez szpary powały. Pod deszczem odprowadziliśmy ich do misyi“. Większa część przywiezionych z Europy a nie rozdanych w przejeździe towarów przeszła teraz ze statków do rąk misyonarza, uszczęśliwionego, że będzie miał czem obdarować biednych swych neofitów. Następnie pożegnano się, bo okręt angielski odjeżdżał uwożąc swych nawpół poniewolnych gości.

Obiecano im zatrzymać się po drodze przy innym zakładzie misyjnym ale nie dotrzymano słowa. Hourst przypuszcza, iż Niger-Company obawiała się, aby obcując z misyonarzami nie dowiedział się zbyt wiele o jej sposobach działania...

Dnia 12 grudnia 1896 r. komendant wyprawy hydrograficznej wylądował ze swymi oficerami w Marsylii. Jak, i czy O. Hacquart powrócił do Tombuktu nie wiemy. Senegalczycy z sutą zapłatą pozostali w swym kraju, gdzie za przyjazdem niektórzy na placach publicznych wygłaszali niby odczyty opowiadając przygody podróży. Czarni słuchali ich chciwie, chciwiej zapewne aniżeli Francuzi — ci nawet którzy ich wysłali — dowiadywali się o losach nigerskich żeglarzy. Co prawda wynik ich heroicznych badań był mniej obiecującym niż się spodziewano: pokazało się, że Niger w dolnym swym biegu nie jest spławnym dla większych łodzi, nie mówiąc już o parowcach, mogących kursować tylko między Bammaku a wyspą Fafa, to jest od początku katarakt. Szczegóły jakie członkowie wyprawy przywieźli o ludach pustyni nie poszły również w smak w sferach gdzie opanowanie Sudanu zda się możliwem jedynie przez wyniszczenie rasy Tuaregów: „Ciężko jest płynąć przeciw prądowi utartych opinii“ uskarża się przecież autor...

„Mungo-Park zajaśniał sławą za to jedynie, iż usiłował zrobić to czegośmy dokonali — tak mi się przynajmniej zdawało, póki nie wróciłem do Francyi“ — dodaje z pewną goryczą. Istotnie jest coś tragicznego w każdym, choć najszczęśliwszym powrocie z wyprawy, gdy człowiek, którego całe jestestwo naprężone było czas długi ku wskazanemu celowi, spostrzega, iż podczas co on się trudził cel ten współziomkom jego wyszedł z pamięci, że świat ponad jego bohaterstwem i znojem przechodzi do porządku dziennego. Są tacy wprawdzie, co nie zaznają boleści lekceważenia, ale tych natomiast obok entuzyazmu niektórych spotyka powątpiewanie u wielu. Wszak po powrocie Stanleya nie chciano wierzyć, iż przeszedł Afrykę; podobnie nie jeden czytając pod piecem polarne opisy Nansena z wysokości swego fotelu zadaje mu kłam. Gdy Hourst i Baudry wychodzili z sesyi Tow. Geo-

graficznego w Paryżu widzieli jak niejeden z publiczności potrząsał głową nad ich raportem, mówiąc, że jakoś dziwnie mało zmizernieli w Afryce... Każda to nowość — choć wszystkich pociąga — znajduje mnóstwo niewiernych, zwłaszcza gdy chodzi o to, aby uwierzyć w cudze bohaterstwo, w cudzą cnotę lub cudzy trud.

I. Wodzicka.

ROK ŚMIERCI CHRYSTUSOWEJ

WEDŁUG LITURGICZNYCH KSIĄG WSCHODU.

Dyonizy Szczupły opisuje epokę chrześcijaństwa w słowach wyraźnych i zrozumiałych: mianowicie wskazuje tę epokę w niedzielę 25-go marca juliańskiego, kiedy anioł zwiastował Tajemnicę Wcielenia, a bliżej oznacza ten dzień epokowy słowami, że przy końcu roku 34-go od Zwiastowania Chrystus umarł w ciągu doby, po żydowsku liczonej od wschodu księżyca we czwartek do zachodu słońca w piątek, w ciągu którejto doby wypadał dzień 14-y Nizan (czyli średnia pełnia) a zarazem równonocnia [1].

Powyższy opis epoki dostatecznie wyjaśnia sprawę czytelnikowi, który umie korzystać ze wskazówek i wzorów matematycznych, dostarczonych przez „Przyczynek do kalendografii“ prof. Karlińskiego [2]. Z tablicą kalendograficzną w ręku łatwo czytelnik znajdzie dzień Zwiastowania czyli niedzielę 25-go marca w roku 8-m ery przyjętej, czyli dyonizyańskiej; na ten też rok zgodnie wskazują rozmaite szczegóły, którymi pouczają nas o roku Narodzenia Chrystusowego najdawniejsi pisarze chrześcijańscy: Ireneusz, Hesychios, Juliusz Afrykańos, Justyn Filozof,

[1] Można tu przypomnieć czytelnikom, że wyraz „epoka“, używany w potocznej mowie jakoby równoznaczny z wyrazem „era“, właściwie oznacza wypadek, od którego zaczynamy liczyć rok 0 ery, a następnemu dopiero rokowi dajemy porządkową liczbę 1.

[2] Por. *Przegląd Powszechny*, tomy LXIII, LXV i LXIX.

Klemens Aleksandryjski, Tertulian, Epifanios, Eusebios, Orosius, autor Paschalionu, Synkellos, Mallala a za nimi Wielebny Beda, (najdokładniejszy ze świadków), którzy kościelną naukę powtarzają z przedziwną troską, aby nie naruszyć w niej żadnego szczegółu, najmniejszego wyrazu, najlżejszej kropki nad i. Wszyscy ci pisarze w świadectwach, poprzednio przytoczonych dosłownie [1], wyraźnie oznaczają albo przeróżnymi opisami wskazują rok Narodzenia Chrystusowego tak dokładnie, że zupełnie popierają Dyonizego Szczupłego w jego opisie niedzieli 25-go marca roku 8-go ery przyjętej. Z nimi składają zgodne świadectwo różni pisarze bądź z pomiędzy Żydów bądź rzymscy, kiedy opisują dzieje Heroda albo wspominają o zaćmieniach, związanych z biegiem ówczesnych wypadków [2].

Czemuż tedy Dyonizy Szczupły sam nie obliczył lat ery swojej zgodnie z własnym opisem epoki, chociaż w tym opisie idzie śladem utartym przez tylu poprzedników? Bo w jego czasach nikt nie miał wzorów nowożytnej kalendografii i wskazówek astronomii, która łatwo nam obecnie pokazuje na tle wieków bardzo odległych rok określony dniem tygodnia i miesiąca słonecznego albo podobnemi znamionami chronologicznemi. Zamiast tej drogi, która dziś prowadzi do kresu zupełnie bezpiecznie, Dyonizy użył ciemnej sprawy indykcyi, której powaga w tej mierze do dziś dnia nie przestała być zagadką. Stąd to pochodzi, że Dyonizy nawet nie spostrzegł, jak sam własną erę zbija swoim opisem epoki i powagą poprzedników, z którymi zgodnie tę epokę określił: nie wiedział, że musiałby był dostać od tych poprzedników zupełnie inne wskazówki, jeżeliby określał epokę zgodnie z erą; powinienby był podać dzień Zwiastowania albo 25-go marca wprawdzie, ale we czwartek a nie

---

[1] *Przegląd Powszechny,* tom LXX, str. 204—206, 212, 214, 218.

[2] Dla czytelnika, który nie ma pod ręką wspomnianych rozpraw kalendograficznych a chciałby urobić sobie pojęcie o ścisłej podstawie powyższego wniosku, wystarczy zwrócić uwagę na krótki wzór, przerobiony w dopisku do str. 3 tomu LXIX *Przeglądu Powszechnego,* gdzie za „Dzień 10-ty marca“ czytać należy „Dzień n-ty marca“ roku 0; zaś przy końcu, zamiast „do epoki“ czytać należy: „dla epoki“ w roku 8-m.

w niedzielę, albo podać niedzielę, ale nie 25-go marca, tylko 21-go: w takim razie swoim opisem epoki wskazałby był rok swojej ery 0.

Ta sama uwaga dotyczy znamion roku, w którym Dyonizy kładzie śmierć Chrystusa Pana. Także co do tych znamion znajdujemy opis Dyonizego zupełnie zgodny ze szczegółami, którymi określają dzień Męki Pańskiej najprzód sami ewangieliści, a potem liczny zastęp świadków i najdawniejszych i późniejszych, szczegółowo przytoczonych poprzednio[1]: Justyn, Afrykanos, Teofanes, Hipolit, Tertulian, Aleksandryjczycy: Klemens, Piotr, Cyryl i Proter, Orygines, Chryzostom, Ambroży, Augustyn, Hieronim, Epifanios, Wiktor, Sewer, Maksym, Kedrenos, Beda, pisarze starożytnych dzieł: *Acta Pilati* i *Catalogus Liberianus*, liczne martyrologia hiszpańskie i francuskie, martyrologia i Menaje Cerkwi wschodnich, nakoniec książe teologów Kościoła Zachodniego, Tomasz z Akwinu.

Taki poczet świadków zdziwić mógłby czytelnika, który pamięta, że rzadko która prawda dogmatyczna znajduje za sobą tyle starożytnych powag; zachodzi jednak różnica między świadectwami dogmatycznemi a sprawą historyczną. Co do wielu prawd dogmatycznych pisarze starożytni mieli usta zamknięte przez zasadę *de disciplina arcani non omnia dicimus coram non initiatis:* nie wszystko wymawiali przed niewtajemniczonymi: dla tego w wielu ważnych rozprawach dogmatycznych starożytni pisarze kościelni przekazali nam tylko świadectwa krótkie i na wpół pokryte zasłoną. Przeciwnie co do wypadków czysto dziejowych mogli bez przeszkód wypowiedzieć prawdę wobec pogan i dokładnie określić dnie narodzenia i śmierci Pańskiej.

Wobec tedy ich słów zgodnych i jasnych trzeba przyznać, że Dyonizy Szczupły powtórzył ogólny wówczas głos chrześcijaństwa w swoim opisie dnia śmierci Chrystusowej; można też niezależnie od poprzednich wywodów roztrząsnąć teraz samo pytanie, w którym roku stulecia Chrystusowego równonocnia razem z pełnią przypadła na piątek.

---

[1] *Przegląd Powszechny* t. LXXI, 47, 48, 55—65.

Krótką znowu drogą można dojść do odpowiedzi na to pytanie, ale drogą wogóle mało uczęszczaną i przystępną, bo trzeba przy niej rozwiązywać równania matematyczne. Jednak sprawa zbyt zawile nie wygląda.

Wszak według Dyonizego Szczupłego wraz z licznym zastępem najdawniejszych świadków, śmierć Chrystusowa miała miejsce w piątek podczas równonocni, która przypadała razem z pełnią wiosenną.

Pamiętając, że równonocnia przypadała wówczas dnia 23 marca, mamy — gdy dzień tygodnia czyli piątek

$$= r\left(\frac{23 + \Delta R}{7}\right),\ \Delta R = 3 \text{ bo } r\left(\frac{23+3}{7}\right) = r\left(\frac{26}{7}\right) = 5$$

W roku przeto śmierci Chrystusowej było $\Delta R = 3$.

Chodzi o dzień pełni *p;* ta zależy od $c = r\left(\frac{a+b}{19}\right)$, a ponieważ w pierwszym wieku jest $a = o$ więc $c = r\left(\frac{b}{19}\right)$, a przeto $c = b$; z tą wartością mamy zaraz pełnię.

Z tablicy dającej ΔR i b dla każdego roku, mamy $\Delta R = 3$, $b = 4$ dla roku *42.*

Dla $c = b = 4$ mamy pełnię $p = 22$, a przeto tylko rok 42-gi odpowiada warunkom, bo w nim mamy równonocnię w piątek dnia 23 i równocześnie pełnię dnia 22 marca. (Jak widzimy rok 36-ty odpada, bo w nim była pełnia dnia 29 czyli w tydzień później.)

Śmierć przeto Chrystusa przypadła d. 23 marca roku 42-go ery dyonizyańskiej, a ponieważ Jego narodzenie przypadło dnia 25 grudnia roku 8-go, przeto umarł licząc skończonych lat 33 i niespełna trzy miesiące.

Aby zrozumialej to przedstawić, można użyć jeszcze innej drogi, przystępniejszej dla wszystkich, którzy niechętnie przerabiają wzory matematyczne a zamiast nich wolą widzieć prawdę szerzej opowiedzianą słowami i przedstawioną, o ile to możebne, naocznie. Otóż zrozumialej niż w oderwanych dowodach można w stosownej tablicy objąć rzutem oka porządek, w jakim pierwsze pełnie wiosenne następują po sobie nieprzerwanym ciągiem w różnych dniach tygodnia od początku doby chrześcijańskiej

aż po bardzo dalekie po nas przyjść mające stulecia. Tablica taka naocznie wyjaśnić może najprzód wywód obecny o dniu śmierci Chrystusowej, a następnie ułatwi pogląd na inne wywody chronologiczne, przedewszystkiem ważne dla teologów, mianowicie sprawę tygodni Danielowych i związaną z nimi sprawę ery żydowskiej od początku świata. Otóż stosowną do tych wywodów tablicę znajdujemy w wykazie dat wielkanocnych, ułożonym przez starożytnych Aleksandryjczyków i używanym dotychczas w obrzędowych księgach Cerkwi Wschodniej pod nazwą Indykcyonu. Ten to indykcyon, który wywarł niemało wpływu na chronologię, rozłożony na oddzielne części dla łatwiejszego obecnie poglądu i zaopatrzony astronomiczną poprawką stanowi załączoną tablicę.

Aby z tej tablicy korzystać, można najprzód ogólnie poznać jej układ, a potem w szczegółach zbadać ją dokładniej.

Tablica służy w obrzędowych księgach do wykazu niedziel wielkanocnych, zależnych od pierwszej pełni wiosennej. Aby tę pełnię, — najprzód juliańską znaleźć na dany rok, np. 1901, trzeba

1) w tabliczce E (obwiedzionej wężykiem, środkowej u dołu) wyszukać liczbę bezpośrednio mniejszą od danego roku, czyli liczbę b o c z n ą, więc w tym razie 1883,

2) w tabliczce B (obwiedzionej cienką linijką, lewej u dołu) pomiędzy tłustemi liczbami w najniższym u samego dołu wierszu znaleźć różnicę między danym rokiem a liczbą boczną, czyli liczbę d o l n ą, więc 1901 — 1883 = **18**,

3) ponad tą liczbą dolną w rzędzie pionowym u samej góry tabliczki A (obwiedzionej linijką podwójną, lewej u góry) znaleźć tłustą liczbę pochyłą, w tym razie ***25***, która właśnie oznacza szukaną p e ł n i ę, wyrażoną zawsze dniem marca, choćby przypadała w kwietniu,

4) w tabliczce B (lewej u dołu), w pionowym rzędzie pod otrzymaną pełnią ***25*** a nad liczbą u dołu **18**, (w wierszu z równo z liczbą boczną 1883) umieszczona cyfra, zwana d n i o w ą, wyraża w i l e d n i p r z e d n i e d z i e l ą pełnia wypadła w da-

nym roku, tym razem siódemka znaczy, że 25-y marca wypadł w siedem dni przed niedzielą, więc także w niedzielę,

5) do daty pełni dodana cyfra dniowa oznacza juliańską niedzielę wielkanocną.

Aby znaleźć wiosenną pełnię poprawną na dany rok, np. 1901, trzeba

1) w tabliczce C (obwiedzionej kropkami) wyszukać pod nagłówkiem Φ liczbę stuleci skończonych w danym roku, więc 19,

2) w równym — z tą liczbą stulecia — wierszu znaleźć liczbę dodatkową pod nagłówkiem $\pm$, więc $+40$, i uzupełnić dany rok liczbą dodatkową, więc $1901 + 40 = 1941$,

3) na rok tak uzupełniony 1941 znaleźć wiosenną pełnię juliańską sposobem poprzednio podanym, zatem $1941 = 1940 + 1$, nad **1** pełnia ***33*** w pięć dni przed niedzielą, a więc Wielkanoc $33 + 5 = 38$ marca $= 7$-go kwietnia. I tak przez cały czas, póki służy liczba dodatkowa 40 idą równolegle do siebie wielkanoce poprawne i późniejsze od nich o tę liczbę wielkanoce juliańskie.

W powyższy sposób znaleźć można datę zwykle poprawną pełni i Wielkanocy, a tylko w niektórych razach przedwczesną, o czem ostrzegają liczby pod nagłówkiem Δ podane w tablicach A i C, czyli tak zwane poprawki.

Poprawki te, poustawiane w coraz niższych wierszach, odznaczonych głoskami a, ą... e, służą na stulecia, podane w tychże wierszach pod nagłówkiem Φ w tabliczce C. Ale nie każde stulecie znajduje w swoim wierszu wszystkie poprawki równe w obu tabliczkach, bo tabliczka A podaje poprawki tylko przybliżone, wyrażone czcionkami zwykłemi i nieraz mniejsze o jedynkę albo dwójkę od właściwej poprawki, tłustą czcionką wyrażonej, którą na to samo stulecie podaje w tymże wierszu tabliczka C. Wtedy ponad poprawką za małą o jedynkę albo dwójkę w tabliczce A wypada także data pełni za wczesna o dobę jedną albo drugą, więc ją trzeba o tyleż powiększyć. Otóż niekiedy ta data przedwczesna znajduje pod sobą w pionowym rzędzie cyfr dniowych jedynkę albo dwójkę, czyli wypada w sobotę albo piątek, a powiększona

i zrównana z właściwą poprawką wypada w niedzielę, więc wskazuje Wielkanoc w siedem dni później. Słowem w tym wypadku niedzielę wielkanocną wyznacza data pełni przedwczesnej, najprzód zwiększona cyfrą dniową, a potem uzupełniona siódemką.

Uzupełniać jednak tą siódemką nie trzeba daty wielkanocnej w tym razie, kiedy tabliczka A poda albo którąbądź poprawkę za małą o jedynkę pod pełnią *49*, albo kiedy pod pełnią *48* poda za małą o jedynkę poprawkę jedną z tych, jak 5, 8, 13, 16, przy których stoi liczba oznaczona gwiazdką w kanonie u samej góry, więc 43*, 40*, 35*, 32*.

Bliżej tę sprawę wyjaśni załącznik na str. 345.

Tak tedy wygląda ów indykcyon, którego użyć teraz można, aby znaleźć epokę chrześcijaństwa, jaką podaje Dyonizy: mianowicie rok, w którym 25-y dzień marca przypadł na niedzielę a w 34 lat później pełnia wraz z równonocnią przypadała w ciągu doby piątkowej, zaczynanej już wieczorem we czwartek podług zwyczaju żydowskiego. Otóż na dniu równonocnym juliański kalendarz w stuleciu 0 liczył 23-ci dzień marca: więc doba piątkowa, o której mówi Dyonizy, obejmuje według naszych nazw wieczór we czwartek 22 go marca, całą noc następną i cały dzień aż do zachodu słońca 23-go marca. Zatem we dwa dni później upływała niedziela od wieczora w sobotę 24-go marca do zachodu słońca 25-go marca: słowem w obu latach, o których mówi Dyonizy, i w roku Zwiastowania i w roku 34-ym później, w którym Chrystus umarł, na niedzielę przypadał dzień 25-y marca; nadto Dyonizy określa ten ostatni rok wzmianką o pełni.

Zatem w tabliczce D trzeba użyć pionowego rzędu liczb, w którym znajdziemy dzień 25-y marca: wszystkie inne dnie miesiąca, umieszczone w tym rzędzie pionowym, przypadną także na niedziele w latach narodzenia i śmierci Pańskiej. Otóż w siódmym rzędzie pionowym znajdujemy dzień 25-y marca z kluczem g, a pod nim dnie kwietnia z kluczami i, r, c, l. Więc w indykcyonie trzeba znaleźć dwie niedziele wielkanocne, oznaczone którymś z powyższych kluczów g, i, r, c albo l,

a oddalone od siebie o 34 miejsc, czyli o dwa dziewiętnastolecia bez 4-ch lat. Zacząć trzeba od wiersza *m*, odpowiedniego bocznej liczbie —17, bo w tym wierszu wypada początek stulecia 0; otóż w tym wierszu wypada niedziela z kluczem c nad dolnemi liczbami **3** i **14**, to znaczy, że między rokiem ,16 i 2 na niedzielę przypadał 24 marca w latach ,14 i ,3. W następnym rzędzie, równo z boczną liczbą 2 wypada trzy razy niedziela wielkanocna z kluczem r, mianowicie nad dolnemi liczbami **1**, **6**, **12**, to znaczy że na niedzielę przypadł dzień 25-y marca pomiędzy rokiem 3-im i 21-ym po Chr. w latach 3-m, 8-ym i 14-ym

Tym sposobem dalej szukając, znajdujemy, że od roku ,16-go do roku 114-go niedziela wypadała 25-go marca w latach następnych

.	.	.	.	,14	.	,3	.
3	.	8	14	.	25	31	.
.	36	42	.	53	59	.	64
.	70	.	81	87	.	92	98

i w tych liczbach znajdujemy tylko sześć par lat, oddalonych od siebie o 34 i odznaczonych tu znakiem ⁞, to znaczy, że Chrystus Pan mógłby według Dyonizego

urodzić się w roku ,3-m albo 8-m, 25-m, 36-m, 53-m, 64-m
i umrzeć „ „ 31-m „ 42-m, 59-m, 70-m, 87-m, 98-m. ,

Którąż z tych par lat wskazuje Dyonizy? Odpowiada z całym zastępem świadków już wymienionych, że trzeba tę parę lat obrać, która w roku swoim późniejszym pokaże pełnię w ciągu doby od wieczora czwartkowego 22-go marca do południa piątkowego 23-go marca.

Otóż indykcyon wskazuje

w roku	pełnię w ciągu doby
31-m	24-o m. sob. — 25-o m. niedz.
42-m	22-o m. czw. — 23-o m. piąt.
59-m	44-o m. piąt. — 45-o m. sob.
70-m	43-o m. czw. — 44-o m. piąt.
87-m	35-o m. śr. — 36-o m. czw.
98-m	33-o m. pon. — 34-o m. niedz.

Słowem: indykcyon wskazuje jedną tylko parę lat stosowną do wskazówek powyższych, mianowicie rok 8-y z niedzielą 25-go marca i rok 42-i z piątkiem 23-go marca w dzień pełni.

Wynik ten wypada zupełnie zgodnie ze ścisłemi liczbami, do których dochodzimy z tablic astronomicznych. Już Dyonizy Pétau musiał to uznać, choć z zapałem bronił ery Dyonizego Szczupłego, a nie przykładał wagi do opisu jego epoki, bo nie znał całego zastępu świadków, których dziś łatwo za epoką dyonizyańską znaleźć w Patrologii Migne'a, a Dyonizy Pétau nie miał pod ręką równie dostępnych źródeł. Jednak z paryskich tablic astronomicznych Pétau[1] wyciągnął dokładne liczby na dowód, że w 42-m roku dyonizyańskim nów wypadł w sobotę 10-go marca juliańskiego o godzinie 10, 21 m. według południka jerozolimskiego. Ledwo o kilka minut wcześniej Guinness[2] podaje średni nów w swoich tablicach i bardzo zgodnie z Oppolzerem astronomiczną konjunkcyę podaje na 11 godz. 30 min. przed południem. Otóż Lersch przytacza Pliniusza i hebrajskie dzieła *Emunath Sachanim* i *Kidd Hahodesch*, według których w Jerozolimie, przy tamtejszem czystem niebie, można widzieć nów już w sam dzień konjunkcyi, w kilka godzin po przejściu księżyca przed tarczą słoneczną. Nawet na naszem niebie Alkuin utrzymuje, że z wiosną można widywać nów w sam dzień konjunkcyi. Więc już w sobotę 10-go marca mogli przed zachodem słońca baczni świadkowie żydowscy dostrzedz cienki sierp księżyca i liczyć w tym dniu 1-y Nizan: zatem porządek dalszych dni księżyca przez dwa tygodnie przedstawia tabliczka

Nizan: dzień	1-y	2-i	3-i	4-y	5-y	6-y	7-y	8-y
Marzec: dzień	10-y	11-y	12-y	13-y	14-y	15-y	16-y	17-y
	sob.	niedz.	pon.	wt.	śr.	czw.	piąt.	sob.

	9-y	10-y	11-y	12-y	13-y	14-y	15-y	16-y
17-y	18-y	19-y	20-y	21-y	22-y	23-y	24-y	25-y
sob.	niedz.	pon.	wt.	śr.	czw.	piąt.	sob.	niedz.

W ciągu ostatniej w tabliczce doby, 16-ej Nizan, podczas przeciwległości księżyca tablice Oppolzera i Guinnessa podają

[1] Migne *P. G.* XIX, 1413.

[2] *Creation centred in Christ*, vol. II, 278.

zaćmienie księżyca 25-go marca w niedzielę około południa w Jerozolimie, więc w tem mieście niewidzialne. Słońce zaś weszło w znak równonocny 23-go marca około 2-ej po północy, więc w ciągu tej nocy, którą całą jeszcze i Żydzi i Aleksandryjczycy zgodnie zaliczali do doby 14-ej Nizan.

Wobec tych liczb i wobec pilnej uwagi Żydów na dokładny początek Nizan nie można przypuszczać, że tylko przypadkiem nastała dziwna zgoda między poważnym zastępem poprzedników Dyonizego, jego własnym opisem epoki chrześcijańskiej i nakoniec wskazówkami nowożytnych tablic astronomicznych. Za tym wnioskiem przemawia nakoniec widok sporów między chronologami, którzy wprawdzie zgodnie twierdzą, że Dyonizy Szczupły nie umieścił arytmetycznego początku swojej ery w roku narodzenia Chrystusa, jednak szukają tego roku po różnych latach i wszędzie spotykają przeszkody nieprzełamane, a sprawa cała wypada zupełnie zrozumiale, jeżeli wobec powyższych dowodów znajdziemy Narodzenie Chrystusa w roku 8-ym dyonizyańskim a Jego śmierć w roku 42-im.

* * *

Trudno tu powstrzymać pióro od jednej jeszcze uwagi nad tablicą powyżej rozpatrzoną. O postępie astronomii dzisiejszym nikt nie wątpi ani nikt nie używa dzisiejszych tablic astronomicznych z obawą, czy nie wyczyta w nich błędnych dat, niezgodnych z niebem. Między temi tablicami pierwszorzędne miejsce zajmuje *Kanon der Finsternisse* von Oppolzera, znakomite i dokładne dzieło, ale niedostępne dla jednych z powodu ceny, dla drugich z powodu trudniejszych wzorów matematycznych, dla chronologów nawet nie koniecznie niezbędne, bo w chronologii zwykle wystarczy znać dokładnie dzień zaćmienia, a nie trzeba liczyć minut i sekund. Przed von Oppolzerem służyły natomiast tablice Largetau, ale od nich wygodniejszą tablicę niedawno ułożył Guinness, a nawet dokładniejszą, jak świadczy dr. Dreyer, astronom z Armogh; również chwalą dokładne wyniki tablicy Guinnessa, aż nazbyt dostateczne dla chronologa, inni astronomowie, jak dr. Downing, z greenwich-

skiego obserwatoryum redaktor roczników *Nautical Almanac*, p. Lynn i ś. p. Marth z markree'skiego.

Wobec tych tablic stają obrzędowe księgi wschodnie z indykcyonem, dziełem duchowieństwa aleksandryjskiego. Z pomocą poprawki astronomicznej, podanej przez krakowskiego astronoma, indykcyon cerkiewny pozwala śledzić zmiany księżyca i wyznaczyć jego pełni cykliczne w biegu kilkudziesięciu wieków zarówno dostatecznie dla chronologa, jak tablice Guinnessa. Cerkiew Wschodnia jak najwierniej przechowuje ten skarb mądrości swoich patryarchów aleksandryjskich i może w swoim „Indykcyonie“ wynaleźć dokładne daty tak dla ubiegłych wieków, np. w latach narodzenia i śmierci Pańskiej, jak dla czasów obecnych, aby znaleźć w świetnym indykcyonie swoim datę Wielkanocy poprawnej. Ale jakaś martwota padła na Carogród: czci dzieło chlubnych przodków po wierze, a nie umie korzystać z niego, nie zdoła nakręcić tego zegara, utworzonego pomysłem mędrców aleksandryjskich, ale nie nastawionego na czas zgodny z niebem. Czemu przypisać tę nieudolną cześć potomków do dzieła przodków? Wszak tych samych przodków po wierze dobrze rozumie Zachód, jeżeli nie tylko czci dzieła świętych Patryarchów aleksandryjskich, ale umie także korzystać z ich spuścizny i wyczytywać w martwych głoskach prawdę, która trwa przez wieki. Ale nie chce serce chrześcijańskie przypuszczać, żeby jeszcze przez wieki trwać miał przedział między potomkami wspólnych Ojców... choć nie wiadomo, kiedy zgoda powróci, przecie wiadomo, że wróci jedna owczarnia pod jednym pasterzem.

Załącznik.

Aby z tej tablicy zdać sprawę dokładniej, trzeba zauważyć, że tablica zawiera pięć części, poodróżnianych znakami następnymi:

1) z lewej strony wyżej stoi tabliczka ze znakiem ⊲{ i obwódką z podwójnej linijki;

2) z lewej strony niżej tabliczka ze znakiem ⊟{ i obwódką z cienkiej linijki;

3) z prawej strony wyżej tabliczka ze znakiem ☊ i obwódką kropkowaną;

4) z prawej strony niżej tabliczka ze znakiem ☋ i obwódką kreskowaną;

5) w środku tabliczka ze znakiem ☒ i obwódką wężykowatą.

Naprzód trzeba poznać tabliczkę A.

Podstawę całej tablicy tworzy poziomy rząd liczb, zwany kanonem aleksandryjskim pełni, ustawiony u samej góry tablicy A i odznaczony tłustemi czcionkami pochyłemi. Pod tym rzędem pochyłych czcionek wraca tenże kanon pełni ze zmienionym początkiem, mianowicie tłustemi czcionkami prostemi na coraz niższych wierszach tak ustawiany, że każda pełnia przechodzi dalej o ośm miejsc na prawo [1].

Ta zmiana początku w coraz niższych wierszach sprawia, że od góry na dół idą pionowo pełnie coraz wcześniejsze [2]. Przy tych pełniach, odbitych czcionkami tłustemi, idą w parze rzędami pionowymi z góry na dół liczby coraz większe pod nagłówkiem Δ, odbite czcionkami zwykłemi [3]. Z tych rzędów pionowych, naprzemian odbijanych tłustemi czcionkami a potem zwykłemi, powstaje cała tabliczka, obwiedziona podwójną linijką i zawarta między poziomym rzędem nagłówków Δ u góry i znaków + u dołu. Rzędy pionowe liczb tej tabliczki noszą dla odznaki nad sobą nagłówki z greckiego alfabetu, a przy poziomych wierszach po lewej stronie służą do odznaki głoski z abecadła polskiego a, ą, b, c...

Dla czytelnika, nieobeznanego poprzednio z kalendografią, wypada tutaj wyłożyć skąd pochodzi ta tabliczka i co ma za związek ze stanem nieba.

Ów rząd liczb przesuwanych na prawo w wierszach coraz niższych czyli kanon aleksandryjski, stanowi pierwszy zawiązek chrześcijańskiego kalendarza wielkanocnego i pochodzi od św. Anatola, cezarejskiego biskupa i męczennika z czasów Dyoklecyana. Uczony ten pisarz obliczył na okres dziewiętnastu lat, w którym dniu marca albo kwietnia wypada co roku pierwsza pełnia po równonocni. Z tych to dni marca i kwietnia powstaje kanon, wypisany tutaj w datach marca, za którego dalszy ciąg można uważać kwiecień.

Ten to kanon w pierwotnym swoim stanie, niedługo odpowiada niebu; nie wiedział o tem wymieniony pisarz i przypuszczał, zgodnie z ówczesnym światem uczonym, że pełnie na niebie, wyliczone przez niego na dziewię-

---

[1] Np. w pierwszym wierszu tłusta liczba **32** pod N stoi na ósmem miejscu od końca, a w drugim zaraz wierszu niższym ta sama liczba 32 stoi na początku na pierwszem miejscu pod A. W tym drugim wierszu na ósmem miejscu od końca pod N stoi 30 i ta sama liczba zaczyna wiersz trzeci, — i tak dalej w każdym wierszu na miejscu ósmem od końca pod N stoi ta pełnia, która w następnym wierszu niższym zajmuje miejsce pierwsze z początku pod A. Tej tedy zmianie ulega kanon w coraz niższych wierszach, ale wszędzie zachowuje wszystkie daty w nietkniętym porządku.

[2] Np. w pierwszym rzędzie pionowo stoją pod sobą coraz niżej pełnie 33, 32, 30, 29, 27 i t. d.

[3] Np. przy pełniach 33, 32, 30, 29, 27 i t. d., liczby 0, 1, 3, 4, 6 i t. d.

tnastolecie, po końcu tego okresu wracają w tych samych datach, co pierwszym razem, i tak wiecznie przypadają na jednakowe dnie miesiąca. Jednak z postępem czasu astronomia dowiodła, że pełnie na niebie nie zawsze, a ledwo w kilku dziewiętnastoleciach, wracają w tych samych dniach miesiąca, i za każdym powrotem zostają wtyle o małą część dnia; zatem po stuleciach o całą dobę później przypadają, niż pełnie w kanonie [1].

Słowem, prawdziwa pełnia zwolna przypada na coraz późniejszą datę: z dni najbliższych po równonocni w stuleciu Chrystusowem zaszła w naszych czasach na dwunasty dzień wiosny, a kanon stawia ją na dniu stałym i przez to wyznacza pełnie coraz bardziej przedwczesne, czyli potrzebuje zwiększać swoje daty poprawką coraz większą w ciągu stuleci. Tę poprawkę ($\Delta p = p_n - p$) na każde stulecie od 15-go aż do 36-go profesor astronomii dr. Karliński jako sumę poprawek z powodu zmiany równonocni i z powodu zmiany pełni podał we wzorze $\Delta p = \odot + \mathbb{C}$, stąd wypada $\Delta p = 10 + \frac{3}{4}(W-15) - 3 - \frac{8}{15}(W-14) = 7 + \frac{3}{4}(W-15) - \frac{8}{15}(W-14)$, i przez to dokazał, że można utrzymać kalendograficzne dzieło starożytnych chrześcijan w zgodzie z nowoczesną astronomią [2].

Tę jego zgodę z niebem wskutek poprawki wyjaśnia tabliczka pełni przesuwanych coraz dalej na prawo, bo przedstawia naocznie, jak z biegiem wieków aleksandryjski kanon pierwotny wyprzedza wprawdzie coraz bardziej pełnie astronomiczne, przecie według stałego praw dła zbacza od właściwej drogi, więc na nią może zawsze wracać, zaopatrzony stosowną poprawką. Mianowicie kiedy daty w kanonie wszystkie rzędem śpieszą o dobę jedną albo dwie, wtedy kanon rozpoczęty o ośm miejsc dalej na prawo, podaje rzędem daty większe o jedynkę albo o dwie jedynki [3], więc późniejsze daty zaczynają odtąd dość dokładnie pokazywać ową pełnię prawdziwą, którą zawcześnie teraz pokazują daty zastarzałe [4]. Dlatego

---

[1] Np. pełnia prawdziwa, w chwili zaćmienia księżyca, według tablic Guinesa i Oppolzera wypadła

w roku dyonizyańskim	po równonocni	w roku dyonizyańskim	po równonocni
42-im	we dwie doby	992-im	w pięć dób
61-ym	w jedną dobę	1391-im	w ośm dób
80-ym	„	1410-ym	w dziewięć dób
498-ym	w trzy doby	1429-ym	„
517-ym	w cztery doby	1847-ym	w dwanaście dób
954-ym	w sześć dób	1866-ym	„
973-im	w pięć dób	1885-ym	„

i t. d.

[2] Por. *Przegląd Powszechny* t. LXV, str. 54.

[3] Np. po datach 33, 22, 41, 30, 49, 38, 27, 46
idą daty 35, 24, 43, 32, 21, 40, 29, 48
po nich 36, 25, 44
i napowrót 33, 22, 41, 30, 49
38, 27, 46, 35, 24, 43, 32, 21 i t. d.

[4] Np. w stuleciu 0 data na 2-m miejscu pod B podana czyli 22, stosownie pokazywała średnią pełnię nazajutrz po równonocni, ale w stuleciach 3 i 4 śpieszyła o dwa dni, o tyle dni później spotykamy w tablicach astronomicznych średnią datę zaćmień księżyca: więc nie data 22 ale pó-

tabliczka przesuwa w wierszach niższych daty coraz dalej na prawo, przez to stawia pod pierwotnemi pełniami daty coraz niższe i przy nich dodaje pod nagłówkiem Δ coraz większe liczby, jako poprawki dla daty w kanonie zastarzałej, którą zastępuje kolejno jedna po drugiej data umieszczona ponad nią u góry w pierwszym wierszu [1].

Teraz przejść trzeba do tabliczki umieszczonej z lewej strony u dołu i oznaczonej głoską B, pomiędzy poziomym rzędem znaków + i dolnym rzędem liczb tłustych **1, 2, 3**... Po lewej stronie tabliczki stoją dla odznaki każdego wiersza głoski abecadła polskiego. Ta część tablicy czyli właściwy indykcyon dostarcza odpowiedzi na dwa pytania, stawiane kiedy trzeba w biegu wieków znaleźć rok oznaczony dniem tygodnia, księżyca i miesiąca słonecznego: naprzód zachodzi pytanie, na które dnie tygodnia przypadają w różnych latach wiosenne pełnie kanonu? następnie na każdy rok trzeba znaleźć dnie tygodnia, w których wypadała jakabądź data miesiąca. Na każde z tych pytań wypada osobno odpowiedzieć

Na które dnie tygodnia wypadają w różnych latach wiosenne pełnie kanonu?

Pełnie mogą przez kilka dziewiętnastoleci wracać w tych samych dniach miesiąca, ale nie mogą przypadać na te same dnie tygodnia za każdym powrotem, tylko przechodzą stałym porządkiem przez jeden dzień tygodnia po drugim [2]. Indykcyon pokazuje tę kolejną zmianę dni tygodnia przez pionowe rzędy cyfr ustawianych pod każdą pełnią kanonu, umieszczonego u samej góry. Cyfry w tych pionowych rzędach ustawiane, od jedynki do siódemki, wskazują, w ile dni przed niedzielą wypada górna data kanonu za każdym powrotem dziewiętnastolecia, dlatego można te cyfry nazwać dniowemi [3].

Rzędy pionowe dniowych cyfr nie idą zupełnie równo, ale co czwarta cyfra zbacza na prawo, aby odróżnić lata przestępne od zwykłych: mianowicie w równym pod sobą rzędzie stoją cyfry trzy na lata zwyczajne, a co czwarta wysunięta dla odznaki ku prawej stronie tablicy służy na rok

---

żniejsza od niej i o ośm miejsc dalej na 10-m miejscu pod Δ podana data 24 odpowiada niebu w owych stuleciach późniejszych. Naocznie przedstawia to tabliczka, kiedy w drugim wierszu przesuwa datę pierwotną 22 z drugiego miejsca na dziesiąte pod datę 24 i stawia obok daty 22 poprawkę 2 na znak, że wówczas ta data wymagała poprawki 2. W trzecim wierszu data 22 przechodzi jeszcze dalej o ośm miejsc na prawo pod T i pod datą 25 dostaje poprawkę 3 i t. d.

[1] Największą datę kanon podaje 49, najmniejszą 21, pod którą w poziomych rzędach tabliczki znowu wraca 49, a pod nią coraz mniejsze.

[2] Np. pierwsza data pełni w kanonie 33 wypada z początku we wtorek, po dziewiętnastu latach w piątek, po dalszych dziewiętnastu latach w niedzielę i t. d.

[3] Np. pełnię 33 we wtorek oznacza indykcyon przez piątkę w wierszu ę pod 33, bo wtorek poprzedza niedzielę o pięć dni; następnie pełnię 33 w piątek oznacza indykcyon przez dwójkę przy é pod 33, bo piątek poprzedza niedzielę o dwa dni; potem pełnię 33 w niedzielę oznacza indykcyon przez siódemkę przy f pod 33, bo niedziela poprzedza następną niedzielę o siedem dni i t d.

przestępny [1]. Po upływie 532-ch lat z końcem 28-go dziewiętnastolecia wraca znowu porządek dni miesiąca i tygodnia z pierwszego dziewiętnastolecia.

Oczywiście cały ten układ indykcyonu spoczywa na starożytnej zasadzie, że pełnie kanonu wracają zawsze niezmienną koleją, więc także dnie tygodnia podczas pełni raz wyznaczone w indykcyonie, wieczną koleją idą po sobie rzędem nieprzerwanym Dzisiaj ruch ciał niebieskich znany dokładniej okazuje, że słońce i księżyc na parę stuleci znajdują dla siebie rząd dat odpowiednich w indykcyonie, który ustawia setki dat w rozmaitych połączeniach, ale potem oba ciała niebieskie przerywają tę kolej dat zgodnych z indykcyonem i zamiast iść nią w dalszym ciągu, przechodzą ze swojemi datami na inne tory; ale wtenczas indykcyon wskazuje na innem miejscu rząd swoich dat ustawionych w połączeniu stosownem do drogi ciał niebieskich, więc znowu na parę stuleci pełnie i równonocnie rzędem idą po sobie zgodnie na niebie i w indykcyonie, póki nowa przerwa w tym porządku nie wskaże, że trzeba kilkadziesiąt miejsc przeskoczyć w indykcyonie na rząd dat nadal poprawnych. Słowem indykcyon istotnie oddać może taką posługę, jakiej oczekiwali po nim jego twórcy i wymagają od niego obrzędowe księgi Wschodnie, ale nie dostarcza dat poprawnych tak jednostajnie i niezmiennym ciągiem, jak przypuszczała starożytna astronomia, tylko z przerwami co parę stuleci i z przeskokami od rzędu dat przestarzałych do innego rzędu nadal stosownego, a nowsza astronomia udziela tak zwanych ilości kalendograficznych, czyli wskazówek, jak można ze samej istoty indykcyonu wyprowadzić stałe prawidła owych przerw w datach i przeskoków na rzędy dat poprawnych [2].

Ponad rzędami pionowymi cyfr dniowych ustawione znaki + idą rzędem poziomym między tabliczką górną a indykcyonem; każdy z tych znaków wskazuje, że dniowe cyfry, pod nim umieszczone, kolejno dodawane do pierwotnej daty pełni, dają datę niedzieli. O tę to niedzielę przedewszystkiem szło twórcom indykcyonu, bo na nią sobór nicejski wyznaczył święto Wielkanocy, czyli wskazywał na owe pełnie, jako na kres, po którym trzeba szukać wielkanocnej niedzieli: stąd te pełnie noszą w księgach obrzędowych nazwę kresów wielkanocnych: граница пасхальна [3]. Obie daty kresu i niedzieli wielkanocnej są w tablicy oznaczone jako dnie

---

[1] Każda ze siedmiu cyfr dniowych powraca w różnych dziewiętnastoleciach raz w roku przestępnym i po razu w każdym z trzech lat zwykłych między przestępnemi, słowem każda przypada cztery razy, zatem ze siedmiu cyfr dniowych powstaje pionowy rząd o 28-iu cyfrach pod każdą z 19-u pełni, więc indykcyon pokazuje porządek dni tygodnia podczas pełni na lat $19 \times 28 = 532$.

[2] Można tę myśl jeszcze inaczej wyrazić: kalendarz stary używa dat dobrze obliczonych, ale w niewłaściwych latach, bo te same daty rzędem przesunięte w tył albo w przód wskażą pełnie poprawnie na inne lata.

[3] Ta niedziela wielkanocna, najbliższa po kresie wypadała oczywiście pierwszą po pełni prawdziwej, póki kanon odpowiadał niebu; w późniejszych stuleciach ta sama niedziela pozostała pierwszą po zastarzałym kresie w kanonie, ale nie po pełni na niebie.

marca, za którego dalszy ciąg można uważać kwiecień [1]. Tym sposobem indykcyon podaje daty niedziel wielkanocnych nieoznaczone wprawdzie wyraźnie, jednak wskazane przez składowe liczby: kres i cyfrę dniową.

Złożoną z tych liczb składowych datę niedzieli wyraża głoska, dopisana przy każdej cyfrze dniowej, a brana w obrzędowych księgach wschodnich z abecadła słowiańskiego, które posiada 35 znaków potrzebnych, aby wyrazić 35 możebnych dat wielkanocnych, — od 22-go marca do 25-go kwienia. Zamiast tego abecadła, — mniej znanego czytelnikom na Zachodzie, — tablica tu załączona używa głosek abecadła staropolskiego, które posiadało także 35 znaków piśmiennych (wraz z *á* i *é*). Głoski te w obrzędowych księgach wskazują porządek nabożeństw, zależnych od Wielkanocy i z tego powodu noszą nazwę k l u c z ó w [2].

Aby tedy w indykcyonie znaleźć kres na dany rok we właściwym dniu tygodnia, trzeba użyć tabliczki E, którą stanowi kilka poziomych rzędów liczb, pomiędzy rzędem tłustych nagłówków ╋ u góry i dolnym rzędem rzymskich cyfr **XI, XII ... XVII.** Liczbom tym można nadać nazwę bocznych, bo zajmują tabliczkę po prawym boku indykcyonu, jakby w jego dalszym ciągu, i stoją w 28-iu wierszach równo z cyframi dniowemi i kluczami. Boczne te liczby wskazują, w którym wierszu indykcyonu trzeba szukać cyfr dniowych i kluczów na dany rok ery dyonizyańskiej; a w którem miejscu tego wiersza na dany rok wypada stosowny klucz, — to wskazuje pod indykcyonem najniższy wiersz z tłustych 19-tu liczb dolnych.

---

[1] Kiedy te daty przewyższają liczbę 31 dni marca, wtedy zmniejszone o tę liczbę dają kwietniową datę zwykłą. Np. w pierwszym rzędzie pionowym data 33 marca = 2 kwietnia zwiększona piątką daje 38 czyli niedzielę wielkanocną 7-go kwietnia.

[2] Którą datę który klucz wyraża, — przedstawić to może tabliczka następna:

22	mrca	. . . . .	ѧ	. . .	a	40	mrca	. .	9	kw	. . .	ц	. . .	s
23	„	. . . . .	ѣ	. . .	b	41	„	. .	10	„	. . .	т	. . .	t
24	„	. . . . .	к	. . .	w	42	„	. .	11	„	. . .	ѹ	. . .	u
25	„	. . . . .	г	. . .	g	43	„	. .	12	„	. . .	ф	. . .	f
26	„	. . . . .	д	. . .	d	44	„	. .	13	„	. . .	х	. . .	x
27	„	. . . . .	є	. . .	e	45	„	. .	14	„	. . .	ѡ	. . .	ó
28	„	. . . . .	ж	. . .	ż	46	„	. .	15	„	. . .	ѱ	. . .	c
29	„	. . . . .	ѕ	. . .	ź	47	„	. .	16	„	. . .	ч	. . .	ć
30	„	. . . . .	з	. . .	z	48	„	. .	17	„	. . .	ш	. . .	ś
31	„	. . . . .	и	. . .	é	49	„	. .	18	„	. . .	щ	. . .	á
32	„	. . 1	kw	. . .	і	. . .	i	50	„	. .	19	„	. . .	ъ	. . .	h
33	„	. . 2	„	. . .	к	. . .	k	51	„	. .	20	„	. . .	ы	. . .	y
34	„	. . 3	„	. . .	л	. . .	ł	52	„	. .	21	„	. . .	ь	. . .	j
35	„	. 4	„	. . .	м	. . .	m	53	„	. .	22	„	. . .	э	. . .	l
36	„	. . 5	„	. . .	н	. . .	n	54	„	. .	23	„	. . .	ю	. . .	ń
37	„	. . 6	„	. . .	о	. . .	o	55	„	. .	24	„	. . .	ѧ	. . .	ą
38	„	. . 7	„	. . .	п	. . .	p	56	„	. .	25	„	. . .	ѫ	. . .	ę
39	„	. . 8	„	. . .	р	. . .	r												

Znak ┼, umieszczony w nagłówku nad każdym rzędem pionowym liczb bocznych, wskazuje, że trzeba do każdej z nich dodawać kolejno każdą liczbę dolną, aby dostawać lata dyonizyańskie. Pierwotnie indykcyon podawał lata według ery od Adama, ale obecnie dla zgody z erą przyjętą na Zachodzie, Wschód nawet w indykcyonie używa ery dyonizyańskiej.

Boczne liczby nie oznaczają same lat naszej ery, ale potrzebują do tego liczb dolnych, które je uzupełniają: mianowicie boczne idą pionowymi rzędami tak ustawione jedna pod drugą, że pod każdą jest zaraz liczba większa od niej o 19; otóż każda z nich kolejno uzupełniana liczbami dolnemi 1, 2... 19, daje liczbę roku jednego po drugim od roku 187-go przed Chr. do roku 3536-go po Chr.; lat tych tablica nie wypisuje wyraźnie, tylko dostatecznie oznacza je przez ich częściowe liczby boczną i dolną, czyli podaje lata rozłożone na części, z których łatwo je złożyć, i na odwrót łatwo rozłożyć dany rok na obie jego części, aby znaleźć jego klucz, umieszczony w indykcyonie ponad dolną liczbą, a w równym wierszu z boczną.

Wypada naprzód znaleźć boczną liczbę na dany rok, np. 1400 (albo 1902): do tego trzeba w poziomym rzędzie liczb bocznych schodzić z mniejszych na coraz większe i przy tej liczbie bocznej stanąć, która jeszcze nierówna całej liczbie danego roku znajduje dopiero pod sobą boczną liczbę już równą danemu rokowi albo większą od niego; ta liczba boczna ostatnia, jeszcze mniejsza od całej liczby danego roku, stanowi jego liczbę boczną. Więc rok 1400 znajduje w wierszu *ź* boczną liczbę 1389, ostatnią, którą jeszcze przewyższa, bo następną 1408 już znajdzie większą od siebie, (albo rok 1902 znajduje w wierszu *z* boczną liczbę 1883 ostatnią, którą jeszcze przewyższa, bo następną 1902 już znajdzie równą sobie w wierszu *ź*;) otóż ta ostatnia liczba 1389 (albo 1883) mniejsza od danego roku 1400 (albo 1902) służy dla niego za boczną.

Tak wyszukaną liczbę boczną trzeba odciągnąć od całej liczby roku danego, aby znaleźć liczbę dolną, bo obie razem złożone dają roczną liczbę całą. Więc rok 1400 znajduje liczbę dolną 1400 — 1389 = 11, zatem równo z liczbą 1389 w wierszu *ź*, a w pionowym rzędzie 11-ym rok 1400 znajduje szóstkę pod pełnią 43, stąd Wielkanoc dnia 43 + 6 = 49 marca = 18-go kwietnia [1].

Tym sposobem każda liczba boczna z pomocą 19-tu dolnych wyznacza rzędem klucze na dziewiętnastolecie, więc każdy pionowy rząd 28-iu liczb bocznych z pomocą dolnych wyznacza rzędem klucze na 19×28=532 lata, czyli zajmuje cały indykcyon. Grecy carogrodzcy naliczyli tych okresów 532-uletnich od Adama do Chrystusa Pana 10 całych i kilkaset lat okresu

---

[1] Rok 1902 znajduje boczną liczbę 1883 a dolną 1902 — 1883 = 19, zatem równo z liczbą 1883 w wierszu *z*, a w pionowym rzędzie 19-ym rok 1902 znajduje jedynkę pod pełnią 44, stąd Wielkanoc dnia 44+1=45 marca = 14-go kwietnia.

Następny rok 1903 znajduje boczną liczbę 1902 a dolną 1903—1902=1, zatem równo z liczbą 1902 w wierszu *ź*, a w pionowym rzędzie 1-ym rok 1903 znajduje czwórkę pod pełnią 33, stąd Wielkanoc dnia 33+4=37 marca = 6-go kwietnia. I t. d.

11-go, który dobiegł do końca w roku 344-m dyonizyańskim. Załączona tabliczka podaje boczne liczby na ten indykcyon XI i następnych 6 do XVII [1].

Daty powyższe, znalezione wprost w indykcyonie bez pomocy żadnych poprawek, oznaczają oczywiście dnie Wielkanocy zastarzałe, obchodzone dotychczas w kościołach Wschodnich. Aby w indykcyonie znaleźć dnie Wielkanocy poprawne, trzeba do pomocy użyć liczb, ustawionych w tabliczce C w dalszym ciągu tabliczki A. Tabliczka ta C mieści w równych wierszach z poprzesuwanemi datami kanonu liczby potrzebne do poprawki wielkanocnej, pod nagłówkami Φ, Δ, ⊙ i ±.

W rzędach pionowych pod nagłówkiem Φ idą liczby porządkowe stuleci skończonych w danym roku [2].

Pod nagłówkiem Δ stoją poprawki właściwe dla każdego stulecia skończonego, powtórzone dla paru stuleci ostatnich i dla przyszłych za tablicą ilości kalendograficznych prof. Karlińskiego i za chronologią Lerscha, a na stulecia dawniejsze wzięte z Lerscha samego.

Pod nagłówkiem ⊙ stoi równanie słońca [3].

Pod nagłówkiem ± stoją liczby dodatkowe, dodatnie albo ujemne, które wynikają z powyższych liczb pod nagłówkami Δ i ⊙, i oznaczają równoległy bieg wielkanocnych dat zastarzałych i poprawnych, czyli oznaczają, po ilu latach pełnię poprawnie zaczną wskazywać daty zastarzałe, których używa w niewłaściwych latach stary kalendarz zaniedbany, niby zegar nienakręcony od czasów aleksandryjskich.

Aby stosownie użyć liczb pod tymi nagłówkami, trzeba zauważyć, jak układ cyfr dniowych i kluczów w indykcyonie pozwala przechodzić z jednego rzędu dat na inny.

Uważny przegląd indykcyonu wskazuje, że:

Po 1-e, w każdym rzędzie pionowym co ośm miejsc niżej pod tym samym kresem indykcyon podaje o jednostkę mniejsze cyfry dniowe, a z tych cyfr dodanych do kresu powstają daty wyrażone kluczem, więc co ośm rzędów poziomych niżej wypadają klucze mniejsze o jednostkę, czyli o dobę wcześniejsze daty wielkanocne [4]. Otóż ośm rzędów poziomych

---

[1] Lata przedchrystusowe znajdują przy bocznych liczbach znak —, bo trzeba te liczby zmniejszać dolnemi, aby otrzymać rok przedchrystusowy.

[2] Np. obecnie w roku 1901-m służy pod Φ liczba stuleci skończonych 19 w wierszu *cz*, taż sama służyła w przeszłym roku 1900-m, a przedtem dla roku 1899-go, nagłówek Φ podawał w tymże wierszu *cz* liczbę stuleci skończonych 18.

[3] Są to liczby, które pokazują, o ile dni w danem stuleciu data równonocni odbiega od daty 21-go marca, przyjętej przez sobór nicejski w przepisie wielkanocnym.

[4] Np. w wierszu ę idą rzędem cyfry: 5, 1, 2, 4, 5 i t. d.
w wierszu ł . . . . . 4, 7, 1, 3, 4 i t. d.
w wierszu rz . . . . . 3, 6, 7, 2, 3 i t. d.
w wierszu z . . . . . 2, 5, 6, 1, 2 i t. d.
Wprawdzie pod jedynką z jej kluczem stoi siódemka z kluczem większym o szóstkę, ale ten szczegół nie zmienia tu rzeczy.

czyli dziewiętnastuleci daje lat 8×19=152: więc indykcyon wskazuje co 152 lata Wielkanoce rzędem wcześniejsze o dobę [1].

Po 2-e indykcyon pod każdym kresem stawia pionowy rząd cyfr dniowych w porządku wszędzie jednakowym, choć od różnych cyfr zaczyna różne rzędy, a co ośm rzędów na prawo zaczyna większe kresy, jak już powiedziano: wskutek tego układu cyfr dniowych i kresów, indykcyon także w tym razie służyć może poprawnie nadal, kiedy w przełomie stuleci trzeba późniejszych kresów, rzędem ustawionych na większych o jednostkę cyfrach dniowych, niż poprzednie już zastarzałe. W tym wypadku bardzo rzadkim, — bo zaszedł tylko raz w przełomie stuleci 7 i 8, — daty niedzielne pozostają zgodne ze słońcem, więc klucze w indykcyonie nie wymagają zmiany, tylko kresy w kanonie zostają w tyle za księżycem, więc trzeba przejść do mniejszych a równocześnie przejść na większe cyfry dniowe, aby zachować dotychczasowy rząd kluczy. Do tego wystarczy przejść w indykcyonie ośm rzędów pionowych na lewo, aby znaleźć mniejsze kresy, a cztery wiersze w górę, aby znaleźć większe cyfry i pozostać przy równych kluczach. Otóż cztery wiersze całe i ośm rzędów pionowych na lewo stanowi cztery dziewiętnastolecia i ośm lat: więc w tym wypadku Wielkanoce poprawne następują rzędem, jak szły przed 4×19+8=84-a latami [2].

Po 3-e indykcyon dla tej samej przyczyny, jak w poprzednim razie, dostarcza rzędu dat stosownych na wypadek najczęstszy w przełomie wieków, kiedy trzeba o jednostkę zwiększyć zarówno kres dotychczasowy jak datę miesiąca [3]. W takim wypadku pozostaje ta sama cyfra dni tygodnia między obiema datami równo powiększonemi, jaka odpowiadała stuleciu poprzedniemu, czyli w takim wypadku trzeba powiększyć kresy i klucze, a pozostać przy równych cyfrach dniowych. Otóż z układu indykcyonu wynika, że wystarczy w nim przejść 8 rzędów pionowych na prawo, aby znaleźć większe kresy, a cztery wiersze w górę, aby znaleźć większe klucze,

[1] Stąd wynik płynie stosowny dla stuleci takich, jak 19, 20 i 21, (albo 26, 27 i 28,) które potrzebują tej samej poprawki dla daty pełni, mianowicie 9, (albo 12,) ale niektóre z nich przynoszą ze sobą inne równanie słońca, więc zmieniają datę niedzieli. Aby przy przełomie takich stuleci przejść z rzędu dat nadal niestosownych na rząd dat wielkanocnych odtąd poprawnych, wystarczy zawrócić o 152 lata czyli powtarzać rzędem wielkanocne daty, jak szły przed 152 laty. Tak od roku 1948 do 2047 poprawne daty Wielkanocy idą tak samo rzędem, jak od r. 2100 do 2199.

Z tego powodu liczby dodatkowe pod nagłówkiem ustawione w tabliczce poprawek w tym samym wierszu idą po sobie coraz mniejsze o 152 (albo większe o 532−162=380, co na jedno wychodzi).

[2] Z tego powodu liczba stulecia pod nagłówkiem Φ wraca tym razem z niższego wiersza w tabliczce poprawek do wyższego, a liczba dodatkowa maleje o 84.

[3] Np. w stuleciu św. Anatola jego kanon śpieszył o dobę ze względu na datę pełni, bo ją podawał za małą o jednostkę, ale wyznaczał 21 marca równonocnię zgodnie ze słońcem, więc wymagał dla pełni poprawki Δ=1, a dla dnia miesiąca zrównania ⊙=0; w następnem stuleciu wypadało zwiększyć obie liczby i dla poprawki pełni w kanonie użyć Δ=2, a dla dnia miesiąca ⊙=1.

a przytem zachować w obu stuleciach dawny rząd cyfr dniowych, czyli trzeba wrócić o cztery dziewiętnastolecia bez ośmiu lat: więc w tym wypadku Wielkanoce poprawne wracają rzędem, jak szły przed $4\times19-8=68$-u latami [1].

Według tych zasad można ustawić pod wyłuszczonymi nagłówkami odpowiednie liczby na każde stulecie skończone [2].

Tabliczka poprawek sięga aż do stulecia 36, po którem nasi następcy znajdą w razie potrzeby sposób, żeby obliczyć dalszą poprawkę dla kanonu aleksandryjskiego. Tymczasem nam wystarczy znać równoległe rzędy Wielkanocy zastarzałych i poprawnych, wskazane liczbami dodatkowemi na każdy wiek. Aby tedy na lata danego stulecia wyszukać rząd Wielkanocy poprawnych w indykcyonie, trzeba liczbę tych lat zwiększyć albo zmniejszyć

---

[1] Z tego powodu liczba stulecia pod nagłówkiem Φ schodzi tym razem z wyższego wiersza w tabliczce poprawek na niższy, a liczba dodatkowa maleje o 68.

[2] Np. w stuleciu 0, — czyli pierwszem w mowie potocznej, — astronomiczne tablice pokazują daty pełni w kanonie zgodne z niebem, ale datę miesiąca większą o dwójkę, niż wymaga równonocnia nicejska: zatem to stulecie dostaje poprawkę $\Delta=\mathbf{0}$, i dla tej przyczyny zajmuje w tabliczce poprawek miejsce w najwyższym wierszu równo z pierwotnym kanonem aleksandryjskim, któremu odpowiada poprawka $\Delta=0$. Indykcyon tedy podaje poprawne daty pełni na stulecie 0, chociaż wyraża te daty stylem nie nicejskim tylko juliańskim; aby znaleźć je w indykcyonie wyrażone datami nicejskiemi, (czyli o dwójkę mniejszemi,) trzeba według powyższych wskazówek zawrócić o $2\times152=304$ lat: stąd przy stuleciu 0 pod nagłówkiem $\pm$ wypada liczba $+304$, to znaczy, że rząd wielkanocnych niedziel obchodzonych w latach 304—403 przez Aleksandryjczyków wyraża poprawnie daty Wielkanocy z lat 0—99.

Następne stulecie wymaga poprawki $\Delta=\mathbf{1}$, mimo to pozostaje w tabliczce poprawek na najwyższym wierszu równo z pierwotnym kanonem aleksandryjskim, któremu odpowiada poprawka $\Delta=\mathbf{0}$, bo gdyby to stulecie zeszło na następny wiersz niższy, stanęłoby równo z przesuniętemi datami, którym nie odpowiada wszędzie poprawka $\Delta=\mathbf{1}$, ale niekiedy już poprawka $\Delta=\mathbf{2}$. Ta ostatnia liczba, za wielka na stulecie 1, dość wikłałaby tutaj sprawę, a wcale jej nie wikła poprawka w tabliczce dat kanonu mniejsza o jednostkę albo dwójkę od poprawki właściwej na jakiebądź stulecie. Mianowicie zarówno w stuleciu 1, jak we wszystkich następnych, słowem kiedybądź tabliczka A podaje przy datach przesuniętych poprawkę mniejszą od właściwej w tabliczce C, wtedy ta różnica nie wpływa na klucz, czyli nie narusza poprawnej daty Wielkanocy, — z wyjątkiem jednego wypadku, w którym ta różnica naraziłaby na pomyłkę, gdyby o niebezpieczeństwie nie przestrzegał sam indykcyon. Indykcyon podaje wszystkie 7 cyfr dniowych, a między niemi także jedynkę albo dwójkę w pionowym rzędzie, nad którym stoi poprawka za mała, — to znaczy, mniejsza od właściwej, jaką podaje tabliczka C. Otóż jedynka przed poprawką za małą o jednostkę przestrzega, że zwiększona tą poprawką data mylnie wypada już w sobotę, bo powinnaby wypaść poprawnie dopiero nazajutrz w niedzielę, a w drugą potem niedzielę powinna wypaść Wielkanoc, czyli Wielkanoc nastąpi nie w niedzielę najbliższą po dacie za mało poprawionej, tylko w ośm dni po tej dacie. Tak samo dwójka pod poprawką za małą o dwójkę przestrzega, że zwiększona tą poprawką data mylnie wypada już w piątek albo sobotę, bo powinnaby wypaść dopiero o dwa dni później w niedzielę albo poniedziałek, a w drugą potem niedzielę powinna wypaść Wielkanoc, czyli Wielkanoc nastąpi nie w niedzielę najbliższą po dacie za mało poprawionej,

dodatkową liczbą na to stulecie: stąd otrzymane lata znajdują w indykcyonie ten rząd Wielkanocy, który poprawnie służy na lata danego stulecia.

Np. na lata 1800 - 1899 wypada dodatkowa liczba +192, która wskazuje, że zwiększać trzeba każde z owych lat 1800—1899 o liczbę 192 i szukać w indykcyonie zadawnionych dat Wielkanocy na lata 1992—2091; te daty rzędem wskażą poprawne Wielkanoce na lata stulecia 18.

Obecnie na lata 1900—2009 stuleci 19 i 20 liczba dodatkowa +40 znaczy, że zwiększać trzeba każdy rok od 1900 do 2099 o liczbę 40 i szukać w indykcyonie zadawnionych dat Wielkanocy na lata 1940—2139; te daty rzędem wskażą poprawne Wielkanoce na lata stuleci 19 i 20 [1].

---

tylko w drugą po tej dacie niedzielę. Innemi słowami: poprawka o jednostkę za mała wskazuje, że jedynka, pod nią umieszczona w poziomym rzędzie cyfr, podaje wielkanocną datę o tydzień za wcześnie, ale dwójka i większe cyfry podają Wielkanoc poprawnie: a poprawka o dwie jednostki za mała wskazuje, że pod nią umieszczone i dwójka i jedynka podają wielkanocne daty przedwczesne o tydzień. Wskutek tej przestrogi poprawka w tabliczce dat przesuniętych mniejsza od właściwej nie przeszkadza do poprawnej daty wielkanocnej. Dlatego stulecie 1 pozostaje w tabliczce poprawek w poziomym rzędzie tym samym, co stulecie 0 i utrzymuje pod nagłówkiem ± liczbę mniejszą o 152 od poprzedniej 304, czyli 304—152=152.

Tą drogą dojść można do właściwych liczb i poprawek na każde stulecie.

[1] Zatem rok 1900 znajduje poprawną dla siebie Wielkanoc w zastarzałej dacie z roku 1940, który rozłożony na części znajduje boczną liczbę 1921 a dolną 1940—1921=19, zatem równo z liczbą 1921 w wierszu *ż* na miejscu 19-em rok 1940 znajduje dwójkę pod kresem 44. Stulecie 19 znajduje w wierszu *cz* pod Δ poprawkę 9, a w tymże wierszu pod kresem 44 poprawkę 8, za małą o jedynkę, co nie wpływa na datę wielkanocną przy dniowej cyfrze 2: stąd wypada Wielkanoc 44+2=46 marca = 15-go kwietnia w roku 1900-ym.

Rok 1901 znajduje poprawną dla siebie Wielkanoc w zastarzałej dacie z roku 1941, który rozłożony na części znajduje boczną liczbę 1940 a dolną 1941—1940=1, zatem równo z liczbą 1940 w wierszu *ę* na miejscu 1-em rok 1941 znajduje piątkę pod kresem 33: stąd Wielkanoc 33+5=38 marca = 7-go kwietnia.

Rok 1902 znajduje rok zastępczy 1942, który rozłożony na części znajdzie boczną liczbę 1940 a dolną 1942—1940=2, zatem równo z liczbą 1940 w wierszu *ę* na miejscu 2-iem rok 1942 znajduje jedynkę pod pełnią 22. Stulecie 19 podaje w wierszu *cz* pod Δ poprawkę 9, a w tymże wierszu pod kresem 22 poprawkę 8, za małą o jedynkę, co spaźnia datę wielkanocną przy dniowej cyfrze 1 o tydzień: stąd Wielkanoc 22+1+7=30 marca.

Rok 1974 znajduje rok zastępczy 2014, który rozłożony na części znajdzie boczną liczbę 1997 a dolną 2014—1997=17, zatem równo z liczbą 1997 w wierszu *g* na miejscu 17-em rok 2014 znajduje dwójkę pod pełnią 36. Stulecie 19 znajduje w wierszu *cz* pod Λ poprawkę 9, a w tymże wierszu pod kresem 36 poprawkę 7, za małą o dwójkę, co spaźnia datę wielkanocną przy dniowej cyfrze 2 o tydzień: stąd Wielkanoc 36+2+7=45 marca = 14-go kwietnia.

Uważać tu potrzeba na wyjątkowe wypadki, w których obchodzić trzeba Wielkanoc na samym dniu pełni cyklicznej, mianowicie (jak wspomniano wyżej str. 341) kiedy datę wielkanocną otrzymujemy albo 1) z kresu ***49*** zwiększonego o jedynkę, — a przytem tabliczka A podaje którąbądź poprawkę za małą o jedynkę, — albo 2) kiedy datę wielkanocną otrzymujemy z kresu ***48*** zwiększonego o jedynkę, a przytem tabliczka A podaje

Tym sposobem indykcyon oznacza naprzód, na które dnie tygodnia przypadają w różnych latach wiosenne pełnie kanonu bądź zadawnione, bądź poprawne, a następnie wskazuje daty niedzieli wielkanocnej co roku. Nadto indykcyon przez tę datę jednej niedzieli pokazuje także daty wszystkich niedziel i innych dni tygodnia w roku, jak widać z tabliczki D, umieszczonej w kreskowanej obwódce przy indykcyonie. Wzdłuż tabliczki idą siedmioma rzędami pionowo dnie wszystkich miesięcy w roku, ustawione nie w dwunastu oddzielnych ustępach dla każdego miesiąca osobno, tylko

---

za małą o jedynkę poprawkę, którąś z tych, przy których stoi liczba gwiazdką oznaczona u góry kanonu.

Ze względu na pierwszy wypadek spotykamy kres ***49*** zwiększony o jedynkę nad dolną liczbą **5** przy bocznych:

2016, 2548, 3080
2111, 2643, 3175
2358, 2890, 3422
2453, 2985, 3517

z których nie wszystkie pociągają za sobą wyjątek, bo nie we wszystkich stuleciach tabliczka A podaje za małą poprawkę pod kresem ***49***. Z innych liczb bocznych, zwiększonych dolną, powstają lata 2021, 2116, 2458, 2553 i t. d., z których to lat daty Wielkanocy zastarzałej służą poprawnie na lata późniejsze albo wcześniejsze, jak wskazują liczby dodatkowe, mianowicie

w latach	1981	2076	2133	2201	2296	2448	2668	2725
	+40	+40	−112	−180	−180	−200	−20	−172
	2021	2116	2021	2021	2116	2648	2648	2553 i t. d.

Wielkanoc wypada z kresu zwiększonego cyfrą dniową, a nieuzupełnionego nadto przez siódemkę.

Wspomnieć przytem wypada o poprawce pod kresem ***49*** za małej o dwójkę: wtedy ów kres uzupełniony poprawką właściwą oznacza dzień 49+2=51 marca, czyli wiosenną pełnię już drugą po równonocni wiosennej 21-go marca, a zwiększony cyfrą dniową wskazuje niedzielę dnia 51+n, skoro tedy ta niedziela wypada po drugiej pełni wiosennej, zatem Wielkanoc po pierwszej pełni wypada dnia 51+n−28=23+n=21+n+2, czyli datę poprawną Wielkanocy wskazuje nie kres ***49*** zwiększony o cyfrę dniową n, tylko kres ***21*** uzupełniony cyfrą dniową n+2.

Ze względu na drugi wypadek: spotykamy kres ***48*** uzupełniony jednostką nad dolną liczbą **16** przy bocznych liczbach:

1978, 2510, 3042
2073, 2605, 3137
2168, 2700, 3232
2415, 2947, 3479

więc lata złożone z powyższych liczb bocznych i **16** wskazują na wyjątkową Wielkanoc w stuleciach, w których służy poprawka 8 albo 13 za mała o jedynkę, np. lata 1994, 2089, 3153, 3248 przy pomocy liczb dodatkowych wskazują poprawną Wielkanoc

w latach	1954	2049	2106	3165	3260	3317
	+40	+40	−112	−12	−12	−164
	1994	2089	1994	3153	3248	3153

W tych tedy wyjątkowych razach obchodzić trzeba Wielkanoc na wschodniej półkuli świata w sam dzień pełni cyklicznej; oczywiście na zachodniej półkuli świata Wielkanoc wypada nazajutrz, czyli w niedzielę po pełni cyklicznej, bo skutkiem tak zwanej „Granicy dat“ nie równocześnie cały świat po obu półkulach liczy tę samą datę, tylko każda data miesiąca i niedziela i święto chrześcijańskie trwa na okręgu ziemi przez dwa dni.

w siedmiu ustępach, — poodłączanych od siebie podwójnemi linijkami, — a to z tej przyczyny, że nie w każdym miesiącu dnie tygodnia inaczej wypadają, tylko siedmiorako zmieniają swój porządek. W siedmiu tych ustępach, rzymskie cyfry tłuste dane za nagłówek, oznaczają porządkową liczbę miesięcy, — **I** styczeń, **II** luty i t. d. — a arabskie cyfry, rozmaicie ustawione w każdym ustępie, wyrażają dnie miesiąca, które to dnie tabliczka oznacza podwójnie od 1-go kwietnia: i jako dnie marca (liczbą niższą i cieńszą) i jako dnie kwietnia (liczbą tłustszą i wyższą); w czasie wielkanocnym od 22-go marca do 56-go marca (25-go kwietnia) przy tych podwójnych cyfrach idą po porządku klucze wielkanocne. Otóż w którym rzędzie pionowym wypada data wielkanocna z kluczem na dany rok, jaką wskazuje indykcyon, w tym samym rzędzie wszystkie inne daty każdego miesiąca przez cały rok przypadają na niedzielę, w następnym rzędzie na poniedziałek i tak dalej na dalsze dnie tygodnia.

Tylko styczeń i luty, oznaczone gwiazdką (**I***, **II***), stanowią w roku przestępnym wyjątek, bo zostają w tyle za innymi miesiącami o jeden dzień tygodnia: w którym rzędzie pionowym wypada niedziela przez inne miesiące, tam dla stycznia i lutego wypada sobota w roku przestępnym.

Ks. K. Czaykowski.

FREDERI MISTRAL.

Ze studyów nad współczesną literaturą prowansalską.

(Dokończenie).

Jeszcze przed napisaniem *Mirèi*'i i *Calendau*'a, w których Mistral próbował swych sił w epice, tworzył on na polu liryki i ogłaszał te poezye częścią w „Prowansalkach", częścią w „Kalendarzu prowansalskim". Mało było tych pieśni, a jednak uczyniły one imię poety głośnem w kraju i włożyły w usta Saint-René Taillandier'a, dawnego egzaminatora a później najserdeczniejszego przyjaciela Mistrala, słowa uznania, pochwały i zachęty. Saint-René Taillandier był pierwszym, który bystrem okiem krytyka odczuł i zrozumiał wielki talent piewcy i dostrzegł w nim podporę a zarazem chlubę powstającego piśmiennictwa. Na czem opierał francuski krytyk swój sąd?

Początkowe liryczne poezye Mistrala były w przeważnej części poezyami programowemi. Pokazują to same ich tytuły. Wydawnictwo „Prowansalek" rozpoczyna wierszyk *Bonjour entóuti*, a kończy *Adessias en tóuti*. Na czele „Kalendarza Prowansalskiego" widzimy znów *Cant di Felibre* i piękną pieśń o puharze, używanym przy ucztach Felibrów *La coupo*. W tych wierszach występuje już wyraziście program przyszłej szkoły: miłość kraju, miłość ojczystego języka, umoralnienie ludu i przekonanie go, że nie potrzebuje się wcale wstydzić swej ziemi, swego języka i swych zwyczajów. Utwory te rozentuzyazmo-

wały ogół Prowansalczyków i wskazały im, do czego mają tu na ziemi zdążać i jaką drogą do celu iść; Francuzom za to więcej przemawiały do przekonania inne poezye o ogólniejszem znaczeniu, jak np. potężna „Oda do Mistrala“ [1], „Gorycz“, „Dziki owies“ i inne. Powaga myśli, siła wyrażenia, polot wyobraźni idą tu w parze z rozmaitością treści i obrazów, z całą różnorodnością uczuć od najłagodniejszych do potężnych, przejmujących grozą. W urocze formy powstającego południowego języka zaszczepił męską siłę literatur północnych. W *Amarun* „Gorycz“ prowadzi poeta rozpustnika na cmentarz, otwiera przed nim grób i wskazuje mu jego przyszłość. A kiedy już ból i rozpacz i żal serce nurtują pokazuje na niebo: „popatrz na gwiazdy, co błyszczą jak okna domu pełnego ognia — popatrz na nieba błękitną zasłonę — powiedz! Czyż tam u góry nic się nie ukrywa, nic naszych nie śledzi kroków? Jeżeli nic, to tarzaj się dalej w błocie, używaj rozkoszy, biesiaduj — lecz jeżeli się tam coś ukrywa, drżyj jakbyś słyszał ostrzenie noża, któremu znane wszystko, w czem zbłądziłeś“.

Jak Roumanille biczuje i Mistral przewrotnych i zepsutych. W *La civado fero* „Dziki owies“ stawia pod pręgierz próżniaków w gonitwie za ułudną marą szczęścia drogi czas trawiących i stawia im przed oczy wielki dzień żniwa, „kiedy dziki żeniec z kosą się przybliży a pan żniwa gniewem zapłonie, widząc że puste, spalone ziarno w sicie pozostało“.

Najoryginalniejszym jednak a może i najpiękniejszym z lirycznych poezyj utworem jest „Oda do Mistrala“. Straszny ten wiatr odgrywa wielką rolę w Prowansyi, a mimo swej dzikości i mimo nieszczęść, jakie z sobą niesie, jest jednak lubiany; zdaje się być uzupełniającą częścią prowansalskiej błoni. To też poeta widząc, jak pędzi on przed sobą chmury na niebie niby wiotką pajęczynę, jak gnie dęby i olbrzymie topole, jak rzuca w powietrze girlandy liści, kwiatów i owoców, jak niczem wobec niego lot jaskółki i bujanie orła w przestworzu, prosi go, żeby w samotnej Crau wywarł całą swą potęgę na skałach

[1] Mistral = gwałtowny, północno-zachodni, chłodny wiatr.

pustyni i falach morskich. Mistrala wysłał Bóg, by suszył ziemię po potopie, a pod koniec wieków wyśle go znowu by, jako anioł zniszczenia zburzył miasta i ułożył do grobu narody. Innym wiatrom przeznaczył Stwóca, by w promieniach zachodu igrały z kwiatami i sitowiem, Mistralowi by rozbijał fale i druzgotał skały gór.

Jeżeli już tych kilka wierszy znamionowało wielki talent poety, to tomik ogłoszony p. t. *Lis Isclo d'or* „Złote wyspy" objawił olbrzymią potęgę tego talentu. Na zbiorek ten składały się wiersze pisane w ciągu trzydziestu prawie lat, stąd też znać w nich wzmagającą się zawsze twórczość Mistrala. Miłość kraju i rodzinnego języka kierowała piórem poety, gdy pisał swe wielkie utwory: *Mirèio, Calendau* i *Nerto;* miłość Prowansyi natchnęła i ten zbiorek, tylko gdy w epicznych dziełach „ogień tej miłości bucha potężnym płomieniem, jak światło zebrane w ognisku soczewki, to w ‚Złotych wyspach' objawia się w harmonijnej grze kolorów pryzmatu" [1]. Nie wszystkie wprawdzie poezye są tam równej wartości — niektórych lepiej było może nie drukować; tak np. w ostatniej części „Pieśni ślubne" lub „Powitania" posiadają charakter wierszy okolicznościowych, a choć i w nich przebija tu i ówdzie wielka zdolność; są mimo to najczęściej słabe i trochę pospolite — całość za to wskazuje, że tom ten należy do klejnotów liryki prowansalskiej. Uwzględniając zewnętrzną formę poezyj „Złotych wysp" możnaby je podzielić na liryczno-epiczne i czysto liryczne; jeżeli zaś zwrócimy uwagę na ich treść, to rozpadną się na patryotyczne, wyjęte z przeszłości i teraźniejszości kraju, zajmujące się ważnemi zagadnieniami prowansalskiego życia i piśmiennictwa, i na ściśle liryczne, oddające w pysznej formie wszystkie uczucia gorącego serca i analizujące żywemi barwami niemniej żywe, tryskające ogniem obrazy przyrody. Poza tą podwójną kategoryą znajduje się niejako wstępna „Pieśń o słońcu" *Lou Cant dóu Soulèu.* Za symbol obrał sobie Mistral w promieniach słońca kąpiącego się polnego

[1] N. Welter: „Frederi Mistral", str. 166.

konika, za dewizę swej twórczości zdanie *Lou soulèu me fai canta*, „Słońce mój śpiew stwarza"; nic też dziwnego, że słońcu poświęcił swój pierwszy hymn, który pełen siły i wyrazu stał się pieśnią narodową Prowansyi i znalazł gorących wielbicieli daleko poza krajem [1]. Bo też widzi Mistral w słońcu wielkie a bogate źródło życia, szczęścia i natchnienia, któremu warto poświęcić kilka wierszy. Pieśń o słońcu wywołuje istotnie słoneczne wrażenie i przygotowuje tym sposobem czytelnika do lepszego zrozumienia następnych poezyj.

Ziemi rodzinnej, jej przeszłości i teraźniejszości, jej zwyczajom, walkom i zwycięstwom poświęcił Mistral cały cykl prześlicznych romansów, które zdaniem Gastona Paris nie znajdują równych sobie w literaturze francuskiej. I w rzeczy samej uderza tu Mistral w wszystkie struny duszy, wywołuje zaniknioną przeszłość i przedstawia ją w całym blasku uroczego czaru młodości. Miłość kraju i przeszłości, tęsknota za ziemią ojczystą, wierność w pełnieniu swego obowiązku, wierność krajowi choć w ciężkich chwilach — to motywy pieśni mistralowskich, a występują one wszędzie tam, gdzie szlachetne umysły składają wszystko na ołtarzu ojczyzny, gdzie odwaga młodości rzuca się śmiało w wir walki i ofiaruje życie za kraj, gdzie zamki i grody rozbrzmiewają dźwiękiem trąb i warczeniem kotłów a galerye i balkony pieśnią trubadurów. Jakie tu mistrzostwo, jaka zarazem delikatność!

Trzeba było czasami i o drażliwe uderzyć struny — uczynił to Mistral a jednak nie obraził nikogo, nie naruszył uczucia skromności, która tak łatwo mogła się czuć urażoną. Dowodem tego poemat *La Princesso Clemènço*, gdzie treść dość niebezpieczną tak delikatnie przedstawił, że nikt się zgorszyć nie może. Trzeba było czasami i niezwykły jakiś obraz namalować i niezwykłe wywołać uczucie — uczynił to poeta z takim artyzmem, że na prawdę stworzył arcydzieło.

Przypatrzmyż się niektórym utworom. Nieokiełznane prawie pragnienie i zamiłowanie wolności a zarazem dziwną ironię losów ludzkich i sławy, znajdujemy u *Lou Tambour d'Arcolo* „Do-

[1] Porównaj np. Koschwitz: *Ein neuprovenzalisches Kommerslied.*

bosz z pod Arcole". *Allons enfants de la patrie* zabrzmiała pieśń, a na jej hasło ściągają wojska z Prowansyi i Normandyi, ze wschodu i zachodu Francyi. Naród francuski musiał dotychczas własnym potem skrapiać winną macicę, dzisiaj zmienia się w pana winnicy i ostrzy noże a winobranie wkrótce nastąpi. Zmiana ról nie podoba się sąsiadom, więc i oni gotują wojska — nieprzyjaciele stykają się pod Arcole. Grzmią armaty, śmierć kosi bez miłosierdzia, przejścia zdobyć nie można i najmężniejszym krew ucieka z lica. Wtedy:

Patrzmy... dobosz!... biedne chłopię!
Ciężki bęben czyż dotrzyma?
Czyż przez ciżbę się przekopie?
Wodza ściga wciąż oczyma.
Duch w nim dzielny, acz mdłe ciało,
Drze się naprzód... dalej!... dalej!...
Dopadł wodza, stanie śmiało,
Pałeczkami w bęben wali.
Młode pisklę, puch na twarzy,
Słabe, wątłe to niebożę;
Ale bęben straszno gwarzy
O wolności, o honorze!
Gwarzy bęben szałem wściekły,
Ogień pryska w każdem słowie,
Brzmi o bojach, o krwi ściekłej,
Powstał wszystkim włos na głowie.
I tchórzliwe te młodziany,
Co żaliły się z przekąsem,
I zalękłe weterany,
Co mamroczą coś pod wąsem —
Kiedy bęben brzmi do szarży,
Nagle płomień z lic im bucha;
Głos się żaden nie poskarzy:
Pędzą, istna zawierucha.
...Marsyljanka brzmi rozgłośnie,
Dobosz w bęben wali z siłą;
A walecznym serce rośnie:
Dzielne wojsko most zdobyło.

Od tej chwili upłynęło lat wiele. Dobosz, dziś już starzec zniedołężniały, błądzi opuszczony po ulicach i zaułkach stolicy, marzy o chwilach dawnych tryumfu i rozpamiętuje smutną teraźniejszość:

. . . starość go gniecie;
Umrze doboszem! tak to na świecie!
Cóż mu przypadło? na ciele rany
I głębsza rana pod sercem na dnie;
I cóż go czeka? grób zapomniany
Łza nań gorąca nigdy nie spadnie.
Chwała — sen marny... czcza bańka z mydła,
A po niej męty, piana obrzydła!...
I łza na zwiędłe upadła lice,
Z dręczącą myślą starzec się biedzi;
Pomija kręte miasta ulice,
Nie słyszy nawet gwaru gawiedzi:
Z duszą zbolałą, z czołem schylonem
Stanął kaleka przed Panteonem...
I widzi żołnierz na tle błękitu
Kształty kopuły odbite jasno.
Cóż to? wśród mężów, kutych z granitu
Kogo zobaczył?... postać swą własną!
Pod okiem wodza, z dumą na czole,
W bęben do szarży bije pacholę!
Pijany szałem widzi tam w górze
Siebie w słonecznym blasku promieni;
Wyżej nad gromy, wyżej nad burze!
Oblicze starca nagle się mieni,
Na wątłe siły zbyt ciężkie brzemię:
Martwy bohater upadł na ziemię![1]

Gorącą znowu miłością kraju tchnie napisany z okazyi prusko-francuskiej wojny „Psalm pokuty“, *Lou Saume de la Penitènci.* Silne obrazy stają przed oczami czytelnika, bo groza i strach, rozpacz i nadzieja składają się na ten potężny utwór. „O Panie! pod cięciem nieprzyjacielskich mieczów upadamy jak źdźbła pszeniczne...; smagasz nas, Panie, jak wiatr smaga gałązki wierzby i depcesz w tym dniu naszą dumę. O Panie! bijesz w nas strasznie, łamiesz naszą potęgę i zmuszasz nas do wyznania grzechów“. W przemawiających do serca słowach roztacza teraz poeta zbrodnie, które wywołały taką klęskę i pomstę. Prawa Boże wzgardzone, opuszczone kościoły, sprofanowane ołtarze, z Boga świat się naśmiewa i sam Bogiem się mieni, a duma umysłu ludzkiego i niebo zdobyć pragnie. Więc słusznie żałoby całunem pokryty naród, ale Ty zlituj się nad

[1] W tłumaczeniu S. Duchińskiej.

nim. „Bośmy, Panie, Twoje dzieci marnotrawne, ale też i Twoi starzy chrześcijanie. Twoja sprawiedliwość niech nas karze, ale nie dawaj nas na łup śmierci. W imieniu tylu dzielnych mężów, którzy poszli bez wahania... i w walkach zginęli — Panie! w imieniu tylu matek, które modlą się do Ciebie za synami swoimi, a nigdy, nigdy ich już nie ujrzą — w imieniu tylu niewiast z niemowlętami u piersi, które łzami swemi skrapiają ziemię i posłanie — za tyle ciosów, za tyle płaczu i nieszczęścia, za tyle spalonych miast, za tyle świętej krwi — Panie! ułagodź Twą sprawiedliwość; spojrzyj na nas, słuchaj jęku męczenników i rannych... my chcemy zmazać nasze grzechy i żałować za dawne występki. Panie!... wszak my synami Rzymu, myśmy nie spowodowali tego złego, spuść promień pokoju na ziemię. Wspomóż nas a my odżyjemy i będziemy Cię kochać". Wojna 70 roku natchnęła wiele pieśni szczytnych, porywających a jednak trudno o pieśń bardziej pokorną, bardziej szczerą, bardziej mężną. W tych westchnieniach żalu, wyrywających się z złamanego serca, czuć wiarę chrześcijanina, który przyjmuje w pokorze zasłużoną karę, ale zarazem i duszę Francuza, co błaga o łaskę.

Do Prowansyi zwraca się znów w *La Coumtesso*, „Hrabianka". Za *motto* do tego utworu wziął Mistral zdanie Katalończyka Balaguera: *Morta diuhen qu'es, mès jo la crech viva*, „Mówią, że umarła, ja wierzę, że żyje". Poemat jest alegoryą, zwróconą przeciwko północnej Francyi; hrabiankę-Prowansyę gnębi zła siostra-Francya, ale chwile jej panowania już policzone.

Znałem ja hrabiankę w świecie,
Z pod królewskich wyszła hal,
Czarodziejskie, dumne dziecię,
Wysławiane wszerz i w dal;
Dziś jej modrych oczu kwiecię
Zwarzył smutek — patrzeć żal!
Gdyby słuchać mię umieli,
Gdyby za mną chodzić chcieli!
Miała sto obronnych grodów,
A z dwudziestu portów w świat
Słała owoc swych ogrodów;

Przed oknami oliw sad
Wiał jej wachlarzami chłodów,
Dań zapachów składał kwiat.
Gdyby słuchać mię umieli,
Gdyby za mną chodzić chcieli!

Naraz losy hrabianki-Prowansyi zmieniają się:

Bo zła siostra dla zaboru
Ojcowizny na swą właść,
Zamknęła ją do klasztoru,
Gdzie jej tylko kiry kłaść,
Gdzie w czarnego murach dworu
Przyjdzie jej z tęsknoty paść.
Gdyby słuchać mię umieli,
Gdyby za mną chodzić chcieli!
Złoty kłosie ty pszeniczny,
Zakrzywionych strzeż się kos!
Pięknej dziewce kanoniczny
Do obłóczyn śpiewa głos,
I nożyce z głowy ślicznej
Ucinają jasny włos.
Gdyby słuchać mię umieli,
Gdyby za mną chodzić chcieli.

Zła siostra zagarnęła tron hrabianki, splondrowała jej winnice, rozpuściła wieść o jej śmierci, a pogrzebionej w klasztorze pozostały tylko oczy, żeby płakać. Wzywa więc poeta:

Ci, co noszą serce w łonie,
Co hrabiankę znali wprzód;
Ci, co z chaty po wygonie
Mistralowy słyszą chód;
Co dla czci wznieść radzi bronie
I ci, którzy wodzą lud...
Gdyby słuchać mię umieli,
Gdyby za mną chodzić chcieli!
Krzycząc: „z drogi ciemne chmary!“
Zapleceni z druhem druh,
Cała rzesza dzielnej wiary
Szlibyśmy, jak burzy duch
Rozwitemi w lot sztandary
Cały klasztor rozbić w puch.
Gdyby słuchać mię umieli,
Gdyby za mną chodzić chcieli![1]

[1] W przekładzie E. Porębowicza.

Klasztor musiałby ledz w gruzach, dla złej siostry pozostałby stryczek, a hrabianka znalazłaby na nowo wolność i szczęście. Tak silnych wyrażeń nie używał Mistral w żadnym innym poemacie; to też jeżeli cała młodzież prowansalska szła za nim zwartą ławą z okrzykiem: *Vivo la Coumtesso,* Francuzi gorszyli się utworem, jako mającym separatystyczne dążności, a przecież Mistral niczego więcej nie pragnął, jak tylko rozbudzenia samowiedzy narodowej i poszanowania zwyczajów i języka Prowansyi.

Codziennemu życiu Prowansyi wystawił pomnik w „Śmierci żniwiarza", *La fin dóu Meissounié;* jest to jeden z jego pierwszych, ale najbardziej wzruszających utworów, śpiżowy pomnik wzniesiony ukochanemu ojcu, prawdziwa epopeja żniwiarza. Prosty to lud poematu, ubodzy zmęczeni robotnicy, którzy ciężką pracą wydzierają ziemi jej skarby, ale pod tą niepozorną powierzchnią biją serce gorące. Na czele żniwiarzy, by wódz na czele wojska, pada stary przodownik — pszeniczne snopy to tarcza, na której do snu wiecznego się układa. Umiera jak chrześcijanin, który wie, że włos z głowy bez Najwyższego woli nie spadnie — ulega wielkiemu żniwiarzowi, który zbiera snopy w ludzkiem polu, w ostatniej chwili jeszcze wzywa robotników i towarzyszów, by dalej łany ścinali, „bo pełne i dojrzałe kłosy wypróżniają się w powiewie wiatru, a złote, pszeniczne ziarna przecież nie dla wróbli". Gorąca modlitwa umierającego starca, skierowana do św. Jana, patrona żniwiarzy, jego pożegnanie tych wszystkich, których tu na ziemi ukochał, wywołują niebywałe wrażenie, a poemat nie ustępuje bynajmniej najpiękniejszym kartkom z *Mirèi*'i.

Pod pióro nasuwają się mimowoli jeszcze inne wiersze „Złotych wysp", jak *A la raço latino, Lou Roucas de Sisife,* „Syzyfowa skała", *Lon Lioun d'Arle,* „Lew z Arles", *Roumanin,* ale w takim razie trzebaby prawie wszystkie tu przytoczyć. Nie omyli się więc nikt twierdząc, że patryotyczne poezye Mistrala są jednym dytyrambem ku czci ukochanej ojczyzny; każda zwrotka upaja dźwiękiem i natchnieniem, a wszystko jest słoneczną apoteozą rodzimej ziemi. A choć teraźniejszość smutnie

się przedstawia, to dawna chwała tem więcej zyskuje i właśnie swą pięknością, potęgą i majestatem potrafi i teraźniejszość na lepsze przekształcić.

Inne poezye tomiku odznaczają się przedewszystkiem pięknością formy, delikatnością uczucia, malowniczością obrazów a nadewszystko oryginalnością. *Li Grihet*, „Świerszcz“ opowiada poecie, czemu dopiero późno wieczorem, gdy księżyc na niebo wzejdzie, nucić poczyna; *Lou Prègo-Diéu*[1], której Bóg przyszłość objawia, pokazuje poecie oblubienicę, a kiedy dwadzieścia lat upłynęło od tej chwili a poeta zrażony, zniechęcony, rozczarowany powtórnie w polu swe zwierzątko spotkał i jemu smutny swój los wyjawił, wskazało mu na niebo i wlało pociechę w strapione serce. Pełnym silnych obrazów jest *Lou jujamen darrié*, „Dzień ostateczny“, tęsknym i miłym *Desfèci*, „Smutna miłość“. Jedna rzecz zwraca w tym dziale uwagę, że niema prawie żadnego wiersza, w którymby występowało „j a“ poety— stał na straży swych uczuć.

Streszczając krótko nasz sąd, musimy zauważyć, że w zbiorku przebija przedewszystkiem wielka rozmaitość w sposobie przedstawiania rzeczy. Przedmiotem „Złotych wysp“ jest prawie wyłącznie Prowansya, ale też zawsze z innego przedstawia ją punktu, inną nadaje jej formę a tym sposobem unika jednostajności. Ten cel osiągnął poeta wprowadzeniem świeżych obrazów, oryginalnych pomysłów, śmiałych zwrotów, rozmaitością metru, stojącego jednak zawsze w harmonii z treścią danego wiersza. „Złote wyspy“ odzwierciedlają też doskonale serce poety i są ważnym przyczynkiem do odtworzenia psychologicznej strony jego charakteru.

Tłem charakteru Mistrala, jak się nam w „Złotych wyspach“ przedstawia, jest miłość kraju a miłość ta każe mu też ukochać wszystkich, którzy do chwały ojczyzny się przyczynili. Różnice w zapatrywaniach politycznych czy literackich ustępują, jeżeli tylko chodzi o miłość wspólnej ojczyzny. Charakter czysty

[1] *Lou Prègo-Diéu* rodzaj szarańczy, znachodzący się przeważnie w południowej Europie, znany pod nazwą *Mantis religiosa;* jej przednie łapki wzniesione do nieba, jakby się modliła.

i prawy, mimo wielu walk silnie zawsze wierzący i stojący wiernie przy Kościele, a przedewszystkiem grecki spokój i pogoda ducha odbijają się w zbiorku. „Grekiem jest on w pojmowaniu przyrody i człowieka... Grekiem jest przedewszystkiem pod względem ściśle określonego pojmowania i rozumienia piękna i zachowania miary, które na tak wielu poezyach ‚Złotych wysp' wycisnęło piętno klasycyzmu, tak, że znawcy jak Paweł Arène i Alfons Daudet uważali ‚Złote wyspy' jako arcydzieło poety. W każdym razie są te wiersze niewyczerpaną krynicą prawdziwej poezyi i ze wszystkich utworów poety przeszły najbardziej do ludu... usprawiedliwiają też słusznie tytuł, jaki noszą" [1].

* * *

Pozostają nam jeszcze do omówienia dwa utwory prowansalskiego poety: dramat (Mistral nazwał go tragedyą) „Królowa Joanna", *La Rèino Jano, tragèdi prouvençalo en cinq ate emai en vers* (1890) i „Pieśń o Rodanie", *Lou Pouèmo dóu Rose* (1896). Dzieła te nie wykazują żadnego nowego pierwiastku w twórczości Mistrala, owszem są słabsze od jego innych utworów, nie dodadzą też sławy imieniu poety a są tylko dowodem jego zawsze gorącą miłością bijącego szlachetnego serca. Bohaterką dramatu jest królowa neapolitańska, Joanna I. z domu andegaweńskiego. Z mężem, Andrzejem węgierskim, żyła w nieszczęśliwem małżeństwie; w r. 1345 został Andrzej zamordowany a głos ludu o zbrodnię tę pomawiał królowę. Joanna oczyściła się z zarzutów, tak że Klemens VI uznał ją niewinną śmierci męża. W niespełna rok po zgonie Andrzeja wyszła Joanna powtórnie za mąż za Ludwika z Tarentu, w późniejszem zaś życiu wstępowała jeszcze dwa razy w związki małżeńskie. Koniec jej był tragiczny — Karol z Durazzo, ulubieniec królowej, najął czterech morderców, którzy zmusili Joannę najpierw do wypicia trucizny a potem ją udusili.

Mistral chciał w dramacie uwolnić królowę od zarzutu ciężkiej, dokonanej na własnym mężu zbrodni. Postać Joanny za-

[1] Welter l. c. str. 218.

interesowała go z tego powodu, że jej imię jest w Prowansyi ogólnie znane; proza i poezya opiewała piękną monarchinię, a legendy i śpiewy ludowe przedstawiają ją jako matkę Prowansyi. Życie jej nie jest ogółowi prowansalskiemu znane, a tradycya upatrywała w Joannie tylko idealnie piękną postać dobrej księżniczki i opiekunki.

Treść dramatu jest następująca: W ogrodach zamkowych w Neapolu, gdzie śpiewami trubadurów zabawia się Joanna wraz ze swym orszakiem, przychodzi do ostrej wymiany słów między nią a mężem; skutkiem tego królowa zirytowana opuszcza ogród a Andrzej trawiony zazdrością, skarży się przed swym doradcą i nauczycielem Robertem. Ten radzi mu pozbyć się wszystkich dygnitarzy prowansalskich i zastąpić ich Węgrami. Andrzej zgadza się na ten plan a tymczasem mamka Joanny, Cataneto, nosi się z myślą zamordowania Andrzeja (akt I). Kiedy książe rozdzielił najwyższe urzęda między Węgrów, wyzwał go Ludwik z Tarentu do walki — Andrzej jej nie przyjął, tem milej usłyszała za to Joanna z ust Ludwika wyznanie miłości a Cataneto porozumiała się już ze sprzysiężonymi dygnitarzami, wyjawiła swój zamiar Joannie i zachęca do zbrodni (akt II). Ponieważ papież przyobiecał Andrzejowi tytuł króla, pozornie dwa nieprzyjazne sobie stronnictwa pogodziły się; na uczcie jednak przyszły król podniecony winem, nękany zazdrością, wścieka się i szaleje — ucztujący rozbiegają się w popłochu a w nocy sprzysiężeni mordują króla i trupa zawieszają przed oknem komnaty (akt III). Joanna jedzie do Awinionu, aby się przed papieżem z zarzutu oczyścić (akt IV), oczyszcza się też, papież uznaje ją niewinną, a gdy Robert przed całym trybunałem jeszcze raz publicznie o zbrodnię ją oskarżał, został zasztyletowany; naród raduje się i rozchodzi z okrzykiem: *Vivo la Rèino Jano.*

Jedynie akt III jest dramatycznym i psychologicznie opracowanym; smutek i tęsknota królowej, pieśni trubadura, różne znaki wskazują, że się zanosi na prawdziwą a wielką burzę; tylko też akt trzeci ma akcyę, w innych jej nie znajdujemy. Dlatego trudno pojąć, jak Mistral mógł swój utwór nazwać dramatem — z dramatu ma „Królowa Joanna“ tylko dyalog: brak

intrygi, brak dramatycznego pojęcia i przedstawienia rzeczy, brak nawiązania i zawikłania, brak wreszcie prawdziwie dramatycznej charakterystyki i akcyi. Natomiast mamy pojedyncze epizody zestawione luźnie, wolne kartki z historyi Prowansyi, z życia Joanny i Andrzeja. Co najgorsza, to okoliczność, że Mistral celu swego bynajmniej nie osiągnął. Andrzej przedstawia się wprawdzie w dramacie, jako prawdziwy barbarzyńca, jest jednak sprzeczny sam w sobie; raz bowiem jest zazdrosnym i szalonym, że nie może pozyskać miłości żony, to znowu litość nad uciskanym przez nałożone olbrzymie podatki ludem każe mu ostro ganić żonę, niezadługo występuje jako wściekły tyran a wreszcie staje się śmiesznym na uczcie; czemu jednak tak się zmienia, nie widzimy. W przedstawieniu znów Joanny znajdziemy wszystko: jest zalotną, tęskni za miłostkami, (dla niej przecież i dla jej dworu napisał Boccacio swój *Decamerone*), zaniedbuje męża i dziwi się potem, że on o to się gniewa. Kiedy Ludwik z Tarentu wyzwał jej męża do walki, chwali go królowa, spokojnie słucha strasznego planu swej mamki, a wiedząc o zamiarze zamordowania Andrzeja, nic nie robi, żeby mu przeszkodzić; owszem, całe jej postępowanie zachęca sprzysiężonych do zamachu, a to już jest wielką winą. Ciekawem więc tylko jest, jak papież wzruszony jej deklamacyą i łzami, od razu ją uniewinnia. Słusznie dlatego twierdzi krytyka, że Joanna jest „miłem zjawiskiem wyobraźni z marzącemi oczami, z jasną twarzą i niewypowiedzianym powabem w mowie i czynie, zjawiskiem, które płynie na złotych chmurach odległości; jeżeli jednak kto zachwycony chce ideałowi z blizka się przypatrzeć, jasne zjawisko rozpływa się i ginie“ [1].

Jedyną dodatnią stroną dramatu, jest jak zwykle u Mistrala, prześliczny język, bogactwo zwrotów i malowniczość wyrażenia; liryka pojedynczych ustępów jest poprostu niezrównana.

„Pieśń o Rodanie“ jest znów pochwalnym hymnem rodzimej rzeki. Wszystko, co mogła stworzyć żywa wyobraźnia,

[1] Welter l. c. str. 305.

na co się złożyły legendy i opowieści ludu, widzimy w tym poemacie. Przed oczami naszemi staje rzeka w całym swym uroku i krasie; po niej płyną galary, nad jej brzegami wonne rosną kwiaty, a głębie jej wód zamykają w sobie kryształowe pałace rusałek i ducha-stróża rzeki, Draca. Na tem, częścią sielankowem, częścią dramatycznem, tragicznem nawet tle rozwija się miłość Anglory, córki pilota i księcia Oranii, Wilhelma. Gorącemi ta miłość opisana barwami, ale nieszczęśliwie odmalowane charaktery i to jest wielkim błędem; większym jeszcze jest okoliczność, że sama rzeka wychodzi za nadto na pierwszy plan, a przez to poemat traci na znaczeniu, zamienia się bowiem wyłącznie w opis, w opis prawdzie piękny, błyszczący grą kolorów tęczy, ale ostatecznie pozbawiony wszelkiego ludzkiego czynnika. Występuje wprawdzie dużo rozmaitych postaci, ale i te postacie zostają zawsze pod wrażeniem rzeki — o niej myślą, mówią, marzą, jej losami żyją, a przy tem wszystkie te charaktery, namalowane wprawdzie realistycznie, lecz trochę poziomo, wyjątek tworzy jedynie Angloro, ale ona sama nie potrafi uratować poematu od zasłużonej nagany.

Wielką za to wartość przypisać trzeba „Pieśni“ z dwóch następujących powodów. Jak nigdy przedtem uwzględnił tu Mistral pierwiastek ludowych podań i baśni — nic piękniejszego jak pojawienie się w poemacie opiekuna rzeki, Draca; tyle tam poezyi, tyle czaru, tyle wdzięku! Większe jeszcze ma znaczenie dla prowansalskiego piśmiennictwa fakt, że dzieło jest napisane białym wierszem. Przeciwnicy bowiem nowej szkoły twierdząc usilnie, że jedynie sztucznie można nadać językowi prowansalskiemu dźwięku i tym sposobem użyć go w poezyi, utrzymywali zarazem, że ten dźwięk wyłącznie rymowi swe istnienie zawdzięcza. Mistral udowodnił naocznie, że rzecz ma się wręcz przeciwnie i w tem też jego niespożyta zasługa. Te dwa względy miała pewnie na oku Akademia francuska, kiedy w r. 1897 uwieńczyła *Lou Pouèmo dóu Rose.*

* * *

Tak przedstawia się nam życie i dzieła Mistrala. Jako człowiek — to serce szlachetne, męskie, płonące miłością wszystkiego, co piękne i wzniosłe, bijący w oczy dowód, że można być wielkim, kochanym, ubóstwianym nawet a jednak człowiekiem żywej wiary i poddania swego rozumu pod wyższe, objawione prawdy, poetą nie obrażającym nigdy uczuć czytelnika. Jako literat i poeta potęga to niespożyta. Na spółkę z Roumanillem, w przeważnej jednak części sam stworzył język prowansalski, utorował mu drogę do chat ludu, do pałaców możnych i do sal akademii. Stowarzyszenie Felibrów jemu głównie zawdzięcza swą organizacyę, a co za tem idzie i rozwój i ten olbrzymi rozgłos, jakim się dzisiaj cieszy; stowarzyszeniem żył, dla niego pracował a zaszczyty i godności, jakie na niego zewsząd spadały, cieszyły go o tyle tylko, o ile przyczyniały chwały związkowi. Cieszył się, jak twierdzi Gaston Paris, myślą, że rosnąca jego sława spowoduje zwycięstwo idei, dla której pracował. Sławę pozyskał dziełami o niepospolitej wartości. Obce mu są dzisiejsze, tak często niezdrowe prądy, gdzie krom błyskotliwych wyrażeń próżno szukać myśli. Myśl u niego występuje jasno, a słowo wiernie ją oddaje, ale to słowo ubiera tę myśl w tak urocze, wdzięczne obrazy, że potrafi porwać i zachwycić. Ten sam szlachetny umysł, który występuje w życiu, pojawia się i na każdej stronie jego poezyi, która potrafi tylko zbawiennie działać, nigdy zaś szkodzić. I choć jego dzieła, jak wszelkie twory ducha ludzkiego, nie są zupełnie doskonałe, choć miłość kraju przesłoniła oczy jego zasłoną i kazała mu dopuścić się błędów, których jako artysta i poeta strzedz się był powinien, to jednak błędy te wobec czarującej piękności danych nam przez niego utworów prawie zawsze znikają i dla tego pamięć jego, jako pierwszego i największego poety prowansalskiego będzie zawsze żyła, nie tylko w ziemi ojczystej, ale wszędzie, gdzie czyste serca kochają jeszcze piękno i poezyę. W najdalsze strony poniosą jego imię *Mirèio*, *Calendau*, *Nerto* i *Lis Isclo d'or*.

Ks. Wiktor Wiecki.

MŁODA POLSKA[1].

Pierwiastek ludowy w poezyi.

Kiedy w ostatniej ćwierci minionego stulecia zaczęły u nas w poezyi nowe prądy i hasła odzywać się coraz donośniej, choć jeszcze nikt sobie nie zdawał jasno sprawy z tego, jaką ta nowa poezya będzie, choć jeszcze nie zrodziły ani utrwaliły się jej kanony, pierwiastek ludowy wystąpił na jaw z wielką siłą w różnej postaci, odmiennej wszelako od tej, w jakiej wprowadzali go do artystycznej poezyi dawniejsi mistrze. A wystąpił tu element ludowy nie u jednego tylko poety, bo śmiało rzec można, że z bardzo nielicznymi wyjątkami nie było w ostatnich czasach poety o wybitniejszym talencie, w któregoby strofach nie odezwała się nuta ludowego śpiewu, lub głębokie współczucie dla doli wieśniaczej. Dwa tutaj działały czynniki, które spowodowały zajęcie się ludem, — jednym z nich — niewyzyskane dawniej wcale strony ludowego życia, — drugim — prąd, jaki rozwielmożnił się w pewnych warstwach narodu, niosący ogromny zapas sympatyi dla tego wszystkiego, co chłopskie. Drugi ten prąd wywołał mnóstwo utworów, tętniących miłością ludu, w poezyi Niemojewskiego, choć ten zajmował się ludem robotniczym, fabrycznym; pierwszy znowuż czynnik stał się bezpośrednim powodem genezy utworów reszty poetów ostatniej doby, które kreśliły postacie chłopskie, śpiewały radość lub też bole ludu,

[1] Ustęp z obszernego dzieła p. t. „Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej XIX wieku“, które ukaże się niebawem w handlu księgarskim.

wyzyskiwały nakoniec podania i wierzenia ludowe. Oprócz tych czynników był jeszcze jeden, ten mianowicie, iż dziwnym trafem wielu z poetów pochodziło z ludu, bądź miało sposobność częstego stykania się z nim.

* * *

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...
Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie...

Wspomnienia chat wioskowych, doli i niedoli ludu, wystarczyły na długo Kasprowiczowi w jego twórczości poetyckiej. Przez lat z górą dziesiątek przewijały się przez jego utwory postacie chłopskie, owionięte smutkiem i nędzą na tle krajobrazów ziemi Popiela i Piasta. Przez czas długi dominująco rozsiadły się w jego poezyi „chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach", otoczone wiśniowymi sadami i walącym się płotem przy nizkich oborach. Na podwórzach chat, zarosłych piołunem, widno spracowane konie i wychudłe krowy, ryczące pod siwemi wierzbami. A za wioską w dal kołysały się pszeniczne łany pod wiatru podmuchem, a za wioską tylko tumany kurzu podnosiły się z drogi, nad którą skrzypiały krzyże „godła łez i męki". Z wiosną widać było w jego utworach dziatwę rozbawioną na murawie, widać było weselsze oblicza chłopskie pod strzechą ubogą. Szły te postacie troską przygniecione z modlitwą do kościoła, błagające o ochronę od powietrza, głodu, ognia i wojny, od suszy i gradu. Szły te postacie sóbótki rozpalać daleko za wioską wśród poszumów żytnich kłosów, a w zimowy wieczór rozpowiadały dziwa o pokutującym duchu Kuby.

Wszystkie zaś one wyszły razem z poetą „Z chałupy" i przedstawiają życie wiejskie z niezwykłą wiernością i prawdą. Bo czyż nie często spotkamy się na wsi z niewiastą, której szczęście znikło wnet po zamążpójściu, kiedy ciężkie zimy i przednowki zrujnowały dobytek, że aż mąż z rozpaczy zakończył w karczmie pod ławą, dzieci poszły w służbę, a ona dziś żebrze i pije, — lub z wdową, co poszła na targ i dla dzie-

cisków nakupiła podarków, kiedy jednak wróciła do domu, zastała tylko zgliszcza chałupy, a dzieci na węgiel spalone. Typów takich wprowadził Kasprowicz w swoich sonetach wiele: widzimy więc jeszcze i gospodarza wypędzającego sługę-sierotę na zimę z chaty, — dziecię porzucone w wieczór zimowy przez ojca w lesie, — robotnika, któremu maszyna nogę urwała, — dziewkę gospodarską, której rodzice z dumy nie chcieli dać za mąż za szewca, a którą potem w mieście na służbie ktoś uwiódł, — i dziewczynę, pielęgnowaną i kochaną przez rodziców, którą uwiódł syn fabrykanta, — i biedną wdowę, która sprzedaje ostatnią pierzynę, ażeby mężowi sprawić pogrzeb, — i domorosłego grajka-artystę, co skończył w łachmanach pod płotem, — i syna chłopskiego, który zostawszy księdzem, wziął matkę do siebie, ażeby mu buty czyściła, — i chłopaczka, który z braku funduszów zarabia na życie lekcyami, a potem umiera na suchoty. A wszystkie te typy — nie trzeba dowodzić — wyszły z poetą „Z chałupy“ — tak wiernie odtwarzają rzeczywiste fakty. Swoją drogą położenie takiego ucisku na ciemne strony życia nie jest wolnem od pesymizmu.

Niemało barw czarnych nałożył Kasprowicz na tło następnych swoich utworów, wiejskiemu poświęconych życiu, w dramacie „Świat się kończy“, w zbiorku opowieści, wydanych pod wspólnym tytułem „Z chłopskiego zagonu“ i w szeregu opowiadań, pomieszczonych przy końcu tomu *Anima lachrymans*. Trudno nie zauważyć, że pociąg poety do strony życia tragicznej, zamiłowanie grozy, barw ponurych, były, jeżeli nie całkowitą, to po części przyczyną, że dodatnich, jasnych stron wiejskiego życia i chłopskiej natury, w rzeczywistości istniejących, w utworach tych nie widzimy. Poza tą jednostronnością niepodobna jednak nie podziwiać bystrości obserwacyjnego zmysłu w uchwyceniu typów wiejskich i codziennego wiejskiego życia i wierności psychologicznej w odtwarzaniu charakterów.

Wycieczki letnie podczas corocznego pobytu w Zakopanem w góry z tatrzańskimi przewodnikami, którzy częstokroć oddychają jeszcze dawną tradycyą zbójnickich wypraw na Węgry, dały popęd poecie, co dotąd rozsnuwał coraz to nowe obrazy

na tle rodzinnych swoich stron, do stworzenia poematu p. t. „Taniec zbójnicki“. Miał utwór ten przedstawić apoteozę zbójnickiego życia, które tak wielki urok rzucało na przygody śmiałków podhalańskich, apoteozę w duchu pojęć ludu, bo ten nie upatrywał w wyprawach łupieskich niczego złego, a natomiast uważał je za szkołę potrzebną dla młodego górala. Miał utwór ten nadto przedstawić zbójników z temi zaletami i wadami, jakie istotnie oni mieli, jakie im lud tatrzański dziś jeszcze przypisuje. Że poemat ten, z taką intencyą pisany, musiał przedzierzgnąć się w formę piosnek góralskich, że musiał oprzeć się na „motywach pieśni ludu zakopiańskiego“, — to rzecz zupełnie jasna i naturalna.

Zaczyna się „Taniec zbójnicki“ słowami wyjętemi żywcem z piosnki góralskiej:

Baco nasz! baco nasz!
Dobrych chłopców na zbój masz![1]

Dalszy już jednak ciąg poematu jest zupełnie oryginalnym pomysłem Kasprowicza, nie sprzeciwiającym się niczem tradycyi ludowej o zbójnikach, którzy tak samo w niej, jak u Kasprowicza są nieustraszeni i nie boją się pałaszów huzarskich, kiedy zlecą do „bielonej Orawy“[2]. Lecą do niej nie mający „ni porteczek ani też cużeczki“.

Za bukowy las, Hań-ci czeka nas
Za bór jaworowy, Pieniążek gotowy.

Nie inne pragnienie mieli zbójnicy tatrzańscy, odgłos ich bowiem, jaki zachował się w pieśniach ludowych, odpowiada zupełnie przytoczonemu ustępowi „Tańca zbójnickiego“:

Od bucka do bucka aze do jawora,
Tam nase pinionski, tam nasa kumora[3].

Tam oni pójdą, skoro tylko biały śnieg stopnieje, „w uherską dziedzinę“, gdzie złota, srebra w bród:

---

[1] Por. A. Stopka: „Materyały do etnografii Podhala“ (Materyały antr.-archeol. i etnogr. Kraków 1898. III, str. 93, nr. 370).

[2] ibidem str. 102, n. 516, 620, 522.

[3] ibidem str. 97 n. 437.

Poza bucki, poza hraść,
Pójdziem chłopcy zbijać, kraść [1].

Dalsze ustępy poematu, mające za treść miłosne stosunki zbójników, utrzymane są w tonie pieśni ludowych, z drobnemi reminiscencyami w guście Budzina [2] lub Mikułasza [3], czy Koszyc, które to miejscowości utkwiły najlepiej w pamięci ludu w spadku po zbójnikach. Pójdą zbójnicy zdobyć dla kochanki sznur korali, „aksamity i jedwab mięciutki", i rozsieją strach w orawskiej i liptowskiej ziemi hen aż do Pesztu. A jeśli nie powiedzie się wyprawa — to

Nie żoruj matko miła,
Kiedyś po to nas zrodziła,
Ażeby za nami
Grzmiano strzelbiczkami!

A że takie apostrofy do matek zdarzają się też w pieśniach góralskich, dowodem tego niżej przytoczona strofka, w której słychać ton podobny do tego, jaki słyszeliśmy co dopiero u Kasprowicza:

Ej mamiczko miła, cemuś mie nie biła,
Kie ja bedem wisiał, bedzies sie hańbiła [4].

Jak zaś potrafił Kasprowicz dostroić się do tonu pieśni góralskich, jak pięknie umiał myśl w nich zauważoną oddać w swoim poemacie, o tem najlepiej może poświadczyć apostrofa zbójnika do braci:

A wy bracia, bratowie,
I po waszej też głowie:
Przy orawskim murze
Zawiśnie na sznurze,
W podwórcu w Kubinie
Od topora zginie...

W podobnym duchu przemawia też zbójnik w pieśni góralskiej do braci swoich:

Na dole, na dole, subinicek troje
Wybiraj bracisku, ftóre bedom twoje.
Bratowie wy moji, kohani bratowie
Bedom wam ścinali głowicki katowie [5].

---

[1] Zwrotka ta dosłownie wzięta z pieśni ludowych. Dr. St. Eljasz-Radzikowski: „Polscy górale tatrzańscy". (*Lud.* Lwów 1897, III, str. 272).
[2] A. Stopka, n. 433.
[3] ibidem str. 98, n. 456.
[4] ibidem str. 102, nr. 529.
[5] ibidem str. 97, nr. 435—436.

Pomimo tego, że zbójnicy wiedzą, jaki los ich czeka, pomimo tego pójdą z Janosikiem na czele

Z buczaka na pniaka:
Z niejednego pana
Zrobimy żebraka!

Kiedy ja se skocem z bucaka na pniaka
Nie z jednego pana urobiem żebraka [1].

W dalszym ciągu roztacza poeta obraz zabawy zbójnickiej, który został urobiony na tle pieśni góralskich: bo u niego zbójnicy

Hań! w zamkowej świetlicy
Każą sobie pięknie grać,
Wino z beczek szumnie lać!
Płynie wina złoty zdrój —
Szubienicę ujrzał zbój:
Jakżebym ja wiedzieć chciał,
Na którejbym wisieć miał,
A od spodku po sam wirch
Powybijaćbym ją dał —
Hej!
Dukatami, talarami...

Obraz ten cały został stworzony na podstawie następujących piosenek góralskich:

Tańcowali zbójnici w murowanej piwnicy
Kazali se piknie grać, nie umieli tańcować [2].

Kieby jo se wiedział, kany bedem wisiał,
Uod wirchu do dołu pikniebyk wybić dał,
Z wirchu dukatami, z dołu talarami... [3]

Dalsze ustępy, z których jeden opowiada o starości zbójnickiej, a drugi przedstawia zbójników zamkniętych w więzieniu, są niemal zupełnie oryginalnym pomysłem Kasprowicza w duchu i tonie ludowych pieśni z wyjątkiem zaczynających je zwrotek. Zarówno bowiem strofka:

Hory, nasze hory,
Wy nasze komory!
Bukowe listeczki
Nasze poduszeczki!

jak nie mniej i ta:

Z orawskiego zamku chłopcy pozierają,
Czy się popod Tatry buczki owijają...

[1] loc. cit. nr. 437.
[2] ibidem str. 100, nr. 489.
[3] ibidem str. 101, nr. 513.

jest wzięta niemal dosłownie z piosenek ludu tatrzańskiego[1]. W ustępie tym drugim, odtwarzającym prześlicznie tęsknotę uwięzionych zbójników za utraconą swobodą, znajdujemy ponadto jeszcze parę reminiscencyj z pieśni ludowych:

Wysłali z łańcuchem, z grubemi powrozy,
Żeśmy na turniczkach wystrzelali kozy,
Wysłali za nami do lasu, do boru,
Żeśmy im nie chcieli sługiwać u dworu.

Nie ulega wątpliwości, iż ustęp powyższy został stworzony na podstawie podanej niżej strofki góralskiej:

Dydziek nic nie ukrad jino dwa barańce,
Juz me se uokuli w zelazne bugańce.
Uciekajcie hłopci do lasa, do boru,
Bo was idom łapać hajduci ze dworu[2]

Dalszy ciąg tego ustępu jest już zupełnie oryginalny z wyjątkiem aluzyi do dziewczyny, co zdradzi junaka, aluzyi często powtarzającej się w pieśniach ludowych[3] i z wyjątkiem następującej zwrotki:

Panowie, panowie ostańcie panami,
Ale my nie bedziem waszymi sługami.

Odpowiednia pieśń góralska, zapisana przezemnie w Zakopanem r. 1898, brzmi następująco:

Panowie, panowie bedziecie panami,
Ale nie bedziecie przewodzić nad nami.

Sam koniec dopiero utworu wykazuje pewną reminiscencyę z pieśni ludowej:

Janosik nie żyje
Czarny dół go kryje,
A ten pałasz rdzawy,
Co nas wiódł z Orawy,
Na wysokiej horze
Zacięty w jaworze...

Analogiczna strofka ludowa brzmi następująco:

Janosik, Janosik, kaś podział pałasik?
W Lewoci na murze, na jedwabnym sznurze,
Na wysokiej horze zacięty w jeworze[4].

---

[1] Por. ibidem, str. 97, nr. 430 i str. 99 nr. 486.
[2] ibidem str. 97, nr. 442—443.
[3] ibidem str. 103, nr. 535.
[4] ibidem str. 100, nr. 503.

Już z przytoczonych urywków łatwo poznać, że Kasprowicz stworzył cały swój poemat w duchu i tonie tatrzańskich pieśni, ba, nawet wiele słów z gwary zakopiańskiej wprowadził do „Tańca zbójnickiego“. Znalazły też w poemacie Kasprowicza, bole i tęsknoty zbójników doskonałe odzwierciedlenie, ich miłość gór i wiejskiej podhalańskiej dziewczyny. Jak w tradycyi miejscowej, tak samo też i tutaj, są oni nieustraszeni w swoich przygodach i wyprawach mimo, że wiedzą, iż skończą na szubienicy lub położą głowę pod topór katowski na zamku w Orawie. Mimo tej samowiedzy smutnego końca, jaki ich czeka niechybnie prędzej czy później, bawią się bez troski, co jutro przyniesie, hulają do upadłego — zawsze buńczuczni i odważni. Nie inaczej zachowała się nam pamięć o zbójnikach w ustach ludu podhalańskiego. Nie małego trzeba było artyzmu, ażeby to życie zbójnickie oddać z całą prawdą, słowami, któreby przypominały żywo pieśni góralskie, tak pod względem treści, jak nie mniej pod względem sposobu wyrażania myśli.

Na tle pieśni zbójnickich i tradycyi góralskiej o Janosiku został osnuty „poemat dramatyczny“ p. t. „Bunt Napierskiego“. Kasprowicz chcąc w jakiś sposób umotywować fakt, iż Podhalanie zaciągnęli się pod buntowniczy sztandar Napierskiego, zużytkował doskonale wieści, jakie krążyły o Janosiku. W utworze tym bowiem górale przystają do Napierskiego z tej przyczyny, iż sądzą, jakoby Napierski znalazł szablę, „którą Janosik w wielkiej tajemnicy zaciął w jaworze i zasię ją zaklął, aby czekała, aż ci przyjdzie po nią taki sam junak, jak i on, i weźmie do twardej ręki, by nas biednych ludzi wyrwać z nieszczęścia“. O tej tradycyi, która do dzisiaj krąży o Janosiku na Podhalu, jak o tem wiemy z autopsyi, dowiadujemy się zaraz na początku utworu z ust dziewczyny góralskiej Hanusi, co pokochała gorąco Napierskiego i teraz z niecierpliwością wyczekuje jego powrotu. Wprawdzie matka stara się wykorzenić z serca Hanusi to uczucie ostrzeżeniem, że Napierski może łatwo zginąć, tak jak zginął Janosik, „chociaż za kudły chwytał każdego niedźwiedzia, łeb mu ozbijał, po wirchach chodzował, niby czerwony rogacz, a po halach kiej głos rozpuścił, tak się siklawice rozpryskiwały, by

dżdże mgławe...“ Hanusia przecież, która pokochała Napierskiego szczerze z naiwnością i wiarą dziecięcą i wieśniaczą, wierzy, iż to się nie stanie z jej kochankiem, bo on nie przeleje krwi niewinnej, a Janosik właśnie tem zgrzeszył, to też „harnasia własna zdradziła frajerka i za korale wydała Luptakom“. Wszystkie te wzmianki o Janosiku zostały osnute na tradycyach góralskich, których istnienie poświadczyć może każdy znawca góralszczyzny; ostatni szczegół o zdradzie znajduje potwierdzenie w materyałach folklorystycznych[1]. To też nie dziw, że Hanusia lekceważy sobie zalety prostego chłopa — „z ł o t e m jabym k a z a ł a w y b i ć szubienicę, k a b y ś ty wisiał“ — powiada do natrętnego Czepca. Słowa te zostały osnute na pieśni góralskiej, bo i w niej tak samo:

Kieby jo se wiedział, k a n y bedem w i s i a ł,
Uod wirchu do dołu pikniebyk w y b i ć dał
Z wirchu d u k a t a m i, z dołu talarami[2].

Tymczasem wśród niefortunnych zalecanek Czepca przybywa do chaty Łętowskich stara wróżycha Salucha, o której wśród ludu dziwne krążą wieści. Zgodnie tedy z powszechną wiarą ludu w nadnaturalną moc wróżek wprowadził tutaj Kasprowicz ten rys znamienny, podobnie jak zupełnie zgodnie z obyczajem chłopa ruskiego, każe Czepcowi, (Czepiec był Rusinem), zrobić znak krzyża św. na widok starej wróżychy. Teraz też Salka, podejmowana gościnnie przez Hanusię, wylicza zioła znajome, służące jako lekarstwo w każdej potrzebie, i nagle obwieszcza radosną nowinę, że Napierski, co dawniej służył u rodziców Hanusi, jest samymże Janosikiem, który nie zginął na szubienicy, gdy go schwytali orawscy husarzy, bo „on w swej mocy dał im tylko pozór swojej postaci i tę powieszono“, a teraz po odbytej pokucie powstał z mogiły, ażeby wyzwolić biedny lud. Przybywa ojciec Hanusi — stary Łętowski z kilkoma gazdami i wysyła Czepca między górali ze swoją laską sołtysowską, ażeby lud zbierał się na bój z panami. Sposób zwołania

[1] Por. A. Stopka: „Materyały“, op. cit. str. 145.
[2] ibidem str. 101, nr. 513.

ludu, jaki tutaj wprowadził Kasprowicz, praktykowany jest dotąd w niektórych okolicach [1]. Po gwałtownej sprzeczce gazdów na temat, który ród jest najstarszy na Podhalu: czy Kalatów, Gutów, czy Bachledów, czy Tatarów, czy też Gąsieniców, przychodzi do obioru marszałka, którym zostaje Łętowski. Scena sprzeczki, w której rodowa duma górali ujawniła się jaskrawo, jest doskonałem odtworzeniem podobnych scen, jakie często wśród rozmowy na temat rodów powstają. Wreszcie górale pewni zwycięstwa objawiają swoją uciechę śpiewem:

Od buczka do buczka zasię do jawora,
Będzie z pieniązkami niejedna komora.

śpiewem odpowiadającym pieśni ludowej:

Od bucka do bucka aze do jawora
Tam nase pinionski, tam nasa kumora [2].

Pominąwszy akt drugi dramatu, napotykamy w akcie trzecim górali, stojących na straży zamku w Czorsztynie, który został zdobyty przez Napierskiego. Z początku weselą się oni, tańczą zbójnickiego i śpiewają znaną góralską pieśń:

Panowie, panowie! bedziecie panami,
Ale nie bedziecie przewodzić nad nami.

Wnet atoli z namowy Czepca, dowiedziawszy się, że zginęło już wielu junaków, Horny, Tatar i Brzega, Gąsienica i Stopka, Marduła i Roj, Mateja i Wala, (nazwiska wprowadzone z rzeczywistości), postanawiają zdradzić Napierskiego. Podczas szturmu, jaki przypuściło do zamku wojsko polskie, w chwili, gdy Napierski przysięga dozgonną miłość uwiedzionej przez siebie Hanusi, Czepiec wpuszcza oblęgających do zamku i sam staje przeciw Napierskiemu, skutkiem czego bohater dramatu musi się poddać. Oprócz tych już wykazanych zapożyczek z poezyi ludowej wprowadził Kasprowicz wiele drobnych ornamentów, które nadają utworowi barwę lokalną. Z najważniejszych wymienić należy urządzenie chaty góralskiej, odpowiadające naj-

[1] Por. pod wyrazem „Kula". *Wisła* 1892, str. 223—224, 425, 670—671, 917—918 i w innych tomach.

[2] A. Stopka: „Materyały" op. cit. str. 97, nr. 437.

zupełniej rzeczywistości, dalej częste wzmianki o schwytaniu zbójników przez huzarów, a nadto prośbę starej Łętowskiej, ażeby Salka zażegnała krowy, które ktoś widocznie urzekł, bo mało mleka dają. Ostatni ten szczegół oparty na gusłach ludowych [1]. Czy pieśń, jaką śpiewają górale w chwili, gdy Napierski ślubuje Hanusi dozgonną miłość, jakoteż ta, którą nuci Hanusia po pojmaniu kochanka do niewoli przez Jarockiego, jest ludowa, na to nie możemy dać odpowiedzi w braku dowodów. Jeśli tak nie jest, to w każdym razie należy przyznać, że obie te piosenki zostały stworzone na sposób ludowych pieśni. Dodajmy wreszcie, że wprowadził Kasprowicz do swojego dramatu gwarę góralską, przyczyniającą się w niemałej mierze do nadania dramatowi charakteru lokalnego.

* * *

Obfitą w ostatnich czasach literaturę podhalańską wzbogacił też Kazimierz Tetmajer, którego życie związało się z Podhalem, dwoma obrazkami, skreślonemi na tle ludowem. Jeden z nich „Pieśń o Jaśku zbójniku", został skreślony pod widocznym wpływem pieśni góralskich, do czego zresztą poeta najwyraźniej się przyznaje. Sam wszelako sposób traktowania przedmiotu jest inny od tego, jakim posługiwali się dawniejsi poeci-romantycy, przerabiający pieśni ludowe. Poemacik ten bowiem zawiera może najwyżej dwadzieścia wierszy, zapożyczonych z pieśni ludowych, reszta jest oryginalnym płodem fantazyi poety, która umiała przystosować się do tonu i ducha, jaki wieje z piosenek góralskich, i trafnie wciągnąć do utworu niektóre akcesorya, jakie w nich zauważyła. Treścią poematu jest zgon Janka, który przystał do zbójników mimo przestróg matczynych. Zaznaczył co prawda sam poeta, które strofki zapożyczył z pieśni góralskich, ażeby wszelako wykazać, jakie tło podłożył pod swój utwór, i jakie włożył drobne ornamenty, musimy podjąć szczegółowe badanie. Zwrotka pierwsza:

[1] Por. O. Kolberg: „Lud" III, str. 77 i nast.

Z orawskiego zamku chłopcy pozierają,
Czy się popod Tatry buczki rozwijają?

została przyjęta do utworu z pieśni ludowych bez żadnej zmiany [1]. W dalszym ciągu rozwija poeta zupełnie oryginalnie obraz, jak to Jasiek wybierał się na zbój:

Mówiła mu matka: nie goń ty po drogach,
By ci nie zberczały łańcuszki na nogach.

Wiersze te pochodzą niewątpliwie z piosenek góralskich:

Matuchna prosili, coby nie zbojować... [2]

Często też można usłyszeć w pieśniach ludu podhalańskiego wyrzekania zbójników lub pasterzy:

Nie zbyrcałyby mi na nogak kajdany [3].

Ciąg dalszy przestróg matki jest zupełnie oryginalnym wymysłem poety w tonie pieśni ludowych i chyba tylko drobny ornament, ta wzmianka, ażeby Janek nie chodził „na ludzkie barany", wprowadzona została z góralskiej piosenki [4]. Toż samo potrzeba powiedzieć i o prośbach kochanki Janka, błagającej go, ażeby pozostał w domu, i chyba tylko wzmianka o „siwych oczach", co będą w łzach tonąć za lubym, jest wprowadzona z ludowego śpiewu [5]. Cała odpowiedź młodego junaka, jaką daje matce i kochance, jest zupełnie oryginalna. Akcesorya tylko, malujące podkład lokalny utworu, jak wzmianki o Janosiku, Orawie, o huzarach, bogatym żydzie i o tem, że Janek przyniesie kochance korale, są tutaj wprowadzone z poezyi ludowej. Poszli tedy zbójnicy z Jaśkiem na Orawę, śpiewający, weseli:

Nabierzemy złota i talarów worem,
Zakopiemy w lesie pod starym jaworem.

Zwrotka ta została osnuta na piosence góralskiej, bo i w niej mamy podobną wzmiankę o zakopaniu zrabowanych pieniędzy pod jaworem:

---

[1] Dr. St. Eljasz-Radzikowski: „Polscy górale tatrzańscy". (*Lud* 1897, str. 372). A. Stopka; „Materyały" op. cit. str. 99, nr. 455.

[2] ibid. str. 103, nr. 540.

[3] ibid. str. 93, nr. 375.

[4] Por. loc. cit.

[5] Por. ibid. str. 73, nr. 3.

E dyć se jaworze, jaworze penkaty,
Świcom się pod tobom zbójeckie dukaty [1].

Następująca zaś zaraz po tej strofka:

Od buczka do buczka aże do jawora,
Hań nasze pieniążki, hań nasza komora...

została do „Pieśni“ Tetmajera wprowadzona bez jakiejkolwiek zmiany z ludowego śpiewu [2]. Zwrot w następującej zwrotce, w której nazywa poeta Janka „zbójeckim hetmanem“, został zapożyczony z góralskiej pieśni [3]. W dalszym ciągu opowiada poeta zupełnie samodzielnie o napadzie zbójów na miasto węgierskie i o pojmaniu ich do niewoli przez huzarów, którzy jeńców zaprowadzili do zamczyska, gdzie rychtar, (wprowadzony tutaj z pieśni ludowej), zamknął ich w więzieniu. I teraz słyszymy pośród narzekań zbójników także te słowa:

Po coś mię rodziła, matko moja miła?
Kiej mię wieszać pójdą, bedziesz się hańbiła.

Wiersze zaś te zostały do utworu Tetmajera niemal dosłownie wprowadzone z pieśni ludowej [4], podobnie jak z niewielką tylko zmianą dostały się tutaj inne wiersze:

Ej! Kieby to Bóg dał, cobym ja się wrócił,
Rychtarem bym orał, huzarami młócił.

Analogiczna pieśń góralska brzmi:

Kieby to tak Bóg dał, coby ja sie wrócił,
Wójtami byk orał, przisiężnymi młócił [5].

Motyw żalów kochanki i matki za pojmanym Jankiem bez wątpienia nasunęły pieśni ludowe, w których często zdarzy się napotkać narzekania nad uwięzionym junakiem. Wiersze:

Prędzej gniazdko zlepi jaskółka na hali
Niż się moje serce Janiczka odżali...

są dosłownem powtórzeniem pieśni ludowej [6]. W dalszym ciągu

[1] ibid. str. 99, nr. 483.
[2] ibid. str. 97, nr. 437.
[3] Por. Dr. St. Eljasz-Radzikowski: „Polscy górale“ op. cit. str. 271.
[4] A. Stopka: „Materyały“ op. cit. str. 102, nr. 529.
[5] ibid. str. 121, nr. 845.
[6] Por. str. 83, nr. 186.

kreśli Tetmajer zupełnie już oryginalnie obraz zgonu Janka na szubienicy i chyba tylko jedna zwrotka:

Hej! Jęczały Tatry, jęczały wąwozy,
Kie im zakładali na gardła powrozy...

znajduje do pewnego stopnia analogię w piosence góralskiej, bo i w niej podobnie:

Jęncom góry, jęncom, kie Jasieczka męncom [1]

Cały utwór kończy się nader udatną i oryginalną sceną jak to stary gęślarz śpiewa o zgonie junaków w bielonej Orawie. W całym tym ustępie ornament tylko, nazwanie zbójników „dobrymi chłopcami", został zapożyczony z pieśni ludowej [2], jakoteż ostatnia strofka utworu, niemal dosłownie przejęta z góralskich piosenek:

Pogniły jawory i limbowe lasy,
Ka się nam podziały nasze dobre czasy?... [3]

Oprócz wskazanych wierszy zostało jeszcze parę zapożyczonych z ludowych pieśni, w materyałach atoli folklorystycznych nie zdołaliśmy ich odnaleźć. Jak zaś doskonale zdołał poeta wżyć się w ton pieśni ludowych, dowodem tego sam utwór, który robi takie wrażenie, jak gdyby był istotnie złożony z pieśni góralskich. Wprawdzie przeciwko tej gwarowej literaturze wystąpił ostro Chmielowski w swojej pracy o „Współczesnych poetach polskich", my jednakowoż pozwolimy sobie mieć inne zdanie w tej sprawie. Jest nam dość oczywistem, że i charakterystyka typu i koloryt lokalny wiele zyskują przez wprowadzenie gwary.

Gwarą podhalańską pisany jest też drugi utwór Tetmajera p. n. „List Hanusi", w którym dziewczę góralskie wyraża w sposób szczery a naturalny swoją tęsknotę za kochankiem, co wyjechał i wieści o sobie nie daje. Uczucia jednak wszystkie, wszystkie żale i wyrzekania i wspomnienia minionych chwil zostały wy-

[1] ibid. str. 99, nr. 486.
[2] Por. Dr. St. Eljasz-Radzikowski: „Polscy górale", op. cit. str. 272.
[3] Por. ibid. str. 270. A. Stopka: „Materyały", op. cit. str. 112, n. 665.

rażone w tym utworze zupełnie zgodnie z pojęciami i sposobem myślenia góralskim. Dwa tylko wiersze tego listu:

Głowa mię boli, serdecka nie cuję,
Nik tego nie wi, za kim ja banuję...

zostały zapożyczone z pieśni ludowych [1]. Zresztą wszystko jest tu oryginalne.

(Dok. nast.).

St. Zdziarski.

[1] Por. ibid. str. 87, nr. 271.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Cywilizacya i język. Szkice z dziejów obyczajowości polskiej. *A. Brückner.* Warszawa. 1901.

Praca wymieniona bada wyrazy obce w języku polskim od najdawniejszej epoki do r. 1750, i śledzi, o ile w tych wyrazach odbijają się dzieje kultury polskiej, to jest jakie w języku polskim pozostały ślady oddziaływania obcych kultur na polską. Jej treść jest więc bardzo interesująca, a należy dodać, że książka taka jest w naszem nowszem piśmiennictwie naukowem jedyną. Są wprawdzie rozprawy, poświęcone obcym wyrazom w języku polskim: tak Malinowskiego o wyrazach rumuńskich w gwarze góralskiej, Radlińskiego o wyrazach przyswojonych z języków wschodnich, Korbuta o wyrazach niemieckich, Karłowicza „Słownik wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia w języku polskim"; ale ten ostatni doprowadzony jest dopiero do połowy, i jest ściśle językowy, więc może dopiero służyć za podstawę do badania dziejów kultury, inne zaś obejmują tylko część całego obszaru badań, są zresztą pisane tylko dla specyalistów. Prof. Brückner postawił sobie zadanie ogólniejsze: objąć całość i przedstawić ją w sposób naukowo-popularny; przyczem, co się tyczy samychże wyników badań językowych, wciągnąć i zużytkować wszystko, co dotąd na tem polu zrobiono, ale zarazem dodać wiele rzeczy nowych, wiele własnych uwag, spostrzeżeń, tłumaczeń.

We wstępie autor mówi o znaczeniu badań językowych dla dziejów kultury; tłumaczy, że są pewne dziedziny, w których ani antropologia,

ani etnologia, ani archeologia pewnych wiadomości nam dać nie mogą; otóż wtedy występuje na widownię językoznawstwo i zagadkę rozwiązuje. Tamte nauki wykażą, jak jakiś naród przedhistoryczny mieszkał, czem się żywił, jak się zapatrywał na życie pozagrobowe, nawet jak wyglądał; ale do jakiego szczepu ten naród należał, to może wskazać jedynie językoznawstwo. A dzieje się to nietylko przy badaniu czasów przedhistorycznych, bo i znacznie później niejednokrotnie badania językowe wypełniają lukę, zostawioną przez inne nauki. Prof. Brückner cytuje między innemi np. dzieje Słowian zaodrzańskich. Ostatnie ich szczątki wymarły w wieku XVIII. Przez przeciąg kilku wieków nie mamy ciągłych i pewnych świadectw, w jaki sposób ludy te uległy germanizacyi. Otóż językoznawstwo bada nazwy geograficzne na tym obszarze i dochodzi do wniosku: najstarsze nazwy (np. większych rzek) są germańskie, a więc jest to pierwotnie siedziba ludów germańskich; po opuszczeniu jej przez Germanów zajęły ją ludy słowiańskie; dostawszy się potem pod władzę niemiecką, uległy germanizacyi, która jednakże nie odbyła się nagle, gwałtownie i pod przymusem, pozostały bowiem do dziś dnia tysiące słowiańskich nazw geograficznych, miejscowości, gór, rzek, dolin, lasów, gajów i t. p., czego żadną miarą nie byłoby, gdyby Słowianie byli gwałtownie wytępieni.

Wspomniawszy mimochodem o kilku starych wyrazach, przejętych z języka scytyjskiego, fińskiego i irańskich (Bóg, chmiel, konopie i inne), autor rozważa wpływy gockie w języku polskim. Ściśle biorąc, nie można tu mówić wyłącznie o polskim języku. Oddziaływanie Gotów na Słowian działo się wtedy, kiedy jeszcze ludy słowiańskie tworzyły jedność, nierozdzielone geograficznie lub językowo; wyrazy gockie w języku polskim należą tedy do epoki prasłowiańskiej. „Widnieje z nich kultura jeszcze całkowicie barbarzyńska“; barbarzyńcami byli i Gotowie, ale obok przewagi orężnej mieli bądź co bądź nad Słowianami przewagę cywilizacyjną. Od Gota Słowianin nauczył się lepszego ładu i rządu społecznego, wyższej sztuki wojennej, nauczył się budować domy lepsze i trwalsze od dotychczasowych.

Około trzeciego wieku ery chrześcijańskiej rozpoczyna się na ogromną skalę zawierucha, zwana wędrówką ludów. Po jej ukończeniu i uspokojeniu się, w kilka wieków później, cała Europa a w szczególności i środkowa przedstawia zupełnie nowy obraz. Zmieniły się też zupełnie stosunki w świecie słowiańskim. Już Słowianie rozerwali dawną jedność geograficzną i językową; poszczególne szczepy znajdują

się już w nowych siedzibach, w których w ogólności pozostaną; z biegiem czasu wytworzą się z nich odrębne narody, każdy mówiący swoim językiem. Teraz się też rozpoczyna historya polska. Nad Wisłą, Wartą i Odrą osiadły plemiona, mówiące tem samem narzeczem słowiańskiem. Z nich to wytworzy się naród polski, ich narzecze stanie się językiem polskim.

Przez kilka wieków jednakże głucho o nich w dziejach. Aż dopiero przyjęcie chrześcijaństwa w wieku dziesiątym wprowadza od razu Polskę na widownię historyczną i zarazem roztwiera ją na oścież wpływom kultury zachodniej. Polska wstępuje w grono państw i społeczeństw europejskich i odtąd dzieli z niemi ich losy i koleje.

Rozważając język polski od wieku X do połowy XVIII, widzimy w nim wpływy najrozmaitsze, co nam się nie wyda dziwnem, gdy pomyślimy, jak otwartem zewsząd było państwo polskie i z jak rozmaitymi ludami naród polski w ciągu kilku wieków się stykał.

Przyjęcie chrześcijaństwa przyniosło z sobą terminologię łacińską, niemiecką, czeską i cerkiewno-słowiańską; jaką drogą, nie jest jeszcze rozstrzygnięte, ale język świadczy o wpływie czeskim. Obok przewrotu duchowego chrześcijaństwo niosło wogóle wyższą kulturę. To wszystko odbiło się w języku. Wyrazy obce w tej epoce (mniej więcej 950—1250) pochodzą z języka czeskiego, średnio-niemieckiego i łacińskiego; świadczą o cywilizacyjnej pracy chrześcijaństwa, której walną część wzięło na swe barki duchowieństwo zakonne.

Okres drugi prof. Brückner umieszcza w latach 1250—1550, i nazywa go mieszczańskim, od wielkiego rozwoju i przewagi miast. W epoce tej spotykamy nader silne oddziaływanie kultury niemieckiej i czeskiej, stąd też w języku polskim tej epoki jest wielka ilość wyrazów niemieckich i czeskich. Pierwsze przechodziły wprost od osadników niemieckich. Liczba ich jest ogromna; według Korbuta 3% wszystkich wyrazów polskich zajmują wyrazy, przyswojone z niemieckiego. Obracają się zaś niemal wyłącznie w kole kultury materyalnej: terminy rzemieślnicze, przemysłowe, handlowe, terminy odnoszące się do zupełnie nowych społecznych i politycznych urządzeń miast i t. d. Ten ogromny wpływ, jaki osadnictwo niemieckie wywierało w wieku XIII i XIV, a o którym wiemy dobrze i skądinąd, zostawił jednakże najtrwalsze ślady w języku. Wprawdzie wiele z tych wyrazów przyswojonych zamarło, ale z drugiej strony bardzo wiele zostało przyswojonych i zaasymilowanych tak, że dziś nieustannie w codziennem

życiu nimi się posługujemy, zgoła ich obcego pochodzenia nie odczuwając.

Wpływ czeski szedł dwiema drogami: drogą żywego oddziaływania jednego społeczeństwa na drugie (zważmy, jak częste były stosunki Polski i Czech w wiekach średnich), i drogą książkową. Literatura czeska wywarła wielki wpływ na początki polskiej. Stąd też nic dziwnego, że między wyrazami czeskimi w języku polskim znaczna liczba odnosi się do pojęć sztucznych, oderwanych, niespotykanych w życiu i języku codziennym. Podobieństwo zaś wielkie obu języków sprawiło, że pewne wyrazy polskie uległy częściowej czechizacyi, np. hańba, smutek, po polsku: gańba, smętek.

Od r. 1550 poczyna się okres szlachecki, okres najbujniejszego zrazu i wszechstronnego rozwoju. Żywe stosunki z Czechami i Niemcami teraz ustają, ustępują miejsca wpływom dalszym a silniejszym i bogatszym, wpływom kultury Odrodzenia. Posunięcie zaś granicy państwa daleko na wschód i emigracya ludności polskiej w kraje ruskie, spowodowały działanie wpływów wschodnich. To wszystko znowu odbija się w języku. W epoce tej język polski przyjmuje wyrazy z najrozmaitszych języków. Ogólno-łaciński podkład Odrodzenia i gorliwe piastowanie języka dawnych Rzymian wprowadza do mowy polskiej wyrazy łacińskie, przeważnie do pojęć abstrakcyjnych. Z Włochami przychodzą wyrazy włoskie, obejmujące rozległy zakres wykwintnego życia dworskiego; obok tych mniej liczne hiszpańskie. Stosunki z Węgrami, żywsze za Batorego, także do wprowadzenia nowych elementów się przyczyniły: z wyborną piechotą węgierską przyszło wiele terminów wojennych węgierskich. W wieku XVII zaczyna się wpływ francuski, którego punkt najwyższy miał przypaść już po badanym przez prof. Brücknera okresie, ale i przed r. 1750 znaczne pozostawił ślady. Od Wschodu wreszcie dostawały się wyrazy tatarskie, tureckie, arabskie. Dość dziwne, ale przyswojenia z języka ruskiego są bardzo nieliczne. U pisarzów XVII wieku, żyjących i piszących na Rusi, znajdzie się wprawdzie bardzo wiele wyrazów i zwrotów ruskich, ale nie są one spolonizowane, i do powszechnego języka literackiego nie weszły.

Dziełko prof. Brücknera należy do najtreściwszych, jakie znam. W niewielkich rozmiarach mieści ogromną liczbę faktów, dat, spostrzeżeń, tłumaczeń. Tak dalece, że należy raczej ubolewać, iż przy tej samej treści nie jest dwa razy obszerniejsze. Tak bowiem, jak jest,

wielu rzeczy nie objaśnia dokładniej, czegobyśmy właśnie mogli wymagać od książki, przeznaczonej dla kół szerszych. Niejednokrotnie wyraz jakiś wymieniony jest jako obcy, ale nie podano jego pierwowzoru, nie objaśniono, skąd się wzięły znaczne nieraz zmiany głosowe i semazyologiczne, jakim ten wyraz uległ właśnie w czasie przyswojenia. Stąd też, z dążenia do wielkiej treściwości, pochodzi przyjmowanie i przedstawianie za pewne niektórych poglądów, co do których są jednak wątpliwości, np. sprawa pierwotnych siedzib Słowian, lub czeskiego początku polskiego chrześcijaństwa.

Z tem wszystkiem praca wielkiej wartości. Zjawisko tak rzadkie w naszem piśmiennictwie naukowem: oryginalna praca ogólniejszej treści z zakresu językoznawstwa. Pierwszy raz zebrane jest, choć w krótkości, wszystko, co w tej sprawie wiemy; pierwszy raz oglądamy całość tych zjawisk i ich ciągłość; pierwszy raz przedstawiono nam część dziejów języka polskiego w związku z dziejami kultury polskiej. Dodajmy, że nikt chyba do takiej pracy z dziejów mowy polskiej nie jest więcej od prof. Brücknera powołany. Obok dawnych, znanych już tłumaczeń, książka omawiana przynosi wiele (więcej na liczbę) objaśnień nowych, prostuje wiele pomyłek, jakie się wkradły do dawniejszych prac z tego zakresu. Jeżeli wspomnimy, do jakich zboczeń dochodziła nasza historyografia skutkiem pochopnego a błędnego zastosowania badań językowych, to naprawdę cieszyć się musimy, że obecnie nie wydajemy już dziwolągów, ale prace stojące pod każdym względem na wysokości zadania, i idące na równi z naukowym ruchem europejskim.

Obyśmy jak najprędzej mogli mieć w rękach następne, — a dodajmy skromne życzenie — znacznie rozszerzone i powiększone wydanie „Cywilizacyi i języka“.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Opieka nad ubogimi w Galicyi. Opracował *dr. Joachim Bartoszewicz.* (Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych wydane przez krajowe Biuro statystyczne pod redakcyą prof. d-ra Tadeusza Pilata). Lwów 1901, str. 91.

Sprawa opieki nad ubogimi w Galicyi nie była dotąd nigdy jeszcze przedmiotem opracowania naukowego. Wprawdzie przed kilkunastu laty przy zbieraniu materyałów do reformy gminnej pomieścił był Wydział krajowy w kwestyonaryuszu wówczas rozesłanym także pytanie co do wykonywania opieki nad ubogimi, ale odpowiedzi, jakie nade

słały Wydziały powiatowe, są tak ogólnikowe i lakoniczne, iż do jednego tylko uprawniają wniosku, a mianowicie, że gminy nasze, z małymi wyjątkami — albo niedbale, albo wcale nie wykonywują ciążącego na nich obowiązku opieki nad ubogimi.

Dopiero, gdy z inicyatywy posła Małachowskiego, Sejm polecił Wydziałowi krajowemu przedłożenie projektu ustawy o wykonywaniu opieki nad ubogimi, Wydział krajowy widział się zmuszonym do zebrania dat statystycznych o tem, jak ta opieka obecnie bywa wykonywaną, jakie istnieją po gminach fundusze na ten cel przeznaczone, domy ubogich, ochronki, fundacye i t. d. W tym celu rozesłał Wydział krajowy do wszystkich Wydziałów powiatowych i Magistratów większych miast obszerny kwestyonaryusz, a odpowiedzi nadeszłe na ten kwestyonaryusz stanowią najważniejszy faktyczny substrat niniejszej pracy. Wadą kwestyonaryusza było, że po większej części pytania w kwestyonaryuszu zawarte są zanadto obszerne. Wartość statystyczna materyału znacznie byłaby na tem zyskała, gdyby niejedno pytanie zostało rozdzielone na kilka odrębnych rubryk. Na obszerne pytanie można wprawdzie bardzo dużo odpowiedzieć, ale w tej obszernej odpowiedzi można wiele rzeczy ważnych i ciekawych opuścić, czy to przez zapomnienie, czy przez niedbalstwo. Tak się też stało w danym razie. Bardzo często Wydział powiatowy dawał odpowiedź na część pytania, a resztę pomijał milczeniem. Temu zanadto obszernemu ułożeniu rubryk przypisać należy, że np. takie ważne dane, jakiemi są dochody funduszów i instytucyj dla ubogich przeznaczonych jakoteż rozchody na rzecz ubogich nie dały się z tego materyału uzyskać, a przynajmniej nie dały się w takiej uzyskać ilości, ażeby można było stworzyć sobie jakiś pogląd na całość.

Pominięto również w kwestyonaryuszu pytanie nader ważne, podstawowe niemal dla poznania sprawy opieki nad ubogimi, a mianowicie: ilu ubogich zaopatrzono w domach i zakładach, ilu ubogim udzielono wsparcia z funduszów dla nich przeznaczonych. Pomimo tego zapomnienia co prawda podało dość wiele gmin ilość ubogich i zaopatrzonych. Ale tych cyfr jest za mało dla ogólnego statystycznego poglądu.

Dalszą wadą była dwustopniowość, jaką zachowano nietylko w zbieraniu ale i w układaniu i zestawianiu cyfr, co spowodowało, że materyał statystyczny nie był już całkowicie surowy, że brak mu jednolitości, albowiem opracowanie przez Wydziały powiatowe cyfr, podanych przez gminy wiejskie nie mogło być jednakową przeprowadzone metodą, wskutek tego zaś te cyfry pośrednie mniejszą mają wartość,

niż gdyby w biurze statystycznem wprost z surowego materyału były czerpane [1].

Zauważyć wszakże należy, że te wszystkie wady metodyczne nie są winą biura statystycznego, jak raczej za mało samoistnego stanowiska tego biura. Kwestyonaryusza nie układało bowiem biuro statystyczne, nie miało więc żadnego wpływu na podstawową stronę badań, które miało przeprowadzić, tj. na sposób i jakość deklaracyj statystycznych. Błąd to więc organiczny niejako.

Mimo wszystkich powyższych braków i niedokładności, pracę omawianą musimy uznać za nader pożyteczną, przynosi ona bowiem całą masę nowych faktów i dat, i choć w części rzuca światło na stosunki, dotychczas zupełnie prawie nieznane.

Zasadą austryackiego prawa ubogich jest, że gmina, i to z reguły gmina przynależności ma obowiązek zaopatrywania swych ubogich. Obowiązek ten jest zawisły przedewszystkiem od stanu ubóstwa, tj. o tyle tylko ma miejsce, o ile ubogi nie jest w stanie zapewnić sobie potrzebnego utrzymania swemi własnemi siłami. Powtóre gmina ma tylko wtedy obowiązek przyjścia z pomocą ubogiemu, jeżeli niema innych osób, fizycznych czy też prawnych, które będąc do tego prawnie obowiązane lub też działając dobrowolnie, zaopatrzenie takiego ubogiego na siebie biorą. Obowiązek bowiem gminy do wsparcia istnieje tylko wobec faktycznie istniejącego stanu niemożności egzystowania; jeżeli ta niemożność egzystowania pewnej jednostki usunięta zostaje przez świadczenia osób trzecich, obowiązek gminy tem samem nie wchodzi w życie. Gmina ma obowiązek zaopatrywania swych własnych ubogich tylko, tj. tych, którzy mają w niej prawo przynależności. Co do innych ubogich obowiązek ten zachodzi tylko w razie chwilowej potrzeby.

Autor sądzi, że temu obowiązkowi gminy do zaopatrywania swych ubogich nie odpowiada podmiotowe prawo tychże ubogich. Autor powołuje się przytem na niemiecki autentyczny tekst ustawy z 3 grudnia 1863, Dup. nr. 103, który brzmi: *Das Heimatrecht in einer Gemeinde gewährt in derselben das Recht des ungestörten Aufenthaltes und den Anspruch auf Armenversorgung.* Sądzimy wszakże, że podmiotowe prawo publiczne zachodzi już wszędzie tam, gdzie jakaś sfera interesów znajduje swe oparcie i swą ochronę w normach prawnych [2]. Zwła-

---

[1] Por. o tem Gargas: „Obowiązek deklaracyi statystycznej". Kraków 1900.

[2] O tem Gargas: „Handel obnośny a państwo". Kraków 1900.

szcza dotyczy to wypadku, gdzie istnienie obowiązku żadnej nie ulega wątpliwości. Jeśli zaś ustawa używa tu wyrazu *Anspruch* a nie *Recht*, to dzieje się to dlatego, ponieważ „prawo“ zaopatrywania ubogich miałoby zupełnie inne znaczenie. Gdy w pierwszym bowiem wypadku wykonywanie uprawnienia może mieć charakter dodatni i czynny, to w drugim wypadku musi się ono ograniczyć do tego, by zobowiązany do zaopatrywania coś uczynił na rzecz ubogiego. Jeśli zaś ustawa mówi w dalszym ciągu: „Ubogi nie może żądać pewnego oznaczonego sposobu wsparcia“ (§ 25 u. 2), to nie znaczy to, jak sądzi autor, by ubogi nie mógł wogóle żądać wsparcia“, coby się nawet sprzeciwiało wyraźnemu brzmieniu § 1 cyt. ust., ale, że nie może żądać „pewnego oznaczonego sposobu wsparcia“. Inna kwestya, o ile postanowienie to już dzisiaj da się w praktyce przeprowadzić. Myli się również autor, jeśli sądzi, że ust. z r. 1863 przewiduje specyalne ustawy krajowe, dotyczące rodzaju i sposobu zaopatrzenia. Nie ulega jednak wątpliwości, że takie materyalne prawo ubogich byłoby bardzo pożądane. Na razie normy w tym kierunku są dość nieliczne.

Ubogim, zdolnym do pracy, trzeba dać możność zarobkowania. Ubogich, niezdolnych do pracy, trzeba zaopatrzyć.

Zaopatrzenie może być stałe lub przejściowe, zakładowe lub poza zakładowe, w gotówce lub w naturaliach.

W dalszym ciągu przedstawia autor, środki służące do wykonywania opieki nad ubogimi, więc w pierwszym rzędzie opiekę organów administracyi publicznej.

Podstawę finansową tej opieki stanowią przedewszystkiem miejscowe fundusze ubogich. Na fundusze te składają się datki dobrowolne, datki zebrane do skarbony kościelnej, zapisy i fundacye dla ubogich, trzecia część spadku po księżach zmarłych bez testamentu, jeden procent ceny kupna przy licytacyach dobrowolnych, grzywny, taksy za udzielanie pozwolenia trzymania szynków otworem po godzinie policyjnej, za muzyki z tańcami, za bale i za publiczne produkcye.

Zarząd tym miejscowym funduszem spoczywa w ręku naczelnika gminy. Wyjątek zachodzi co do grzywien sądowych i politycznych, gdzie zarząd Wydziału powiatowego jest regułą o ile chodzi o grzywny, przypadające gminom wiejskim i małomiejskim; większe miasta natomiast obywają się bez tej pomocy Wydziałów powiatowych.

W r. 1898 przedstawiały się w gminach galicyjskich miejscowe fundusze ubogich jak następuje:

Gminy	W ilu powiatach	Ilość gmin posiadających fundusze	Stan tych funduszów w złr. pochodzących			
			Z grzywien politycznych i sądowych	Z datków, taks, kar gminnych	Z fundacyj	Razem
Wiejskie i miejskie	68	?	831.442·83	—	—	831.442·83
Wiejskie	40	226	—	77.816·60½	33.144·23	130.204·00½
Miejskie.	59	131	—	287.114·17	53.903·03½	348.485·11½
W całym kraju bez Lwowa i Krakowa						1,310.131·95
Lwów i Kraków .		2		700	343.775·64	344.475·94
W całym kraju . .						1,654.607·89

W rubryce pierwszej, gminy wiejskie i miejskie są wymienione wspólnie, ponieważ, jak już wspomniano, dochód z grzywien politycznych i sądowych, stał pod zarządem Wydziałów powiatowych.

Jak widzimy z powyższego zestawienia i liczba i siła finansowa miejscowych funduszów ubogich przeważa w miastach w porównaniu ze wsią, i to przeważa niestosunkowo.

Drugą formę opieki organów administracyi publicznej stanowią zakłady i instytucye dobroczynne w zarządzie gminnym. Pod tę kategoryę podpadają domy zaopatrzenia, w których ubodzy całkowite znajdują utrzymanie, domy przytułku, gdzie ubodzy mają zabezpieczony dach nad głową, a więc mieszkanie lub tylko chwilowe pomieszczenie względnie nocleg, zakłady sierót i ochronki, służące bądź do całkowitego utrzymania lub tylko częściowej opieki nad ubogą dziatwą, wreszcie grunta i realności, z których dochód przeznaczony jest na ubogich.

Domów ubogich jest w 31 gminach wiejskich Galicyi 69 z majątkiem 77.817 złr. 10 ct. a. w. W 86 gminach miejskich i małomiejskich jest tych domów 87, z majątkiem 928.998 złr. 25 ct. Dochód ich wynosi 58.958 złr. 45 ct., rozchód 38.322 złr. 13 ct., w całym kraju jest 119 gmin posiadających zakłady dla ubogich (wliczając już Lwów i Kraków). Ogólna liczba zakładów wynosi 165 z ogólnym majątkiem 1,776.477 złr. 41 ct., tak że na jeden zakład wypada przeciętnie 12.902 złr. 51 ct.

Jeżeli niema specyalnych funduszów lub zakładów dla ubogich lub też, jeżeli istniejące fundusze, względnie zakłady, nie wystarczają

na opędzenie kosztów opieki nad ubogimi, musi gmina z własnych funduszów zaopatrzyć i wspomódz miejscowych ubogich.

W 40 powiatach gminy wiejskie nie wydają z funduszów gminnych żadnych kwot na wsparcie ubogich. W 28 powiatach wydano w r. 1897 ogółem 8.612 złr., przyczem uwagi godną jest okoliczność, że najwyższe kwoty wykazują najbardziej na zachód wysunięte powiaty.

Co się tyczy gmin miejskich i małomiejskich, to w 15 powiatach gminy te nie wydają żadnych kwot z funduszów gminnych. W 53 powiatach wydało 85 gmin w 1897 r. 47.602 złr. 43 ct. Przeciętna wysokość tych wydatków w jednej gminie wynosi zatem 560 złr. 02 ct.

Bardzo ograniczone znaczenie posiada powiatowa opieka nad ubogimi. Zaledwie 31 powiatów interesuje się sprawą ubogich. W 11 powiatach znajdujemy powiatowe instytucye dobroczynne tj. fundusze i zakłady dla ubogich, których ilość ogółem nie przekracza 15. Majątek tych instytucyj wynosił ogółem kwotę 74.905 złr. $40^1/_2$ ct., na jeden powiat wypadłoby 6.809 złr. 58 ct. powiatowego majątku ubogich. Wydatki wyniosły w r. 1897 w przecięciu na jeden powiat 152 złr. 12 ct.

Na obszarach dworskich istnieje 19 instytucyj dobroczynnych, których majątek wynosi ogółem 31.652 złr. 77 ct.

Majątek ogólny, przeznaczony dla ubogich a będący pod zarządem gmin naszego kraju (bez Lwowa i Krakowa) wynosi 2,316.947 złr. 90 ct., majątek gminnych instytucyj dobroczynnych we Lwowie i Krakowie wynosi 1,114.137 złr. 10 ct., tak że łączna kwota wynosi 3,431.085 złr. Jeśli do tego dodamy cyfry majątku instytucyj powiatowych i tych, które są administrowane przez zwierzchności obszarów dworskich, to otrzymamy kwotę 3,537.643 złr. $17^1/_2$ ct. W przecięciu wypada na jedną gminę 371 złr. 19 ct., na jeden powiat 31.310 złr. 10 ct. Wydano na ubogich w 1897 r. 165.965 złr. 02 ct., we Lwowie i w Krakowie 246.534 złr. $81^1/_2$ ct., razem więc 412.499 złr. $83^1/_2$ ct. Przeciętnie na gminę wynosi 25 złr. 79 ct., na powiat 2.214 złr. 60 ct.

Ważne znaczenie ma też opieka kościelna. Kościelne fundusze i zakłady dla ubogich istnieją mianowicie w 92 gminach wiejskich, położonych w 27 powiatach a mianowicie znajdujemy tam 52 samoistnych funduszów ubogich a 47 domów ubogich. 31 samoistnych funduszów pod zarządem duchownych i 32 zakładów dobroczynnych, mieszczących się przy kościołach czy klasztorach istnieje w 55 gminach miejskich i małomiejskich, należących do 36 powiatów.

Trzecią kategoryę opieki nad ubogimi, stanowi opieka społeczeństwa. Zorganizowaną jest ona w formie stowarzyszeń. Ta forma opieki jest stosunkowo mało rozwiniętą. I tak chrześcijańskie stowarzyszenia dobroczynne znajdują się w 34 gminach, nie licząc Lwowa i Krakowa, w ogólnej liczbie 55. Wszystkie gminy należą do kategoryi miejskich, w małej części tylko do kategoryi małomiejskich. Najwyżej stoją Towarzystwa św. Wincentego à Paulo, hołdujące systemowi elberfeldzkiemu.

We Lwowie i w Krakowie ilość stowarzyszeń wynosiła 48, majątek zakładowy 6,428.583 złr. 91½ ct.

Więcej rozwiniętą jest działalność społeczeństwa żydowskiego, w przeważnej części dlatego, ponieważ pomoc udzielana ubogim przez organa administracyi publicznej dotyczy przeważnie chrześcijan.

Dotacye dla ubogich i subwencye dla instytucyj i stowarzyszeń dobroczynnych udzielały zarządy gmin wyznaniowych w ośmiu miastach w ogólnej kwocie 8.773 złr. 18 ct. Funduszów ubogich było 25 z majątkiem przeciętnym 2.613 złr. 51 ct., zakładów dla ubogich Żydów było 27, których majątek zakładowy wynosi ogółem sumę 209.339 złr. 05 ct., stowarzyszeń dobroczynnych było 78 z majątkiem przeciętnym 2.289 złr. 33 ct.

Wogólności pierwsze miejsce co do wysokości majątku, dochodów i rozchodów należy się w Galicyi, bez Lwowa i Krakowa, opiece gminnej, a raczej opiece administracyi publicznej. Jeśli zaś weźmiemy cyfry dla całego kraju, to znaczy wraz ze Lwowem i Krakowem, to pierwsze miejsce przypadnie w udziale zorganizowanej opiece społeczeństwa tj. stowarzyszeniom dobroczynnym i instytucyom, zarządzanym przez osoby prywatne.

W porównaniu z innymi krajami austryackimi, ilością zakładów i funduszów przewyższa Galicyę jedynie Styrya. Zato cyfra wydatków na ubogich obliczonych na głowę mieszkańców stawia Galicyę na ostatniem miejscu. W stosunku do cyfry ludności wydatek ten w Galicyi jest trzydzieści razy mniejszy, niż w Austryi Dolnej bez Wiednia, a sześć razy mniejszy, niż na Szląsku.

O ile natomiast chodzi o opiekę dobrowolną, to pod względem ilości instytucyj Galicya ustępuje tylko Austryi Dolnej, ze swojemi absolutnemi cyframi majątku, dochodów i wydatków, zajmuje nawet pierwsze miejsce, przewyższając obydwie Austrye i Morawię.

Dr. Z. Gargas.

Poezye *Michała Bończy.* Poznań. 1901.

Tomik tych poezyj jest najlepszym dowodem, że mieć wielkie myśli i serce, kochające społeczeństwo, nie wystarcza do tego, żeby być „bardem swojego narodu". Ten cel postawił sobie poeta w wierszu wstępnym, cel ten jednak leży za wysoko i nieprzystępny jest dla młodych sił i zdolności poety.

„Poezye" podzielone są na trzy części. W dwu pierwszych zwraca się autor do społeczeństwa, niosąc mu hasła, pod jakiemi winno pracować, hasła wiary, nadziei i miłości. Autor podnosi tę wielką, wspaniałą myśl, że naród nasz, tylko na zasadach i wierze Chrystusowej oparty, może skutecznie dla przyszłości swej pracować, wlewa otuchę w serca, słusznie twierdząc, że społeczeństwo, które tyle genialnych umysłów wydało, nie jest strupieszałe, jak twierdzą wrogowie nasi, ale silne i potężne. Zresztą wysiłki wroga, by nas zgubić, na nic się zdadzą, bo nie on światem rządzi ale Bóg, który nie da nam marnie zginąć. (Str. 16).

Prawdziwa szkoda, że zasad tych nie ubrał poeta w odpowiednią szatę, nie dał im formy takiej, na jaką zasługują. Rymów pełno jest takich jak: „siły—żyły", „marnie—marnie", „docieką – daleko", „inaczej—Polacy", „gnają *(sic!)* — dają" i t. d., a rytmiki zdaje się autor nie uznawać, bo często zamiast końcówek żeńskich używa męskich (np. str. 28), lub, nie zważając na budowę wiersza, kładzie zamiast wiersza pięciozgłoskowego, sześciozgłoskowy (str. 63). W jak zaś niezgrabny i ciężki sposób poeta wyraża swe myśli niech posłuży następujący przykład: „Kupią się, widząc, gdzie bezradność wiedzie, kędy bezmyślność — z tyłu i na przedzie" (str. 26). Zdaje się, że dalsze przykłady są zbyteczne, lubo możnaby ich niezliczoną ilość przytoczyć. Tyle o pierwszych dwu częściach.

Część trzecia, erotyczno-subjektywna, jest bez porównania lepszą od poprzednich. Nie tylko bowiem forma jest tu już prawie zupełnie poprawna, ale tak uczucia jak i siły w obrazowaniu znać daleko więcej. Najlepszym z tego cyklu jest wiersz p. t. „Po ślubie". Jest to skromna, miła sielanka, niemająca pretensyi do wielkości i tą właśnie prostotą zachwycająca. Poeta opisuje pierwsze chwile szczęścia ze swoją młodą małżonką. Prowadzi czytelnika do kościoła, gdzie młoda para ślubuje sobie miłość. Rozkochany, zapatrzony w żonę, każde jej słowo, każdy ruch, każde spojrzenie opisuje spokojnie, po prostu, nie dobierając wyszukanych wyrażeń, ale z ogromną siłą uczucia, płynącego z serca prosto, uczucia, po którem znać, że całą jego duszę opanowało i na

wyłączną wzięło własność. Z kościoła prowadzi nas ze sobą w podróż poślubną. I znowu tutaj znać to kochające serce, które z każdego prawie słowa przebija, znać tę miłość, która mu świat cały, tak czasem szary i smutny, barwami tęczy maluje, ukazując szczęście wszędzie, bez względu na to, czy rzecz dzieje się w pokoju hotelowym, gdzie młoda gosposia krząta się około samowara, czy w górach, gdzie złapani przez deszcz, podróżują pod parasolem, na wozie zaprzężonym parą wołów. Wszędzie znać to uczucie, nie wybuchające wulkanem namiętności ale płonące cicho i spokojnie miłością szlachetną.

Z tomika więc tego jedną można wyciągnąć konsekwencyę: oto poeta nie zrozumiał swego powołania, względnie przecenił swe siły, bo „bardem swojego narodu“ nie będzie nigdy. Niech więc tę niwę zostawi potężniejszym i większym od siebie, a sam niech się raczej zwróci do pola odpowiedniejszego swemu talentowi, do wierszy, w poczet których zaliczyć można cykl „Z dni wiosennych“, w szczególności zaś wiersz p. t. „Po ślubie“, a chociaż nie będzie wielkim, może być miłym i użytecznym.

W. Rylski.

Fryderyk Le Play, ekonomista francuski. *Krzysztof hr. Mieroszowski.* Kraków 1900. (Str. 133).

Książeczka zawiera ważniejsze wyjątki z pism Le Play'a w tłumaczeniu oraz kilka jego listów w oryginale. Wyciągi te poprzedzają uwagi autora o życiu i działalności głośnego francuskiego ekonomisty. W części biograficznej autor omawia wpływ licznych podróży odbytych przez Le Play'a na jego sposób myślenia. Znacznie krótszą jest część poświęcona przedstawieniu nauki Le Play'a. Autor w kilku słowach po kolei przedstawia znaczenie czterech znanych zasad: religii, własności, rodziny i pracy.

O działalności Le Play'a jako komisarza jeneralnego międzynarodowej wystawy paryskiej z r. 1867, na której zorganizował dział *L'économie sociale,* obejmujący sposoby przyjścia w pomoc ludności robotniczej przez przedsiębiorcę, autor nie wspomina.

Chęć przypomnienia nauk Le Play'a naszemu społeczeństwu zasługuje na zupełne uznanie.

A. Krzyżanowski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Oesterreichisches Verordnungsrecht. Verwaltungsrechtlich dargestellt von *Dr. Johann Żolger*. Innsbruck. Wagner. 1899. (Str. 424).

Terminologia prawa austryackiego w kwestyi rozporządzenia jest bardzo chwiejną. Źródła prawne używają w tym kierunku najrozmaitszych terminów. Ale i w literaturze ważna kwestya o pojęciu, zakresie, znaczeniu i skutkach rozporządzenia nie doczekała się dotychczas, zwłaszcza o ile chodzi o prawo austryackie, wyczerpującego opracowania.

Autor podzielił swą książkę na 10 rozdziałów. Mówi więc przedewszystkiem o pojęciu rozporządzenia. Wydanie rozporządzenia jest aktem natury zwierzchniczej, szukać go więc należy między temi formami czynności organów władzy państwowej, w których państwo występuje jako piastun praw zwierzchniczych, za pomocą których bezpośrednio normuje porządek prawny. W szczególności są to te akty, które dochodzą do skutku w drodze administracyjnej, nie zaś w drodze ustawodawczej. Od zarządzenia różni się rozporządzenie tem znów, że jest uregulowaniem abstrakcyjnych stanów faktycznych. Cechą charakterystyczną normy abstrakcyjnej jest zaś, zdaniem autora, okoliczność, że norma taka nie wywołuje żadnych zmian w rzeczywistości, t. zn. w stosunkach prawnych oddzielnych osób, że nie wchodzi w bezpośredni stosunek do oddzielnych podmiotów prawnych, podczas gdy zarządzenie ma znaczenie tylko dla pewnego konkretnego wypadku, bez ponowienia więc nie ma znaczenia dla innych wypadków. Prawidłową cechą unormowania pewnego konkretnego wypadku, o ile nie jest ono jedynie skonstatowaniem faktów ściśle przedmiotowych, jest to, że stosuje się ono do pewnej (fizycznej lub prawniczej) osoby.

Rozporządzenie nie zwraca się do żadnego konkretnego podmiotu prawnego, nie wydaje nakazu dla pewnej osoby, nie udziela nikomu jakiegoś uprawnienia, ani go nikomu nie odbiera. Jeśli zaś pośrednio skutki pewnego rozporządzenia objawiają się na pewnej osobie, to należy mieć na uwadze, że jest to tylko pośredni skutek, bo nie norma wytwarza prawa i obowiązki, lecz fakt, że pewien stan faktyczny podpada pod pewną regułę prawną, ten fakt tylko wywołuje pewne skutki prawne po myśli normy prawnej. Od statutów pewnych związków osobistych różni się zaś rozporządzenie tem, iż statuty są dla członków tychże związków prawnie obowiązujące dlatego, że członkowie ci zgo-

dzili się na te statuty jako na normy prawne ich obowiązujące, rozporządzenie wywiera zaś skutek prawny wskutek władzy zwierzchniczej państwa. Rozporządzenie opiera się na jednostronnym akcie zwierzchniczym państwa, statuty mają swe źródło prawne w umowie.

Pokrewnemi rozporządzeniu są t. zw. normalia, nazywane przez Labauda rozporządzeniami administracyjnemi, w odróżnieniu od rozporządzeń prawnych (rozporządzeń właściwych). Istotna różnica polega na tem, że normalia wypływają z władzy służbowej urzędów państwowych, nie zaś z ich władzy zwierzchniczej, sięgają przeto tylko tak daleko, jak daleko sięga ta władza służbowa, granicę więc swoją znajdują w służbowym obowiązku posłuszeństwa, nie dotyczą przeto obywateli państwowych i tych organów państwowych, które nie znajdują się w stosunku podrzędności służbowej do władzy, wydającej owo rozporządzenie. I normalia są wszakże prawem przedmiotowem. — Treścią rozporządzenia jest pewien nakaz prawny.

Różnica między ustawą a rozporządzeniem jest tylko formalna: polega mianowicie tylko na formie dojścia do skutku danej normy prawnej. Niektóre objawy woli władzy państwowej dochodzą bowiem w państwie konstytucyjnem do skutku w formie ustaw, tj. za zgodą reprezentacyi ludowej, podczas gdy w innych wypadkach taki współudział jest zbędnym. Z tego też powodu różnica między ustawą a rozporządzeniem właściwą jest tylko państwu konstytucyjnemu. Normy prawne, pochodzące z czasów przedkonstytucyjnych, są normami *sui generis,* normami, których nie można podciągnąć ani pod nowożytne pojęcie ustawy, ani pod pojęcie rozporządzenia. Prócz wyżej wspomnianej różnicy formalnej niema między ustawą a rozporządzeniem żadnej innej różnicy (merytorycznej). Tak ustawa jak i rozporządzenie posiadają równą wartość i równe znaczenie jako źródła prawne, nie są przeto różnemi kategoryami prawa, lecz tylko różnymi sposobami powstania prawa. Tak ustawa jak i rozporządzenie wytwarza prawo, mające tę samą siłę egzekutywną. Różnica polega chyba tylko na tem, że ustawa ma byt stalszy, że trudniej ją naruszyć, zmienić lub znieść. Ustawa jest formą wyżej kwalifikowaną, z tego też powodu rozporządzenie nie może wpłynąć na losy ustawy, lecz chyba tylko odwrotnie. Racya polityczna odrębnego bytu rozporządzenia polega zaś na tem, że jest rzeczą wprost niemożliwą, by ustawa normowała wszystkie stosunki życiowe w sposób wyczerpujący i odpowiedni. Ustawa musi się niejednokrotnie zadowolić postawieniem ogólnej reguły, a administracyi pozostawić wydanie przepisów bardziej szczegółowych, zawa-

runkowanych praktyką prawną. Z drugiej zaś strony jest rzeczą wprost nieodzowną, by administracyi pozostawić wolne pole działania, gdzieby mogła wedle swobodnego ocenienia obrać środki, potrzebne do osiągnięcia danego celu. Władza, która ma baczyć na interes publiczny, musi mieć bowiem pewną swobodę ruchów.

Prawo wydawania rozporządzeń, przysługujące administracyi publicznej, może mieć dwojakie źródło: albo może ono opierać się na upoważnieniu (delegacyi) ustawy, albo też ma ono charakter bezpośredni. W pierwszym kierunku należy zaznaczyć, że ustawa może wszystko to przydzielić w drodze delegacyi do unormowania zapomocą rozporządzeń, co wedle prawa pozytywnego winno być przedmiotem ustawy. Delegacya może być mniej lub więcej wyczerpująca w oznaczeniu warunków, form i treści rozporządzenia. W każdym razie winno wszakże z delegacyi to wypływać, że ustawodawca udzielił władzy administracyjnej upoważnienia do ustanawiania norm prawnych. Delegacya stanowi źródło prawne a zarazem i granicę dla prawa rozporządzeń. Delegacya może upoważnić władzę do wydawania rozporządzeń tak *intra legem*, jak *praeter* i *contra legem*.

Obok pochodnego (delegowanego) prawa do wydawania rozporządzeń istnieje także pierwotne, samoistne prawo do wydawania rozporządzeń, nie mające oparcia w jakimś przepisie ustawowym. Prawo to wypływa z istoty i z historycznego sposobu powstania konstytucyi austryackiej. Konstytucya powstała bowiem z zrzeczenia się przez Koronę pewnych praw dotychczas jej przysługujących, mianowicie prawa wyłącznego wykonywania władzy państwowej w pewnych kierunkach. O ile przeto zrzeczenie takie nie nastąpiło, monarcha jest i teraz nieograniczony w wykonywaniu władzy państwowej, a nie jest obowiązany do trzymania się formy ustawy. Innemi słowy: o ile konstytucya wyraźnie nie orzeka, że stanowienie prawa winno następować w drodze ustawy, może monarcha albo organy przez niego delegowane stanowić prawo bez współudziału reprezentacyi ludowej, więc w formie rozporządzenia. W przeciwnym razie bowiem zupełnie byłyby niezrozumiałe i zbyteczne te postanowienia ustaw zasadniczych, które stanowią, że ta lub owa materya winna być uregulowana w drodze ustawy.

Praktyka austryacka godzi się na takie samoistne prawo wydawania rozporządzeń, albowiem istnieje cały szereg rozporządzeń, co do których brak wszelkiej delegacyi ustawowej. Prawo takie znajduje też swe oparcie w zasadzie kierującej administracyą publiczną, że administracya ta winna czynić wszystko, czego wymaga interes publiczny.

Podmiotami prawa wydawania rozporządzeń są wszystkie organy, posiadające prawo do wykonywania funkcyi zwierzchniczych. Ponieważ wszakże wedle teoryi państwa monarchicznego wyłącznym piastunem władzy państwowej jest monarcha, przeto i istotnym podmiotem prawa wydawania rozporządzeń jest monarcha. Ponieważ zaś jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, że ten, kto jakąś władzę posiada, może tę władzę sam też wykonywać, art. zaś 2 ust. zasadn. o władzy rządowej i wykonawczej nie wyłącza wyraźnie i stanowczo osobistego wykonywania władzy państwowej przez monarchę: należy tak długo uważać Koronę za legitymowaną do osobistego wykonywania władzy jej przysługującej, jak długo nie postanowiono czegoś innego w szczególnych wypadkach. Prawo to osobistego wykonywania funkcyi zwierzchniczych nie jest wszakże połączone z obowiązkiem osobistego wykonywania tych funkcyi. Może przeto monarcha udzielić w tym celu upoważnienia podrzędnym sobie organom publicznym. Dotyczy to wszakże t. zw. rozporządzeń wykonawczych, przewidzianych artykułem 11 ust. zasadn. W niektórych tylko, specyalnie oznaczonych wypadkach, prawo to swoje musi monarcha wykonywać osobiście.

Z reguły wszakże są władze państwowe upoważnione do wydawania rozporządzeń już z mocy delegacyi ustawowej i nie potrzebują w tym celu osobnego upoważnienia wyższej władzy, są zaś ograniczone tylko o tyle w kierunku przedmiotowym, że nie mogą wydawać rozporządzeń wykonawczych, sprzecznych z rozporządzeniami wykonawczemi władz wyższych.

Co się zaś tyczy ciał samorządnych, to prawo to, ciałom tym przysługujące, nigdy nie może być samoistnem, ponieważ do wykonywania funkcyi państwowych powołane są tylko władze państwowe, niepaństwowe zaś tylko o tyle, ile im to prawo wyraźnie przyznało. W szczególności gmina może wydawać rozporządzenia po myśli art. 5 państwowej ust. gminnej i delegacyi, zawartych w oddzielnych ordynacyach gminnych, tylko we własnym swoim zakresie działania.

O ile chodzi o sprawy policyjne, należą do kompetencyi gminy tylko sprawy policyi miejscowej, o ile nie uznano pewnych spraw za sprawy policyi krajowej, albo nie uregulowano ich ze stanowiska policyi ogólnej w drodze ustaw lub rozporządzeń władz państwowych. Drugą kategoryą spraw, w których gmina może wydawać rozporządzenia, są sprawy gospodarstwa gminnego (sprawy uczestniczenia w korzyściach gminnych, sprawy dodatków podatkowych i opłat gminnych), trzecią wreszcie kategoryą są sprawy dotyczące

przyjęcia do związku gminnego czy też udzielania prawa obywatelstwa gminnego.

Organem do wydawania rozporządzeń gminnych jest wydział gminny (rada gminna), ponieważ wydział gminny jest tym organem gminnym, który tworzy wolę gminy, podczas gdy zwierzchność gminna (naczelnik gminy) jest organem wykonawczym.

Analogicznie do prawa rozporządzeń gminnych jest też uregulowane prawo służące tak *quasi*-gminnym korporacyom publiczno-prawnym, jak osobnym oddziałom gminy miejscowej (miejscowościom, gminom podatkowym, frakcyom), wreszcie także reprezentacyom powiatowym.

Szczególnie uwagi godne są rozporządzenia, wydawane przez reprezentacyę krajową. O ile sejm krajowy uchwala pewną normę prawną w tym zamiarze, by norma ta po otrzymaniu najw. sankcyi została spełnioną i ogłoszoną w formie dla ustaw przepisanej, działa on jako czynnik ustawodawczy. Uchwały natomiast, pozbawione tego zamiaru, są aktami administracyjnymi, są przeto, o ile zachodzą także inne wymagania abstrakcyjnych norm prawnych, rozporządzeniami. Uchwała taka jest i wówczas rozporządzeniem, jeśli do jej ważności potrzeba najw. zatwierdzenia. I taka przeto uchwała nie może derogować ustawie, jest więc ważną tylko o tyle, o ile nie sprzeciwia się postanowieniom ustawy. Sejm krajowy nie jest więc tylko organem ustawodawczym, ale i administracyjnym, a działalność ta jego podpada pod orzecznictwo trybunału administracyjnego.

Normy prawne abstrakcyjne, wydane przez wydział krajowy są zawsze rozporządzeniami, bez względu na to, czy do ich ważności jest potrzebne najw. zatwierdzenie czy nie.

Rozporządzenia mogą wreszcie wydawać stowarzyszenia zawodowe, pełniące funkcye zwierzchnicze. Władza zwierzchnicza, stowarzyszeniom tym przysługująca, objawia się w ten sposób, że stowarzyszenia te są uprawnione do jednostronnego wydawania postanowień, obowiązujących członków stowarzyszenia, nawet wbrew ich woli. Mogą więc te stowarzyszenia wydawać tak zarządzenia jak i rozporządzenia w formie statutów lub uchwał specyalnych. Podmiotem uprawnionym do wydawania rozporządzeń jest albo zgromadzenie stowarzyszenia albo zgromadzenie delegatów albo też osobny wydział.

Obok delegacyi ustawowej do wydawania rozporządzeń możliwą jest także subdelegacya prawa wydawania rozporządzeń. Subdelegacyą jest mianowicie przeniesienie tego prawa na inną władzę przez władzę

prawo to posiadającą. Najważniejszą kwestyą, która się tu nasuwa, jest pytanie, czy subdelegacya jest możliwą, jeśli niema w tym względzie ani wyraźnego ani domniemanego zakazu ustawowego. Autor odpowiada na to pytanie potakująco, ponieważ w danym wypadku władza może być zdania, że, ze względu na stosunki miejscowe czy inne, cel można łatwiej osiągnąć, jeśli się weźmie do pomocy subdelegacyę. Ograniczoną jest wszakże władza w tem swojem prawie subdelegowania o tyle, że subdelegować może tylko władze sobie podrzędne, i to nie tylko dlatego, że władza ta nie może wydawać dyspozycyi dla innych władz, ale także i dlatego, że subdelegowanie każdej innej władzy połączonemby było ze zmianą kompetencyi rzeczowej.

Szczegółowe oznaczenie treści rozporządzenia jest rzeczą swobodnego ocenienia władzy, wydającej rozporządzenie, ograniczonej chyba postanowieniami ustawy. Co prawda, to swobodne uznanie winno zawsze mieć na oku interes publiczny. Natomiast jest rzeczą obojętną, czy ta treść rozporządzenia przedstawia się jako wynik interpretacyi ustawy lub wogóle przepisów prawnych już istniejących, lub też jako utworzenie nowych prawideł prawnych. Organ podrzędny jest w swem swobodnem ocenianiu ograniczony również postanowieniami organów przełożonych.

Odrębne stanowisko zajmują rozporządzenia karne. Postawienie normy i ustanowienie kary może nastąpić albo w tym samym akcie prawnym albo może się rozdzielić na dwa akty odrębne. Ze stanowiska prawa rozporządzeń należy ten ostatni wypadek rozdzielić na dwie kategorye. Albo rozporządzenie zawiera tylko przepis karny, sama zaś norma zawarta jest w ustawie, albo też ustawa zawiera przepis karny, rozporządzenie zaś oznacza normę (np. § 478 u. k. i § 51 u. przem.). Takim „blankietowym“ przepisem karnym jest rozp. min. z 30 paźd. 1857 Dz. u. p. nr. 198. Mylnie zaliczają tu natomiast rozp. ces. z 20 kwietnia 1854 Dz. u. p. nr. 96, ponieważ w rzeczywistości rozporządzenie to jest tylko przepisem zabezpieczającym wykonywanie pewnego konkretnego zarządzenia, podczas gdy kara z rozp. min. z r. 1857 może nastąpić już wskutek przekroczenia pewnej normy abstrakcyjnej.

Przy wydaniu każdego rozporządzenia należy rozróżnić trzy stadya. Pierwszem stadyum jest ustalenie treści rozporządzenia. Jest ono z reguły natury ściśle faktycznej. Niekiedy wszakże są w tym względzie przepisane pewne formy prawne, jak przedsięwzięcie faktycznych dochodzeń i przygotowań lub współudział pewnych innych organów.

Współudział ten ogranicza się wszakże tylko do postanowienia, czy pewne reguły winny otrzymać sankcyę, czy przeto projekt pewnego przepisu prawnego ma też rzeczywiście stać się takim przepisem prawnym. Od wpływania zaś na treść odróżnić ściśle należy prawo udzielania sankcyi, przysługujące tylko podmiotom, uprawnionym do wydania samego rozporządzenia. Od wpływania na treść odróżnić przeto należy współudział kilku podmiotów prawnych w udzielaniu sankcyi. Sam zaś współudział może być albo natury doradczej: wówczas koniecznem jest tylko zasięgnięcie opinii tego organu doradczego; albo też może być natury stanowczej. Tu przeto konieczną jest zgoda organu współdziałającego. Do współudziału potrzebnym jest osobny tytuł prawny. Nie wypływa zaś ten współudział czy to zezwolenie na wydanie rozporządzenia z ogólnego prawa nadzoru i kontroli. Nie zawsze wszakże udzielenie zezwolenia zależy od swobodnego ocenienia władzy. W niektórych bowiem wypadkach prawo do wydania rozporządzenia stanowi prawo podmiotowe (dotyczy to zwłaszcza ciał samorządnych) tak, że przeciw odmówieniu uprawnienia władza ta może wnieść środek prawny. Zezwolenia na wydanie rozporządzenia nie można cofnąć, ponieważ równałoby się to zniesieniu rozporządzenia, władza zaś współdziałająca nie ma prawa wyłącznej decyzyi o dalszem istnieniu rozporządzenia. Brak współudziału władzy, współdziałać mającej, stanowi istotną wadę postępowania, powoduje przeto nieważność rozporządzenia.

Drugiem stadyum w wydaniu rozporządzenia jest sankcya rozporządzenia, tj. uczynienie z projektu pozytywnej normy prawnej, innemi słowy: objaw woli organu, czyniącego rozporządzenie, że pewna reguła ma się stać przepisem prawnym. Sankcya ta odbywa się albo za pomocą podpisania rozporządzenia albo też za pomocą autentycznego skonstatowania uchwały kolegium.

Trzeciem stadyum jest ogłoszenie rozporządzenia. Jest ono warunkiem koniecznym do ważności pewnej normy prawnej. Sposób ogłaszania rozporządzeń jest wszakże tylko częściowo unormowany w prawie pozytywnem. O ile mianowicie chodzi o rozporządzenia, które wydaje cesarz lub władze centralne na podstawie ustaw państwowych, do ważności ich potrzeba ogłoszenia w dzienniku ustaw państwa. Natomiast rozporządzenia samoistne mogą być także w inny sposób ogłaszane. W szczególności ogłasza się je często w dziennikach ustaw i rozporządzeń krajowych. Rozporządzenia też władz krajowych muszą być ogłoszone w dziennikach ustaw i rozporządzeń krajowych. Co się

wreszcie tyczy rozporządzeń, wydawanych przez władze miejscowe i samorządne, to tu niema ogólnej reguły prawnej. Ogłaszanie tych rozporządzeń odbywa się więc w sposób tradycyą ustalony lub w sposób unormowany przez samą władzę, wydającą rozporządzenie. Istotną cechą ogłoszenia rozporządzenia jest wszakże jego publiczność i formalność, a w ten sposób i możność powzięcia ogólnej wiadomości. Koniecznem jest także, by łatwo można poznać organ, który wydał rozporządzenie. Podmiotem prawnym wydającym rozporządzenie nie jest wszakże ten, kto rozporządzenie ogłosił, lecz ten kto mu udzielił sankcyi.

Kiedy rozporządzenie poczyna wywierać skutki prawne, stanowi w pierwszym rzędzie sam organ, rozporządzenie to wydający. Jeśli brak w tym względzie wyraźnego postanowienia, poczyna się ta ważność, o ile chodzi o rozporządzenia ogłoszone w Dz. u. p., z 45 dniem następującym po dniu ogłoszenia; o ile chodzi o rozporządzenia ogłoszone w Dz. u. kr. z 15 dniem; w innych zaś wypadkach natychmiast.

Terytoryalny zakres działania rozporządzenia stosuje się do obszaru, na który rozporządzenie wydano. Nie rozstrzyga autor natomiast kwestyi ważności rozporządzenia w obszarach nowo przyłączonych.

Rozporządzenie formalnie ogłoszone obowiązuje wszystkie czynniki porządku prawnego, więc tak strony jak i władze; a nawet i władza, która wydała rozporządzenie, lub władza jej przełożona nie może zawiesić skutków rozporządzenia dla pewnych stron, choćby sądziła, że jest to w interesie publicznym: interesem publicznym pierwszorzędnej wagi jest bowiem sam porządek prawny. Wyjątek stanowi oczywiście wypadek przewidziany w ustawie lub w samem rozporządzeniu.

Osoby, których normy prawne w rozporządzeniach zawarte dotyczą, nie mają bezpośredniego prawa zaczepiania tychże norm, rozporządzenia dotyczą bowiem wyłącznie interesów społeczności; ale rozporządzenie może być także przesłanką pewnego konkretnego stosunku prawnego, jeśli mianowicie dane rozporządzenie ma praktyczne zastosowanie; przez zastosowanie rozporządzenia niewłaściwego lub nieprawnego może być bowiem naruszoną sfera prawna jednostki.

Zarządzenie lub rozstrzygnienie może się okazać nieważnem bądźto z tego powodu, że nie można danego stanu faktycznego podciągnąć pod rozporządzenie abstrakcyjne, lub też z tego powodu, że skutki prawne przewidziane w rozporządzeniu nie są identyczne ze skutkami prawnymi wypowiedzianymi w rozporządzeniu lub rozstrzygnieniu. Ale może też ktoś żądać zniesienia zarządzenia lub rozstrzygnienia, twierdząc, że rozporządzenie, tworzące prawną podstawę

zarządzenia lub rozstrzygnienia, jest nieważnem. I z tego jedynie powodu może jednostka zaczepić ważność rozporządzenia, może zażądać skontrolowania tej ważności. Kontrola ta polega przeto na badaniu, czy przy wydaniu rozporządzenia naruszono porządek prawny pod względem formalnym lub merytorycznym, i to w ten sposób, że naruszenie to powoduje nieważność aktu prawnego. Powodem nieważności jest niewłaściwość, istotna wada w wydaniu rozporządzenia, merytoryczna sprzeczność między ustawą a rozporządzeniem. W pewnych wypadkach może się stać powodem nieważności rozporządzenia naruszenie interesu publicznego. Jeśli mianowicie interes publiczny jest identyczny z interesem strony lub jeśli wogóle interesy strony wcale nie stoją w grze, władza zaś zmieniła swoje zdanie co do interesu publicznego, może ona uznać rozporządzenie w danym wypadku za nieważne.

Pośrednią kontrolę ważności rozporządzeń wykonywają przedewszystkiem sądy; ale nietylko sądy, bo i władze administracyjne: choć te ostatnie tylko o tyle, o ile chodzi o rozporządzenie władz podrzędnych lub równorzędnych lub rozporządzenie władz innej kategoryi. W wyższym jeszcze stopniu dotyczy to kontroli rozporządzeń władz państwowych przez władze samorządne. Wszelkie władze administracyjne są bowiem zorganizowane wedle zasady samoistności i niezawisłości odrębnych władz w ocenianiu i rozstrzyganiu kwestyi przesądzających, należących do obcej sfery działania. Ale niekiedy może badać rozporządzenie władzy przełożonej i władza podrzędna, choć, co prawda, z reguły na własne niebezpieczeństwo.

Badanie rozporządzenia jest jedynie wówczas wykluczone, jeśli w zarządzeniu lub rozstrzygnieniu chodzi tylko o interesy stron, strona zaś w sposób niedwuznaczny objawi swą wolę przyjęcia zarządzenia lub rozstrzygnienia choćby przedmiotowo bezprawnego.

Z reguły strona nie ma prawa bezpośredniego zaczepienia ważności pewnego rozporządzenia; ma ona to prawo tylko pośrednio, mianowicie wówczas, kiedy ważność rozporządzenia jest kwestyą prejudycyalną dla pewnego konkretnego wypadku. Niekiedy wszakże możliwą jest *actio popularis*, więc zaczepienie bezpośrednie, wówczas mianowicie, kiedy interes prawny identyczny jest z interesem faktycznym, np. jeśli chodzi o rozporządzenie w sprawie opłat gminnych. O ile wszakże nie zachowano terminu prekluzywnego, zaczepienie ważności rozporządzenia może nastąpić tylko ze względu na interes publiczny, nigdy zaś ze względu na interes strony. W każdym razie taka *actio popularis* jest

wyjątkiem, wszelkie więc przepisy w tym względzie należy ściśle interpretować.

Jeszcze większe znaczenie ma interes publiczny, jeśli chodzi o nadzór władz wyższych, sprawowany nad niższemi, jak i o nadzór władz państwowych w stosunku do władz samorządnych. Gdy jednak w stosunku do władz niższych może władza unieważnić rozporządzenie ze względu na to, że zdaniem tejże władzy jest ono nieodpowiedniem i niepożytecznem, to w stosunku do władz samorządnych może mieć władza na oku tylko wzgląd na prawo formalne, wzgląd na uniemożliwienie postępowania nieprawnego i nielegalnego. To prawo nadzoru może się w swych skutkach objawić albo w nieformalnem ignorowaniu rozporządzenia albo w jego kasacyi albo też w jego zmianie. W każdym razie należy mieć na uwadze że wykonywanie nadzoru nie jest czynnością sądowniczą, że przeto orzeczenie wydane z tytułu prawa nadzoru nie wyłącza ani zaczepienia ważności rozporządzenia przez stronę ani prawa kontroli ani też ponownego wykonania prawa nadzoru.

Rozporządzenie gaśnie w pierwszym rzędzie wskutek zniesienia. O zniesieniu rozporządzenia może być wszakże mowa tylko wówczas, skoro rozporządzenie prawnie istniało. Jeśli rozporządzenie istniało pod względem prawnym tylko pozornie, a stan ten został urzędownie skonstatowany, mówimy nie o zniesieniu rozporządzenia, lecz o jego kasacyi. Kasacya zachodzi wówczas mianowicie, jeśli trybunał administracyjny lub władze administracyjne w ciągu postępowania kontrolującego uznają rozporządzenie za nieważne za pomocą prawomocnego rozstrzygnienia, lub jeśli władze nadzorujące unieważniają rozporządzenie w wykonaniu swego urzędowego prawa nadzoru ze względu na jego nieprawność lub niepożyteczność.

Różnica między kasacyą a zniesieniem polega na tem, że wskutek kasacyi ożywia się napowrót stan prawny, istniejący aż do wydania skasowanego rozporządzenia, zniesienie zaś rozporządzenia nie przywraca napowrót do życia tych norm, które w swoim czasie zniosło rozporządzenie obecnie unieważnione. Kasacya nie jest wypływem prawa wydawania rozporządzeń, ale tylko represyą przeciwko temu, co nie jest rozporządzeniem. Z tego powodu może kasacya wyjść od organów, którym nie służy prawo wydawania rozporządzeń. Do kasacyi nie potrzeba też współudziału czynników powołanych do współdziałania przy wydaniu rozporządzenia.

W ostatnim rozdziale omawia wreszcie autor kilka szczególnie ważnych rodzajów rozporządzenia, jak rozporządzenia wykonawcze, roz-

porządzenia z konieczności i rozporządzenia wyjątkowe. Rozporządzenia wykonawcze są to rozporządzenia, wydane na podstawie art. 11 ust. zasadn. Zdaniem autora artykuł ten ma na oku normy prawne dotyczące zachowania się poddanych. Co się tyczy rozporządzeń z konieczności, to autor stanowczo oświadcza się za zdaniem, że są to rozporządzenia, nie zaś ustawy. Co prawda, to rozporządzenie to różni się od innych rozporządzeń tem zwłaszcza, że posiada prowizoryczną moc ustawową. Ze względu zaś na to, że jest to rozporządzenie, nie zaś ustawa, podlega jego ważność badaniu sędziowskiemu. Nie może być wszakże poddany badaniu moment konieczności.

Książka Żolgera zawiera jedną cechę bardzo wybitną. Uwzględnia i zużytkowuje w bardzo obszernej mierze judykaturę trybunałów prawa publicznego. Moment ten tem bardziej podnieść należy, że ten ogromny materyał prawny, nagromadzony w olbrzymim zbiorze Budwińskiego a po części i Hye'go, prawie zupełnie jeszcze leży odłogiem. A przecież praktyka prawa dopiero daje poznać prawdziwe jego znaczenie. Jak zapiski sądowe, zawarte w aktach grodzkich i ziemskich, są pierwszorzędnem źródłem do zbadania stosunków społecznych i prawnych dawnej Rzeczypospolitej, tak i judykatura nowoczesnych trybunałów daje prawdziwie poznać to życie nowoczesne. A i w kwestyach prawa formalnego judykatury tej lekceważyć nie należy.

Co się tyczy literatury, to autor stoi pod widocznym i bardzo silnym wpływem Bernatzika. Mniej dotyczy to Rosina i Jellinka. Z literatury francuskiej uwzględnia tylko Dejamme'a.

Otto Mayer w recenzyi tej książki w Labauda *Archiv f. oeffentliches Recht* 1899 zarzucił autorowi, mojem zdaniem słusznie, że nie uwzględnia t. zw. zarządzeń ogólnych czyli ordynacyi zakładowych. Rzeczywiście każdy przyzna, że np. regulamin wydany dla szpitala św. Łazarza w Krakowie zawiera w sobie tak pierwiastki normy ogólnej, jak i pierwiastki zarządzenia konkretnego: pierwiastki zarządzenia konkretnego ze względu na szpital jako podmiot bierny postanowienia pierwiastki normy ogólnej ze względu na chorych w zakładzie przebywających. Zarządzenia ogólne należy przeto uznać za kategoryę pośrednią między rozporządzeniami a zarządzeniami.

Myli się również autor, jeśli sądzi na str. 339, że jedynym wypadkiem gdzie zachodzi *actio popularis* wobec ważności rozporządzeń jest kwestya rozporządzeń w sprawie opłat gminnych. Wypadków takich jest dość dużo w prawie nowożytnem. Zachodzą bowiem zawsze wtedy, gdy chodzi o naruszenie interesów faktycznych, na po-

rządku prawnym opartych. Oczywiście, że jest koniecznem zajście jakiegoś związku między naruszeniem interesu a zaczepieniem ważności rozporządzenia [1].

Nie mogę się również zgodzić z autorem, który sądzi, że wyrażenie § 365 u. c. o „ustawie“ dotyczy normy prawnej w ogólności, więc także i rozporządzenia, że przeto wywłaszczenie może nastąpić nietylko na podstawie ustawy, ale i na podstawie rozporządzenia, a to dlatego, że u. c. została wydaną w czasach absolutnych, w czasach absolutnych zaś nie znano różnicy między ustawą a rozporządzeniem. Pogląd ten, stojący mimo pewne różnice pod widocznym wpływem judykatury trybunału administracyjnego (Orz. z 27 czerwca 1889 Budw. Nr. 4774 i z 27 października 1893 Budw. Nr. 7480), nie uwzględnia wszakże późniejszego rozwoju ustawodawstwa austryackiego, mianowicie postanowienia art. V. ust. zasadn. o powszechnych prawach obywateli. I tu bowiem mowa o „ustawie“ („Wywłaszczenie wbrew woli właściciela może mieć miejsce tylko w wypadkach i w sposobie ustawą określonych“), a żadnej chyba nie powinno tu już ulegać wątpliwości, że wyraz „ustawa“ nie oznacza normy prawnej wogóle, lecz ustawę w znaczeniu formalnem.

Dr. Zygmunt Gargas.

Maikäfer-Komödie. *J. V. Widmann.* Frauenfeld. Verlag von J. Huber. (Str. VIII, 212).

Tytuł powyższego dzieła „Komedya chrząszczy“ z pewnością zadziwi czytelnika. Wszedł tu autor, który chętnie zajmuje się zagadnieniami filozoficznemi, na pole poezyi alegorycznej, ale gdy inni przedstawiali w swych alegoryach i bajkach lwy, lisy, osły i t. d., Widmann wprowadza do poezyi chrząszcze. Czuł dobrze, że wybór ten zadziwi wielu: *Maikäfer? — Kein Verständiger kann sie lieben und hassen muss sie, wen das Grün entzückt.*

Zbliża się wiosna; przez kilka lat przygotowywały się w głębiach ziemi legiony chrząszczy do opuszczenia swych kryjówek i wyglądnięcia na świat, o którym pewne, nader ciekawe, a tajemnicze dochodziły ich czasami wiadomości. Niektóre o wszystkiem wyrażają się sceptycznie, ale ich nikt nie słucha. Życie na świecie podoba się chrząszczom, tak wiele przecież tu kwiatów, tyle wonnych liści, tak roz-

[1] Por. o tem moją książkę p. t. „Handel obnośny a państwo“. Kraków 1900, str. 77.

kosznie grzeje słońce. Ale niezadługo spadają deszcze i ustać nie chcą, chrząszcze otrętwiałe z zimna tysiącami giną, ptaki na zabój za nimi gonią i pożerają je, a wreszcie człowiek, widząc bezlistne szkielety drzew, wypowiada im walkę na śmierć i życie. Z całej tak licznej armii pozostał jedynie król z kilkoma towarzyszami, ale i tych chwyta pacholę, przebija szpilkami, robi wóz z kwiatów tulipanu i zaprzęga do pojazdu. Chrząszcze uciekają wprawdzie, ale zaród śmierci noszą już w sobie — giną. Wszystkie nadzieje szczęścia rozwiane, lecz choć z zarodkiem śmierci na świat ten przychodzą, warto jednak żyć, bo pięknie na świecie.

Widmann obrał dla swego poematu formę dramatyczną. Chodziło mu o odpowiedź na pytanie, po co jesteśmy stworzeni, po co cierpimy tyle sami, dręczymy przytem innych, a wreszcie przechodzimy bez śladu. Piękna, niewyczerpana nigdy przyroda nie potrafi nas uszczęśliwić, do szczęścia przyłącza się zawsze dużo goryczy i piołunu; jak życie chrząszczy było narażone na tyle bądź to koniecznych, bądź też przypadkowych niebezpieczeństw, tak i życie nasze jest tylko nierozumną nadzieją. Dążymy do swobodniejszego, pełnego szczęścia bez cierpień w życiu przyszłem, ale widząc, że znaleźć go nie możemy, i rozczarowani tą niemożnością, zwracamy się do rozkoszy zmysłów, trwonimy zdrowie i życie, i przechodzimy wreszcie bez śladu, ulegając chorobie lub też ślepemu losowi.

Taką jest, jeśli się nie mylimy, przewodnia myśl poematu. Myśl fałszywa, bo oparta na czysto negatywnych wynikach błędnej i destruktywnej filozofii, widzącej w człowieku istotę żyjącą tylko dla dzisiaj i przemijającą bez śladu. Dlatego też niewiele pocieszą słowa umierającego króla:

Blüht, künftige Geschlechter! blüht wie wir,
Und trägt wie wir die Doppelfrucht des Lebens,
Die süsse Lust und all das bitt're Leid.

Nie pocieszą, boć wszystko

Ein Nichts, ein hingemartertes Geschöpf,
Wie wir es alle sind.

Ks. Wiktor Wiecki.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

KOŚCIÓŁ WE FRANCYI.

Każdego katolika zająć może pod niejednym względem widok zakonnego duchowieństwa, gnębionego obecnie przez ustawę prześladowczą we Francyi. Co tam wolnomyślni prześladowcy dokazują dziś, to samo spaść u nas może na Kościół z biegiem lat, chociaż podobno nie nastąpi natychmiast. Na razie stanowisko Kościoła względem społeczeństwa polskiego przedstawia cichy obraz zgody i wspólnej pracy biskupów z wiernymi. Obecny jednak stan spokoju nie powinien nas usypiać nadzieją, że liczyć jeszcze będziemy długie lata bez niebezpieczeństw i burzy. Sprzysiężone przeciw Kościołowi roty zapamiętale pędzą naprzód i z uciechą depcą nogami prawa dawno uznane i względy najbardziej ludzkie.

I prawie możnaby pragnąć, aby ta zawierucha nie długo nas omijała i aby wśród przeprawy z wrogami Kościoła duch u nas czemprędzej rósł tak potężnie, jak zwykle sił nabiera w społeczeństwie wstrząśniętem walką wyznaniową, jak mężniał w Niemczech przed ćwiercią wieku, jak występuje w żywym blasku obecnie we Francyi.

Kościół francuski nie truchleje bynajmniej, wezwany do walki przez zastęp niedowiarków, stojących u steru władzy. Le-

dwo ujrzał ciśniętą sobie rękawicę, zaraz usłyszał ze Skały Piotrowej ojcowską zachętę do walki: słowa papieskie zabrzmiały chlubną pobudką do dalszych czynów rycerskich dla tej garstki bohaterów, co dotąd łamali potęgę niewiary we Francyi i przez to ściągnęli na zakony cios prześladowczy; głos apostolski wlewa nadto otuchę w serca pospolitej miary, które nie czuły w sobie podniety do czynów ponad zwyczaj powszedni i w dobrobycie nie tęskniły do drogi krzyżowej.

List papieski zwrócił na siebie uwagę całej prasy w Paryżu. Nietylko dziennikarstwo katolickie, ale wszystkie pisma, niewyzute z popędów szlachetnych, uchyliły czoła przed mową papieża i podziwiały w nim moc ducha niepospolitą. Między innemi *l'Univers* pisał:

„W liście papieskim panuje ton dziwnie podniosły, bolesny a pogodny zarazem, zdolny poruszyć i chwycić za serce. Nie przypuszczamy, aby niedowiarek najbardziej zaślepiony mógł obojętnie czytać te głoski. I pan Waldeck-Rousseau, pomimo sceptycyzmu, kiedy czytał słowa papieskie, niewątpliwie uczuł gorycz wstydu zaprawioną wyrzutem sumienia...

„... Zdumiony niedowiarek czyta słowa pociechy, którą papież niesie przyszłym wygnańcom z ziemi ojczystej. Wesoło i radośnie idźcie jeść twardy chleb na tułactwie za sprawę Kościoła, wesoło i radośnie pędźcie żywot w ucisku, który ocuci ducha w oziębłych i uświęci Kościół. Dziś prześladowcy was wyzuwają z mienia i praw obywatelskich: jutro Kościół błyśnie nową potęgą, i zakwitnie na nowo postaciami świętych... I na te słowa rośnie duch w zakonnikach, i idą skazańcy na niepewne jutro — weseli i uradowani".

Tu zwraca katolicki pisarz mowę do prześladowców i zapytuje:

„Nie rozumiesz tego ducha, ślepa niewiaro? Zdziwiona spoglądasz na tych wygnańców, co wkrótce bez dachu nad głową, bez środków do życia, biedne włóczęgi bez ojczyzny, nie pałając gniewem, nie miotając haseł rozpaczy, ochoczo chwytają za kij podróżny i szepcą jedni drugim rozradowani: Dla Kościoła z nas pożytek! Wszak to szaleńcy w twoich oczach, niewiaro? Niezawodnie: przed oczyma masz to szaleństwo, które pokonało świat i teraz z tobą występuje do boju,— nowego żądne zwycięstwa".

List papieski, co zdoła bohaterstwem natchnąć prześladowanych i wzbudzić postacie świętych między oziębłymi, nie znalazł dla siebie dość miejsca w polskich dziennikach, które tylko jego osnowę streściły. Wielu czytelników *Przeglądu* niewątpliwie pragnie poznać dokładniej cały ów list, przejęty duchem nadprzyrodzonym: dla nich wypada tu umieścić wierny przekład urzędowego tekstu, przesłanego nam z Rzymu.

NAJDROŻSZYM SYNOM
PRZEŁOŻONYM ZAKONÓW I ZAKONNYCH ZGROMADZEŃ
LEON XIII PAPIEŻ.

Drodzy Synowie!

Pozdrowienie i błogosławieństwo apostolskie!

Po wszystkie czasy rodziny zakonne, tak wśród dobroczynnego pokoju, zwłaszcza zaś w dniach ciężkiego doświadczenia, jakie i teraz przebywacie, doznawały od tej Stolicy Apostolskiej dowodów troski serdecznej i przezornej.

Bolejemy głęboko nad ciężkiemi napaściami, zwróconemi świeżo w kilku krajach przeciwko zakonom i zgromadzeniom, podległym waszemu zwierzchnictwu. Boleje nad tem Kościół święty, bo czuje się zarazem i do żywego draśniętym w prawach swoich i niebezpiecznie skrępowanym w pracy, której swobodny rozwój wymaga współudziału duchowieństwa tak świeckiego jak zakonnego; w samej rzeczy, kto się tyka księży albo zakonów, tyka się źrenicy jego oka. Wiadomo wam, że z naszej strony usiłowaliśmy wszystkimi środkami odwrócić od was niegodziwe prześladowanie i oszczędzić tym krajom nieszczęść wielkich a niezasłużonych. Dlatego przy różnych sposobnościach z całą powagą orędowaliśmy za waszą sprawą w imię religii, sprawiedliwości i oświaty. Zawiodły nas jednak nadzieje, że wstawiennictwo Nasze odniesie skutek. Oto właśnie tymi dniami naczelne warstwy narodu, szczególnie bogatego w powołania zakonne, przez Nas zawsze otaczanego osobliwszą opieką, zatwierdziły i wydały ustawę prześladowczą, z powodu której podnosiliśmy głos temu kilka miesięcy, z nadzieją, że zażegnamy niebezpieczeństwo.

Pamiętni, dokąd i święty obowiązek nas wzywa i drogę nam torują przykłady sławnych poprzedników, potępiamy tę ustawę głośno, jako przeciwną wolności przyrodzonej i ewangelicznej, uświęconej przez zwyczaj powszechny, wolności uprawniającej do wiązania się w towarzystwa, aby prowadzić wspólny żywot, nietylko uczciwy z zasady, ale wybitnie święty. Ustawa ta nadto godzi w stanowcze prawo, na którem oparty Kościół zakłada społeczeństwa zakonne, zależne wyłącznie od władzy kościelnej, Kościołowi do pomocy przeznaczone w pracy według jego posłannictwa Boskiego, a świadczące niezmierne dobrodziejstwa na polu spraw duchownych i świeckich, temu zwłaszcza narodowi arcyszlachetnemu.

I obecnie czujemy wewnętrzny popęd, aby otworzyć przed wami ojcowskie serce, i pragniemy wam sprawić i od was doznać nawzajem nieco świętej pociechy, a zarazem udzielić wam stosownych wskazówek, abyście jeszcze wytrwalej podczas doświadczenia zbierali obfite zasługi przed Bogiem i przed ludźmi.

Wśród licznych pobudek do męstwa, jakie płyną z wiary, chowajcie w pamięci, drodzy synowie, to słowo uroczyste Jezusa Chrystusa: „Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć będą i prześladować was będą i mówić wszystko złe przeciwko wam, kłamiąc dla mnie“ (Mat. V, 11). Zarzuty, potwarze, udręczenia ogarną was „dla mnie“, a wtedy „błogosławieni jesteście“. Darmo mnożą przeciwko wam pozory zarzutów, aby was poniżyć: smutna rzeczywistość mimo to na wierzch wypłynie. Prawdziwa przyczyna, dla której was prześladują, tkwi w tem, że świat śmiertelnie nienawidzi „Państwa Bożego“, którem jest Kościół Powszechny. W to właściwie mierzą, aby wypędzić, jeżeli to możliwe, ze społeczeństwa dzieło Chrystusa Odnowiciela, które tak dobroczynnie i zbawiennie wpływa na wszelakie stosunki. Nikomu nie tajno, że zakony męskie i żeńskie tworzą doborowy zastęp w Państwie Bożem; one to najwybitniej przedstawiają, na czem polega duch Jezusowy i co znaczy Jego umartwienie; one to przez żywot według rad ewangelicznych dążą do cnoty chrześcijańskiej, wyniesionej na szczyt doskonałości; one to tyloma sposobami popierają potężnie działalność Ko-

ścioła. Stąd nic dziwnego, że jak kiedy indziej innymi niegodziwymi środkami tak i dzisiaj powstaje przeciw zakonom „królestwo świata“, zwłaszcza powstają ludzie przez zbrodnicze przysięgi ściślej związani i stosunkiem niewoli mocniej złączeni z „księciem tego świata“.

Jasna to rzecz, co myślą, kiedy rozpraszają i znoszą zakony: uważają, że zręczniej po tym zamachu pchną według zakreślonego z góry zamiaru narody chrześcijańskie na drogę odstępstwa i rozbratu z Jezusem Chrystusem. A jeżeli tak stoi wasza sprawa, to można wam szczerą prawdę powiedzieć słowami: „błogosławieni jesteście“, bo nie za co innego, tylko za ten tryb żywota was nienawidzą i prześladują, który z przywiązania do Chrystusa swobodnie obraliście.

Gdybyście wyznawali zasady świata i szli za jego zachciankami, świat zostawiłby was w spokoju, a nawet obsypałby łaskami. „Byście byli ze świata, światby co jego miłował“ (Jan XV, 19), ale, iż kroczycie przeciwnemi z nim drogami, grozi wam niebezpieczeństwo i walka. „Przetoż was świat nienawidzi“ (tamże): Chrystus sam wam to powiedział. Dlatego też spogląda na was z tem większem upodobaniem i szczególniejszą miłością, iż widzi w was Swoje podobieństwo, kiedy cierpicie dla sprawiedliwości. „Ale się weselcie uczestnikami będąc Chrystusowych ucisków“ (1 P. IV, 13). Wzdychajcie do męstwa owych bohaterów, którzy „szli od oblicznośći rady radując się, iż się stali godnymi dla imienia Jezusowego zelżywość cierpieć“ (Dz. V, 41).

Z tą chwałą wynikającą „ze świadectwa sumienia waszego“ (11 Kor. I, 12) łączą się bez waszej o to troski błogosławieństwa wszystkich ludzi uczciwych. Wszyscy szczerzy miłośnicy pokoju i dobrobytu w kraju utrzymują, że niema zacniejszych, użyteczniejszych i pełniejszych poświęcenia dla ojczyzny obywateli, nad członków zgromadzeń zakonnych, i drżą na myśl, że, was tracąc, stracą mnóstwo drogocennych dóbr, związanych z waszym u nich pobytem. Świadczą o tem rzesze nędzarzy, opuszczonych, nieszczęśliwych, co korzystają z zakładów przeróżnych, założonych przez was i prowadzonych w duchu dziwnie

roztropnym i pełnym miłości. Świadczą o tem ojcowie rodzin, którzy wam powierzyli synów i liczyli dotąd na was, aby im zapewnić wychowanie moralne i religijne, to wychowanie zdrowe, silne i wydatne plonem gruntownej cnoty, potrzebne – jeżeli kiedy — to najpewniej w naszej dobie. Świadczą o tem księża, którzy w was znajdują przy ważnej a uciążliwej posłudze swojej znakomitą pomoc. Świadczą o tem ludzie z wszelkich warstw, którzy w tej dobie przewrotnej znajdują pożyteczne wskazówki i zachętę do dobrego w waszych radach, popartych przykładem nieskalanego żywota. Świadczą o tem zwłaszcza Pasterze kościelni, którzy was zaszczycają zaufaniem, uważają za doświadczonych wychowawców młodzieży duchownej i cenią jako prawdziwych „miłośników braciej i ludu“ (11 Mach. XV, 14), pośredników u Boskiego miłosierdzia przez modlitwę i pokutę ustawiczną.

Ale nikt nie zdoła ocenić wybitnych zasług zgromadzeń zakonnych sprawiedliwiej od Nas, co z wyżyn tej Stolicy mamy czuwać nad potrzebami Kościoła Powszechnego.

Już wspomnieliśmy o nich szczegółowo w innych pismach. Na dziś niech wystarczy pochwalić ich zapał, z jakim słuchają nietylko przepisów, ale najdrobniejszych życzeń namiestnika Chrystusowego, kiedy przedsiębiorą wedle jego wskazówek wszelkie dzieła z pożytkiem dla chrześcijaństwa i społeczeństwa, kiedy dążą na wybrzeża najmniej gościnne, kiedy wyzywają w zapasy wszystkie cierpienia i śmierć samą, jak tego chwalebnie dowodzi nieszczupłe ich grono w czasie ostatniego przewrotu w Chinach.

Jeżeli między wspomnieniami z długiego urzędowania na najwyższem biskupstwie do najdroższych to liczymy, że powagą tego urzędu wynieśliśmy wielu sług Bożych do czci u ołtarzy, to pamięć o tych świętych tem milej Nas cieszy, iż między nimi przeważna część należy do rodzin zakonnych: jedni jako założyciele, inni jako zwykli członkowie.

Na pociechę waszą i o tem wspomnieć chcemy, że między światowymi ludźmi, odznaczonymi stanowiskiem i obznajmionymi z potrzebami społecznemi, nie brak umysłów prawych

i bezstronnych, które nie tają się z pochwałą dla waszych dzieł, z obroną waszych nietykalnych praw obywatelskich i jeszcze mniej tykalnej wolności waszej jako katolików. Zaiste wystarczy nie być zaślepionym namiętnością, aby widzieć, ile zdradza to braku i przezorności i szlachetnych uczuć — gdy podnosi się rękę na ludzi, którzy bez żadnej nadziei i żadnych próśb o cokolwiek dla siebie, wyczerpują ostatnie siły na usługę społeczeństwa. Wystarczy tylko przypatrzyć się im jak gorliwie przykładają się, aby rozwinąć w dzieciach ludu zawiązki dobrych popędów wrodzonych, które inaczej przytłumione marnieją ze szkodą dla tych dzieci i dla społeczeństwa, — cenne te zawiązki pielęgnowane cierpliwie i pracowicie przez zakonników wspartych łaską Boską, chronione przez nich przed skazą zabójczą i rozwijane aż po lata dojrzałe. Tak to pod wpływem zakonów roztaczają swój blask, niby wspaniałe owoce: miłość prawdy rzetelna, prawość, poczucie obowiązku, hart duszy, gotowość do poświęceń. A cóż nad to stosowniej zabezpieczy w państwie ład i dobrobyt?

Przecie, drodzy synowie, skoro złośliwy świat tak was nienawidzi, że w waszych osobach depce prawa najświętsze, a przy tem twierdzi, że dokonywa dzieła pożytecznego i chwalebnego, i mniema, że przez to „czyni posługę Bogu“ (Jan XVI 2): wielbijcie z ufną pokorą zamiary Boże. Jeżeli Bóg dopuszcza, że czasem prawo upada pod przemocą, pozwala na to nie bez głębszych widoków na większe dobra. Nadto zwykł Pan Bóg zawsze skutecznie i niespodziewaną drogą tym przychodzić w pomoc, którzy dla Niego cierpią i otuchę w Nim pokładają.

Bóg, jeżeli stawia przeszkody i przeciwieństwa na drodze, którą zakonnicy do doskonałości dążą z obowiązku swojego stanu, to zamierza doświadczyć ich cnoty i wzmocnić ją, a osobliwie pokrzepić i na nowo zahartować ich dusze, narażone na upadek sił w długim spokoju.

Usiłujcie tedy odpowiadać tym ojcowskim zamiarom Bożym. Oddajcie się z podwojonym zapałem na życie z wiary, modlitwy i dobrych uczynków. Sprawcie, niech panuje między

wami karność zakonna, braterska zgoda serc, pokorne i pośpieszne posłuszeństwo, surowe zaparcie się siebie i pobożny zapał dla chwały Bożej. Niech pośród was wzniosła myśl, postanowienie wielkoduszne, niestrudzony zapał dla chwały Bożej rozszerza Jego królestwo! Skoro przewrotne czasy grożą wam albo już w was uderzają zgubną ustawą, która was rozprószy po świecie, uznacie sami, jaki obowiązek wśród tych okoliczności spada na was: mianowicie żebyście bronili gorliwiej niż kiedykolwiek ducha zakonnego, aby zetknięty ze światem nie wietrzał, żebyście stali gotowi i uzbrojeni na wszelką przygodę.

W tej mierze przypominamy wam, że Stolica Apostolska wydała rozliczne przepisy dla zakonników, a inne wyszły od samych przełożonych. Trzeba w całej mocy zachować i jedne i drugie, i wypełniać je sumiennie.

A teraz, członkowie zakonów powstałych w przeróżnych stuleciach, nowi i dawni, wznieście oczy ku waszym sławnym zakonodawcom! Ich zasady do was mówią, ich ustawy was prowadzą, ich wzory was poprzedzają! Ich mowy słuchać, ich śladem iść, ich wzorem żyć: niech to wam stanie za najsłodszy, za najświętszy obowiązek! Takto postąpiła wielka liczba przodków waszych w czasach najgorszych. Takto przekazali wam ową bogatą spuściznę niezwyciężonego męstwa i szczytnych cnót. Okażcie się godnymi takich ojców i takiej braci, abyście mogli wszyscy ze słuszną dumą powiedzieć: „Otośmy synami i bracią świętych“. Takto osiągniecie największe korzyści dla siebie samych, dla Kościoła i społeczeństwa. Usiłując dopiąć tego stopnia świętości, do którego Bóg was wezwał, spełnicie nad sobą zamiary Opatrzności i wysłużycie sobie obiecaną nagrodę nadwzwyż obfitą. Kościół, ta czuła matka, co obsypała łaskami wasze ustawy, zyska od was w zamian współudział, skuteczniejszy niż kiedykolwiek, w pracy na posłannictwie pokoju i zbawienia. Pokój i zbawienie: oto dwie natarczywe potrzeby naszego społeczeństwa, podkopanego przez tyle przyczyn, dla których gnije i słabnie. Aby je wstrząsnąć, aby je dźwignąć, aby je nawrócić skruszone do stóp tego Zbawcy miłosiernego,

trzeba mężów o cnocie wyższej, o słowie żywem, o sercu apostolskiem, a obdarzonych przytem potęgą pośredników, która ściąga z wysocza łaski niebieskie. Staniecie w rzędzie tych mężów, nie wątpimy o tem, a tak zostaniecie dobroczyńcami społeczeństwa najpożądańszymi i najznakomitszymi.

Drodzy Synowie! Miłość Pana natchnęła Nas słowem już ostatniem, aby was utwierdzić w uczuciach, jakie żywicie względem wszystkich, co napastują wasze ustawy i chcą tamować waszą pracę.

O ile sumienie wam każe zachować niewzruszoną i godną postawę, o tyle wasz stan zakonny każe wam we wszystkiem postępować łagodnie i pobłażliwie, gdyż w zakonniku przedewszystkiem powinna jaśnieć ta doskonała miłość, która dozwala do siebie dostąpić współczuciu, a która nie zna gniewu. Pewno, że cierpi w was człowiek, kiedy wam tak płacą niewdzięcznicy i gardzą wami, ale drodzy synowie, niech wiara was krzepi swoimi wyrokami! Wiara wam przypomina naukę szczytną: „zwyciężajcie złe w dobrem“ (Rz. XII 21). Wiara wam stawia przed oczy niezrównanie wspaniałomyślnego Apostoła: „Złorzeczą nam a błogosławimy, prześladowanie cierpimy a znosimy; bluźnią nas a modlimy się“ (I Kor. IV 12, 13). Wiara nadewszystko wzywa nas do błagalnych słów Największego Dobroczyńcy rodu ludzkiego, Jezusa zawieszonego na krzyżu: „Ojcze przebacz im!“

A zatem, drodzy synowie, „zmacniajcie się w Panu“ (Ef. VI, 10). Z wami namiestnik Jezusa Chrystusa, z wami cały świat katolicki, który przykuł do was wzrok przywiązany, wdzięczny i pełen czci. Z wysocza niebios wasi chwalebni ojcowie, wasi chwalebni bracia dodają wam otuchy. Naczelny wasz wódz Jezus Chrystus opasuje was swoją mocą i okrywa potęgą.

Synowie najmilsi! zwróćcie się do Jego Boskiego Serca z otuchą synowską i żarliwą modlitwą. Tam znajdziecie siłę potrzebną, aby poskromić najwścieklejszą złość świata. Brzmi w biegu stuleci jedno słowo, zawsze pełne pociechy: „Ufajcie, jam zwyciężył świat“ (Jan XVI 33).

Znajdźcie też pocieszenie w błogosławieństwie, którego

w tym dniu, poświęconym pamięci książąt apostolskich, udzielamy w całej pełni każdemu z was i wszystkim i każdej z osobna, najdroższej Nam w Panu, rodzinie waszej zakonnej.

Dan w Rzymie u św. Piotra 29-go czerwca roku 1901-go, papiestwa r. 24-go.

Leon XIII Papież.

Czytając powyższy list papieski, trudno nie powiedzieć sobie, że istotnie ideał świętości i bohaterstwa stawia papież zakonnikom.

Znając Francyę z ostatnich lat, wolno wyznać, że ten naród obumarły potrzebuje świętych, aby odżyć, i długo już czeka na nadziemskie postacie bohaterów bożych, którzyby w dobie przekwitu ducha, wśród zjałowiałych umysłów i wystygłych serc obudzili głos z nieba i ocucili Francyę. Ogół narodu tam już od lat oddychał powietrzem ciężkiem, w którem duch usypia. Widok tego narodu wykarmionego dobrobytem wyrwał z ust znanemu pisarzowi polskiemu dosadne słowa: *La France périra dans sa graisse*[1]. Nawet na polu chwały doczesnej do walecznych czynów Francya już nie dostarcza ochotników. Wielu zapytywanych niedawno, co myślą o odwecie za Alzacyę, odpowiadało z dobrodusznym śmiechem: Niech już tam Prusak zdrów śpi bez obawy! Nam teraz u siebie siedzieć dobrze, nie w głowie nam żadne odwety! Tak samo dobrodusznie dali sobie Francuzi z pod rąk chwycić Egipt, a po rzezi chrześcijan w Tonkinie długo czekali z wyprawą, aż zdobyli łatwe wawrzyny; rozumie się, że zaraz pochowali palce, by ich nie poparzyć zanadto. Tak samo w Chinach prędko dali za wygranę dawnym porywom do rycerskiej opieki nad chrześcijaństwem na Wschodzie. Ostatecznie i na polu walki dla obrony wiary u siebie w domu, wobec bezbożnego rządu, zabrakło najstarszej córze Kościoła zapału do czynów bohaterskich. Nawet szczerze przywiązani do Kościoła i bardzo zacni Francuzi, ale zanadto wygodni, tylko plecami zżymali się na zarzut, że z tylu milionami katolików nie umieją strącić jarzma szajki wolnomularskiej. Czegóż czekają

[1] Ze swoją tuszą przepadnie ta tłusta Francya.

bezczynnie? Na pytanie odpowiadali swobodnie: cóż robić? Rząd za opór gotówby grzywnami nas okładać i wsadzić do wieży, a takie przygody nikomu nie pachną.

Skoro raz sobie powiedzą wyznawcy prawdy, że w jej obronie nie pachną im grzywny i wieża, to nie dziwota, że wolnomularstwo pozwala sobie we Francyi na coraz jaskrawsze wybryki. Codzień dokuczliwiej rząd kłuł szpilkami sumienia katolickie i ośmielony nieczułym ich spokojem, czy niedołęstwem, zaniechał wszelkich względów, w ostatnich zaś tygodniach stanął otwarcie pod chorągwią wojny przeciw Chrystusowi. Niedawno *Gaulois* doniósł, że minister zabronił wojskowym nietylko w mundurze, ale nawet w cywilnym ubiorze brać udział w śpiewie i muzyce kościelnej, a oparł swój zakaz wyraźnie na tej przyczynie, iż potrzeba odchrześcijanić armię francuską.

Niżsi urzędnicy usiłują całemu krajowi odebrać zewnętrzne pozory chrześcijańskie. Mieszkańcy z Saint-Servan postanowili podczas procesyi Bożego Ciała wywiesić z okien chorągwie narodowe z godłami religijnemi. Uwiadomiony o tem podprefekt w Saint-Malo nie uznał za właściwe donieść drogą urzędową miejscowemu merowi, p. Demalvilain, czy uważa za stosowny ten zamiar mieszkańców, tylko poufnie przez komisarza policyi wydał rozporządzenie, by żadne godła, prócz czysto republikańskich, nie raziły oka wolnomularzy na ulicach Saint-Servan.

Taki rozkaz, poufnie dany, zamierzał chyba wywołać w ostatniej chwili zatarg między policyą a mieszkańcami, nie uwiadomionymi zawczasu urzędową drogą, że widok godeł katolickich na ulicach francuskich słusznie kogo urazi. Z powodu tego zatargu mógł łatwo podprefekt zabronić procesyi w Saint-Servan jak inni urzędnicy postąpili nieraz w swoich okręgach. Aby zapobiedz możliwym następstwom, p. Demalvilain kazał rozlepić po ulicach przestrogę o woli podprefekta, którą poprzedził wstępem, że „pan mer z Saint-Servan uznaje za swój obowiązek uwiadomić podwładnych urzędników, iż pan podprefekt z Saint-Malo rozkazał wprost panu komisarzowi policyi wykonać ściśle przepis następny“ i t. d.

W ten sposób mieszkańcy zawczasu przestrzeżeni unikali

niebezpieczeństwa i bez żadnych zamieszek odbyli procesyę. Oczywiście rządowe czynniki ze zgrozą usłyszały, że w niezamąconej wodzie nie mogą nic złowić: więc pan Demalvilain dostał od prefekta z Ille-et-Vilaine pismo, mocą którego został na urzędzie zasuspendowany przez miesiąc, a to z powodu, iż „ogłosił pismo przełożonego poprzedzone uwagą nie na miejscu".

Lepiej odgadli rządową myśl i posłużyli jego zamiarom trzej urwisze, którzy 16-go podczas procesyi w Firminy wywołali zamieszkę przez śpiewy bezecne. Aby nie dopuścić do podobnych nadal wypadków, mer miejscowy zakazał odtąd we Firminy odbywać poza kościołem procesye i nabożeństwa, których widok razi urwiszów. Oczywiście bezecni śpiewacy nie usłyszeli słowa nagany za zakłócenie nabożeństwa. Również na bohatera wyszedł młody Vandesype, żołnierz 147-go pułku piechoty, który, wbrew wyraźnej ostatniej woli zmarłego ojca, nie chciał zezwolić na chrześcijański pogrzeb. Rodzina oburzona obstawała przy ostatniej woli nieboszczyka, czem rozsierdzony bezwyznaniowiec wywołał przy trumnie ze zwłokami nikczemną burdę. Uwiadomiony pułkownik o wybryku, kazał żołnierza za niecną burdę na dwa tygodnie zatrzymać w koszarach. Masoni wytoczyli wtedy przeciw pułkownikowi sporą część swojego arsenału bajek i niegodziwych skarg. Minister André warchoła-żołnierza z kaźni wypuścić kazał a zamknąć pułkownika. Różne ajencye telegraficzne rozniosły sprawę w bajecznych barwach po Europie, aby wyśpiewać dytyramb na cześć żołnierza, a na hańbę barbarzyńskiemu pułkownikowi, który nibyto na 50 dni więzienia skazał żołnierza za szlachetny protest przeciw natrętnemu duchowieństwu z jego niepożądanemi ceremoniami nad zwłokami nieboszczyka.

Z wypadków podobnych możnaby utkać długą powieść, gdyby nie wystarczyło streścić sprawy rzutem oka na całe tło niewoli, jaką znoszą pod rządem pana Waldeck-Rousseau tysiące żołnierzy i oficerów, marynarzy i urzędników wszelkich stopni, którzy trwają wiernie przy obowiązkach katolickich. Rząd zna doskonale, jak świadczy *l'Univers*, wszystkich podwładnych któregobądź ministeryum ze strony ich praktyk reli-

gijnych: posiada spis oficerów, którzy na mszę chodzą co niedzielę; wie, którzy żołnierze bywają w kościele z własnego nabożeństwa, a którzy ustępują prośbom pobożnej żony, którzy urzędnicy przez cały czas mszy stoją, którzy klękają na podniesienie, którzy nauczyciele gimnazyalni i ludowi śmiało bluźnią przeciw wierze a którzy ją tylko zbywają cichą pogardą. I owoce tej pogardy cichej wydają także młodzież miłą rządowi: dzieci wyrastają przekonane, że, jak mitologiczne baśnie o Zeusie albo Minerwie nie zasługują na uwagę rozumnych dziś ludzi, tak samo przeszedł czas wspominać o Bogu chrześcijańskim i Jego Świętych: niedorosłe dzieci, dziewczątka niezdolne jeszcze dobrze wymawiać bluźnierstw, kpią ze sutanny po drogach wiejskich, albo do księży podbiegają z szyderskim ukłonem i seplenią: *Ze ne serai zamais sotte pour faire ma première communion* [1]. I kiedy coraz mniej wolno odbywać obchody z godłami wiary na chorągwiach, równocześnie rośnie liczba obchodów, odbywanych przez przeróżne związki wolnomularskie z godłami i chorągwiami, pokrywanemi ohydnem bluźnierstwem... I naród katolicki pytany, skądże pomocy czeka z założonemi rękami, odpowiada swobodnie: Co robić? Grzywny i wieża nikomu nie pachną.

Wobec takich stosunków łatwoby można stracić ostatni promyk nadziei co do powrotu żywotnego ducha chrześcijańskiego do obumarłej Francyi. Ale Leon XIII zna niespożytą moc Kościoła.

Ks. K. Czaykowski.

Nowe drogi.

Jeden z głównych przywódców t. zw. niezależnych w Ameryce, ks. Hodur, wydał niedawno krótką historyę „Wolnego Kościoła Polskiego“, do której dołączył własne wyznanie wiary i główne punkta swojego systemu filozoficzno-teologicznego. Książeczka księdza

[1] Nie głupia ja, żebym szła do pierwszej komunii.

Hodura[1] stanowi jakby ewangelię nowego kościoła narodowego, który pragną założyć wśród Polaków pewni upadli księża amerykańscy. Dla nas stanowi ona najlepsze źródło, z którego możemy poznać, na jakich to podstawach opiera się ów narodowy kościół wolny i jakie jest wyznanie wiary jego apostołów.

Nowe drogi, na które ks. Hodur pragnie sprowadzić swych ziomków, są to zwykłe drogi wszystkich odszczepieńców od Kościoła katolickiego. Zerwać z Rzymem, nie uznać biskupa rzymskiego za głowę Kościoła Chrystusowego — to jest droga, na którą wchodzi każda herezya, każde odszczepieństwo. Warto przypatrzyć się wchodzeniu na nią nowego, tym razem polskiego, odszczepieństwa.

Zaczyna ks. Hodur swoją ewangelię od napaści na naród polski za to, że dotychczas wiernym był i uległym Stolicy Apostolskiej. Uderza wprost na tę uległość, wyśmiewa ją i wyszydza. Żeby łatwiej skutek zamierzony osiągnąć, nie waha się używać kłamstw i potwarzy. Nie szczęści mu się na tej drodze. Widzimy to np. w zdaniu, że „Polska, przed rozbiorami i po rozbiorach, nawet i w roku 1831 po klątwie Piusa VIII, rzuconej na naród walczący z przemocą moskiewską, była pokorną niewolnicą“ (str. 3). Chcąc wymyślić rzekomą klątwę, mógł już ją raczej zwalić na żywego, nie umarłego, papieża.

W mistyfikowaniu swych czytelników rachuje ks. Hodur na ich łatwowierność i ignorancyę. Odsyła ich np. do książki, przytaczając nawet stronice, żeby poprzeć powagą pana Bobrzyńskiego swoje twierdzenie, że jedną z przyczyn upadku państwa polskiego było to, iż „rewolucya religijna... wstrząsła tylko lekko Polską i wielkich śladów nie zostawiła po sobie“ (str. 5). Na takich łatwowiernych i ciemnych czytelników obrachowany jest prowokacyjny ton broszury, co wyrzuca narodowi polskiemu uleganie papieżowi, owemu „wielkiemu szalbierzowi religijnemu“ (str. 4).

W podobnym tonie napisana jest cała historyczna część broszury, silnie atakująca hierarchię katolicką. Dzieje początków „niezależnego kościoła“ w Ameryce autor kreśli bardzo krótko, aby zato tem obszerniej opisać powstanie i rozwój tej gminy niezależnej, której sam jest głową.

Pouczającą jest charakterystyka kierowników i pomocników ko-

[1] Wyszła w Scranton, Pa. Autor kryje się pod nazwiskiem „W. Waręga“. Nie potrzeba wielkiej domyślności, żeby w „W. Warędze“ odkryć samego ks. Hodura.

ściołów niezależnych w Cleveland, Buffalo i Chicago [1], tem więcej po uczająca, że daje ją sam kierownik innego kościoła niezależnego. „Kierownicy tych organizacyi kościelnych — pisze ks. Hodur — nie odznaczają się ani nauką ani cnotą ani wymową, są to sobie przebiegli, praktyczni, zwyczajni zjadacze powszedniego chleba. Większość ich pomocników, przez nich święconych albo przybyłych gdzieś z pod ciemnej gwiazdy, to nizko upadłe indywidua, jakie się spotyka tylko na śmietniku i w zaułkach wielkich miast, to pijacy, rozpustnicy, złodzieje;— a jednak lud ich woli czasem aniżeli lepszych stosunkowo księży, wysługujących się ajryskim i niemieckim biskupom“ [2] (str. 11—12).

Ta charakterystyka duchowieństwa niezależnego rzuca ciekawe światło na cały „wolny kościół polski“ w Ameryce, a więc i na gminę niezależną, zostającą pod kierownictwem samego ks. Hodura. Jeszcze ciekawszą jest uwaga autora, że „rozumniejsi i moralniejsi księża, którzy trzymali początkowo z Kozłowskim albo Kamińskim, połączyli się następnie z ks. Hodurem“ (str. 11).

Widać z tej uwagi, że ks. Hodur z góry patrzy na inne gminy niezależne a z ich naczelnikami nie żyje w zgodzie. Siebie dopiero uważa za powołanego do tego, żeby założyć polski kościół narodowy. Dlategoto szczegółowo opowiada powstanie swojej własnej parafii niezależnej w Scranton.

Scranton jestto osada górniczo-fabryczna w północno-wschodniej Pensylwanii. Pracujący tam nasi rodacy, podżegani przez agitatorów „niezależnych“, zbuntowali się przeciw prawowitej władzy kościelnej i postanowili nie dopuścić księdza, ustanowionego przez biskupa, do ołtarza. Przyszło do starcia (w październiku 1896) pomiędzy obałamuconym ludem a amerykańską strażą bezpieczeństwa publicznego. Odtąd przywódcy buntu poczęli przemyśliwać nad wystawieniem nowego kościoła, w którym samiby już rządzili według własnej woli. Z początku jednak nie przyszło im do głowy, że budynek mogą wystawić bez przyzwolenia i błogosławieństwa biskupiego. Udali się więc

---

[1] W Cleveland założył kościół niezależny ks. Kołaszewski. Ks. Kozłowski, wyświęcony w r. 1898 na biskupa przez starokatolickich biskupów Gul'a i Hertzog'a, zakłada w Chicago polską odnogę starokatolickiej sekty. W Buffalo wreszcie proboszczem niezależnym jest Stefan Kamiński, co do którego święceń kapłańskich i biskupich zachodzą poważne wątpliwości.

[2] Mowa tu o księżach polskich, podlegających prawowitym biskupom katolickim, którzy w Ameryce przeważnie są pochodzenia irlandzkiego, a częściowo niemieckiego.

o potrzebne pozwolenie do biskupa i prosili go o poświęcenie kamienia węgielnego. Biskup, zbadawszy sprawę i przekonawszy się o tem, że sprawa budowy nowego kościoła jest tylko aktem oporu i buntu, pozwolenia i błogosławieństwa swego stanowczo odmówił. Wtedy komitet budowy udał się o poradę do ks. Franciszka Hodura, ówczesnego proboszcza w Nanticoke. Rada była: dalej budować. Budowano więc dalej. Kiedy już stanął kościół pod dachem, postanowiono wybrać sobie proboszcza. Nikt się lepiej na to stanowisko nie nadawał nad tego, kto duszą był i przyczyną moralną budowy. Padł więc wybór na ks. Hodura.

Wskazawszy ciemnemu a obałamuconemu ludowi nowe drogi, na które nikt wstąpić nie może pod grozą utraty łączności z Kościołem Chrystusowym, ks. Hodur przyjął wybór, porzucił Nanticoke i zjechał w marcu 1897 do Scranton, aby po owych nowych drogach prowadzić tych, którzy mu się oddali.

Oddanie się to było zupełne i bezwzględne, stwierdzone straszną, ale i najniedorzeczniejszą, przysięgą, że „lud skrantoński po Bogu i Jego Objawieniu, spisanem w księgach wielkich mężów, nie uznaje innej powagi w sprawach wiary świętej, jeno ks. Hodura“ (str. 19). Ze swojej strony ks. Hodur poprzysiągł temuż ludowi, że „poprowadzi go odtąd“. Świadomy tego kroku, na jaki się odważył, uroczyście zapowiada ludowi: „Pamiętajcie, iże bez wiedzy i woli biskupa tu między wami staję. Za to wyklną mię i prześladować będą, ale ja się ni ekskomuniki ni żadnych kar nie boję“ (str. 19).

Zaraz w następną niedzielę ks. biskup Hoban obłożył sam w starym kościele skrantońskim suspensą ks. Hodura, a zwolennikom jego zagroził karami kościelnemi. Pierwszy jednak krok na nowej drodze już był postawiony. Nie cofnięto się nawet wobec surowej groźby. Ks. Hodur z tem większą energią i zapalczywością wziął się do dzieła odszczepienia: zorganizował samozwańczą parafię „św. Stanisława Bisk. i Męcz.“, ułożył jej prawa i kazał je zaprzysiądz. Żeby tem skuteczniej i szerzej działać na ciemne warstwy polskiego ludu, zaczął wydawać tygodnik *Straż*, w którym otwartą wojnę wypowiedział Kościołowi katolickiemu, jego nauce i jego hierarchii. Rezultatem jego przewrotowej pracy było oderwanie od Kościoła ludu i księży w Priceburgu, Plymouth, Wilkes Barre, Duryea, w Fall River, Jersey City, Bayonne, Chicopee i Lowell. Nad głową ks. Hodura zawisła najwyższa kara kościelna, klątwa papieska. W październiku 1898 odczytano z ambon ekskomunikę, rzuconą na niego i na jego zwolenników.

Klątwa wywarła zbawienny swój skutek: otworzyła oczy wielu z uwiedzionych przez wichrzyciela prostaczków. Poczęto się usuwać z pod jego rządów i wpływów. Ks. Hodur widział, że traci grunt pod nogami. Za daleko poszedł w swoich rachubach. Przekonał się, że bałamucony przez niego lud nie utracił jeszcze, jak on, wiary, że jeszcze się boi klątwy kościelnej, bo Boga się boi, który zapowiedział swemu Kościołowi: Cokolwiek zwiążecie na ziemi, będzie związane i w niebie.

Na razie nie pozostawało ks. Hodurowi nic innego, jak udać skruchę, wybrać się w podróż do Rzymu i starać się tam o zdjęcie klątwy. Na drogę zabrał z sobą *memorandum*, podpisane podobno przez 5000 polskich robotników z Pensylwanii. W Rzymie, za poradą ks. Stojałowskiego, sprawę swoją i *memorandum* złożył w ręce ks. kardynała Vanutellego, a sam powrócił do Ameryki, aby tam, czekając rzekomo na odpowiedź, ratować tymczasem zagrożoną swą sytuacyę i przygotować teren pod ostateczne zerwanie z Kościołem. Odpowiedź z Rzymu nadeszła dopiero w rok: oczywiście nakazano uległość Stolicy Apostolskiej i wszelkim ustawom, przez nią zatwierdzonym.

Domagano się od ks. Hodura i jego zwolenników uległości Kościołowi, poddania się i posłuszeństwa. Żądano więc, aby nieszczęśliwy kapłan zwrócił się z drogi nowej, na którą sam wszedł i drugich za sobą pociągnął, a powrócił na tę drogę, która jedynie prowadzi ludzi do zbawienia. Kazano mu poddać się i słuchać: na to zaślepiona jego pycha nie pozwoliła. Prowadził więc dalej niecną swą robotę, buntował i podżegał, aż wreszcie osiągnął cel swoich usiłowań i starań, wymógł na obałamuconej przez siebie gminie skrantońskiej uchwałę tej treści:

Walne zgromadzenie parafialne (16 grudnia 1900 roku) uchwaliło zerwać raz na zawsze z Rzymem i jego agentami w Ameryce, biskupami ajryskimi i niemieckimi i prosić księdza Hodura i innych kapłanów, z nim w łączności pozostających, by więcej nie kłopotali się względami na Watykan, ale uczyli lud w duchu Kościoła Polskiego, a naród stać będzie przy nich wiernie i pomagać przy zorganizowaniu się kościoła Narodowego, Polsko-katolickiego w Ameryce, a może nawet da Bóg kiedy i w Ojczyźnie (str. 35—36).

Uchwałę skrantońską przyjęły parafie w Priceburgu, Plymouth, Wilkes Barre i Duryea. W ten sposób zawiązała się nowa sekta, któ-

rej słusznie można dać nazwę skrantońskiej. Wprawdzie głowa tej sekty, ks. Hodur, inną wolałby nazwę i dlatego mieni siebie proboszczem pierwszego wolnego, iście polskiego kościoła na świecie (str. 36), ale i sam jej używa, zapowiadając w swej broszurze, że „później poda całokształt nauki skrantońskiego kościoła“ (str. 37).

My jednak nie będziemy czekali na spełnienie tej obietnicy, ale już teraz, opierając się na ewangelii skrantońskiej, ogłoszonej w książeczce ks. Hodura, podamy zarys tej nowej wiary, a zarazem jej krytykę krótką.

Wiemy już, że religia skrantońska nie uznaje biskupa rzymskiego jako głowy i opoki Kościoła Chrystusowego. Co do tego dogmatu, w zgodzie jest tak z innymi t. zw. niezależnymi, jak ze wszystkimi wogóle niekatolikami.

Podczas jednak, „gdy w Detroit, Chicago, Cleveland, Buffalo musieli Kolasińscy, Kamińscy, Kołaszewscy i Kozłowscy tumanić lud i ściągać mu do poświęcenia kościołów wątpliwej jakości biskupów“, sekta skrantońska wyznaje, iż „polski ksiądz, pochodzący z ludu i pracujący dla ludu, więcej u niej znaczy, niźli rzymskie i nierzymskie biskupy“. Podczas kiedy Kozłowscy i Kamińscy, chcąc tem większy mieć wpływ na lud obałamucony, ubiegają się nieprawnie o infuły biskupie dla siebie, ewangelia skrantońska ogłasza: „Infuła jest dla nas symbolem tyranii, przewrotności, a pastorał przypomina bat ekonoma i nahajkę kozacką. Więc precz z infułami, precz z pastorałami!“ (str. 13).

Już stąd widzimy, że skrantońska religia w zasadniczej jest sprzeczności z religią chrześcijańską, katolicką. Ta bowiem religia jako jeden z podstawowych swoich dogmatów uznaje tę prawdę objawioną, że Chrystus założył swój Kościół na Apostołach i postanowił, aby aż do skończenia świata przez ich prawowitych następców był rządzony. Skrantońska zaś sekta odrzuca dogmat o apostolskości Kościoła Chrystusowego, chcąc się obywać bez biskupów, prawowitych następców apostołów: jej wystarcza ksiądz, przez gminę kościelną kierownikiem duchownym obrany.

Bez biskupów niema kapłanów, bo tylko biskup ma władzę udzielania święceń kapłańskich. Sprzeczność więc jest w nauce skrantońskiej oczywista. Ale ks. Hodur na sprzeczności się nie ogląda. On rachuje na to, że ma z nieoświeconymi prostaczkami do czynienia, którzy się nie poznają na jego krętactwach.

Religia skrantońska nie jest oczywiście katolicką, bo nie uznaje Kościoła katolickiego, apostolskiego. Gdyby ks. Hodur był szczerym, powiedziałby to bez ogródek swemu ludowi. Tego jednak nie robi, bo wie, że zbyt ten lud jest przywiązany do wiary katolickiej, aby z całą świadomością wyparł się jej tak, jak się on sam jej wyparł bezecnie. Uwodziciel zna ten lud i dlatego używa jeszcze wyrazów katolickich, ale sam rozumie przez nie zupełnie co innego, niż ci, do których przemawia w słowie czy w piśmie. W ułożonem przez siebie wyznaniu wiary używa nawet dla otumanienia ludu takiego zwrotu, jak: „Wierzymy w Kościół Chrystusowy, powszechny, apostolski"; ale dodaje zaraz: „ale nie ten, na którego czele stoi rzymski biskup". Tego jednak ludowi nie tłumaczy, o czem sam wie dobrze, że Chrystus innego Kościoła nie założył, jak tylko ten, którego fundamentem jest książe apostołów, Piotr święty, trwający aż do końca świata w prawowitych swoich następcach, biskupach rzymskich. O tem przemilcza, że u niego apostolski nie oznacza tego, co przez ten wyraz tumaniony przez niego lud rozumie. Nazywa swój skrantoński kościół Chrystusowym, ale przez Chrystusa nie rozumie Boga-człowieka; ludowi jednak tego nie mówi otwarcie, z umysłu tylko opuszcza wyznanie wiary w Bóstwo Chrystusowe. Lud na to jest za ciemny, aby zauważył to umyślne opuszczenie w artykule skrantońskim: „Wierzymy w Jezusa Chrystusa, zrodzonego z Maryi a ukrzyżowanego na górze Kalwaryi" (str. 44); nie domyśla się heretyckiego podstępu w nazywaniu Jezusa Chrystusa tylko „Mistrzem z Nazaretu" (str. 30), „Jezusem z Nazaretu" (str. 37).

Skrantońskie credo nie wyznaje Bóstwa Chrystusa Pana. Sekta zatem ks. Hodura nie jest sektą chrześcijańską: wyznawcy bowiem religii chrześcijańskiej wierzą, że założycielem tej religii jest Jezus Chrystus, prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek, Jednorodzony Syn Boży, który dla naszego zbawienia stał się człowiekiem.

Bałamuceni przez ks. Hodura biedni nasi ziomkowie niechybnie odstrychnęliby się od niego, gdyby się o tem dowiedzieli, że wybrany przez nich przywódca wprowadza ich na nowe drogi takie, które już są zupełnie poza chrześcijaństwem. Jeszcze więcejby zdumieli i z tem większem oburzeniem odwrócili się od tego istotnego szalbierza religijnego, gdyby zrozumieli, że owe nowe drogi wiodą aż do zupełnego odrzucenia wiary w Boga, do ostatecznej więc bezbożności.

Skrantońska nauka nie uznaje tej prawdy, że istnieje Bóg czyli Stwórca nieba i ziemi, istota nieskończenie doskonała. Dowodem tego

naszego twierdzenia jest zbiór tez filozoficzno-teologicznych, jakie twórca systemu skrantońskiego podał w rozdziale p. t.: „Bóg, człowiek i naród". Wyjmujemy z nich niektóre:

„1. Bóg nie jest jakimś Duchem oddzielnym, poza materyą zostającym i kierującym wszechświatem, jak wódz kieruje armią, ale jest i materyą i siłą twórczą razem.

2. Jest On życiem świata, tak jak dusza ożywicielem ciała człowieka.

3. Bóg razem ze światem i w świecie cierpi i cieszy się, jak ojciec raduje się i smuci z dziećmi swoimi i razem podąża ku ostatecznemu szczęściu.

4. Cóżby to był za Bóg, który, jak uczą rzymscy teologowie, patrzy się z boku niejako — On sam absolutnie szczęśliwy, doskonały — i widzi nędzę, walkę, i to ciągłe szamotanie się, a nie skończy go jednem słowem, jak ongi jednem słowem życie i ruch miał wzbudzić?

5. Nie, nie kończy On (t. j. Bóg), bo to przeobrażenie materyi i ducha odbywa się w Nim podług odwiecznych i stałych prawideł — którym On sam ulegać musi, bo są nieodłączną własnością Jego istoty.

8. Ale jak matka, gdy nosi w łonie dziecię i gdy rodzi, cierpi niewymownie a potem ustaje ból i ustępuje miejsca radości i pewnej błogości i zadowoleniu, tak świat ludzki, tak wszechświat, tak Bóg sam zbliża się, choć powoli, ku owej chwili ułożenia się, równowagi.

13. Jeśli (człowiek) czyni to, na co wyszedł z łona materyi Bożej, przez to samo uszczęśliwia się tu i po za grobem" (str. 38—40).

Według więc terminologii ks. Hodura wyraz bóg zupełnie co innego oznacza, niż u ogółu ludzi, wyrazu tego używających, niż przedewszystkiem u tych prostaczków, których swoimi sofizmatami chce odwieść od wiary w jednego Boga. Istota materyalna, podlegająca zmianom i prawom materyi, jest ograniczona, niedoskonała, zatem uczyniona, stworzona. Istota materyalna jest czemś, co z istotą Boga w absolutnej jest sprzeczności. Bóg jest stwórcą świata i wszystkich istot poza nim, tak materyalnych, jak duchowych, nie zaś treścią, z której istoty te powstać miały.

Ks. Hodur, przypisując Bogu niedoskonałość i ograniczenie, stworzeniom właściwe, kładzie go w rzędzie stworzeń, a Stwórcy tem samem nie uznaje. Jest więc rzeczywistym ateistą i zwodzi tylko ludzi, prawiąc im o Bogu i rzeczach bożych, o czci bożej i religii.

Wrodzony człowiekowi popęd religijny nie pozwala mu poprzestać na wykluczającym *a limine* wszelką religię ateiźmie: nie chcąc czci oddawać Bogu Jedynemu, którego nie uznaje, szuka sobie człowiek czegoś, coby mu Boga zastąpiło i czemuby boską mógł cześć oddawać. Ks. Hodur wymyślił sobie także swojego „boga". Charakterystyka tego „boga", pełna bluźnierstw i logicznych sprzeczności, uderzająco przypomina określenie owego ewolucyonistycznego boga, o którym świeżo wyszło dzieło p. t. *Satan-Dieu.* Ta jest tylko różnica, że bezimienny autor tej przerażająco bluźnierczej książki nazywa rzeczy po imieniu, otwarcie się przyznając, że bogiem jego szatan, a ks. Hodur sofistycznie istotne swe credo ukrywa przed tumanionym ludem.

Ks. S. Kobyłęcki.

Małpoczłowiek w Zakopanem.

— Byłeś w Muzeum Chałubińskiego? — zaczepia mię ktoś na Kościeliskiej w Zakopanem.

— Byłem przed pięciu laty, ale drugi raz iść nie myślę, bo nic tam szczególnego niema do widzenia.

— Ależ obecnie jest dużo ulepszeń, jest bardzo dobrze i pouczająco przedstawiony rozwój geologiczny Tatr; jeśli kto zatem, to przyrodnik powinien dokładniej temu się przypatrzyć.

— Takie *das Werden* naszych Tatr w miniaturze mogłoby być rzeczą prawdziwie zajmującą, mnie szczególnie obchodzi wszelka geneza tworów przyrody, będę się więc starał przy danej sposobności zobaczyć na własne oczy tę nową przeszłość starych naszych gór.

Mam skręcać właśnie na Gubałówkę, gdy znowu bardzo poważny i bardzo trzeźwo na społeczeństwo nasze patrzący się człowiek zadaje mi to samo, ale z wielkiem oburzeniem, pytanie: — Byłeś w Muzeum Tatrzańskiem!? — Cóż takiego!? — pytam miasto odpowiedzi. — Musisz koniecznie iść i naocznie o wszystkiem się przekonać. Powystawiano tam wierutne fałsze i prawdziwie gorszące rzeczy; trzeba to koniecznie jak najostrzej napiętnować, nazwać po imieniu, i zmusić zarząd Muzeum do jak najprędszego usunięcia zgorszenia.

Nie mogłem na razie pojąć, co za gorszące rzeczy mogą być wystawione w Muzeum, które tatrzańskiem się nazywa i chce być tatrzańskiem; byłem jak najmocniej przekonany, że z łona Tatr nic

gorszącego wydobyć się nie da. Zapomiałem widocznie, że żyjemy w czasach antropozoicznych, że człowiek zawsze i wszędzie wlecze zło za sobą, że więc i do wnętrza najbardziej dziewiczej przyrody zawlec je potrafi.

Nie było innej rady, wybrałem się z drugim towarzyszem Krupówkami i ulicą Zamoyskiego do Muzeum.

Wchodzimy do pokoju na prawo. Towarzysz mój wskazuje mi od razu pierwszą gablotkę. Widać w niej jakąś fotografię i sporo kartek zapisanych. Przybliżam się, i oczom własnym nie wierzę. Uczucie zdumienia, politowania, bolesnego oburzenia budzą się we mnie prawie jednocześnie. Oto! w Muzeum Tatrzańskiem spotykam się z małpoczłowiekiem. Fotografia jest wyraźnie podpisana: *Pithecanthropus erectus.*— Albo dziwnie niemądrze naiwnym, albo bardzo złym trzeba być, ażeby na wystawienie takiej rzeczy w takiem miejscu pozwolić — pomyślałem. I sąd ten, w myśli wydany, nie był ani zanadto dorywczy, ani zbyt surowy — raczej za łagodny. Uzasadnię to w krótkości.

1) Chociażby *Pithecanthropus erectus* należał nawet do paleontologii tatrzańskiej — jeszcze nie możnaby jego fotografii w Muzeum wystawiać. Wystawić bowiem zupełnego nagulca *en face* na widok publiczny niedorostków obojga płci, panien, pań, a nawet mężczyzn dorosłych — jest co najmniej karygodną lekkomyślnością i grubem nieuszanowaniem uczuć moralnych i religijnych naszego społeczeństwa.

2) Cóż dopiero powiedzieć o takiej wystawie, kiedy nie ulega najmniejszej wątpliwości, że *Pithecanthropus erectus* nie ma nic wspólnego ani z obecną, ani z dawniejszą fauną czy historyą Tatr? Niema zatem pozoru nawet najmniejszej racyi naukowej, któraby przemawiała za pomieszczeniem go w Muzeum, bądź co bądź za tatrzańskie wobec społeczeństwa uchodzącem.

3) A nie dosyć na tem. Są racye naukowe aż nadto przekonywające, że wprost nie godzi się podawać *Pithecanthropusa* za fakt rzeczywisty. Cóż to bowiem jest ten *Pithecanthropus erectus?* Krótka historya jego będzie najlepszą na to odpowiedzią.

We wrześniu 1891 roku znaleziono na wyspie Jawie niedaleko miejscowości Trinil w warstwach plioceńskich lub dyluwialnych lewego brzegu rzeki Bengawan jakiś ząb trzonowy. Oddano go holenderskiemu lekarzowi wojskowemu p. Eugeniuszowi Dubois, a ten oznaczył go jako ząb małpy, pokrewnej szympansowi. W miesiąc później znaleziono w tych samych warstwach, tylko o metr dalej, strop czaszki, a wreszcie w rok później, bo w sierpniu 1892 r., ale znowu o 15 m. dalej,

znaleziono lewą kość udową. Pan E. Dubois, jako wierny zwolennik i wytrwały wielbiciel Darwina i Haeckla, posiadał sporą dozę wyobraźni twórczej; to też bez trudności i bez dowodzeń uznał te trzy kości za szczątki jednego i tego samego osobnika, któremu wkrótce nadał wysoce szlachetne miano: *Pithecanthropus erectus*[1]. I tak się odbyły urodziny małpoczłowieka. Była to, rzecz oczywista i naturalna, okrutnie ważna chwila w dziejach całej ludzkości: ogniwo między człowiekiem a małpą z tak gorącą tęsknicą przez darwinistów wyczekiwane, tak fanatycznie upragnione i tak stanowczo przez mistrza Haeckla przepowiadane *missing link* raczyło się wreszcie przez usta czy przez pióro pana Dubois łaskawie światu objawić. Trzeba było tylko uwierzyć w p. Dubois — a ufność w zdrowy rozsądek ludzki, a wiara w samego Pana Boga okazałaby się dla całej ludzkości gratem przestarzałym i zbytecznym. I, rzecz logicznie nie do uwierzenia, psychologicznie łatwo zrozumiała, wielu uwierzyło. Pan Dubois pierwszy, a wielki prorok monizmu dzisiejszego z Jeny drugi, nie zachwiali się w wierze w dogmatyczne urojenia własnej fantazyi ani na chwilę. Należało jeszcze zjednać dla swej wiary jak największą liczbę uczonych, a zwłaszcza antropologów. W tym celu pan Dubois zebrał z jak największą czcią i starannością swój skarb najdroższy (owe trzy kości), oczyścił go nieco i wyprawił się z nim w apostolską podróż — do Europy. Tu zaczął go wozić po wszystkich większych miastach, podawać o nim wiadomości w najrozmaitszych czasopismach i językach, aż wreszcie sam utrwalił sobie tak dobre rysy i postawę swojego praszczura, iż przy pomocy swoich popleczników dokonał na podstawie trzech owych kości rekonstrukcyi całego *Pithecanthropusa*. Odtąd wozi go i pokazuje w całości i nagości.

Uderzającą jednak rzeczą jest, że antropolodzy, a zatem ludzie najbardziej kompetentni w tej mierze, i to nawet ci, co darwinistycznie skądinąd są usposobieni, którzy w zwierzęce pochodzenie człowieka wierzą lub przynajmniej psychicznie bardzo się do tej wiary skłaniają, przyjęli zdumiewające odkrycie holenderskiego Kolumba dosyć chłodno, za zimno nawet. Czyżby zazdrościli sławy panu Dubois? Nie sądzę; obawiali się jeno, iżby wkrótce nie wyśmiano ich wysokiej naiwności i głęboko uczonej łatwowierności. Pamiętali widocznie, jak to często w XIX stuleciu najpoważniejsi nieraz przyrodnicy wkrótce po

[1] Cfr. Eugen. Dubois: *Pithecanthropus erectus. Eine menschenähnliche Uebergangsform aus Java.* Batavia 1894.

szumnych i uroczystych urodzinach takich właśnie tworów pod względem ewolucyjnym niesłychanie doniosłych musieli dla ratowania swego honoru pierwsi nawoływać do odwrotu, lub, co gorsza, wygłaszać swym chrześniakom mowy pogrzebowe. Tak Huxley stworzył wśród oklasków i wiwatów sławnego *Bathybiusa*, lecz sam go też wkrótce musiał pogrzebać; tak Gaudry ogłosił kopalnego *Dryopithecus Fontani* za ogniwo między człowiekiem a małpą, a niedługo potem musiał pierwszy wyznać, że to zwyczajna sobie małpa, która z człowiekiem i z jego pochodzeniem nic nie ma do czynienia. To nam tłumaczy wielką ostrożność, a tem samem pewną przedmiotowość poważnych antropologów wobec *Pithecanthropusa*.

Niezłą i pouczającą illustracyą tego jest Towarzystwo Antropologiczne w Berlinie. Już 19 stycznia 1895 r. przeprowadziło to towarzystwo wcale wyczerpującą dyskusyę naukową nad odkryciem pana Dubois. Pierwszy zabrał głos W. Krause. Na podstawie opisów i tablic podanych przez pana Dubois przychodzi Krause do przekonania, że znaleziony ząb jest zębem trzonowym małpy, że strop czaszki przypomina w zupełności czaszkę gibona *(Hylobates)*, a różni się tylko większą pojemnością, że wreszcie znaleziona kość udowa jest udem ludzkiem. Przynależność tych trzech kości do jednego osobnika Krause uważa za nieprawdopodobną w najwyższym stopniu, w łożyskach bowiem rzek spoczywają wogóle obok siebie najróżnorodniejsze rzeczy, a nieprawdopodobieństwo wzajemnej przynależności wzrasta proporcyonalnie względem kwadratu odległości. Dlatego w wyniku ostatecznym Krause nie waha się zaliczyć *Pithecanthropusa* do istot bajecznych. Na tem samem posiedzeniu taki głośny i poważany badacz, jak Waldeyer, przyłączył się najzupełniej we wszystkich punktach do wywodów Krausego, zaś największa w ostatnich czasach powaga antropologiczna, Virchow, zaznaczył, że najważniejsza z kości znalezionych t. j. strop czaszki jest czaszką małpią i że w *Pithecanthropus erectus* niema naprawdę ani nowego rodzaju małpy, ani upragnionego *missing link* między małpą a człowiekiem [1]. I chociaż 14 grudnia tegoż samego roku pan Dubois przedstawił swoje skarby Towarzystwu Antropologicznemu w Berlinie, stary Virchow nie tylko nie zmienił swego zdania, lecz owszem w niem się utwierdził [2].

---

[1] *Zeitschrift für Ethnologie* — 1895, p. 78.

[2] Ibid. p. 723 sqq. — Również znany geolog Uhlig w 2-giem wydaniu Neumayra *Erdgeschichte* nie idzie za panem Dubois, tylko za Virchowem!

Jeszcze ostrzej obchodzi się z panem Dubois i jego odkryciem profesor antropologii w Zurychu, R. Martin, który zresztą w zasadzie jest zwolennikiem teoryi ewolucyjnych. Martin zaznacza przedewszystkiem „niemałą powierzchowność i wielki brak krytyki w niedostatecznie uzasadnionych spekulacyach pana Dubois“, tak iż uważa za prawdziwy obowiązek fachowego antropologa przedstawić czytającej publiczności odkrycie na Jawie w świetle prawdziwem. Po bardzo licznych ciosach zadanych metodzie badania p. Dubois Martin dochodzi do następującego wyniku: „Istnienie formy przejściowej, którą pan Dubois nazywa nawet prarodzicem człowieka, nie jest bynajmniej przez ostatnie odkrycie naukowo stwierdzone“ [1].

Tak więc *Pithecanthropus erectus* należy niewątpliwie do najnowszych, bardzo ciekawych i charakterystycznych faktów psychicznych — daleko mu jednak do tego, iżby go można uważać za prawdziwy starożytny fakt fizyczny.

Wobec tego wszystkiego może nie bez słuszności spodziewać się możemy, że najpierw nikt nam nie weźmie za złe naszego oburzenia na fotografię *Pithecanthropusa* w Muzeum Tatrzańskiem i że powtóre sam Zarząd Muzeum zarządzi jak najrychlejsze tej fotografii usunięcie.

W tej samej gablotce znajduje się obok fotografii przybranego praojca pana Dubois *et consortes* mnóstwo kartek zapisanych. Na tych kartkach jest spora doza niemałych głupstewek „naukowych“. Głupstewka te wywołują zazwyczaj tylko pobłażliwy uśmiech na ustach człowieka, który wtajemniczony jest nieco w niezachwiane naukowe podstawy ciekawych opowiadań o człowieku pierwotnym, dla publiczności jednak zwiedzającej Muzeum jedne mogą być mniej szkodliwe, bo niezrozumiałe, inne natomiast są wprost gorszące i złe. Do mniej szkodliwych zaliczyłbym kartkę z napisem: „Epoka przedlodowcowa — pojawia się w Europie środkowej człowiek — żyje razem z mamutem, nosorożcem i *hippopotamus maior*“. Pod tę samę kategoryę możnaby podciągnąć dalsze kartki: „I. Czasy paleolityczne. Człowiek zjawia się w Europie środkowej... człowiek całkiem dziki... są to t. zw. ludzie rasy neanderthalskiej... Rasa neanderthalska. Początek życia społecznego“.

---

[1] Cfr. *Globus*. 1895. Nr. 14. — Do podobnego, co Virchow i Martin, dochodzą wyniku: Hamann, Westhoff, Ten Kate, Turner i wielu innych, zwłaszcza angielskich, badaczy.

Chociażby jednak kartki te nie wywierały i nie mogły nawet wywrzeć ujemnego wpływu na zwiedzającą publiczność, powinny mimo to stanowczo z Muzeum być usunięte. Są bowiem napisane bez krytyki, zawierają może „uczone“ rojenia i pragnienia niektórych badaczy, mijają się natomiast z prawdą przedmiotową, przez ścisłą krytykę naukową stwierdzoną. Tak np. nikt dotychczas naprawdę nie stwierdził spółistnienia człowieka z mamutem, chyba, że ktoś zechce i dzisiejsze sybirskie szczepy uważać za żyjące razem z tym olbrzymem przedpotopowym i uprawiające polowania na niego. Wykazał to dowodnie i dosadnie głośny duński badacz Steenstrup, o którym Virchow powiedział, że jest to *ein der zuverlässigsten Männer auf dem Gebiet der naturwissenschaftlichen, insbesondere der prähistorischen Forschung.* Nie dziw też, że wszyscy poważniejsi paleontolodzy z Virchowem na czele utracili po badaniach Steenstrupa swą dawniejszą wiarę w człowieka „mamutowego“ i przyłączyli się szczerze do wywodów antropologa z Kopenhagi [1].

Tak samo nie może dzisiaj szanujący się przyrodnik stawiać żadnych tez o całkowitej dzikości pierwotnego człowieka, ani nie może za fakt naukowy podawać t. zw. rasy neandertalskiej. Wszak trzeźwiejsi antropolodzy ostrzegają w ostatnich czasach coraz częściej, ażeby nie wyobrażać sobie najfałszywiej w świecie ludzi pierwotnych na podobieństwo dzisiejszych szczepów dzikich. Dzisiejsze bowiem warunki są objawem zwyrodnienia, nie zaś cechą pierwotności [2]. Co się zaś tyczy ras pierwotnych, to dzisiaj naprawdę i na seryo nie można o nich nic naukowo pewnego powiedzieć, nie można przedewszystkiem mówić o rasie neandertalskiej w czasach dyluwialnych. Prawda, że taką rasę stawiają Mortillet i Fraipont, atoli cała falanga poważnych przyrodników stanowczo odrzuca ją. Czemże bo nie była czaszka neandertalska! Przecież Mayer uważał ją za czaszkę mongolskiego Kozaka z XIX wieku, Pruner-Bey za czaszkę starego Celta lub Germana, Wagner za czaszkę starego Holendra, Hamy i Quatrefages zaliczyli ją do również bez dostatecznej podstawy utworzonej rasy Canstattskiej, Blake, Vogt, Hälder widzą w niej czaszkę jakiegoś idyoty, Virchow zaś wykazał na niej tyle zmian patologicznych, powstałych wskutek *rachitis* w dziecięcym wieku a wskutek *arthritis deformans* w latach późniei-

[1] Cfr. Ranke: *Der Mensch* — II². p. 493—502.

[2] Talcott Williams: *Annual Report of the Smithsonian Institution for 896.* Washington 1898.

szych, iż o tworzeniu rasy na podstawie tej czaszki i mowy być nie może. Znaczna też część dzisiejszych przyrodników idzie z Rankem za Virchowem [1]. Dodać też należy, że wielka starość tej czaszki jest u geologów również w wysokim stopniu podejrzana [2]. Czyż można sobie życzyć jaśniejszego niestwierdzenia naukowego rasy neandertalskiej?

I śmieszna bardzo i bardzo niemądra i gorsząca niemało jest następująca kartka: „Człowiek jaskiniowy żyje w Grocie Magóry. Upłynęło od tej chwili około 300000 lat“ *(sic)*. Być może, że istotnie w niektórych grotach tatrzańskich znajdują się ślady dawniejszego człowieka, tak przynajmniej poucza nas dalsza kartka: „ślady człowieka z Magóry zostały wysłane do Pragi dla bliższego oznaczenia“ — mniejsza o to, ale data powyższa jest tak kolosalnem głupstwem, że wolę nie wchodzić w płytkość jej głębokości. Przecież od czasów najdokładniejszego i najkrytyczniejszego znawcy jaskiń, B. Dawkinsa, żaden poważniejszy geolog nie próbuje nawet oznaczać wieku znalezionych w jaskiniach resztek lub śladów ludzkich, bo wie, że może rzeczy nieraz bardzo nowe wziąć za bardzo stare i tak narazić na śmiech naukowość swoją. Zresztą, jeżeli już są ślady człowieka w Magórze, to niema tam z pewnością śladów najstarszego człowieka na ziemi, a jednak trzeźwo rzecz pojmujący paleontolodzy dzisiejsi, jeśli

---

[1] Ranke: *Der Mensch.* II². p. 475 sq.

[2] Jak niepewne wogóle są tezy wygłaszane na podstawie różnych czaszek kopalnych, świadczy najlepiej kwintesencya wszystkich badań najnowszych, podana przez niepodejrzanego o „wsteczność“, bo bardzo darwinizmowi sprzyjającego, głośnego monachijskiego paleontologa Zittla *(Grundzüge der Palaeontologie.* München und Leipzig 1895. p. 932 sq.): „Das Alter der viel besprochenen Schädel aus den Höhlen von Paviland in Glamorganshire, von Engis, Engihoul und Spy bei Lüttich, von Gendron an der Lesse, aus der Gailenreuther Höhle, aus den Höhlen von Aurignac, Cro-Magnon, Bruniquel, Lombrive, Cavillon bei Mentone, Grotta dei Colombi auf Palmaria ist zweifelhaft, der Schädel aus Canstatt, welchen Quatrefages zum Typus einer besonderen Rasse stempelte, stammt sicher, wie die Skelete von Grenelle und Clichy bei Paris aus später Zeit; die Extremitätenknochen aus dem Löss von Lahr sind verloren, die Skelete aus dem vulkanischen Tuff von Denise bei Le Puy von zweifelhaftem Alter, ebenso der Schädel von Brüx in Böhmen. Das berühmte Schädelfragment aus einer Felsspalte des Neanderthales mit seinen starken Augenwülsten und der niedrigen, zurückfliehenden Stirn rührt, wie Virchow nachgewiesen, von einem Mikrocephalen her, dessen diluviales Alter nicht im mindesten erwiesen ist. Auch der Unterkiefer von Moulin-Quignon bei Abbeville wurde von Arbeitern betrügerischer Weise untergeschoben“.

czasem podają wiek człowieka na ziemi na dziesięć lub kilkanaście tysięcy lat, to zawsze dodają, że to tylko oszacowanie w przybliżeniu, którego nadmiar może wynosić i kilka tysięcy [1]. — Nie dosyć na tem. Wystawę w Muzeum należy oceniać nie tylko ze stanowiska naukowego, ale także, i to koniecznie, ze stanowiska pedagogicznego, przynajmniej tak długo, jak długo Muzeum będzie otwarte dla publiczności wogóle bez różnicy płci, wieku, religii. Pod tym względem kartka ta jest w najwyższym stopniu oburzająca, wynosi się z niej po prostu wrażenie, jakby była na kpiny z publiczności albo na podkopywanie przekonań religijnych wystawiona. Czyżby to miał być nowy cel Muzeum Tatrzańskiego? Czy Zarząd Muzeum zdał sobie dokładnie sprawę z tego, ile ta jedna fotografia małpoczłowieka i ta jedna kartka z niedorzeczną datą mogły zrodzić niepokojów i wątpliwości w młodych umysłach, ile wyrządzić niepowetowanych szkód i strat w sercach młodocianych!?

Po zanotowaniu dokładnem tych niespodzianych ciekawości zakopiańskich udałem się ze swoim towarzyszem do pokoju muzealnego po lewej stronie. Pomijamy szafy ze zwierzętami ssącemi i ptakami, a zabieramy się do kilku dużych gablotek, w których przedstawiona jest genetycznie historya Tatr. Zaczynamy oglądać od czasów najstarszych, „miliardy lat temu“, kiedy to nawet granitom samym o Tatrach się jeszcze nie śniło, gdy wtem podchodzi ktoś i oznajmia mi, że pan Limanowski, który zajmuje się w Muzeum opracowaniem i urządzeniem działu geologicznego, chciałby się przedstawić. Po wymianie nazwisk pan Limanowski, młodzieniec jeszcze w sile wieku, bardzo grzeczny, zaczyna mię prowadzić przez wszystkie okresy i formacye geologiczne, opisując obrazowo najróżnorodniejsze przemiany tatrzańskiej części skorupy ziemskiej w oddzielnych epokach, skromnie odpowiadając na stawiane przeze mnie od czasu do czasu pytania. Przekonywam się, że mam do czynienia z młodym wprawdzie człowiekiem, ale zapalonym prawdziwie do geologii, zwłaszcza tatrzańskiej, który potrafi w martwych głazach i granitowych wapiennych i piaskowcowych wykryć dużo życia, dużo tajemnic tej groźnej i dzikiej przyrody podpatrzyć, każdy szczegół żywo sobie wyobrazić i z całością powiązać, konsekwentnie innym w jasnych obrazach, w wyraźnych za-

[1] Cfr. *Correspondenzblatt der Deutschen Anthropologischen Gesellschaft* — 1890.

rysach, w konkretnych porównaniach to przedstawić. Razi mię tylko za wielka młodzieńcza pewność, zazwyczaj w badaniach naukowych szkodliwa, za mała doza sceptycyzmu i krytycyzmu, koniecznego każdemu geologowi, pewien może brak wyrobienia pedagogicznego, potrzebnego każdemu dobremu popularyzatorowi — wszystko to właściwości wieku młodzieńczego. Dobra wola i brak złej woli, które w toku całej rozmowy stwierdzam, są najlepszą rękojmią, że i te właściwości z latami znikną albo się w cechy wyraźnie dodatnie zamienią.

W powrocie na ulicy Zamoyskiego pytam się mego towarzysza, profesora matematyki i fizyki:

— I kto właściwie zawinił? czy ten geolog, który w swoim młodzieńczym zapale wystawił obok pouczających i gorszące rzeczy, czy też Zarząd, który może nie wie nawet, na jakie zgorszenie publiczność wystawia?

— Zarząd — odpowiedział.

— I ja tak sądzę — dodałem.

Ks. Jan Nuckowski.

Druk ukończono 31 sierpnia 1901 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronica
Młoda Polska w powieści i poezyi. 5. Dramat modernistów. (C. d.) Przez *prof. Antoniego Mazanowskiego*	1 176
Czy metafizyka ma jeszcze racyę bytu? Przez *ks. prof. Franciszka Gabryla*	19
Dzień śmierci Chrystusowej. Przez *ks. K. Czaykowskiego*	46
Murzyńska cywilizacya nad Nigrem. (Dok.) Przez *T. Wodzicką*	67 315
Frederi Mistral. Ze studyów nad współczesną literaturą prowansalską. (Dok.) Przez *ks. Wiktora Wieckiego*	84 207 358
Z dziejów austryackiej polityki handlowej. Przez *Adama Krzyżanowskiego*	145
Wyższe chrześcijańskie szkoły w pierwszych pięciu wiekach po nar. Chrystusa. Przez *prof. M. Straszewskiego*	191
Przyczynek do dziejów Kościoła w Inflantach i Kurlandyi. Przez *Gustawa Manteuffla*	224
Zagraniczny handel Austro-Węgier. Przez *Adama Krzyżanowskiego*	289
Rok śmierci Chrystusowej według liturgicznych ksiąg Wschodu. Przez *ks. K. Czaykowskiego*	335
Młoda Polska. Pierwiastek ludowy w poezyi. Przez *St. Zdziarskiego*	373

Stronica

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

MASZKIENICE. Wieś powiatu brzeskiego. Stosunki gospodarcze i społeczne. Napisał Franciszek Bujak. *(Z. Gargas)* . . . 100

WESPAZYAN Z KOCHOWA KOCHOWSKI. Studyum biograficzne. Napisał Jan Czubek. *(L. M. Dziama)* 106

MARCO BENEVENTANO, KOPERNIK, WAPOWSKI A NAJSTARSZA KARTA GEOGRAFICZNA POLSKI. Napisał L. A. Birkenmajer. *(L. M. Dziama)* 110

TOWARZYSTWO WARSZAWSKIE PRZYJACIÓŁ NAUK. 1800—1832. Monografia historyczna osnuta na źródłach archiwalnych przez Aleksandra Kraushara. Księga I. Czasy Pruskie. 1800—1807. *(Stanisław Zdziarski)* 111

O SKRUPULATACH. Napisał ks. dr. Adam Gerstmann, docent uniw. lwowskiego *(Ks. Eugeniusz Heiczyński)* 113

HISTORYA UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO; średnie wieki i odrodzenie, z wstępem o Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego. Napisał Kazimierz Morawski. Tom I i II. *(Feliks Koneczny)* 226

ZASADY EKONOMII SPOŁECZNEJ. Karol Gide, prof. Uniw. w Montpellier. Drugie polskie wydanie, podług pierwszego wydanego pod kierunkiem prof. d-ra Juliusza Leo, świeżo opracowane i rozszerzone przez d-ra Włodzimierza Czerkawskiego, prof. Uniw. Jagiellońskiego. *(Ks. Stanisław Trzeciak)* 242

WIECZORY NAD ADRYATYKIEM. Ks. Franciszek Starowieyski. Część I (wydanie drugie). Część II (dotąd niedrukowana). *(Ks. S. Kobyłecki)* 258

BRONISŁAW GRABOWSKI (1841—1900). Henryk Ułaszyn. *(G. F.)* . 258

CYWILIZACYA I JĘZYK. Szkice z dziejów obyczajowości polskiej. A. Brückner. *(Prof. Stanisław Dobrzycki)* 388

OPIEKA NAD UBOGIMI W GALICYI. Opracował dr. Joachim Bartoszewicz. (Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych wydane przez krajowe Biuro statystyczne pod redakcyą prof. d-ra Tadeusza Pilata). *(Z. Gargas)* 392

POEZYE Michała Bończy. *(W. Rylski)* 399

FRYDERYK LE PLAY, EKONOMISTA FRANCUSKI. Krzysztof hr. Mieroszowski. *(A. Krzyżanowski)*. 400

Z piśmiennictwa zagranicznego:

GESCHICHTE DER ÖSTERREICHISCHEN LAND- UND FORSTWIRTSCHAFT UND IHRER INDUSTRIEN 1848—1898. *(T. K.)* 114

NEUE IDEALE. Gesammelte Aufsätze von Fritz Lienhard. *(Józef Flach)* 120

Македония. Етнография и статистика отъ Василъ Кънчовъ. (Macedonia przez Bazylego Kączowa. *(Ks. K. C.)* 126

Stronica

Versuche einer Agrarreform in Österreich. Dr. Moritz Ertl (w Geschichte der österreich. Land- und Forstwirtschaft 1848—1898, tom I). *(T. K.)*. 259

Výklad posvátných Žalmů a biblických chvalozpěvů breviaře. Napsal dr. Jaroslav V. Sedlaček. Díl I, II. *(Ks. K. Czaykowski)* 266

La mort des dieux. Le roman de Julien l'Apostat. Dmitry de Merejkowskij. Traduit du russe par Jacques Sovrèze. *(T. W.)*. 269

Oesterreichisches Verordnungsrecht. Verwaltungsrechtlich dargestellt von Dr. Johann Žolger. *(Z. Gargas)*. 401

Maikäfer-Komödie. J. V. Widmann. *(Ks. Wiktor Wiecki)* . . 412

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Sprawy Kościoła: Jeszcze Los von Rom. — Los von Rom i Prusy. — Mowa tronowa regentki hiszpańskiej. Przez *ks. Wiktora Wieckiego* 129

Z zakresu medycyny. Przez *J. Zanietowskiego* 139

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Kościół polski. Przez *ks. K. Czaykowskiego* . . 274

Oświata ludu. Przez *ks. S. Kobyłeckiego* 286

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Kościół we Francyi. Przez *ks. K. Czaykowskiego* 414

Nowe drogi. Przez *ks. S. Kobyłeckiego* 426

Małpoczłowiek w Zakopanem. Przez *ks. Jana Nuckowskiego* . . 434

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: X. Stanisław Kobyłecki.